

Sansom C.J.

Zima w Madrycie

Prolog

Dolina rzeki Jarama, Hiszpania, luty 1937

Bernie od wielu godzin leża! półprzytomny u stóp pagórka.

Brytyjski batalion znalazł się na froncie tu dwa dni wcześniej. Dotarł przez kastylijską równinę starym, hałaśliwym pociągiem i nocnym marszem na linię frontu. W batalionie służyło co prawda kilku starszych mężczyzn, weteranów wielkiej wojny, ale większość żołnierzy stanowili chłopcy z robotniczych rodzin, którzy nie przeszli żadnego szkolenia. Bernie i grupka absolwentów prywatnych szkół przynajmniej miała je na studiach. Nawet tutaj pochodzenie klasowe stawiało ich w lepszej pozycji.

Republikanie bronili zaciekle przyczółka na wzgórzu, którego strome zbocze schodziło do pokrytej pagórkami i porośniętej gajami oliwnymi doliny rzeki Jarama. Daleko na horyzoncie widniała szara kreska - Madryt. Miasto, które opierało się faszystom od buntu generałów poprzedniego lata. Miasto, w którym była Barbara.

Armia Franco przekroczyła już rzekę. Doliną szli żołnierze z marokańskich kolonii. Potrafili doskonale wykorzystać na kryjówkę każde nawet najmniejsze zagłębienie. Batalion dostał rozkaz zajęcia pozycji obronnych wokół wzgórza. Mieli stare karabiny, brakowało amunicji, a część broni w ogóle była niesprawna. Dostali francuskie hełmy z wielkiej wojny; doświadczeni żołnierze twierdzili, że nie ochronią ich przed kulami.

Pomimo że batalion zaciekle się bronił, Maurowie wraz z upływem kolejnych godzin poranka kawałek po kawałku zdobywali wzgórze. Były ich setki, wyglądali jak ubrane w szare płaszcze mordercze stwory, znikające i pojawiające się między drzewami oliwnymi i postępujące nieubłaganie naprzód. Wkrótce odezwała się faszystowska artyleria. Wokół pozycji batalionu wytryskiwały w górę olbrzymie żółte fontanny ziemi, siejąc przerażenie wśród niedoświadczonych żołnierzy. Po południu przyszedł rozkaz odwrotu; wtedy zapanował już zupełny chaos. Uciekali. Bernie zauważył powyrzucane z żołnierskich plecaków książki - poezja, podstawy marksizmu i pornografia z madryckich straganów.

Ci, którzy ocalili, spędzili noc przy biegnącej w zagłębieniu mesety¹ drodze. Nie wiedzieli nic o przebiegu bitwy i sytuacji na innych frontach. Bernie był u kresu sił i tylko dlatego zasnął.

O świcie radziecki major rozkazał niedobitkom batalionu podjąć kolejne natarcie. Bernie widział, że kapitan Wintringham próbuje kłócić się z majorem. Na tle nieba, które wraz ze wschodem słońca zmieniało kolor z różowego na niebieski, widział jedynie zarys głów oficerów. Żołnierze z batalionu

byli wykończeni, za to Maurowie mieli przewagę liczebną, zdążyli się już okopać i przywieźć karabiny maszynowe. Ale Rosjanin był niewzruszony, nie drgnął nawet jeden mięsień jego twarzy.

Wydano rozkaz, by żołnierze ustawili się w szeregu wzdłuż krawędzi wąwozu, którym biegła droga. Faszyci znów otworzyli ogień i nagle zapanował potworny hałas, rozległ się trzask karabinów i terkotanie cekaemów. Stali i czekali na rozkaz do natarcia. Bernie był zbyt zmęczony, by myśleć. W głowie niczym wahadełko metronomu kołatała się myśl: Mam przesrane, mam przesrane. Ludzie byli wycieńczeni, tępo patrzyli przed siebie albo trzęśli się ze strachu.

Wintringham osobiście poprowadził atak, padł też prawie od razu z przestrzeloną nogą. Bernie słyszał trzask kul dookoła, dygotał i krzywił się z bólu. Widział, jak jego towarzysze broni padają jeden po

i Płaskowyż (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

drugim, słyszał ich krzyki i jęki. Przebiegł sto metrów. Gwałtowne pragnienie, by przytulić się do ziemi, wzięło górę i Bernie rzucił się za stare, grube drzewo oliwne.

Przez długi czas opierał się o rosochaty pień. Dookoła gwizdały kule, uderzały w cel z głośnym trzaskiem. Widział ciała swoich kompanów i ziemię, która nasiąkała krwią i z żółtej stawała się czarna. Próbował okopać się, jak tylko potrafił najlepiej.

Przed południem ogień w pobliżu ustał, ale Bernie wciąż słyszał z daleka odgłosy walki. Po prawej widział porośnięty gęstymi krzakami pagórek. Postanowił pobiec w tamtą stronę. Podniósł się i zgięty wpół ruszył biegiem. Już docierał do kryjówki, kiedy nagle usłyszał trzask, a prawe udo przeszył mu ból. Zakręcił się i upadł. Czuł, że krew spływa mu po nodze, ale nie odważył się odwrócić. Pomagając sobie łokciami i zdrową nogą, zaczął najszybciej, jak mógł, czołgać się w stronę schronienia u stóp pagórka. Stara rana w ramieniu zaczęła boleć. Kolejna kula obryzgała go ziemią, ale dotarł bezpiecznie do zarośli. Ukrył się za wystającą skałą i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, było późne popołudnie. Leżał w cieniu, ciepło dnia ustępowało chłodowi wieczoru. Leżał twarzą w kierunku zbocza, więc przed sobą widział jedynie kamienie i ziemię. Czuł okropne pragnienie. Wokół panował zupełny spokój. Słyszał śpiew ptaka, który siedział gdzieś na drzewku oliwnym, i dochodzącą z pewnej odległości przytłumioną rozmowę. Mówili po hiszpańsku, więc zapewne byli to faszyci - chyba że hiszpańskim żołnierzom udało się przebić na północy przez linie wroga. Ale nie wierzył w to, zwłaszcza że widział, co stało się z odcinkiem frontu, na którym walczył. Leżał bez ruchu, z głową wtuloną w pylistą ziemię. Nie miał czucia w prawej nodze.

Na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Wciąż słyszał głosy, przed sobą i trochę z lewej. Po pewnym czasie ocknął się na dobre. Rozjaśniło mu się w głowie, chociaż nadal paliło go okropne pragnienie. Tym razem słyszał tylko śpiew ptaka siedzącego na drzewie, chyba innego niż poprzednio.

Berniemu zawsze wydawało się, że w Hiszpanii będzie gorąco; kiedy wspominał wycieczkę z Harrym, przed sześciu laty, pamiętał tylko męczący suchy upał. Ale w lutym po zmroku robiło się zimno, a chociaż dni były przyjemnie ciepłe, nie był pewien, czy przetrwa noc tu, gdzie leżał. Czuł, jak po włosach na brzuchu pełzają mu wszy. Zaatakowały ich obóz. Bernie nienawidził tego swędzenia.

Dziwna rzecz: był w stanie wytrzymać ból spowodowany raną w nodze, ale nie mógł ścierpieć potrzeby podrapania się po brzuchu. Wiedział, że może być otoczony przez faszystowskich żołnierzy. Wzięli go za trupa, ale jeśli tylko się poruszy, otworzą ogień.

Uniósł lekko głowę, zacisnął zęby i czekał z przerażeniem na strzał. Nic. Przed sobą widział tylko gołe zbocze. Cały zdrętwiał; przewrócił się na plecy. Ból przeszył mu nogę niczym ostrze noża i musiał zatkać usta ręką, żeby nie krzyknąć. Podparł się na łokciach i spojrzał w dół. Połowa nogawki była urwana, a udo pokryte miał ciemną, skrzepniętą krwią. Już nie krwawił. Kula na szczęście ominęła tętnicę, ale wiedział, że jeśli będzie zbyt ruchliwy, rana może znowu się otworzyć.

Po lewej miał zwłoki dwóch żołnierzy w mundurach Brygad. Obaj leżeli twarzą do ziemi; byli zbyt daleko, by mógł widzieć ich dokładnie, ale jednym z nich był z pewnością McKie, młody szkocki górnik. Bernie, mimo strachu, uniósł się na łokciach, uważając, żeby nie ruszyć nogą, i popatrzył ku szczytowi pagórka.

Piętnaście metrów nad nim zza krawędzi wzgórza wystawał czołg. Niemiecki, jeden z tych, które Franco dostał od Hitlera. Z wieżyczki bezwładnie zwisała ręka. Wyglądało na to, że faszyci ściągnęli czołgi w tę okolicę, a ten zatrzymano, zanim stoczył się ze zbocza. Stał chwiejnie na krawędzi, zza której wystawała prawie połowa przodu. Ze swojego miejsca Bernie widział rury i śruby podwozia oraz masywne gąsienice. Musi się stąd ruszyć, bo ta masa żelastwa mogła w każdej chwili się na niego zsunąć.

Powoli zaczął się czołgać w bok. Nogę znów przeszył mu ból, więc po kilku metrach musiał się zatrzymać. Był zlany potem, ciężko dyszał. Stąd dobrze widział McKiego. Pocisk urwał mu ramię, leżało parę metrów dalej. Wiatr lekko poruszał brązowymi włosami; pośmierci wyglądały identycznie jak za życia, chociaż twarz pod nimi była już zupełnie biała. McKie miał zamknięte oczy, a na jego sympatycznej, brzydkiej twarzy malował się spokój. Biedak, pomyślał Bernie i poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

Zwłoki po raz pierwszy w życiu zobaczył w Madrycie, kiedy przyniesiono z pola bitwy ciała walczących i poukładano je na ulicy w równych rzędach. Wtedy zrobiło mu się niedobrze z przerażenia. Ale kiedy ruszyli do ataku, jego wrażliwość gdzieś zniknęła. Kiedy jesteś pod ostrzałem, nie masz wyboru, powiedział mu kiedyś ojciec. Była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy opowiadał o bitwie nad Sommą. Wszystkie zmysły trzeba mieć nastawione na przetrwanie. Nie patrzysz, a obserwujesz, jak zwierzę. Nie słuchasz, a nasłuchujesz, jak zwierzę. Skupiasz się i odrzucasz uczucia, jak zwierzę. Jego ojciec miał ciągłe napady depresji; spędzał wtedy wieczory w małym biurze na tyłach sklepu, siedząc ze schyloną głową przy słabym, żółtym świetle i próbując ze wszystkich sił zapomnieć o okopach.

Bernie przypomniał sobie, jak McKie żartował, że Szkocja będzie niepodległa w socjalizmie, jak śmiał się i wyczekiwał dnia, kiedy jego kraj uwolni się spod władzy beznadziejnych Angoli. Bernie oblizał zeschnięte wargi. Zastanawiał się, czy jeśli przeżyje, widok włosów McKiego poruszanych wiatrem będzie go nawiedzać w snach. Nawet jeśli wygrają i stworzą nowy, wolny świat.

Usłyszał cichy, metaliczny trzask. Podniósł wzrok. Czołg kołysał się nieznacznie, działa rysujące się na tle ciemniejącego nieba kiwało się powoli w górę i w dół; poruszał się, chociaż on na pewno nie miał w tym udziału, był przecież u stóp pagórka.

Próbował wstać, ale ból znów przeszył mu zranioną nogę, czołgał się dalej obok ciała McKiego. Noga bolała jeszcze bardziej, czuł, że znowu spływa po niej strużka krwi. Kręciło mu się w głowie. Z przerażeniem pomyślał, że może stracić przytomność, a czołg spadnie ze wzgórza i zmiażdży go. Musiał być przytomny.

Na wprost przed sobą zobaczył kałużę brudnej wody. Mimo niebezpieczeństwa pragnienie wzięło górę. Zanurzył głowę w kałuży i wypił pokaźny łyk. Woda smakowała ziemią, prawie wymiotował. Podniósł śmierci wyglądały identycznie jak za życia, chociaż twarz pod nimi była już zupełnie biała. McKie miał zamknięte oczy, a na jego sympatycznej, brzydkiej twarzy malował się spokój. Biedak, pomyślał Bernie i poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

Zwłoki po raz pierwszy w życiu zobaczył w Madrycie, kiedy przyniesiono z pola bitwy ciała walczących i poukładano je na ulicy w równych rzędach. Wtedy zrobiło mu się niedobrze z przerażenia. Ale kiedy ruszyli do ataku, jego wrażliwość gdzieś zniknęła. Kiedy jesteś pod ostrzałem, nie masz wyboru, powiedział mu kiedyś ojciec. Była to jedna z tych rzadkich okazji, kiedy opowiadał o bitwie nad Sommą. Wszystkie zmysły trzeba mieć nastawione na przetrwanie. Nie patrzysz, a obserwujesz, jak zwierzę. Nie słuchasz, a nasłuchujesz, jak zwierzę. Skupiasz się i odrzucasz uczucia, jak zwierzę. Jego ojciec miał ciągłe napady depresji; spędzał wtedy wieczory w małym biurze na tyłach sklepu, siedząc ze schyloną głową przy słabym, żółtym świetle i próbując ze wszystkich sił zapomnieć o okopach.

Bernie przypomniał sobie, jak McKie żartował, że Szkocja będzie niepodległa w socjalizmie, jak śmiał się i wyczekiwał dnia, kiedy jego kraj uwolni się spod władzy beznadziejnych Angoli. Bernie oblizał zeschnięte wargi. Zastanawiał się, czy jeśli przeżyje, widok włosów McKiego poruszanych wiatrem będzie go nawiedzać w snach. Nawet jeśli wygrają i stworzą nowy, wolny świat.

Usłyszał cichy, metaliczny trzask. Podniósł wzrok. Czołg kołysał się nieznacznie, działa rysujące się na tle ciemniejszego nieba kiwało się powoli w górę i w dół; poruszał się, chociaż on na pewno nie miał w tym udziału, był przecież u stóp pagórka.

Próbował wstać, ale ból znów przeszył mu zranioną nogę, czołgał się dalej obok ciała McKiego. Noga bolała jeszcze bardziej, czuł, że znowu spływa po niej strużka krwi. Kręciło mu się w głowie. Z przerażeniem pomyślał, że może stracić przytomność, a czołg spadnie ze wzgórza i zmiażdży go. Musiał być przytomny.

Na wprost przed sobą zobaczył kałużę brudnej wody. Mimo niebezpieczeństwa pragnienie wzięło górę. Zanurzył głowę w kałuży i wypił pokaźny łyk. Woda smakowała ziemią, prawie wymiotował. Podniósł

głowę i wzdrygnął się, kiedy zobaczył odbicie swojej brudnej twarzy, poszarpanej brody oraz oczu szaleńca. Usłyszał w myślach głos Barbary, przypomniał sobie miękki dotyk jej rąk.

- Jesteś dla mnie zbyt piękny - powiedziała kiedyś. - Zbyt piękny. - Co powiedziałaaby teraz?

Znowu usłyszał trzask, tym razem głośniejszy. Spojrzał w górę i zobaczył, że czołg powoli przesuwa się naprzód. Po zboczu pagórka stoczyła się mała lawina ziemi i kamyków.

- O, Chryste - powiedział cicho. - Chryste. - Podciągnął się na rękach.

Rozległ się kolejny trzask, czołg przechylił się za krawędź wzgórza i stoczył się powoli, klekocząc i zgrzytając. Minął nogi Berniego o kilka centymetrów. U stóp pagórka lufa wbiła się w ziemię i czołg stanął, dygocząc niczym powalony olbrzymi potwór. Martwy żołnierz wypadł z wieżyczki i z rozpostartymi ramionami wylądował w rowie, twarzą do ziemi. Miał jasnoblonde włosy: Niemiec. Bernie zamknął oczy i odetchnął z ulgą.

Usłyszał głosy. Odwrócił się i spojrzał w górę. Na szczycie stało rzędem pięciu mężczyzn. Hałas musiał zwrócić ich uwagę. Twarze mieli równie brudne i zmęczone jak Bernie. Faszyści. Mieli na sobie oliwkowozielone mundury armii Franco. Unieśli karabiny i wycelowali w niego. Jeden z żołnierzy wyciągnął z kabury pistolet. Rozległ się trzask odwodzonego bezpiecznika. Mężczyzna ruszył w dół pagórka.

Bernie oparł się jedną ręką o ziemię, a drugą uniósł błagalnie w górę.

Faszysta zatrzymał się niecały metr od niego. Był wysoki i szczupły, miał mały wąsik jak Generalísimo, twarz złą i surową.

- Me entrego - powiedział Bernie. - Poddaję się. - Nie mógł zrobić nic innego.

- ¡Cabrón comunista! - Mężczyzna miał silny południowy akcent. Bernie nie zrozumiał jeszcze do końca jego słów, kiedy faszysta uniósł pistolet i wycelował w jego głowę.

i Pieprzony komunista!

Rozdział pierwszy

Londyn, wrzesień 1940 r.

Bomba, która spadła na Victoria Street, wyrwała w jezdni szeroki lej i zrujnowała wystawy kilku sklepów. Ulicę odgradzono, a służby porządkowe i ochotnicy ustawili się ławą i ostrożnie usuwali gruz z jednego z zawalonych budynków. Harry domyślał się, że ktoś pewnie został przysypany. Wysiłki ratowników - przyprószonych opadającym pyłem sterców oraz chłopców - wydawały się żałosne wobec olbrzymiego stosu cegieł i tynku. Harry postawił walizkę na ziemi.

Kiedy jechał pociągiem na dworzec Victoria, także widział po drodze leje po bombach i gruzy domów. Od samego początku ciężkich bombardowań, które zaczęły się dziesięć dni temu, czuł dziwny dystans wobec zniszczeń wokół. Za to stryjek Harry'ego, z hrabstwa Surrey, omal nie dostał zawału, oglądając zdjęcia w „Telegraph”. Harry zupełnie przestał reagować na zachowanie stryja, który purpurowiał z wściekłości, czytając o kolejnych przerażających działaniach Niemców. Takie napady furii wywoływały w umyśle Harry'ego reakcję obronną - wycofywał się.

Nie potrafił jednak zignorować leja po bombie, który ział u jego stóp. Natychmiast myślami wrócił do Dunkierki: niemieckie bombowce nurkujące nad głową, wybuchy na piaszczystej plaży. Zacisnął pięści tak mocno, aż paznokcie wbiły mu się w skórę. Kilka razy odetchnął głęboko. Serce waliło mu jak młotem, ale przynajmniej nie dygotał - trochę nauczył się już nad sobą panować. Podszedł do niego inspektor służb cywilnych - wyprostowany sztywno mężczyzna po pięćdziesiątce; miał surowe rysy i szare, proste włosy. Jego czarny mundur pokryty był grubą warstwą pyłu.

- Przejścia nie ma - powiedział szybko. - Droga zamknięta. Nie widzi pan, że spadła bomba? - Patrzył podejrzliwie i z dezaprobatą, zastanawiając się zapewne, dlaczego sprawny trzydziestoletni mężczyzna nie nosi munduru.

- Przepraszam. Właśnie przyjechałem z prowincji. Nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle.

Prawie każdy mieszkaniak z robotniczej dzielnicy Londynu, słysząc nienaganny, wyrobiony w prywatnej szkole akcent Harry'ego, starałby się odezwać uprzejmie, ale ten nie miał takiego zamiaru.

- Nie mamy gdzie uciekać - powiedział chrapliwym głosem. - Nie tym razem. W mieście jest niebezpiecznie, na prowincji też wkrótce będzie niespokojnie. - Inspektor spojrzał chłodno na Harry'ego. - Pan na przepustce?

- Zwolniony z przyczyn zdrowotnych - odparł opryskliwie Harry. - Słuchaj pan, muszę koniecznie dostać się do Queen Anne's Gate. Sprawy służbowe.

Inspektor zmienił zdanie. Wziął Harry'ego za ramię i powiedział:

- Niech pan idzie przez Petty France. W tej okolicy spadła tylko ta jedna bomba.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Inspektor nachylił się nieco. - Był pan pod Dunkierką?

- Tak.

- Na Isle of Dogs widziałem śmierć i mnóstwo zniszczeń. Ostatnią wojnę spędziłem w okopach, ale wiedziałem, że to się musi powtórzyć. Tym razem wszyscy, nie tylko żołnierze, będą brali w niej udział. Zobacz pan, trafi się jeszcze okazja do walki. Chciałoby się wsadzić bagnet we flaki szwaba, obrócić i wyciągnąć, co? - Posłał Harry'emu krzywy uśmiech, po czym zrobił krok do tyłu i zasalutował. Jego blade oczy rozbłyły.

- Dziękuję. - Harry zasalutował w odpowiedzi i się odwrócił. Przeszedł przez ulicę Gillingham. Skrzywił się; słowa mężczyzny napęłniły go odrazą.

Dzielnica Victoria była ruchliwa jak w zwykły poniedziałek. Doniesienia, że w Londynie życie toczy się zwykłym torem, wyglądały na prawdziwe. Harry szedł skąpanymi w jesiennym słońcu szerokimi georgiańskimi ulicami. Panował spokój. Gdyby nie widoczne w oknach białe krzyże z klejącej się taśmy, które miały chronić szyby przed falą uderzeniową w czasie wybuchu, mogłoby się wydawać, że to czasy przedwojenne. Harry mijał biznesmenów w melonikach i nianie z dziećmi w wózkach. Ludzie wyglądali normalnie, nawet radośnie. Większość maski gazowe zostawiła w domu, ale Harry swoją miał na ramieniu w kwadratowym pudełku. Zdawał sobie sprawę, że za dobrym humorem zazwyczaj czaił się strach przed atakiem, ale wolał te pozory normalności od ciągłego przypominania, że brytyjscy żołnierze zostali zdiesiątkowani na francuskich plażach. Miał dosyć weteranów wielkiej wojny, którzy z rogów ulic radośnie obwieszczali apokalipsę.

Myślami wrócił do Rookwood. Ostatnimi czasy często mu się to zdarzało. Dziedziniec oświetlony promieniami letniego słońca, profesorzy w togach i biretach przechadzający się pod rozłożystymi

wiązami, chłopcy w ciemnoniebieskich marynarkach albo białych strojach do krykieta. W ten sposób unikał szaleństwa, uciekał na drugą stronę lustra: Ale prędzej czy później nawiedzała go bolesna myśl: jak, u diabła, wszystko mogło się tak zmienić?

Hotel St Ermin był kiedyś wytworny, ale jego elegancja zdążyła już nieco przygasnąć; kandelabr w głównym holu był pokryty kurzem, a zapach płynu do polerowania mebli mieszał się ze smrodem kapusty. Na pokrytych dębową boazerią ścianach wisiły akwarele przedstawiające jelenie i szkockie jeziora. Sennie tykał stary zegar.

W recepcji nie było nikogo. Harry nacisnął dzwonek. Pojawił się postawny łysy mężczyzna w liberii portiera.

- Dzień dobry panu - powiedział usłużnie, tonem wyrobionym przez lata służby. - Mam nadzieję, że nie czekał pan długo.

- Jestem umówiony o drugiej trzydzieści z Miss Maxse. Porucznik Brett. - Harry wypowiedział nazwisko „Maksy” tak, jak poinstruował go pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który do niego zadzwonił.

Mężczyzna skinął głową.

- Proszę za mną. - Poprowadził Harry'ego do salonu, w którym stało mnóstwo foteli i stolików do kawy. Gruby zakurzony dywan tłumił odgłos jego kroków. W pokoju nie było nikogo oprócz siedzących przy oknie dwojga ludzi, kobiety i mężczyzny.

- Proszę pani, porucznik Brett. - Recepcjonista uklonił się i wyszedł.

Oboje wstali. Kobieta wyciągnęła dłoń. Miała około pięćdziesięciu

lat, była drobna i delikatna. Nosiła elegancki, dwuczęściowy granatowy kostium. Jej siwe włosy były poskręcane w loki, a wyrazista twarz zdradzała żywą inteligencję. Zmierzyła Harry'ego przenikliwym spojrzeniem.

- Miło mi pana poznać. - Jej pewnie brzmiący kontralt przywiódł Harry'emu na myśl dyrektorę szkoły dla dziewcząt. - Jestem Mar-jorie Maxse. Wiele o panu słyszałam.

- Mam nadzieję, że raczej nic złego.

- Ależ wręcz przeciwnie. Pozwoli pan, że przedstawię panu Rogera Jebba. - Mężczyzna mocno uścisnął dłoń Harry'ego. Był mniej więcej w tym samym wieku, co Miss Maxse. Miał pociągłą, opaloną twarz i przerzedzone nieco czarne włosy.

- Napije się pan herbaty? - spytała Miss Maxse.

- Z przyjemnością.

Na stoliku stał srebrny dzbanek i porcelanowe filiżanki, talerz z drożdżówkami, słoik dżemu i śmietanka; wyglądała na prawdziwą. Miss Maxse nalała herbaty.

- Miał pan jakieś trudności z dotarciem do nas? O ile zdążyłam się zorientować, w nocy spadło w okolicy kilka bomb.

- Victoria Street jest zamknięta.
 - Jakież to uciążliwe. I trwa już jakiś czas. - Mówiła o nalotach, jakby rozmawiała o pogodzie. Uśmiechnęła się. - Pierwszą rozmowę wolimy przeprowadzać tutaj. Właściciel hotelu to nasz stary przyjaciel, więc nikt nam nie będzie przeszkadzał. Słodzi pan? - zapytała tym samym tonem. - Proszę się poczęstować drożdżówką, są naprawdę pyszne.
 - Dziękuję. - Harry posmarował bułeczkę śmietanką i dżemem. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Miss Maxse przygląda mu się uważnie. Postała mu uśmiech, w którym nie było ani śladu zawstydzenia.
 - Jak się panu wiedzie? Dostał pan zwolnienie lekarskie, prawda? Po Dunkierce?
 - Tak. Dziesięć metrów ode mnie wybuchła bomba. Na moje szczęście większość fali uderzeniowej pochłonął piasek. - Zauważył, że również Jebb uważnie go obserwuje stalowoszarymi oczami.
 - Z tego, co wiem, miał pan nerwicę frontową - powiedział surowo.
 - Nic wielkiego - odparł Harry. - Przeszło mi.
 - Przed chwilą zbladł pan trochę, chociaż tylko na sekundę - zauważył Jebb.
 - Wcześniej trwało to o wiele dłużej - odparł cicho Harry. - Poza tym ręce mi się bez przerwy trzęsły. Sądzę, że powinni państwo o tym wiedzieć.
 - Pana słuch również ucierpiał, prawda? - Miss Maxse zadała pytanie bardzo cicho, ale mimo to Harry je usłyszał.
 - Już prawie wrócił do normy. Mam tylko drobne kłopoty z lewym uchem.
 - Całe szczęście - zauważył Jebb. - Utrata słuchu po eksplozji zwykle jest trwała. - Wyjął z kieszeni spinacz do papieru i zaczął go w zamyśleniu rozginać, wciąż patrząc na Harry'ego.
 - Lekarz powiedział, że miałem szczęście.
 - Rzecz jasna uszkodzony słuch oznacza dla pana koniec służby - kontynuowała Miss Maxse. - Nawet jeśli to drobna wada. To na pewno cios dla pana. Wstąpił pan do wojska w zeszłym roku od razu
- we wrześnie, prawda? - Wzięła filiżankę z herbatą w obie dłonie i pochyliła się.
- Tak, tak było. Przepraszam, Miss Maxse, ale nie do końca rozumiem...
- Uśmiechnęła się ponownie.
- Oczywiście, że pan nie rozumie... Co powiedział panu człowiek z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kiedy do pana zadzwonił?
 - Tylko tyle, że ktoś z ministerstwa może mieć dla mnie jakieś zajęcie.

- No cóż, nie jesteśmy częścią ministerstwa. - Miss Maxse uśmiechnęła się promiennie. - Jesteśmy z wywiadu. - Zaśmiała się dźwięcznie, tak jakby udzieliła się jej dziwność całej sytuacji.

- Aha - powiedział Harry.

Miss Maxse nagle spoważniała.

- Nasze działania są istotne, niezwykle istotne. Po kapitulacji Francji cały kontynent jest albo sprzymierzony z nazistami, albo od nich zależny. Zwyczajna dyplomacja już nie istnieje.

- Teraz to my jesteśmy linią frontu - dodał Jebb. - Zapali pan?

- Dziękuję, nie palę.

- Pułkownik James Brett to pana stryj, prawda?

- Tak jest, zgadza się.

- Służył ze mną w Indiach. Nie uwierzy pan, ale to było w 1910. - Jebb zaśmiał się szorstko. - Jak się miewa pański stryj?

- Przeszedł na emeryturę. - Ale sądząc po opaleniznie, pan został na służbie, pomyślał Harry. Może w policji indyjskiej?

Miss Maxse odstawiła filiżankę i złożyła dłonie.

- Co by pan powiedział na pracę u nas? - spytała.

Harry poczuł znużenie, ale także odrobinę ciekawości.

- Oczywiście w czasie wojny wciąż chcę jakoś pomóc naszej ojczyźnie.

- Myśli pan, że jest wystarczająco silny, by podołać temu trudnemu wyzwaniu? - zapytał Jebb. - Proszę być szczerym. Jeśli nie czuje się pan na siłach, proszę powiedzieć, nie ma się czego wstydzić - dodał szorstkim tonem. Miss Maxse uśmiechnęła się zachęcająco. - Wydaje mi się, że dałbym radę - powiedział ostrożnie Harry. - Jestem już prawie zdrowy.

- Werbujemy bardzo wiele osób, panie Harry - powiedziała Miss Maxse. - Mogę się tak do pana zwracać? Niektórzy uważają po prostu, że świetnie nadają się do pracy u nas, inni oferują nam coś konkretnego. Pan na przykład przed wstąpieniem do wojska był specjalistą od języków nowożytnych. Doskonały dyplom z Cambridge, a potem studia podyplomowe w King's College, aż do wojny.

- Tak, zgadza się. - Dużo o nim wiedzieli.

- Jak tam pana hiszpański? Wciąż mówi pan płynnie?

Pytanie było zaskakujące.

- Tak mi się wydaje.

- Zajmował się pan głównie literaturą francuską, prawda?

Harry zmarszczył brwi.

- Owszem, ale nie zaniedbuję mojego hiszpańskiego. Jestem członkiem koła iberystów w Cambridge.

Jebb skinął głową.

- To głównie pracownicy uniwersytetu, prawda? Hiszpańskie sztuki teatralne i tym podobne.

- Tak.

- A jacyś weterani wojny domowej?

- Jeden czy dwóch. - Harry napotkał wzrok Jebba. - Ale nasze koło jest apolityczne. Mamy niepisaną umowę, że unikamy polityki.

Jebb odłożył na stół powyginany w fantastyczne kształty spinacz i otworzył swoją aktówkę. Wyjął z niej tekturową teczkę z ukośnym czerwonym krzyżem na okładce.

- Wróćmy do trzydziestego pierwszego roku - powiedział. - Pański drugi rok w Cambridge. Tamtego lata pojechał pan do Hiszpanii, prawda? Z przyjacielem z Rookwood, z pańskiej szkoły.

Harry ponownie zmarszczył brwi. Skąd wiedzieli to wszystko?

- Zgadza się.

Jebb otworzył teczkę.

- Bernard Piper, późniejszy członek Brytyjskiej Partii Komunistycznej. Pojechał walczyć w hiszpańskiej wojnie domowej. Zaginiony w akcji. Uważa się, że zginął w trzydziestym siódmym w bitwie w dolinie rzeki Jarama. - Wyjął z teczki zdjęcie i położył na stole. Rząd mężczyzn w brudnych mundurach na odsoniętym zboczu wzgórza. Bernie, wyższy od innych, stał pośrodku. Jego blond włosy były krótko ostrzyżone, uśmiechał się do aparatu jak mały chłopiec.

- Czy to zdjęcie z Hiszpanii? - Harry spojrzał na Jebba.

- Tak. - Surowe oczka zwięziły się. - Pojechał pan go szukać.

- Na prośbę rodziny, przede wszystkim dlatego, że mówiłem po hiszpańsku.

- Ale szukał pan bez powodzenia.

- W bitwie nad Jaramą zginęło dziesięć tysięcy ludzi - powiedział Harry bez cienia emocji w głosie. - Nie wszystkich się doliczono. Bernie prawdopodobnie spoczywa w zbiorowej mogile gdzieś pod Madrytem. Przepraszam, ale czy mógłbym spytać, skąd państwo o tym wszystkim wiedzą? Sądzę, że mam prawo...

- Tak się składa, że nie ma pan prawa. Ale skoro pan pyta - mamy akta na temat wszystkich członków partii komunistycznej. W sumie wyszło nam to na dobre, wzięwszy pod uwagę fakt, że Stalin pomógł Hitlerowi w napaści na Polskę.

Miss Maxse uśmiechnęła się uspokajająco.

- Nikt pana z nimi nie łączy.
- Mam nadzieję, że nie - odparł chłodno Harry.
- Czy ma pan jakieś bardziej sprecyzowane poglądy polityczne?

W Anglii mało kto spodziewałby się takiego pytania. To, ile wiedzieli o nim i o historii z Berniem, zaniepokoiło go. Zawahał się i nie odpowiedział od razu.

- Powiedziałbym, że jeśli już, to jestem liberalnym konserwatystą.
- Nie kusiło pana, żeby pojechać i walczyć za hiszpańską Republikę tak jak Piper? - zapytał Jebb.
- Na krucjatę przeciw faszyzmowi?
- Z tego, co wiem, przed wojną Hiszpania była na wskroś skorumpowana. Panował w niej chaos i zarówno faszyci, jak i komuniści wykorzystali to do swoich celów. W trzydziestym siódmym spotkałem kilku Rosjan. Okropne z nich były świnię.

- To musiała być niezła przygoda - powiedziała pogodnie Miss Maxse - taki wyjazd do Madrytu w samym środku wojny domowej.

- Pojechałem, by odnaleźć przyjaciela. Na prośbę jego rodziny, tak jak mówiłem.
- W szkole byliście bliskimi przyjaciółmi, prawda? - spytał Jebb.
- Byliście w Rookwood, prawda? - Ta myśl rozżłościła go.
- Tak - Jebb przytaknął, ale w jego głosie nie było przeprosin.

Harry'emu nagle otworzyły się oczy.

- Chodzi o Berniego? Czy on żyje?
- Nasza teczka dotycząca Bernarda Pipera jest zamknięta - odparł Jebb zaskakująco łagodnym tonem. - O ile wiemy, zginął nad Ja-ramą.

Miss Maxse wyprostowała się.

- Harry, musi pan zrozumieć, że jeżeli mamy panu zaufać i go zatrudnić, musimy wszystko o panu wiedzieć. Ale wydaje mi się, że jesteśmy zadowoleni. - Jebb skinął głową i Miss Maxse kontynuowała. - Chyba czas przejść do rzeczy. Zwykle nie przechodzimy tak szybko do sedna, ale, widzi pan, tym razem potrzebny jest pośpiech. Nagły przypadek. Musimy o kimś czegoś się dowiedzieć i wydaje nam się, że pan mógłby nam pomóc. To może się okazać bardzo ważne.

Jebb pochylił się do przodu.

- Poczynając od teraz wszystko, co pan usłyszy, jest ściśle tajne. Czy to jasne? Mam obowiązek pana ostrzec, że jeżeli będzie pan omawiał naszą rozmowę z kimkolwiek poza tym salonem, wpakuje się pan w bardzo poważne tarapaty.

Harry spojrział mu prosto w oczy.

- W porządku.

- Nie chodzi o Bernarda Pipera, tylko o innego z pana przyjaciół z lat szkolnych. On też nawiązał kilka interesujących kontaktów w polityce. - Jebb zaczął szukać czegoś w swojej aktówce i po chwili wyjął kolejne zdjęcie.

Harry nie spodziewał się, że zobaczy jeszcze kiedyś tę twarz. Sandy Forsyth musiał mieć teraz trzydzieści jeden lat - był kilka miesięcy starszy od Harry'ego - ale na zdjęciu wyglądał jak mężczyzna w średnim wieku. Miał wąsy a la Clark Gable i zaczesane na bok wypomadowane włosy. Widać było pierwsze oznaki łysienia. Jego twarz stała się pulchniejsza, rysy miał wyraźniejsze, ale przenikliwe oczy, orli nos i szerokie usta o cienkich wargach wcale się nie zmieniły. Fotografia była pozowana; Sandy uśmiechał się do aparatu niczym gwiazda filmowa, na wpół enigmatycznie, na wpół zachęcająco. Nie był przystojnym mężczyzną, ale na zdjęciu na takiego wyglądał. Harry podniósł wzrok.

- Nie nazwałbym go bliskim przyjacielem - powiedział cicho.

- Przez jakiś czas byli panowie ze sobą całkiem blisko, panie Harry

- odparła Miss Maxse. - Tamtego roku, kiedy został wydalony z uczelni. Po sprawie z panem Taylorem. Widzi pan, rozmawialiśmy z nim.

- Pan Taylor... - Harry zawahał się. - Jak on się ma?

- Ostatnimi czasy nie najgorzej - powiedział Jebb. - Ale na pewno nie dzięki Forsythowi. Wracając do sprawy, kiedy go wydalono, czy rozstaliście się w przyjaźni? - Wycelował spinacz w Harry'ego.

- To ważne.

- Owszem. Tak, właściwie w Rookwood byłem jedynym kolegą Forsytha.

- Nie wydaje mi się, żeby panowie mieli ze sobą wiele wspólnego

- powiedziała Miss Maxse z uśmiechem.

- Różniliśmy się pod wieloma względami.

- Forsyth był trochę trudny, prawda? Nie pasował do reszty. Pan za to zawsze był porządnym człowiekiem.

Harry westchnął.

- Sandy miał też swoje zalety. Chociaż... - Przerwał. Miss Maxse uśmiechnęła się zachęcająco. - Czasami zastanawiałem się, dlaczego chciał się ze mną przyjaźnić, skoro wielu jego znajomych było... trudnych, jak pani sama powiedziała.

- Panie Harry, myśli pan, że był tam jakiś podtekst seksualny?

- Pytanie zadała lekkim i beztróskim tonem, takim samym, jak kiedy mówiła o bombach. Harry spojrzał na nią zdumiony, po czym zaśmiał się z zażenowaniem.
- Z całą pewnością nie.
- Przepraszam, że zadaję nieco krępujące pytania, ale takie rzeczy zdarzają się w prywatnych szkołach. No, wie pan, zadurzenie.
- Nic takiego nie miało miejsca.
- Kiedy Forsyth odszedł ze szkoły - zapytał Jebb - pozostaliście nadal w kontakcie?
- Przez kilka lat korespondowaliśmy ze sobą, ale z czasem coraz rzadziej. Od kiedy Sandy opuścił Rookwood, nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. - Westchnął. - Właściwie nie wiem nawet, po co tak długo do mnie pisał. Może chciał mi zaimponować - pisał o klubach, dziewczynach i tym podobnych rzeczach. - Jebb skinął głową zachęcająco. - W ostatnim liście napisał, że pracował dla jakiegoś bukmachera w Londynie. Pisał o szprycowaniu koni i lewych zakładach, jakby to był dowcip. - Ale Harry pamiętał także innego Sandy'ego, ich spacerów po wzgórzach na południu Anglii w poszukiwaniu skamielin, długie dyskusje. Czego właściwie ci ludzie chcieli?
- Wciąż pan wierzy w tradycyjne wartości, prawda? - zapytała Miss Maxse z uśmiechem. - W to, co reprezentowała sobą szkoła w Rookwood?
- Chyba tak. Chociaż...
- Słuchamy.
- Zastanawiam się, w jaki sposób nasz kraj znalazł się w tej sytuacji. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie byliśmy gotowi na to, co się stało we Francji. Na porażkę.
- To wszystko przez Francuzów, cholerne mięczaki. Wystawili nas do wiatru - burknął Jebb.
- My też musieliśmy się wycofać - odparł Harry. - Byłem tam.
- Ma pan rację. Nie byliśmy odpowiednio przygotowani - powiedziała z nagłym przejęciem Miss Maxse. - Może w Monachium postąpiliśmy zbyt honorowo. Po wielkiej wojnie nie wierzyliśmy, że ktokolwiek chciałby jeszcze jednej wojny. Ale teraz wiemy, że Hitler od zawsze do niej dążył. Nie spocznie, póki cała Europa nie znajdzie się u jego stóp. Wracamy do średniowiecza, jak mówi Winston.

Na moment zapadła cisza. Jebb zakaszłał.

- Dobra, Harry, pomówmy o Hiszpanii. Kiedy w czerwcu Francja się poddała, a Mussolini wypowiedział nam wojnę, spodziewaliśmy się, że Franco się przyłączy. Hitler wygrał za niego wojnę domową, a poza tym chce mieć Gibraltar. Z niemiecką pomocą mógłby go z łatwością wziąć od strony lądu, odcinając w ten sposób nasz dostęp do Morza Śródziemnego.
- Hiszpania jest zrujnowana - powiedział Harry. - Franco nie mógłby zacząć kolejnej wojny.
- Ale mógłby wpuścić Hitlera. Na francusko-hiszpańskiej granicy stacjonują oddziały Wehrmachtu. Hiszpańska partia faszystowska chce się przyłączyć do wojny. - Jebb przechylił głowę na

bok. - Z drugiej strony większość rojalistycznych generałów nie ufa Falandze¹. Boją się, że jeśli wkroczą Niemcy, w kraju wybuchnie powstanie. Nie są faszystami, chcieli tylko dokopać czerwonym. Sytuacja jest bardzo chwiejna. Franco w każdej chwili może wypowiedzieć nam wojnę. Nasi ludzie w ambasadzie w Madrycie żyją w ciągłym strachu.

- Franco jest ostrożny. - Harry zaryzykował przedstawienie własnej opinii. - Wielu sądzi, że gdyby był odważniejszy, sam wygrałby wojnę domową.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli - odburknął Jebb. - Sir Samuel Hoare pojechał do Hiszpanii jako ambasador i ma za zadanie powstrzymać ich od przyłączenia się do wojny.

- Słyszałem.

- Tak jak pan mówi, hiszpańska gospodarka leży w gruzach. Ta słabość to nasz atut, bo Marynarka Królewska wciąż kontroluje co do nich dociera, a co nie.

- Ma pan na myśli blokadę.

- Na szczęście Amerykanie nie protestują. Dajemy Hiszpanom dokładnie tyle ropy, ile potrzebują, żeby kraj mógł normalnie funkcjonować, a właściwie, prawdę mówiąc, nieco mniej. Poza tym mieli kolejne kiepskie zbiory. Próbują importować pszenicę i żeby móc za

i Hiszpańska partia faszystowska oraz organizacje z nią zrzeszone.

nią zapłacić, zaciągają kredyty za granicą. Z naszych raportów wynika, że w fabrykach w Barcelonie ludzie mdleją z głodu.

- Czyli wygląda na to, że jest równie źle jak podczas wojny domowej. Co ten kraj przeszedł... - Harry pokręcił głową.

- Z Hiszpanii dochodzą rozmaite pogłoski. Franco rozpatruje wiele projektów, które mają pozwolić powrócić im do stanu samowystarczalności. Niektóre są zupełnie szalone. W zeszłym roku pewien austriacki naukowiec ogłosił, że wynalazł sposób syntetyzowania oleju z wyciągów roślinnych. Dostał mnóstwo pieniędzy na rozwój tych badań. Oczywiście to przekręt. - Jebb znowu wybuchnął swoim szczekliwym śmiechem. - Później ktoś twierdził, że koło Badaj oz spoczywają olbrzymie złoża złota. Kolejne oszustwo. Ale tym razem dowiedzieliśmy się, że naprawdę znaleźli złoto na wzgórzach koło Madrytu. Pracuje dla nich geolog, który zdobywał doświadczenie w południowej Afryce, niejaki Alberto Otero. W dodatku kryją się z tym, co jeszcze bardziej utwierdza nas w przekonaniu, że coś tam jest. Nasi specje twierdzą, że z geologicznego punktu widzenia to możliwe.

- I przez to Hiszpania mogłaby się stać mniej zależna od nas?

- Nie mają rezerw złota, na których mogliby oprzeć się swojej waluty. Stalin zmusił Republikę, żeby podczas wojny domowej wysłała zapasy złota do Moskwy. Oczywiście zagarnął je. Przez to jest im trudno handlować na wolnym rynku. Chwilowo ubiegają się o kredyty eksportowe u nas i u jankesów.

- Czyli jeśli pogłoski się potwierdzą, będą mniej zależni od nas.
- Właśnie. A więc również bardziej skłonni, żeby przyłączyć się do wojny. Wtedy każdy drobiazg mógłby ich do niej doprowadzić.
- Balansujemy nad przepaścią - dodała Miss Maxse. - Staramy się używać kija i marchewki i dawać im odpowiednią ilość oleju i pszenicy.

Jebb skinął głową.

- W każdym razie, panie Brett, chodzi o to, że osobą, która przedstawiła Otera reżimowi Franco, był Sandy Forsyth.
- To on jest w Hiszpanii? - Harry ze zdziwienia szeroko otworzył oczy.*
- Zgadza się. Czy pamięta pan ogłoszenia w gazetach reklamujące wycieczki po polach bitewnych wojny domowej jakieś dwa lata temu?
- Pamiętam. Nacjonałści oprowadzali po nich Anglików. Sztuczka propagandowa.
- W taki czy inny sposób Forsyth brał w tym udział. Pojechał do Hiszpanii jako przewodnik. Ludzie Franco całkiem dobrze mu płacili. A potem został i zajął się interesami; nie zdziwiłbym się, gdyby niektóre z nich były szemrane. Podobno sprytny z niego biznesmen. Z tych, co to lubią się popisywać. - Usta Jebba wykrzywiły się w grymasie niesmaku, spojrzał surowo na Harry'ego. - Ma dużo kontaktów w wyższych sferach.

Harry odetchnął głęboko.

- Czy wolno mi spytać, skąd to wszystko wiadomo?

Jebb wzruszył ramionami.

- Od naszych szpiegów z ambasady. Płacą pomniejszym urzędnikom za informacje. W Madrycie aż się roi od szpicli. Ale nikomu nie udało się dotrzeć do samego Forsytha. Nie mamy szpiegów w Falandze, a on trzyma właśnie z nimi. I chodzą słuchy, że jest cwany. Jeśli pojawi się ktoś nieznamy i zacznie mu zadawać pytania, on od razu czuje pismo nosem.
- Tak. - Harry skinął głową. - Sandy zawsze był cwany.
- Ale dajmy na to, że właśnie pan pojawi się w Madrycie - powiedziała Miss Maxse - na przykład jako pracujący dla ambasady tłumacz i zaprosi go do kawiarni, żeby pogadać? Tak po prostu, żeby odnowić starą znajomość...
- Chcemy, żeby dowiedział się pan, czym on się zajmuje - powiedział wprost Jebb. - Może uda się go panu przeciągnąć na naszą stronę.

A więc o to chodziło. Jak wiele lat wcześniej pan Taylor w Rookwood, chcieli, żeby szpiegował Sandy'ego. Harry wyjrzał przez okno, patrzył na niebieskie niebo, na którym, niczym wielkie szare wieloryby, wisały balony zaporowe.

- Co pan o tym myśli? - spytała łagodnym tonem Miss Maxse.

- Sandy Forsyth pracujący dla Falangi... - Harry pokręcił głową. - Przecież nie potrzebuje pieniędzy, jego ojciec jest biskupem.

- Czasami chodzi w tym samym stopniu o adrenalinę co o pieniądze, panie Harry. Te dwie rzeczy często idą ze sobą w parze.

- Tak. - Przypomniał sobie, jak Sandy przyszedł kiedyś zdyszany do jego pokoju po jednej ze swoich nielegalnych wypraw na wyścigi konne. Otworzył dłoń, trzymał w niej pognieciony biały banknot pięć-ciofuntowy. „Patrz, co mi przyniósł konik”.

- Pracuje dla Falangi - powiedział w zamyśleniu Harry. - Właściwie zawsze był czarną owcą. Tyle że czasem, gdy ktoś zrobi coś złego i przylepi mu się etykietkę, potrafi stać się przez to jeszcze gorszy.

- Nie mamy nic przeciwko czarnym owcom - odparł Jebb. - Czarne owce to często najlepsi agenci - zaśmiał się porozumiewawczo. Harry przypomniał sobie inną scenę: Sandy siedział naprzeciwko niego. Patrzył ponad blatem stołu i mówił przepełnionym goryczą szeptem: „Widzisz, jacy oni są, jaką mają nad nami kontrolę, co robią z nami, kiedy chcemy uciec?”.

- Wydaje mi się, że lubi pan grać wedle reguł - powiedziała Miss Maxse. - Tego się spodziewaliśmy. Ale tej wojny nie można wygrać, grając fair. - Pokręciła ze smutkiem głową; jej krótkie włosy podskoczyły: - Nie przeciwko takiemu wrogowi. Musimy zabijać, to już pan wie; obawiam się, że trzeba też oszukiwać. - Uśmiechnęła się przepraszająco.

Harry poczuł, że kotłują się w nim ambiwalentne uczucia, że budzi się panika. Myśl o powrocie do Hiszpanii napawała go jednocześnie podnieceniem i odrazą. W Cambridge słyszał od hiszpańskich uchodźców, że sprawy przybrały bardzo zły obrót. W kronikach filmowych widział Franco przemawiającego do rozentuzjzmowanych tłumów, odpowiadającego faszystowskiemu pozdrowieniem, ale ci, co tam byli, mówili mu, że za tym kryło się donosicielstwo i prześladowanie. A Sandy Forsyth miałby w tym tkwić? Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie.

- Nie jestem pewien. To znaczy nie jestem pewien, czy byłbym w stanie to zrobić.

- Przeszkolimy pana - powiedział Jebb. - W przyspieszonym trybie, bo na górze chcą mieć odpowiedź tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Spojrzał na Harry'ego znacząco. - Na samej górze.

Część umysłu Harry'ego chciała się wycofać, wrócić do Surrey i zapomnieć o wszystkim. Ale przez ostatnie trzy miesiące walczył z panicznym odruchem, który nakazywał mu się ukrywać.

- Na czym to szkolenie ma polegać? - spytał. - Nie wiem, czy nadaję się do oszukiwania innych.

- To łatwiejsze, niż się panu wydaje - odparła Miss Maxse. - Jeśli tylko wierzy pan w sprawę, dla której pan kłamie. I nie przebierajmy w słowach, będzie pan kłamał i oszukiwał. Ale damy też panu kilka lekcji czarnoksiężstwa.

Harry przygryzł wargi. Na długą chwilę zapadła cisza.

- Nie oczekujemy, że pojedzie pan tam prosto z marszu - powiedziała Miss Maxse.
- W porządku - powiedział w końcu Harry. - Może uda mi się przekonać Sandy'ego. Nie wierzę w to, że mógł zostać faszystą.
- Najtrudniej będzie na początku - powiedział Jebb - kiedy będzie pan próbował zaskarbić sobie jego zaufanie. Będzie się pan czuł nieswojo, wtedy też powinien pan najbardziej uważać.
- To prawda. Sandy nie daje się łatwo wyprowadzić w pole.
- Tak też nam się wydaje. - Miss Maxse spojrzała na Jebba. Zawahał się na moment, po czym skinął głową.
- Świetnie - powiedziała szybko Miss Maxse.
- Musimy działać prędko - oznajmił Jebb. - Załatwimy kilka spraw, ustawimy pana jak trzeba. Oczywiście będziemy musieli dokładnie sprawdzić pana przeszłość. Zostaje pan na noc w Londynie?
- Tak, zatrzymuję się u kuzyna.

Jebb spojrzał ostro na Harry'ego.

- Ma pan z nim jakieś powiązania inne niż rodzinne?
- Nie. - Harry pokręcił głową.

Jebb wyjął notesik.

- Numer telefonu? - Harry mu go podyktował.
- Jutro ktoś do pana zadzwoni. Proszę nie wychodzić z domu.
- Tak jest.

Wstali. Miss Maxse uścisnęła serdecznie dłoń Harry'ego.

- Dziękujemy, panie Harry - powiedziała.

Jebb posłał Harry'emu cierpki uśmiech.

- Niech pan będzie przygotowany na alarm lotniczy dzisiaj w nocy. Spodziewamy się kolejnych nalotów. - Wyrzucił zniszczony spinacz do kosza.
- Ojej - powiedziała Miss Maxse. - To była własność rządu. Ale z ciebie marnotrawca, Roger. - Ponownie uśmiechnęła się do Harry'ego, tym razem dając mu znak, że powinien odejść. - Jesteśmy bardzo wdzięczni, panie Harry. To może się okazać niezwykle ważne.

Po wyjściu z salonu Harry przystanął na moment. Zrobiło mu się przykro i ciężko na sercu. Co oni, do diabła, mieli na myśli, mówiąc o czarnoksiężstwie? Sam dobór słowa sprawił, że przeszył go dreszcz.

Zorientował się, że podświadomie podsłuchuje, tak jak kiedyś Sandy pod drzwiami dyrektora, próbując zrozumieć, o czym mogą rozmawiać Jebb i Miss Maxse. Ale nic nie udało mu się usłyszeć. Odwrócił się i zobaczył recepcjonistę, który podszedł do niego bezszelestnie. Harry uśmiechnął się zdenerwowany i dał się wyprowadzić na zewnątrz. Czy już zaczął nabierać nawyków - kogo? Szpiega, szpicla, zdrajcy?

Rozdział drugi

Podróż do domu Willa w Harrow zwykle trwała krócej niż godzinę, ale tym razem zajęła mu znaczną część popołudnia, bo metro bez przerwy się zatrzymywało. Na stacjach koczowali stłoczeni ludzie o ziemistej cerze. Harry słyszał, że część mieszkańców wschodniego Londynu przeprowadziła się do korytarzy metra w obawie przed bombardowaniami.

Pomyślał z niedowierzaniem o planie szpiegowania Sandy'ego Forsytha i poczuł mdłości. Rozejrzał się po bladych twarzach współpasażerów. Tak, właściwie każdy z nich mógł być szpiegiem - w końcu ile da się wywnioskować z czyjegoś wyglądu? Przed oczami co chwila stawała mu fotografia, którą zobaczył w hotelu: pewny siebie uśmiech Sandy'ego, jego wąsy à la Clark Gable. Pociąg, kołyszając się, jechał przed siebie.

Osobowość Harry'ego ukształtowała się w Rookwood. Jego ojciec, adwokat, zginął rozerwany na strzępy w bitwie nad Sommą, kiedy Harry miał sześć lat, a matka umarła w trakcie epidemii grypy, która wybuchła tej samej zimy, kiedy skończyła się pierwsza wojna, jak niektórzy zaczynali ją nazywać. Harry ciągle miał zdjęcie ze ślubu swoich rodziców. Ojciec w jasnym garniturze stoi przed kościołem, wygląda zupełnie jak Harry: ciemna cera, dobrze zbudowany, jego wygląd budzi zaufanie. Ramieniem obejmuje matkę Harry'ego. Ona ma jasną cerę, jak kuzyn Will. Spod edwardiańskiego kapeluszaspływają jej na ramiona bujne loki. Oboje uśmiechają się, są szczęśliwi. Zdjęcie, zrobione w silnym słońcu, jest trochę prześwietlone, wokół postaci widać lekkie halo. Harry ledwo ich pamiętał; zniknęli niczym sen, podobnie jak świat na fotografii.

Kiedy jego matka umarła, Harry zamieszkał ze strykiem Jamesem, starszym bratem ojca, który był zawodowym oficerem. Został ranny w żołądek w 1914, w jednej z pierwszych bitew. Rana była niewidoczna, ale stryjek ciągle miał jakieś dolegliwości jelitowe i wpadał często w zły nastrój. Przysparzał tym bez przerwy zmartwień ciotce Emilii, swojej nerwowej, wiecznie niespokojnej żonie. Kiedy Harry przyjechał do ich domu w ślicznym miasteczku w Surrey, byli dopiero po czterdziestce, ale sprawiali wrażenie o wiele starszych. Przypominali parę wiecznie poirytowanych, kłótliwych emerytów.

Byli dla niego mili, ale Harry czuł się niechciany. Sami nie mieli dzieci i w związku z tym nigdy nie wiedzieli, jak się wobec nich zachowywać. Stryjek James lubił klepać Harry'ego w ramię tak silnie, że prawie go przewracał, i ciągle pytał, co też dzisiaj knuje, a ciotka bez przerwy martwiła się, czym go nakarmić.

Od czasu do czasu wysyłali go do ciotki Jenny, siostry jego mamy, matki Willa. Jenny była całą duszą oddana siostrze i robiło jej się ciężko na sercu, kiedy tylko ktoś o niej przypominał. Kiedy Harry poszedł do szkoły, obsypywała go, być może z poczucia winy, deszczem podarków, dawała mu też duże kieszonkowe.

Kiedy Harry był mały, uczył go prywatny nauczyciel, znajomy stryja. Większość wolnego czasu spędzał, wólcząc się po drogach i lasach wokół miasteczka. Spotykał miejscowych chłopaków, synów farmerów i kowali, ale chociaż bawił się z nimi w Indian i kowbojów i polowali razem na króliki, zawsze był osamotniony. Mówili na niego Harry Snob i nabijali się z jego akcentu klasy wyższej.

Pewnego letniego dnia, kiedy Harry wrócił do domu z wólczeni po polach, stryj James zawołał go do swojego gabinetu. Harry właśnie skończył dwanaście lat. W pokoju był oprócz stryja obcy mężczyzna; stał przy oknie, słońce oświetlało go od tyłu tak, że z początku Harry zobaczył jedynie wysoką sylwetkę otoczoną krążącym w świetle kurzem.

- Poznaj pana Taylora - powiedział stryjek James. - Jest nauczycielem w mojej starej szkole. W mojej Alma Mater. Tak to się mówi po łacinie, co? - Ku zdziwieniu Harry'ego stryj zaśmiał się nerwowo niczym uczeń.

Mężczyzna podszedł bliżej i uściskał silnie rękę Harry'ego. Był wysoki i chudy, miał na sobie ciemny garnitur. Czarne włosy były przerzedzone, a przenikliwe zielone oczy przyglądały się Harry'emu uważnie zza pary binokli.

- Jak się masz, Harry? - powiedział surowym tonem. - Łobuziak z ciebie, co?

- Lubi biegać po okolicy - powiedział przepraszająco stryjek James.

- Jeśli przyjedziesz do Rookwood, szybko doprowadzimy cię do porządku. Chciałbyś chodzić do prywatnej szkoły, Harry?

- Nie wiem, proszę pana.

- Twój nauczyciel pochlebnie się o tobie wyrażał. Lubisz rugby?

- Nigdy nie grałem, proszę pana. Gram w piłkę z chłopakami w miasteczku.

- Rugby jest o wiele lepsze. To gra dla dżentelmenów.

- Twój ojciec też chodził do Rookwood, tak jak ja - powiedział stryj James.

Harry podniósł wzrok.

- Mój ojciec?

- Zgadza się. Twój pater, jak mówią w Rookwood.

- Wiesz Harry, co to znaczy pater? - zapytał pan Taylor.

- To „ojciec” po łacinie, proszę pana.

- Bardzo dobrze. - Pan Taylor się uśmiechnął. - Panie Brett, chłopak chyba się nadaje.

Zadał mu więcej pytań. Był całkiem przyjazny, ale budził respekt i czuć było, że oczekuje bezwzględnego posłuszeństwa, więc Harry miał się na baczności. Po chwili odesłano go do innego pokoju, a pan

Taylor kontynuował rozmowę ze stryjkiem. Kiedy stryj zawołał go z powrotem, pana Taylora już nie było. Stryjek poprosił, by usiadł i spojrzął na niego poważnie, gładząc wąsy.

- Twoja ciotka i ja uważamy, że czas, byś poszedł do szkoły, Harry. Tak będzie dla ciebie lepiej. Po co masz tu siedzieć z dwójką takich starych pierników jak my. Poza tym powinieneś zadawać się z chłopcami z porządných domów, a nie z tymi chłopakami ze wsi.

Harry nie miał pojęcia, jak mogłaby wyglądać prywatna szkoła. W głowie miał obraz wielkiego budynku pełnego światła, jasny jak na zdjęciu ślubnym jego rodziców. Światło zapraszało go, by wszedł do środka.

- Jak myślisz, Harry? Chciałbyś tam pojechać?

- Tak, stryjku. Tak, chciałbym.

Will mieszkał w cichej uliczce, wzdłuż której stał rząd wiktoriańskich willi w stylu naśladowującym budynki z czasów Tudorów. Na skraju trawnika wznosił się, zupełnie niepasujący do reszty, nowy schron przeciwlotniczy.

Jego kuzyn wrócił już do domu. Kiedy Harry zadzwonił, Will otworzył drzwi. Miał na sobie sweter w kolorowe wzorki. Spoglądał na Harry'ego zza okularów.

- Cześć, Harry! Widzę, że dotarłeś bez problemów.

- Owszem, dzięki. - Harry uścisnął mu dłoń. - Jak się masz?

- Tak jak wszyscy, da się przeżyć. Jak tam twój słuch?

- Wraca do normy. Na jedno ucho jestem jeszcze trochę głuchy.

Will wprowadził Harry'ego do przedpokoju. Z kuchni wyszła wysoka chuda kobieta o mysich włosach i pociągłej surowej twarzy. Wycierała ręce w ścierkę.

- Muriel. - Harry zmusił się do serdecznego uśmiechu. - Jak się masz?

- A, jakoś leci. Nie podam ci ręki, właśnie gotowałam. Uznałam, że damy sobie spokój z podwieczorkiem i od razu przejdziemy do kolacji. - Mamy bardzo dobre steki. Dogadaliśmy się z rzeźnikiem¹. Chodź, pewnie chcesz się umyć.

Harry nocował już kiedyś w ich sypialni dla gości. Znajdowało się w niej duże podwójne łóżko, a na toalecie na koronkowych serwetkach stały porcelanowe figurki.

- Zostawiam cię, żebyś się odświeżył. Kiedy skończysz, zejdź do nas.

Harry umył twarz w niewielkiej umywalce. Kiedy się wycierał, przyjrzał się w lustrze swojemu odbiciu. Zaczynał tyć, jego solidnie zbudowane ciało z braku ćwiczeń zaczynało obrastać tłuszczem, a

kwadratowy podbródek zaokrąglął się. Mówiło się o nim jako o atrakcyjnym mężczyźnie, chociaż osobiście uważał, że mimo kręconych kasztanowych włosów ma zbyt szerokie policzki, by uchodzić za przystojnego. Wokół oczu zauważył kilka nowych zmarszczek. Spróbował, najlepiej jak tylko potrafił, przybrać kamienny wyraz twarzy. Czy Sandy będzie w stanie przejrzeć jego myśli za taką maską? W szkole każdy ukrywał swoje uczucia, można je było próbować odczytać jedynie z grymasu zaciśniętych ust lub uniesionej brwi. Ludzie szukali takich drobnych znaków. Teraz będzie musiał się nauczyć niczego po sobie nie pokazywać albo pokazywać nieprawdę. Położył się na łóżku i pomyślał o szkole, o Sandym Forsycie.

Harry od samego początku uwielbiał szkołę. Mieściła się w hrabstwie Sussex, w osiemnastowiecznym dworku, z dala od wszelkiego zgiełku. Założyła ją grupa zajmujących się handlem zagranicznym londyńskich biznesmenów, żeby pływający na ich statkach oficerowie mieli gdzie kształcić swoich synów. Nazwy grup² odzwierciedlały związaną z morzem przeszłość: Raleigh, Drake i Hawkins³. Teraz

1 W czasie wojny i przez pewien czas po żywność w Anglii była racjonowana i trudno było o dobre mięso.

2 W wielu angielskich szkołach prywatnych uczniowie są podzieleni na kilka grup, nazywanych Houses, gdyż często podział obejmuje również zakwaterowanie.

3 Raleigh, Drake, Hawkins - słynni angielscy korsarze. chodzili tam synowie urzędników i drobnej arystokracji, a część czesnego pokrywał rząd.

Szkoła i panujący w niej porządek dały Harry'emu cel w życiu oraz poczucie przynależności. Dyscyplina była surowa, ale wcale nie miał zamiaru łamać jej reguł, więc rzadko dostawał dodatkowe linijki do napisania, o biciu trzciną nie wspominając. Z większości przedmiotów zbierał dobre stopnie, a zwłaszcza z francuskiego i łaciny - miał rzeczywiście zdolności językowe. Lubił sporty, rugby, a przede wszystkim krykieta. Podobało mu się spokojne tempo gry; w ostatniej klasie został nawet kapitanem drużyny młodzików.

Czasami przechadzał się samotnie wokół głównej auli, gdzie na ścianach wisały zdjęcia uczniów z poprzednich lat. Zatrzymywał się przed fotografią z 1902 roku; patrzyła na niego chłopięca twarz ojca w rzędzie stojących sztywno na baczność uczniów w biretach z frędzlami. Potem oglądał tablicę za podium, na której złotymi literami wypisane były nazwiska poległych w wielkiej wojnie. Nazwisko jego ojca widniało tam również, więc do oczu napływały mu często łzy. Szybko je ocierał, żeby nikt nie zobaczył.

Kiedy Sandy Forsyth pojawił się w szkole, w 1925 roku, Harry przeszedł właśnie do czwartej klasy. Wprawdzie chłopcy spali w dużej wspólnej sali, ale od poprzedniego roku przydzielono im też sale do nauki, po dwóch czy trzech na pokój. W każdej stało kilka starych foteli i porysowanych biurka. Harry kolegował się raczej z cichymi, poważniejszymi uczniami i był zadowolony, że został przydzielony do jednego pokoju z Berniem Piperem, jednym z chłopców, który dostawał stypendium - Piper wszedł, kiedy Harry właśnie się rozpakowywał.

- Czołem, Brett - powiedział. - Widzę, że przez następny rok będę musiał wytrzymać smród twoich skarpetek. - Jego ojciec prowadził sklep spożywczy we wschodniej części Londynu, więc kiedy Bernie przyjechał do Rookwood, mówił z silnym londyńskim akcentem i posługiwał się tamtejszą gwarą, cockneyem. W szkole nauczył się przeciągać samogłoski jak inni chłopcy z wyższych sfer i mówił prawie jak oni, ale zawsze kiedy wracał z wakacji, londyńskie nosowe brzmienie jego wymowy dawało

o sobie znać. - Fajne miałeś lato?- Trochę nudne. Prawie cały czas stryjek James był chory. Cieszę się, że wróciłem.

- Powinieneś popracować trochę w sklepie mojego ojca. Wtedy dopiero byś się dowiedział, co to jest nuda.

W drzwiach pojawił się ktoś nowy: solidnie zbudowany chłopak o czarnych włosach. Postawił na podłodze drogą walizkę i oparł się o framugę. Otaczała go aura wyniosłej obojętności.

- Harry Brett? - zapytał.

- Tak.

- Jestem Sandy Forsyth. Nowy. Przydzielono mnie do tego pokoju. - Wniósł walizkę do środka i spojrzął na nich. Jego brązowe oczy wydawały się bystre, a w jego twarzy było coś surowego.

- Skąd się przeniosłeś? - spytał Bernie.

- Z Braildon. W Hertfordshire. Słyszeliście?

- Owszem - odparł Harry. - Podobno to dobra szkoła.

- Taa... Tak mówią.

- Tu nie jest tak źle.

- Nie? Słyszałem, że mają hopla na punkcie dyscypliny.

- Dostaniesz różgą na dzień dobry - zgodził się Bernie.

- Skąd jesteś? - spytał Forsyth.

- Z Wapping - odparł z dumą Bernie. - Jestem jednym z tych, którym panująca klasa pozwala się uczyć. - Semestr wcześniej Bernie zadeklarował, że jest socjalistą, wzbudzając tym ogólną niechęć. Forsyth uniósł brwi.

- Założę się, że tobie łatwiej było się tu dostać niż mnie.

- To znaczy?

- Mam kiepską opinię. - Nowy wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów Golden Flake i wyciągnął jednego. Bernie i Harry spojrzeli na otwarte drzwi. - W pokojach nie wolno palić - powiedział szybko Harry.

- Możemy zamknąć drzwi. Chcecie zapalić?

Bernie wybuchnął śmiechem.

- Za palenie tutaj dostaje się różgą. Nie warto.

- OK. - Nagle Sandy uśmiechnął się szeroko do Berniego. - Mówisz, że jesteś komuchem?- Jestem socjalistą, jeśli o to ci chodzi.

Nowy wzruszył ramionami.

- W Braildon mieliśmy klub dyskusyjny. W zeszłym roku jeden taki z piątej klasy zaczął bronić komunizmu. Zrobiła się niezła draka.
- Zaśmiał się. Bernie burknął coś i postał mu nieprzychylnie spojrzenie.
- Ja chciałem poprowadzić debatę o ateizmie, ale mi nie dali. Dlatego że mój tata jest biskupem. Gdzie ludzie chodzą, kiedy chcą zapalić?
- Za salę gimnastyczną - odparł chłodno Bernie.
- No to lecę. Do zobaczenia później. - Forsyth wstał i wyszedł wolnym krokiem.
- Co za dupek - powiedział Bernie, kiedy za Sandym zamknęły się drzwi.

Jeszcze tego samego dnia Harry dostał zadanie szpiegowania Sandy'ego, po raz pierwszy. Siedział sam w pokoju, kiedy pojawił się chłopak z informacją, że pan Taylor chce się z nim zobaczyć.

Taylor był wtedy dyrektorem ich roku. Słynął z tego, że utrzymywał dyscyplinę, młodszy uczniowie czuli wobec niego olbrzymi respekt. Za każdym razem kiedy Harry widział jego wysoką, chudą postać i obserwował, jak maszeruje długimi krokami przez dziedziniec, przypominał sobie dzień, w którym pan Taylor przyjechał do domu stryjka Jamesa. Od tego czasu prawie z nim nie rozmawiał.

Pan Taylor był w swoim przytulnym gabinecie, z dywanami na podłodze oraz portretami poprzednich dyrektorów na ścianach; Taylor poświęcał wiele czasu historii szkoły. Na biurku leżał stos czekających na sprawdzenie prac. Ubrany w czarną togę stał i przeglądał papiery.

- A, Brett - powiedział serdecznym tonem, gestem zapraszając go do środka. Harry stanął przed biurkiem, zakładając ręce na plecach, jak to było w zwyczaju. Czupryna dyrektora od ostatniego ich spotkania znacznie się przerzedziła i jego tyse ciemną było już bardzo wyraźne. - Miałeś przyjemne wakacje? Twoja ciotka i stryjek mają się dobrze? - Tak, proszę pana.

Dyrektor skinął głową.

- W tym roku ja opiekuję się twoim rokiem. Sprawozdania, które dostałem na twój temat, były dobre. Spodziewam się po tobie wiele dobrego.
- Dziękuję, proszę pana.

Dyrektor ponownie skinął.

- Chciałem porozmawiać o twoim pokoju do nauki. Przydzieliliśmy tam nowego chłopca na miejsce Pipera. Nazywa się Forsyth. Poznaliście się już?
- Tak, proszę pana. Wydaje mi się, że Piper o tym nie wie.
- Dowie się. Jak ci się układa z Forsythem?
- W porządku, proszę pana - odpowiedział niezobowiązująco Harry.
- Słyszałeś może o jego ojcu, biskupie?

- Forsyth wspomniał o nim.

- Forsyth przeniósł się do nas z Braildon. Jego rodzice uznali, że Rookwood i nasza reputacja względem, hm, utrzymywania porządku są dla niego bardziej odpowiednie. - Taylor uśmiechnął się łagodnie, na jego chudych policzkach pojawiły się dołki. - Postanowiłem ci zaufać. Jesteś spokojnym chłopcem, Brett; naszym zdaniem masz zadatki na porządnego obywatela. Czy mógłbyś zająć się Forsythem? - Przerwał na moment. - Zadbaj, żeby nie zszedł na złą drogę?

Harry spojrzał na dyrektora. Prośba była dziwna; w miarę jak chłopcy dorastali, pan Taylor coraz częściej mówił w ten dwuznaczny sposób. Oczekiwał, że go zrozumieją. Oficjalnie nieprzychylnie traktowano uczniów donoszących na swoich kolegów, ale Harry wiedział, że dyrektorzy mieli kilku wybranych, których używali jako źródła informacji. Czy właśnie tego chciał od niego Taylor? Instynktownie czuł, że nie chce tego robić. Zaniepokoił się.

- Mogę oprowadzić go po szkole, proszę pana - powiedział ostrożnie.

Taylor spojrzał na niego uważnie.

- Powiedz mi, proszę, jeśli będą jakieś kłopoty. Wystarczą dwa słowa. Chcemy pomóc Forsythowi, by mógł się rozwinąć w odpowiednim kierunku. To ważne dla jego ojca.- Tak, proszę pana.

Dyrektor skinął głową.

- W tym roku ja opiekuję się twoim rokiem. Sprawozdania, które dostałem na twój temat, były dobre. Spodziewam się po tobie wiele dobrego.

- Dziękuję, proszę pana.

Dyrektor ponownie skinął.

- Chciałem porozmawiać o twoim pokoju do nauki. Przydzieliliśmy tam nowego chłopca na miejsce Pipera. Nazywa się Forsyth. Poznaliście się już?

- Tak, proszę pana. Wydaje mi się, że Piper o tym nie wie.

- Dowie się. Jak ci się układa z Forsythem?

- W porządku, proszę pana - odpowiedział niezobowiązująco Harry.

- Słyszałeś może o jego ojcu, biskupie?

- Forsyth wspomniał o nim.

- Forsyth przeniósł się do nas z Braildon. Jego rodzice uznali, że Rookwood i nasza reputacja względem, hm, utrzymywania porządku są dla niego bardziej odpowiednie. - Taylor uśmiechnął się łagodnie, na jego chudych policzkach pojawiły się dołki. - Postanowiłem ci zaufać. Jesteś spokojnym chłopcem, Brett; naszym zdaniem masz zadatki na porządnego obywatela. Czy mógłbyś zająć się Forsythem? - Przerwał na moment. - Zadbaj, żeby nie zszedł na złą drogę?

Harry spojrział na dyrektora. Prośba była dziwna; w miarę jak chłopcy dorastali, pan Taylor coraz częściej mówił w ten dwuznaczny sposób. Oczekiwał, że go rozumieją. Oficjalnie nieprzychylnie traktowano uczniów donoszących na swoich kolegów, ale Harry wiedział, że dyrektorzy mieli kilku wybranych, których używali jako źródła informacji. Czy właśnie tego chciał od niego Taylor? Instynktownie czuł, że nie chce tego robić. Zaniepokoił się.

- Mogę oprowadzić go po szkole, proszę pana - powiedział ostrożnie.

Taylor spojrział na niego uważnie.

- Powiedz mi, proszę, jeśli będą jakieś kłopoty. Wystarczą dwa słowa. Chcemy pomóc Forsythowi, by mógł się rozwinąć w odpowiednim kierunku. To ważne dla jego ojca. Wyraził się wystarczająco jasno. Harry nie odpowiedział. Pan Taylor lekko zmarszczył brwi.

Wtedy zdarzyła się rzecz niezwykła. Kątem oka Harry spostrzegł, że wśród papierów na biurku dyrektora poruszyło się coś malutkiego. Taylor nagle krzyknął i podskoczył. Ku zdziwieniu Harry'ego jego twarz wykrzywiła się w grymasie odrazy, a on sam starał się nie patrzeć na tłustego pająka, który potruczał po bibułce, po czym znieruchomiał na okładce podręcznika do łaciny.

Taylor odwrócił się do Harry'ego. Był purpurowy. Na sekundę jego spojrzenie powędrowało ku biurku, ale wzdrygnął się i szybko odwrócił wzrok.

- Brett, pozbądź się tego... czegoś. Proszę. - W głosie dyrektora słychać było błagalną nutę.

Zdumiony Harry wyjął chusteczkę i złapał w nią pająka. Podniósł go i wziął delikatnie do ręki.

- Och, dziękuję, Brett. - Taylor przełknął ślinę. - Tego... nie powinniśmy mieć takich, no... pajęczaków w pokojach. Rozsiewają zarazki. Zabij go, proszę, zabij go - dodał szybko.

Harry zawahał się, ale ścisnął pająka między palcami. Usłyszał cichutki trzask, od którego aż się wzdrygnął.

- Pozbądź się go. - Przez moment Taylor wodził zza okularów rozgorączkowanym wzrokiem. - I nie mów o tym nikomu, rozumiesz? Możesz odejść - dorzucił szorstko.

W domu Willa jedli gęstą warzywną zupę z puszki.

- Przepraszam, ale nie miałam czasu nic ugotować - powiedziała przepraszająco Muriel, nalewając zupę. - Oczywiście nie mam teraz nikogo do pomocy. Sama muszę się wszystkim zajmować: gotowaniem, dziećmi, książeczkami z kartkami na racje, wszystkim! - Odgarnęła z twarzy lok i posłała Harry'emu wyzywające spojrzenie. Dzieci Muriel i Willa, chudy dziewięcioletni chłopiec o ciemnej cerze i sześciolatnia dziewczynka obserwowały Harry'ego bacznie. - Musi być ci ciężko - odparł Harry poważnym tonem. - Ale zupa jest bardzo dobra.

- Przepyszna! - zawołał Ronald. Jego matka westchnęła. Harry nie wiedział, dlaczego Muriel zdecydowała się mieć dzieci. Podejrzewał, że po prostu tak wypadało.

- Jak tam w pracy? - zapytał kuzyna, żeby przerwać milczenie. Will pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, w dziale bliskowschodnim.

- Możemy mieć kłopoty w Persji. - W jego oczach za grubymi szklami malował się niepokój. - Szach skłania się ku Hitlerowi. Jak tam twoje spotkanie? - zapytał z przesadną bez troską. Kilka dni wcześniej zadzwonił do Harry'ego i powiedział mu, że rozmawiał z kimś z ministerstwa, kto chciał się skontaktować z Harrym, ale Will nie wiedział,

o co chodziło. Z jego zachowania Harry wywnioskował, że jego kuzyn zgadł, kim był ten „ktoś”. Zastanawiał się, czy Will mówił o nim w pracy; może wspomniał, że miał kuzyna, który mówi po hiszpańsku

i chodził do Rookwood, a ktoś przekazał tę informację ludziom Jebba. A może gdzieś była olbrzymia kartoteka informacji o obywatelach, do której zaglądali szpiedzy?

Prawie się przyznał, że chcą, by pojechał do Madrytu, ale przypomniał sobie, że mu nie wolno.

- Wygląda na to, że mają dla mnie jakieś zajęcie. Pewnie będę musiał wyjechać za granicę. To poufna sprawa.

- Nieostrożne słowa mogą kosztować życie - powiedziała poważnie dziewczynka.

- Prue, bądź cicho i jedz zupę - upomniała ją Muriel.

Harry uśmiechnął się uspokajająco.

- Nic niebezpiecznego. Nie jak we Francji.

- Czy we Francji zabiłeś wielu Niemców? - zapytał piskliwym głosem Ronnie.

Muriel trzasnęła łyżką w miskę.

- Mówiłam ci, żebyś nie zadawał takich pytań!

- Nie, Ronnie, nie zabiłem wielu Niemców - powiedział Harry. - Ale oni zabili wielu naszych ludzi.

- Oddamy im za to, prawda? I za bombardowania?

Muriel westchnęła ciężko. Will zwrócił się do syna:

- Ronnie, mówiłem ci kiedykolwiek, że spotkałem Ribbentropa?

- Ojejku! Spotkałeś go? Powinieneś być go zabić!

- Nie byliśmy wtedy w stanie wojny, a on występował jedynie jako niemiecki ambasador. Zawsze mówił nie to, co trzeba. Nazywaliśmy go Rybiczop.

- Opowiedz o nim.

- To głupiec. Jego syn był w Eton¹ i pewnego razu Ribbentrop pojechał go odwiedzić. Stał na placu, podniósł ramię i zawołał „Heil Hitler!”.

- O kurczę - powiedział Ronnie. - W Rookwood to by mu nie uszło na sucho. Harry, czy wiesz, że idę w przyszłym roku do Rookwood?

- Jeśli będzie nas stać na czesne, Ronnie, wtedy może tak.
- I jeśli szkoła będzie jeszcze stała - powiedziała nagle Muriel. - Jeśli jej nie zarekwirują albo nie wyleci w powietrze. - Harry i Will spojrzeli na nią. Wytarła usta serwetką i wstała. - Pójdę po steki, są pod grillem i wyschną. - Spojrzała na męża. - Co robimy dzisiaj wieczorem?
- Nie pójdziemy do schronu, jeśli nie odezwą się syreny - odpowiedział. Muriel wyszła z pokoju. Prue zrobiła się niespokojna. Harry zauważył, że mocno przytuliła do siebie misia, którego trzymała na kolanach. Will westchnął.
- Kiedy naloty się zaczęły, po kolacji zawsze szliśmy do schronu. Ale niektórzy ludzie, którzy tam chodzą, są... No, są dość pospolici i Muriel ich nie lubi, a poza tym tam jest dość niewygodnie. Prue się boi. Zostajemy w domu, o ile tylko syreny nie zaczynają wyć. - Westchnął ponownie i wyrzwał przez oszklone drzwi prowadzące do ogrodu na tyłach. Zmierzch zamieniał się w noc, wschodził księżyc w pełni. - Księżyc w sam raz dla bombowców. Możesz pójść, jeśli chcesz.
- Nie muszę - odparł Harry. - Zostanę z wami.

Dom stryjka stał na trasie przelotu bombowców znad kanału La Manche do Londynu. Często, kiedy leciały bombowce, odzywały się

1 Eton - najekskluzywniejsza angielska szkoła prywatna dla chłopców.

syreny, ale samoloty zawsze omijały ich okolicę. Harry nienawidził wznoszącego się i opadającego sygnału syren. Przypominał mu odgłos, który wydawały nurkujące bombowce. Kiedy wrócił po raz pierwszy do domu po ewakuacji z Dunkierki, za każdym razem, kiedy odzywał się alarm przeciwlotniczy, zaciskał pięści tak mocno, że aż stawały się białe.

- Jeśli odezwą się w nocy, wstaniemy i pójdziemy do schronu - powiedział Will. - Jest po drugiej stronie drogi.
- Wiem, widziałem.
- Nie jest najlepiej. Dziesięć dni z rzędu naprawdę cholernie cię wykańcza, a Bóg jeden wie, ile jeszcze to potrwa. Muriel myślała, żeby pojechać z dziećmi na wieś. - Will wstał i zaciągnął ciężkie zaciemniające firany. Z kuchni dobiegł odgłos tłuczonego szkła, a po nim wściekły okrzyk. Will wybiegł prędko. - Chyba lepiej pomogę Muriel.

Syreny odezwały się o pierwszej nad ranem. Zaczęły w Westminster i rozeszły się po kolejnych dzielnicach niczym fale, na zewnątrz, ku przedmieściom. Harry obudził się ze snu, w którym był w Madrycie i biegał od sklepu do sklepu, pytając, czy ktoś widział jego przyjaciela Berniego. Ale mówił po angielsku, a nie po hiszpańsku i nikt go nie rozumiał. Wstał i szybko się ubrał, tak jak nauczyli go w wojsku. Był skoncentrowany, jego umysł pracował jasno, nie ulegał panice. Zastanawiał się, dlaczego szukał Berniego, a nie Sandy'ego. O dziesiątej poprzedniego wieczora zadzwonił ktoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, prosząc, by pojechał następnego dnia do Surrey.

Odsunął odrobinę firankę. W świetle księżycy zobaczył biegnące w stronę schronu ciemne sylwetki. Jak okiem sięgnąć olbrzymie promienie reflektorów przecinały niebo.

Wyszedł z pokoju. Paliło się światło, Ronnie stał na korytarzu w piżamie i szlafroku.

- Prue się zdenerwowała - powiedział. - Nie chce iść. - Spojrzał na otwarte drzwi sypialni rodziców, skąd słychać było głośny szloch przerażonej dziewczynki. Nawet teraz, wśród dźwięku wyjących syren, Harry miał opory przed wejściem do sypialni Willa i Muriel, ale zmusił się, by to zrobić. Oboje mieli na sobie szlafroki. Muriel siedziała na łóżku, miała we włosach papiloty. Tuliła w ramionach szlochającą córkę, szeptała jej coś uspokajającego do ucha. Harry nie spodziewał się po niej takiej łagodności. Jedna rączka dziewczynki zwisała bezwładnie, wciąż trzymała w niej misia. Will stał i patrzył na nie niepewnie. Jego przerzedzone, nastroszone włosy i przekrzywione okulary sprawiały, że wyglądał jeszcze bardziej bezbronnie. Alarmy nie milkły. Harry poczuł, że nogi zaczynają mu się trząść.

- Powinniśmy iść - powiedział szorstkim tonem.

Muriel podniosła wzrok.

- Czy ktoś cię pytał, do cholery?

- Prue nie chce iść do schronu - wyjaśnił cicho Will.

- Jest ciemno - szlochała dziewczynka. - Tam jest tak ciemno, proszę, pozwólcie mi zostać!

Harry podszedł do nich i wziął Muriel za kościste ramię. To właśnie zrobił z nim kapral, zaraz po tym, jak spadła bomba - wziął go za ramię i łagodnie zaprowadził do łodzi. Muriel spojrzała na niego zdumiona.

- Musimy iść. Bombowce nadlatują. Will, musimy zmusić obie, żeby wsiady. - Jego kuzyn wziął Muriel za drugie ramię i razem podnieśli ją delikatnie. Prue wtuliła się w matczyną pierś, wciąż szlochając i mocno trzymając misia. Szklane oczy pluszaka spojrzały na Harry'ego.

- Dobrze, dobrze, dam sobie radę sama - warknęła Muriel. Puścili ją. Ronnie zszedł na dół, a reszta za nim. Chłopiec zgasił światło i otworzył drzwi.

Dziwnie było widzieć Londyn nocą bez żadnych świateł. Na zewnątrz nikogo już nie było, ale w świetle księżycy wciąż było widać ciemny zarys schronu po drugiej stronie ulicy. Słychać było jedynie odległy odgłos artylerii przeciwlotniczej oraz coś jeszcze, głęboki narastający pomruk dochodzący z południa.

- Cholera - powiedział Will - lecą w naszą stronę! - Widać było, że nie wie, co począć. - Ale oni lecą na doki, przecież oni lecą na doki!

- Może się zgubili. - Albo chcą obniżyć morale cywilów, pomyślał Harry. Nogi przestały mu się trząść. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce. - Chodźcie - powiedział. - Przejdźmy na drugą stronę.

Zaczęli biec, ale Muriel, z dziewczynką na rękach, była od nich wolniejsza. Na środku ulicy Will odwrócił się, żeby jej pomóc i poślizgnął się. Upadł i krzyknął. Ronnie, który biegł z przodu, zatrzymał się i obejrzał.

- Will, wstawaj! - krzyknęła Muriel z histerią w głosie. Will spróbował się podnieść, ale upadł. Prue, wciąż z misiem w ręku, zaczęła wrzeszczeć. Harry przyklęknął przy Willu.

- Skręciłem kostkę. - Na twarzy Willa malował się ból i przerażenie. - Zostaw mnie, zaprowadź resztę do schronu. - Muriel mocno przytulała szlochającą Prue i klęła, używając słów, o których znajomość Harry by jej nie podejrzewał.

- Pierdolony Hitler, kurwa jego faszystowska mać, Jezu Chryste!

Syreny przeciwlotnicze wciąż wyły. Samoloty były prawie nad ich

głowami. Harry słyszał świst spadających bomb, jak narasta i kończy się gwałtownym trzaskiem. Kilka ulic dalej rozbłysło światło, poczuł krótkie uderzenie rozgrzanego powietrza. To bardzo przypominało Dunkierkę. Nogi znowu zaczęły mu się trząść i zrobiło mu się kwaśno w gardle, ale myślał jasno. Musiał podnieść Willa.

Usłyszeli kolejny świst i trzask, tym razem bliżej, aż ziemia zatrzęsa się od eksplozji. Muriel przestała kląć i stanęła bez ruchu, z oczami w słup i szeroko otwartymi ustami. Zgięła się wzdłuż, żeby swoim ciałem osłonić wciąż płaczącą córeczkę. Harry wziął ją za ramię i spojrzał w jej przerażone oczy. Mówił do niej cicho i dobitnie.

- Muriel, musisz zabrać Prue do schronu. Natychmiast. Patrz, tam stoi Ronnie, nie wie, co robić. Musisz go zaprowadzić. Ja wezmę Willa.

W jej oczach znów pojawiła się iskierka życia. Odwróciła się bez słowa i ruszyła w stronę schronu. Wyciągnęła do Ronniego rękę. Harry pochylił się i schwycił dłoń Willa.

- Chodź, stary, wstawaj. Postaw zdrową nogę na ziemi, przenieś na nią ciężar. Postawił kuzyna na nogi, kiedy usłyszeli kolejny huk, nie dalej niż na sąsiedniej ulicy. Nastąpił krótki, żółty błysk, fala uderzeniowa prawie ich przewróciła, ale Harry obejmował Willa ramieniem i udało mu się utrzymać ich obu w pionie. W uszkodzonym uchu czuł ucisk i słyszał piszczenie. Will oparł się o Harry'ego i skakał na zdrowej nodze, uśmiechając się przez zaciśnięte zęby.

- Nie wyleć w powietrze - powiedział. - Bo się szpicle wkurzą.

- Czyli naprawdę zgadł, kto mnie potrzebował, pomyślał Harry. Spadały kolejne bomby, rozjaśniając żółtymi rozbłyskami ulicę, ale wydawało się, że tym razem nieco dalej.

Ktoś ze schronu obserwował ich i trzymał drzwi lekko uchylone. Z ciemności wysunęły się ręce i złapały Willa, po czym obaj wpadli do zatłoczonego, zupełnie ciemnego pomieszczenia. Ktoś poprowadził Harry'ego do fotela. Zorientował się, że siedzi obok Muriel. Ledwie mógł w ciemności zobaczyć jej chudą postać, wciąż pochyloną nad Prue. Dziewczynka wciąż szlochała. Ronnie też się przytulił do mamy.

- Harry, przepraszam - powiedziała cicho Muriel. - Po prostu nie mogłam tego więcej znieść. Codziennie wyobrażam sobie, co może się stać z naszymi dziećmi. Bez przerwy* bez przerwy.

- Nic nie szkodzi - powiedział. - W porządku.

- Przepraszam, że się rozkleiłam. To ty nas tu doprowadziłeś.

- Podniosła rękę, żeby dotknąć Harry'ego, ale opuściła ją, jakby to był zbyt wielki wysiłek.

Harry oparł się o betonową ścianę. Czuł, jak wali mu serce. Pomógł im, wziął sprawy w swoje ręce, nie puścił mu nerwy. Kilka miesięcy temu na pewno by nie wytrzymał.

Przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy zobaczył plażę w Dunkierce. Przeszedł przez wydmy i nagle zobaczył niekończące się kolumny ludzi wchodzących do nakrapianego okrętami morza. Były tam statki wszelkich rozmiarów - zobaczył między innymi trałowiec stojący obok wycieczkowego parowca. Widział też płonące wraki, nad ich głowami przelatywały z hukiem niemieckie bombowce nurkujące, po czym nagle spadały z gwizdem i zrzucały na okręty i ludzi bomby. Odwrót

okazał się szybki i chaotyczny, a związane z nim strach i hańba były prawie niemożliwe do zniesienia. Harry dostał rozkaz, by pomóc ustawić żołnierzy w szeregu na plaży i przygotować ich do ewakuacji. Teraz siedział w schronie, ale znowu przypomniał sobie hańbę, którą nagle poczuł, gdy zdał sobie sprawę z rozmiaru klęski.

Muriel coś wymamrotała. Siedziała po jego głuchej stronie, więc odwrócił się do niej.

- Co?

- Dobrze się czujesz? Cały się trzęsiesz. - W jej głosie czuć było drżenie. Otworzył oczy. W ciemności żarzyły się liczne czerwone punkciki - zapalone papierosy. Ludzie w schronie siedzieli cicho, nasłuchiwali, co się dzieje na zewnątrz.

- Tak. Tylko to mi przypomniało o wszystkim. O ewakuacji.

- Wiem... - wymamrotała.

- Chyba sobie polecili - ktoś powiedział. Drzwi się otworzyły, ktoś wyjrzał na zewnątrz. Przez smród uryny i potu przebił się powiew świeżego powietrza.

- Nienawidzę tego zapachu - powiedziała Muriel. - Dlatego nie lubię tu przychodzić, nie mogę tego wytrzymać.

- Czasem ludzie nic nie mogą na to poradzić. Tracą nad sobą panowanie, kiedy są przestraszeni.

- Pewnie tak - powiedziała łagodniejszym tonem. Harry żałował, że nie widzi jej twarzy.

- Wszyscy cali? - spytał.

- W porządku - odparł Will, siedzący po drugiej stronie Muriel. - Dobra robota, Harry. Dzięki, stary.

- Czy żołnierze też... tracili zimną krew? - spytała Muriel. - We Francji? To przecież musiało być przerażające.

- Tak, czasem. - Harry przypomniał sobie zapach, który poczuł, kiedy zbliżył się do stojącej na plaży kolumny ludzi. Nie mylił się od wielu dni. Przypomniał sobie głos sierżanta Tomlinsona.

- Mamy szczęście, wszystko idzie szybciej, bo przyplłynęły małe łodzie. Biedne sukinsyny, część z nich siedzi tu od trzech dni. - Sierżant był potężnie zbudowany, miał jasne włosy. Twarz szarą z wycieńczenia. okazał się szybki i chaotyczny, a związane z nim strach i hańba były prawie niemożliwe do zniesienia. Harry dostał rozkaz, by pomóc ustawić żołnierzy w szeregu na plaży i przygotować ich

do ewakuacji. Teraz siedział w schronie, ale znowu przypomniał sobie hańbę, którą nagle poczuł, gdy zdał sobie sprawę z rozmiaru klęski.

Muriel coś wymamrotała. Siedziała po jego głuchej stronie, więc odwrócił się do niej.

- Co?

- Dobrze się czujesz? Cały się trzęsiesz. - W jej głosie czuć było drżenie. Otworzył oczy. W ciemności żarzyły się liczne czerwone punkciki - zapalone papierosy. Ludzie w schronie siedzieli cicho, nasłuchiwali, co się dzieje na zewnątrz.

- Tak. Tylko to mi przypomniało o wszystkim. O ewakuacji.

- Wiem... - wymamrotała.

- Chyba sobie polecili - ktoś powiedział. Drzwi się otworzyły, ktoś wyrżał na zewnątrz. Przez smród uryny i potu przebił się powiew świeżego powietrza.

- Nienawidzę tego zapachu - powiedziała Muriel. - Dlatego nie lubię tu przychodzić, nie mogę tego wytrzymać.

- Czasem ludzie nic nie mogą na to poradzić. Tracą nad sobą panowanie, kiedy są przestraszeni.

- Pewnie tak - powiedziała łagodniejszym tonem. Harry żałował, że nie widzi jej twarzy.

- Wszyscy cali? - spytał.

- W porządku - odparł Will, siedzący po drugiej stronie Muriel. - Dobra robota, Harry. Dzięki, stary.

- Czy żołnierze też... tracili zimną krew? - spytała Muriel. - We Francji? To przecież musiało być przerażające.

- Tak, czasem. - Harry przypomniał sobie zapach, który poczuł, kiedy zbliżył się do stojącej na plaży kolumny ludzi. Nie mylił się od wielu dni. Przypomniał sobie głos sierżanta Tomlinsona.

- Mamy szczęście, wszystko idzie szybciej, bo przyplłynęły małe łodzie. Biedne sukinsyny, część z nich siedzi tu od trzech dni. - Sierżant był potężnie zbudowany, miał jasne włosy. Twarz szarą z wycieńczenia. Skinął w stronę morza i pokręcił głową. - Popatrz na tych kretynów, zaraz wyrócą łódź.

Harry podążył za jego spojrzeniem. Żołnierze stali zanurzeni do ramion w zimnej wodzie kanału La Manche. Na czele kolumny grupka ludzi próbowała załadować się na kuter rybacki, który już i tak był przechylony od ciężaru pasażerów.

- Lepiej tam chodźmy - powiedział Harry. Tomlinson przytaknął i ruszyli w stronę brzegu. Harry widział, jak rybacy kłócą się z żołnierzami, którzy nie przestawali pchać się na pokład.

- W sumie chyba powinniśmy się cieszyć, że zostały jeszcze resztki dyscypliny - powiedział Harry. Tomlinson odwrócił się do niego, ale jego odpowiedź utonęła w gwizdzie przelatującego prosto nad nimi nurkującego bombowca, który zagłuszył nawet świst spadających bomb, po czym

nastąpił ryk tak głośny, że Harry myślał, iż rozerwie mu głowę. Fala uderzeniowa uniosła go w powietrze w tumanie zakrwawionego piasku.

- I już go nie było - powiedział na głos Harry. - Tylko kawałeczki. Strzępy.
- Słucham? - zapytała zdziwiona Muriel.

Harry zacisnął mocno oczy, próbując odciąć się od obrazów w jego wyobraźni.

- Nic, Muriel. Już w porządku. Przepraszam.

Poczuł, że jej ręka szuka jego dłoni; chwycił ją. Dłoń Muriel była stwardniała od pracy, silna, sucha. Zamrugał, żeby powstrzymać łzy.

- Udało nam się dzisiaj, co? - powiedział.
- Tak, dzięki tobie.

Słychać było syrenę odwołującą alarm. Wydawało się, że cały schron odetchnął i się odprężył. Drzwi otworzyły się na oścież i na tle podświetlonego przez pożary rozgwieżdżonego nieba pojawiła się sylwetka kierownika schronu.

- Polecieli, proszę państwa - powiedział. - Możemy wracać do domów.

Rozdział trzeci

Samolot wyleciał z Croydon o świcie. Na lotnisko Harry przyjechał prosto z centrum szkoleniowego SIS1. Nigdy przedtem nie leciał samolotem. Był to zwyczajny cywilny lot, jego współpasażerowie byli angielskimi albo hiszpańskimi biznesmenami. Prowadzili niezobowiązujące rozmowy, głównie o tym, jak bardzo wojna utrudnia handel. Samolot znad Atlantyku skręcił na południe, omijając okupowaną przez Niemców Francję. Tuż po starcie Harry poczuł lęk, bo nagle zdał sobie sprawę, że mniejsze niż kolejka Ron-niego wagony kolejowe, które widział daleko w dole, są prawdziwe. Ale to uczucie szybko minęło, kiedy wlecieli w chmury i otoczyła ich gęsta, szara mgła. Widok za oknem i jednostajny szum silnika były monotonne, więc Harry odchylił siedzenie do tyłu i myślał o swoim szkoleniu, trzytygodniowym treningu i przygotowaniach poprzedzających dzień, w którym wsiadł do jadącego na lotnisko samochodu.

Następnego ranka po bombardowaniu Harry został zawieziony z Londynu do dworku na wsi w Surrey. Spędził tam kolejne trzy tygodnie. Nigdy nie dowiedział się, jak nazywała się ta posiadłość ani gdzie się dokładnie znajdowała. Zbudowana była z czerwonej wiktoriańskiej cegły, a brak wykładzin, coś w rozkładzie pokoi oraz lekki, trudny do zidentyfikowania zapach podsunęły mu przypuszczenie, że w budynku niegdyś mieściła się szkoła.

1 Secret Intelligence Service (Tajna Służba Wywiadowcza): angielski wywiad.

Ci, którzy go szkolili, byli na ogół młodzi. W ich zachowaniu było zaangażowanie i śmiałość, szybkość reakcji i energia, dzięki którym łatwo skupiali na sobie uwagę, przykuwali wzrok, kierowali rozmową. Czasami Harry'emu wydawało się, że zachowywali się trochę jak zaangażowani sprzedawcy. Uczyli go ogólnych sprawności szpiegowskich: działania skrzynek kontaktowych, sprawdzania, czy nie jest się

śledzonym, wysyłania wiadomości podczas ucieczki. Tobie się to nie przytrafi, Harry, przekonywali go - podlegał ochronie dyplomatycznej, użyteczny skutek uboczny tego, jaką miał przykrywkę.

Od spraw ogólnych przeszli do konkretów: jak postępować z San-dym Forsythem. Odgrywali tak zwane scenki, w których rolę San-dy'ego grał były policjant z Kenii. Sandy, który jest podejrzliwy i nie wierzy w jego opowieść. Pijany i wrogi Sandy, który pyta, co ty tu, kurwa, robisz, Brett, od zawsze cię nienawidzę. Sandy, który sam jest szpiegiem, potajemnym faszystą.

- Nie wiesz, jak zareaguje na twój widok, musisz być przygotowany na każdą ewentualność - mówił policjant. - Musisz dostosować się do jego nastroju, reagować na to, co czuje i myśli.

Opowieść Harry'ego musiała być w stu procentach dopracowana, całkowicie spójna, mówili mu. To nie było trudne. Mógł być całkowicie szczery co do swojego życia aż do dnia, w którym do Willa zadzwonił ktoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Według oficjalnej wersji szukali tłumacza na miejsce poprzedniego pracownika ambasady w Madrycie, który musiał nagle wyjechać. Harry szybko nauczył się tej historii śpiewająco, ale stwierdzono, że wciąż ma problem nie tyle z wyrazem twarzy, co z tonem głosu. Kiedy opowiadał o sobie, wciąż miał głos niepewny, mówił niezbyt chętnie. Ktoś wyczulony, a wszystko wskazywało na to, że taki jest Forsyth, mógł domyślić się, że kłamie. Harry pracował więc nad swoim sposobem mówienia i po jakimś czasie osiągnął satysfakcjonujące rezultaty.

- Oczywiście - powiedział policjant - to, co dziwne w twoim głosie, może być spowodowane głuchotą, która często może zmienić sposób mówienia. Trzymaj się tego, wspomnij też o atakach paniki, które miałeś po Dunkierce. Harry był zdziwiony.

- Ale już mi przeszło. Już mnie nie nawiedzają.

- Ale wciąż masz wrażenie, że nadchodzą, prawda? Udaje ci się je powstrzymać, ale wciąż czujesz, że nadchodzą? - Spojrzała na leżącą na jego kolanach teczkę. Harry miał teraz własną teczkę, żółtawą z czerwonym krzyżem i napisem „tajne” na okładce. - Zagraj na tym. Chwila zmieszania, prośba, żeby coś powtórzył, mogą zadziałać na twoją korzyść. Będziesz miał moment do namysłu, a poza tym on będzie cię traktował jak inwalidę, czyli kogoś niegroźnego.

Harry wiedział, że informacja o atakach paniki pochodziła od pewnej dziwnej kobiety, która pewnego dnia z nim rozmawiała. Nigdy mu nie powiedziała, czym się zajmuje, ale Harry domyślał się, że była pewnego rodzaju psychiatrą. Jej niebieskie oczy spoglądały na niego tak przenikliwie, że Harry na moment się wzdrygnął. Ucisnęła jego dłoń i poprosiła, żeby usiadł przy niewielkim stoliku.

- Muszę zadać panu kilka osobistych pytań, panie Harry. Mogę się tak do pana zwracać?

- Tak, pani...

- Crane, może mnie pan nazywać panią Crane. Wygląda na to, że prowadził pan bardzo uczciwe życie. Nie jak niektóre typy spod ciemnej gwiazdy, które do nas przychodzą, niech mi pan wierzy. - Zaśmiała się.

- Chyba tak. Zupełnie zwyczajne życie.

- Ale stracił pan oboje rodziców w tak młodym wieku, na pewno nie było panu łatwo. Przenosił się pan kilka razy do stryjka i ciotki, i do internatu.

To go zdenerwowało.

- Mój stryjek i ciotka byli dla mnie zawsze bardzo dobrzy. A w szkole byłem szczęśliwy. Rookwood to jedna z najlepszych szkół w kraju.

- Ale to jednak internat. - Pani Crane posłała mu lekko zdziwione spojrzenie.

- Nie do końca. - Harry zdziwił się, że tak się tym rozgorączkował. - Słowo internat kojarzy się zazwyczaj z miejscem, gdzie kogoś się podrzuca, żeby spędził tam trochę czasu, zazwyczaj nic konkretnego nie robiąc. Ale w Rookwood jest się częścią społeczności, a szkoła staje się częścią siebie, kształtuje cię.

Wciąż się uśmiechała, ale jej odpowiedź była brutalna.

- To jednak nie to samo co kochający rodzice.

Harry poczuł, jak wściekłość ustępuje miejsca zmęczeniu. Spuścił wzrok.

- Trzeba akceptować sprawy takimi, jakie są, i skorzystać, ile się da. Nie można się poddawać.

- Nawet jeśli się jest samemu? Nie ma pan ukochanej, prawda? Nikogo?

Zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy jak kiedyś Miss Maxse zacznie wypytywać go teraz o życie seksualne.

- Nie, na razie jestem sam. Miałem narzeczoną w Cambridge, ale nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

- Laura znudziła się mną, a ja nią. Nic dramatycznego, pani Crane.

Zmieniła temat.

- A po Dunkierce? Nerwica frontowa, odkrycie, że ma pan napady paniki, strach przed hałasem. Czy wtedy też zdecydował się pan nie poddawać?

- Tak, chociaż wtedy nie byłem już żołnierzem. I nie będę.

- Czy to pana denerwuje?

Spojrzał na nią.

- A pani by nie denerwowało?

Przekrzywiła głowę z dezaprobatą.

- Rozmawiamy tu o panu, panie Harry.

Harry westchnął.

- Tak, postanowiłem się nie poddawać.
- Nie kusiło pana, żeby się poddać? Wycofać się i zostać inwalidą?

Znowu na nią spojrział. O rany, ale była spostrzegawcza. - Tak.

Tak, chyba kusiło mnie. Ale tego nie zrobiłem. Zacząłem najpierw chodzić po terenie szpitala, potem na drugą stronę ulicy, a potem na spacer do miasta. Było mi łatwiej. Nie oberwałem tak bardzo jak niektórzy. - To musiało wymagać odwagi. Podobnie jak to, że w nocy przed przyjazdem tutaj pomógł pan rodzinie swojego kuzyna.

- Tak już jest, trzeba jakoś przetrwać albo zginąć. Tak przecież ostatnio wygląda życie - odpart sucho. - Nawet jeżeli widzi się, jak wszystko, co człowiek uważał za niezmiennie, obraca się w ruinę. - Westchnął ciężko. - Wydaje mi się, że widok tych żołnierzy wycofujących się na plażę i cały panujący tam chaos wpłynęły na mnie tak samo negatywnie jak ta bomba, która omal mnie nie trafiła.

- Musi być pan bardzo samotny, jeśli postanowił się pan nie poddawać.

Niespodziewanie jej ton stał się łagodny. Harry poczuł, że do oczu napływają mu łzy.

- Tamtej nocy, w schronie, zdarzyło się coś dziwnego - powiedział, choć wcale nie miał takiego zamiaru. - Muriel, żona Willa, uścisnęła moją dłoń. Nigdy się między nami nie układało, zawsze miałem wrażenie, że nie może mnie ścierpieć, ale wzięła mnie za rękę. Tyle że...

- Tyle że co?

- Wydawała się taka sucha. Zimna. Zrobiło mi się... smutno.

- Może to nie jej dłoni pan potrzebował.

Spojrzał na nią.

- Ma pani rację, nie jej - powiedział zdziwiony. - Ale nie wiem czyjej.

- Każdy potrzebuje czyjejs dłoni.

- Myśli pani? - Harry zaśmiał się niespokojnie. - To nie ma zupełnie żadnego związku z moim zadaniem.

Skinęła głową.

- Po prostu próbuję pana poznać, panie Harry, po prostu próbuję pana poznać.

Harry ocknął się z zadumy, kiedy samolot przechylił się na bok. Zacisnął dłonie na oparciach fotela i wyjrzał przez okno, po czym pochylił się naprzód i spojrział w dół. Wynurzyli się z chmur, lecieli teraz nad stałym lądem. Hiszpania. Harry spojrział w dół na kastylijski krajobraz, morze żółci i brązu poprzecinane kratką pól. Kiedy samolot, zataczając kręgi, obniżył pułap, można było odróżnić zarysy pustych, białych dróg, przykryte czerwonymi dachówkami domy, tu i tam ruiny z czasów wojny domowej. Pilot oznajmił, że lądują na lotnisku Barajas, za chwilę silniki stanęły i Harry był w Hiszpanii. Czuł podniecenie zmieszane ze strachem; wciąż nie mógł uwierzyć, że naprawdę wrócił do Madrytu.

Kiedy wyrzął przez okno, zobaczył stojących przed budynkiem terminala kilku policjantów z gwardii cywilnej. Obserwowali płytę lotniska. Harry pamiętał ich ciemnozielone mundury oraz przypięte do pasa żółte kabury. Nadal nosili niemodne, złowieszcze kapelusze ze skóry. Były okrągłe, a z tyłu miały przypięte dwa skrzydełka, lśniły czarno niczym pancerzyk chrząszcza. Kiedy przyjechał do Hiszpanii po raz pierwszy, w trzydziestym pierwszym, civiles, od zawsze zwolennikom prawicy, zagrażała Republika. Na ich surowych obliczach malował się strach i gniew. Kiedy wrócił tu w czasach wojny domowej, zniknęli. Teraz pojawili się znowu i Harry poczuł suchość w ustach, gdy patrzył na ich zimne, nieruchome twarze.

Przyłączył się do idących w stronę wyjścia pasażerów. Kiedy zszedł po schodach, i stanął w kolejce, owionął go suchy żar. Główna hala lotniska była po prostu niskim betonowym magazynem, z którego ścian luszczyla się farba. Jeden z civiles podszedł do nich i zatrzymał się.

- Por alli, por alli - powiedział urzędowym tonem, wskazując na drzwi z tabliczką „Inmigración”.

Harry miał paszport dyplomatyczny, więc przepuszczono go szybko, celnicy nie spojrzeli nawet na jego walizki. Rozejrzał się po pustej hali przylotów. W powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego, jakiegoś słodkiego obrzydlistwa, którego od zawsze używano w Hiszpanii.

Samotny mężczyzna oparty o kolumnę i czytający gazetę zamachał i podszedł do niego.

- Pan Harry Brett? Jestem Simon Tolhurst z ambasady. Jak minął lot?

Był mniej więcej w wieku Harry'ego, wysoki i o jasnej cerze, sprawiał wrażenie otwartego i przyjacielskiego. Był podobnej postury jak Harry: solidnie zbudowany, ale zaczynał tyć, i to bardziej niż Harry.

- W porządku. Przez większość drogi było pochmurnie, ale nie rzucało nami za bardzo. - Harry zauważył, że Tolhurst nosił krawat szkoły w Eton, jego jaskrawe barwy kontrastowały z białą lnianą marynarką.

- Zawiozę pana do ambasady, to nam zajmie jakąś godzinę. Nie korzystamy z usług hiszpańskich kierowców, to wszystko rządowi szpiedzy. - Zaśmiał się, po czym zniżył głos, chociaż nikogo nie było w pobliżu. - Tak strzygą uszami, iż człowiek ma wrażenie, że im odpadną. W ogóle nie potrafią się z tym kryć.

Tolhurst zaprowadził go na zewnątrz i pomógł mu włożyć walizkę do bagażnika błyszczącego starego forda. Lotnisko było poza miastem, zewsząd otaczały je pola. Harry rozejrzał się po surowym, brunatnym krajobrazie. Po drugiej stronie drogi wieśniak szedł za parą wychudzonych wołów, orząc ziemię drewnianym pługiem, jak orali ją jego przodkowie za czasów rzymskich. Na horyzoncie niewyraźne szczyty gór Guadarrama odcinały się na tle jaskrawoniebieskiego nieba, drżąc w rozżarzonym powietrzu. Harry poczuł, że na czoło występują mu krople potu.

- Gorąco jak na październik - zauważył.

- W lecie były cholerne upały. Mieli fatalne zbiory; bardzo martwią się o sytuację w rolnictwie. Ale to nam może pomóc - mniej prawdopodobne, że się przyłączy do wojny. Lepiej się zbierajmy. Jest pan umówiony na spotkanie z ambasadorem.

Tolhurst wyjechał na długą, opustoszałą szosę, wysadzaną przysypanymi kurzem topolami. Pożółkłe Uście wyglądały niczym olbrzymie pochodnie.

- Od jak dawna jest pan w Hiszpanii? - spytał Harry.

- Od czterech miesięcy. Przyleciałem, kiedy rozbudowali ambasadę i przystali tu sir Sama. Wcześniej byłem na Kubie. O wiele luźniej. Fajniej. - Pokręcił głową. - To, niestety, jest straszny kraj. Był pan tu przedtem, prawda?

- Przed wojną domową, a potem na chwilę podczas wojny. Za pierwszym i za drugim razem w Madrycie.

Tolhurst znowu pokręcił głową.- Teraz jest tu naprawdę ponuro.

Jechali kamienistą, pełną dziur drogą i rozmawiali o bombardowaniach Londynu; zgodzili się, że Hitler prawdopodobnie porzucił na razie plany inwazji. Tolhurst zapytał Harry'ego o szkołę.

- Do Rookwood? Dobra szkoła, z tego, co słyszałem. To były czasy, co? - dodał z rozmarzeniem.

Harry uśmiechnął się smutno.

- Tak.

Wyrzał za okno. Wiejski krajobraz był jeszcze bardziej opustoszały niż przedtem. Od czasu do czasu mijali jakiegoś wieśniaka na zaprzężonym w osła wozie, raz wyprzedziła ich jadąca na północ wojskowa ciężarówka z obojętną grupką zmęczonych, młodych żołnierzy. Wioski też świeciły pustkami. Była pora sjeisty, ale w normalnych czasach na ulicach zawsze było trochę ludzi. Teraz zniknęły nawet, niegdyś wszechobecne, wychudzone psy, tylko pojedyncze kurczaki chodziły tu i tam po podwórkach. Na popękanych, niepomalowanych ścianach w jednej z wiosek wisały olbrzymie plakaty z wizerunkiem Franco. Skrzyżował ramiona na piersi, a jego uśmiechnięta twarz o kwadratowym podbródku spoglądała w dal. ' .HASTA EL FUTURO! Ku przyszłości. Harry westchnął ciężko. Zauważył, że nowe plakaty przykrywają starsze, ich poszarpane rogi wystawały spod spodu. Rozpoznał dolną połowę sloganu !NO PASARAN! Nie przejdą. Ale jednak przeszli.

Wjechali na zamożne północne przedmieścia. Patrząc na eleganckie domy, można było sądzić, że wojny domowej nigdy nie było.

- Czy tu mieszka ambasador? - spytał Harry.

- Nie, sir Sam mieszka w dzielnicy Castellana. - Tolhurst się zaśmiał. - To dość kłopotliwa sprawa. Jego sąsiadem jest ambasador Niemiec.

Harry odwrócił się do niego, nie wierząc własnym uszom.

- Ale przecież jesteśmy w stanie wojny!

- Hiszpania jest „neutralna”. Ale tu aż się roi od Niemców, te świny są wszędzie. Tutejsza niemiecka ambasada jest największa na świecie. Rzecz jasna nie rozmawiamy z nimi.- W jaki sposób nasz ambasador znalazł się tak blisko Niemców?

- To był jedyny odpowiednio duży dom. Ambasador żartuje, że teraz może podglądać von Stohrera w ogródku.

Wjechali do centrum. Większość domów nie była odnowiona, wyglądały na jeszcze bardziej zaniedbane, niż Harry pamiętał, chociaż kiedyś musiały być naprawdę imponujące. Wszędzie wisiły plakaty z Franco i symbolem Falangi - związanymi jarzmem strzałami. Ludzie byli niedbale ubrani, głodni i zmęczeni, wyglądali znacznie gorzej, niż Harry pamiętał. Mijali ich mężczyźni w kombinezonach o wychudłych, choć ogorzałych twarzach, oraz kobiety w czarnych, połatanych szalach. Nawet chude, bose dzieci bawiące się w zakurzonych rynsztokach miały napięte, czujne twarze. Harry częściowo spodziewał się parad wojskowych i zlotów falangistów, jak w kronikach filmowych, ale miasto było spokojniejsze i obskurniejsze, niż pamiętał. Wśród przechodniów zauważył księży i zakonnice, którzy pojawili się z powrotem tak jak civiles. Tylko nieliczni zamożni ludzie nosili marynarki i kapelusze, choć dzień był upalny.

Harry odwrócił się do Tolhursta.

- Kiedy przyjechałem tu w trzydziestym siódmym, noszenie marynarki i kapelusza w gorący dzień było zakazane. Uważano to za burżuj ską pretensjonalność.

- Teraz nie wolno wychodzić bez marynarki, jeśli masz na sobie koszulę. Warto zapamiętać.

Tramwaje kursowały, ale samochodów było mało i musiały manewrować między zaprzężonymi w osły wozami i rowerami. Harry zdumiony odwrócił się gwałtownie za siebie, bo zobaczył znajomy kształt: czarny złamany krzyż.

- Widział to pan? Na tamtym budynku, pieprzona swastyka obok hiszpańskiej flagi.

Tolhurst skinął głową.

- Musi się pan do tego przyzwyczaić. Nie tylko do swastyk, także do tego, że Niemcy zarządzają policją i prasą. Franco nawet nie próbuje zataić, że chce, by naziści wygrali. A teraz niech pan popatrzy tam. Zatrzymali się na skrzyżowaniu. Harry zauważył trzy jaskrawo ubrane, mocno umalowane dziewczyny. Zauważyły, że się im przygląda, i uśmiechnęły się, przekrzywiając prowokująco głowy.

- Te panienki są wszędzie. Musisz być bardzo ostrożny, większość ma trypra, a część z nich szpieguje dla rządu. Pracownicy ambasady mają zakaz zbliżania się do nich.

Kierujący ruchem policjant w korkowym hełmie dał im znak, by ruszyli.

- Myśli pan, że Franco przystąpi do wojny? - spytał Harry.

Tolhurst pociągnął ręką po swoich blond włosach, stawiając je na sztorc.

- Bóg jeden wie. Atmosfera jest okropna; gazety i radio są całkowicie proniemieckie. Himmler przylatuje w przyszłym tygodniu z oficjalną wizytą. Ale trzeba żyć dalej, jak tylko można najlepiej. - Nadął policzki i uśmiechnął się żałośnie. - Chociaż większość ludzi ma jednak spakowaną walizkę jedną, na wypadek, gdyby trzeba było w pośpiechu uciekać. O, niech pan popatrzy, saturator!

Wskazał w stronę, gdzie klekocząc, jechało stare renault, wolniejsze nawet od wozów. Z tyłu samochód miał przyczepione coś, co wyglądało jak duży przysadzisty kociół. Z małego komina wydobywały się kłęby dymu, a od urządzenia pod spód prowadziły rury. Kierowca, mieszczanin w średnim wieku, ignorował spojrzenia przechodniów, którzy aż zatrzymywali się na chodniku. Przejechał obok niego tramwaj, trąbiąc, i kierowca musiał ostro zakręcić, by uniknąć zderzenia, przez co pokraczny pojazd prawie się przewrócił.

- O cholera, co to było? - zapytał Harry.

- Rewolucyjne hiszpańskie rozwiązanie problemów z ropą. Chodzi na węgiel albo drewno, a nie na benzynę. Nawet działa, jeśli tylko nie chcesz jechać pod górkę. Słyszałem, że Francuzi też takie mają. Ale jakoś nie widzę, żeby Niemcy zainteresowali się podobnym projektem.

Harry przyjrzał się przechodniom. Kilka osób uśmiechnęło się na widok dziwnego pojazdu, ale zwrócił uwagę, że nikt go nie zaczepiał, co w przeszłości byłoby zupełnie oczywiste. Zauważył, jak bardzo jest cicho - nie słychać szumu rozmów ani gwaru, który zapamiętał z poprzedniej wizyty.

Wjechali do dzielnicy Opera, ich oczom w oddali ukazał się pałac królewski. Od białych ścian odbijało się światło słoneczne, dzięki czemu budynek wyraźnie odróżniał się od otaczającej go szarości.

- Czy Franco tam mieszka? - spytał Harry.

- Przyjmuje gości, ale osiedlił się w pałacu Pardo, poza Madrytem. Panicznie boi się, że ktoś go zamorduje. Wszędzie jeździ kuloodpornym mercedesem, który dostał od Hitlera.

- Więc ruch oporu wciąż działa?

- W miastach civiles rozwiązali wszystkie problemy związane z bezpieczeństwem. Ale nigdy nie wiadomo, w końcu Madryt został zdobyty ledwie półtora roku temu. W pewnym sensie to wciąż miasto okupowane, tak jak Paryż. Z tego, co wiemy, na północy wciąż działa ruch oporu, na wsi wciąż ukrywają się grupki republikanów. Mówią na nich vagabundos.

- O Boże... - westchnął Harry - co ten kraj przeszedł.

- I to wcale nie musi być koniec - zauważył ponuro Tolhurst.

Wjechali w ulicę, wzdłuż której stały masywne dziewiętnastowieczne domy. Przed jednym z nich na maszcie powiewała brytyjska flaga. Widok był cudownie swojski. Harry przypomniał sobie swoją wizytę w ambasadzie w 1937, kiedy chciał dowiedzieć się czegoś o Berniem tuż po jego zaginięciu. Urzędnicy nie byli zbyt pomocni, ponieważ traktowali Brygady Międzynarodowe z dezaprobatą.

Przed drzwiami pełniło wartę dwóch civiles. Tolhurst musiał zaparkować nieco dalej, bo przy wejściu stało kilka samochodów.

- Weźmy pana bagaże - powiedział.

Kiedy wysiadł, Harry przyjrzał się ostrożnie dwóm civiles. Nagle poczuł z tyłu lekkie pociągnięcie za nogawkę spodni. Obejrzał się i zobaczył chudego, dziesięcioletniego chłopca, ubranego w szmatę, która niegdyś była wojskową bluzą. Siedział na czymś w rodzaju sanek na kółkach.- Señor, por favor, diez pesetas1.

Harry zobaczył, że dziecko nie ma nóg. Chłopiec trzymał go za nogawkę spodni.

- Por el amor de Dios² - powiedział błagalnym głosem, wyciągając drugą rękę. Jeden z civiles podszedł szybkim krokiem, klaszcząc w dłonie.

- 'Vete! 'Vete!³

Słyszac policjanta, chłopiec odepchnął się od chodnika i odjechał w boczną uliczkę. Tolhurst wziął Harry'ego za łokieć.

- Następnym razem powinien pan szybciej zareagować. Żebracy rzadko zapuszczają się tak daleko, ale w Centro jest ich więcej niż gołębi. Zresztą gołębi i tak nie ma, bo je zjedli.

Civil, który odpędził chłopca, odprowadził ich do drzwi ambasady.

- Gracias por su asistencia⁴ - powiedział oficjalnym tonem Tolhurst. Mężczyzna skinął głową, ale Harry zobaczył w jego spojrzeniu wzgardę.

- Te dzieci z początku są dosyć wstrząsające - powiedział Tolhurst, przekręcając gałkę na dużych drewnianych drzwiach. - Ale trzeba się do nich przyzwyczać. A teraz pora na spotkanie z komitetem powitalnym. Czekają na pana same grube ryby. - Harry'emu wydało się, że słyszy w jego głosie zazdrość. Tolhurst poprowadził go do gorącego, ponurego wnętrza.

Ambasador siedział za olbrzymim biurkiem w imponującym pomieszczeniu, chłodzonym przez wirujące cicho wentylatory. Na ścianach wisiały osiemnastowieczne grafiki, a podłogę przykrywały grube dywany. Obok biurka siedział drugi mężczyzna w mundurze komandora marynarki. Przez okno widać było zastawiony roślinami w doniczkach wewnętrzny dziedziniec, na którym na ławce siedziała grupka mężczyzn bez marynarek.

1 Proszę pana, błagam, dziesięć peset.

2 Na miłość boską.

3 Precz!

4 Dziękuję panom za pomoc.

Harry rozpoznał sir Samuela Hoare'a, widywał go często w kronikach filmowych. Był ministrem w rządzie Chamberlaina i należał do zwolenników negocjacji; stracił posadę, kiedy Churchill został premierem. Był niskim mężczyzną o lekko spiczastych, surowych rysach twarzy i przeczczonych siwych włosach. Miał na sobie marynarkę z niebieskim kwiatkiem w butonierce. Wstał i wyciągnął rękę, pochylając się nad biurkiem.

- Witam, panie Brett, witam. - Uścisk jego dłoni był zaskakująco silny. Zimne, blade oczy patrzyły przez moment na Harry'ego, po czym ambasador zwrócił się w stronę drugiego mężczyzny. - Komandor Alan Hillgarth, nasz attache morski. Jest odpowiedzialny za działalność służb specjalnych. - Hoare wymówił ostatnie słowa z lekką nutą niesmaku.

Hillgarth miał nieco ponad czterdzieści lat, był wysoki i przystojny dzięki śniadej cerze i dużym brązowym oczom. Jego spojrzenie było surowe, ale miało w sobie też coś przewrotnego, prawie że dzieciennego, tak samo jak i jego pełne, szerokie wargi. Harry przypomniał sobie, że w Rookwood

Sandy czytywał powieści przygodowe autorstwa kogoś o nazwisku Hillgarth. Opowiadały o szpiegach i ich przygodach w różnych zakątkach Europy. Sandy Forsyth je lubił, ale Harry'emu wydawały się raczej nieprawdziwe.

Komandor serdecznie uściskał mu dłoń.

- Dzień dobry, panie Brett. Będzie pan odpowiadał bezpośrednio przede mną, ale za pośrednictwem pana Tolhursta.
- Proszę, niech panowie usiądą. - Hoare skinieniem wskazał Harry'emu krzesło.
- Miło pana widzieć - powiedział Hillgarth. - Dostawaliśmy raporty z przebiegu pana szkolenia. Wygląda na to, że zrozumiał pan wszystko w wystarczającym stopniu.
- Dziękuję, panie komandorze.
- Grotów jest pan zmierzyć się z Forsythem?
- Tak, panie komandorze.
- Załatwiliśmy panu mieszkanie. Tolhurst później tam pana zawiezie. A więc czy zna pan procedurę? To znaczy przykrywkę?
- Tak jest. Zostałem tu sprowadzony jako tłumacz w zastępstwie tego, który zachorował.
- Biedny Greene - powiedział Hillgarth, wybuchając nagle śmiechem. - Wciąż nie wie, dlaczego został odesłany do domu w takim pośpiechu.
- Był dobrym tłumaczem - wtrącił Hoare. - Znał się na swojej robocie. Panie Brett, będzie pan musiał bardzo się pilnować i ostrożnie dobierać słowa. Poza pańską, hm, drugą pracą będzie pan tłumaczył dla ważnych osobistości, a sytuacja jest delikatna. Bardzo delikatna. - Hoare spojrzał na niego surowo i Brett nagle poczuł się onieśmielony. Wciąż nie mógł przywyknąć do faktu, że rozmawiał z człowiekiem znanym mu z kronik filmowych. Wziął głęboki oddech.
- Rozumiem, sir. Uprzedzono mnie w Anglii. Mam tłumaczyć wszystko tak dyplomatycznie i delikatnie, jak to tylko możliwe, i nigdy nie dodawać własnych komentarzy.

Hillgarth skinął głową.

- Pan Brett ma w czwartek spotkanie ze mną i z podsekretarzem stanu z Ministerstwa Handlu. Będę miał na niego oko.
- A tak, Maestre - burknął Hoare. - Nie chcemy go zdenerwować.

Hillgarth wyjął złotą papierośnicę i wyciągnął w stronę Harry'ego.

- Zapali pan?
- Dziękuję, nie palę.

Hillgarth zapalił papierosa i wypuścił z ust kłąb dymu.

- Nie chcemy, żeby spotkał się pan od razu z Forsythem, panie Brett. Ma pan parę dni, żeby poznać kilka osób i zadomowić się trochę. Musi się pan też przyzwyczaić do faktu, że będzie pan śledzony i obserwowany; rząd przydziela szpiegów wszystkim pracownikom ambasad. Większość z nich jest beznadziejna, czuć ich na milę, chociaż ostatnimi czasy pojawiło się też trochę ludzi przeszkolonych przez gestapo. Niech pan uważa, czy ktoś za panem chodzi, i informuje o tym Tolhursta. - Uśmiechnął się tak, jakby to wszystko była przygoda; przypominał Harry'emu ludzi, którzy go szkolili.

- Dobrze, panie komandorze. - A więc - kontynuował Hillgarth - przejdźmy do Forsytha. Znał go pan przez jakiś czas w szkole, ale potem już się pan z nim nigdy nie widział. Zgadza się?

- Tak jest.

- Ale uważa pan, że mógłby być do pana pozytywnie nastawiony?

- Mam taką nadzieję, panie komandorze. Ale nie wiem, co się z nim działo od czasu, kiedy przestaliśmy do siebie pisać. To było dziesięć lat temu. - Harry wyjrzał na dziedziniec. Przyglądał się im jeden z siedzących tam mężczyzn.

- Cholerni lotnicy! - warknął Hoare. - Mam dość tego, że tu zagląдают! - Machnął władczo ręką, więc mężczyźni wstali i wyszli przez boczne drzwi. Harry zobaczył, że Hillgarth, nim znowu się odezwał, posłał Hoare'owi niechętnie spojrzenie.

- To piloci, którzy musieli się katapultować nad Francją - powiedział z naciskiem. - Niektórzy doszli tu na piechotę.

- Tak, tak - odparł zrzędlawie Hoare. - Kontynuujmy.

- Oczywiście, panie ambasadorze - powiedział wyjątkowo sztywno Hillgarth. Zwrócił się do Harry'ego. - A więc po raz pierwszy usłyszeliśmy o Forsycie dwa miesiące temu. Mamy agenta w Ministerstwie Przemysłu, drobnego urzędnika. Przekazał nam informację, że wszyscy byli bardzo podnieceni czymś, co się działo jakieś pięćdziesiąt mil od Madrytu. Nasz człowiek nie ma dostępu do ważnych dokumentów, ale podsłuchał kilka rozmów. Złóża złota. Duże, zweryfikowane przez geologów. Wiemy, że wysyłają tam sprzęt górniczy, podobnie jak rtęć i inne chemikalia - których przecież nie mają za wiele.

- Sandy zawsze interesował się geologią - powiedział Harry. - W szkole jego pasją były skamieliny, wypuszczał się czasem na wycieczki w poszukiwaniu kości dinozaurów.

- Doprawdy? - powiedział Hillgarth. - Nie wiedziałem o tym. Nigdy nie dorobił się żadnych oficjalnych kwalifikacji, przynajmniej my nic o tym nie wiemy. Ale pracuje z kimś, kto je ma. Nazywa się Alberto Otero.

- To ten człowiek, który zdobywał doświadczenie w południowej Afryce? - Zgadza się. - Hillgarth skinął głową z aprobatą. - Inżynier górnik. Z tego, co wiem, w kraju kazali panu trochę poczytać o kopalniach złota.

- Tak jest. - Przypomniał sobie, jak w swoim małym pokoiku zmagiał się z grubymi tomami literatury górniczej.

- Oczywiście z punktu widzenia Forsytha nic pan nie wie o złocie. Jest pan zupełnie zielony.
- Tak jest. - Harry przerwał na moment. - Czy wie pan, jak Forsyth i ten Otero się poznali?
- Nie. Nasza wiedza jest bardzo niepełna. Wiemy tylko, że kiedy Forsyth był przewodnikiem, zaczął zadawać się z Auxilio Social, organizacją z Falangi odpowiedzialną za to, co tutaj nazywają opieką społeczną. - Uniósł brwi. - Skorumpowana na wskroś. Forsyth może się nieźle obłowić przy takim zapotrzebowaniu.
- Czy Forsyth kontaktuje się ze swoją rodziną?

Hillgarth pokręcił głową.

- Jego ojciec od lat nie miał od niego żadnych wiadomości.

Harry pamiętał ten jedyny raz, kiedy widział biskupa; przyjechał

do szkoły po kompromitacji Sandy'ego, by błagać dyrektora o wybaczenie. Harry zobaczył go na dziedzińcu z okna klasy i poznał po czerwonej biskupiej koszuli pod garniturem. Sprawiał wrażenie osoby solidnej i szlachetnie urodzonej, zupełnie nie przypominał Sandy'ego.

- Czyli Forsyth wspierał nacjonalistów? - spytał Harry.
- Myślę, że raczej wspierał szansę obłowienia się - odparł Hillgarth.
- Pan nie popierał republikanów, prawda? - Hoare przyjrzał się Harry'emu badawczo.
- Nie popierałem żadnej ze stron, proszę pana.

Hoare chrząknął.

- Myślałem, że to przed wojną był bardzo ważny podział. Na tych, którzy wspierali czerwonych, i tych, którzy wspierali nazistów. Dziwi mnie, że iberysta nie popierał ani jednych, ani drugich.
- A jednak, sir. Moim zdaniem jedni i drudzy powinni pójść w diabły. - Co za człowiek... humorzasty i do tego prostak, pomyślał Harry.
- Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, jak można uważać, że czerwona Hiszpania nie jest katastrofą. Hillgarth sprawiał wrażenie poirytowanego odejściem od tematu. Pochylił się naprzód.
- Forsyth raczej nie znał hiszpańskiego przed przyjazdem tutaj, prawda?
- Nie, ale szybko by się nauczył. Jest bystry. To był jeden z powodów, dla których dyrektorzy szkół go nienawidzili. Był inteligentny, ale leniwy.

Hillgarth uniósł brwi.

- Nienawidzili go? To mocne sformułowanie.
- Myślę jednak, że odpowiednie.

- No cóż, według naszego człowieka dogadał się z pewną państwową firmą górniczą. Kombinuje za nich, negocjuje dostawy i tym podobne. - Przerwał. - W Ministerstwie Górnictwa dominuje frakcja należąca do Falangi. Bardzo by chcieli, żeby Hiszpania mogła sama importować żywność, bez proszenia nas i Amerykanów o pożyczki. Problem w tym, że nie mamy w ministerstwie żadnego pewnego źródła informacji. Gdyby udało się panu dostać bezpośrednio do Forsytha, byłaby to nieoceniona pomoc. Musimy dowiedzieć się, czy ta historia ze złotem jest prawdziwa.

- Tak jest, panie komandorze.

Na moment zapadła cisza, słychać było tylko nagle głośny szum wentylatora kręcącego się pod sufitem. Hillgarth kontynuował.

- Forsyth pracuje poprzez firmę, którą sam założył. Nuevas Iniciativas. Weszła na madrycką giełdę jako firma zaopatrzeniowa. Akcje idą w górę, wykupują ją przedstawiciele Ministerstwa Górnictwa. Firma ma niewielką siedzibę przy calle Toledo; tam zwykle przesiaduje Forsyth. Naszemu człowiekowi nie udało się zdobyć jego adresu domowego, co komplikuje sprawę. Wiemy tylko, że mieszka z jakąś lalą w dzielnicy Vigo. Zwykle chodzi w porze sjeisty do miejscowej kawiarni. Chcemy, żeby nawiązał pan z nim kontakt właśnie tam.

- Czy chodzi tam sam?

- Poza nim w biurze jest jeszcze tylko sekretarka. To pół godziny po południu zawsze spędza w samotności.

Harry skinął głową.

- W szkole też lubił spędzać czas samotnie.

- Śledziliśmy go. To jest diablo stresujące, martwię się, że Forsyth może zauważyć naszego człowieka. - Podał Harry'emu kilka zdjęć, które wyjął z leżącej na biurku teczki. - To on je zrobił.

Na pierwszym zdjęciu elegancko ubrany i opalony Sandy szedł ulicą, rozmawiając z jakimś oficerem. Pochylał się, żeby lepiej słyszeć, na jego poważnej twarzy malowało się skupienie. Na drugim beztroski, w rozpiętej marynarce idzie, pali papierosa. Na twarzy maluje mu się pewność siebie i znaczący uśmieszek.

- Chyba nieźle mu się wiedzie.

Hillgarth przytaknął.

- Pieniądzy mu nie brakuje. - Zajrzał z powrotem do teczki. - Mieszkanie, które panu załatwiliśmy, jest o kilka ulic od jego biura. To skraj biednej dzielnicy, ale ponieważ powszechne są problemy mieszkaniowe, to dość prawdopodobne, że umieścilibyśmy tam niższego rangą urzędnika.

- Dobrze, panie komandorze.

- Z tego, co mi mówiono, pańskie mieszkanie nie jest takie złe. Za czasów Republiki należało do jakiegoś komunistycznego funkcjonariusza. Pewnie go rozstrzelali. Niech się pan tam zadomowi, ale proszę jeszcze nie iść do kawiarni.

- Jak się ta kawiarnia nazywa, panie komandorze?

- Café Rocinante.

Harry uśmiechnął się cierpko.

- Jak koń Don Kichota.

Hillgarth skinął głową i przyjrzał mu się bacznie.

- Drobną radą... - powiedział przyjaznym tonem i z uśmiechem, choć jego spojrzenie pozostało surowe. - Wygląda pan zbyt poważnie, jakby dźwigał pan na barkach cały świat. Proszę się rozchmurzyć, uśmiechnąć. Niech pan potraktuje to jako przygodę.

Harry zamrugał. Jako przygodę. Szpiegowanie starego znajomego, który pracuje dla faszystów.

Nagle ambasador zaśmiał się swoim szorstkim śmiechem. - Jako przygodę! Boże, uchwyci. Jeśli o mnie chodzi, w tym cholernym kraju jest zbyt wielu poszukiwaczy przygód. - Zwrócił się w stronę Harry'ego, jego twarz nagle się ożywiła. - Posłuchaj no pan, panie Brett. Wygląda na to, że ma pan głowę na karku, ale bądź pan cholernie ostrożny. Zgodziłem się na pański przyjazd, bo zależy nam, by dowiedzieć się, o co chodzi, ale nie chcę, żeby pan tu namieszał.

- Nie do końca rozumiem, sir.

- Reżim tutaj jest podzielony na dwie frakcje. Większość generałów, którzy wygrali wojnę domową, to rozsądni ludzie podziwiający Anglię i chcący powstrzymać Hiszpanię od przyłączenia się do wojny. Moim zadaniem jest wyciągać rękę ponad podziałami i umacniać ich wpływy u Franco. Nie chcę, żeby Generalísimo dowiedział się, iż mamy szpiegów węszących wokół jednego z jego ulubionych projektów.

Hillgarth przytaknął.

- Rozumiem - powiedział Harry. Hoare wcale mnie tu nie chce, pomyślał. Wpakowałem się w sam środek pieprzonej polityki.

- No cóż, muszę iść na ceremonię ku czci bohaterów hiszpańskiej marynarki - powiedział Hillgarth. - Lepiej, żebym się tam pokazał, nieprawdaż, panie ambasadorze?

Hoare skinął głową i Hillgarth wstał, a za nim Harry i Tolhurst. Hillgarth podniósł teczkę i podał ją Harry'emu. Na okładce miała czerwony krzyż.

- Tolly zawiezie pana do mieszkania. Proszę wziąć dossier Forsytha i dokładnie się z nim zapoznać, ale niech pan je przyniesie jutro z powrotem. Tolly pokaże panu, gdzie podpisać pokwitowanie.

Kiedy wychodzili, Harry odwrócił się, żeby spojrzeć na Hoare'a. Wyglądał przez okno, marszcząc brwi na widok lotników, którzy znowu powoli wracali na dziedziniec.

Rozdział czwarty

Kiedy wyszli z pokoju ambasadora, Tolhurst uśmiechnął się przepaszająco.

- Przepraszam w imieniu Sama - powiedział cicho. - Zwykle nie bierze udziału w odprawach nowych agentów, ale pana zadanie szczególnie go niepokoi. Ma zasadę: można zbierać informacje wywiadowcze, ale nie wolno szpiegować ani narażać się reżimowi. Kilka dni temu przyszli tu jacyś socjaliści, prosząc o pomoc dla partyzantów walczących z Franco. Bardzo wiele zaryzykowali, postępując w ten sposób. Odesłał ich do diabła.

Hoare nie przypadł Harry'emu do gustu, ale fakt, że Tolhurst mówił na niego Sam lekko go zaszokował.

- Czy to dlatego, że chce mieć dobre układy z monarchistami?

- Owszem. Jak może pan sobie wyobrazić, po wojnie domowej monarchiści naprawdę nienawidzą czerwonych. - Tolhurst zamilkł, bo wyszli na ulicę i minęli dwóch civiles, którzy im zaszalutowali. Kiedy otwierał drzwi forda, skrzywił się z bólu, bo klamka sparzyła mu dłoń.

Kontynuował rozmowę, kiedy ruszyli.

- Mówią, że, Churchill przysłał tu Sama, żeby mu nie wchodził w drogę - powiedział pogodnie. - Nie mógł go znieść, nie ufał mu. To dlatego kazał komandorowi zajmować się wywiadem; jest starym znajomym Winstona. Za czasów, kiedy nie był w rządzie.

- Czy czasem nie jesteśmy wszyscy po tej samej stronie?

- Mamy mnóstwo wewnętrznej polityki.

- Nie trzeba mi tego mówić. Tolhurst postąpił mu cyniczny uśmiech.

- Sam to zgorzkniały człowiek. Chciał być namiestnikiem królewskim w Indiach.

- Wewnętrzne spory nikomu nie ułatwiają pracy.

- Tak już jest. - Tolhurst spojrział na niego poważnie. - Lepiej, żeby pan wiedział, jak się sprawy mają.

Harry zmienił temat.

- Pamiętam z czasów szkolnych książki autorstwa kogoś, kto nazywał się Alan Hillgarth. To nie on, prawda?

Tolhurst skinął głową.

- We własnej osobie. Nie są złe, prawda? Czytał pan kiedyś tę o Maroku pod władzą Hiszpanii? Nosila tytuł Podżegacz. Franco się tam pojawia. Rzecz jasna to wersja fikcyjna. Widać, że komandor go podziwiał.

- Nie czytałem. Wiem za to, że Sandy Forsyth je lubił.

- Doprawdy? - powiedział z zainteresowaniem Tolhurst. - Powiem

o tym komandorowi. To go z pewnością rozbawi.

Minęli centrum i wjechali w labirynt uliczek między czteropiętrowymi kamienicami. Było późne popołudnie, upał powoli ustępował, cienie wydłużały się i przykrywały ulice. Tolhurst ostrożnie prowadził samochód po kocich łbach. Kamienice od lat nie były remontowane, tynk opadał z ceglanych ścian niczym skóra ze szkieletu. Minęli kilka miejsc zniszczonych przez artylerię - zarośnięte góry gruzu. Dookoła nie było żadnych samochodów, więc przechodnie patrzyli na nich z zaciekawieniem. Osiołek ciągnący wóz uskoczył przed nimi na chodnik, prawie zrzucając swojego woźnicę. Harry obejrzał się, patrząc, jak mężczyzna odzyskuje równowagę i klnie pod nosem.

- Zastanawiałem się - powiedział - dlaczego zostałem zwerbowany. - Zachował swobodny ton. - Tak przez ciekawość. Jeśli nie może mi pan powiedzieć, nic nie szkodzi.

- To wcale nie jest tajemnica. Szukali starych znajomych Forsytha

i były dyrektor Rookwood wspomniał o panu.

- Pan Taylor?- Nie wiem, jak się nazywał. Kiedy dowiedzieli się, że zna pan Hiszpanię, byli w siódmym niebie. Stąd wziął się pomysł z tłumaczem.

- Rozumiem.

- Mieli mnóstwo szczęścia - Tolhurst ominął biegnącą od leja po bombie szczelinę w jezdni. - Czy wie pan, że nasza ambasada tutaj była pierwszym fragmentem brytyjskiej ziemi, na którą spadła niemiecka bomba?

- Że co? A, w czasie wojny domowej.

- Kiedy Niemcy bombardowali Madryt, przypadkiem trafili w nasz ogród. Sam musiał się zająć posprzątaniem bałaganu. On ma jednak swoje zalety. Jest pierwszej wody organizatorem, w ambasadzie wszystko chodzi jak w zegarku. Trzeba to przyznać różowemu szczurkowi.

- Komu?

Tolhurst uśmiechnął się poufnie.

- To jego ksywka. Miewa ataki paniki, myśli, że Hiszpania przystąpi do wojny i ktoś go zastrzeli, trzeba go przekonywać, żeby nie uciekał do Portugalii. Wie pan, pewnego wieczoru do jego gabinetu wleciał nietoperz, a ambasador schował się pod biurko i zaczął wrzeszczeć, żeby ktoś go stamtąd zabrał. Może pan sobie wyobrazić, co myśli Hillgarth. Ale kiedy Sam jest w formie, jest cholernie dobrym dyplomatą. Uwielbia przedstawiać się jako przedstawiciel króla imperatora. Rzecz jasna monarchiści rozklejają się na widok wszystkiego, co ma związek z monarchią. O, jesteśmy na miejscu.

Tolhurst zaparkował na zakurzonej placu. Pośrodku stał na postumencie pomnik - żołnierz w osiemnastowiecznym stroju, bez jednej ręki. Na obrzeżach placu było kilka zdemolowanych sklepów, ich wystawy świeciły pustkami. Plac otaczały kamienice, większość okiennic w zakratowanych oknach była zamknięta, co chroniło mieszkania przed popołudniowym żarem. To miejsce niegdyś musiało być eleganckie. Harry patrzył na plac przez okno samochodu. Przypomniał sobie pocztówkę, którą kupił w sklepie w bocznej uliczce w trzydziestym pierwszym roku: walący się dom, bardzo podobny do jednej z kamienic naprzeciwko, uśmiechnięta dziewczyna wychyla się przez okno, pod którym stoi Cygan i gra serenadę. Miała pocztówkę w swoim pokoju w Cambridge. W niszczących budynkach było coś

romantycznego, pisarze wiktoriańscy wprost je uwielbiali. Ale sprawa miała się trochę inaczej, kiedy trzeba było w nich mieszkać.

Tolhurst wskazał wąską uliczkę, która prowadziła na północ, w stronę, gdzie budynki wydawały się jeszcze bardziej zniszczone.

- Na pana miejscu nie zapuszczałbym się tam. To La Latina. Zła okolica, prowadzi do Carabanchel po drugiej stronie rzeki.

- Wiem - odparł Harry. - W Carabanchel odwiedzaliśmy pewną rodzinę, kiedy byłem tu w trzydziestym pierwszym.

Tolhurst spojrział na niego zaintrygowany.

- Nacjoniści ciężko bombardowali Carabanchel podczas oblężenia, prawda?

- Tak, a od końca wojny domowej zostawili tę dzielnicę samej sobie, by szczęła. Z tego, co słyszałem, ludzie umierają tam z głodu, a w zrujnowanych budynkach mieszkają bandy dzikich psów. Ci, których pogryzły, zachorowali na wściekliznę.

Harry patrzył na długą, pustą ulicę.

- Co też jeszcze powinien pan wiedzieć... - zamyślił się Tolhurst. - Ogólnie rzecz biorąc, Anglicy nie są tu popularni. To sprawka propagandy. Ale na razie kończy się tylko na nieprzyjaznych spojrzeniach.

- Co robić z Niemcami, jeśli ich spotkam?

- Po prostu trzeba drani ignorować. Niech pan uważa z pozdrawianiem na ulicy ludzi, którzy wyglądają jak Anglicy - dodał, otwierając drzwi samochodu. - To równie dobrze mogą być gestapowcy.

Na zewnątrz powietrze było pełne pyłu, który lekki wiaterek unosił spiralnie w górę. Wyjęli z samochodu walizkę Harry'ego. Przez plac przeszła stara, wychudzona kobieta w czerni. Na głowie niosła wielką torbę z ubraniami, podtrzymywała ją jedną ręką. Harry zastanawiał się, po której stronie była podczas wojny domowej; a może to jedna z tysięcy osób bez określonych poglądów, które znalazły się między dwiema walczącymi frakcjami? Na jej pooranej zmarszczkami twarzy malował się wyraz znużenia, ale i stoickiego spokoju. Była jedną z tych, którzy przetrwali - jakoś, ledwo, ledwo. Tolhurst podał Harry'emu brązowy kartonik.

- Kartki na żywność. Ambasada dostaje dyplomatyczny przydział, który potem rozdziela. Lepiej niż w domu. I o wiele lepiej niż normalna racja w Hiszpanii. - Podążył wzrokiem za starą kobietą. - Mówią, że ludzie wykopują i zjadają korzenie roślin. Rzecz jasna można kupować na czarnym rynku, ale to kosztuje.

- Dziękuję. - Harry włożył kartonik do kieszeni. Tolhurst podszedł do drzwi i wyjął klucz. Weszli do ciemnego korytarza, w którym farba odpadała płatami od ścian, gdzieś kapała woda, cuchnęło uryną. Wspięli się po kamiennych schodach na drugie piętro, gdzie stanęli przed drzwiami do trzech różnych mieszkań. Na korytarzu dwie dziewczynki bawiły się podniszczonymi lalkami.

- Buenos tardes - powiedział Harry, ale one tylko odwróciły wzrok. Tolhurst otworzył drzwi.

Mieszkanie było trzypokojowe. Harry pamiętał, że często w podobnym metrażu żyły w tłoku i nędzy nawet dziesięcioosobowe rodziny. To mieszkanie było wysprzątane, pachniało pastą do podłogi. Umeblowanie przywodziło na myśl standardowe wyposażenie klasy średniej: ciężkie stare kanapy i szafki. Ściany koloru musztardy były gołe, widać było jedynie białe prostokąty w miejscach, gdzie kiedyś wisiły obrazki. W promieniu słońca tańczyły drobinki kurzu.

- Duże - powiedział Harry.

- Owszem, lepsze od tej klatki, w której ja mieszkam. Mieszkał tu kiedyś tylko jeden funkcjonariusz partii komunistycznej. To hańba, biorąc pod uwagę warunki, w jakich żyje większość ludzi. Stało puste przez rok, po tym, jak go zabrali. A potem władze przypomniały sobie o istnieniu mieszkania i wystawiły je do wynajęcia.

Harry przesunął palcem po warstewce kurzu na stole.

- Tak przy okazji, o co chodzi z wizytą Himmlera?

Tolhurst spoważniał.

- Wszystkie faszystowskie gazety o tym piszą. Wizyta państwowa w przyszłym tygodniu. - Pokręcił głową. - Nie można się przyzwyczaić do myśli, że być może będziemy musieli uciekać. Było już tyle fałszywych alarmów. Harry skinął głową. On nie jest zbyt odważny, pomyślał, nie odważniejszy niż ja sam.

- A więc pan odpowiada bezpośrednio przed Hillgarthem? - spytał.

- Zgadza się. - Tolhurst postukał w nogę zdobionego biurka. - Ale nie wykonuję żadnych tajnych zadań. Jestem od spraw administracyjnych. - Zaśmiał się sam z siebie. - Simon Tolhurst, chłopiec na posyłki, do usług. Mieszkania znajduję, raporty piszę, wydatki sprawdzam. - Przerwał na moment. - Przy okazji, niech pan sumiennie zapisuje wydatki - ile i na co. Londyn okropnie przejmuje się pieniędzmi. - Tolhurst wyjrzał na centralny dziedziniec, gdzie trzepotało na wietrze różnokolorowe pranie, rozwieszane na rozciągniętych między balkonami linkach, po czym odwrócił się do Harry'ego. - Niech mi pan coś powie - zapytał z ciekawością w głosie. - Czy Madryt bardzo się zmienił, od kiedy pan tu był za czasów Republiki?

- Tak. Wtedy też było źle, ale teraz wygląda gorzej. Jeszcze biedniej.

- Może sytuacja się poprawi. Teraz przynajmniej mają silny rząd.

- Może.

- Czy słyszał pan, że Dali kiedyś powiedział, iż Hiszpania to kraj chłopów, którzy potrzebują silnej ręki? Tak samo jest z Kubą, nie dają sobie rady z demokracją. Wszystko schodzi na psy. - Tolhurst pokręcił głową, jak by to było ponad jego siły. Harry poczuł przyływ gniewu, słysząc tak naiwne poglądy, ale zreflektował się, że to wszystko było również ponad jego siły. Bernie miał na wszystko odpowiedź, ale jego strona przegrała, a Bernie nie żył.

- Napije się pan kawy? - zapytał Tolhursta. - Jeśli jest.

- Jest, mieszkanie jest zaopatrzone. Ma pan też telefon, ale proszę uważać na to, co pan mówi, z pewnością jest na podsłuchu, bo jest pan z korpusu dyplomatycznego. Tak samo jest z listami do domu, cenzurują je. Więc niech pan będzie ostrożny, jeśli będzie pisał do rodziny albo do dziewczyny. Ma pan kogoś w kraju? - zapytał nieśmiało.

Harry pokręcił głową.

- Nie. A pan? - Nie. Nie wypuszczają mnie zbyt często z ambasady. - Tolhurst przyjrzał mu się z ciekawością. - Co zawiodło pana do Carabanchel, kiedy był pan tu poprzednio?

- Przyjechałem tu z Berniem Piperem. Moim komunistycznym przyjacielem. - Harry uśmiechnął się cierpko. - Na pewno wspomnieli o tym w mojej teczce.

- A... No tak. - Tolhurst lekko poczerwieniał.

- Zaprzyjaźnił się z rodziną, która tam mieszkała. To byli dobrzy ludzie; Bóg jeden wie, co się z nimi stało - westchnął. - Pójdę zrobić kawę.

Tolhurst spojrzął na zegarek.

- Właściwie nie powinienem. Muszę pojechać sprawdzić jakieś cholerne wydatki. Niech pan przyjedzie jutro do ambasady o dziewiątej, pokażemy panu, co się robi, kiedy jest się tłumaczem.

- Czy inni tłumacze wiedzą, że pracuję dla Hillgartha?

Tolhurst pokręcił głową.

- Chryste, jasne, że nie. To zwykli pracownicy korpusu dyplomatycznego, "którzy tańczą w cyrku Sama. - Zaśmiał się i wyciągnął ku Harry'emu swoją wilgotną dłoń. - Niech się pan nie przejmuj, jutro wszystkim się zajmujemy.

Harry odpiął kołnierzyk i zdjął krawat. Poczł na spoczonej szyi przyjemny powiew. Usiadł w skórzanym fotelu i przejrzał akta Forsytha. Niewiele w nich było: kilka innych zdjęć, szczegóły na temat jego pracy w Auxilio Social, kontakty w Falandze. Sandy mieszkał w dużym domu i płacił słono za dobra z czarnego rynku.

Na zewnątrz usłyszał surowy kobiecy głos, wołający dzieci do domu. Odłożył teczkę, podszedł do okna i spojrzął przez rozwieszane pranie na zacieniony dziedziniec, gdzie się bawiły. Otworzył okno i w nozdrza uderzył go zapach gotowania przemieszany ze smrodem zgnilizny. Zobaczył wychylającą się przez okno kobietę. Była młoda i ładna, ale nosiła czerń wdowy. Zawołała dzieci jeszcze raz. Wbiegły do środka. Harry odwrócił się i ogarnął spojrzeniem pokój. Był źle oświetlony i wydawało się, że jest w nim wiele ponurych zakamarków. Prostokątne ślady po plakatach lub obrazkach wyglądały wprost upiornie. Zastanawiał się, co wisiało na ścianach. Portrety Lenina i Stalina? W nieruchomym powietrzu było coś przytłaczającego. Prawdopodobnie kiedy Franco podbił Madryt, komuniści zostali stąd zabrani i rozstrzelani w jakiejś piwnicy. Harry pstryknął guzik, chcąc zapalić światło, ale nie działał. Podobnie było w przedpokoju; pewnie wyłączyli prąd.

Wcześniej niemiła była mu świadomość, że ma szpiegować San-dy'ego, ale teraz czuł narastający gniew. Sandy pracował dla falangi-stów, ludzi, którzy chcieli wojny z Anglią.

- Czemu, Sandy? - zapytał na głos. Dźwięk własnego głosu wystraszył go. Nagle poczuł się samotny. Był we wrogim kraju i pracował dla ambasady, targanej wewnętrznymi konfliktami. Tolhurst był do niego bardzo przyjaźnie nastawiony, ale Harry domyślał się, że będzie składał Hillgarthowi raport o tym, jakie Harry zrobił na nim wrażenie. Przypomniał sobie, że Hillgarth kazał mu traktować to jak przygodę i zaczął się zastanawiać, tak samo jak podczas szkolenia, czy na pewno jest odpowiednią osobą do tego zadania i czy zdoła mu sprostać. Nie wspominał nikomu o swoich wątpliwościach: to było ważne zadanie i potrzebowali go, żeby je wykonał. Ale przez moment poczuł, jak w zakamarki jego umysłu wdziera się panika.

Tak być nie może, pomyślał. Na stoliku stało radio. Włączył je. Szklany pulpit rozbłysnął światłem; widocznie włączyli z powrotem prąd. Przypomniał sobie, jak w czasie wakacji jeździł z Rookwood do stryjka i jak bawił się wieczorami radiem w salonie. Kręcił gałką i słyszał głosy z dalekich krajów: z Włoch, z Rosji, ostry skrzek Hitlera z Niemiec. Chciał móc zrozumieć wszystkie te głosy, które pojawiały się z daleka i znikwały, przerywane gwizdami i trzaskami. Od tego zaczęło się jego zainteresowanie językami. Teraz kręcił gałką, szukając BBC, ale był w stanie złapać jedynie hiszpańską stację nadającą muzykę wojskową.

Przeszedł do sypialni. Łóżko było świeżo postane, więc się na nim zaraz położył, czując nagły przyptyw zmęczenia; to był długi dzień.V >

Teraz kiedy bawiące się na dworze dzieci już sobie poszły, znowu uderzyła go cisza. Miał wrażenie, jakby Madryt został przykryty całunem. Miasto pod okupacją, powiedział Tolhurst. W uszach szumią mu krew, miał wrażenie, że głośniejszy w tym, na które niedostyszał. Pewnie powinien się rozpakować, ale pozwolił myślom odpłynąć w trzydziesty pierwszy rok, rok jego pierwszej wizyty w Madrycie. On i Bernie, obaj dwudziestoletni, przyjeżdżający z plecakami pewnego lipcowego dnia na dworzec Atocha. Pamiętał, jak wyszli z pachnącej sadzą stacji na rozgrzany gorącym słońcem plac. Na budynku Ministerstwa Rolnictwa powiewała czerwono-żółto-fioletowa flaga Republiki, która rysowała się wyraźnie na tle jasnoblękitnego nieba, tak jasnego, że musiał zmrużyć oczy.

Po tym, jak Sandy Forsyth opuścił w hańbie Rookwood, Bernie znowu wrócił do pokoju Harry'ego i ich przyjaźń się odnowiła: dwóch cichych, pilnych chłopców uczących się do egzaminów do Cambridge. Bernie w tamtych dniach nie dzielił się z nikim swoimi poglądami politycznymi. Trafił do drużyny rugby i cieszył się szybkością i brutalnością tej gry. Harry wolał krykieta; dzień, w którym przyjęli go do pierwszej jedenastki, był jednym z ważniejszych w jego życiu.

Tamtego roku siedmiu chłopców z ostatniej klasy zdawało do Cambridge. Harry był drugi, a Bernie pierwszy, dzięki czemu wygrał 50 funtów, nagrodę ufundowaną przez jednego z absolwentów. Bernie powiedział, że to więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek spodziewał się zobaczyć, o posiadaniu nie mówiąc. Jesienią zaczęli razem studia w Cambridge, ale w różnych college'ach i ich drogi stopniowo się rozeszły. Harry zadawał się z poważnymi, pilnymi ludźmi, podczas gdy Bernie spotykał się ze znużonymi studiami socjalistami. Od czasu do czasu wciąż spotykali się na drinka, ale coraz rzadziej. Harry nie widział go od ponad miesiąca, kiedy pewnego letniego poranka pod koniec ich drugiego roku nagle Bernie wtargnął bezceremonialnie do jego pokoju.

- Co robisz w wakacje? - zapytał, kiedy Harry zaparzył herbatę.

- Jadę do Francji. To już postanowione. Mam zamiar spędzić wakacje, podróżując po kraju, chcę nauczyć się mówić płynnie po francusku. Mój kuzyn Will z żoną też mieli pojechać, ale spodziewają się dziecka. - Westchnął; był rozczarowany, poza tym podróżowanie samemu go niepokoiło. - Czy znowu będziesz pracował w sklepie?

- Nie. Jadę na miesiąc do Hiszpanii. Dzieją się tam wspaniałe rzeczy. - Harry studiował hiszpański jako drugi język; wiedział, że tego roku w kwietniu upadła monarchia. Ogłoszono Republikę, a rząd liberałów i komunistów deklarował, że zapewni reformy i postęp jednemu z najbardziej zacofanych krajów Europy.

- Chcę to zobaczyć - mówił Bernie. Z jego twarzy bił entuzjazm. - Nowa konstytucja to konstytucja ludu, koniec właścicieli ziemskich i Kościoła. - Spojrzał w zamyśleniu na Harry'ego. - Ale nie chcę wcale jechać do Hiszpanii sam. Zastanawiałem się, czy miałbyś ochotę pojechać ze mną, zobaczyć ją na własne oczy, a nie tylko czytać zakurzone dzieła hiszpańskich dramatopisarzy. Jeśli nie chcesz jechać sam, mogę najpierw pojechać do Francji - dodał Bernie. - Też się tam wybierałem. A potem moglibyśmy pojechać dalej, do Hiszpanii. - Uśmiechnął się. Zawsze świetnie umiał przekonywać.

- W Hiszpanii warunki są dość prymitywne, prawda? Jak sobie tam damy radę?

Bernie wyciągnął z kieszeni pogniecioną legitymację Partii Pracy.

- To nam pomoże. Poznam cię z międzynarodowym bractwem socjalistycznym.

Harry się uśmiechnął.

- Mam ci policzyć za tłumaczenie? - Zorientował się, że to dlatego Bernie chce z nim jechać i nagle zrobiło mu się przykro.

Wsiadli na prom do Francji w kwietniu. Spędzili dziesięć dni w Paryżu, a potem bez pośpiechu zaczęli podróż na południe, jechali pociągami, spędzając noce w tanich schroniskach. To były przyjemne, leniwe dni, a Harry cieszył się, że powróciła ich beztroska przyjaźń z czasów Rookwood. Bernie zakuwał hiszpańską gramatykę, bo chciałkoniecznie móc się porozumieć z innymi. Częściowo zaraził Harry'ego swoim entuzjazmem względem Nowej Hiszpanii, jak ją nazywał, więc obaj z niecierpliwością wyglądali przez okno, kiedy tamtego gorącego letniego poranka pociąg zatrzymał się na dworcu Atocha.

Madryt był ekscytujący, nadzwyczajny. Chodzili po Centro i podziwiali domy obwieszone socjalistycznymi i anarchistycznymi flagami, pokrywające spękane mury starych budynków plakaty, które ogłaszały zloty i spotkania komitetów strajkowych. Tu i tam natrafiali na spalone kościoły, na ten widok Harry'ego przeszywał dreszcz, a Bernie uśmiechał się ponuro.

- Nie wygląda mi to na raj robotniczy - powiedział Harry, ocierając pot z czoła. Powietrze było rozżarzone, panował upał, jakiego żaden z angielskich chłopców nie był sobie w stanie wyobrazić. Stali przy Puerta del Sol, zgrzani i cali zakurzeni. Między tramwajami przemykali sprzedawcy na zaprzęgniętych w osły wozach, a w cieniu pod murami stali chłopcy od pucowania butów. Stare kobiety w czarnych szalach przesuwaly się koło nich niczym wiekowe, cuchnące ptaszyska.

- Chryste, Harry, od setek lat byli uciskani - powiedział Bernie. - Kościół' odegrał w tym niemałą rolę. Większość z tych spalonych kościołów była pełna srebra i złota. Przemiany zajmą dużo czasu.

Znaleźli pokój na drugim piętrze walącego się schroniska w małej uliczce obok Puerta del Sol. Na balkonie naprzeciwko nich często odpoczywały dwie prostytutki. Czasem rzucały w ich stronę jakąś sprośną propozycję. Harry czerwienił się i odwracał, ale Bernie odkrzykiwał, że nie mają pieniędzy na takie luksusy.

Upał wciąż był okropny; najgorętszą porę dnia spędzali w schronisku. Leżeli na łózkach w rozpiętych koszulach i czytali albo drzemali, rozkoszując się każdym nawet najmniejszym powiewem z okna. Późnym popołudniem zwykle spacerowali po mieście, a wieczory spędzali w barach.

Pewnego wieczoru w dzielnicy La Latina weszli do baru El Toro, gdzie, jak wyczytali w ogłoszeniu, miały się odbyć tańce flamenco. Bernie znalazł tę informację w „El Socialista”, socjalistycznej gazeciepełnej optymizmu i nadziei. Harry tłumaczył mu z niej różne artykuły. Kiedy weszli do środka, zaniepokoiły ich wiszące na ścianach głowy byków. Klienci byli głównie robotnikami, patrzyli z zaciekawieniem na Harry'ego i Berniego, wymieniając rozbawione spojrzenia. Chłopcy zamówili tłuste cocido¹ i usiedli na ławce pod transparentem ogłaszającym spotkanie komitetu strajkowego. Obok nich siedział krzepki mężczyzna o ogorzałej twarzy i obwisłych wąsach. Szmer rozmów przycichł, kiedy do środka weszło dwóch mężczyzn w obcisłych marynarkach i okrągłych, czarnych kapeluszach, niosąc gitary. Za nimi weszła kobieta w szerokiej czerwono-czarnej sukni, z głęboko wyciętym gorsetem i z czarną mantylą na włosach. Wszyscy troje mieli pociągłe twarze i cerę tak ciemną, że przypominali Harry'emu Singha, hinduskiego chłopca z Rookwood. Mężczyźni zegrali pierwsze nuty, a kobieta zaczęła śpiewać z taką zapalczywością, iż Harry nie mógł się od niej oderwać wzroku, mimo że nie nadążał za słowami. Wykonali trzy piosenki, każdą zakończoną owacjami, po czym jeden z mężczyzn obszedł salę z kapeluszem w ręku.

- Muy bien - powiedział Harry. - Muchas gracias². - Włożył do kapelusza pesetę.

Siedzący obok nich potężny mężczyzna powiedział coś do nich po hiszpańsku.

- Co on powiedział? - zapytał Bernie szeptem.

- Że śpiewali o ucisku ze strony posiadaczy ziemskich.

Robotnik przyglądał im się z zainteresowaniem i rozbawieniem.

- To dobre - powiedział łamanym hiszpańskim Bernie.

Krzepek mężczyzna skinął głową z aprobatą. Podał im rękę, twardą i zgrubiałą.

- Pedro Mera Garcia - powiedział mężczyzna. - Skąd jesteście?

- Inglaterra. - Bernie wyciągnął dłoń. - Partido Laboñsta Ingles. - Pedro uśmiechnął się szeroko.
- Bienvenidos, compadres³.

1 *Hiszpański gulasz.*

2 *Bardzo dobrze, bardzo dziękujemy.*

Witajcie, towarzysze. Tak zaczęła się przyjaźń Berniego z rodziną Mera. Traktowali go jak towarzysza, a apolitycznego Harry'ego jak jego niedorozwiniętego kuzyna. Harry'emu zapadł w pamięć szczególnie jeden wieczór na początku września, niedługo przed ich powrotem do Anglii. Wieczory były chłodniejsze, Bernie siedział na balkonie z Pedrem, jego żoną Ines i ich najstarszym synem Antoniem, który był w tym samym wieku, co Harry i Bernie, i tak jak ojciec był działaczem związkowym w cegielni. W środku, w salonie, Harry uczył trzyletnią Carmelę angielskich słówek. Francisco, jej chudy, chory na gruźlicę dziesięcioletni braciszek, siedział i obserwował swoimi dużymi, zmęczonymi oczami Carmelę, która siedziała na oparciu fotela Harry'ego i zafascynowana powtarzała z powagą dziwnie brzmiące wyrazy.

W końcu znudziło ją to i poszła pobawić się lalkami. Harry wyszedł na malutki balkon i spojrzał na plac, na którym przyjemna bryza wznosiła w górę kurz. Z dołu doszły do niego głosy. Sprzedawca piwa wysokim, przenikliwym głosem reklamował swoje produkty. Po ciemniejącym niebie krążyły gołębie, które wyglądały jak przebłyski bieli na tle czerwonych dachówek.

- Harry, pomóż mi - powiedział Bernie. - Chcę zapytać Pedra, czy rząd dostanie jutro wotum zaufania.

Harry zapytał i Pedro skinął głową.

- Powinien. Ale prezydent szuka wymówek, żeby pozbyć się Azańi. Zgadza się z monarchistami, że nawet te kiepskie reformy, które rząd próbuje przepchnąć, są atakiem na ich prawa.

Antonio zaśmiał się gorzko.

- Co też oni poczną, jeśli kiedykolwiek ich naprawdę pociągniemy do odpowiedzialności? - Pokręcił głową. - Propozycja reformy rolnej nie ma poparcia finansowego, bo Azańa nie chce podnieść podatków. Ludzie czują się zawiedzeni i są wściekli.

- Teraz kiedy macie Republikę - powiedział Bernie - stara Hiszpania nie może już wrócić.

Pedro skinął głową.

- Moim zdaniem socjaliści powinni wystąpić z rządu, wygrać wybory, zdobyć prawdziwą większość. Wtedy zobaczymy.- Ale czy klasy rządzące pozwoliłyby rządzić wam? Czy nie wezwą na pomoc armii?

Pedro podał Berniemu papierosa. Bernie zaczął palić od przyjazdu do Hiszpanii.

- Niech no spróbują - powiedział Pedro. - Niech spróbują, a zobaczą, jak zareagujemy.

Następnego dnia Harry i Bernie poszli do Cortes obserwować głosowanie nad wotum zaufania. Wokół budynku parlamentu stał tłum ludzi, ale dzięki Pedrowi mieli przepustki. Strażnik zaprowadził ich po marmurowych, niosących echo schodach do galerii nad salą obrad. W niebieskich ławach tłoczyli się deputowani w garniturach i surdutach. Przywódca lewicowych liberałów Azańa silnym głosem wygłaszał płomienną przemowę, machając przy tym jedną ręką. Zależnie od przekonań gazety przedstawiały go jako potwora o żabim pysku albo jako ojca Republiki, ale Harry'emu wydał się bardzo zwyczajny. Mówił z siłą, z pasją. Wygłosił jakąś kwestię i odwrócił się do siedzących za nim

deputowanych, którzy zaczęli bić brawo i wykrzykiwać wyrazy poparcia. Azaña przeciągnął dłoń po swoich rzadkich, siwych włosach i kontynuował, wyciszając osiągnięcia Republiki. Harry przyjrzał się twarzom w dole i rozpoznał kilku socjalistycznych polityków z gazet: okrągły, gruby Prieto; Largo Cabal-lero o kwadratowej twarzy i białych włosach, które nadawały mu zaskakująco burżuazyjny wygląd. Raz jeden Harry dał się porwać uniesieniu.

- Ożywiona gromadka, co? - wyszeptał do Berniego. Ale kiedy na niego spojrzął, zobaczył, że na twarzy przyjaciela maluje się gniew i wzgarda.

- Pieprzona szopka - powiedział z wściekłością Bernie. - Popatrz tylko na nich. Miliony Hiszpanów chcą normalnie żyć, a w zamian mają taki cyrk. - Ogarnął wzrokiem rozpościerające się pod nimi szepczące morze głów. - Jeśli mamy mieć socjalizm, potrzeba czegoś silniejszego niż to. Chodź, wynośmy się stąd.

Tamtego wieczoru poszli do baru w Centro. Bernie był zły i nastawiony cynicznie do wszystkiego.-

Demokracja - powiedział z wściekłością. - Wciąga tylko ludzi w burżujski system, nic poza tym. W Anglii jest tak samo.

- Ale zamienienie Hiszpanii w nowoczesny kraj zajmie lata - powiedział Harry. - A jaka jest alternatywa? Rewolucja i rozlew krwi, jak w Rosji?

- Robotnicy muszą wziąć sprawy w swoje ręce. - Spojrzął na Harry'ego i westchnął. - Do diabła z tym - powiedział. - Wracajmy do schroniska. Późno się robi.

Szli chwiejnie w milczeniu, obaj byli lekko pijani. W ich pokoju było duszno. Bernie zdjął koszulę i wyszedł na balkon. Naprzeciwko siedziały i piły alkohol dwie dziwki ubrane w kolorowe szlafroki. Zawołały do niego.

- ¡Ay, Ingles! ¿Por que no juegas eon nosotros?i

- Nie mogę przyjść do was się pobawić! - zawołał wesoło Bernie. - Nie mam pieniędzy!

- Nie chcemy pieniędzy! Powtarzamy ciągle, że chcemy, by ten blondyn przyszedł się do nas zabawić! - Kobiety wybuchnęły śmiechem. Bernie też się roześmiał i odwrócił się do Harry'ego. Harry czuł się nieswojo i był trochę zaskoczony.

- Masz- ochotę? - zapytał Bernie. Od dłuższego czasu żartowali o spotkaniu z hiszpańską prostytutką, ale to były tylko przechwałki, nic takiego nie zrobili.

- Nie. O Boże, Bernie, możesz się czymś zarazić.

Bernie wyszczerzył do niego zęby.

- Boisz się? - Przejechał ręką po swoich blond włosach, jego mięśnie zagrały pod skórą.

Harry się zarumienił.

- Nie chcę tego robić z dwiema pijanymi prostytutkami. Poza tym to ciebie pragną, nie mnie. - Poczł przyływ zazdrości, nie pierwszy raz. Bernie miał coś, czego mu brakowało: energię, brawurę, chęć życia. Nie tylko urodę.

- Ciebie też by poprosiły, gdybyś wyszedł na balkon.

i Hej, Angliku! Czemu się z nami nie pobawisz?- Nie idź - powiedział Harry. - Możesz się czymś zarazić.

W oczach Berniego widać było podniecenie.

- Ja idę. Chodź. Ostatnia szansa. - Bernie zachichotał i uśmiechnął się do niego. - Harry, musisz się nauczyć żyć, stary. Naucz się żyć.

Dwa dni później wyjechali z Madrytu. Antonio Mera pomógł im zanieść bagaże na stację.

Przesiadali się z jednego tramwaju do drugiego przy Puerta del Toledo. Było popołudnie, czas sjeisty, zalane słońcem ulice były puste. Minęła ich jadąca wolno ciężarówka, przykryta różnokolorową plandeką, a z boku widniał napis „La Barraca”.

- Nowy teatr Lorki, dla ludu - powiedział Antonio. Był wysokim, ciemnym młodzieńcem, krzepkim jak jego ojciec. Wykrzywił wargi w uśmiechu, w którym była nuta szyderstwa. - Ma zamiar pokazać Calderona chłopom.

- To chyba dobrze, nie? - powiedział Harry. - Myślałem, że reformy Republiki objęły także edukację.

Antonio wzruszył ramionami.

- Zamknęli szkoły jezuickie, ale nie ma dość nowych. Stara historia, partie burżuazyjne nie opodatkują bogaczy, żeby za nie zapłacili.

W pewnej odległości usłyszeli trzask, który brzmiał jak strzał z gaźni-ka samochodu. Usłyszeli ten sam dźwięk jeszcze dwa razy, bliżej. Z bocznej uliczki wypadł chłopak w wieku Harry'ego i Berniego. Miał na sobie flanelowe spodnie i ciemną koszulę - drogie ubranie jak na Carabanchel. Na jego błyszczącej od potu twarzy malowało się przerażenie, oczy miał szeroko otwarte. Pognał ulicą i zniknął w jakiejś alejce.

- Kto to był? - spytał Harry.

Antonio wziął głęboki oddech.

- Sam się zastanawiam. Może jeden z faszystów Redonda.

Pojawiło się dwóch kolejnych młodych ludzi w podkoszulkach

i spodniach roboczych. Jeden z nich trzymał w ręku coś małego i czarnego. Harry patrzył z otwartymi ze zdumienia ustami, bo zorientował się, że to pistolet.

- Tam! - zawołał Antonio, wskazując kierunek, gdzie pobiegł chłopak. - Tam pobiegł!

- 'Gracias, compadre! - chłopak zsalutował bronią i obaj pobiegli dalej. Harry wstrzymał oddech i czekał na kolejne strzały, ale nic się nie stało.

- Oni chcieli go zabić - wyszeptał, wstrząśnięty.

Przez moment zdawało się, że Antonio ma wyrzuty sumienia. Zmarszczył brwi.

- Był z JONS2. Musimy powstrzymać faszystów, zbyt szybko się mnożą.
- A kim byli ci dwaj?
- Komuniści. Zaprzysięgli sobie, że ich powstrzymają. Życzę im powodzenia.
- Mają rację - zgodził się Bernie. - Faszyci to zaraza. Najgorsi z najgorszych.
- Ale to był tylko uciekający chłopak - zaprotestował Harry. - Nie miał broni.

Antonio zaśmiał się gorzko.

- Oj, oni mają broń. Ale hiszpańscy robotnicy nie zginą tak jak włoscy.

Przyjechał tramwaj, zwykły, dzwoniący tramwaj. Wsiedli do niego. Harry przyjrzał się uważnie Antoniowi. Wyglądał na zmęczonego; tej nocy miał kolejną zmianę w cegielni. Bernie ma więcej wspólnego z nim niż ze mną, pomyślał ze smutkiem.

Harry leżał na łóżku, do oczu napłynęły mu łzy. Przypomniał sobie, jak w pociągu w drodze powrotnej Bernie powiedział mu, że nie wraca do Cambridge. Miał dość życia z dala od prawdziwego świata, chciał wrócić do Londynu, gdzie toczyła się walka klas. Harry myślał, że

¹ *Dziękujemy, towarzyszu!*

² *Juntas de Ofensiva Nacional-Sindicalista - Związek Nacjonalistyczno-Syndykalistycznej Ofensywy.*

zmieni zdanie, ale nie; na jesieni Bernie nie pojawił się w Cambridge. Przez jakiś czas wymieniali korespondencję, ale listy od Berniego na temat strajków i antyfaszystowskich demonstracji były w pewnym sensie tak obce, jak te o wyścigach psów od Sandy'ego Forsytha, więc po jakimś czasie przestali do siebie pisać.

Harry wstał. Zrobił się niespokojny. Musiał wyjść z mieszkania, cisza działała mu na nerwy. Umył się, zmienił koszulę, po czym zszedł po wilgotnych schodach na dół.

Na placu wciąż panowała cisza. Ze źle działających ścieków unosił się znajomy lekki smród uryny. Przypomniał sobie obrazek, wiszący kiedyś u niego na ścianie, który biedzie i pragnieniom nadawał pozór romantyzmu. W trzydziestym pierwszym był naiwny chłopakiem, ale jego przywiązanie do widoku dziewczyny uśmiechającej się do Cygana przetrwało. Wtedy myślał, że scenka wkrótce będzie należeć do przeszłości; podobnie jak Bernie miał nadzieję, że Hiszpania się rozwinie. Ale Republika upadła, zapanował chaos, potem przyszła wojna domowa, a teraz nastał faszyzm.

Harry przespacerował się wokół placu i zatrzymał się przed piekarnią. Na wystawie nie było wiele, ledwie kilka barras de pan1, brakowało małych lepkich ciasteczek, które Hiszpanie uwielbiali. Pewnego popołudnia Bernie zjadł pięć, a wieczorem uzupełnił je paellą, i wyjątkowo efektownie się pochorował.

Dwóch robotników minęło Harry'ego, posyłając mu wrogie spojrzenia. Czuł się nieswojo w dobrze skrojonej marynarce i pod krawatem. Na rogu placu zauważył kościół; pewnie spalony w trzydziestym szóstym. Bogato zdobiona fasada wciąż stała, ale nie było dachu, a przez zarośnięte chwastami okna widać było niebo. Zapisana kredką tablica informowała, że msze odbywają się obok, w domu księdza, który wysłuchiwał także spowiedzi. Informacja kończyła się napisem .'Arriba España.'².

Harry zdążył już zorientować się w stronach świata. Idąc dalej pod górę, doszedłby do Plaza Mayor. El Toro, bar, w którym spotkali z Ber-

1 **Bochenki chleba.**

2 **Niech żyje Hiszpania!**

niem Pedra, był po drodze.

Niegdyś ulubione miejsce spotkań socjalistów. Ruszył dalej przed siebie. Jego kroki odbijały się echem w wąskich uliczkach, owiewał go miły, chłodny wieczorny wiatr. Cieszył się, że wyszedł na dwór.

Bar El Toro wciąż stał tam gdzie kiedyś. Przed wejściem na wietrze kotysał się szyld. Harry zawahał się, nim wszedł. Przez ostatnie dziewięć lat nic się nie zmieniło: na ścianach wciąż wisały głowy byków, stare, pożółkłe od nikotyny czarno-białe plakaty reklamujące corridę. Socjaliści byli im przeciwni, ale właściciel podawał dobre wino i wspierał ich sprawę, więc mu to wybaczała.

W środku było tylko kilku starszych mężczyzn w beretach. Zmierzyli Harry'ego nieprzyjaznymi spojrzeniami. Zniknął młody, energiczny zapamiętany przez Harry'ego właściciel, biegnąc w tę i z powrotem za załoczonym barem. Zamiast niego za ladą stał przysadzisty mężczyzna w średnim wieku o ociężałej, kwadratowej twarzy. Przekrzywił pytająco głowę.

- Senor?

Harry zamówił kieliszek czerwonego wina. Pogrzebał w kieszeni, szukając nieznanym mu monet ozdobionych jak wszystko inne strzałami i jarzmem falangistów. Barman postawił przed nim wino.

- Aleman? - zapytał. Niemiec?

- No. Ingles¹.

Barman uniósł brwi i odwrócił się. Harry usiadł na ławce. Wziął zostawiony przez kogoś egzemplarz „Arriby”, gazety Falangi. Cienki papier zaszeleścił. Na pierwszej stronie było zdjęcie pirenejskiej drogi, na której hiszpański żołnierz straży granicznej ściskał dłoń niemieckiemu oficerowi. W artykule była mowa o wiecznej przyjaźni, o tym, jak Führer i caudillo mieli razem decydować o przyszłości zachodniej części Morza Śródziemnego. Harry popił łyk wina; było kwaśne jak ocet.

Przyjrzał się zdjęciu, które milcząco słało nowy porządek. Przypomniał sobie, jak powiedział kiedyś Berniemu, że wierzył w wartości promowane przez Rookwood. Pewnie zabrzmiało to patetycznie. Bernie

1 Proszę pana?; Niemiec?; Nie, Anglik.

roześmiał się z niecierpliwością i powiedział mu, że szkoła w Rookwood była obozem szkoleniowym dla kapitalistycznych elit. Może i tak, pomyślał Harry, ale to i tak były lepsze elity niż te Hitlera. Mimo wszystko to wciąż była prawda. Przypomniał sobie kroniki filmowe, które pokazywały, co działo się w Niemczech: starzy Żydzi czyszczący ulice szczoteczkami do zębów, otoczeni przez roześmiany tłum.

Podniósł wzrok. Barman rozmawiał cicho z dwoma klientami. Coraz na niego spoglądali. Harry zmusił się, by opróżnić kieliszek, i wstał. - Adiós - rzekł, ale odpowiedziało mu milczenie.

Na dworze było teraz więcej ludzi: porządnie ubrani urzędnicy, z klasy średniej, wracali do domów. Przeszedł przez sklepiony łuk bramy i znalazł się na Plaza Mayor, niegdyś centrum Madrytu, gdzie odbywały się festiwale i pronunciamientos¹. Dwie duże fontanny były suche, ale wokół szerokiego placu wciąż stały kawiarnie. Przy małych stolikach siedzieli urzędnicy, pijąc kawę albo sącząc brandy. Ale nawet tutaj wystawy sklepów świeciły pustkami, a ze starych budynków łuszczyła się farba. W bogato zdobionych bramach przycupnęli żebracy. Po placu krążyło dwóch civiles.

Harry przystanął, nie mógł się zdecydować, czy wypić kawę. Latarnie uliczne zaczęły się zapalać, na razie słabe i jasne. Harry przypomniał sobie, jak łatwo było się zgubić w wąskich uliczkach albo potknąć o jakąś dziurę w jezdni. Dwóch żebraków wstało i zaczęło iść w jego kierunku. Odwrócił się.

Kiedy opuścił plac, zobaczył, że idąca przed nim kobieta zatrzymała się nagle. Stała plecami do niego. Miała na sobie drogą białą suknię. Jej rude włosy przykrywał kapelusik. Harry zdumiony też się zatrzymał. To z pewnością była Barbara. To były jej włosy, jej sposób chodzenia. Kobieta ruszyła przed siebie, po czym gwałtownie skręciła w boczną uliczkę. Szła szybko, w zapadającym mroku jej figura rozmyła się w białą plamę.

Harry ruszył za nią, ale zatrzymał się niepewnie na rogu, nie wiedząc, czy powinien biec dalej. To nie mogła być Barbara, niemożliwe, żeby tu została. Poza tym Barbara nigdy nie włożyłaby takiej sukni.

¹ Oficjalne deklaracje dokonania przewrotu wojskowego.

Rozdział piąty

Tego ranka Barbara jak zwykle obudziła się, kiedy zegar kościoła po drugiej stronie ulicy wybił siódmą. Ocknęła się ze snu, czując obok siebie rozgrzane ciało Sandy'ego. Przytuliła twarz do jego ramienia. Poruszyła się, a on jęknął cicho niczym dziecko. Nagle przypomniała sobie o czymś i poczuła wyrzuty sumienia. Dziś miała spotkać się z kontaktem Markby'ego; kulminacja wszystkich kłamstw, których naopowiadała Sandy'emu.

Odwrócił się i uśmiechnął, na wpół obudzony.

- Dzień dobry, kochanie.
- Cześć, Sandy. - Pogładziła go delikatnie po szorstkim policzku.

Westchnął.

- Powinienem wstawać. Mam o dziewiątej spotkanie.
- Zjedz porządne śniadanie, Sandy. Poproś Pilar, żeby ci coś przyrządziła.

Potań oczy.

- Nie muszę, wypiję po drodze kawę. - Pochylił się nad nią z przewrotnym uśmiechem. - Zostawię cię samą z twoim angielskim śniadaniem. Możesz zjeść wszystkie płatki kukurydziane. - Pocałował ją, łaskocząc jej wargi węsami. Wstał i otworzył szafę koło łóżka. Kiedy przebierał w

ubraniach, Barbara podziwiała grę mięśni pod jego skórą i płaski, napięty brzuch. Sandy nie wykonywał żadnych ćwiczeń i jadł, co popadło; to, jak potrafił zachować taką sylwetkę, było dla niej zagadką. Zobaczył, że mu się przygląda, i uśmiechnął się, wykrzywając jeden kącik ust, zupełnie jak Clark Gable.- Chcesz, żebym wrócił do łóżka?

- Musisz lecieć. Co masz dzisiaj rano, komitet do spraw Żydów?
- Tak. Pięć nowych rodzin. Nie mają nic oprócz tego, co zabrali ze sobą z Francji.
- Uważaj, Sandy. Nie podpadnij reżimowi.
- Franco nie traktuje poważnie antyżydowskiej propagandy. Ale musi pozostawać w dobrych stosunkach z Hitlerem.
- Ja też chciałabym pomagać. Mam dużo doświadczenia z uchodźcami.
- To kwestia dyplomacji. To nie jest zajęcie dla kobiety; wiesz, jacy Hiszpanie są pod tym względem.

Spojrzała na niego poważnie; poczuła znowu wyrzuty sumienia.

- To, co robisz, Sandy, jest ważne. Naprawdę.

Uśmiechnął się.

- Odpokutowuję za moje wszystkie grzechy. Wrócę późno, przez całe popołudnie mam spotkanie w Ministerstwie Górnictwa. - Podeszedł do toaletki. Z tej odległości bez okularów Barbara nie widziała wyraźnie jego twarzy. Przewiesił garnitur przez krzesło i przeszedł do łazienki. Sięgnęła po papierosa i leżała, paląc, podczas gdy Sandy się mył. Kiedy wrócił, ogolił się i ubrał. Podeszedł do łóżka i pochylił się, żeby ją pocałować. Jego policzki były gładkie.

- Niektórym to dobrze - powiedział.
- To ty mnie nauczyłeś, jak być leniwą, Sandy. - Barbara posłała mu smutny półuśmiech.
- Co robisz dzisiaj?

- Niewiele. Chociaż później może przejdę się do Prado. - Zastanawiała się, czy Sandy wyczuje lekkie drżenie w jej głosie, które pojawiło się razem z kłamstwem, ale on tylko pogłaskał ją po policzku i podeszedł do drzwi. Jego sylwetka znowu się rozmyła.

Markby'ego spotkała na uroczystej kolacji, którą wydali trzy tygodnie wcześniej. Większość gości stanowili rządowi urzędnicy i ich żony. Kiedy kobiety wstały od stołu, mężczyźni zajęli się interesami, zaśpiewali też jakąś pieśń Falangi. Był tam reporter „Daily Express”, którego Sandy spotkał pewnego razu w barze uczęszczanym przez falangistów. Był nieśmiałym mężczyzną w średnim wieku, nosił przy-dużą marynarkę. Wydawał się niespokojny i Barbarze zrobiło się go żal. Zapytała, nad czym pracował, a on nachylił się blisko niej i ściszył głos. Mówił z silnym bristolskim akcentem.

- Próbuję dowiedzieć się czegoś o obozach koncentracyjnych dla republikańskich więźniów. W czasie wojny domowej Beaverbrook nie ruszyłby takiego tematu, ale teraz to co innego.

- Słyszałam plotki - powiedziała, mając się na baczności. - Ale jeśli coś takiego miałyby miejsce, Czerwony Krzyż z pewnością by się zorientował. Widzi pan, pracowałam dla nich. Podczas wojny domowej.

- Naprawdę? - Markby spojrział na nią zaskoczony. Barbara zdawała sobie sprawę, że tego wieczoru była jeszcze bardziej niezręczna i niezdarna niż zwykle, wiedziała, że robi błędy w swojej hiszpańsz-czyźnie. Kiedy poszła do kuchni sprawdzić, jak się sprawuje Pilar, zaparowały jej okulary, więc wychodząc, wytarła je rąbkiem sukienki. Sandy postąpił jej gniewne spojrzenie.

- Naprawdę - odparła trochę ostro. - i gdyby zaginęło wielu ludzi, oni by o tym wiedzieli.

- Po której stronie frontu pani była?

- Po obu, zależy kiedy.

- To była krwawa jatka.

- To była wojna domowa, Hiszpan przeciwko Hiszpanowi. Trzeba zrozumieć to, żeby zrozumieć rzeczy, które się tam działy.

Dziennikarz, mówił cicho. Po drugiej stronie stołu Inès Vilar Cuesta przewodziła chórowi kobiet domagających się nylonowych pończoch.

- Po zwycięstwie Franco aresztowano wiele osób. Ich rodziny myślą, że zginęli, ale wielu z nich trafiło do obozów. Poza tym w czasie wojny wzięto wielu ludzi do niewoli; są na Ustach zaginionych, ale uważa się, że polegli. Franco używa ich jako siły roboczej.

Barbara zmarszczyła brwi. Od dawna próbowała sobie wmówić, że teraz, kiedy Franco wygrał, trzeba go wspierać w odbudowie Hiszpanii. Ale było jej coraz trudniej przymykać oczy na to, co się działo; wiedziała, że w słowach dziennikarza mogło kryć się ziarenko prawdy.

- Czy ma pan dowody? - spytała. - Kto panu o tym powiedział?

Pokręcił głową.

- Przykro mi, nie mogę tego zdradzić. Nie wolno mi ujawniać źródeł. - Rozejrzał się bacznie po towarzystwie. - Zwłaszcza tutaj.

Zawahała się, po czym zniżyła głos do szeptu.

- Znam kogoś, kto został uznany za zaginionego i przypuszczalnie nie żyje. Zginął w 1937 nad Jaramą. Członek brytyjskich Brygad Międzynarodowych.

- Po stronie republikanów? - Markby uniósł swoje jasne, rzadkie brwi.

- Nigdy nie podzielałam jego poglądów. Nie mieszam się do polityki. Ale on nie żyje - dodała beznamiętnie. - Po prostu nigdy nie znaleziono jego ciała. Bitwa nad Jaramą była straszna, zginęły tysiące żołnierzy. Tysiące. - Nawet teraz, po trzech latach, na samą myśl o tym czuła ucisk w żołądku.

Markby przekrzywił głowę w zamyśleniu.

- Wiem, że większość zagranicznych jeńców odesłano z powrotem. Ale słyszałem, że część spraw udało się zataić. Gdyby mogła mi pani podać jego nazwisko i rangę, może będę mógł się czegoś dowiedzieć. Jeńcy wojenni są trzymani w oddzielnym obozie obok Cuenki.

Barbara spojrzała na gości. Kobiety otoczyły wysokiego rangą urzędnika z Ministerstwa Zaopatrzenia i nalegały, żeby załatwił im nylonowe pończochy. Tego wieczoru widziała Nową Hiszpanię od jej najgorszej strony, chciwą i skorumpowaną. Sandy siedział u szczytu stołu i uśmiechał się do nich wszystkich pobłażliwie, ale z sarkazmem. Takiej pewności siebie uczono w prywatnych szkołach. Uderzyło ją, że chociaż Sandy miał ledwie 31 lat, koszula od fraka, wypomadowane i zaczesane do tyłu włosy oraz wąsy sprawiały, iż wyglądał, jakby był o dziesięć lat starszy. Starannie pielęgnował to wrażenie. Odwróciła się z powrotem do Markby'ego i wzięła głęboki oddech.- To nie ma sensu. Bernie nie żyje.

- Rzeczywiście, jeśli walczył nad Jaramą, szanse, że przeżył są nikłe. Ale nigdy nie wiadomo. Nie zaszkodzi sprawdzić. - Uśmiechnął się do niej. Barbara pomyślała, że miał rację, nawet jeśli szansa była bardzo niewielka.

- Nazywał się Bernard Piper - powiedziała szybko. - Był szeregowcem. Ale proszę...

- O co?

- Proszę mi nie robić fałszywych nadziei.

Przez chwilę studiował ją swoim dziennikarskim spojrzeniem.

- Nie chciałbym tego, pani Forsyth. To ledwie cień szansy. Ale warto sprawdzić.

Skinęła głową. Markby rozejrzał się po gościach: garnitury i suknie od projektantów mody mieszały się z mundurami. Swoimi bystrzymi oczami spojrzął znowu na Barbarę.

- Obraca się pani teraz w trochę innych kręgach.

- Zostałam wysłana do pracy w strefie należącej do nacjonalistów, po tym jak Bernie... jak Bernie zaginął. Tam spotkałam Sandy'ego.

Markby skinął głową w stronę gości.

- Przyjaciele pani męża mogliby być niezadowoleni, że węszy pani za jeńcami wojennymi.

Zawahala się.

- To prawda.

Markby uśmiechnął się uspokajająco.

- Niech pani to zostawi mnie. Zobaczę, czy będę się w stanie czegoś dowiedzieć. Entre nous¹.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Nie sądzę, żeby miał pan z tego historię do gazety.

Wzruszył ramionami.

- Lubię pomagać rodakom, kiedy tylko mogę. - Posłał jej słodki uśmiech, dziwnie niewinny, chociaż przecież wcale nie był niewiniątkiem.

i Między nami. Jeśli znajdzie Berniego i historia trafi do gazet, myślała Barbara, to będzie dla niej koniec życia tutaj. Przeszedł ją dreszcz, kiedy zdała sobie sprawę, że jeśli Bernie żyje, nic innego się dla niej nie liczy.

Wstała i włożyła jedwabny szlafrok, który Sandy podarował jej w zeszłym roku na święta. Otworzyła okno, wychodzące na pełen kolorowych kwiatów ogród. Był kolejny upalny dzień. Trudno sobie wyobrazić, że za półtora miesiąca przyjdą zimowe mgły i przymrozki.

Potknęła się o krzesło i zakłęta. Z szuflady toaletki wzięła okulary. Spojrzała w lustro. Sandy nalegał, by dawała sobie bez nich radę, kiedy tylko może, i żeby dokładnie zapamiętała rozkład mieszkania i nie wpadała na meble.

- Kochanie, czy nie byłoby świetnie - mówił - gdybyś chodziła pewnie po mieszkaniu, witając ludzi i nikt nie wiedziałby, że jesteś trochę krótkowzroczna?

Był uczulony na punkcie okularów, nienawidził, gdy je nosiła, ale chociaż ona także ich nie cierpiała, kiedy tylko była sama, zakładała je. Potrzebowała ich. - Pieprzony nonsens - wymamrotała pod nosem, kiedy wyjmowała lokówki. Rozczesała swoje gęste, kasztanowe włosy, spływające falami po ramionach. Miała dobrą fryzjerkę, jej fryzura nigdy już nie wydawała się nieuporządkowana. Ostrożnie umalowała się, nałożyła cień do powiek, który podkreślał jej jasnozielone oczy, oraz puder, podkreślający kości policzkowe. Sandy ją tego nauczył.

- Wiesz, sama możesz zdecydować, jak wyglądasz - powiedział. - Skłonić ludzi, by cię widzieli taką, jaką chcesz, żeby cię zobaczyli. Jeśli oczywiście chcesz. - Nie była skłonna mu uwierzyć, ale nalegał. I miał rację: po raz pierwszy w życiu, trochę speszona, zaczęła kwestionować swoje przekonanie, że jest brzydka. Nawet kiedy była z Berniem zastanawiała się, co w niej widział, mimo jego ciągłych zapewnień. Do oczu napłynęły jej łzy. Prędko zamrugowała, by je odpędzić. Dzisiaj musi być silna, myśleć jasno.

Z kontaktem Markby'ego miała spotkać się dopiero po południu. Najpierw miała zamiar pójść do Prado; nie potrafiła znieść czekania, zamknięcia w domu przez cały dzień. Założyła swoją najlepszą wyjściową sukienkę, białą w róże. Ktoś zapukał do drzwi; weszła Pilar. Dziewczyna była opryskliwa, miała okrągłą twarz i czarne kręcone włosy, które usilnie próbowały wydostać się spod jej czepka służącej. Barbara zwróciła się do niej po hiszpańsku.

- Pilar, przygotuj, proszę, śniadanie. Porządne, poproszę tosty, sok pomarańczowy i jajka.

- Nie ma soku, señora, nie mieli wczoraj w sklepach.

- Trudno. Poproś potem sprzątaczkę, żeby spróbowała gdzieś dostać, dobrze?

Dziewczyna wyszła. Barbara chciałaby, żeby się od czasu do czasu uśmiechnęła. Ale może straciła kogoś w wojnie domowej; praktycznie jak wszyscy. Barbarze wydawało się, że czasem w głosie Pilar słyszy nutkę wzgardy, kiedy mówiła señora, tak jakby wiedziała, że Sandy nie jest naprawdę jej mężem. Powtarzała sobie, że to tylko jej wyobraźnia. Nie miała żadnego doświadczenia ze służbą i kiedy pierwszy raz przyszła do tego domu, czuła się niespokojna w obecności Pilar, była

zdegenerowana i bardzo chciała jej dogodzić. Sandy powiedział jej, że ma się wyrażać jasno i precyzyjnie, kiedy wydaje polecenia, i zawsze musi trzymać dystans.

- Oni tak wolą, skarbie. - Przypomniała sobie Marię Herreirę, która powtarzała jej, by nigdy nie ufać służbie, bo wszyscy pochodzą z chłopstwa, a połowa z nich to komuchy. Mówiła tak, chociaż była dobrą kobietą, pracowała dla Kościoła jako wolontariuszka i pomagała starym ludziom. Zapaliła kolejnego papierosa i zesłała na dół na śniadanie, zjeść płatki kukurydziane, które Sandy potrafił wyczarować w zagłodzonym Madrycie, gdzie jedzenie było na kartki.

Kiedy w 1936 roku wybuchła w Hiszpanii wojna domowa, Barbara pracowała od trzech lat w Genewie, w kwaterze głównej Czerwonego Krzyża, w dziale do spraw wysiedleńców. Zajmowała się znajdowaniem ludzi ze wschodniej Europy, którzy zostali oderwani od swoich rodzin podczas wielkiej wojny i wciąż uważano ich za zaginionych. Szukała nazwisk w archiwach, pisała listy do ministerstw spraw wewnętrznych od Rygi do Budapesztu. Udało jej się doprowadzić do spotkania wielu ludzi i mogła powiedzieć, że nie marnowała czasu. Wiele rodzin dzięki niej zyskiwało pewność co do losu swoich krewnych, nawet jeśli polegli.

Z początku praca ją podniecała, to była odmiana po Birmingham, gdzie była pielęgniarką. Zatrudnili ją częściowo dzięki temu, że przez wiele lat pracowała dla brytyjskiego Czerwonego Krzyża. Ale po czterech latach zaczęło jej się nudzić. Miała dwadzieścia sześć lat, zbliżała się trzydziestka i zaczęła się obawiać, że powoli kostnieje pośród uporządkowanych archiwów w statecznej szarzyźnie Szwajcarii. Poszła na rozmowę ze szwajcarskim urzędnikiem, pracującym w eleganckim biurze z widokiem na gładką taflę jeziora.

- W Hiszpanii jest źle - powiedział jej. - Tysiące ludzi znalazło się po jednej stronie frontu, a ich rodziny po drugiej. Wysyłamy leki i próbujemy organizować wymiany. Ale to krwawa wojna. Rosjanie i Niemcy zaczynają się w nią mieszać. - Spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem znad swoich połówkowych okularów. Nadzieje rozbudzone w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym, że wielka wojna miała zakończyć wszystkie wojny, zgasły. Najpierw Mussolini w Abisynii, teraz to.

- Chciałabym pojechać do pracy w terenie, proszę pana - powiedziała stanowczo Barbara.

Przyjechała do niemożliwie upalnego Madrytu we wrześniu 1936 roku. Franco nadciągał z południa; przetransportowane przez Hitlera samolotami via Gibraltar marokańskie oddziały kolonialne były ledwie sto trzydzieści kilometrów od miasta. Roilo się tam od obszarpanych, uchodźców, zagubionych wiejskich rodzin, które ciągnęły po ulicach olbrzymie toboły albo tłoczyły się w wozach zaprzęzonych w osły. Dopiero teraz zobaczyła na własne oczy związany z wojną chaos. Nigdy nie zapomni starego mężczyzny, który minął ją tego pierwszego dnia. Niósł ze sobą wszystko, co mu zostało: przerzucony przez ramię brudny materac i kanarka w drewnianej klatce. Był symbolem wszystkich uchodźców, wysiedleńców, ludzi z miejsc ogarniętych pożogą wojenną.

Komunistyczni żołnierze ochotnicy przejeżdżali obok w trzęsących się ciężarówkach i autobusach. Jechali na front - zwykli madrytczyki, których jedynymi mundurami były granatowe kombinezony robotnicze i czerwone chusty na szyi. Mieli przestarzałą broń. Kiedy przejeżdżali, wykrzykiwali hasło republikańskiego oporu. ¡No pasaran! Barbara wierzyła w pokój i chciała jej się płakać z żalu nad wszystkimi, a z początku także z żalu nad samą sobą. Bała się; przerażał ją chaos, opowieści o okrucieństwach popełnianych przez obie strony, krążące po niebie samoloty faszystów, przez które

ludzie zatrzymywali się, patrzyli w niebo i czasami uciekali do metra w poszukiwaniu schronienia. Pewnego razu zobaczyła spadający grad bomb, chwilę potem w zachodniej części miasta wykwitł słup dymu. Europa od lat bała się bombardowań miast: teraz stały się rzeczywistością.

Misja Czerwonego Krzyża mieściła się w malutkim biurze w centrum miasta. Była to oaza zdrowego rozsądku, w której pracowało kilkoro mężczyzn i kobiet, głównie ze Szwajcarii. Rozdzielali zapasy leków i organizowali wymiany dzieci uchodźców. Barbara nie mówiła wprawdzie po hiszpańsku, ale znała dobrze francuski i z ulgą odkryła, że jest się w stanie porozumieć.

- Potrzebujemy pomocy przy wymianie uchodźców - powiedział do niej drugiego dnia dyrektor, pan Doumergue. - Setki dzieci straciły kontakt z rodzinami. Mamy całą grupę z Burgos, która była na letnim obozie w Guadarramie¹, chcemy wymienić je na madryckie dzieci, które utknęły w Sewilli. - Dyrektor, młody mężczyzna o okrągłej, zmęczonej twarzy, był Szwajcarem typowym, spokojnym i poważnym. Barbara zdawała sobie sprawę, że ostatnio zbyt często wpada w panikę, co było do niej niepodobne. W Birmingham wszyscy zawsze mogli na niej polegać. Musi zebrać się w sobie. Odgarnęła z czoła niesforny lok rudych włosów.

i łańcuch górski na północ od Madrytu.

- Oczywiście - odparła. - Co mam zrobić?

Tego popołudnia poszła do klasztoru, w którym zostały zakwaterowane dzieci, by spisać ich dane. Poszła z nią Monique, tłumaczka z biura. Była drobną, zgrabną kobietą, miała na sobie elegancką sukienkę i wyprasowaną bluzkę. Przeszły przez Puerta del Sol, mijając wielkie plakaty z prezydentem Azañą, Leninem i Stalinem. Monique skinęła głową w stronę Stalina.

- Wszystko zmierza w tę stronę - powiedziała. - Tylko Rosja pomaga republikanom. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Plac był zastawiony megafonami, słychać było wznoszący się i opadający głos kobiety, przerywany głuchymi piskami z głośników. Barbara spytała, o czym mowa.

- To Dolores Ibarruri. La Pasionaria. Mówi gospodyniom domowym, że kiedy przyjdą faszyci, mają łać im z balkonów na głowy wrzącą oliwę.

Barbarę przeszył dreszcz.

- Gdyby tylko obie strony zrozumiały, że wszystko zostanie zniszczone.

- Na to już za późno - odparła ponuro Monique.

Weszły do klasztoru przez solidne drewniane drzwi w wysokim murze, który miał bronić siostry przed resztą świata. Drzwi stały otworem, a po drugiej stronie małego dziedzińca z karabinem na ramieniu pełnił wartę strażnik z armii ochotniczej. Budynek w środku był wypalony; w oknach nie było szyb, a po ścianach pięły się w górę czarne ślady sadzy. W powietrzu unosił się mdlący smród dymu.

Barbara stanęła na dziedzińcu.

- Co tu się stało? Myślałam, że dzieci są z zakonnkami...

- Wszystkie zakonnice pouciekały. Księża też. Przynajmniej ci, którym się udało. Motłoch spalił w lipcu większość kościołów i klasztorów. - Monique przyjrzała się jej uważnie. - Jesteś katoliczką?
- Nie, nie. Nie jestem właściwie wierząca. Po prostu ten widok mną wstrząsnął.
- Na tyłach nie jest tak źle. Zakonnice prowadziły szpital, są tam łóżka.

Hol wejściowy został spalony i zdemolowany, na podłodze wśród potłuczonych figur leżały powyrywane z brewiarzy kartki.

- To musiało być potworne dla zakonnice - powiedziała Barbara. - Były tu odcięte od świata, aż nagle wdarł się tu tłum i wszystko spalił.

Monique wzruszyła ramionami.

- Kościół wspiera nacjonalistów. Od wieków żyli z pracy ludu. We Francji było kiedyś tak samo.

Monique poprowadziła je rozbrzmiewającym echem korytarzem i otworzyła drzwi, za którymi znajdowała się sala szpitalna składająca się z około dwudziestu łóżek. Ściany były puste, tylko w niektórych miejscach można było poznać po jasnych plamach w kształcie krzyża, że zdjęto stamtąd symbole religijne. Na łóżkach siedziało około trzy-dziesięciorga mniej więcej dziesięcioletnich dzieci, brudnych i przerażonych. Podeszła do nich spieszenie wysoka Francuzka w stroju pielęgniarki.

- A, Monique, przyszłaś wreszcie. Czy wiadomo coś o możliwości odesłania dzieci do domów?
- Jeszcze nie, Anno. Spiszemy ich dane i pójdziemy do ministerstwa. Czy był już lekarz?
- Był - westchnęła pielęgniarka. - Wszystkie mają się dość dobrze. Są tylko przestraszone. Pochodzą z religijnych rodzin, przeraziły się, kiedy zobaczyły spalony klasztor.

Barbara przyjrzała się smutnym twarzyczkom. Na większości widać było ślady łez.

- Jeśli któreś z nich jest chore, jestem pielęgniarką...
- Nie - powiedziała Monique. - Anna się nimi zajmuje. Najlepsze, co możemy zrobić, to załatwić im transport do domu.

Przez następną godzinę spisywały ich dane; niektóre dzieci tak się bały, że pielęgniarka musiała nakłaniać je do rozmowy. Wreszcie skończyły. Od smrodu spalenizny Barbara zaczęła kaszleć.

- Nie można ich zabrać gdzieś indziej? - zapytała tłumaczkę. - Ten dym im szkodzi.

Monique pokręciła głową.

- W tym mieście są tysiące uchodźców, z każdym dniem ich przybywa. Mamy szczęście, że jakiś urzędnik miał dość czasu, by znaleźć im chociaż takie miejsce.

Ulżyło im, kiedy wyszły na dwór, chociaż żar lał się z nieba. Monique zamachała do wartownika.

- Salud, - odpowiedział.

Monique zaproponowała Barbarze papierosa i przyjrzała jej się uważnie.

- Tak jest wszędzie - powiedziała.

- Dam sobie radę. Nim przyjechałam do Genewy, byłam pielęgniarką. - Barbara wypuściła z ust kłąb dymu. - Tylko, że... czy te dzieci wrócą do domu niezmienione?

- Nikt w Hiszpanii nie pozostanie niezmieniony - odparła Monique w nagłym przypiływie gniewu i zwątpienia.

Do listopada 1936 Franco udało się dotrzeć do przedmieść Madrytu. Ale jego siły zatrzymano w Casa de Campo, starym parku królewskim na zachód od miasta. Po niebie, broniąc miasta, krążyły teraz rosyjskie samoloty, spadało mniej bomb. Zburzone domy ogrodzono płotami, na których wisiało coraz więcej plakatów z Leninem i Stalinem. Na ulicach powiewały transparenty. ¡NO PASARAN! Determinacja, by stawić opór, była jeszcze większa niż latem i Barbara podziwiała to, chociaż zastanawiała się, jak miasto przetrwa zimę. Tylko jedna droga była otwarta, a zapasy już się kończyły. Miała cichą nadzieję, że Franco zdobędzie Madryt i wojna się skończy, chociaż słyszała straszne historie o popełnianych przez nacjonalistów okrucieństwach. Po stronie republikanów też było ich niemało, ale zimny i wyrachowany Franco wydawał się znacznie gorszy.

Po dwóch miesiącach przywykła na tyle, na ile to było możliwe. Odniosła kilka sukcesów, pomogła w wymianie dziesiątków uchodźców. Czerwony Krzyż zajmował się teraz próbami wynegocjowania wymiany jeńców między republikanami i nacjonalistami. Była dumna z tempa, w jakim uczyła się hiszpańskiego. Ale w klasztorze wciąż były dzieci, ta sprawa przepadła w biurokratycznej otchłani. Siostrze Annie od tygodni nikt nie płacił, ale mimo to została. Przynajmniej dzieci nie miały zamiaru uciekać; bały się grasujących za murami klasztoru band komunistów.

Pewnego dnia Barbara i Monique spędziły całe popołudnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, próbując załatwić wymianę dzieci. Po raz kolejny rozmawiały z innym urzędnikiem, a ten, którego spotkały tego dnia, był jeszcze mniej uprzejmy od pozostałych. Nosił czarną skórzaną kurtkę, znak, że był komunistą. Wyglądał w niej dziwnie, bo był pulchny, w średnim wieku i sprawiał raczej wrażenie urzędnika bankowego. Palił papierosa za papierosem, ale żadnej z nich nie poczęstował.

- Towarzyszu, w klasztorze nie ma ogrzewania - powiedziała Barbara. - Kiedy przyjdą chłody, dzieci zaczną chorować.

Mężczyzna chrząknął. Sięgnął po teczkę ze sterty leżącej na biurku. Zaczął czytać, zaciągając się dymem, w końcu spojrzał na obie kobiety.

- To dzieci z bogatych katolickich rodzin. Jeśli wrócą do siebie, będą je wypytywać o rozmieszczenie naszych wojsk.

- Praktycznie nie wychodzą z klasztoru. Są wystraszone. - Barbara zdziwiła się, z jaką łatwością mówi po hiszpańsku, kiedy jest wzburzona. Urzędnik uśmiechnął się ponuro.

- Owszem, bo boją się nas, czerwonych. Nie podoba mi się pomysł, by je odesłać z powrotem. Najważniejsze jest bezpieczeństwo. - Odłożył teczkę na stertę. - Najważniejsze.

Kiedy wyszły z ministerstwa, Monique pokręciła w zwątpieniu głową.

- Bezpieczeństwo. Tym się zawsze tłumaczy najgorsze rzeczy.

- Musimy spróbować od innej strony. Może Genewa mogłaby się skontaktować z ministrem?

-Wątpię.

Barbara westchnęła.

- Musimy spróbować. Muszę zorganizować więcej żywności dla dzieci. O Boże, jaka jestem zmęczona. Pójdiesz ze mną na drinka?

- Nie, muszę zrobić pranie. Do zobaczenia jutro. Barbara patrzyła za odchodzącą Monique. Poczła się nagle samotna. Zdawała sobie sprawę, że nie jest częścią bliskiej, solidarnej atmosfery miasta. Postanowiła pójść do baru obok Puerta del Sol, gdzie czasem bywali Anglicy: pracownicy Czerwonego Krzyża, dziennikarze i dyplomaci.

Bar był prawie pusty, nie znała nikogo z gości. Zamówiła kieliszek wina i usiadła przy stoliku w rogu. Nie lubiła siedzieć sama w barach, ale miała nadzieję, że pojawi się ktoś, kogo zna.

Po chwili usłyszała czyjś głos, ktoś mówił po angielsku, leniwie przeciągając samogłoski, w sposób typowy dla uczniów prywatnych szkół. Podniosła wzrok i ujrzała jego twarz w lustrze za barem. Pomyślała, że to najatrakcyjniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Spoglądała na niego ukradkiem. Obcy stał sam przy barze i rozmawiał z barmanem kaleką hiszpańszczyzną. Ubrany był w tanią koszulę i kombinezon roboczy, jedną rękę miał na temblaku. Miał dwadzieścia kilka lat, ciemnoblonde włosy i szerokie ramiona. Jego twarz była pociągła i owalna, oczy duże, a usta pełne i wydatne. Wydawał się bardzo spokojny, kiedy stał sam przy barze. Napotkał w lustrze spojrzenie Barbary, więc odwróciła wzrok. Kiedy kelner w białym fartuchu pojawił się z pytaniem, czy ma ochotę na kolejny kieliszek wina, aż podskoczyła. Potrąciła łokciem rękę, w której trzymał butelkę. Upadła na stół z hukiem, wino spłynęło strugą po jego spodniach.

- Ojej, przepraszam. To moja wina, tak mi przykro.

Mężczyzna był wyraźnie zły; to zapewne były jego jedyne spodnie.

Zaczął je wycierać chustką.

- Tak mi przykro. Proszę postuchać, zapłacę za ich wyczyszczenie, ja... - Barbara nie mogła znaleźć słów, zapomniała hiszpańskiego. Nagle usłyszała obok głos, mówiący po angielsku.

- Przepraszam, czy pani jest Angielką? Czy mogę jakoś pomóc?

- Nie, dziękuję... Nie trzeba.

Kelner się uspokoił. zaproponowała, że zapłaci za rozlane wino i za spodnie. Poszedł po następny kieliszek, całkiem udobruchany. Barbara uśmiechnęła się nerwowo do Anglika. -To głupie. Zawsze byłam straszną niezdara.

- Zdarza się. - Wyciągnął dłoń. Miał opalone, szczupłe palce, a rękę pokrytą jasnymi włosami, które błyszcząły w słońcu jak złoto. Zobaczyła, że drugą rękę ma w gipsie od łokcia do nadgarstka. Ciemnooliwkowe jak u Hiszpana oczy przyglądały się jej z ciekawością. - Jestem Bernie Piper - powiedział. - Zawędrowała pani daleko od domu.

- Barbara Clare. Boję się, że tak. Pracuję tutaj dla Czerwonego Krzyża.
- Mogę się dosiąść? Od dawna nie rozmawiałem z nikim po angielsku.
- No, to znaczy... Tak, proszę bardzo.

I tak się to zaczęło.

Trzy dni wcześniej do Barbary zadzwonił ktoś z madryckiego biura „Daily Express” i powiedział, że znaleźli kogoś, kto może jej pomóc. Nazywał się Luis, miała spotkać się z nim w barze na starym mieście w poniedziałek po południu. Chciała rozmawiać z Markbym, ale powiedziano jej, że wyjechał. Odłożyła słuchawkę i zastanowiła się, czy telefon jest na podsłuchu. Sandy twierdził że nie, ale słyszała, że podsłuchują wszystkich cudzoziemców.

Po śniadaniu wróciła do swojego pokoju. Stał tam osiemnastowieczny antyk - kredens z lustrem. Kupili go z Sandym wiosną na targu Rastro. Prawdopodobnie został wyszabrowany z jakiegoś bogatego madryckiego domu na początku wojny domowej. W niedzielę na targu można było spotkać ludzi szukających swoich skradzionych pamiątek rodzinnych. Takie rzeczy sprzedawano za małe pieniądze, w tych czasach najcenniejsze było jedzenie i benzyna.

Kredens miał zamykaną na klucz szufladę, gdzie Barbara przechowywała cenne, osobiste rzeczy. Trzymała tam zdjęcie Berniego, zrobione w salonie fotograficznym z szeszlonymi i palmami w doniczkach tuż przed tym, jak pojechał na front. Stał w mundurze z założonymi rękami, uśmiechając się do aparatu. Był taki piękny. Zwykle mówiło się w ten sposób o kobietach, ale Bernie był naprawdę piękny. Od dawna nie patrzyła na jego fotografię; wciąż czuła ten sam ból, żal po stracie Berniego był wciąż silny. Czuła się winna, bo w końcu Sandy uratował ją i pomógł stanąć na nogi, ale uczucie między nią a Bernieem było czymś zupełnie innym. Westchnęła. Nie powinna robić sobie nadziei, nie powinna.

Wciąż była zdziwiona, że Bernie się nią zainteresował, wtedy w barze musiała wyglądać naprawdę okropnie, była w starym obszarpanym swetrze, a włosy miała poskręcane w beładne loki. Zdjęła okulary. Wmawia sobie, że bez nich, owszem, można ją nazwać atrakcyjną kobietą. Założyła je znowu. Jak zwykle, mimo iż martwiła się o Berniego, myśli, że może być atrakcyjna, przywołała wspomnienia - złe wspomnienia. Zwykle starała się je od siebie odsunąć, ale tym razem pozwoliła im zostać, chociaż sprawiały, że czuła się, jakby stała na skraju przepaści. Jedenastoletnia Millie Howard i jej banda, stoją dookoła niej i krzyczą: „Poskręcana kudłata okularnica, poskręcana kudłata okularnica!”. Gdyby nie miała okularów i nie odstawała od reszty, gdyby nie rumieniła się i nie wybuchwała płaczem, czyjej udręka, trwająca od tak dawna, w ogóle by się zaczęła? Zamknęła oczy. Ujrzała swoją siostrę, promienną Carol, która odziedziczyła po matce blond włosy i twarz w kształcie serca. Przechodzi przez salon w ich małym domku w Erdington i pędzi na spotkanie z kolejnym chłopakiem. Przemyka obok, zostawiając za sobą silny zapach perfum.

- Czyż nie wygląda uroczo? - zapytała mama ojca, a serce Barbary płonęło z nienawiści i smutku. Chwilę wcześniej załamała się i powiedziała mamie, że dzieci znęcają się nad nią w szkole.
- Wygląd to nie wszystko - odpowiedziała mama. - Jesteś o wiele mądrzejsza od Carol.

Zapaliła trzęsącą się ręką papierosa. Mama i tata, Carol i jej przystojny mąż, księgowy, byli teraz w strefie bombardowań. Naloty przesunęły się poza Londyn. W ocenzurowanej kopii „Daily Mail” sprzed tygodnia, którą kupiła na dworcu, przeczytała o pierwszych nalotach na Birmingham. A ona siedzi sobie tutaj, w pięknym domu i rozpamiętuje dawne urazy, podczas gdy jej rodzina musi kryć się w schronach. To było takie małostkowe, że zrobiło jej się wstyd. Czasami zastanawiała się, czy z jej głową wszystko w porządku, czy nie jest lekko stuknięta. Wstała i założyła żakiet i kapelusz. Pójdzie do Prado. A potem sprawdzi, czy ten człowiek rzeczywiście może jej pomóc. Poczwała się lepiej, wiedząc, że ma jakiś cel.

W galerii Prado było dużo pustych ścian; większość obrazów zdjęto, by je przechować podczas wojny domowej, ale jak dotąd niewiele zwrócono. Było zimno i mokro. Zjadła kiepski lunch w małej kawiarni w muzeum. Siedziała, paląc, póki nie nadszedł czas, by pójść na spotkanie.

Sandy pracował już od sześciu miesięcy nad czymś, co nazywał projektem dla Ministerstwa Górnictwa. Często wracał późno i pracował jeszcze w domu, więcej niż kiedykolwiek przedtem. Czasem oczy błyszczały mu z podniecenia i uśmiechał się, jakby poznał jakiś cudowny sekret. Barbara nie lubiła tego jego tajemniczego uśmiechu. Czasami bywał zaniepokojony lub zmartwiony. Powiedział jej, że projekt jest tajny i nie może o nim rozmawiać. Czasem wyjeżdżał na jakieś tajemnicze wyprawy na wieś. W całą tę sprawę był zamieszany mężczyzna o nazwisku Otero, geolog. Odwiedził ich kilka razy. Barbara nie lubiła go, na jego widok przechodziły ją ciarki. Obawiała się, że przez niego mogą być zamieszani w jakieś nielegalne interesy wydawało się, że pół Hiszpanii obraca towarami na estrapelo, czarnym rynku. Sandy był także małomówny w kwestiach dotyczących komitetu do spraw pomocy żydowskim uchodźcom z Francji, w którym pracował. Barbara zastanawiała się nieraz, czy jego praca wolontariac-ka przynosi mu ujmę, bo nie pasowała do obrazu surowego, odnoszącego sukcesy człowieka interesów. To była lepsza strona jego osobowości, ta, która chciała pomagać potrzebującym i która przyciągnęła ją do niego.

O czwartej wyszła z Prado i ruszyła w stronę centrum. Otwierano sklepy po przerwie na sjęstę. Szła wąskimi, zakurzonymi i rozgrzanymi słońcem uliczkami, które pachniały łajnem. Jej obcasy stuknęły o bruk. Za kolejnym rogiem zobaczyła starszego mężczyznę, który starał się wciągnąć na chodnik wózek pełen puszek z oliwą. Ciągnął wóz za dyszel, próbował pokonać wysoki krawężnik. Za nim był świeżo odnowiony budynek, a nad drzwiami powiewała duża flaga ze strzałami i jarzmem. Barbara spostrzegła, że w wejściu pojawiło się dwóch młodych mężczyzn w niebieskich koszulach. Ukłonili się, przepraszając, że przejście jest zablokowane, i zapytali starca, czy mogą mu pomóc. Z wdzięcznością oddał im dyszel i razem wciągnęli wózek na chodnik.

- Mój osioł zdechł - powiedział. - Nie mam pieniędzy, żeby kupić nowego.
- Niedługo każdy Hiszpan będzie miał konia. Proszę tylko dać nam trochę czasu, señor.
- Miałem mojego biednego Hectora od dwudziestu lat. Zjadłem go, kiedy zdechł. Miał okropnie żylaste mięso. Dziękuję, compadres.
- De nada1. - Falangiści poklepalili mężczyznę po plecach i wrócili do środka. Barbara zeszła z chodnika, żeby przepuścić staruszkę. Zastanawiała się, czy sprawy rzeczywiście zmienią się na lepsze. Po czterech latach spędzonych w Hiszpanii wciąż czuła się tu obca, bo ciągle wielu rzeczy nie rozumiała.

Wiedziała, że w Falandze byli również idealisci, ludzie, którzy naprawdę chcieli poprawić życie rodaków, ale wiedziała też, że wielu wstąpiło w jej szeregi po to, by się obłowić dzięki wszechobecnej korupcji. Spojrzała po raz kolejny na strzały i jarzmo. Podobnie jak niebieskie koszule, flaga przypominała jej, że to byli faszyci, związani z nazistami braterstwem krwi. Zobaczyła, że jeden z falangistów przypatruje jej się przez okno, więc szybko poszła dalej.

Kawiarnia była ciemna i zaniedbana. Za ladą wisiał zatłuszczony obowiązkowy portret Franco. Przy barze siedziało niedbale dwóch młodych mężczyzn, a przy zlewie postawna kobieta o siwych włosach zmywała kieliszki. Jeden z mężczyzn był o kulach; stracił pół nogi, nogawkę spodni miał topornie zaszytą. Wszyscy zmierz yli Barbarę

1 Nie ma za co.

zaciekawionym wzrokiem. Do barów samotnie wchodziły zwykle tylko dziwki, a nie cudzoziemki w drogich sukienkach i małych, okrągłych kapeluszach.

Młody mężczyzna przy stoliku w głębi zamachał do niej. Kiedy podeszła bliżej, wstał i uklonił się, po czym uściśnął silnie jej rękę swoją suchą dłonią.

- Señora Forsyth?
- Tak - mówiła po hiszpańsku, starając się, by jej głos brzmiał pewnie. - Czy pan Luis?
- Zgadza się. Proszę usiąść. Zamówię pani kawę, jeśli można.

Przyjrzała mu się, kiedy poszedł do baru. Był wysoki i szczupły,

miał niewiele ponad trzydzieści lat, czarne włosy i smutną, pociągłą twarz. Nosił wytarte spodnie i starą, poplamioną marynarkę. Jak inni mężczyźni w kawiarni, policzki miał pokryte kilkudniowym zarostem; w mieście brakowało żyłek. Szedł krokiem żołnierza. Wrócił z dwoma kawami i talerzem tapas¹. Barbara wypła łyk i skrzywiła się. Luis uśmiechnął się cierpko.

- Obawiam się, że nie jest najlepsza.
- Nie szkodzi. - Spojrzała na tapas, to były małe brązowe klopsiki, z których wystawały drobne kości. - Co to jest?
- Podobno gołąb, ale myślę, że raczej co innego. Nie jestem pewien co. Nie polecam.

Patrzyła, jak Luis je, jak wyjmuje z ust kosteczki. Postanowiła nic nie mówić i poczekać, aż sam zacznie. Poruszył się niepewnie na krześle i przyjrzał jej się uważnie swoimi dużymi, ciemnymi oczami.

- Z tego, co powiedział pan Markby, rozumiem, że próbuje pani znaleźć mężczyznę, który zaginął w bitwie nad Jaramą. Anglika. - Mówił bardzo cicho.
- Tak, zgadza się.

Skinął głową.

- Komunistę. - Wciąż przyglądał się jej twarzy. Nagle obleciał ją strach, kiedy pomyślała, że może Luis jest policjantem. Może Markby

1 Hiszpańskie zakąski podawane jako dodatek do napojów.

ją zdradził albo sam został zdradzony. Zmusiła się, by zachować spokój.

- Interesuję się nim z przyczyn osobistych, a nie z powodu jego poglądów. Był moim... moim chłopakiem, zanim poznałam męża. Myślałam, że poległ.

Luis znowu poruszył się na krześle. Zakaszła.

- Mieszka pani w nacjonalistycznej Hiszpanii, słyszałam także, że pani mąż ma przyjaciół w rządzie. A mimo to szuka pani zaginionego podczas wojny komunisty. Proszę mi wybaczyć, ale to trochę dziwne.

- Pracowałam dla Czerwonego Krzyża, to neutralna organizacja.

Posłał jej lekki, ale gorzki uśmiech.

- Miała pani szczęście. Przez wiele lat żaden Hiszpan nie mógł być neutralny. - Spojrzał na nią uważnie. - A więc nie jest pani przeciwniczką nowej Hiszpanii?

- Nie. Generał Franco wygrał i już. Wielka Brytania nie jest w stanie wojny z Hiszpanią. - Przynajmniej na razie, dodała w myślach.

- Proszę mi wybaczyć. - Luis nagle rozłożył przepaszająco ręce. - Po prostu muszę na siebie uważać, muszę być bardzo ostrożny. Pani mąż nie wie nic o pani... poszukiwaniach?

- Señora, prosiłbym, żeby tak zostało. Gdyby pani dochodzenie wyszło na jaw, byłyby kłopoty.

- Wiem. - Z podniecenia serce zabiło jej mocniej. Gdyby nic nie wiedział, nie byłby taki ostrożny, nie miałby się wciąż na baczności. Ale co wiedział? Gdzie Markby go znalazł?

Luis znowu spojrzał na nią uważnie.

- Powiedzmy, że znalazłaby pani tego człowieka, señora Forsyth. Co wtedy chciałaby pani zrobić?

- Postarałabym się o jego repatriację. Był jeńcem wojennym i powinien zostać odesłany do domu. Tak mówi konwencja genewska.

Wzruszył ramionami.

- Generalísimo widzi to inaczej. Nie spodobałby mu się pomysł, żeby ktoś, kto przyjechał tu walczyć z Hiszpanami, został po prostu odesłany do domu. A gdyby publicznie zasugerować, że w Hiszpanii są ciągle zagraniczni jeńcy wojenni, więźniowie od razu by zniknęli. Rozumie pani?

Spojrzała mu prosto w oczy, głęboko osadzone, pozbawione wyrazu.

- Co pan wie? - spytała.

Pochylił się naprzód. Z jego ust czuć było ostry zapach mięsa. Barbara powstrzymała odruch, żeby się odsunąć.

- Moja rodzina pochodzi z Sewilli - powiedział. - Kiedy rebelianci Franco zajęli miasto, ja i mój brat zostaliśmy wcieleni do wojska i przez trzy lata walczyliśmy z komunistami. Po zwycięstwie część armii rozwiązano, ale niektórzy nie mogli przejść w stan spoczynku. Agustín i ja zostaliśmy przydzieleni do obozu niedaleko Cuenki jako strażnicy. Wie pani, gdzie to jest?

- Markby wspominał o tym miejscu. W stronę Aragon, prawda?

Luis skinął głową.

- Zgadza się. Tam gdzie są słynne wiszące domy.

- Co?

- Bardzo stare domy zbudowane na skraju wąwozu, który biegnie wzdłuż granicy miasta, tak że wyglądają, jakby wisiały w powietrzu. Niektórzy twierdzą, że są piękne. - Westchnął. - Wysoko na mesecie. W lecie można się ugotować z gorąca, a w zimie zamarznąć. Teraz jest jedyna znośna pora roku, niedługo przyjdą mrozy i śnieg. Przetrwiałem tam dwie zimy i proszę mi uwierzyć, tyle mi wystarczy.

- Jak tam było? W obozie?

Znowu niespokojnie poruszył się na krześle, zniżył głos do szeptu.

- To obóz pracy. Jeden z tych, które oficjalnie nie istnieją. Został zbudowany specjalnie dla republikańskich jeńców wojennych. Jakies osiem kilometrów od Cuenki, na Tierra Muerta. Na Martwej Ziemi.

- Co to jest?

- Pokryty pagórkami teren u stóp gór Valdemeca. Tak się nazywa.

- Ilu więźniów trzymają?

Wzruszył ramionami.

- Około pięciuset.

- Jacyś obcokrajowcy?

- Kilku. Polacy, Niemcy. Z krajów, które nie chcą ich z powrotem. Odwzajemniła jego przenikliwe spojrzenie.

- Jak señor Markby pana znalazł? Kiedy mu pan o tym powiedział?

Luis się zawahał i podrapał po zarośniętym policzku.

- Przykro mi, señora, ale nie mogę pani powiedzieć. Tylko tyle, że są miejsca, w których spotykają się bezrobotni weterani, tacy jak ja, a niektórzy mają kontakty, które nie spodobałyby się rządowi.

- Z zagranicznymi dziennikarzami? Sprzedają im historie?

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć nic ponad to. - Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę było mu przykro. Nagle wydało jej się, że wygląda bardzo młodo.

Skinęła głową, wzięła głęboki oddech. Poczła, że coś chwyta ją za gardło.

- Jakie warunki były w obozie?

Pokręcił głową.

- Bardzo ciężkie. Drewniane baraki otoczone drutem kolczastym. Musi pani zrozumieć: ci ludzie nigdy nie wyjdą na wolność. Pracują w kamieniołomach i naprawiają drogi. Brakuje jedzenia. Wielu umiera. Rząd chce, żeby umarli.

Zmusiła się do zachowania spokoju. Musi patrzeć na tę sytuację tak, jak gdyby Luis był urzędnikiem rządowym i mówił o obozie uchodźców, o którym ona chce się czegoś dowiedzieć. Wyjęła paczkę papierosów i podała mu.

- Angielskie papierosy? - Luis zapalił jednego i zamknął oczy, delektując się dymem. Kiedy znowu na nią spojrzał, jego twarz przybrała surowy wyraz.

- Czy pani brigadista był silny, señora Forsyth?

- Tak. Był silnym mężczyzną.

- Tylko silni potrafią przetrwać.

Poczła, że napływają jej do oczu łzy, odpędziła je mrugnięciem. Właśnie to powiedziała, gdyby próbował ją zwiść, próbował przemówić do jej emocji. Ale jego opowieść brzmiała prawdziwie. Pogrzebała w torebce i podsunęła mu zdjęcie Berniego. Luis przyglądał mu się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

- Nie przypominam sobie tej twarzy, ale i tak teraz na pewno wygląda inaczej. Nie wolno nam było rozmawiać z więźniami, mogliśmy tylko wydawać im rozkazy. Obawiano się, że mogą nas zarazić swoimi przekonaniem. - Posłał jej przeciągłe spojrzenie. - Ale my, żołnierze, podziwialiśmy ich. To, że się nie poddawali.

Milczeli przez moment. Dym z ich papierosów płynął w górę i owijał się wokół zepsutego nieruchomego wentylatora pod sufitem.

- Nie przypomina sobie pan nazwiska Bernie Piper?

Pokręcił głową, spojrzał jeszcze raz na zdjęcie.

- Pamiętam jasnowłosego cudzoziemca który był komunistą. Większość angielskich jeńców odesłano do domu - wasz rząd starał się ich odzyskać. Ale kilku z Ust zaginionych skończyło w Cuence. - Odsunął zdjęcie w jej stronę. - Wiosną tego roku zostałem zwolniony ze służby, ale mój brat wciąż tam jest. - Spojrzał na nią znacząco. - Jeśli go poproszę, może się czegoś dowiedzieć. Musiałbym go odwiedzić, listy są cenzurowane. - Przerwał.

- Ile by to kosztowało? - zapytała wprost.

Luis uśmiechnął się smutno.

- Jest pani bezpośrednia, señora. Myślę, że za trzysta peset Agustín byłby w stanie stwierdzić, czy ten człowiek jest więźniem w Cuenca.

Trzysta.-Barbara przełknęła ślinę, ale nie dała niczego po sobie poznać.

- Ile czasu to zajmie? Muszę wiedzieć szybko. Jeśli Hiszpania przystąpi do wojny, będę musiała wyjechać.

Pokiwał głową, zmieniając się nagle w człowieka interesów.

- Proszę dać mi tydzień. Odwiedzę Agustina w następny weekend. Ale potrzebuję trochę pieniędzy teraz, jako zaUczkę. - Spojrzała na niego znacząco. Luis poczerwieniał, zażenowany. - Nie mam dość pieniędzy na pociąg.

- Aha, rozumiem.

- Potrzebuję pięćdziesiąt peset. Nie, niech pani nie wyjmuje tutaj portmonetki, proszę dać mi pieniądze na zewnątrz.

Barbara spojrzała w stronę baru. Kaleki mężczyzna i jego przyjaciel byli pogrążeni w rozmowie, właścicielka obsługiwała nowego klienta, ale wyczuła, że wszyscy są świadomi jej obecności. Wzięła głęboki oddech.

- Jeżeli Bernie tam jest, co wtedy? Nie da się go stamtąd wydostać.

Luis wzruszył ramionami.

- Może się da. Ale to by było bardzo trudne. - Przerwał. - Bardzo kosztowne.

A więc tak to było. Barbara odwzajemniła jego spojrzenie i zorientowała się, że Luis być może nic nie wiedział i powiedział Markby'emu to, co dziennikarz chciał usłyszeć, to samo opowiedział i bogatej Angielce.

- Ile? - zapytała.

Pokręcił głową.

- Załatwmy to krok po kroku, señora. Zobaczmy najpierw, czy to on.

Skinęła głową.

- Chodzi panu o pieniądze, prawda? Lepiej ustalmy," na czym stoimy.

Luis zmarszczył brwi.

- Nie jest pani zbyt biedna - zauważył.

- Mogę zdobyć pieniądze. Przynajmniej trochę.

- Ja jestem biedny. Jak wszyscy Hiszpanie w tych czasach. Wie pani, ile miałem lat, kiedy wzięli mnie do wojska? Osiemnaście. Straciłem najlepsze lata swojego życia. - W jego głosie słychać było gorycz. Westchnął, spuścił na moment wzrok, nim znowu spojrzał jej w oczy. - Od kiedy odszedłem wiosną z wojska, nie mam pracy, poza robotami drogowymi, za które praktycznie nic nie płacą. Moja matka w Sewilli jest chora, a ja nic nie mogę dla niej zrobić. Jeśli mam pani, señora, przekazać informacje, których zdobywanie jest niebezpieczne, w takim razie... - Zaciśniętą wargi i spojrzał na nią wyzywająco.

- Dobrze - powiedziała szybko ugodowym tonem. - Jeśli uda się panu dowiedzieć, co wie Agustín, dam panu tyle, ile pan zażądał. Jakoś zdobędę te pieniądze. - Prawdopodobnie mogła zdobyć trzysta peset bez większych trudności, ale uznała, że lepiej mu tego nie mówić.

Luis skinął głową. Powiódł oczami po barze, spojrzał przez okno na pogrążającą się w mroku ulicę. Pochylił się znowu naprzód. - Poja->

dę do Cuenki w ten weekend. Spotkam się tu z panią za tydzień,

o piątej. - Wstał i lekko się jej skłonił. Barbara zauważyła, że jego marynarka miała na łokciu sporą dziurę.

Na zewnątrz uściśnął jej dłoń, a ona podała mu pięćdziesiąt peset. Kiedy się rozstali, przesunęła palcami po zdjęciu Berniego. Ale nie wolno jej mieć zbyt wiele nadziei, musi uważać. Gdyby okazało się, że Bernie przeżył bitwę, w której zginęły tysiące ludzi, a Markby odkrył przypadkiem wskazówkę, gdzie się teraz znajduje, byłby to naprawdę niezwykły zbieg okoliczności. Ale jeżeli Markby dowiedział się, że wszyscy cudzoziemcy zostali wysłani do Cuenki, a potem znalazł strażnika z obozu... Jedyne, co było do tego potrzebne, to pieniądze

i kontakty wśród tysięcy żyjących w Madrycie zwolnionych ze służby żołnierzy. Musiała skontaktować się ponownie z Markbym, dokładnie o wszystko go wypytać. A jeśli Luis powie, że Bernie żyje. Może będzie mogła coś zdiagnozować w ambasadzie. Chociaż czy na pewno? Słyszała, że ambasada za wszelką cenę chce powstrzymać Franco, sprawić, by nie przyłączył się do wojny. Przypomniała sobie, co Luis powiedział o zniknięciu więźniów, gdyby pojawiły się niewygodne pytania.

Przeszła przez Płaza Mayor szybkim krokiem, chcąc dojść do Centro, nim zapadnie zmrok. Nagle zatrzymała się i zmartwiła. Wojna domowa skończyła się w kwietniu 1939 roku. Jeżeli Luis odszedł z wojska tej wiosny, w 1940, nie mógł spędzić dwóch zim w obozie.

Rozdział szósty

Lało bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny; ciężki deszcz padał prosto w dół z bezwietrznego nieba i szemrał, i gulgotał na bruku. Zrobiło się chłodniej. Harry znalazł w mieszkaniu puchową kołdrę i rozciągnął ją na swoim dużym, podwójnym łóżku.

Tego ranka miał odwiedzić z Hillgarthem Ministerstwo Handlu. Było to jego pierwsze wystąpienie w roli tłumacza. Cieszył się, że wreszcie coś będzie robił.

Starali się go włączyć do życia w ambasadzie. Dyrektor sekcji tłumaczeń Weaver przetestował u siebie w biurze jego znajomość hiszpańskiego. Był bardzo wysoki i szczupły, biła od niego arystokratyczna duma.

- Dobra jest - powiedział po półgodzinie rozmowy z Harrym. - Nadaje się pan.
- Dziękuję - odparł beznamiętnie Harry. Wyniosły, rozleniwiony ton Weavera denerwował go.

Weaver westchnął.

- Ambasador nie lubi, kiedy ludzie Hillgartha mieszają się do zwykłej pracy, ale tak już jest. - Spojrzał na Harry'ego, jakby ten był jakimś egzotycznym stworem.
- Wiem - odparł Harry.
- Pokażę panu, gdzie jest pana pokój. Przyszły przed chwilą komunikaty prasowe, może pan się za nie wziąć.

Zaprowadził Harry'ego do małego pomieszczenia. Prawie całą przestrzeń zajmowało w nim wystłżone biurko, na blacie leżał stos wycinków z hiszpańskich gazet. Pojawiały się regularnie, więc przez następne trzy dni Harry był zajęty. Nie widział się w ogóle z Hillgarthem, ale od czasu do czasu wpadał Tolhurst, żeby zobaczyć, jak Harry sobie radzi.

Lubił Tolhursta, jego autoironię i kąśliwe uwagi, ale nie zaprzyjaźnił się zbytnio z innymi pracownikami ambasady. Anglicy traktowali Hiszpanów z pewną wyższością; okropna nędza, której Harry był świadkiem, smuciła go, ale niektórych wydawała się bawić. W sklepach w Madrycie brakowało dosłownie wszystkiego, na drzwiach wisiały kartki z napisem „No hay” i dalej Usta tego, czego nie ma. „Ziemniaki, sałata, jabłka...”. Poprzedniego dnia w stołówce Harry usłyszał, jak dwóch pracowników attacheatu kulturalnego żartowało, że Hiszpanie po prostu nie są niczego pewni, i poczuł nagły przypływ gniewu. Ale pod tą wrażliwością na niedole innych czuło się strach, że Franco może przystąpić do wojny. Wszyscy codziennie uważnie przeglądali gazety. Na razie głównym powodem niepokoju była wizyta Himmlera: czy przyjeżdża tylko po to, by przedyskutować wspólne środki bezpieczeństwa, jak sugerowały gazety, czy chodzi o coś więcej?

Tego ranka o dziesiątej Hillgarth zabrał Harry'ego z jego mieszkania; przyjechał dużym amerykańskim packardem. Kierował angielski szofer, który mówił z bardzo silnym wschodniolondyńskim akcentem. Harry miał na sobie lekki garnitur, poprzedniego wieczoru starał się bardzo dokładnie rozprasować spodnie; HiUgarth znów był w mundurze komandora.

- Jedziemy na spotkanie z podsekretarzem stanu w Ministerstwie Handlu, generałem Maestre - powiedział Hillgarth, obserwując uważnie padający za oknem deszcz. - Potwierdzą, które okręty z ropą przepuści nasza flota. Chcę go też wypytać o Carcellera, nowego ministra. - Postukał palcami w oparcie, wyglądał na zamyślonego. Poprzedniego dnia ogłoszono liczne zmiany w rządzie; Harry tłumaczył komunikaty prasowe wydane z tej okazji. Zmiany były na korzyść Falangi; szwagier Franco, Serrano Suñer, został ministrem spraw zagranicznych.

- Maestre jest w porządku - kontynuował HiUgarth. - Stara gwardia. Kuzyn jakiegoś księcia. Harry wyrzwał przez okno. Ludzie na chodnikach kulili się od deszczu; robotnicy w kombinezonach, kobiety jak zawsze w czarnych chustach na głowach. Nie spieszyli się, bo i tak byli już przemoczeni do

suchej nitki. Tolhurst wspomniał, że parasoli nie można dostać nawet na czarnym rynku. Kiedy przejeżdżali przed piekarnią, Harry zauważył przez mokrą szybę tłum kobiet w czarnych chustach stojący na deszczu przed wejściem. Wiele z nich miało ze sobą chudziutkie dzieci; widać było, że z głodu mają wzdęte brzuszki. Kobiety tłoczyły się wokół drzwi piekarni, waliły w nie i krzyczały do kogoś w środku.

Hillgarth odchrząknął.

- Rozniosły się plotki, że będą ziemniaki. Pewnie ma trochę i zostawia je na czarny rynek. Agencja zaopatrzenia, Junta de Abastos, daje rolnikom uprawiającym ziemniaki tak mało, że nie chcą ich sprzedawać. Junta de Abastos kupuje od nich, sprzedaje dalej i nieźle na tym zarabia.

- A Franco na to pozwala?

- Nie może nic zrobić. Junta jest organizacją Falangi. To totalna katastrofa; agencja jest na wskroś skorumpowana. Jeśli nie będą ostrożni, będą mieli na sumieniu klęskę głodu. Ale tak to jest z rewolucjami, po nich zawsze najgorsze męty dobierają się do władzy.

Przejechali przed budynkiem parlamentu, pustym i zabitym deskami, skręcili na dziedziniec Ministerstwa Handlu. Civil gestem przepuścił ich przez bramę.

- Czy to jest rewolucja? - spytał Harry. - Mnie to bardziej wygląda, na... sam nie wiem... rozkład.

- O, to rewolucja na całego, przynajmniej z punktu widzenia falan-gistów. Chcą mieć takie państwo jak Hitler. Powinien pan zobaczyć niektórych ludzi, z którymi mamy do czynienia. Włosy stają dęba. W porównaniu z tym, co się dzieje, książki, które kiedyś pisałem, to powieści dla grzecznych panienek.

Gabinet miał ściany wyłożone boazerią. Na ścianie wisiał olbrzymi portret Franco. Przywitał ich mężczyzna ubrany w perfekcyjnie wyprasowany mundur generała. Miał niewiele ponad pięćdziesiąt lat, był wysoki i krzepki, twarz opalona, oczy brązowe i przejrzyste. Rzadkie czarne włosy zaczesane tak, że przykrywały łysinę na czubku głowy. Obok stał znacznie młodszy od niego mężczyzna, jego twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Generał uśmiechnął się i ucisnął serdecznie dłoń Hillgartha. Mówił do niego po hiszpańsku, głos miał czysty i głęboki. Jego młodszy kolega tłumaczył.

- Mój drogi panie komandorze, jak to miło pana widzieć.

- Pana również, generale. Wydaje się, że będziemy w stanie dać panu te certyfikaty już dzisiaj. - Hillgarth spojrzał na Harry'ego, który powtórzył jego słowa po hiszpańsku.

- Świetnie. Powinniśmy mieć tę sprawę z głowy. - Maestre uśmiechnął się uprzejmie do Harry'ego. - Widzę, że ma pan nowego tłumacza. Mam nadzieję, że senor Greene ma się dobrze?

- Musiał wrócić do domu. Kłopoty rodzinne, więc ze względu na okoliczności dostał urlop.

Generał Maestre skinął głową.

- Och, bardzo mi przykro to słyszeć. Mam nadzieję, że jego rodzina nie ucierpiąta podczas bombardowań?

- Nie. To problemy osobiste.

Usiedli wokół biurka. Hillgarth otworzył aktówkę i wyjął z niej certyfikaty, które pozwalały konkretnym tankowcom przepłynąć przez blokadę pod eskortą Królewskiej Marynarki Wojennej. Hillgarth i Maestre przejrzyli je, sprawdzili daty, trasy i tonaż. Harry tłumaczył słowa Hillgartha na hiszpański, a młody Hiszpan tłumaczył odpowiedzi Maestre na angielski. Harry nie był pewien jednego czy dwóch terminów technicznych, ale Maestre był uprzejmy i przyjacielski. Zupełnie nie wyglądał na kogoś, kogo Harry mógłby się spodziewać na stanowisku podsekretarza w rządzie Franco.

W końcu Maestre zebrał papiery i westchnął nieco teatralnie.

- Och, panie komandorze, gdyby tylko pan wiedział, jak bardzo źli są niektórzy z moich kolegów o to, że Hiszpania musi prosić Królewską Marynarkę o pozwolenie na import najpotrzebniejszych rzeczy. Wie pan, to godzi w naszą dumę. wysoki i krzepki, twarz opalona, oczy brązowe i przejrzyste. Rzadkie czarne włosy zaczesane tak, że przykrywały łysinę na czubku głowy. Obok stał znacznie młodszy od niego mężczyzna, jego twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Generał uśmiechnął się i uściśnął serdecznie dłoń Hillgartha. Mówił do niego po hiszpańsku, głos miał czysty i głęboki. Jego młodszy kolega tłumaczył.

- Mój drogi panie komandorze, jak to miło pana widzieć.

- Pana również, generale. Wydaje się, że będziemy w stanie dać panu te certyfikaty już dzisiaj. - Hillgarth spojrzał na Harry'ego, który powtórzył jego słowa po hiszpańsku.

- Świetnie. Powinniśmy mieć tę sprawę z głowy. - Maestre uśmiechnął się uprzejmie do Harry'ego. - Widzę, że ma pan nowego tłumacza. Mam nadzieję, że senor Greene ma się dobrze?

- Musiał wrócić do domu. Kłopoty rodzinne, więc ze względu na okoliczności dostał urlop.

Generał Maestre skinął głową.

- Och, bardzo mi przykro to słyszeć. Mam nadzieję, że jego rodzina nie ucierpiąta podczas bombardowań?

- Nie. To problemy osobiste.

Usiedli wokół biurka. Hillgarth otworzył aktówkę i wyjął z niej certyfikaty, które pozwalały konkretnym tankowcom przepłynąć przez blokadę pod eskortą Królewskiej Marynarki Wojennej. Hillgarth i Maestre przejrzyli je, sprawdzili daty, trasy i tonaż. Harry tłumaczył słowa Hillgartha na hiszpański, a młody Hiszpan tłumaczył odpowiedzi Maestre na angielski. Harry nie był pewien jednego czy dwóch terminów technicznych, ale Maestre był uprzejmy i przyjacielski. Zupełnie nie wyglądał na kogoś, kogo Harry mógłby się spodziewać na stanowisku podsekretarza w rządzie Franco.

W końcu Maestre zebrał papiery i westchnął nieco teatralnie.

- Och, panie komandorze, gdyby tylko pan wiedział, jak bardzo źli są niektórzy z moich kolegów o to, że Hiszpania musi prosić Królewską Marynarkę o pozwolenie na import najpotrzebniejszych rzeczy. Wie pan, to godzi w naszą dumę.

- Anglia jest w stanie wojny, panie podsekretarzu; musimy mieć pewność, że żadne towary importowane przez kraje neutralne nie są sprzedawane Niemcom.

Generał podał certyfikaty tłumaczowi.

- Fernando, dopilnuj, żeby trafiły do Ministerstwa Floty. - Młody mężczyzna jakby zawahał się na moment, ale Maestre spojrział na niego surowo, więc skłonił się i wyszedł. Generał od razu poczuł się swobodniej.

- No to się go pozbyliśmy - powiedział doskonałą angielszczyzną. Harry wybałuszył oczy ze zdziwienia. Generał się uśmiechnął. - O tak, panie Brett, mówię po angielsku. Studiowałem w Cambridge. Ten młody człowiek ma za zadanie pilnować mnie, żebym nie powiedział nic niewłaściwego. To jeden z ludzi Serrano Suñera. Pan komandor wie, kogo mam na myśli.

- Zbyt dobrze, panie generale. Pan Brett także studiował w Cambridge.

- Doprawdy? - Maestre spojrział na niego z zainteresowaniem, po czym uśmiechnął się z zadumą. - W czasie wojny domowej, kiedy walczyłem z czerwonymi na mesecie, w upale oganiając się od much, często myślałem o dniach spędzonych w Cambridge: chłodna rzeka, cudowne ogrody, wszystko było takie spokojne i majestatyczne. W czasie wojny takie wspomnienia są niezbędne, by nie stracić rozumu. W którym college'u pan był?

- W King's, panie generale.

Maestre skinął głową.

- Ja byłem przez rok w Peterhouse. Tak jak powiedziałem, było wspaniale. - Wyjął z kieszeni złotą papierośnicę. - Zapali pan?

- Dziękuję, nie palę.

- Czy dowiedział się pan czegoś nowego, panie generale? - zapytał Hillgarth. - Czegoś o nowym ministrze?

Maestre odchylił się do tyłu i wypuścił z ust kłąb dymu.

- Proszę się nie przejmować Carcellerem. Ma falangistyczne zapędy - wyjął z pogardą wargi - ale w głębi duszy jest realistą.

- Sir Sam będzie zadowolony. Generał w zamyśleniu pokiwał głową. Zwrócił się do Harry'ego z wytwornym uśmiechem.

- A więc jak podoba się panu Hiszpania, młody człowieku?

Harry się zawahał.

- Dzieje się tu wiele zaskakujących rzeczy.

- Po drodze minęliśmy długą kolejkę kobiet przed piekarnią - powiedział Hillgarth. - Piekarz podobno dostał ziemniaki.

Maestre pokręcił ze smutkiem głową.

- Ci falangiści potrafiliby spowodować klęskę głodu nawet w rajskim ogrodzie. Słyszał pan ostatni dowcip? Hitler spotyka się z Franco i pyta go, jak zagłodzić Wielką Brytanię i zmusić do poddania się, bo U-booty nie dają rady. Na co Franco mówi: „Mein Fuhrer, wyślę im Junta de Abastos. Za trzy tygodnie będą musieli się poddać”. - Hillgarth i Maestre wybuchnęli śmiechem, Harry nieśmiało im zawtórował. Maestre uśmiechnął się do niego, lekko skłaniając głowę.

- Niech pan wybaczy, ale my, Hiszpanie, mamy ponure poczucie humoru, w ten sposób radzimy sobie z naszymi problemami. Ale nie powinienem żartować z problemów Anglii.

- E, jakoś dajemy sobie radę - odparł Hillgarth.

- Podobno kiedy zapytano królową, czy dzieci pary królewskiej wyjadą z Londynu ze względu na bombardowanie, odpowiedziała, że... jak to było... że „dzieci nie wyjadą beze mnie, ja nie wyjadę bez króla, a król nie wyjedzie”.

- Owszem, zgadza się.

- Co za wspaniała kobieta. - Uśmiechnął się do Harry'ego. - Co za styl. Ma duende¹.

- Dziękujemy.

- Włosi przegrywają w Grecji. Losy wojny wkrótce się odwrócą. Tak twierdzi Juan March. - Generał spojrzął znacząco na Hillgartha, po czym wstał i zwrócił się ponownie do Harry'ego. - Panie Brett, za dziesięć dni wydaję przyjęcie dla mojej córki z okazji jej osiemnastych urodzin. To moje jedyne dziecko. W Madrycie w tych czasach

¹ Odwaga.

jest tak niewielu odpowiednich dla niej mężczyzn, może zechciałby pan przyjść? Milagros dobrze by zrobiło, gdyby poznała młodego mężczyznę z Anglii. - Generał uśmiechnął się z zaskakującą czułością, wymawiając imię swojej córki.

- Dziękuję, panie generale. Jeśli, hm, jeśli tylko moja praca w ambasadzie mi na to pozwoli...

- Wspaniale! Jestem pewien, że sir Sam będzie mógł dać panu wolny wieczór. Poproszę, żeby wysłano panu zaproszenie. A co do Rycerzy Świętego Jerzego, panie komandorze, omówimy to potem.

Hillgarth spojrzął przelotnie na Harry'ego, po czym pokręcił prawie niezauważalnie głową, patrząc na Maestre.

- Tak. Potem.

Generał zawahał się, po czym gwałtownie skinął głową. Ucisnął dłoń Harry'ego.

- Obawiam się, że muszę panów zostawić. Spotkanie z panami było prawdziwą przyjemnością. Muszę być obecny na ceremonii w pałacu, włoski ambasador będzie wieszał kolejny order na piersi Generalísima. - Zaśmiał się. - II Duce obciążyła go wieloma odznaczeniami.

Przestało padać. Kiedy szli przez parking, Hillgarth sprawiał wrażenie zamyślonego.

- To nazwisko, które wymienił Maestre, Juan March. Zna je pan?

- Hiszpański biznesmen, prawda? Wspierał finansowo Franco podczas wojny domowej. Z tego, co słyszałem, niezły krętacz.

- Proszę zapomnieć, że słyszał pan to nazwisko, dobrze? Proszę też zapomnieć o Rycerzach Świętego Jerzego. To pewna sprawa, którą zajmuje się ambasada. Maestre sądził, że wie pan więcej, niż jest naprawdę, bo był pan ze mną. W porządku?

- Nic nikomu nie powiem, panie komandorze.

- Tak trzymać. - Hillgarth się rozchmurzył. - Powinien pan pójść na to przyjęcie. Trochę się rozluźnić. Będzie miał pan okazję poznać kilka señoritas. W Madrycie i tak jest zbyt ubogie życie towarzyskie. Maestre to dobra rodzina. Są spowinowaceni z Astorami.- Dziękuję, być może skorzystam. - Harry zastanawiał się, jak takie przyjęcie może wyglądać.

Szofer czekał na nich w samochodzie, czytając „Daily Mail” sprzed tygodnia. Kiedy wsiedli, Harry spojrzał na pierwszą stronę. Niemieckie naloty przeniosły się z Londynu w głąb kraju, poważne zniszczenia w Birmingham. Stamtąd pochodziła Barbara. Harry przypomniał sobie kobietę, którą zobaczył kilka wieczorów temu. To z pewnością nie mogła być ona. Pewnie wróciła do domu; miał nadzieję, że jest bezpieczna.

- Córka Maestre jest całkiem atrakcyjna - kontynuował rozmowę Hillgarth, kiedy jechali z powrotem do ambasady. - Prawdziwa hiszpańska pomarańczka... Jezu Chryste! - Rzuciło nimi oboma, kiedy samochód gwałtownie zahamował. Skręcali właśnie w calle Fernando del Santo, gdzie mieściła się ambasada. Zwykle pusta ulica była pełna ludzi; rozszalały, wznoszący okrzyki tłum. Zdumienie wytrąciło kierowcę z równowagi.

- Co tu się dzieje, do cholery?

To byli falangiści, młodzi ludzie, większość ubrana w niebieskie koszule i czerwone berety. Była ich prawie setka. Stali i krzyczeli, odwróceny w stronę ambasady, ręce trzymając w górze w faszystowskim geście. Machali transparentami z napisami ¡Gibraltar español! Civiles, którzy zwykle stali przed ambasadą, zniknęli.

- ¡Abajo Inglaterra! - wrzeszczał tłum. - ¡Viva Hitler, viva Mussolini, viva Franco!

- O, Boże - powiedział zmęczonym głosem Hillgarth. - Kolejna demonstracja.

Ktoś z tłumu wskazał na samochód. Stojący najbliżej nich falangiści odwrócili się i zaczęli wznosić okrzyki w ich kierunku. Twarze mieli wykrzywione gniewem. Od maski samochodu odbił się kamień.

- Jedź, Potter - powiedział spokojnie Hillgarth.

- Jest pan pewien? Wyglądają raczej nieprzyjemnie.
- To tylko na pokaz. Jedź.

Szofer ruszył przed siebie w ślimaczym tempie, wycinając korytarz między tłumem i ścianą ambasady. Połowę demonstrantów stanowiła młodzież w mundurach na wzór Hitleijugend, tyle że zamiast brunatnych koszul mieli niebieskie. Dziewczyny nosiły szerokie spódnice, chłopcy byli w krótkich spodniach. Jeden z chłopców miał bęben i właśnie zaczął w niego bić, co wydawało się podburzać tłum jeszcze mocniej. Niektórzy wyciągnęli ręce i zaczęli kołysać samochodem. Przyłączyli się inni, Harrym i Hillgarthem zaczęło rzucać, ale samochód wciąż powoli przemieszczał się naprzód. Hany był zdegustowany tym, że to prawie dzieci.

- Zatrąb - powiedział Hillgarth. Rozległ się dźwięk klaksonu, na co jeden ze starszych falangistów przebił się przez tłum i gestami nakazał młodzikom odsunąć się od samochodu.
- Widzicie - powiedział Hillgarth - po prostu ich poniosło.

Wysoki, postawny, na oko siedemnastoletni chłopak, rozsierdzony

do granic możliwości, przepchnął się przez tłum i szedł wraz z samochodem, wykrzykując po angielsku obelgi.

- Śmierć królowi Jerzemu! Śmierć Churchillowi, tłustej żydowskiej świni! - Hillgarth wybuchnął śmiechem, ale Harry wzdrygnął się; absurdalność wyzwisk w jakiś sposób sprawiała, że wydawały się jeszcze gorsze.
- Gdzie się podziali civiles?
- Pewnie dostali cynk, że mają pójść na spacer. To ludzie Serrano Suñera. Dobra, Potter, zatrzymaj się przed drzwiami. Panie Brett, kiedy wysiądziemy, trzymamy fason. Ignorujemy ich.

Harry wysiadł za Hillgarthem. Krzyki stały się głośniejsze. Nagle poczuł się odsłonięty i obleciał go strach. Serce zaczęło mu walić jak młotem. Falangiści wrzeszczeli na nich z drugiej strony samochodu, rozwścieczony chłopak wciąż krzyczał po angielsku.

- Zatopić angielską flotę! Zabić bolszewickich Żydów! - Kolejny kamień przeleciał przez ulicę i rozbił szybę w drzwiach. Harry wzdrygnął się i chciał pokonać odruch, by się schylić.

Hillgarth złapał za klamkę.

- Niech to szlag, zamknięte. - Potrząsnął drzwiami. W zacienionym wnętrzu mignęła jakaś postać, pojawił się Tolhurst. Podbiegł skulony do drzwi i zaczął otwierać zasuwkę.- Tolly, daj spokój! - zawołał Hillgarth. - Wstań, na miłość boską. To tylko banda chuliganów!

Wtedy nagle szofer krzyknął „Uwaga!” i Harry kątem oka zobaczył coś, co leciało w ich stronę. Poczut silne uderzenie w kark i zachwiał się. Obaj z Hillgarthem zamachali rękami, kiedy wokół nich pojawił się biały obłok, zabrakło im tchu. Tłum wzniósł radosny okrzyk. Przez sekundę Harry zobaczył latające mu przed oczyma czerwone drobinki.

Drzwi się otworzyły i Hillgarth dał nura do wnętrza. Tolhurst wyciągnął rękę, złapał Harry'ego za ramię i z zaskakującą siłą wciągnął do środka. Zamknął drzwi na zasuwkę i odwrócił się w ich stronę z otwartymi ustami. Harry obmacał się po szyi i ramionach, ale nie był ranny, nie było śladów krwi, tylko biały proszek. Oparł się o biurko, oddychając gwałtownie i głęboko. Hillgarth powąchał rękaw swojej marynarki i wybuchnął śmiechem.

- Mąka! Cholera, to mąka!
- Bezczelne dranie - powiedział Tolhurst.
- Czy Sam o tym wie? - Oczy Hillgartha błyszczały z podniecenia.
- Właśnie rozmawia z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, panie komandorze. Nic się panom nie stało?
- Nie. Chodźmy, Brett, musimy doprowadzić się do porządku. - Hillgarth zachichotał i ruszył w stronę wewnętrznych drzwi. Na zewnątrz tłum śmiał się ze swojego zwycięstwa, a rozsierdzony chłopak wciąż się darł. Tolhurst spojrzał na Harry'ego.
- Wszystko w porządku?

Harry wciąż się trząsał.

- Tak, tak... Przepraszam.

Tolhurst wziął go za ramię.

- Chodźmy do mnie do pokoju. Mam szczotkę do ubrań.

Harry dał się tam zaprowadzić.

Pokój był jeszcze mniejszy niż ten Harry'ego. Tolhurst wyjął z biurka szczotkę.- Mam zapasowy garnitur. Pewnie jest na ciebie trochę za szeroki, ale powinien się nadać.

- Dziękuję. - Harry otrzepał się z pierwszej warstwy mąki. Poczuł się o wiele lepiej, uspokoił się, chociaż z zewnątrz wciąż było słychać krzyki. Tolhurst wyjrzał przez okno.
- Za chwilę przyjedzie policja i ich zabierze. Serrano Suñer pokazał nam, o co mu chodzi. A sir Sam pewnie nieźle mu nawymyślał.
- Nie przestraszył się demonstracji? Tolhurst pokręcił głową.
- Nie, dzisiaj jest w świetnej formie, ani śladu różowego sznurka. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje.
- Kiedy ta mąka w nas trafiła, sam się nieźle najadłem strachu
- powiedział z zażenowaniem Harry. - Nie wiedziałem, co to było. Przypomniała mi się Dunkierka. Przepraszam, musiałem wyjść na niezłego tchórza.

Tolhurst zrobił się niespokojny.

- Nie, nic z tych rzeczy. Wiem, na czym polega nerwica frontowa, mój ojciec nabawił się jej przy poprzedniej okazji. - Zawahał się.
- Wiesz, że w zeszłym roku nie pozwolili pracownikom ambasad wstąpić do wojska? Prawdę mówiąc, kiedy się o tym dowiedziałem, ulżyło mi. - Zapalił papierosa. - Nie należę do bohaterów. Jeśli mam być szczery, wolę siedzieć za biurkiem. Nie wiem, jak dałbym sobie radę z tym, przez co ty musiałeś przejść.
- Nie wiadomo, na co człowieka stać, póki się sam nie sprawdzi.
- Pewnie nie.
- Komandor Hillgarth wydaje się być nieustraszony.
- Tak, wydaje mi się, że lubi niebezpieczeństwo. Nie sposób nie podziwiać tego rodzaju odwagi.
- Ten mój atak paniki był niewielki, biorąc pod uwagę, w jakim stanie byłem dwa miesiące temu.

Tolhurst skinął głową.

- Dobrze, bardzo dobrze. - Odwrócił się z powrotem do okna.
- Chodź i popatrz na nich. Nie mają chleba, ale mogą sobie pozwolić- Mam zapasowy garnitur. Pewnie jest na ciebie trochę za szeroki, ale powinien się nadać.
- Dziękuję. - Harry otrzepał się z pierwszej warstwy mąki. Poczucił się o wiele lepiej, uspokoił się, chociaż z zewnątrz wciąż było słychać krzyki. Tolhurst wyjrzał przez okno.
- Za chwilę przyjedzie policja i ich zabierze. Serrano Suñer pokazał nam, o co mu chodzi. A sir Sam pewnie nieźle mu nawymyślał.
- Nie przestraszył się demonstracji? Tolhurst pokręcił głową.
- Nie, dzisiaj jest w świetnej formie, ani śladu różowego sznurka. Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje.
- Kiedy ta mąka w nas trafiła, sam się nieźle najadłem strachu
- powiedział z zażenowaniem Harry. - Nie wiedziałem, co to było. Przypomniała mi się Dunkierka. Przepraszam, musiałem wyjść na niezłego tchórza.

Tolhurst zrobił się niespokojny.

- Nie, nic z tych rzeczy. Wiem, na czym polega nerwica frontowa, mój ojciec nabawił się jej przy poprzedniej okazji. - Zawahał się.
- Wiesz, że w zeszłym roku nie pozwolili pracownikom ambasad wstąpić do wojska? Prawdę mówiąc, kiedy się o tym dowiedziałem, ulżyło mi. - Zapalił papierosa. - Nie należę do bohaterów. Jeśli mam być szczery, wolę siedzieć za biurkiem. Nie wiem, jak dałbym sobie radę z tym, przez co ty musiałeś przejść.

- Nie wiadomo, na co człowieka stać, póki się sam nie sprawdzi.
- Pewnie nie.
- Komandor Hillgarth wydaje się być nieustraszony.
- Tak, wydaje mi się, że lubi niebezpieczeństwo. Nie sposób nie podziwiać tego rodzaju odwagi.
- Ten mój atak paniki był niewielki, biorąc pod uwagę, w jakim stanie byłem dwa miesiące temu.

Tolhurst skinął głową.

- Dobrze, bardzo dobrze. - Odwrócił się z powrotem do okna.
- Chodź i popatrz na nich. Nie mają chleba, ale mogą sobie pozwolić na marnowanie mąki. Założę się, że pochodzi z zapasów Auxilio Social. Falanga jest odpowiedzialna za żywienie biednych.

Harry stanął obok niego i spojrzał na wzburzone morze niebieskich koszul.

- Dobrze, że nie ma ziemniaków, co?
- Wiesz, trochę chleba z przydziału wysłaliśmy do Londynu do analizy. Nasi specje twierdzą, że nie nadaje się do jedzenia, mąka była chrzczona cholernymi trocinami. Ale na to, by rzucać w nas czystą, białą mąką, mogą sobie pozwolić.
- Szychy z Falangi pewnie nie jedzą trocin.
- Jasna cholera, mogę się założyć, że nie.
- Wykrzykiwali antyżydowskie hasła. Nie sądziłem, że Falanga ma takie zainteresowania.
- Teraz już tak. Podobnie jak Mussolini, muszą przypodobać się nazistom.
- Sukinsyny - powiedział z zaskakującą gwałtownością Harry. - Po Dunkierce czasem się zastanawiałem, po co walczyć, czy to ma jakiś sens, ale kiedy człowiek widzi takie rzeczy... Faszizm. Szczucie nastoletnich zbójów na niewinnych ludzi. Bombardowanie cywilów, strzelanie z karabinów maszynowych do wycofujących się żołnierzy. Chryste, jak ja ich nienawidzę.

Tolhurst skinął głową.

- Tak. Ale, niestety, tutaj musimy się z nimi zadawać. - Wskazał palcem. - Spójrz tylko na tego idiotę.

Chłopak, który krzyczał po angielsku, schwycił transparent z napisem GIBRALTAR ESPAÑOL i maszerował wojskowym krokiem w tę i z powrotem przed wejściem, zachęcany okrzykami tłumu. Harry zastanawiał się, gdzie też się nauczył angielskiego. Chłopak był wysoki i dobrze zbudowany, pewnie pochodził z dobrego domu.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł ambasador. Był wściekły.

- Wszystko w porządku, panie Brett?

- Dziękuję, sir, w porządku. To tylko mąka.
- Nie pozwolę, żeby atakowano mój personel! - Wysoki głos Hoare'a aż wibrował od gniewu.- Naprawdę, panie ambasadorze, nic mi nie jest.
- Tak, tak, tak, ale chodzi o zasadę. - Wziął głęboki oddech. - Tolhurst, o ile się nie mylę, Stokes cię szukał. - Skinął w stronę drzwi.
- Tak, panie ambasadorze. - Tolhurst zniknął w mgnieniu oka. Ambasador wyjrzał przez okno, prychnął z pogardą, po czym odwrócił się z powrotem do Harry'ego. Zmierzył go wzrokiem.
- Hillgarth opowiedział mi o porannym spotkaniu. Maestre ma strasznie długi język. O tym, co powiedział, o Juanie Marchu i Rycerzach Świętego Jerzego, ma pan z nikim nie rozmawiać. Nasze działania oparte są na różnych metodach. Działamy tak, że każdy wie tylko tyle, ile musi, rozumiano?
- Tak, panie ambasadorze. Już obiecałem komandorowi, że nikomu nic nie powiem.
- Tak trzymać. Cieszę się, że nic panu nie jest. - Hoare klepnął Harry'ego w ramię, po czym spojrzał z niesmakiem na mąkę, która została mu na dłoni. Odwrócił się do drzwi. - Niech pan powie Tolhurstowi, żeby tu posprzątał.

Harry usiadł, kiedy został sam. Był bardzo zmęczony, w uszach czuł ucisk i słyszał szum. Myślami wrócił do Dunkierki, do chwili tuż po tym, jak obok niego spadła bomba. Próbował się podnieść. Był pokryty mokrym i ciepłym piaskiem. Nie mógł jasno myśleć, zebrać się w sobie. Poczł na ramieniu dotknięcie, otworzył oczy. Pochylał się nad nim niski, żylasty kapral.

- Wszystko w porządku? - Harry ledwie go słyszał, coś było nie tak z jego uszami. Usiadł. Mundur miał cały w zakrwawionym piasku, dookoła leżały czerwone strzępy. Zorientował się, że to Tomlinson.

Pozwolił, żeby kapral zaprowadził go na plażę, do morza. Woda była zimna, zaczął się trząść od stóp do głów, nie mógł się ruszyć.

- Tomlinson - powiedział. Ledwie słyszał własny głos. - Takie małe kawałeczki.

Kapral złapał go za ramiona, odwrócił twarzą do siebie, spojrzał mu prosto w oczy.- Chodźmy dalej. No, dalej, do łodzi.

Kapral poprowadził go głębiej w morze. Wokół nich rozbryzgiwali wodę jacyś ludzie w mundurach. Nagle Harry zobaczył przed sobą drewniany kadłub łodzi. Wydawała się strasznie wysoka. Wychyliło się z niej dwóch mężczyzn, wzięli go za ramiona. Poczł, jak znowu unosi się w powietrze, po czym stracił przytomność.

Zorientował się, że na zewnątrz wciąż słycać głosy. Wstał i podszedł do okna. Nastolatek stał na baczność ze sztandarem u boku i krzyczał w stronę ambasady. Harry usłyszał jego słowa.

- Śmierć wrogom Hiszpanii! Śmierć Anglikom! Śmierć Żydom!

Nagle chłopak przerwał w pół zdania. Otworzył usta ze zdumienia

i poczerwieniał. Harry zobaczył, że na jego szortach pojawia się w kroczu plamka, że stopniowo robi się większa i nagle coś pocięło chłopakowi po nodze. Był tak podniecony swoimi okrzykami, że się zmoczył. Chłopak stał teraz sztywno, jego twarz zbieleła z przerażenia. Ktoś zawołał - ¡Lucas! ¡Lucas, continua! - ale on nie śmiał się poruszyć, teraz to jego tłum schwytał w pułapkę. Harry spojrzał w dół.

- Dobrze ci tak, mały sukinsynu - powiedział na głos.

Rozdział siódmy

Falangiści wkrótce się rozeszli. Chłopak, który się zsiakał, musiał się w końcu odwrócić i umknąć chyłkiem między kompanów. Spojrzeli na jego mokre szorty, po czym szybko odwrócili wzrok. I tak zaczęli się uspokajać, zmęczeni odłożyli bębny, zwinęli transparenty i odmaszerowali. Harry odwrócił się od okna, kręcąc głową. Usiadł przy biurku Tolhursta, zadowolony z chwili spokoju. Tolhurst zachował się bardzo przyzwoicie. Harry'ego zdziwiła siła jego uścisku, kiedy wciągał go do środka; pod warstwą tłuszczu musiał mieć niezłe mięśnie.

Rozejrzał się po pokoju. Porysowane biurko, wiekowa szafka na dokumenty oraz szafa. Brudno w kątach. Portret króla na ścianie, ale brak jakichkolwiek osobistych zdjęć. Pomyślał o fotografii swoich rodziców, która stała teraz w mieszkaniu. Zastanawiał się, czy rodzice Tolhursta wciąż żyją, czy też śmierć ich zabrała podczas wielkiej wojny. Zamknął oczy i przez chwilę znowu zobaczył plażę, ale odepchnął jej obraz siłą woli. Dobrze się dzisiaj sprawił. Jeszcze niedawno taki incydent sprawiłby, że leżałby skulony pod biurkiem, jak ostatni tchórz.

Przypomniawszy sobie czas spędzony w szpitalu w Dover, pamiętał rozczarowanie i zwątpienie. Był na wpół głuchy, pielęgniarki słyszały tylko wtedy, gdy krzyczały. Przyszedł doktor, żeby go zbadać. Wyglądało na to, że był zadowolony. Pochylił się nad łóżkiem.

- Powinien wrócić panu słuch, bębny nie są trwale uszkodzone. Musi pan leżeć i odpoczywać, rozumie pan? Leżeć i odpoczywać.- Nie mam wyboru - krzyknął Harry, nim przypomniał sobie, że to on jest głuchy, a nie doktor. Ściszył głos. - Kiedy tylko wstaję z łóżka, zaczynam się trząść.

- To skutek wstrząsu. Na pewno się poprawi.

I poprawiło się. Dzięki determinacji najpierw wstał z łóżka, potem wyszedł z sali szpitalnej, aż w końcu spacerował na dworze. Ale później ani powrót do zdrowia, ani zwycięstwo Królewskich Sił Powietrznych w bitwie o Anglię nie uleczyły jego wstydu i złości na myśl o wycofaniu się z Francji. Po raz pierwszy w życiu Harry odkrył, że kwestionuje to, czego nauczyli go w Rookwood, że istniejące zasady są dobre i słuszne, a Anglia jest predestynowana, by przewodzić światu. Ale to faszyci wszędzie wygrywali. Od zawsze ich nienawidził, tak jak w szkole nienawidził osiłeków i oszustów. Dzięki temu zawsze miał jakiś punkt oparcia. Ale gdyby nastąpiła inwazja Anglii, walczyłby, gdyby tylko mógł; walczyłby za tę podbitą, podzieloną Anglię. To dlatego zgodził się na propozycję ludzi z wywiadu, na wyjazd do Hiszpanii.

Aż podskoczył, kiedy nagle drzwi się otworzyły i wszedł Tolhurst z plikiem papierów pod pachą.

- Wciąż-tu siedzisz, Brett?

- Tak. Przyglądałem się imprezie. Jeden z nich zlał się w gacie.

- Dobrze tak małemu sukinsynowi. Dobrze się czujesz?
- Tak, nic mi nie jest. Potrzebowałem tylko chwili, żeby dojść do siebie. - Harry wstał. Spojrzał na swój garnitur, z którego wciąż opadała mąka. - Powiniennem się przebrać.

Tolhurst otworzył szafę i wyjął z niej pognieciony szary garnitur i filcowy kapelusz. Harry się przebrał. Garnitur był za duży i przepocony.

- Od dawna mam zamiar go wyprasować - powiedział przeprasząco Tolhurst.
- Nie szkodzi, dzięki. Myślę, że wrócę do domu, chyba że mają dla mnie jakąś robotę. U siebie wszystko już załatwiłem.

Tolhurst skinął głową.

- W porządku. A przy okazji, w przyszłym tygodniu będzie koktajl dla pracowników ambasady. W Ritzu. Ostatnimi czasy naziści często tam chodzą, więc chcemy zrobić mały pokaz siły. Może przyjdiesz?
- Dziękuję, z chęcią. Dziękuję, panie Tolhurst.
- Mów mi Tolly. Wszyscy mnie tak nazywają.
- Wobec tego mów mi Harry.
- Dobra. W każdym razie, nie jedź do domu metrem, znowu odcięli prąd.
- Dobrze. Spacer dobrze mi robi.
- Załatwię, żeby uprali ci marynarkę.
- Jeszcze raz dzięki, Tolly.

Harry zostawił Tolhursta. Na zewnątrz wciąż nie padało, ale od gór zaczął wiać zimny, przenikliwy wiatr. Założył kapelusz i lekko się wzdrygnął, kiedy poczuł na głowie wilgotne resztki brylantyny. Ruszył w stronę centrum. Przy Puerta del Sol w bramie siedziała grupka żebrzących Cyganów.

- Niech pan nam pomoże - zawołali za nim. - Niech pan pomoże, na Boga.

W Hiszpanii zawsze byli żebracy, ale teraz widać ich było wszędzie. Jeżeli tylko napotkało się ich wzrok, wstawali i szli za tobą, trzeba było nauczyć się dostrzegać ich jedynie kątem oka. Jego nauczyciele podczas szkolenia powiedzieli mu, żeby patrzył w ten sposób, kiedy będzie śledzony i że można nauczyć się widzieć zaskakująco wiele, nie poruszając oczami, tak, by nie było widać, że w ogóle na kogoś się patrzy.

Na calle Toledo z jednej z restauracji wystawiono na zewnątrz śmieci do wywiezienia. Kubły się przewróciły, ich zawartość wypadła na chodnik. Wśród śmieci grzebała w poszukiwaniu resztek cała rodzina: stara kobieta, młodsza wyglądająca na jej córkę oraz dwójka dzieci o wzdętych głodem brzuchach. Młoda kobieta była pewnie kiedyś ładna, ale teraz jej czarne włosy były przetłuszczzone, a na białych policzkach malowały się czerwone plamy, oznaka suchot. Mała dziewczynka znalazła skórkę od pomarańczy, wsadziła ją sobie do ust i zaczęła ssać. Stara kobieta schwyciła kość kurczęcia i

schowała do kieszeni. Przechodnie skręcali, żeby ich ominąć. Po drugiej stronie ulicy stali w bramie sklepu dwaj civiles i obserwowali ich. Ksiądz w eleganckiej czarnej sutannie przeszedł szybkim krokiem, odwracając wzrok.

Młodsza z kobiet właśnie przeszukiwała pomyje, zgięta wpół, kiedy nagle powiew wiatru podwinął i zarzucił jej na głowę sukienkę. Krzyknęła i wyprostowała się, machając rękami, próbując doprowadzić do porządku ubranie. Nie miała na sobie bielizny, więc jej chude ciało, odstające żebra i obwisłe piersi całkowicie się odsłoniły. Starsza podbiegła do niej i próbowała rozplątać sukienkę.

Dwaj civiles ożywili się. Przebiegli przez ulicę i złapali kobietę. Jeden z nich szarpnął. Rozległ się odgłos dartej tkaniny, ale sukienka wreszcie dała się doprowadzić do porządku i okryła ją. Objęła się ramionami i zaczęła dygotać.

- Co wy wyczyniacie? - wrzasnął jej prosto w twarz jeden z civiles. - Ty dziwko! - Policjant był wysokim mężczyzną w średnim wieku, miał czarne wąsy. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

- To było przypadkiem. - Stara kobieta złożyła błagalnie ręce. - Widzieliście panowie, to wiatr, proszę, to tylko przypadkiem.

- Nie powinnyście pozwalać na takie przypadki! - krzyknął jej prosto w twarz. Pociągnął młodszą kobietę za ramię. - Jest pani aresztowana za obrazę moralności publicznej.

Kobieta zakryła twarz dłońmi i rozplakała się, szlochając i kaszląc na zmianę. Starsza stała błagalnie przed civiles, trzymając ręce złożone niczym do modlitwy.

- To moja córka! - błagała. - Moja córka!

Młodszy civil wydawał się zawstydzony, ale starszy był wciąż wściekły. Odepchnął starą kobietę.

- Reszta, precz mi stąd. Te kubły są prywatną własnością. Dlaczego nie znajdziecie sobie pracy? iVete!

Stara kobieta przygarnęła do siebie dzieci i stała, dygocząc i patrząc, jak civiles zabierają jej córkę. Harry'emu zrobiło się niedobrze, kiedy patrzył, jak słaniającą się prowadzą ulicą i jak znikają między budynkami tego, wydawałoby się, nowoczesnego, europejskiego miasta.

Nagle kogoś spostrzegł. Niski chudy mężczyzna o czarnych włosach, w ciemnym garniturze i białej koszuli bez kołnierza natychmiast się ukrył w sklepie, kiedy tylko skrzyżowały się ich spojrzenia. Harry odwrócił się i szedł dalej przed siebie, udając, że nikogo nie widział.

Przed nim na środku ulicy ubrany w biały strój i biały hełm stał policjant kierujący ruchem; przechodnie mieli czekać, aż da sygnał, by przeszli, ale wielu przebiegało, kiedy nie patrzył, ryzykując wypadek albo mandat w wysokości dwóch peset. Harry zatrzymał się i rozejrzał. Tamten mężczyzna był tuż za nim, może jakieś dziesięć kroków. Twarz miał bladą i kwadratową, ale zaskakująco delikatne rysy. Kiedy zobaczył, że Harry patrzy w jego stronę, zawahał się na moment, po czym minął go szybkim krokiem, nie podnosząc głowy.

Harry przebiegł przez ulicę między wozem a starym fordem. Kimkolwiek był ten mężczyzna, nie nadawał się zbytnio do śledzenia. Czuł się trochę nieswojo, ale przypomniał sobie ostrzeżenie, iż

może spodziewać się, że będzie śledzony, jak każdy pracownik ambasady. Był urzędnikiem niskiego szczebla, więc może ten szpieg też był niski rangą.

Chociaż nie było to łatwe, nie obejrzał się ani razu aż do momentu, kiedy dotarł do klatki schodowej swojej kamienicy. Był równie zły jak przestraszony. Kiedy wreszcie się odwrócił, śledzący go człowiek zniknął. Wszedł na górę po schodach, otworzył drzwi i podskoczył gwałtownie, kiedy ze środka odezwał się głos.

- Harry, to ty? - Na kanapie w salonie siedział Tolhurst. - Przepraszam za włamanie, stary, przestraszyłem cię? To dlatego, że mam wiadomość od Hillgartha, chciał, żebym przekazał ci ją od razu. Dostał ją zaraz po tym, jak wyszedłeś, więc pojechałem do ciebie samochodem.

- W porządku. - Harry podszedł do okna i spojrzał na ulicę. - O Boże, niemożliwe, on tam stoi. Śledzą mnie, chodź i zobacz.

- Dobra, stary, nie poruszaj zasłoną. - Tolhurst podszedł do niego i popatrzył w dół na mężczyznę. Przechadzał się w tę i z powrotem, patrząc na numery domów i drapiąc się w głowę. Tolhurst wybuchnął śmiechem.

- Niektórzy z nich są po prostu beznadziejni.

- Szpiegowanie szpiega - powiedział cicho Harry. - Tak to działa. - Tolhurst spojrzał na niego poważnie. - Posłuchaj, zmiana planów. Komandor Hillgarth chce, żebyś wziął się za Forsytha już teraz. Pójdź do Café Rocinante jutro po południu i zobacz, czy będziesz w stanie nawiązać kontakt. Przyjdź na odprawę do ambasady jutro o dziewiątej. - Tolhurst przyjrzał mu się bacznie. - W porządku?

Harry wziął głęboki oddech.

- Tak. - Uśmiechnął się cierpko. - W końcu po to tu przyjechałem.

- Dobra. - Tolhurst skinął głową w stronę okna. - Koniecznie postaraj się zgubić tego kochasia.

- Czemu zmieniamy plany?

- Hitler odwiedza Francję, ważne spotkanie z Pétainem. Chodzą pogłoski, że potem przyjedzie tutaj. To bardzo poufna sprawa, tak przy okazji.

Harry spojrzał na niego poważnie.

- To znaczy, że Franco może być bliski przystąpienia do wojny.

Tolhurst skinął głową.

- Przynajmniej zmierza w tym kierunku. Musimy wiedzieć o wszystkim, co możliwe, tak dużo jak tylko się da.

- Tak. - Harry skinął ponuro głową. - Wyobrażam sobie.

- Muszę wracać. Powiem Hillgarthowi, że cię zastałem. - Rozejrzał się po gołych ścianach. - Powinieneś przykryć czymś te białe plamy. Mamy w ambasadzie mnóstwo obrazków, jeśli chcesz. -

Unióśł brwi. - Bądźmy optymistami i przyjmijmy, że nie zostaniemy wszyscy stąd wywaleni albo gorzej.

Kiedy Tolhurst wyszedł, Harry wrócił do okna. Znowu zaczęło padać, kropelki deszczu stuknęły w szybę. Mężczyzna zniknął; pewnie siedział gdzieś niedaleko i czekał, aż Harry wyjdzie. Pomyślał o biednej kobiecie, którą aresztowali na jego oczach. Prawdopodobnie wsadzili ją do jakiejś śmierdzącej celi. Ten incydent pomógł mu wyklarować poglądy na wydarzenia ostatnich dni. Harry zorientował się, że przestał być neutralny; nienawidził tego, co Franco robił w tym kraju.

Wrócił myślami do Sandy'ego i do jutrzejszego spotkania. Pomyślał o jadących przez Pireneje niemieckich czołgach, o wojnie domowej. Zastanawiał się, skąd ambasada o tym wiedziała. Może to miało jakiś związek z tym, o czym rozmawiali Hillgarth i Maestre. Juan March, milioner i krętacz, sponsorował Franco podczas wojny domowej, ale wciąż mógł być proangielski, tak jak Maestre. Zastanawiał się, o co chodziło z Rycerzami Świętego Jerzego - czy był to jakiś kryptonim? Hoare kazał mu o tym zapomnieć, ale dlaczego obaj z Hillgarthem tak bardzo się martwili, że się o tym dowiedział? Wzruszył ramionami. Powinien zacząć przygotowywać się mentalnie na spotkanie z Sandym. Z Sandym, który dorabiał się na hiszpańskim piekle.

Ciekawe, jaki teraz był? Wrócił myślami do tego roku w Rookwood, kiedy dzielił z Sandym pokój do nauki, do tego dziwnego roku.

Incydent z pająkiem w gabinecie Taylora był początkiem trudnych czasów. Wszystko wydawało się niespokojne i nie na miejscu. Bernie przeniósł się do innego pokoju, ale on i Harry pozostali przyjaciółmi. Bernie i Sandy nienawidzili się. Nie chodziło o nic konkretnego, ich nienawiść była odruchowa, instynktowna. Zatargi i rywalizacja między chłopcami w szkole były na porządku dziennym, ale w ich przypadku najgorsze wydawały się kłótnie i bójki, lodowate spojrzenia i sarkastyczne uwagi. Ale pod niektórymi względami Sandy i Bernie byli do siebie podobni. Obaj traktowali szkołę w Rookwood, jej system wartości i porządek ze wzgardą. Harry'ego to raniło.

Bernie nie obnosił się ze swoim socjalizmem, bo wiedział, że dla większości chłopców jego idee byłyby nie tylko niesmaczne, ale również niezrozumiałe. Nauka wciąż szła mu dobrze; był inteligentny, jak wszyscy chłopcy, którzy mieli w Rookwood stypendium. W rugby grał agresywnie, dostał się do drużyny młodzików. Ale od czasu do czasu jego uczucia do szkoły musiały znaleźć ujście i dzielił się nimi z Harrym zimnym, pełnym pogardy tonem.

- Przygotowują nas do tego, byśmy się stali klasą rządzącą - powiedział pewnego popołudnia. Padało, więc wszyscy siedzieli w pokoju Harry'ego, Harry i Bernie przy biurkach, Sandy przy kominku czytał książkę. - Żebyśmy umieli rządzić robotnikami tutaj i tubylcami w koloniach.

- No cóż, ktoś musi nimi rządzić - odpari Harry. - Sam myślałem o tym, żeby zgłosić się do Biura Kolonialnego, kiedy skończę szkołę. Mój kuzyn pewnie będzie mi w stanie pomóc.

- O Boże! - Bernie zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Bycie zarządcą to cholernie ciężka praca. Znajomy mojego stryjka przez wiele lat w Ugandzie był jedynym białym człowiekiem w promieniu wielu kilometrów. Wrócił chory na malarię. A niektórzy tam umierają.

- A inni zarabiają kokosy - odparł z pogardą Bernie. - Harry, szkoda, że sam siebie nie słyszysz. „Mój kuzyn może będzie mi w stanie pomóc”, „znajomy mojego stryjka”. Ja nie znam nikogo, kto ma kuzynów ani stryjków, którzy będą mogli pomóc im władać znacznymi połaciami Afryki.

- Socjaliści pewnie potrafią rządzić lepiej, co? Jak ci idioci Mac-Donald i Snowden1?

- Zapredali się władzy. Są słabi. Potrzebujemy silniejszego socjalizmu, jak w Rosji.

Sandy podniósł wzrok znad książki i wybuchnął śmiechem.

- Myślisz, że w Rosji jest lepiej niż tutaj? Pewnie jest tam podobnie jak w tej szkole, tylko gorzej.

Harry zmarszczył brwi.

- Jak niby Rosja może być podobna do Rookwood?

Sandy wzruszył ramionami.

- To cholerny system zbudowany na kłamstwach. Mówią, że cię kształcą, ale wbijają ci do głowy różne rzeczy, które chcą, żebyś wiedział, tak jak Rosjanie wbijają swoim do głowy propagandę. Mówią nam, kiedy iść do łóżka, kiedy wstać, co mówić, co myśleć. To nie przeszkadza ludziom takim jak ty, Harry, ale ja i Piper jesteśmy inni. - Spojrzał na Berniego, w jego oczach błyszczały przewrotne ogniki.

- Pieprzysz aż miło, Forsyth - odparł Bernie. - Wydaje ci się, że wymykanie się nocą, by pić z Piersem Knightem i jego kolesiami, to

i J. Ramsey MacDonald - pierwszy premier Wielkiej Brytanii z Partii Pracy; Phillip Snowden - brytyjski kanclerz skarbu, również z Partii Pracy; możliwe także, że chodzi o jego żonę, Ethel Snowden, znaną angielską sufrażystkę. bycie innym. Ja chcę wolności dla klas pracujących. Nasz dzień nadchodzi.

- A ja pewnie będę stał w kolejce do gilotyny.

- Może i tak.

Sandy zadawał się z grupką ludzi z czwartej i piątej klasy, którzy chodzili do pobliskiego miasteczka pić oraz, jak mówili, spotykać się z dziewczynami. Bernie twierdził, że byli łobuzami, i Harry się z nim zgadzał, chociaż po tym, jak Taylor próbował zwerbować go jako szpiega, rozumiał też trochę Sandy'ego. Nie zazdrościł mu tego, że zawsze był czarną owcą, chłopcem, na którego trzeba było mieć oko. Sandy uczył się tak mało, jak tylko to było możliwe. Do nauczycieli i prac w szkole odnosił się z kiepsko skrywaną pogardą.

W tamtym semestrze Harry zaczął chodzić sam na spacer. Długie piesze wycieczki po zalesionych wzgórzach hrabstwa Sussex rozjaśniały mu w głowie. Pewnego mokrego listopadowego popołudnia tuż za zakrętem ze zdziwieniem zobaczył klęczącego na drodze Sandy'ego Forsytha. Oglądał uważnie ciemny, okrągły kamień, który trzymał w rękach. Sandy podniósł wzrok.

- Cześć, Brett.

- Co robisz? Masz cały blezer w kredzie.

- Nieważne. Popatrz na to. - Wstał i podał Harry'emu kamień. Z początku wyglądał jak zwykły ciemny krzemień, ale Harry nagle spostrzegł gęsty, spiralny wzorek.

- Co to jest?

Sandy się uśmiechnął. Nie swoim zwykłym, cynicznym uśmiechem, ale szeroko i z radością.

- To amonit. Skamieniałe stworzenie morskie. Kiedyś wszystko tu było zakryte morzem, w którym było mnóstwo takich pływających stworzeń. Kiedy ten umarł, poszedł na dno i przez lata jego skorupa zamieniła się w kamień. Nie jesteś sobie w stanie wyobrazić ile lat. Miliony.

- Nie wiedziałem, że tak wyglądają skamieliny. Myślałem, że są duże, jak dinozaury.- O, dinozaury też tu były. Pierwsze skamieliny dinozaurów znalazł niedaleko stąd sto lat temu człowiek o nazwisku Mantell. - Uśmiech Sandy'ego stał się sardoniczny. - Nie był popularny w niektórych kręgach. Skamieniałości kwestionowały pogląd Kościoła, że ziemia ma tylko kilka tysięcy lat. Mój tata wciąż twierdzi, że Bóg sam umieścił skamieliny w ziemi, żeby sprawdzić naszą wiarę. Jest bardzo konserwatywnym anglikaninem.

Harry nigdy nie widział takiego Forsytha. Na jego twarzy malował się entuzjazm, szkolny strój miał pokryty kredą, a jego czarne włosy, zwykle równo zaczesane, były rozczochrane. Uśmiechnął się.

- Często chodzę szukać skamielin. To dobry okaz. Nie mówię o tym ludziom, pomyśleliby, że jestem kujonem.

Harry przyjrzał się kamieniowi, palcami oczyszczając zawijasy skorupy.

- Niesamowity. - Pomyślał, że kamień był piękny, ale takich słów nie używało się w Rookwood.

- Jeśli chcesz, możesz czasem ze mną chodzić - powiedział nieśmiało Sandy. - Staram się założyć kolekcję. Mam kawałek skały z muchą w środku, sprzed trzystu milionów lat. Insekty i pająki tak stare, jak dinozaury, o wiele starsze od nas. - Przerwał na moment i poczerwieniał, bo nie umiał ukryć swojego entuzjazmu.

- Naprawdę?

- O tak. - Spojrzał w stronę wzgórz. - I zostaną tu, nawet jak nas już nie będzie.

- Taylor boi się pajaków.

Sandy roześmiał się.

- Co?

- Pewnego razu przypadkiem się dowiedziałem. - Harry się zarumienił. Pożałował, że to powiedział.

- Głupi pierdziel. Kiedy wyniosę się z tego bagna, będę poszukiwaczem skamielin, będę jeździł do Mongolii i dalej... - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Chcę mieć przygody, daleko stąd. W ten sposób w pewnym sensie zostali przyjaciółmi. Chodzili na długie wycieczki w poszukiwaniu skamielin. Harry dowiedział się wiele o życiu, które kłębiło się w pradawnych morzach w tej okolicy. Sandy wiedział

naprawdę dużo. Pewnego razu znalazł zagrzebany w ścianie kamieniołomu ząb dinozaura, iguanodona.

- Takie zęby to rzadkość - powiedział z radością. -i można za nie dostać niezłe pieniądze. W czasie wakacji zawiozę go do National History Museum.

Pieniądze były dla Sandy'ego ważne. Jego ojciec dawał mu niemałe kieszonkowe, ale on potrzebował więcej.

- Dzięki forsie można w życiu robić to, na co się ma ochotę - powiedział. - Kiedy będę starszy, mam zamiar zarabiać kokosy.

- Chcesz się dorobić na kościach dinozaurów? - spytał Harry. Przeszukiwali rozrzucone tu i tam w lesie wyrobiska żelaza. Sandy spojrzął w stronę horyzontu przez ogołcone z liści brązowe drzewa. Był cichy, zimny dzień na początku zimy.

- Najpierw zarobię fortunę.

- Ja raczej nie myślę zbyt wiele o pieniądzach.

- Piper powiedziała by, że dlatego, bo sam masz ich dużo. Wszyscy jesteśmy bogaci. Ale to pieniądze naszych rodziców. Ja chcę zarobić własne.

- Moje pieniądze zostawił mi ojciec. Żałuję, że go nie znałem, zginął na wojnie.

Sandy znów spojrzął przed siebie.

- Mój ojciec był kapelanem na zachodnim froncie. Mówił żołnierzom, że Bóg jest z nimi, kiedy nacierali z okopów. Mój brat Peter idzie w jego ślady, jest na studiach teologicznych i chce wstąpić do wojska. Był przedstawicielem roku w Braildon, najlepszy w grach zespołowych, miał pierwszą nagrodę z greki i takie tam. - Sandy spochmurniał. - Ale to idiota, jego religia jest tak głupia, jak socjalizm Pipera. To nonsens. - Odwrócił się i Harry zobaczył w jego oczach dziwny żar. - Wiesz, matka opuściła nas, kiedy miałem dziesięć lat. Nie rozmawiamy o tym, ale wydaje mi się, że nie mogła znieść tych głupot. Zwykła mówić, że potrzebuje w życiu trochę roz-rywki. Pamiętam, że było mi jej żal, wiedziałem, że nie miała rozrywki ani trochę.

Harry poczuł się nieswojo.

- Gdzie teraz jest? - spytał.

Sandy wzruszył ramionami.

- Nie wiedzą. Albo nie chcą mi powiedzieć. - Wyszczrzył w uśmiechu swoje równe, białe zęby. - Może wypuścisz się kiedyś ze mną i moimi kumplami? W miasteczku spotykamy się z kilkoma dziewczynami. - Spojrzął na niego znacząco.

Harry się zawahał.

- Co z nimi robicie, kiedy z nimi jesteście? - zapytał nieśmiało.

- Wszystko.

- Wszystko? Naprawdę?

Sandy się roześmiał. Zeskoczył ze skały, na której siedział, i klepnął Harry'ego w ramię.

- Nie, tak naprawdę to nie. Ale któregoś dnia, owszem. Chcę być pierwszy.

Harry kopnął kamień.

- Nie chcę wpaść w tarapaty, to nie jest tego warte.

- Nie bądź taki. - Harry czuł, że osobowość Sandy'ego silnie wpływa na niego. - Ja zajmuję się planowaniem, wymykamy się zawsze, kiedy nikogo nie ma w pobliżu, i chodzimy w miejsca, gdzie nauczyciele nigdy się nie pojawiają, a jeśli nawet, to będą się bali jeszcze bardziej niż my, że ktoś ich zauważy. - Zaśmiał się.

- Chodzicie do jakichś spelun? Chyba nie mam na to ochoty.

- Nie damy się złapać. W Braildon przyłapali mnie na łamaniu regulaminu, teraz jestem ostrożniejszy. Fajnie jest, kiedy wiesz, że cię szukają, a ty ich wyrolowałeś.

- Za co cię wywalili z Braildon?

- Byłem w miasteczku, jeden z nauczycieli nakrył mnie, kiedy wychodziłem z pubu. Doniósł komu trzeba, powiedzieli to co zwykle, dlaczego nie biorę przykładu z brata, że był ode mnie o wiele lepszy. - Oczy Sandy'ego znowu stały się zimne i rozbłyły gniewem. - Ale oddałem mu.-Jak?

Sandy znowu usiadł i założył ręce na piersi.

- Ten nauczyciel, Dacre, był młody. Miał mały czerwony samochód. Jeździł nim, żeby wszystkim zaimponować, i uważał się za nie wiadomo kogo. Umieć prowadzić, więc którejś nocy wymknąłem się i zabrałem mu samochód z garażu. Blisko szkoły było strome wzgórze. Podjechałem samochodem nad zbocze i wyskoczyłem. Przejechał przez krawędź i po prostu spadł. - Sandy uśmiechnął się radośnie, odsłaniając białe zęby. - To był niesamowity widok, kiedy zjeżdżał w dół, wyrwijąc po drodze krzaki. Uderzył w drzewo, a przód wygiął się, jakby był z tektury.

- O Boże! To musiało być niebezpieczne.

- Wcale nie, trzeba tylko było wiedzieć, jak to zrobić..Ale kiedy wyskoczyłem, rozciąłem sobie twarz gałęzią. Szrama mnie zdradziła, skojarzyli, co się stało. Ale było warto, poza tym dzięki temu wydostałem się z Braildon. Nie myślałem, że przyjmą mnie gdziekolwiek indziej, ale mój ojciec pociągnął za kilka sznurków i znalazłem się tutaj. Miałem pecha.

Harry rozkopywał ziemię czubkiem buta.

- Moim zdaniem to przesada rozwalać czyjś samochód.

Sandy spojrzał na niego spokojnie.

- Czyń bliźniemu swemu, jak on by tobie czynił.

- W Biblii nie ma nic takiego.

- Ale ja tak mówię. - Wzruszył ramionami. - Chodź, wracajmy, nie chcemy spóźnić się na wieczorną zbiórkę, bo wpadniemy w tarapaty, co? Naszym kochanym nauczycielom by się to nie spodobało.

W drodze powrotnej nie mówili zbyt wiele. Zimowe słońce zachodziło, powoli barwiąc na różowo kałuże na błotnistych ścieżkach. Kiedy doszli do drogi, zobaczyli wysokie mury szkoły. Sandy odwrócił się do Harry'ego.

- Wiesz, skąd wzięły się pieniądze, za które założono szkołę i ufundowano stypendia dla takich jak Piper?

- Od jakichś kupców ze dwieście lat temu, prawda?

- Tak. Ale wiesz, czym głównie handlowali?

- Jedwabiem, pieprzem i takimi?

- Niewolnikami. To byli łowcy niewolników, łapali czarnych w Afryce i wywozili ich do Ameryki. Znalazłem w bibliotece książkę na ten temat. - Spojrzał na Harry'ego. - To niesamowite, czego można się dowiedzieć, jeśli tylko poszukać. Rzeczy, które ludzie starają się ukryć, a które mogą okazać się użyteczne. - Uśmiechnął się tajemniczo.

Kłopoty zaczęły się kilka tygodni później, na zajęciach z Taylorem. Klasa miała jako pracę domową przygotować tłumaczenie z łaciny, ale Sandy'emu nie chciało się jej odrabiać. Został wywołany do odpowiedzi i przeczytał takie bzdury, że klasa wybuchnęła śmiechem. Niektórzy chłopcy czuliby się upokorzeni, ale Sandy uśmiechał się z wyższością i chichotał razem z innymi. Taylor wpadł w szaf. Stanął nad Sandym, twarz miał czerwoną z wściekłości.

- Forsyth, nawet nie spróbowałeś odrobić tego zadania. Jesteś równie inteligentny, jak wszyscy, ale po prostu ci się nie chciało.

- O nie, proszę pana - odparł poważnym tonem Sandy. - Tłumaczenie było dla mnie trudne.

Taylor poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Wydaje ci się, że możesz bezczelnie udawać głupiego i ujdzie ci to płazem, co? Wiele rzeczy uchodzi ci płazem, ale mamy na ciebie oko.

- Dziękuję, proszę pana - odpowiedział spokojnie Sandy. Klasa znowu wybuchnęła śmiechem, ale Harry widział, że tym razem Forsyth przesadził. Nie wolno było prowokować Taylora.

Nauczyciel podszedł do swojego biurka i wziął do ręki trzciniową laskę.

- To czysta bezczelność, Forsyth. Chodź tu!

Sandy zacisnął wargi. Widać było, że tego się nie spodziewał. Bicie trzcinią przed całą klasą było rzadkie.

- Nie wydaje mi się, żeby to było w porządku, proszę pana.

- Już ja ci pokażę, co jest w porządku! - Taylor podszedł szybkim krokiem do Sandy'ego i wyciągnął go za kołnierz z ławki. Sandy nie był wysoki, ale dobrze zbudowany i Harry przez moment zastanawiał się, czy będzie się opierał; ale on pozwolił zaprowadzić się na przód sali. Kiedy pochylił się nad katedrą, zacisnął wściekle wargi, a Taylor zaczął uderzać go trzcina raz po razie, w jego oczach zapłonął gniew, jakiego Harry przedtem jeszcze nie widział.

Po zajęciach Harry wrócił do swojego pokoju. Sandy siedział na biurku. Był blady i ciężko dyszał.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Harry.

- Zaraz mi przejdzie. - Na moment zapadła cisza. Sandy przez chwilę stał, krzywiąc się z bólu. - Widzisz, Harry? Widzisz, jaką mają nad nami władzę?

- Nie powinieneś być go prowokować.

- Odwdzięczę mu się - wymamrotał Sandy.

- Nie bądź głupi. Jak niby miałbyś to zrobić?

- Znajdę jakiś sposób.

Uczniowie jadali posiłki w stołówce przy długich stołach. U szczytu siedział dyrektor roku. Jakiś tydzień po tamtej lekcji Harry zauważył, że nie ma ani Taylora, ani Sandy'ego. Do wieczora Sandy wciąż się nie pojawił, a ranne zajęcia przejął inny nauczyciel. Ogłosił, że Ale-xander Forsyth nie wróci; został wydalony za napaść na pana Taylora, który jest na zwolnieniu chorobowym. Chłopcy zasypali go pytaniami, ale nauczyciel powiedział, że sprawa jest zbyt nieprzyjemna, by o niej mówić. Na jego twarzy malowała się odraza. To właśnie tamtego ranka Harry zobaczył przemierzającego dziedziniec biskupa Forsytha. Miał ściągniętą, surową twarz.

- Dobrze tak temu śmieciowi - wyszeptał siedzący obok Harry'ego Bernie. - Ciekawe, czy dadzą mi wrócić do twojego pokoju.

Podczas lunchu chłopcy byli bardzo podekscytowani, zastanawiali się, co zaszło. Harry postanowił darować sobie posiłek i poszedł do swojego pokoju. Sandy tam był, właśnie ostrożnie pakował do walizki swoją kolekcję skamielin. Posłał Harry'emu na wpół cyniczny uśmiech.

- Cześć, Brett. Słyszałeś, co się stało?- Słyszałem, że wyjeżdżasz. Co zrobiłeś? Nie chcą nam powiedzieć.

Sandy usiadł na łóżku. Wciąż się uśmiechał.

- Moja najlepsza zemsta w życiu. Tak się składa, że to ty podsunąłeś mi pomysł. Pająki.

- Że co?

- Pamiętasz, jak poszliśmy szukać skamielin i powiedziałem ci, że pająki i insekty są tak stare jak dinozaury?

Harry poczuł, że robi mu się słabo. Przypomniał sobie dzień, kiedy Taylor poprosił go, by szpiegował Sandy'ego. Nigdy nikomu o tym nie powiedział.

Sandy się uśmiechnął.

- Byłeś kiedyś na poddaszu? Jest tam mnóstwo pajęczyn. - Uśmiechnął się szeroko. - A skoro są pajęczyny, to są także pająki. Nałapałem ich pełną puszkę od herbatników, i to tych dużych. Po czym wczoraj poszedłem do gabinetu Taylora, kiedy siedział w świetlicy. - Roześmiał się. - Powkladałem je wszędzie. Do szuflad, do papierośnicy, nawet do jego tandetnych starych kapci. Potem schowałem się w gabinecie obok, który, jak wiesz, jest pusty od czasu, gdy Henderson odszedł na emeryturę. Siedziałem tam i czekałem. Wiedziałem, że Taylor przyjdzie o czwartej, żeby sprawdzać prace. Chciałem usłyszeć jego krzyk.

Harry zacisnął pięści. Sandy wykorzystał to, co mu powiedział, to była częściowo jego wina.

- I co, krzyknął? - zapytał.

Sandy wzruszył ramionami.

- Nie, nie udało się. Słyszałem, jak idzie korytarzem i jak zamyka drzwi, ale nic nie było słychać, zapadła cisza. Pomyślałem, no dalej, ty draniu, na pewno już je znalazłeś. Wtedy usłyszałem odgłos otwieranych drzwi i łupnięcie. Potem było słychać śmieszne szlochanie, jak miauczenie kota. Robiło się coraz głośniejsze, aż zamieniło się w coś w rodzaju pisku, niektórzy nauczyciele powychodzili na korytarz. Usłyszałem, jak Jevons mówi „Co się stało”, a Taylor odpowiedział „W moim pokoju... Jest ich pełno”. Wtedy Williams wszedł do jego gabinetu i zawołał, że jest tam pełno pająków.- Do diabła, Sandy, po co to zrobisz?

Sandy spojrzał mu spokojnie w oczy.

- Z zemsty, ma się rozumieć. Powiedziałem, że mu się odwdziczę. W każdym razie usłyszałem, jak Taylor mówi, że zaraz zwymiotuje. Williams powiedział, żeby zabrali go do pustego gabinetu. Drzwi się otworzyły i wszyscy stanęli, gapiąc się na mnie. - Uśmiechnął się. - Było warto po to, żeby zobaczyć twarz Taylora. Porzygał się, był zupełnie błydy, a na todze miał wymiociny. Wtedy Williams złapał mnie i powiedział: „Mam cię, ty mała szujo”.

Sandy zamknął walizkę i wstał.

- Dyrektor powiedział, że Taylor był na wojnie, to jakoś na niego wpłynęło, zobaczył pająki na czyichś zwłokach czy coś w tym rodzaju. Skąd niby miałem wiedzieć? - Ponownie wzruszył ramionami. - W każdym razie to by było tyle. Jadę do domu. Tata próbował ich przebłagać, ale się nie udało. Nic się nie stało, Harry, nie masz czym się denerwować. Nie powiedziałem im, że to od ciebie wiedziałem o pająkach. Nie przyznałem się, skąd się dowiedziałem.

- Nie o to chodzi. To było podłe. I możliwe dzięki mnie.

- Nie wiedziałem, że od tego zwariuje. W każdym razie on wylądował w jakimś sanatorium, a mnie wywalili. Takie jest życie. Prędzej czy później coś takiego musiało się stać. - Posłał Harry'emu dziwne spojrzenie. - Widzisz, takie jest moje przeznaczenie, być złym chłopcem. Nawet, gdybym chciał, nie byłbym w stanie tego zmienić.

Harry wzdrygnął się i usiadł; zasnął, siedząc na kanapie. Miał sen, coś o zatrzaśnięciu w swoim pokoju do nauki; na zewnątrz szalała burza, a Sandy, Bernie i tłumy innych chłopców waliły w okno, wołali do

niego, żeby ich wpuścić. Przeszył go dreszcz; było zimno, na dworze zapadał zmrok. Wstał i podszedł do okna, żeby zasunąć zasłony. Domy i ulica były takie ciche, że poczuł się niespokojny. Rozejrzał się po pustym placu. W słabym białym świetle latarni widać było jedynie niewyraźną sylwetkę jednorękiego pomnika. Nic się nie poruszało, nie było nawet kotów. Harry zorientował się, że od przyjazdu tutaj nie widział ani jednego kota; może wszystkie zostały zjedzone, jak gołębie. Nie było też śladu obserwującego go człowieka. Może wieczorami miał wolne.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Czy w Rookwood wiedzieli, co się stało z Bernieem? Jeśli tak, pewnie nie byli zaskoczeni ani nie było im przykro. A przeznaczenie Sandy'ego, czy też cokolwiek to było, przywiodło go tutaj. Tu, gdzie Harry jutro zacznie go szpiegować. Przypomniał sobie słowa Jebba, że to pan Taylor powiedział im o nim, i uśmiechnął się ponuro na tę ironię losu. Historia zatoczyła w pewnym sensie koło; może było coś w tej teorii, że wszystkim kieruje przeznaczenie.

Rozdział ósmy

Tego samego popołudnia Barbara poszła na długi spacer. Od dnia spotkania z Luisem była niespokojna i zmartwiona. Po deszczu nastąpiła ładna pogoda, ale wciąż było chłodno, więc po raz pierwszy od wiosny włożyła płaszcz.

Poszła do parku Retiro. Po wojnie domowej został odbudowany, na miejsce drzew ściętych na opał podczas oblężenia posadzono nowe. Park znowu stał się miejscem spotkań szanowanych mieszkank Madrytu.

Teraz, kiedy zaczęło się robić zimno, jedynie co odporniejsze na chłód albo co bardziej samotne kobiety przysiadły na ławkach, by plotkować. Barbara rozpoznała żonę jednego ze znajomych Sandy'ego i skinęła uprzejmie głową, ale poszła dalej, w stronę mieszczącego się na tyłach parku zoo; chciała być sama.

W zoo było prawie zupełnie pusto. Usiadła przy lwach morskich, zapaliła papierosa i przyglądała się im. Słyszała, że zwierzęta strasznie ucierpiały podczas oblężenia, a wiele zdechło z głodu. Ale teraz w ogrodzie był nowy stołn, подарowany przez samego Generalísima. Sandy był miłośnikiem walk byków; chociaż przekonywał ją wiele razy, że walki wymagają umiejętności i odwagi, Barbara nigdy nie mogła spokojnie na to patrzeć, jak duże, silne zwierzę jest męczone i zabijane, nie mogła patrzeć na konie rozpruwane przez rogi byka i w agonii kopiące piasek. Po dwóch wyprawach na corridę odmówiła ponownego pójścia. Sandy wybuchnął śmiechem i poprosił, żeby nie mówiła o tym głośno przy jego hiszpańskich przyjaciółach. Pomyślała, że jest okropną sentymentalną Angielką.

Otworzyła torebkę ze skóry krokodyla. Ostatnimi czasy nawiedzały ją ważne myśli na temat Sandy'ego. To było nieuczciwe; jej oszustwo narażało go na szwank, jego kariera mogła legnąć w gruzach, gdyby te poszukiwania wyszły na jaw. Nastrój Barbary wahał się pomiędzy poczuciem winy i gniewem, że jest tak tłumiona przez życie. Sandy zawsze chciał się sam wszystkim zajmować.

Dzień po spotkaniu z Luisem poszła do biura „Daily Express” przy Puerta del Sol i poprosiła o spotkanie z Markbym. Powiedzieli jej, że pojechał na północ, pisać o żołnierzach z oddziałów niemieckich, którzy przekroczyli granicę z Francją i wykupywali wszystkie zapasy.

Być może będzie musiała sama zmierzyć się z Luisem. Dlaczego powiedział, że spędził w Cuenca dwie zimy? Czy zwodził ją i Markby'ego po prostu dla pieniędzy? W czasie całej rozmowy wydawał się zdenerwowany i niespokojny, ale w kwestii pieniędzy był bardzo zdecydowany.

Pojawiła się kobieta w futrze, szedł z nią ośmioletni chłopczyk ubrany w mundurka małego lecha, członka najmłodszej sekcji młodzie-żówki Falangi. Kiedy zobaczył lwy morskie, podbiegł do krawędzi wybiegu i wycelował w nie ze swojego drewnianego karabinu.

- Bach! Bach! - zawołał. - Giń, komuchu! Giń!

Barbara się wzdrygnęła. Sandy mówił, że młodzieżówka Falangi przypomina skautów, ale miała co do tego poważne wątpliwości. Kiedy mały chłopczyk ją zobaczył, podbiegł do niej i wyciągnął rękę w faszystowskim pozdrowieniu.

- Dzień dobry, señoral ¡Viva Franco! Czy mogę pani jakoś pomóc?

Barbara posłała mu zmęczony uśmiech.

- Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba.

Podeszła matka chłopca i wzięła go za rękę.

- Chodź, Manolito, do słonia pójdziemy w tę stronę. - Pokręciła głową, patrząc na Barbarę. - Dzieci są męczące, prawda?

Barbara uśmiechnęła się niepewnie.

- Ale są też darem bożym.

- Mama, chodźmy do słoni! Ja chcę do słoni! Barbara patrzyła, jak odchodzą. Sandy nie chciał mieć dzieci; miała trzydzieści lat i pewnie już nie zostanie matką. Kiedyś gorąco pragnęła mieć dziecko z Berniem. Wróciła myślami do tamtej jesieni, spędzonej z nim w komunistycznym Madrycie. Ledwie cztery lata wcześniej, ale wydawało się, jakby to było wieki temu.

Tamtego wieczoru w barze Bernie wydał się jej wyjątkowo egzotyczną postacią. Nie tylko z powodu urody; rozbieżność między akcentem chłopca z dobrej szkoły a brudnym mundurem szeregowca sprawiała, że wydawał się jeszcze bardziej nierzeczywisty.

- Co dokładnie stało ci się w ramię? - zapytała.

- W Casa de Campo postrzelił mnie snajper. Dobrze się goi, kula ledwie drasnęła kość. Mam zwolnienie lekarskie, mieszkam u przyjaciół w Carabanchel.

- To przecież przedmieścia, które bombardują nacjonałiści. Słyszałam, że toczą się tam walki.

- Tak, w części leżącej najdalej od centrum. Ale ci, którzy tam mieszkają, nie chcą się przeprowadzić. - Uśmiechnął się. - Ci ludzie są wspaniali, tacy silni. Spotkałem tę rodzinę, kiedy przyjechałem tu z wizytą pięć lat temu. Ich najstarszy syn jest w oddziałach ochotniczych w Casa de Campo. Jego matka nosi im codziennie gorące posiłki.

- Nie chcesz wrócić do domu?

Jego twarz stężała.

- Zostanę do końca, dopóki nie zamienimy Madrytu w grób faszystów.
- Wygląda na to, że ostatnimi czasy przysyłają coraz więcej radzieckiego sprzętu.
- Tak. Odepchniemy Franco. A ty czym się zajmujesz?
- Pracuję dla Czerwonego Krzyża. Pomagam odnaleźć zaginionych, załatwiam wymiany, głównie dzieci.
- W szpitalu, w którym leżałem, mieli sprzęt medyczny z Czerwonego Krzyża. Bóg mi świadkiem, że sprzętu tam potrzebują. - Wbił

w nią spojrzenie swoich oliwkowozielonych oczu. - Ale faszystom też dostarczacie sprzęt, prawda?

- Tak powinno być. Musimy pozostać neutralni.
- Nie zapominaj, która strona doprowadziła do przelewu krwi, żeby obalić rząd wybrany w wolnych wyborach.

Postanowiła zmienić temat.

- Gdzie cię trafili?
- Nad łokciem. Lekarze mówią, że ręka będzie jak nowa. Jak tylko się wykuruję, wracam na front.
- Trochę wyżej i dostałbyś w bark. To mogłoby być nieprzyjemne w skutkach.
- Jesteś lekarką?
- Pielęgniarką. Chociaż od lat już się tym nie zajmuję. Teraz jestem urzędniczką. - Śmiała się sama z siebie.
- Nie ma się czego wstydzić, świat powinien być dobrze zorganizowany.

Znowu się roześmiała.

- Chyba pierwszy raz słyszę, żeby ktoś mówił coś takiego. Nie ma znaczenia, jak ważna jest twoja praca, słowo „urzędniczka” zawsze brzydko pachnie.
- Od jak dawna pracujesz dla Czerwonego Krzyża?
- Od czterech lat. Ostatnio nie jeżdżę zbyt często do Anglii.
- Masz tam rodzinę?
- Tak, ale nie widziałam ich od prawie dwóch lat. Nie mamy ze sobą wiele wspólnego. A ty czym się zajmowałeś? To znaczy wtedy, kiedy byłeś w kraju.
- Nim wyjechałem, byłem modelem w pracowni rzeźbiarskiej.

Prawie rozlała wino z wrażenia.

- Co robiłeś?
- Pozowałem kilku rzeźbiarzom w Londynie. Nie martw się, nic niewłaściwego. Zawsze to jakaś praca.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Musiało ci być zimno.
- Owszem. W Londynie jest pełno pomników z gęsią skórką. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka weszła spora grupa ubranych w kombinezony ochotników; były wśród nich dziewczyny z kobiecego batalionu. Stanęli wszyscy wokół baru, pokrzykując i szturchając się. Bernie spoważniał.
- Nowi rekruci, jutro jadą na front. Chcesz pójść gdzieś indziej? Na przykład do Café Gijón. Może spotkamy Hemingwaya.
- Czy ta kawiarnia nie mieści się czasem koło centrali telefonicznej, którą nacjonałiści wciąż próbują zbombardować?
- W Gijón będziemy bezpieczni, to trochę dalej wzdłuż Gran Vía.

Dziewczyna z grupy ochotników, miała niewiele ponad osiemnaście

lat, podeszła do nich i objęła Berniego ramieniem.

- ¡Compadre! ¡Salud! - Przytuliła się do Berniego mocniej i zawołała coś po hiszpańsku do swoich koleżanek. Zareagowały śmiechem i okrzykami zachęty. Barbara ich nie zrozumiała, ale Bernie poczerwieniał.
- Ja i moja przyjaciółka musimy iść - powiedział przepaszajaco. Dziewczyna się nadała. Bernie wziął Barbarę pod ramię zdrową ręką i przeprowadził ją przez tłum.

Na Puerta del Sol nie puścił jej ramienia. Zachodzące jesienne słońce rzucało czerwone promienie na portrety Lenina i Stalina. Tramwaje przejeżdżały z hałasem przez plac.

- Zrozumiałaś, co mówiły? - spytał Bernie.
- Nie. Mój hiszpański nie jest najlepszy.
- Może i lepiej. Ochotnicy są dość nieokrzesani. - Zaśmiał się z zażenowaniem. - Jak sobie dajesz radę w pracy, skoro nie mówisz po hiszpańsku?
- Mamy tłumaczy. Poza tym mówię coraz lepiej. Mam wrażenie, że nasze biuro jest małą wieżą Babel. Pracują u nas głównie Szwajcarzy i Francuzi. Mówię po francusku.

Skręcili w calle Montero. Siedzący w bramie kaleki żebrak wyciągnął dłoń.

- Por solidaridad - zawołał. Bernie dał mu dziesięciocentymową monetę. - Za solidarność. - Uśmiechnął się ponuro. - Teraz to się mówi zamiast „na miłość boską”. Kiedy wygramy wojnę, nie będzie więcej żebraków. Ani księży.

Kiedy doszli do Gran Vía, usłyszeli nad głowami głęboki pomruk. Ludzie z lękiem podnosili wzrok. Niektórzy zaczęli biec. Barbara rozejrzała się nerwowo.

- Może powinniśmy znaleźć schron przeciwlotniczy.
- Nie trzeba. To tylko samolot zwiadowczy. Chodźmy.

Umeblowana w stylu art déco Café Gijón, przed wojną często odwiedzana przez artystycznych radykałów, była ostentacyjnie nowoczesna. Większość ścian pokrywały lustra. Przy barze stało wielu oficerów.

- Nie ma Hemingwaya - powiedziała z uśmiechem.
- Trudno. Czego się napijesz?

Poprosiła o białe wino i usiadła przy stoliku, a Bernie poszedł do baru. Próbowała przesiąść się tak, żeby nie widzieć luster, ale były wszędzie, niech je szlag. Nie cierpiała, kiedy podczas rozmowy widziała swoje odbicie. Wrócił Bernie, na trzymanej zdrową ręką tacy niósł dwa kieliszki wina.

- Możesz je wziąć?
- Och, tak, przepraszam.
- Wszystko w porządku?
- Tak. - Poprawiła okulary. - Ale nie lubię zbyt wielu lusterek.
- A czemuż to?

Odwróciła wzrok.

- Po prostu nie lubię i już. Jesteś fanem Hemingwaya?
- Nie bardzo. Dużo czytasz?
- Tak, mam wieczorami dużo czasu. Ja też nie lubię Hemingwaya. Odnoszę wrażenie, że wojna mu się podoba. Ja jej nienawidzę. - Podniosła wzrok, zastanawiając się, czy nie była zbyt gwałtowna, ale on uśmiechnął się zachęcająco i zaproponował jej papierosa. - W Czerwonym Krzyżu ostatnie dwa lata były kiepskie - mówiła dalej. - Najpierw Abisynia, teraz to.
- Wojna się nie skończy, póki faszyci nie zostaną pokonani.- Póki Madryt nie stanie się grobem faszyzmu?
- Tak.
- Będzie też wiele innych grobów.
- Nie możemy uciec przed historią - zacytował.
- Czy jesteś komunistą? - zapytała nagle Barbara.

Uśmiechnął się i podniósł w górę kieliszek.

- Oddział centralny Londyn. - W jego oczach taił się przewrotny uśmiech. - Wstrząśnięta?

Roześmiała się.

- Po dwóch miesiącach tutaj? Nic nie jest w stanie mnie poruszyć.

Dwa dni później poszli na spacer do parku Retiro. Nad bramą wejściową wisiał transparent: NO PASARAN. Walki były coraz cięższe, żołnierze Franco przebili się do uniwersytetu na północy miasta, ale tam zostali zatrzymani. Przybywało rosyjskiego sprzętu; widziała jadącą wzdłuż Gran Vía kolumnę czołgów. Rozrywały bruk, ludzie wiwatowali na ich widok. Nocą latarnie były wygaszone, żeby utrudnić wykonanie zadania bombowcom, ale od strony Casa de Campo raz po raz widać było błyski, słyszeli niekończące się dudnienie i huk artylerii, brzmiące niczym grzmoty burzy, która nie ma końca.

- Już wtedy, kiedy byłem małą dziewczynką, idea wojny wydawała mi się odrażająca - powiedziała Barbara. - Mój wujek zginął nad Sommą.

- Mój ojciec też tam był. Od tamtego czasu stał się innym człowiekiem.

- Kiedy byłem mała, spotykałam ludzi, którzy, no wiesz, przeszli przez to. Żyli dalej jak przedtem, ale widać było, że zostali naznaczeni.

Bernie przekrzywił głowę.

- Jak na małą dziewczynkę wiele myślałaś o ponurych rzeczach.

- Och, od zawsze dużo się zastanawiałam. - Zaśmiała się nerwowo. - Spędzałam wiele czasu sama.

- Jesteś jedynaczką, jak ja?

- Nie, mam siostrę, o cztery lata starszą. Wyszła za mąż, żyje sobie po cichu w Birmingham.- Wciąż masz ślady akcentu.

- O Jezusie, nie mów.

- Dlaczego nie? Jest bardzo ładny - odpowiedział, naśladowując jej akcent. - Moi rodzice są londyńczykami, z klasy pracującej. Ciężko jest być jedynakiem. Wiele się po mnie spodziewali, zwłaszcza kiedy dostałem stypendium, żeby pójść do Rookwood.

- Po mnie nikt nigdy niczego się nie spodziewał.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem, ale nagle skrzywił się z bólu i przycisnął swoją ranną rękę zdrową dłonią.

- Boli?

- Troszeczkę. Możemy na moment przysiąść?

Pomogła mu opaść na ławkę. Przez wytarty materiał szynela czuła jego twarde, jędrne ciało. Poczuła przyływ podniecenia.

Zapalili papierosy. Siedzieli obok stawu; osuszono go, bo odbijająca światło księżycy woda ułatwiała bombowcom nawigację. Z pozostałego na dnie szlamu unosił się lekki smród zgnilizny. Nieopodal ludzie rąbali siekierami przewrócone drzewo; zrobiło się w ostatnich dniach zimno, brakowało opału. Po drugiej stronie suchego stawu stał pod marmurowym łukiem pomnik króla Alfonsa XII. Dziwnie kontrastowała z nim lufa działa przeciwlotniczego, stercząca z pobliskich drzew.

- Skoro nienawidzisz wojny - powiedział, wracając do przerwanej wcześniej dyskusji - to na pewno jesteś przeciwniczką faszyzmu.

- Nienawidzę całej tej nacjonalistycznej gadaniny o rasie panów. Ale komunizm też jest zwariowany, ludzie nie chcą, żeby wszystko było wspólne, to by nie było normalne. Mój tata jest właścicielem sklepu. Ale nie jest bogaty i nikogo nie wykorzystuje.

- Mój tata też prowadzi sklep, ale nie jest jego właścicielem. Partia nie jest przeciwna sklepikarzom ani drobnym biznesmenom; zdajemy sobie sprawę z tego, że przejście do komunizmu zajmie dużo czasu. Dlatego przestaliśmy robić to, co skrajni radykałowie. Jesteśmy przeciwni jedynie kapitalistom na dużą skalę, tym, którzy wspierają faszyzm. Ludziom takim jak Juan March.

- Kto to jest?- Najważniejszy poplecznik Franco. Biznesmen i oszust z Majorki, dorobił się milionów na pracy innych. Do cna skorumpowany.

Barbara zgasła papierosa.

- Nie możesz mówić, że całe zło dzieje się w tej wojnie tylko po jednej stronie. A co z ludźmi, po których przyszła nocą Seguridad i którzy zniknęli bez śladu? I nie mów, że nic takiego się nie dzieje. Do naszego biura bez przerwy przychodzą zrozpaczone kobiety i mówią, że ich mężowie zniknęli bez śladu. Nie są w stanie niczego się o nich dowiedzieć.

Bernie spojrzał na nią spokojnie.

- Na wojnie zawsze cierpią niewinni.

- Właśnie. Tysiące, tysiące niewinnych ludzi. - Barbara odwróciła wzrok. Nie chciała się z nim kłócić, to była ostatnia rzecz, na której jej zależało. Poczowała, że położył na jej dłoni swoją ciepłą rękę.

- Nie kłóćmy się - powiedział.

Jego dotyk zelektryzował ją, ale cofnęła dłoń i włożyła ją do kieszeni. Nie spodziewała się tego; myślała, iż umówił się z nią po raz drugi tylko dlatego, że był samotny i nie znał innych Anglików w mieście. Teraz pomyślała, że może chce kobiety, Angielki, bo inaczej czemu by tak na nią patrzył? Serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Barbaro? - Pochylił się, próbując spojrzeć jej w oczy. Nagle zrobił zęza, wykrzywił głupio twarz i wysunął język. Roześmiała się i odepchnęła go.

- Nie chciałem cię zdenerwować - powiedział. - Przepraszam.

- Nie, ale... Po prostu nie bierz mnie za rękę. Będę twoją przyjaciółką, ale proszę, nie rób tego.

- W porządku. Przepraszam.

- Może nie powinniśmy rozmawiać o polityce. Myślisz, że jestem głupia, prawda?

Pokręcił głową.

- Nie. To pierwsza od dawna poważna rozmowa z dziewczyną.
- Wiedz, że mnie nie przekonasz.

Uśmiechnął się znowu, tym razem wyzywająco.

- Daj mi tylko trochę czasu. Po chwili wstali i poszli dalej. Opowiedział jej o rodzinie Mera, u której mieszkał.

- Pedro, ojciec, jest brygadystą na budowie. Zarabia dziesięć peset dziennie. Mają trójkę dzieci, a mieszkają w dwupokojowym mieszkaniu. Ale kiedy przyjechalśmy tu w trzydziestym pierwszym z Harrym, moim kolegą, zgotowali nam przyjęcie, jakiego nikt nigdy przedtem nam nie zgotował. Inés, señora Mera, opiekowała się mną, kiedy wyszedłem ze szpitala, nawet nie chciała słyszeć, żebym zamieszkał gdzie indziej. Nie można z nią wygrać, to jedna z tych ognistych hiszpańskich kobiet. - Spojrzał na nią swoimi okrągłymi oczami. - Wiesz, mógłbym cię do nich zaprowadzić, żebyś ich poznała. - Uśmiechnął się. - Oni na pewno z chęcią poznają ciebie.

- Wiesz co, nigdy nie spotkałam zwykłej hiszpańskiej rodziny. - Westchnęła. - Czasem wydaje mi się, że w sposobie, w jaki ludzie patrzą na mnie na ulicy, jest trochę dezaprobaty. Nie wiem dlaczego. Może po prostu popadam w paranoję.

- Jesteś zbyt dobrze ubrana.

Spojrzała z niedowierzaniem na swój stary płaszcz.

- Ja?
- Tak. To dobry, gruby płaszcz. I masz broszę.
- To starość. Kolorowe szkieleto. Kupiłam ją w Genewie.
- Nawet jeśli tak jest, coś takiego jest uważane za pretensjonalne. Ludzie przechodzą tu przez piekło. Teraz liczy się tylko solidarność, inaczej być nie może.

Barbara odpięła broszę.

- A tak lepiej?

Uśmiechnął się.

- W porządku. Jesteś częścią ludu.
- I tak zawsze ty będziesz lepiej wyglądała, bo jesteś w mundurze.
- Jestem żołnierzem. - Wydawał się urażony. - Noszę mundur, żeby zademonstrować moją solidarność.

- Przepraszam. - Przeklęła w duchu samą siebie za to, że strzebla kolejną gafę. Dlaczego, u licha, on się w ogóle nią interesował? - Opowiedz mi o swojej szkole. Bernie wzruszył ramionami.
- To w Rookwood zostałem komunistą. Z początku dałem się wciągnąć. Synowie imperium, krykiet grą dzentelmenów, pieśni ku chwale szkoły. Ale szybko przejrzałem na oczy.
- Byłeś tam nieszczęśliwy?
- Nauczyłem się skrywać swoje uczucia. Tego z pewnością tam uczą. Kiedy skończyłem naukę i wróciłem do Londynu, poczułem się... wyzwolony.
- Nie masz ani śladu londyńskiego akcentu.
- Nie, to jedna z rzeczy, które na dobre straciłem w Rookwood. Teraz, kiedy próbuję powiedzieć coś tak jak kiedyś, brzmię sam dla siebie głupio.
- Ale miałaś przyjaciół, prawda? - Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby nie miał przyjaciół.
- Harry, który przyjechał tu ze mną pięć lat temu. Był w porządku. Uczciwy chłopak. Ale urwał nam się kontakt - dodał ze smutkiem.
- Zaczęliśmy żyć w innych światach. - Przerwał i oparł się o drzewo.
- Tylu dobrych ludzi pokroju Harry'ego nabiera się na burżujską ideologię.
- Pewnie dla ciebie też jestem burżujką.
- Dla mnie jesteś kimś innym. - Mrugnął do niej.

Skończył się listopad, nastał grudzień, z nad Guadarramy nadeszły przenikliwe zimne ulewy. Faszyci zostali odparci w Casa de Campo. Próbowali przebić się od północy, ale i tam ich powstrzymano. Bombardowanie artyleryjskie wciąż trwało, ale kryzys minął. W powietrzu krążyły teraz radzieckie myśliwce, szybkie jednopłatowce o zadartych dziobach, które odpędzały niemieckie bombowce i myśliwce od razu, gdy się tylko pojawiały. Czasami nad miastem rozgrywały się pojedynki. Ludzie mówili, że Rosjanie przejęli władzę i kierowali Republiką zza kulis. Urzędnicy rządowi byli jeszcze mniej przyjaźni niż przedtem, czasem też można było poznać, że się boją. Dzieci z sierocińca przeniesiono pewnej nocy do rządowego obozu pod Madrytem. Nie skonsultowano tego z Czerwonym Krzyżem.

Bernie ciągle chodził z Barbarą. Połowę wolnych wieczorów spędzała z nim w Café Gijón albo w jednym z barów w Centro. W weekendy spacerowali po bezpiecznej wschodniej części Madrytu, czasem nawet wypuszczali się za miasto. Mieli podobne ironiczne poczucie humoru i śmiali się, kiedy rozmawiali o książkach, polityce i dzieciństwie, które oboje spędzili na swój sposób samotnie.

- Sklep mojego taty jest jednym z pięciu, które należą do tego właściciela - powiedział pewnego dnia Bernie. To był jeden z rzadkich ciepłych dni, siedzieli, ciesząc się słońcem, na murku otaczającym pole za miastem. Po niebie pędziły chmury, ich cienie przesuwają się po brunatnych polach. Trudno było uwierzyć, że linia frontu przebiega ledwie kilka kilometrów dalej. - Pan Willis mieszka w olbrzymim domu w Richmond, a płaci mojemu ojcu nędzne grosze. Wie, że mój tata nigdy nie

znalazłby innego zajęcia, że wojna go zniszczyła; prawie wszystkie prace wykonują mama i dziewczyna, która jej pomaga.

- Wygląda na to, że w porównaniu do ciebie ja miałam lepiej. Mój tata ma w Erdington sklep naprawiający rowery. Zawsze mu dobrze szło. - Poczula smutek, który zawsze ją nachodził, kiedy opowiadała o swoim dzieciństwie; rzadko o tym z kimś rozmawiała, ale zorientowała się, że z łatwością mówi Berniemu. - Kiedy urodziła się moja siostra, liczył na to, że następny będzie chłopiec, który mógłby przejąć po nim sklep, ale urodziłam się ja. A potem moja mama nie mogła już więcej mieć dzieci. - Zapaliła papierosa.

- Czy jesteście blisko z siostrą? Zawsze chciałem mieć siostrę.

- Nie. - Barbara odwróciła się od niego. - Carol jest wyjątkowo piękna. Zawsze uwielbiała się popisywać swoją urodą. Zwłaszcza przede mną. - Spojrzała na Berniego; uśmiechnął się zachęcająco. - Ale to ja byłam mądra, to ja byłam bystra, to ja dostałam się do dobrego liceum. - Przygryzła wargi, bo te słowa przywołały niemiłe wspomnienia. Spojrzała na niego. Do diabła z tym, pomyślała, raz kozie śmierć. Chociaż wspomnienia były bolesne, opowiedziała mu także, jak inne

dziewczynki znęcały się nad nią od pierwszego dnia w szkole aż do dnia, kiedy odeszła z liceum w wieku czternastu lat.

- Pierwszego dnia przezwały mnie poskręcaną kudłatą okularnicą, a ja się rozplakałam. Teraz wiem, że od tego się zaczęło. Pewnie przez to uznali, że można mnie było dręczyć i doprowadzać bezkarnie do płaczu. Gdziekolwiek poszłam, dziewczynki wyszydzały moje kręcone włosy i moje okulary. - Westchnęła przeciągle. - Małe dziewczynki potrafią być bardzo okrutne.

Czuła się okropnie, żałowała, że się wygadała, to było głupie. Bernie podniósł rękę, jakby chciał wziąć jej dłoń, ale zaraz ją opuścił.

- W Rookwood było tak samo. Jeśli człowiek był w jakiś sposób inny i nie umiał się odgryzać, stawał się ofiarą. Kiedy przyszedłem do szkoły, zaczęli naśmiewać się z mojego akcentu, nazywali mnie wsio-chem. Przywaliłem kilku i to załatwiło sprawę. Ciekawe, myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w elitarnych szkołach. - Pokręcił głową. - Dziewczyny też?

- Tak. Żałuję, że im nie przyłożyłam, ale byłam zbyt dobrze wychowana. - Wyrzuciła papierosa. - Miałam cholernie ciężkie życie tylko dlatego, że noszę okulary i wyglądam trochę dziwnie. - Wstała nagle i przeszła kilka kroków, patrząc w stronę miasta. Widziała drobne rozbłyski, punkciki światła w miejscach bombardowanych przez faszystowską artylerię.

Bernie podszedł i stanął obok niej. Podał jej kolejnego papierosa.

- Wcale nie.

- Wcale nie co?

- Nie wyglądasz dziwnie. Nie bądź głupia. I lubię twoje okulary.

Poczula przyływ złości, jak zawsze, kiedy ktoś powiedział jej komplement. Po prostu chciał ją pocieszyć, że nie jest aż tak źle. Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie odeszłam - powiedziała. - Chcieli, żebym została w tym piekle i poszła na studia, ale odmówiłam. Odeszłam, kiedy miałam czternaście lat. Pracowałam jako maszynistka, póki nie dorosłam na tyle, że mogłam zostać pielęgniarką.

Przez moment milczeli. Barbara bardzo chciała, żeby przestał na nią patrzeć.- W jaki sposób zaczęłaś pracować dla Czerwonego Krzyża?

- Kiedy byłam w szkole, w środowe popołudnia przychodziły różne ciekawe osoby i wygłaszały prelekcje. Pewnego razu jedna kobieta opowiedziała nam o pracy w Czerwonym Krzyżu, o tym, jak próbują pomóc uchodźcom w Europie. Pani Forbes. - Uśmiechnęła się. - Była postawna, w średnim wieku, a spod głupkowatego kapelusza w kwiatki sterczały jej długie, siwe włosy, ale była taka uprzejma, tak bardzo próbowała nam przekazać, jakie to wszystko ważne. Przyłączyłam się do nich z początku jako młodsza wolontariuszka. Do tego momentu praktycznie straciłam wiarę w ludzkość, a oni mi ją przywrócili. Częściowo. - Poczują łzy w kącikach oczu. Usiadła z powrotem na murku.

- I tak znalazłaś się w Genewie?

- Tak. Chciałam też uciec jak najdalej od domu. - Wypuściła długi kłęb dymu i spojrzała na niego. - A co twoi rodzice powiedzieli, kiedy zgłosiłaś się do Brygad Międzynarodowych?

- Po prostu znowu ich rozczarowałam. Tak jak wtedy, kiedy rzuciłam studia. - Wzruszył ramionami. - Czasem czuję wyrzuty sumienia, że ich zostawiłam.

Żeby pracować dla partii, pomyślała Barbara. -i żeby być modelem w pracowni rzeźbiarskiej. Przez moment wyobraziła go sobie bez ubrania; spuściła wzrok.

- Oczywiście nie chcieli, żebym tu przyjeżdżała - powiedział. - Nie rozumieli tego. - Bernie znowu spojrzał jej prosto w oczy. - Ale musiałem tu przyjechać. Kiedy zobaczyłem kroniki filmowe, kolumny uchodźców... Musimy zniszczyć faszyzm, po prostu musimy.

Zabrał ją na spotkanie z rodziną Mera, ale wizyta nie była udana: Barbara nie rozumiała ich akcentu, a chociaż byli dla niej mili, czuła się w ich zatłoczonym mieszkaniu zagubiona. Powitali Berniego niczym bohatera. Barbara doszła do wniosku, że w Casa de Campo musiał dokonać jakiegoś wielkiego czynu. Bernie dzielił pokój z jednym z synów, chudym piętnastolatkiem o bladej twarzy i zapadniętych suchotniczych policzkach. W drodze powrotnej Barbara zwróciła mu uwagę, że dzielenie pokoju z chorym chłopakiem było dla Berniego ryzykowne. Odpowiedział jej z gniewem, jak mu się czasem zdarzało.

- Nie będę traktował Francisca jak trędowatego. Gruźlicę da się wyleczyć odpowiednim jedzeniem i dobrymi lekami.

- Wiem. - Zrobiło jej się wstyd.

- Hiszpańska klasa robotnicza jest najlepsza na świecie. Wiedzą, co to znaczy walczyć z uciskiem, i nie boją się tego. Są naprawdę solidarni ze sobą i równocześnie otwarci na obcokrajowców, wierzą w socjalizm i pracują, by do niego dojść. Nie są chciwymi materialistami, jak większość związkowców w Wielkiej Brytanii. To najlepsi ludzie w Hiszpanii.

- Przepraszam, ja tylko... Och, po prostu nie rozumiałam, co mówili i... zachowuję się po burżujsku, prawda? - Spojrzała na niego z lękiem, ale jego gniew gdzieś wyparował.

- Przynajmniej zaczynasz to dostrzegać. To więcej, niż potrafi większość ludzi.

Barbara byłaby w stanie zrozumieć, gdyby Bernie chciał być po prostu jej przyjacielem. Ale on zawsze chciał wziąć ją za rękę, dwa razy próbował ją pocałować. Czemu, pytała samą siebie, czemu pragnął jej, skoro mógł mieć każdą inną? Jedyne, co jej przychodziło do głowy to to, że była Angielką, że pomimo tego swojego internacjonalizmu pragnął Angielki. Obawiała się, że to, co wcześniej powiedział, że nie jest dziwna, to tylko wybieg, by zaciągnąć ją do łóżka. Wiedziała, że mężczyźni nie są wybredni; raz dała się na to nabrać, i to było jej najgorsze wspomnienie, na samą myśl czuła okropny wstyd. Pragnienia i niepewność nie dawały jej żyć spokojnie.

Ręka Berniego goiła się, zdjęli mu gips, chociaż wciąż nosił ją na temblaku. Co tydzień zgłaszał się do kwatery głównej. Powiedział, że kiedy będzie sprawny, wyślą go na południe, do nowego obozu szkoleniowego dla angielskich ochotników. Myślała z lękiem o tym dniu.

- Zaproponowałem im, że pomogę nowo przybyłym z Anglii żołnierzom - powiedział pewnego razu. - Ale odpowiedzieli mi, że już się tym zajęli. - Zmarszczył brwi. - Chyba martwią się, że mój przekłęty akcent chłopca z dobrej szkoły zniechęci nowych ochotników z klasy robotniczej.

- Biedny Bernie - odparła. - Rozdarty między dwiema klasami.

- Nigdy nie byłem rozdarty - powiedział gorzkim głosem. - Wiem, która klasa jest dla mnie najważniejsza.

Pewnej soboty na początku grudnia poszli na spacer po północnych przedmieściach. W dzielnicy stało mnóstwo domów bogaczy, willi z własnymi ogrodami. Było bardzo zimno, poprzedniej nocy lekko przószył śnieg. Prawie cały się rozpuścił, przez co powietrze było zimne i wilgotne, ale tu i tam na szerokich dachach domów widać było jeszcze białe plamy.

Wielu mieszkańców przedmieścia uciekło do strefy nacjonalistów albo trafiło do więzienia, niektóre domy były pozabijane deskami. W innych mieszkali dzicy lokatorzy. Ogrody były zapuszczone albo rosły w nich tylko warzywa, w niektórych widać było kurczaki i świnię. Bałagan, który tam panował, ranił zmysł estetyczny Barbary, ale zaczynała widzieć rzeczy oczami Berniego: ci ludzie potrzebowali schronienia i jedzenia.

Zatrzymali się przed bramą wielkiej posesji. W oknach wisiało pranie. Piętnastoletnia dziewczynka doiła krowę, przywiązaną do drzewa, które rosło na środku nakrapianego krowimi plackami trawnika. Kiedy zobaczyła wojskowy szynel Berniego, podniosła wzrok i pozdrowiła go, wznosząc w górę zaciśniętą pięść.

- Ich domy zniszczyła artyleria Franco albo bombowce - powiedział Bernie.

- Ciekawe, co się stało z poprzednimi właścicielami.

- Najważniejsze, że już ich nie ma.

Usłyszeli w górze dźwięk, który sprawił, że podnieśli wzrok. Po niebie sunął duży niemiecki bombowiec w towarzystwie dwóch myśliwców. Wokół nich krążyły trzy radzieckie samoloty o

czerwonych dziobach, zostawiając na błękitnym niebie białe smugi. Barbarawygięła szyję i obserwowała to przedstawienie. Wydawało się piękne, dopóki człowiek nie zdał sobie sprawy, co naprawdę działo się w górze.

Przy końcu ulicy był kościół, przysadzista gotycka budowla z dziewiętnastego wieku. Wrota stały otworem, na zewnątrz wisiał transparent Establo de la revolution. Stajnie rewolucji.

- Chodź - powiedział Bernie. - Zajrzyjmy do środka.

Wnętrze było zdemolowane, większość ław wyniesiono, witraże stłuczono. Posągi powyrywano z nisz i porzucano po podłodze, a w rogu leżała sterta siana. Tył kościoła odgradzono barierką, stała tam zbity w gromadkę trzódka owiec. Kiedy Bernie i Barbara podeszli bliżej, odsunęły się przestraszone, przepychając się i becząc. Ich oczy o dziwnych, poprzecznych źrenicach były szeroko otwarte. Bernie próbował je uspokoić, mówiąc spokojnym głosem.

Barbara podeszła do sterty potłuczonych posążków. Gipsowa twarz Madonny pokryta namalowanymi łzami patrzyła na nią z dezaprobatą z posadzki, przypominając jej o zakonie, w którym zostały zakwaterowane dzieci. Poczuła, że Bernie stanął koło niej.

- Łzy dziewicy - powiedziała i zaśmiała się nerwowo.

- Kościół zawsze wspierał uciskających. Nazywają rebelię Franco krucjatą, błogosławią faszystowskich żołnierzy. Nie można winić ludu, że jest rozwścieczony.

- Nigdy nie rozumiałam religii ani dogmatów. Ale to smutne.

Poczuła, że Bernie obejmuje ją zdrową ręką i obraca. Była tak zdziwiona, że nie miała czasu zareagować, kiedy pochylił się naprzód. Poczuła ciepło jego policzka, a potem gorącą wilgoć, kiedy ją pocałował. Odepchnęła go i zachwiała się.

- Co ty sobie, do cholery, wyobrażasz?

Na jego twarzy malował się wstyd, blond włosy opadły mu na czoło.

- Chciałaś tego - powiedział. - Wiem, że chciałaś, Barbaro. Za kilka tygodni będę w obozie szkoleniowym. Może już nigdy cię nie zobaczę.

- Więc czego chcesz, odrobiny seksu z Angielką? Jeśli tak, to nie ze mną! - Jej podniesiony głos odezwał się echem w kościele. Przestraszone owce zabeczały żałośnie.

Podszedł do niej; teraz on też krzyczał.

- Wiesz, że to wcale nie tak! Wiesz, co do ciebie czuję, musisz wiedzieć. Jesteś ślepa?

- Ślepa w tych moich głupich okularach, o to ci chodzi?

- Nie widzisz, że cię kocham? - zawołał.

- Kłamca!

Wypadła z kościoła i puściła się biegiem po ścieżce. Kiedy przebiegała przez bramę, poślizgnęła się na płacie mokrego śniegu i przewróciła. Rozpłakała się, wtulona w kamienny mur. Usłyszała, że Bernie podchodzi. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Dlaczego miałbym kłamać? Dlaczego? Naprawdę cię kocham. Ty czujesz do mnie to samo, widzę to po tobie, dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Bo jestem brzydka i niezdarna i... Nie! - Ukryła twarz w dłoniach, gwałtownie szlochając. Przechodzący właśnie obok bosy chłopczyk z prosiakiem na rękach, zatrzymał się i zaczął na nich patrzeć.

- Dlaczego tak siebie nienawidzisz? - spytał Bernie łagodnie.

Chciało jej się krzyczeć. Wytarła oczy, odepchnęła go i ruszyła przed siebie ulicą.

- Patrzcie! Patrzcie! - zawołał nagle chłopczyk. Barbara odwróciła się. Chłopiec włożył prosiaczka pod ramię i drugą ręką wskazał z podnieceniem na niebo. Wysoko w górze jeden z niemieckich myśliwców został trafiony i pikował w stronę ziemi. Z daleka usłyszeli głośne uderzenie, chłopczyk wydał zwycięski okrzyk. Bernie spojrzał w górę i podbiegł do niej.

- Barbaro, czekaj. - Stanął przed nią. - Posłuchaj, proszę. Zapomnijmy o seksie. To mnie nie obchodzi, ale kocham cię, naprawdę cię kocham.

Pokręciła głową.

- Powiedz, że do mnie nic nie czujesz, a od razu odejdę.

Przed oczyma Barbary stanął obraz kilkunastu małych dziewczynek, krzyczących za nią na placu zabaw: „Czterooka okularnica, kudłata marchewka!”.- Przepraszam, ale nic z tego. Nie mogę... Nie.

- Nie rozumiesz, nie widzisz...

Barbara odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła ból i smutek na jego twarzy. Nagle podskoczyła, bo z góry rozległ się przeraźliwy gwizd. Spojrzała w górę. Drugi niemiecki myśliwiec został trafiony i spadał w ich stronę. Był już przerażająco blisko, widać było długie, czerwono żółty ogon płomieni, które wytrysnęły z jego boku. Spadał jak kamień. Barbara zobaczyła wciąż obracające się, przypominające skrzydła owada błyszczące śmigło. Bernie też patrzył w niebo. Odepchnęła go, zachwiał się. Nagle powietrze wypełnił potężny huk i Barbara zobaczyła, że leci w jej stronę wysoki mur domu, który właśnie mijali. Coś uderzyło ją w głowę i poczuła rozdzierający ból.

Straciła przytomność tylko na chwilę. Kiedy doszła do siebie, w głowie czuła potworny ból, rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie, co zaszło i gdzie jest. Otworzyła oczy i zobaczyła pochylającego się nad nią Berniego. Widziała go niewyraźnie, bo zgubiła okulary. Dookoła nich było pełno cegieł i kurzu. Klęczał, pochylony nad nią, i płakał. Nigdy przedtem nie widziała, żeby mężczyzna płakał.

- Barbaro, Barbaro, nic ci nie jest, o Boże, myślałem, że nie żyjesz. Kocham cię, kocham cię!

Pozwoliła mu się podnieść. Wtuliła twarz w jego ramię i zaczęła płakać. Siedzieli tak razem na ulicy, szlochając. Usłyszała kroki, z okolicznych domów wychodzili ludzie i stawali wokół nich.

- Wszystko w porządku? - ktoś zawołał. - O Boże, popatrzcie!

- Nic mi nie jest - powiedziała Barbara. - Moje okulary, gdzie są moje okulary?

- Tutaj - powiedział łagodnym tonem Bernie. Podał je Barbarze, włożyła je. Zobaczyła, że mur oddzielający ogród od ulicy się zawalił, spadając prawie na nich. Ulica była zasypana cegłami, musiała dostać jedną z nich w głowę. Ze wszystkich okien willi buchały płomienie i kłęby czarnego dymu, z zawalonego dachu sterczał ogon samolotu. Barbara zobaczyła czarną swastykę, wprawdzie zamalowaną żółtą farbą, ale wciąż widoczną. Przyłożyła do głowy dłoń - zakrwawiła się. Stara kobieta owinięta w czarny szal objęła ją ramieniem.

- To tylko rozcięcie, señora. Ay, to był prawdziwy cud.

Barbara podała dłoń Berniemu. Trzymał się za ranne ramię, był blady. Płaszcz obojga były przyprószone pyłem.

- Nic ci nie jest? - zapytała.

- Fala uderzeniowa mnie przewróciła. Uszkodziłem sobie trochę rękę. Ale, o Boże, myślałem, że nie żyjesz. Kocham cię, proszę, uwierz mi, teraz musisz mi uwierzyć. - Znowu zaczął płakać.

- Tak - powiedziała. - Wierzę ci. Tak mi przykro. Tak mi przykro.

Przytulili się do siebie. Obok nich stał tłumek Hiszpanów, uchodźców, którzy być może jeszcze trzy miesiące temu nigdy nie podejrzewali, że wyjdą poza swoją wioskę. Patrzyli na sterczący z dachu płonącej willi wrak samolotu.

Obserwując lwy morskie, Barbara przypomniała sobie znowu ciepło uścisku Berniego. Kiedy ją trzymał w ramionach, zraniona ręka musiała go strasznie boleć. Spojrzała na zegarek, mały zegarek Diora, który Sandy dał jej w prezencie. Nie podjęła żadnej decyzji, dała się jedynie ponieść wspomnieniom. Czas było wracać do domu, Sandy na nią czekał.

Kiedy wróciła, był już w domu, samochód stał na podjeździe. Zdjęła płaszcz. Pilar wyszła z piwnicy i stanęła po cichu w korytarzu z założonymi rękami, jak zawsze, kiedy Barbara wchodziła.

- Dziękuję, Pilar, niczego mi nie trzeba.

- Muy bien, senora. - Dziewczyna dygnęła i wróciła do kuchni. Barbara ściągnęła buty. Spacer zajął jej całe popołudnie i bolały ją nogi.

Poszła na górę, do gabinetu Sandy'ego. Przesiadywał tam godzinami, przeglądał papiery i dzwonił w różne miejsca. Pokój mieścił się na tyłach domu, było w nim tylko jedno małe okienko, przez które wpadało niewiele światła. Wypełnił go bibelotami i dziełami sztuki. Największym eksponatem był oświetlony ścienną lampą ekspresjo-nistyczny obraz, przedstawiający rozmytą postać prowadzącą osła przez fantastyczny pustynny krajobraz. Sandy siedział przy biurku. Otoczony stosem papierów,

właśnie zliczał kolumnę liczb, przejeżdżając po niej ołówkiem. Nie usłyszał, że Barbara weszła. Miał taki wyraz twarzy, który czasem przybierał, kiedy wydawało mu się, że nikt go nie widzi: wyostrowany, wyrachowany, w pewnym sensie drapieżny. W drugim ręku trzymał papierosa, na którego końcu ledwie się trzymał długi kawałek popiołu.

Przyjrzała mu się krytycznym wzrokiem. Włosy wciąż miał zaczesane do tyłu i posmarowane brylantyną, tak grubo, że widać było Unie, gdzie przeszedł grzebień. Włosy na brylantynę, podobnie jak drobne, proste wąsy, były obowiązującą modą w kręgach Falangi. Zobaczył ją i uśmiechnął się.

- Cześć, kochanie. Miło spędziłaś dzień?
- W porządku. Po południu poszłam do Retiro. Zaczyna się robić zimno.
- Włożyłaś okulary.
- Ojej, Sandy, nie mogę bez nich wyjść na ulicę, bo mnie coś przejedzie. Muszę je nosić, chodzenie bez nich byłoby głupotą.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, a potem powiedział z uśmiechem.

- Trudno. Policzki masz rumiane od wiatru.
- A co u ciebie? Ciężko pracujesz?
- Muszę zrobić kilka obliczeń do projektu dla Ministerstwa Górnictwa. - Odsunął papiery, tak, żeby ich nie widziała, po czym wziął ją za rękę. - Mam dobre wiadomości. Pamiętasz, mówiłaś o pracy jako wolontariuszka. Rozmawiałem dzisiaj z kimś z komitetu do spraw Żydów, jego siostra jest ważną osobą w Auxilio Social. Potrzebują pielęgniarek. Może miałabyś ochotę popracować z dziećmi?
- Nie wiem. Przynajmniej... miałabym jakieś zajęcie. - Mogłaby nie myśleć bez przerwy o Berniem, o obozie w Cuenca, o Luisie.
- Kobieta, z którą musielibyśmy porozmawiać, to marquesa. - Sandy spojrział na nią znacząco. Udawał, że gardzi snobistycznym kultem arystokracji, który Hiszpanie uprawiali równie namiętnie co Anglicy, ale Barbara wiedziała, że Sandy lubi wśród nich przebywać. - Alicia, marquesa de Segovia. Będzie w sobotę na koncercie w operze. Kupiłem nam bilety. - Uśmiechnął się i wyjął dwa ozdobne kartoniki. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.
- Och, Sandy, zawsze o mnie myślisz.
- Nie wiem, ile jest wart ten nowy koncert, ale mają zagrać też coś Beethovena.
- Ojej, dzięki, Sandy. - Jego szczodrość zawstydziała ją. Poczowała, że łzy napływają jej do oczu, więc pospiesznie wstała. - Lepiej dopilnuję Pilar, żeby zaczęła robić kolację.
- W porządku, moja słodka. To mi zajmie jeszcze z godzinę.

Zeszła na dół do kuchni, wkładając po drodze buty. Pilar nie powinna widzieć jej na bosaka.

Kuchnia była pomalowana na brzydki musztardowy kolor, a nie na białe, jak reszta domu. Służąca siedziała przy stole stojącym obok olbrzymiej kuchni węglowej. Patrzyła na fotografię. Kiedy wstała i

wsuwała ją pospiesznie za dekolt sukienki, Barbara zerknęła przelotnie na zdjęcie młodego mężczyzny w republikańskim mundurze. Noszenie przy sobie takiej fotografii było niebezpieczne. Gdyby poproszono ją o dokumenty i jakiś civil znalazłby to zdjęcie, zaczęłby zadawać pytania. Barbara udawała, że nic nie widzi.

- Pilar, czy możesz zacząć przygotowywać kolację? Dzisiaj mamy polio al ajillo¹, zgadza się?
- Tak, proszę pani.
- Czy masz wszystko, czego ci trzeba?
- Tak, proszę pani, dziękuję. - W spojrzeniu dziewczyny był chłód. Barbara chciała wyjaśnić, powiedzieć jej, że wie, co to za uczucie, że ona też kogoś straciła. Ale to było niemożliwe. Skinęła głową i poszła na górę przebrać się do kolacji.

i Kurczak z czosnkiem.

Rozdział dziewiąty

Café Rocinante mieściła się w wąskiej uliczce przy calle Toledo. Kiedy Harry wyszedł z ambasady, zobaczył, że znowu śledzi go ten sam młody Hiszpan o bladej twarzy. Zaklął - miał ochotę się odwrócić i przyłożyć mu. Zatoczył koło ze dwa razy po tych samych ulicach i udało mu się go zgubić. Poszedł dalej przed siebie z poczuciem satysfakcji, ale kiedy zobaczył kawiarnię i podszedł do wejścia, serce zabiło mu mocniej. Otwierając drzwi, wziął głęboki oddech. Jeszcze raz przeleciał w myślach przeszkolenie, które przeszedł w Surrey, mające przygotować go do tego pierwszego spotkania. Pamiętaj, że będzie podejrzliwy, powiedzieli mu. Bądź przyjacielski, udawaj naiwnego, nowego w Madrycie. Bądź otwarty, słuchaj, co ma do powiedzenia.

Kawiarnia była ponura; światło dzienne wpadające przez małe zakurzone okno ledwo wzmacniały wiszące na ścianach piętnastowatowe żarówki. Większość gości stanowili mężczyźni z klasy średniej, sklepikarze i drobni biznesmeni. Siedzieli przy małych okrągłych stoliczkach, pijąc kawę albo czekoladę i ubijali interesy. Między nimi krążył może dziesięcioletni chłopiec, sprzedający papierosy z tacy, która wisała mu na szyi. Harry poczuł się nieswojo. Rozejrzał się po wnętrzu, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. A więc to tak jest, kiedy stajesz się szpiegiem. W chorym uchu słyszał cichy syk i chrzęst.

Poza dwiema matronami w średnim wieku, które siedziały przy stoliku i dyskutowały o drożyznie na czarnym rynku, w kawiarni była jeszcze tylko jedna kobieta. Paliła samotnie papierosa, stała przed nią pusta filiżanka po kawie. Miała koło trzydziestu lat, była chuda, sprawiała wrażenie zaniepokojonej. Bez ustanku wodziła wzrokiem po klientach, nerwowo przesuwając spojrzenie od stolika do stolika. Harry pomyślał, że może być czyjąś informatorką. Co prawda rzucała się w oczy, ale przecież jego ogon też był widoczny.

Od razu spostrzegł Sandy'ego, siedział sam, czytając egzemplarz „ABC”. Przed nim na stoliku stała kawa, w popielniczce tliło się duże cygaro. Gdyby nie to, że widział wcześniej jego fotografię, nie rozpoznałby go. W dobrze skrojonym garniturze, z wąsami i zaczesanymi do tyłu włosami właściwie w niczym nie przypominał ucznia, którego pamiętał Harry. Zrobił się postawniejszy, ale z powodu

muskulów, a nie tuszy, a na twarzy widać było pojedyncze zmarszczki. Choć miał ledwie kilka miesięcy więcej od Harry'ego, wyglądał na czterdzieści lat. Jak to możliwe, że wyglądał tak staro?

Podszedł do jego stolika. Sandy nie podniósł wzroku. Harry stał przez chwilę bez ruchu. Poczuł się głupio. Zakaszał, na co Sandy opuścił gazetę i spojrzał na niego pytająco.

- To ty? Sandy Forsyth? - Harry udał zdziwienie. - To ja, Harry Brett.

Przez moment Sandy nie rozumiał, o co chodzi, ale po chwili twarz

rozjaśniła mu się i uśmiechnął się tak, jak Harry go pamiętał, pokazując rząd równych, białych zębów.

- Harry Brett! To ty! Nie do wiary! Po tylu latach! O Boże, co tu robisz? - Wstał i uściśnął mocno dłoń Harry'ego. Harry wziął głęboki oddech.

- Pracuję w ambasadzie jako tłumacz.

- O Boże! Racja, studiowałaś przecież języki obce w Cambridge, prawda? Co za zbieg okoliczności! - Pochylił się nad stołem i klepnął go w ramię. - Jezu, nie zmieniłeś się zbyttno. Usiądź, napijesz się kawy? Co robisz w Rocinante?

- Zakwaterowali mnie niedaleko stąd, zaraz za rogiem. Przyszedłem sprawdzić tę kawiarnię. - Kiedy wymawiał pierwsze prawdziwe kłamstwo, jego głos na moment się załamał, ale po jasnym, mile zaskoczonym obliczu Sandy'ego poznał, że ten połknął haczyk. Poczuł wyrzuty sumienia, a zaraz po tym ulgę, że Sandy tak się ucieszył na jego widok, chociaż to wcale nie ułatwiało sprawy.

Sandy pstryknął palcami. Pojawił się podstarzały kelner w białej zatłuszczonej marynarce. Harry zamówił czekoladę na gorąco. Sandy przyglądał się Harry'emu, paląc cygaro.

- A niech mnie. - Pokręcił głową. - Minęło... ile... piętnaście lat. Dziwne, że mnie poznałeś.

- Cóż, nie da się ukryć, że się zmieniłeś. Przez chwilę nie byłem pewny...

- Myślałem, że zapomniałeś o mnie wieki temu.

- Nigdy nie zapomnę tamtych czasów.

- Rookwood... - Sandy pokręcił głową. - Przytyłeś trochę.

- Tak, rzeczywiście. Za to ty wyglądasz na wysportowanego.

- W pracy nie dają mi chwili spokoju. Pamiętasz tamte popołudnia, kiedy szukaliśmy skamielin?
- Sandy znowu się uśmiechnął, nagle wydał się młodszy. - To była dla mnie najprzyjemniejsza rzecz w Rookwood. Najprzyjemniejsza.

Westchnął i odchylił się do tyłu na krześle, jego twarz nagle stężała. Wciąż był uśmiechnięty, ale w jego oczach zabłysła iskierka nieufności.

- Jak to się stało, że zacząłeś pracować dla rządu Jego Królewskiej Mości?

- Oberwałem pod Dunkierką.

- O Boże, no przecież, wojna. - Powiedział to tak, jakby o niej zapomniał, jakby go w ogóle nie dotyczyła. - Mam nadzieję, że to nic poważnego?

- Nie, już mam się prawie dobrze. Trochę niedosłyszę. W każdym razie nie chciałem wracać potem do Cambridge. Ministerstwo Spraw Zagranicznych szukało tłumaczy i się załapałem.

- Cambridge, co? A więc jednak nie zacząłeś pracować dla Biura Kolonialnego? - Roześmiał się. - Chłopięce marzenia, nie? Pamiętasz, chciałeś być zarządcą nie wiadomo gdzie, a ja miałem polować na dinozaury. - Sandy rozpromienił się, sytuacja wyraźnie go bawiła. Sięgnął po cygaro i zaciągnął się głęboko.

- Tak. To zabawne, jak wszystko się ułożyło. - Harry starał się, żeby jego głos brzmiał swobodnie. - Co tu porabiasz? Nieźle się zdiwiłem na twój widok. Wydało mi się, że cię skądś znam, ale nie wiedziałem skąd. Potem nagle mnie olśniło. - Kłamał jak z nut.

Sandy znowu zaciągnął się cygarem i wypuścił kolejny kłęb gryzącego dymu.

- Trzy lata temu postanowiłem się tu zakręcić. Tu jest mnóstwo okazji do interesów. Robiąc swoje, pomagam Hiszpanii stanąć na nogi. Chociaż może wkrótce się stąd wyprowadzę.

Stary kelner postawił przed Harrym małą filiżankę czekolady. Sandy skinął na chłopaczka, który właśnie sprzedawał chudej kobiecie lucky strike.

- Chcesz cygaro? Popraw Robertowi humor. Ma za pazuchą kilka hawańskich cygar. Trochę wyschnięte, ale w porządku.

- Dzięki, nie palę. - Harry spojrzał na kobietę. Nawet nie udawała, że nie obserwuje gości. Jej napięta twarz miała w sobie coś, co sprawiło, że wyglądała trochę jak urzędniczka.

- Nigdy nie zacząłeś, co? Pamiętam, że nigdy nie chodziłeś z nami, ze złym towarzystwem, palić za salą gimnastyczną.

Harry się roześmiał.

- Po prostu to mi nigdy nie sprawiało przyjemności. Spróbowałem może ze dwa razy i było mi niedobrze. - Sięgnął po czekoladę. Ręka już mu nie drżała.

- Ej, Brett, nie gadaj, patrzyłeś na nas z dezaprobatą. - W głosie Sandy'ego kryła się teraz nutka cynizmu. - Zawsze byłeś na wskroś człowiekiem Rookwood. Zawsze przestrzegałeś zasad.

- Może. Nazywaj mnie Harry, dobrze?

- Jak za starych czasów, co? - Sandy uśmiechnął się znowu, tym razem naprawdę przyjaźnie.

- Wracając do tematu... Byłeś w Londynie, Sandy, kiedy ostatni raz miałem od ciebie jakieś wieści.

- Musiałem zmykać. Kilka osób z kręgów wyścigów konnych uznało, że mnie nie lubi. Wyścigi to trudny interes. - Spojrzał na Harry'ego. - To wtedy urwał nam się kontakt, prawda? Żal mi było, lubiłem dostawać od ciebie listy. - Westchnął. - Opracowałem niezły system, ale to się nie spodobało jednej grubej rybie. Przynajmniej nauczyłem się kilku rzeczy. Potem jeden gość z Newmarket

powiedział mi, że szukają przewodników do oprowadzania po polach bitew. Ludzi z odpowiednich środowisk, chcieli urządzić małą wymianę międzynarodową i zdobyć odrobinę poparcia dla nacjonalistów wśród Brytyjczyków. No więc spędziłem rok, pokazując północne pola bitew emerytowanym angielskim pułkownikom. Następnie zaangażowałem się w kilka przedsięwzięć biznesowych. - Rozłożył ręce. - i jakoś tak zostało. Rok temu przyjechałem do Madrytu, śladem Generalísima.

- Aha. - Lepiej nie naciskać, pomyślał Harry. Za wcześnie. - Wciąż utrzymujesz kontakty z ojcem? - spytał.

Twarz Sandy'ego przybrała chłodny wyraz.

- Przestaliśmy się do siebie odzywać. Tak było lepiej, nigdy nie potrafiliśmy się zrozumieć. - Przez moment milczał, po czym znowu się uśmiechnął. - Nieważne. Od jak dawna jesteś w Madrycie?

- Ledwie kilka dni.

- Ale byłeś tu już wcześniej, prawda? Po skończeniu szkoły przyjechałeś tu z Piperem.

Harry spojrzał na niego zdumiony. Sandy zachichotał i wycelował w niego niedopałkiem cygara. - Nie wiedziałeś, że ja wiem, prawda?

Serce zabiło Harry'emu mocniej. Skąd on mógł to wiedzieć?

- Tak, za czasów Republiki. Ale skąd...

- Przyjechałeś też potem, nieprawdaż? - Harry z ulgą spostrzegł, że Sandy uśmiechał się przewrotnie, a z pewnością nie robiłby tego, gdyby wiedział, jaki jest prawdziwy cel jego pobytu w Madrycie.

- Przyjechałeś spróbować odnaleźć go, kiedy zaginął w bitwie nad Jaramą. Spotkałeś jego dziewczynę, Barbarę. - Roześmiał się wreszcie.

- Nie bądź taki zdziwiony. Przepraszam. Po prostu spotkałem Barbarę w Burgos, kiedy pracowałem jako przewodnik. Czerwony Krzyż wysłał ją tam, kiedy Piper ruszył na zachód. Opowiedziała mi o wszystkim.

A więc o to chodziło. Harry odetchnął i odchylił się w krześle.

- Pisałem do niej przez biuro Czerwonego Krzyża w Madrycie, ale nigdy mi nie odpowiedziała. Pewnie listy nie dochodziły do niej.

- Prawdopodobnie nie. Wtedy na terytorium Republiki panował niezły chaos.- Jakim cudem się spotkaliście? Co za zbieg okoliczności.

- Nie do końca. W trzydziestym siódmym w Burgos nie było zbyt wielu Anglików. Może zbiegiem okoliczności był fakt, że oboje byliśmy w strefie nacjonalistów. Spotkaliśmy się na przyjęciu, które Texas Oil wydał dla pracujących w Hiszpanii obcokrajowców. - Uśmiechnął się szeroko. - Co więcej, zostaliśmy ze sobą. Mieszka teraz ze mną, mamy dom w Vigo. Nie poznałbyś jej.

- Kilka dni temu wydawało mi się, że widziałem ją przy Plaza Mayor.

- Naprawdę? Ciekawe, co tam robiła. Może szukała jakiegoś sklepu... - Uśmiechnął się.

Sprawy zaczęły się komplikować, pomyślał Harry. Barbara. Skąd, u Ucha, się tu wzięła.

- Wciąż pracuje dla Czerwonego Krzyża? - zapytał.

- Nie, jest tylko gospodynią domową. Nie mogła się pozbierać po stracie Berniego, ale już jej przeszło. Próbuję ją przekonać, żeby podjęła pracę jako wolontariuszka.

- Śmierć Berniego doprowadziła ją na skraj rozpacz. Nawet nie znalazł jego ciała.

Sandy wzruszył ramionami.

- Czerwoni nigdy nie przejmowali się losem swoich ludzi. Rosjanie zarządził tyle nieudanych ofensyw. Bóg wie, ilu ludzi leży pochowanych na wzgórzach. Ale Barbara ma się już dobrze. Na pewno chętnie się z tobą spotka. We wtorek przychodzi do nas parę osób, może wpadniesz?

To było zaproszenie, o które Harry miał się starać, a dostaje je podane na tacy.

- Czy Barbara nie będzie miała nic przeciwko? Nie chciałbym być powodem jej, hm... złych wspomnień.

- Z radością cię zobaczy. - Sandy zniżył głos. - Przy okazji, wszystkim mówimy, że jesteśmy małżeństwem, chociaż to nie jest prawda. Tak jest łatwiej, rząd ma purytańskie poglądy.

Harry zobaczył, że Sandy czeka na jego reakcję. Uśmiechnął się i skinął głową. - Rozumiem - powiedział z zakłopotaniem.

- Rzecz jasna za czasów wojny domowej wszyscy żyli w niepewności, nigdy nie wiadomo było, jak długo się pociągnie. - Uśmiechnął się. - Wiem, że Barbara jest bardzo wdzięczna za twoją pomoc.

- Naprawdę? Żałowałem, że nie mogłem zrobić nic więcej. Ale dzięki, przyjdę z przyjemnością.

Sandy pochylił się do przodu i znowu klepnął go w ramię.

- Teraz coś o tobie. Jak tam twoja stara ciotka i stryjek?

- Jak zawsze. Oni nigdy się nie zmieniają.

- Nie jesteś żonaty?

- Nie. Byłem z kimś przez jakiś czas, ale nie wyszło.

- Dużo tu ładnych señoras.

- Tak się składa, że zostałem zaproszony na przyszły tydzień na przyjęcie do jednego z podsekretarzy stanu, dla którego coś tłumaczyłem. Osiemnaste urodziny jego córki.

- O, kto to? - Sandy wyglądał na zainteresowanego.

- Generał Maestre.

Sandy zmrużył powieki.

- Maestre, co? Obracasz się w ważnych kręgach. Jaki to człowiek?
- Bardzo uprzejmy. Znasz go?
- Raz spotkaliśmy się przelotnie. Wiesz, że w czasie wojny domowej wstąpił się brutalnością. - Przerwał i zamyślił się. - Pewnie przy okazji swojej pracy spotykasz wielu ludzi z rządu.
- Chyba tak. Ale jeżdżę po prostu tam, gdzie mi każą.
- Spotkałem się raz z nowym szefem Maestre, Carcellerem. Prowadziłem interesy z całkiem sporą grupą ludzi z rządu. Tak się składa, że poznałem samego Generalisima - dodał z dumą. - Na przyjęciu dla zagranicznych biznesmenów.

Próbuje mi zaimponować, pomyślał Harry.

- Jaki on jest?

Sandy znowu pochylił się naprzód i zaczął mówić cicho.

- Niezupełnie taki, jakbyś się spodziewał, widząc go maszerującego w kronikach filmowych. Wygląda bardziej jak dyrektor banku niż jak generał. Ale jest przebiegły, to prawdziwy Galisyjczyk. On prze-trwa, nawet kiedy ludzie tacy jak Maestre dawno przeminą. Poza tym mówią, że to najtwardszy człowiek, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. Wieczorami przy kawie podpisuje wyroki śmierci.
- A co jeśli to my wygramy wojnę? Wtedy Franco na pewno będzie musiał odejść, nawet jeśli nie przyłączy się do Hitlera. - Na szkoleniu kazali mu się trzymać z dala od polityki, przynajmniej na początku, ale to Sandy zaczął temat. To była okazja, żeby dowiedzieć się, co myśli o reżimie.

Sandy pokręcił z przekonaniem głową.

- Nie przyłączy się. Za bardzo się boi blokady morskiej. Reżim nie jest wcale taki silny; jeśli Niemcy wkroczą do Hiszpanii, czerwoni zaczną wyłazić ze swoich nor. A jeśli wygramy - Sandy wzruszył ramionami - Franco można zawsze wykorzystać. Jeden antykomuni-sta więcej nigdy nie zaszkodzi. - Uśmiechnął się ironicznie. - Nie martw się. Nie pomagam wrogowi Anglii.
- Wydajesz się być tego bardzo pewny.
- Bo jestem.
- Sprawy przybierają w Hiszpanii zły obrót. Panuje bieda, sytuacja wygląda raczej ponuro.

Sandy wzruszył ramionami.

- To Hiszpania. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Potrzebują porządku.

Harry przekrzywił głowę.

- Sandy, nigdy bym nie zgadł, że spodoba ci się pomysł zaprowadzania porządku za pomocą dyktatury.

Sandy się roześmiał.

- To nie jest prawdziwa dyktatura, panuje zbyt duży chaos. Jeśli ma się głowę na karku, jest dużo okazji, żeby robić dobre interesy. Chociaż nie zostaną tu na zawsze.

- Wyjedziesz?

Sandy wzruszył ramionami.

- Może w przyszłym roku.

- Wygląda na to, że ludzie umierają z głodu.

Sandy spojrzał na Harry'ego poważnie. - Przez ostatnie dwa lata zbiory były katastrofalne z powodu suszy, a połowa infrastruktury kraju została zniszczona w czasie wojny. Szczerze mówiąc, Anglia wcale nie pomaga. Wpuszczają do kraju ledwie tyle ropy, żeby transport działał jako tako. Widziałeś te dziwne pojazdy, które nazywają saturatorami?

- Tak.

- Rzeczywiście biurokracja jest potworna, ale rynek zwycięży. Ludzie tacy jak ja torują drogę. - Spojrzał Harry'emu prosto w oczy.

- Wiesz, w ten sposób im pomogę. Naprawdę chcę im pomóc.

Kobieta znowu na nich spojrzała. Harry pochylił się do przodu.

- Widzisz ją? - wyszeptał. - Przy tamtym stoliku. Patrzy na nas, od kiedy wszedłem. Obawiam się, czy nas nie szpieguje.

Przez moment Sandy nie rozumiał, o co mu chodzi, po czym nagle odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem. Inni klienci odwrócili się w ich stronę i zaczęli się na nich gapić.

- Oj, Harry, Harry, naprawdę, uwielbiam cię.

- Niby co?

- To dziwka, Harry. Zawsze tu siedzi, szuka klientów.

- Że co?

- Ciągłe na nią patrzysz, przyglądasz się jej, po czym odwracasz wzrok, biedaczka nie wie, o co chodzi. - Sandy spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie zrozumiała, co powiedział, ale zaczerwieniła się pod jego kpiącym spojrzeniem.

- No dobra, nie wiedziałem. Nie wygląda na dziwkę.

- Wiele na nie nie wygląda ostatnimi czasy. Pewnie wdowa po jakimś republikanie. Wiele z nich, żeby przeżyć, musiało zacząć uprawiać najstarszy zawód świata.

Kobieta wstała. Pogrzebała w torebce, rzuciła na stół kilka monet i wyszła. Sandy śledził ją wzrokiem, wciąż śmiejąc się z jej zażenowania.

- Ale trzeba być ostrożnym - kontynuował Sandy. - Jakiś czas temu wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.
- I co, naprawdę tak było?
- Nie jestem pewien. W każdym razie wygląda na to, że zniknął.
- Sandy spojrzął na zegarek. - Cóż, muszę wracać do biura. Ja stawiam.
- Dzięki.

Sandy znowu się roześmiał, pokręcił głową.

- Naprawdę dobrze cię znowu widzieć. - W jego głosie była szczerza sympatia. - Niech no tylko powiem o tym Barbarze. Zastanę cię w ambasadzie we wtorek? Jeśli tak, zadzwonię.
- Myślę, że tak. Zapytaj o sekcję tłumaczeń.

Na ulicy Sandy uściśnął dłoń Harry'ego. Spojrzął na niego poważnie.

- Wiesz, że Anglia przegrała wojnę. Miałem rację: wszystkie ideały Rookwood, imperium, szlachetność, obowiązki, uczciwa gra, nie mają sensu. Wszystko legło w gruzach od jednego ciosu. Ludzie, którzy sami sobie stwarzają okazje, którzy kreują sami siebie, oto przyszłość. - Pokręcił głową.
- No trudno. - W jego głosie prawie że było słychać żal.
- Jeszcze nie przegraliśmy.
- Jeszcze nie całkowicie. Ale prawie. - Sandy uśmiechnął się ze współczuciem i odszedł.

Rozdział dziesiąty

Drzwi opery madryckiej stały otworem, światło żyrandoli padało na Plaza Isabel II. Był zimny październikowy wieczór. Wokół placu w ciemności stali civiles z karabinami w rękach. Ze schodów aż do krawężnika, specjalnie na przyjazd Generalísima, rozwinięto długi czerwony dywan. Światło było tak jasne, że Barbara musiała zmrużyć oczy, kiedy podeszła do wejścia. Sandy trzymał ją pod rękę.

Poprzedniego wieczoru wykonała kolejną rzecz, która wymagała oszukania Sandy'ego. Miała w Anglii trochę oszczędności; napisała do banku list z prośbą, żeby przekazano je do Hiszpanii. Zadzwoniła po raz kolejny do redakcji „Daily Express” i zapytała, czy mogliby wysłać do Markby'ego telegram, że musi się z nim pilnie porozumieć, ale nikt nie wiedział, gdzie go teraz szukać.

Czekała w salonie, aż Sandy wróci do domu. Kazała Pilar rozpaścić w kominku, w pokoju było ciepło i przytulnie. Na stoliku obok jego fotela stała szklaneczka i butelka jego ulubionej whisky. Siedziała i czytała, czekając, jak prawie każdego wieczoru.

Wrócił o siódmej. Barbara zdjęła okulary, kiedy usłyszała jego kroki, ale i tak widziała, że był czymś podekscytowany. Pocałował ją czule.

- Mm, lubię tę sukienkę. Podkreśla twoją białą cerę. Posłuchaj, nie uwierzysz, kogo dzisiaj spotkałem w Rocinante. W życiu byś nie zgadła. Czy to Glenfiddich? Wspaniale. Nigdy nie zgadniesz. - Był podniecony niczym mały chłopczyk.

- Nie dowiem się, jeśli mi nie powiesz.
- Harry'ego Bretta. Była tak zaskoczona, że musiała usiąść.

Sandy skinął głową.

- Sam nie mogłem w to uwierzyć. Tak po prostu wszedł do kawiarni, we własnej osobie. Pracuje w ambasadzie jako tłumacz. Został ranny pod Dunkierką, a potem przysłali go tutaj.
- Dobry Boże. Nic mu nie jest?
- Wygląda na to, że nie. Ręce mu się trochę trzęsą. Ale to ten sam stary dobry Harry. Szttywny, bardzo poważny. Nie wie, co sądzić o Hiszpanii. - Uśmiechnął się i pokręcił z pobłażaniem głową. Barbara spojrzała na niego. Harry, przyjaciel Berniego. Zmusiła się do uśmiechu.
- Byliście dobrymi kolegami w szkole, prawda?
- Tak. To miły gość.
- Wiesz, że to jedyny Anglik, o którym kiedykolwiek mówisz z sympatią?

Sandy wzruszył ramionami.

- Zaprosiłem go na wtorek wieczór. Obawiam się, że Sebastian przyprowadzi ze sobą tę potworną Jenny. Nic ci nie jest?

Jej policzki gwałtownie poczerwieniały.

- Nie, po prostu zaskoczyłeś mnie. - Przełknęła głośno ślinę.
- Jeśli wolisz, mogę go poprosić, żeby jednak nie przychodził. Jeśli przez niego miałyby wrócić niechciane wspomnienia...
- Nie. Nie, naprawdę wspaniale będzie go zobaczyć.
- No cóż, muszę pójść na górę się przebrać. - Wyszedł. Barbara zamknęła oczy, przypominając sobie straszne dni po zaginięciu Berniego. Harry jej wtedy pomógł, ale to Sandy ją uratował. Znowu poczuła wstyd.

Hol był prawie pełen, rozbrzmiewał szumem podnieconych głosów. Barbara rozejrzała się wokół. Wszyscy mieli na sobie najlepsze stroje, nawet czasem suknie kobiet w żałobie były jedwabne i eleganckie, niektóre damy miały twarze zasłonięte czarnymi koronkowymi mantylami. Mężczyźni nosili stroje wieczorowe lub mundury, wojskowe bądź Falangi, tu i tam widać też było duchownych w czarnych lubé

czerwonych szatach. Barbara miała na sobie białą wieczorową suknię z zieloną broszą, która podkreślała kolor jej oczu, na ramiona zarzuciła białą etolę.

Hol odnowiono z okazji pierwszego przedstawienia po zakończeniu wojny domowej. Ściany i białe kanelowane kolumny odmalowano, krzesła obito na nowo czerwonym pluszem. Sandy był w swoim

żywiolenie, uśmiechał się do znajomych. Skłonił się pewnemu pułkownikowi, który minął ich wraz ze swoją żoną.

- Naprawdę potrafia zorganizować przyjęcie, kiedy tego chcą - wyszeptał.
- To chyba znak, że wszystko powoli wraca do normy.

Sandy zaczął czytać program.

- El concierto de Aranjuez ma uczcić powrót z wygnania señor Rodrigo. Jego nowe dzieło to refleksja na temat minionej chwały, snuta w spokojnym ogrodzie pałacu Aranjuez. Musimy tam pojechać w któryś weekend, moja słodka, i go zobaczyć.
- Byłoby miło.

Hol powoli wypełniał się ludźmi. Orkiestra ćwiczyła, w sali rozbrzmiewały krótkie fragmenty muzyki. Goście spoglądali w górę na pustą lożę honorową.

- Generalísimo jeszcze nie przybył - powiedział cicho Sandy.

Obok nich zrobił się ruch, kiedy dwóch żołnierzy przeprowadzało

do sąsiedniej loży jakąś parę w wieczorowych strojach. Oboje byli wysocy. Kobieta wyglądała niczym posąg, miała długie blond włosy, mężczyzna był łysy i miał haczykowaty nos. Na rękawie marynarki na ramieniu miał opaskę ze swastyką. Barbara znała jego twarz z gazet. Von Stohrer, ambasador Niemiec.

Sandy trącił ją w ramię.

- Nie gap się, moja słodka.
- Nie cierpię tego... symbolu.
- Hiszpania jest neutralna, kochanie. Po prostu nie zwracaj na nich uwagi. - Wziął ją pod ramię i wskazał na wysoką, ubraną na czarno kobietę w średnim wieku, która siedziała nieopodal i rozmawiała ze swoją towarzyszką. - Tam jest nasza marquesa. Chodźmy się przedstawić. - Poprowadził Barbarę wzdłuż przejścia. - A przy okazji, nie wspominaj o jej mężu - wyszeptał. - Chłopi z jednego z jego gospodarstw rzucili go w trzydziestym szóstym świniom na pożarcie. Straszna sprawa. - Barbara wzdrygnęła się. Sandy często lekkim tonem mówił o potwornościach, które cierpieli ludzie podczas wojny domowej.

Sandy skłonił się marquesie. Barbara nie była pewna, jak ją pozdrowić, więc dygnęła, na co marquesa odpowiedziała lekkim uśmiechem. Miała mniej więcej pięćdziesiąt lat, jej twarz była łagodna i kiedyś musiała być ładna, ale teraz wrył się na niej smutek.

- Wasza książęca mość - zaczął Sandy - proszę pozwolić, że się przedstawię, jestem Alexander Forsyth. To moja żona, señora Barbara. Proszę wybaczyć to najście, ale señor Cana powiedział mi, że szuka pani ochotników do pracy w sierocińcu.

- Tak, wspominał o tym. Rozumiem, señora, że jest pani pielęgniarką.
- Obawiam się, że od wielu lat nie miałam nic wspólnego z pielęgniarstwem. .

Marquesa uśmiechnęła się smutno.

- Takich umiejętności nigdy się nie zapomina. Wiele dzieci w naszym sierocińcu jest chorych albo odniosło rany w czasie wojny. W Madrycie jest tyle sierot... - Pokręciła ze smutkiem głową. - Bez domów, bez rodziców, bez wykształcenia, niektóre muszą żebrac na ulicach.

- Gdzie mieści się sierociniec, Wasza Wysokość?

- Niedaleko Atochy, w budynku, który dostaliśmy od Kościoła. Zakonnice pomagają dzieciom w nauce, ale potrzebujemy pomocy medycznej. Zakony pielęgniarskie są stale bardzo zajęte.

- Oczywiście.

- Myśli pani, señora, że byłaby nam w stanie pomóc?

Barbara pomyślała o bosych dzieciach, które widziała na ulicach.

- Tak, z chęcią.

Marquesa położyła palec na podbródku.

- Señora wybaczy mi, że pytam, ale jest pani Angielką. Czy jest pani katoliczką?

- Nie, przykro, ale nie. Zostałam ochrzczona jako anglikanka. - Barbara zaśmiała się nerwowo. Jej rodzice nigdy nie chodzili do kościoła. A co by sobie marquesa pomyślała, gdyby wiedziała, że ona i Sandy nawet nie są małżeństwem?

- Być może będzie trzeba przekonać władze kościelne. Ale potrzebujemy pielęgniarek, señora Forsyth. Mogę porozmawiać z biskupem, a potem do pani zatelefonuję.

Sandy rozłożył ręce.

- Oczywiście, rozumiemy.

- Zrobię, co w mojej mocy. Byłoby cudownie, gdyby mogła nam pani pomóc. - Skinęła głową, dając znak, że rozmowa dobiegła końca. Barbara dygnęła ponownie i podążyła za Sandym wzdłuż korytarza.

- Załatwi to - powiedział Sandy. - Marquesa ma dużą siłę przebicia.

- Nie rozumiem, dlaczego religia miałaby stanowić problem. Nie mam powodu, żeby się wstydzić Kościoła anglikańskiego."

Sandy odwrócił się do niej, nagle wściekły.

- Cholera jasna, nie musiałaś dorastać wśród nich - wybuchnął. - Nie musiałaś żyć dzień po dniu wśród tych hipokrytów. Z katolikami przynajmniej wiadomo, na czym się stoi.

Zapomniała, że temat Kościoła był jego czułym punktem. Na samą wzmiankę, podobnie jak na wspomnienie o swojej rodzinie Sandy potrafił wpaść nagle w gniew.

- Dobrze, już dobrze, przepraszam.

Sandy odwrócił się; patrzył na stojącego nieopodal wysokiego, łysiejącego mężczyznę w mundurze generała. Żołnierz patrzył na niego z dezaprobatą. Uniósł lekko brwi i odszedł. Sandy spojrzął na Barbarę. Na jego twarzy malował się gniew, zachowywał się, jakby był osaczony.

- Widzisz, co zrobiłaś? - wymamrotał. - Wyszędłem na głupca przed Maestre. Usłyszał mnie.

- O co ci chodzi? Kto to jest Maestre?

- Przeciwnik mojego projektu dla Ministerstwa Górnictwa. Nieważne. Przepraszam. Posłuchaj, moja słodka, wiesz, że nie powinnaś wspominać mi o Kościele, co? Chodź, każą nam siadać. Wśród tłumu przeciskali się lokaje w osiemnastowiecznych strojach, prosząc ludzi, by usiedli. Sala była pełna. Sandy poprowadził ich na miejsca; siedzieli na środku rzędu, obok mężczyzny w mundurze Falangi. Barbara rozpoznała go: Otero, jeden ze wspólników Sandy'ego. Był kimś w rodzaju inżyniera górnictwa. Miał okrągłą twarz urzędnika, ubrany był w wykrochmaloną niebieską koszulę, a oliwkowe oczy patrzyły surowo i bystro. Nie lubiła go.

- Alberto. - Sandy położył mu dłoń na ramieniu.

- Hola, amigo¹. Señora.

Tłum zaszeleścił, rozległ się szmer. Na końcu sali koncertowej otworzyły się drzwi i grupka lokajów ukłonem powitała wejście pary w średnim wieku. Barbara słyszała, że Franco był niewysoki, ale zdumiała się, kiedy zobaczyła, jaki jest drobny, nawet delikatny. Nosił mundur generała, na piersi i zaokrąglonym brzuchu miał szeroką, czerwoną szarfę. Trzymał się sztywno i ruszał tak, jakby przewodził defiladzie. Jego łysiejąca głowa błyszczała w świetle lamp. Idąca za nim doña Carmen była nieco wyższa od męża, w kruczoczarne włosy miała wpięty diadem. Jej pociągła, wyniosła twarz miała dostojny, doskonale do niej pasujący wyraz. Wydawało się, że kiedy przeszli przed sceną, w kamiennej twarzy generała, w jego ustach, zaciśniętych mocno pod cienkim wąsem, w jego zaskakująco dużych oczach, było coś sztucznego.

Siedzący na widowni falangiści skoczyli na równe nogi i wyciągnęli w górę ręce w faszystowskim pozdrowieniu. ¡Jefe!², zawołali. Za nimi wstała reszta publiczności oraz orkiestra. Sandy trącił Barbarę. Spojrzała na niego. Nie spodziewała się, że będzie musiała to zrobić, ale on skinął ponagląco głową. Niechętnie podniosła się z krzesła i stanęła z wyciągniętym ramieniem, chociaż nie potrafiła się zmusić, żeby skandować z innymi. Sam gest sprawił, że poczuła się okropnie, było jej wstyd.

- ¡Jefe! ¡Jefe! ¡Franco! ¡Franco! - Generalísimo nie przyjął do wiadomości powitania, maszerował do przodu jak automat, póki nie doszedł

¹ Witaj, przyjacielu.

² Wódz do drzwi na drugim końcu sali.

Lokaje otworzyli je i para zniknęła. Okrzyki trwały dalej, ludzie zaczęli odwracać głowy i wyciągać ręce w stronę łoża honorowej, kiedy Franco i dona Carmen pojawili się znowu. Para stała przez moment, patrząc w dół. Dona Carmen uśmiechała się, ale zimna twarz Franco pozostała bez wyrazu. Na moment uniósł dłoń, na co od razu zapanowała cisza. Tłum usiadł. Wtedy dyrygent wstał i skłonił się w stronę łoża honorowej.

Barbara lubiła muzykę klasyczną. Kiedy mieszkała w domu, wołała ją od jazzu, który lubiła jej siostra, czasami słuchała koncertów z rodzicami. Ale nigdy nie słyszała niczego podobnego do tego koncertu. Podobał jej się. Gitara płynnie i zwiewnie rozpoczęła allegro, a potem włączyły się smyczki, powoli przyspieszając tempo. Muzyka była radosna i łagodna, Barbara zobaczyła, jak wokół niej ludzie rozluźniają się, uśmiechają i kiwają głowami.

Allegro osiągnęło punkt kulminacyjny, po czym zaczęło się adagio. Muzyka stała się wolniejsza, gitara grała na przemian z instrumentami dętymi, dźwięki wyrażały czysty smutek. Ludzie zaczęli płakać, najpierw tylko jedna czy dwie osoby, lecz potem coraz więcej, kobiety, a także kilku mężczyzn. Słyszała wokół siebie na wpół stłumione szlochy. Większość z obecnych prawdopodobnie straciła kogoś w czasie wojny domowej. Barbara spojrzała przelotnie na Sandy'ego; posłał jej napięty, zawstydzony uśmiech.

Spojrzała w górę, na łożo honorową. Twarz Carmen Franco była spokojna i nieruchoma. Generalissimo zmarszczył lekko brwi. Nagle zobaczyła, że wokół ust zadrgały mu mięśnie. Pomyślała, że on też zacznie płakać, ale wtedy jego twarz uspokoiła się i zrozumiała, że po prostu tłumił ziewnięcie. Odwróciła głowę z odrazą.

Dźwięk rogu przywiódł Barbarze na myśl pustą jałową równinę. Wiedziała że Luis to najprawdopodobniej kłamca, ale wciąż była niewielka nadzieja, że gdzieś tam był jednak uwięziony Bernie, podczas gdy ona tkwiła w tym miejscu. Zaciśnęła mocno rękę na swojej etoli, wrzynając paznokcie w miękkie futro.

Dźwięki gitary przyspieszyły, po czym prowadzenie przejęły smyczki, zmierzając do bolesnego punktu kulminacyjnego. Barbara poczuła, że coś w niej wezbrało i pękło, i nagle ona też się rozplakała. Sandy spojrzał na nią z niepokojem i uściśnął niepewnie jej dłoń.

Kiedy muzyka umilkła, przez długą chwilę panowała cisza, a potem publiczność zaczęła bić głośno brawo. Owacja nie ustała, kiedy ślepy kompozytor Rodrigo został doprowadzony na scenę. Na jego twarzy również widać było ślady łez, kiedy uściśnął dłoń dyrygentowi i rozmawiał z solistą. Oklaskom nie było końca. Sandy odwrócił się do Barbary.

- Nic ci nie jest?
- Nie. Przepraszam.

Westchnął.

- Nie powinienem być się tak denerwować. Ale wiesz, jak na mnie działają niektóre rzeczy. - W jego słowach usłyszała nutę irytacji.
- To nie o to chodzi. Tylko że... och, wszyscy tyle stracili. Wszyscy.

- Wiem... No już, wytrzymaj oczy. Mamy przerwę. Wolisz tu zostać? Jeśli chcesz, przyniosę ci kieliszek brandy.

- Nie, nic mi nie jest. Pójdę z tobą. - Rozejrzała się i zobaczyła, że Otero przygląda się jej z ciekawością. Dostrzegł, że ona też na niego patrzy, więc uśmiechnął się, szybko i nieszczerze.

- Dobra dziewczynka - powiedział Sandy. - No to chodźmy.

W barze Sandy postawił jej gin z tonikiem. Był mocny, potrzebowała tego. Piła i czuła, że policzki jej się rumieniają. Przyłączył się do nich Otero ze swoją żoną, zaskakująco młodą i ładną.

- Czyż to nie było smutne? - zapytała Barbarę.

- Tak. Ale bardzo piękne.

Otero poprawił krawat.

- To wielki kompozytor. Musi być bardzo dumny, że jego koncert zagrano po raz pierwszy przed Generalisimem.

- Tak, widziała go pani? - zapytała Barbarę żona Otera. - Zawsze chciałam go zobaczyć. Żołnierz w każdym calu.

Barbara uśmiechnęła się sztywno.

- Tak. - Usłyszała, że Otero szepcze coś do Sandy'ego.

- Jakież wiadomości o ostatnich Żydach?

- Tak. Zrobią wszystko, byleby ich nie odesłano z powrotem do Vichy.- Świetnie. Potrzebujemy kilku więcej na pokaz. Załatwię, żeby to dobrze wyglądało. - Otero zorientował się, że Barbara słucha, i posłał jej surowe spojrzenie.

- No cóż, señora Forsyth - powiedział - zastanawiam się, czy don Rodrigo spotka się z Generalisimem.

- Muzyka musiała mu się spodobać - odparła obojętnie.

Przez tłum przepchnął się do nich mężczyzna, generał, którego spojrzenie wcześniej zirytowało Sandy'ego. Otero zacisnął usta i rozejrzał się dookoła, ale Sandy skłonił się i posłał żołnierzowi przyjazny uśmiech.

- Generale Maestre.

Generał spojrział na niego lodowato.

- Señor Forsyth. I mój stary przyjaciel, kapitan Otero - taką ma pan rangę w Falandze, o ile mnie pamięć nie myli.

- Tak, panie generale.

Maestre skinął głową.

- Słyszałem, że panów projekt idzie sprawnie. Tu rekwirujecie materiały budowlane, tam chemikalia.
- Prosimy jedynie o to, co nam jest potrzebne, generale. - W głosie Otera dało się słyszeć ton sprzeciwu. - Sam Generalísimo...
- Zatwierdził projekt. Tak, wiem. Projekt, który ma pomóc Hiszpanii wrócić na drogę dobrobytu. I oczywiście pomóc panom zarobić.
- Jestem biznesmenem, panie generale - powiedział z uśmiechem Sandy.
- Tak. Pomaga nam pan i przy okazji się bogaci.
- Mam taką nadzieję.

Maestre skinął dwukrotnie głową. Przez moment przyglądał się Barbarze spod zmrużonych powiek, po czym nagle skłonił się i odszedł. Kiedy odwracał się, Barbara usłyszała, że mamrocze pod nosem słowo *sinvergüenza*. To oznaczało „bezwstydna”, „pozbawiona moralności”.

Otero spojrział na Sandy'ego; Barbara widziała, że falangista się boi.

- W porządku - powiedział Sandy. - Wszystko jest pod kontrolą. Słuchaj, pogadamy jutro.

Otero zawahał się na moment.

- *Algo va mai* - wymamrotał. - Chodźmy - powiedział ostro do swojej żony. Przyłączyli się do ludzi, zmierzających w stronę wyjścia. Sandy oparł się o bar, kręcąc w zamyśleniu kieliszkiem.
- O co tu chodziło? - zapytała Barbara. - Co on miał na myśli, mówiąc, że coś źle poszło?

Sandy przyglądał wąsy.

- Pomimo munduru falangisty Otero to stara baba.
- Co takiego zrobiliście, że zdenerwowaliście generała? Tutaj nie można sobie na to pozwalać.

Jego półprzymknięte oczy były zamyślane.

- Maestre jest w komitecie zaopatrzeniowym naszego projektu dla Ministerstwa Górnictwa. Monarchista. - Wzruszył ramionami. - To tylko polityka. Walka o władzę.
- Generał nie lubi waszego projektu, bo ma poparcie Falangi?
- Właśnie. Ale w ostatecznym rozrachunku Maestre nie będzie się uczył, bo mamy błogosławieństwo Franco. - Wstał i poprawił klapę marynarki,
- Co Otero mówił o Żydach?

Sandy ponownie wzruszył ramionami.

- To tajne. Barbaro, musimy trzymać prace komitetu w tajemnicy. Gdyby Niemcy się dowiedzieli, zrobiłoby się zamieszanie.

- Nienawidzę, kiedy fetuje się faszystów.
- Po prostu dostają trochę pochlebstw. Ale tylko tyle. Gierki dyplomatyczne. - W jego głosie było zniecierpliwienie. Położył jej rękę na ramieniu. - Chodźmy, teraz czas na Beethovena. Spróbuj zapomnieć o wojnie. Toczy się daleko stąd.

Rozdział jedenasty

W dniu, w którym niemiecki samolot spadł na dom w dzielnicy Vigo, Barbara i Bernie tramwajem pojechali z powrotem do mieszkania Barbary niedaleko calle Mayor. Siedzieli w wagonie objęci wpięciem, cali pokryci pyłem. Kiedy weszli do mieszkania, usiedli na łóżku, trzymając się za ręce.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał Bernie. - Jesteś blada jak ściana.
- To tylko skaleczenie. Przez pył wygląda gorzej, niż jest naprawdę. Powinnam wziąć kąpiel.
- W takim razie ty się wykąp, a ja zrobię coś do jedzenia. - Ucisnęła jej dłoń.

Kiedy wyszła z łazienki, posiłek był gotowy. Przy małym stoliku zjedli kiełbasę chorizo z ciecierzycą. Milczeli, wciąż byli pod wpływem szoku. W połowie posiłku Bernie wziął ją za rękę.

- Kocham cię - powiedział. - Naprawdę cię kocham. Mówię to szczerze.
- Ja ciebie też kocham. - Wzięła głęboki oddech. - Ja... nie mogłam uwierzyć w to, co powiedziałaś. Kiedy byłam mała... To tak trudno wytłumaczyć.
- To przez te dzieci, które się nad tobą znęcały?
- Może to głupie, ale kiedy się dzieje przez tyle lat, masz wrażenie, że ciągle cię upokarzają... Dlaczego dzieci tak się lubią czepiać innych, czemu muszą kogoś nienawidzić? Czasem pluły na mnie. Bez powodu, tylko dlatego, że to byłam ja.

Ucisnęła jej dłoń. - Dlaczego uwierzyłaś w to, co mówiły? Dlaczego nie chcesz uwierzyć mi?

Wybuchnęła płaczem. Bernie obszedł stół dookoła, klęknął obok niej i przytulił ją mocno. Poczowała ulgę.

- Tylko raz spałam z mężczyzną - powiedziała cicho.
- Wcale nie musisz się tłumaczyć. Nigdy nie chciałbym zrobić niczego, czego ty byś nie chciała. Nigdy.

Spojrzała w jego głębokie, ciemnooliwkowe oczy. Przeszłość wydawała się cofać, odpływać z jej umysłu. Wiedziała, że wróci, ale chwilowo była gdzieś daleko. Wzięła głęboki oddech.

- Chcę. Chciałam tego od dnia, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy. Zostań ze mną, nie wracaj dzisiaj na noc do Carabanchel.
- Jesteś pewna, że nie powinnaś się przespać?

- Nie. - Zdjęła okulary. Uśmiechnął się i delikatnie je odłożył.
- Lubię je - powiedział łagodnym głosem. - Wyglądasz w nich inteligentnie.

Uśmiechnęła się.

- Czyli jednak nie chodzi ci tylko o nawrócenie mnie na komunizm.

Pokręcił głową, uśmiechając się szeroko.

Obudziła się w środku nocy, czując, jak jego palce pieszczą jej szyję. Było ciemno, widziała ledwie zarys głowy Berniego, ale czuła bliskość jego ciała.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - wyszeptała. - Nie z tobą.
- Zakochałem się w tobie już pierwszego dnia - powiedział Bernie. - Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty.

Zaśmiała się nerwowo.

- Jak ja? Co to znaczy?
- Osoby tak żywej, współczującej, zmysłowej, chociaż udajesz, że wcale taka nie jesteś.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Myślałam, że jesteś dla mnie zbyt piękny. Jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam - wyszeptała.- Pomyślałam, że gdybyśmy kiedykolwiek znaleźli się gdzieś razem nago, bardzo bym się wstydziła.
- Qj> ty głupiutka... Głupiutka dziewczynko. - Przytulił ją mocniej.

Bycie tak szczęśliwym wydawało się nie na miejscu w oblężonym mieście. Walki na północy trwały dalej, wojska Franco wciąż stały w miejscu. Rząd uciekł do Walencji, Madrytem zarządzał komitet, ludzie mówili, że kontrolowany przez komunistów. Z głośników w centrum miasta płynął głos namawiający mieszkańców, by strzegli się zdrajców we własnych szeregach.

Barbara wciąż zajmowała się wymianą więźniów i szukała odpowiedzi na pytania o los zaginionych, ale obok poczucia bezradności w obliczu morderczego chaosu odczuwała także wewnętrzne ciepło i radość.

- Kocham go - mówiła sobie i dodawała z niedowierzaniem: - A on kocha mnie.

Czekał na nią codziennie przed biurem i razem szli do jej mieszkania, do kina albo do kawiarni. Lekarze mówili, że ramię Berniego goi się dobrze i za miesiąc będzie znowu zdolny do służby. Ponownie zaproponował, że może pomóc partii w pracy z nowymi rekrutami Brygad Międzynarodowych, ale powiedzieli mu, że na razie mają dość ludzi.

- Gdybyś tylko nie musiał wracać - powiedziała któregoś wieczoru. Było to kilka dni przed świętami, po wyjściu z kina siedzieli w barze w Centro. Obejrzelili radziecki dokument o modernizacji Azji Środkowej, po czym film gangsterski z Jimmym Cagneyem. Czuli, że ich świat stoi na głowie.

Nacjonaliści z Casa de Campo czasem ostrzeliwali artylerią okolice Gran Vía właśnie w tym czasie, gdy ludzie wychodzili z kin, ale na szczęście nie tej nocy.

- Jestem szeregowym żołnierzem armii Republiki Hiszpańskiej
- powiedział Bernie. - Muszę się stawić na wezwanie. Inaczej mogę zostać rozstrzelany.
- Chciałabym, żebyśmy mogli po prostu wrócić do domu. Być z dala od tego wszystkiego. Tego przez lata baliśmy się w Czerwonym Krzyżu - wojny, w której nie ma różnicy między żołnierzami i cywilami. Miast pełnych ludzi, którzy nie stoją po żadnej stronie. - Westchnęła. - Dzisiaj na ulicy spotkałam starego mężczyznę; wyglądał, jakby kiedyś wykonywał jakiś wolny zawód. Miał na sobie gruby płaszcz, stary i zakurzony, grzebał w kubłach na śmieci w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Zaglądał do nich, udając, że wcale tego nie robi. Zauważył, że go spostrzegłam, i był strasznie zawstydzony.
- Wątpię, żeby cierpiał bardziej niż inni biedacy. Dostaje takie same racje żywności. Tylko dlatego, że jest z klasy średniej, miałyby to być dla niego gorsze? Trzeba stoczyć tę wojnę. Po prostu trzeba.

Wzięła go za rękę i spojrzała mu w oczy.

- Gdyby pozwolono ci wrócić teraz ze mną do domu, czy zrobiłbyś to?

Spuścił wzrok.

- Muszę zostać. To mój obowiązek.
- Wobec partii?
- Wobec ludzkości.
- Czasami chciałabym mieć taką silną wiarę jak ty. Może wtedy poczułabym się lepiej.
- To nie jest kwestia wiary. Chciałabym, żebyś zrozumiała marksizm, on odśnięcia szkielet rzeczywistości. Och, Barbaro, jak ja bym chciał, żebyś widziała wszystko jasno.

Wybuchnęła zmęczonym śmiechem.

- Niestety, nigdy nie byłam w tym dobra. Bernie, proszę cię, nie wracaj. Jeśli teraz odejdziesz, nie wiem, czy to zniosę. Nie teraz. Proszę, proszę, wróćmy do Anglii. - Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. - Masz brytyjski paszport, mógłbyś wyjechać. Możesz zgłosić się do ambasady.

Milczał przez moment. Nagle Barbara usłyszała, że ktoś woła jego imię z silnym szkockim akcentem. Odwróciła się i zobaczyła, że od strony lady macha do niego jasnowłosy młody mężczyzna, który stał z grupą zmęczonych ludzi w mundurach.

- Piper! - Szkot wzniosł kieliszek. - Jak tam ramię?
- W porządku, McNeil. Poprawia się! Niedługo wrócę.

- ¡No pasaran! - Żołnierz wymienił z Bernieem pozdrowienie, wznosząc zaciśniętą pięść. Bernie odwrócił się do Barbary, zniżył głos.

- Nie mogę tego zrobić, Barbaro. Kocham cię, ale nie mogę. Poza tym nie mam paszportu, musiałem go oddać, wstępując do armii. A zresztą... - westchnął.

- Co?

- Przez resztę życia bym się wstydził. - Skinął głową w stronę baru. - Nie mógłbym ich zostawić. Wiem, że kobiecie trudno to zrozumieć, ale nie mógłbym. Muszę wrócić, chociaż nie chcę.

- Nie chcesz?

- Nie. Ale jestem żołnierzem. To, czego ja chcę, się nie liczy.

Walki w Casa de Campo były w impasie, toczyła się wojna okopowa, jak na zachodnim froncie podczas wielkiej wojny. Ale wszyscy powtarzali, że Franco wiosną wznowi ofensywę, pewnie gdzieś na leżącej na południu miasta równinie. Wciąż było wiele ofiar. Barbara codziennie widziała rannych, przywożonych z frontu na platformach ciężarówek albo na wozach. Nastroje ludności były zmienne, jesienna ognista zadziorność ustępowała miejsca depresji. Brakowało zaopatrzenia; ludzie chorowali, dostawali czyraków i odmrożeń. Barbara miała wyrzuty sumienia, bo jako osoba pracująca w Czerwonym Krzyżu dostawała większą rację żywnościową. Dzieliła się nią z Bernieem. Jej radość mieszała się z przestrawieniem, że go straci, a także z gniewem, jak mógł pojawić się w jej życiu, zmienić je i po prostu odejść. Czasami ten gniew obracał się w desperację, strach, zmęczenie.

Dwa dni po rozmowie w kawiarni szli z mieszkania Barbary do jej biura. Był jasny, zimny poranek, słońce dopiero wstało, chodniki pokrywał szron. Kolejki po dzienne racje zaczynały ustawiać się o siódmej - przed biurami rządowymi przy calle Mayor już stał długi rząd odzianych na czarno kobiet.

Nagle wszystkie spojrzały na ulicę. Barbara ujrzała jadące w ich stronę dwa ciągnięte przez konie wozy. Kiedy ich mijaly, poczuła świeży smolisty zapach farby i zobaczyła, że na wozach leżą białe trumienki, dla dzieci o niewinnych duszach - widać, że katolicka tradycja przetrwała. Kobiety ponuro i w milczeniu patrzyły na wóz. Jedna z nich przeżegnała się i zaczęła płakać.

- Ludzie są na skraju załamania nerwowego - powiedziała Barbara.

- Nie wytrzymają wiele więcej. Tyle śmierci! - Stojąc na ulicy, wybuchnęła płaczem. Bernie chciał ją przytulić, ale odepchnęła jego ramię.

- Zobaczyłam ciebie w tej trumnie! Ciebie!

Złapał ją rękami i przytrzymał. Spojrzał jej w oczy.

- Jeżeli Franco zdobędzie Madryt, będzie masakra. Nie opuszczę ich. Nie mogę!

Przyszły święta Bożego Narodzenia. Tego dnia w mieszkaniu Barbary zjedli gulasz z baraniny, potem poszli na górę do łóżka. Leżeli wtuleni w siebie i rozmawiali.

- Nie takich świąt się spodziewałam - powiedziała Barbara. - Myślałam, że będę w Birmingham i pójdziemy z mamą i tatą odwiedzić siostrę i jej. rodzinę. Wiesz, po kilku dniach u nich zawsze robię się niespokojna, chcę uciec.

Przytulił ją mocniej.

- Jak to się stało, że przez nich zaczęłaś mieć o sobie takie złe mniemanie?
- Nie wiem. Po prostu się stało.
- Powinnaś być na nich zła.
- Nigdy nie potrafili zrozumieć, dlaczego zaczęłam pracę w Czerwonym Krzyżu. - Przesunęła palcem po jego piersi. - Chcieli, żebym wyszła za mąż i miała dzieci, jak Carol.
- Chciałabyś mieć dzieci?
- Tylko jeśli nigdy więcej nie będzie wojen.

Bernie po omacku zapalił im obojgu papierosy. Jego oświetlona czerwonym żarem twarz była poważna.

- Mną rodzice byli zupełnie rozczarowani. Myślą, że odrzuciłem wszystko, co oferowało mi Rookwood. Żałuję, że w ogóle dostałem to cholerne stypendium.
- Nic nie wyniosłeś ze szkoły?

Zaśmiał się gorzko.

- Tak jak powiedział Kaliban: nauczyli mnie języka, więc umiem przeklinać.

Znalazła miejsce, gdzie było jego serce. Położyła na nim dłoń, poczuła miękkie puk, puk.

- Może dlatego jesteśmy ze sobą. Oboje byliśmy rozczarowaniem. - Przerwała. - Wierzysz w przeznaczenie, prawda, Bernie?
- Nie. Tylko w bieg historii.
- Na czym polega różnica?
- Na bieg historii da się wpłynąć, można go spowolnić albo przyspieszyć. Ale przeznaczenia nie da się zmienić.
- Chciałabym, żeby bieg historii pozwolił nam być ze sobą.

Poczuła, że jego klatka piersiowa podnosi się nagle i opada, jakby wziął głęboki oddech.

- Barbaro?
- Co?

- Wiesz, jestem już prawie zdrowy. Za dwa tygodnie wysyłają mnie do nowego obozu szkoleniowego w Albacete. Powiedzieli mi o tym wczoraj.
- O Boże. - Poczuła, że ogarnia ją rozpacz.
- Przepraszam. Czekałem na właściwy moment, ale nie będzie takiego, prawda?
- Nie.
- Wcześniej chyba nie zależało mi na życiu, ale teraz owszem. Teraz, kiedy wracam.

Przez dwa tygodnie po jego wyjeździe nie miała o nim żadnych wiadomości. Chodziła do pracy i jakoś potrafiła przetrwać każdy kolejny dzień, ale kiedy wracała do mieszkania, w którym go nie było, słysząc ciszę, czuła się tak, jakby już nie żył.

W pierwszym tygodniu lutego przysły wieści o nowej ofensywie faszystów na południe od Madrytu. Mieli zamiar zatoczyć koło i cał-kowicie odciąć miasto od świata, ale zatrzymano ich nad rzeką Jarama. Radio i gazety mówiły o heroicznej obronie, o tym, że postęp wojsk Franco został zatrzymany, nim rozpoczął się na dobre. Brygady Międzynarodowe odznaczyły się w boju. Informowano, że poniosły ciężkie straty.

Każdego ranka Barbara chodziła do kwatery głównej armii przy Puerta del Sol. Pierwszego dnia urzędnicy traktowali ją podejrzliwie, ale kiedy przysłała po raz drugi i trzeci, zaczęli być uprzejmi. Przestała o siebie dbać, traciła na wadze, miała podkrążone oczy. Wszyscy widzieli jej cierpienie.

W kwaterze panował chaos, urzędnicy w mundurach biegali z dokumentami w tę i z powrotem, wszędzie dzwoniły telefony. Barbara zastanawiała się, czy któreś z nich były połączone z frontem, czy jeden z tych dzwonek mógł dzwonić w miejscu, gdzie był Bernie. Ostatnio cały czas szukała punktów wspólnych: świeci na nas to samo słońce, ten sam księżyc, trzymam tę samą książkę, którą on trzymał, jem tym samym widelcem, którym on jadł...

W drugim i trzecim tygodniu lutego wciąż toczyły się ciężkie walki i niczego się nie dowiedziała. Nie dostawała także listów, ale powiedziano jej, że były problemy z łącznością. Pod koniec lutego walki przygasły, trwał kolejny impas. Barbara miała nadzieję, że teraz nadejdą jakieś wieści.

Usłyszała je ostatniego dnia lutego, w zimny, wczesnowiosenny poranek. Jak zawsze przed pracą poszła do kwatery głównej. Tym razem jeden z umundurowanych urzędników poprosił ją, żeby poczekała w pokoju. Od razu wiedziała, że wieści są złe. Siedziała w niewielkim, zapuszczonym biurze, stało w nim biurko i maszyna do pisania, na ścianie wisiał portret Stalina. Pomyślała irracjonalnie, jak on utrzymuje te swoje wąsy w takim porządku?

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł mężczyzna w mundurze kapitana. W rękę trzymał jakiś dokument, jego twarz była poważna. Barbarę przeszył dreszcz, poczuła się, jak gdyby zarwał się pod nią lód i wpadła do ciemnej wody. Nie wstała, żeby uścisnąć mu dłoń, po prostu siedziała.- Dzień dobry, pani Clare. Słyszałem, że często tu pani przychodzi.

- Tak, po wieści. - Przełknęła ślinę. - On nie żyje, prawda?

Oficer podniósł dłoń.

- Nie wiemy na pewno. Nie na pewno. Ale jest na liście zaginionych, co do których mniemamy, że nie żyją. Trzynastego lutego brytyjski batalion brał udział w ciężkich walkach.

- Zaginiony, prawdopodobnie nie żyje - powiedziała beznamiętnie. - Wiem, co to znaczy. Po prostu nie znaleźliście zwłok.

Nie odpowiedział, jedynie lekko schylił głowę.

- Wspaniale walczyli. Samotnie powstrzymywali przez dwa dni natarcie faszystów. - Przerwał. - Wielu nie można było zidentyfikować.

Barbara poczuła, że osuwa się z krzesła. Kiedy upadła na podłogę, zaczęła spazmatycznie szlochać, próbując zerwać posadzkę, bo pod nią była ziemia, ziemia, w której leżał pochowany Bernie.

Rozdział dwunasty

Salę jadalną hotelu Ritz oświetlały błyszczące żyrandole. Harry siedział przy długim stole zarezerwowanym dla pracowników ambasady. Obok niego po jednej stronie zajął miejsce Tolhurst, a po drugiej ostrożnie usadowił się na krześle Goach, starszy mężczyzna, który zaznajomił go z protokołem dyplomatycznym. Był łysawy, miał białe, obwisłe wąsy i łagodny głos, w jednym oku nosił monokl na długiej, czarnej wstążce. Kołnierz jego marynarki był pokryty łupieżem.

Kołnierzyk koszuli wpijał się Harry'emu w szyję, kiedy rozglądał się wzdłuż stołu; na pokaz przyszedł ze dwa tuziny pracowników ambasady. U szczytu stołu siedział Hoare z żoną, lady Maud, postawną, niezbyt atrakcyjną kobietą. U boku Hoare'a zajął miejsce Hillgarth, na jego mundurze oficera marynarki błyszcząły medale.

Po spotkaniu z Sandym Harry zgłosił się do Hillgartha. Tolhurst też przyszedł na to spotkanie. Hillgarth był zadowolony z postępów, zwłaszcza z zaproszenia na przyjęcie. Chciał wiedzieć więcej o Barbarze.

- Zobacz, czy będziesz w stanie dowiedzieć się czegoś o jego interesach - powiedział Hillgarth. - Nie wiesz, kto jeszcze został zaproszony?

- Nie, nie pytałem. Nie chciałem zbytnio naciskać.

Hillgarth skinął głową.

- Całkiem słusznie. A co z tą kobitką, myślisz, że jest wtajemniczona w jego plany?

- Nie wiem. - Harry zmarszczył brwi. - Byliście tylko przyjaciółmi, prawda? - wtrącił gwałtownie Hillgarth.

- Tak jest, panie komandorze. Tylko że nie chciałbym jej w to mieszać, jeśli nie będę musiał. Ale widzę, że to się może okazać konieczne - dodał. - To dziwne, że są ze sobą, Sandy nie lubił Berniego.

- Może się nią zainteresował, bo była dziewczyną jego wroga? - zastanawiał się Tolhurst.

- Nie wiem. - Harry pokręcił głową. - Kiedy poznałem Sandy'ego, był właściwie jeszcze chłopcem. Zmienił się. Wydaje mi się, że wszystko robi na pokaz, jest pretensjonalny. Poza radością na mój widok, tego nie udawał. - Znowu zmarszczył brwi.

- Wykorzystaj to. - Hillgarth spojrział poważnie na Harry'ego. - Twoje zadanie jest ważne. Ten cały interes ze złotem jest częścią czegoś większego: kwestii, jak mamy traktować reżim. To bardzo istotne.

Harry spojrział Hillgarthowi w oczy.

- Wiem, panie komandorze.

Kelner położył przed nim dużą białą kartę dań. Wybór był jak przed wojną. Harry zastanawiał się, czy w Ritzu w Londynie jedzenie też wciąż było tak wykwintne. Tego ranka dostał list od Willa. Miał nową posadę gdzieś na wsi w środkowej Anglii. Muriel była szczęśliwa, że unikali bomb, ale martwiła się, że ktoś może obrabować ich dom. Wieści z kraju przyprawiły Harry'ego o trudną do zniesienia nostalgię. Podniósł z westchnieniem wzrok znad karty dań i wybałuszył oczy ze zdziwienia, bo zobaczył czterech oficerów w szarych mundurach, którzy właśnie siadali niedaleko nich razem z elegancko ubranymi madrytczykami. Ostre, urywane głosy oficerów nie pozostawiały wątpliwości co do ich pochodzenia.

- Oho, szkopy - powiedział cicho Tolhurst. - Doradcy wojskowi. Gestapo nosi się po cywilnemu.

Jeden z Niemców skrzyżował spojrzenie z Harrym, uniósł brew i odwrócił wzrok. - W Ritzu jest ostatnio mnóstwo Niemców i Włochów - kontynuował Tolhurst. - Dlatego sir Sam lubi od czasu do czasu pokazywać, że my tu też bywamy. Gotów na jutro? - spytał cicho. - Na przyjęcie u naszego przyjaciela?

- Tak.

- Myślisz, że jego panna coś wie? - Oczy Tolhursta rozbłyły ciekawością.

- Nie mam pojęcia, Tolly. - Harry spojrział wzdłuż stołu. Kolacja tego wieczoru także miała ukryty cel: dostali rozkazy, by być w dobrym humorze, na luzie, by pokazać, że nie przejmują się zmianami w rządzie. Wszyscy zdrowo pili, żartowali i rechotali. Przyjęcie wyglądało jak impreza klubu rugby. Sekretarki, przyprowadzone, by poprawić stan liczebny, wyraźnie czuły się nieswojo.

Kelnerzy w wykrochmalonych białych marynarkach roznosili wino i posiłki. Jedzenie było wyśmienite, Harry nie jadł tak dobrze od przyjazdu.

- Wracają dawne standardy - zauważył siedzący obok Goach. Harry zastanawiał się, ile mógł mieć lat; mówili, że pracował w ambasadzie od czasów wojny hiszpańsko-amerykańskiej czterdzieści lat wcześniej. Podobno nikt nie wiedział tyle co on o hiszpańskim protokole dyplomatycznym.

- Przynajmniej w Ritzu, sądząc po jedzeniu - powiedział Harry.

- Och, w innych miejscach też. Otwierają z powrotem teatry, operę. Pamiętam, że kiedyś rozmawiałem tam ze starym królem. Był wyjątkowo czarujący. Człowiek od razu przestawał być przy nim spięty. - Westchnął. - Wydaje mi się, że Generalísimo chciałby go mieć z powrotem, ale Falanga nie chce się zgodzić. Przeklęta zgraja. Słyszałem, że obrzucili pana mąką w zeszły czwartek?

- Tak, owszem.

- Banda gówniarzy. Miał szczękę Habsburgów, wie pan. Wysuniętą do przodu.

- Że co?

- Król Alfons. Tylko trochę. Kłopoty z władzą... Księżę Windsoru był w czerwcu przejazdem w Madrycie, kiedy uciekł z Francji. - Goachpokręcił głową. - Po prostu przepchnęli go przez ambasadę i ewakuowali do Lizbony. Żadnego oficjalnego powitania, nic. A przecież kiedyś był królem1. - Pokręcił ze smutkiem głową.

Harry rozejrzał się po siedzących przy stole ludziach. Zastanawiał się, co Bernie by sobie o tym pomyślał.

- Nad czym tak się zastanawiasz? - zapytał Tolhurst. Harry odwrócił się do niego.

- Czasami mam wrażenie, jakbym żył w Krainie Czarów - powiedział cicho. - Nie zdziwiłbym się, gdyby pojawił się tu królik w białym garniturze.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Tolhurst nie rozumiał. Harry zaśmiał się.

- Ci ludzie nie mają pojęcia, jak wygląda życie na zewnątrz. - Skinął w stronę okna. - Simon, czy nigdy nie dopada cię depresja na widok tej prostej, cholernej nędzy, którą widać w mieście?

Tolhurst zmarszczył brwi w zamyśleniu. Wśród szmeru rozmów Harry usłyszał ostry głos ambasadora.

- Ten wydział do zadań specjalnych to czyste szaleństwo. Słyszałem, że wykorzystują wygnańców z Republiki Hiszpańskiej do szkolenia brytyjskich żołnierzy w wojnie politycznej. Cholerni komuniści.

- Europa stanie w płomieniach.

- O tak, to typowe dla Winstona wyrażenie. Piękne, puste słowa. - Hoare mówił podniesionym głosem. - Wiem, jacy są czerwoni, byłem w Rosji, kiedy obalili cara.

Hillgarth ściszył głos, ale Harry i tak go usłyszał.

- W porządku, Sam, zgadzam się z tobą. Nie czas o tym rozmawiać.

Tolhurst ocknął się z zadumy.

- Chyba po prostu się przyzwyczailem. Do nędzy. Na Kubie było tak samo.

- Ja jakoś nie mogę - powiedział Harry.

i Chodzi o króla Anglii Edwarda VIII. Po niecałym roku na tronie abdykował w grudniu 1936, by wziąć ślub z Amerykanką, która nie była uważana za właściwą kandydatkę na królową. Cała sprawa była wielkim skandalem w brytyjskiej rodzinie królewskiej. Tolhurst zamyślił się na chwilę.

- Byłeś kiedyś na walkach byków? - zapytał.

- Raz, w trzydziestym pierwszym. Dlaczego pytasz?

- Pierwszy raz, kiedy poszedłem, było mi niedobrze przez tę krew, która leje się z byka przebijanego włócznią, przez przerażenie na pysku tego cholernego stworzenia; wciąż było widoczne, kiedy po walce przynieśli głowę do restauracji. Ale musiałem iść, to była część życia dyplomaty. Za

drugim razem już nie było tak źle. Pomyślałem, że w końcu to tylko zwierzę, do diaska. Za trzecim razem zacząłem doceniać umiejętności i odwagę matadora. Jeżeli jesteś dyplomatą, musisz przymknąć oko na złe strony kraju, rozumiesz?

Albo jeżeli jesteś szpiegiem, pomyślał Harry. Przesunął widelcem po białym obrusie.

- Ale czy to nie właśnie tak wszystko się zawsze zaczyna? Stajemy się nieczuli, żeby chronić samych siebie, i przestajemy widzieć okrucieństwa i cierpienie.

- Pewnie jeśli pozwolimy sobie na rozważania o tych wszystkich potwornych rzeczach, które się dzieją, zaczynamy sobie wyobrażać, że mogą przytrafić się nam. Ja sam czasem tak myślę. - Tolhurst zaśmiał się nerwowo. Harry spojrzał na siedzących przy stole. Dostrzegł wymuszone uśmiechy, w ich radości słychać było nerwową nutę.

- Chyba nie jesteś sam - powiedział.

Ktoś obok Tolhursta złapał go za ramię i zaczął mu szeptać o dwóch urzędnikach, których przyłapano razem w szafie z przyborami do pisania. Tolhurst z ulgą przyłączył się do plotkowania.

- Julian miałby być pedziem? Nie wierzę.

Harry odwrócił się z powrotem do Goacha.

- Dobry łoś.

- Wyśmienity.

- Słucham? - Harry nie dosłyszał odpowiedzi. Kiedy był w tłumie, ucho wciąż sprawiało problemy. Przez moment poczuł się zdezorientowany.

- Powiedziałem, że wyśmienity - odparł Goach. - Wyśmienity.

Harry pochylił się w jego stronę. - Jest pan w służbie dyplomatycznej od dawna. Któregoś razu w ambasadzie usłyszałem wyrażenie „Rycerze Świętego Jerzego”. Czy wie pan, co by to mogło znaczyć? Zastanawiałem się, czy to może jakiś slang.

Goach poprawił monokl i zmarszczył brwi.

- Nie wydaje mi się, panie Brett, nigdy nie spotkałem się z tym wyrażeniem. Gdzie je pan usłyszał?

- Gdzieś w ambasadzie. Po prostu wydało mi się dziwne.

Goach pokręcił głową.

- Przykro mi, nie mam pojęcia. - Spojrzał przez moment w stronę Hoare'a, po czym dodał: - Ambasador to dobry człowiek. Pomimo jego wad, uda mu się powstrzymać Hiszpanię od przyłączenia się do wojny.

- Mam nadzieję - powiedział Harry, po czym dodał: - Jeżeli Hiszpania pozostanie z boku, a my wygramy, co się potem z nią stanie?

Goach się zaśmiał.

- Najpierw wygrajmy wojnę. - Pomyślał przez moment. - Ale jeśli Franco postanowi pozostać neutralnym i uda mu się utrzymać faszystów pod kontrolą, cóż, będziemy mieli powody do wdzięczności, czyż nie?
- Myśli pan, że Franco w głębi duszy jest monarchistą?
- Och, jestem tego pewny. Jeżeli przeanalizować dokładnie jego przemówienia, widać, że bardzo troszczy się o hiszpańską tradycję, o stare wartości.
- A o ludzi?

Goach wzruszył ramionami.

- Hiszpanie zawsze potrzebowali silnej ręki.
- Nie mają więc na co się skarżyć.

Goach skinął głową i znowu zajął się jedzeniem. Siedzący przy drugim końcu stołu wybuchnęli śmiechem. Zawtórował im rechot Niemców, którzy starali się być głośniejsi.

Rozdział trzynasty

We wtorek Barbara poszła spotkać się ponownie z Luisem. Był ładny, bezwietrzny, spokojny dzień. Na ulicach szeleściły liście. Musiała iść piechotą, bo droga Castellana była zamknięta dla ruchu; Reichsführer Himmler miał ją przejechać do pałacu królewskiego na spotkanie z Generalisimem.

Musiała przeciąć Castellaną. Flagi ze swastyką zwisały ze wszystkich budynków, wisały nad drogą, ich jaskrawa czerwień wyglądała groteskowo na tle szarych budynków. Wzdłuż ulicy w pewnych odstępach stali civiles, niektórzy trzymali w rękach pistolety maszynowe. Nieopodal wzdłuż krawężnika stała defilada młodzieżówki Falangi. Trzymali w rękach małe chorągiewki ze swastyką. Barbara szybko przecięła jezdnię i zniknęła w labiryncie prowadzących do Centro uliczek.

Kiedy zbliżała się do kawiarni, poczuła, że serce bije jej szybciej. Luis był już w środku, zobaczyła go przez okno. Siedział przy tym samym stoliku co poprzednio i pił kawę. Miał ponurą twarz. Barbara znowu zwróciła uwagę, że wyglądał na bardzo zaniedbanego; włożył tę samą wytartą marynarkę, na nogach miał tanie alpargatas na sznurkowej podeszwie. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka. Stojąca pod portretem Franco właścicielka skłoniła się jej lekko. Barbara bardzo chciała umknąć od chłodnego spojrzenia Generalísima; było teraz wszędzie, ostatnio pojawiło się nawet na znaczkach pocztowych.

Luis wstał, uśmiechając się z ulgą.

- Señora. Buenos días. Myślałem, że pani nie przyjdzie.- Przepraszam - powiedziała, nie uśmiechając się w odpowiedzi.
- Musiałam iść piechotą, zajęło mi to więcej czasu, niż myślałam. Wizyta Himmlera.
- Nie szkodzi. Kawy?

Pozwoliła, żeby przyniósł jej filiżankę paskudnej kawy. Zapaliła papierosa, ale tym razem nie poczęstowała go. Wzięła głęboki oddech, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

- Señor Luis, nim zaczniemy dalej omawiać naszą sprawę, muszę o coś zapytać.
- Oczywiście.
- Ostatnim razem powiedział, pan, że odszedł z wojska wiosną.
- Tak, zgadza się. - Wydawał się zdziwiony.
- Ale powiedział pan też, że spędził pan tam dwie zimy. Jak to możliwe? Cuenca była w rękach czerwonych aż do czasu, kiedy w zeszłym roku się poddali.

Luis przełknął głośno ślinę, po czym na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech.

- Señora, powiedziałem, że spędziłem dwie zimy na mesecie, a nie w Cuenca. Poprzedniej zimy byłem w innej części. Na przyczółku w Teruel. Pamięta pani tę nazwę?
- Tak, oczywiście. - To była jedna z najkrwawszych bitew wojny domowej. Barbara próbowała sobie przypomnieć, jak Luis dokładnie to sformułował.
- Teruel jest ponad sto kilometrów od Cuenki, ale to wciąż meseta. Wysoko i zimno. W czasie bitwy trzeba było zabierać ludzi z okopów, żeby amputować im stopy. - Teraz w jego głosie słychać było narastający gniew.

Wzięła głęboki oddech.

- Rozumiem.
- Bała się pani, że nie mówię prawdy - powiedział wprost.
- Muszę być pewna, señor Luis. Bardzo wiele ryzykuję. Muszę być wszystkiego pewna.

Skinął powoli głową.

- W porządku. Rozumiem. Tak, to dobrze, że jest pani ostrożna.
- Rozłożył ręce. - Proszę pytać mnie, o co pani chce.
- Dziękuję. - Zapaliła kolejnego papierosa.
- Pojechałem do Cuenki w zeszły weekend - powiedział. - Tak jak obiecałem.

Barbara skinęła głową i spojrzała mu prosto w oczy. Nie potrafiła nic z nich wyczytać.

- Byłem w miasteczku, Agustín przyszedł spotkać się ze mną. Potwierdził, że w obozie jest jeniec o nazwisku Bernard Piper. Był tam od otwarcia obozu.

Barbara opuściła głowę, żeby Luis nie zobaczył, jak bardzo mocno reaguje na sam dźwięk nazwiska Berniego. Musi zostać spokojna, mieć wszystko pod kontrolą. Wiedziała z pracy z uchodźcami, jak ludzie rozpaczliwie chwyтали się nawet najmniejszej iskielki nadziei.

Podniosła wzrok i spojrzęła na niego uważnie.

- Rozumie pan, mam nadzieję, że będę potrzebowała dowodu. Muszę poprosić, by pana brat powiedział mi o nim coś więcej. Coś, czego ani ja, ani Markby panu nie powiedzieliśmy, coś, czego nie mógł pan wiedzieć. Na przykład nie to, że ma jasne włosy, bo widział je pan na zdjęciu.

Luis odchylił się do tyłu i zacisnął wargi.

- To rozsądna prośba - powiedziała Barbara. - W wojnie zginęły tysiące żołnierzy Brygad Międzynarodowych, wie pan, jak nikłe są szanse, że właśnie on przeżył. Nim nastąpi cokolwiek więcej, potrzebuję dowodu.

- A ja jestem biedny i mogę po prostu zmyślać. - Skinął ponownie głowę. - Tak, seńora, to rozsądna prośba. W jakim my żyjemy świecie... - Pomyślał przez chwilę. - Czyli w takim razie mam porozmawiać z Agustinem, żeby mi wszystko opowiedział o tym człowieku, a potem przekażę pani detale.

- Tak.

- Rozmawiała pani po raz kolejny z seńorem Markbym?

- Nie. - Próbowęła, ale wciąż go nie było.

Luis pochylił się naprzód.

- Pojadę jeszcze raz do Cuenki, chociaż nie mogę zbyt często odwiedzać brata, bo to może wzbudzić podejrzenia. - Jego głos był pełen napięcia. Potarł czoło ręką. - Pewnie mogę powiedzieć, że nasza

matka czuje się gorzej. Rzeczywiście nie ma się najlepiej. - Podniósł wzrok. - Ale czas może mieć znaczenie, seńora Clare, jeżeli mamy coś osiągnąć. Zna pani pogłoski. Jeżeli Hiszpania przyłączy się do wojny, będzie musiała pani wyjechać. A jeżeli pani żołnierz był komunistą, może zostać przekazany w ręce Niemców. Tak było we Francji.

To była prawda, ale zastanawiała się, czy nie próbował jej przestraszyć, zmusić do pośpiechu.

- Jeżeli macie coś osiągnąć... - powtórzyła. - Ma pan na myśli

- zniżyła głos - ucieczkę? - Jej serce zaczęło walić jak młotem.

Luis skinął głową.

- Agustín twierdzi, że to możliwe. Ale niebezpieczne.

- Jak? - spytała. - Jak można to zrobić?

Pochylił się do niej i też zniżył głos.

- Pozwoli pani, że wyjaśnię, jak działa obóz. Jest otoczony drutem kolczastym, a dookoła stoją wieże z gniazdami karabinów maszynowych. - Barbara wzdygnęła się mimo woli. - Przepraszam, señora, ale muszę wyjaśnić, jak to wygląda.

- Wiem. Proszę mówić dalej.

- Niemożliwe, żeby ktoś z obozu wydostał się na zewnątrz. Ale grupy robotników wychodzą codziennie poza jego obręb - naprawiać drogi, kłaść rurociąg, pracować w kamieniołomie na wzgórzach. Piper od jakiegoś czasu pracuje właśnie w kamieniołomie. Jeżeli Agustino-wi udałoby się dostać do eskorty tej grupy, może mógłby pomóc pani przyjacielowi uciec. Może znalazłby wymówkę, żeby odprowadzić Pipera gdzieś na bok. A Piper mógłby udać, że atakuje Agustina i dać nogę. - Zmarszczył brwi. - Jak na razie tyle udało się nam wymyślić.

Barbara skinęła głową. Przynajmniej brzmiało to prawdopodobnie.

- Na razie nie mamy innych pomysłów. Kiedy odkryją ucieczkę, przysłuchają Agustina. Jeśli prawda wyjdzie na jaw, każą go rozstrzelać. Więc robi to tylko dla pieniędzy. - Luis spojrział na nią poważnie.

- Porozmawiajmy wprost.

Przytaknęła, równocześnie próbując oddychać głęboko, żeby uspokoić swoje serce; tak nie chciała, by Luis coś zauważył.

- Agustín kończy służbę przysłą wiosną i ma nadzieję, że nie będzie musiał jej przedłużyć. Niektórzy lubią tę pracę, ale Agustín do nich nie należy. Robi to tylko po to, żeby pomóc naszej matce w Sewilli.

- W takim razie ile?

- Dwa tysiące peset.

- To dużo pieniędzy - powiedziała, chociaż to było o wiele mniej, niż się obawiała.

- Agustín ryzykuje życiem.

- Gdybym miała się zgodzić, muszę sprowadzić pieniądze z Anglii. To nie będzie proste, przy ograniczeniach w wymianie walut. - Wzięła głęboki oddech. - Ale jeśli będzie mnie mógł pan przekonać, że Bernie jest w tym obozie, wtedy zobaczymy.

- Powinniśmy się dogadać, co do pieniędzy, señora.

- Nie. Najpierw potrzebuję dowodu. - Zaciągnęła się papierosem, przyglądała się Luisowi przez kłąb dymu. - Kolejna wizyta w Cuenca nie będzie ryzykowna. Dam panu pieniądze na bilet. - A potem, czy jeszcze cię zobaczę? pomyślała.

Zawahał się na moment, ale skinął głową. Barbara dziękowała Bogu za lata spędzone na negocjacjach ze skorumpowanymi urzędnikami. Luis odchylił się do tyłu, wydawał się zmęczony. Barbara pomyślała, że był do takich sytuacji mniej przyzwyczajony od niej.

- Czy Agustín mówił coś o nim... O Berniem? Jak się ma? - Nie mogła wymówić jego imienia bez zająknięcia się.

- Ma się dobrze. Ale zimy są dla jeńców ciężkie. - Spojrzał na nią poważnie. - Jeśli to zrobimy, myślę, że będzie musiała przyjechać pani do Cuenki i zabrać go do Madrytu, do ambasady brytyjskiej. Ma pani samochód?

- Tak. Tak, da się to załatwić.

Przyjrzał jej się badawczo.

- Pani mąż nic o tym nie wie?

- Nie. - Podniosła głowę. - Chcę tylko uratować Berniego, zabrać go do ambasady brytyjskiej, żeby odesłali go do domu.

- W porządku. - Westchnął ze znużeniem. Barbara zapaliła kolejnego papierosa, tym razem go poczęstowała. - Spotkamy się znowu tutaj? - zapytała. - Za tydzień?

- O tej samej porze. - Widać było, że poczuł się niezręcznie. - Muszę teraz poprosić panią o pieniądze na bilet.

Znowu wyszli na dwór, żeby mogła przekazać mu pieniądze. Kiedy podała kopertę, roześmiał się gorzko.

- Hiszpanie byli kiedyś dumnym narodem. Do czego musimy się teraz uciekać. - Odwrócił się i odszedł szybkim krokiem, jego obdarta postać zniknęła za rogiem.

Kiedy szła do domu, zamknięto kolejne ulice, musiała więc pójść wzdłuż calle Fernando el Santo, obok ambasady brytyjskiej. Spojrzała na budynek. Pewnie w środku był Harry Brett. Miała się z nim spotkać tego samego dnia. Harry, przyjaciel Berniego.

U wylotu ulicy civiles zawracali przechodniów, którzy chcieli przejść przez Castellaną.

- Bardzo mi przykro, señora - powiedział jeden z nich. - Przez następną godzinę nikt nie może tędy przejść. Względny bezpieczeństwa.

Skinęła głową i zrobiła krok do tyłu. Zebrał się niewielki tłumek ludzi. Gdzieś dalej rozległy się radosne okrzyki, a potem przejechał obok nich czarny mercedes otoczony przez żołnierzy na motocyklach. Na masce powiewała chorągiewka ze swastyką. Z tyłu samochodu Barbara zobaczyła grubą, obrzmiałą twarz, która z powodu czarnego munduru i czapki wydawała się być pozbawiona ciała. Błysnął odbity od jego okularów promyk światła i Barbarze zdawało się, że Heinrich Himmler przez moment spojrzął na nią. Potem samochód zniknął w tumanie jesiennych liści. Młodzieżówka Falangi, która stała nieco dalej, wznosiła radosne okrzyki. Barbarę przeszył dreszcz. Odwróciła się.

Rozdział czternasty

Harry szedł Castellaną. W mgłę, która opadła na miasto, majaczyły wiszące na domach nazistowskie flagi. Włożył płaszcz i kapelusz - był koniec października, wieczory stawały się chłodne. Szedł w stronę tramwaju, którym miał pojechać do dzielnicy Vigo na przyjęcie u Sandy'ego i Barbary.

Tego popołudnia rozmawiał o Barbarze z Tolhurstem.

- Dobrze się złożyło - powiedział Tolhurst. - Widzisz, nie mogliśmy ustalić, gdzie jest jego dom. Nasz informator dowiedział się, że mieszkał z jakąś panną, ale myśleliśmy, że to może po prostu hiszpańska dziwka.
- Bardzo chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że Barbara jest z Sandym. - Harry pokręcił głową. - Chociaż w sumie, kiedy spotkałem się z nią w trzydziestym siódmym, nie czuła się najlepiej. Pisałem do niej potem, ale nigdy nie odpisała albo po prostu listy do niej nie dochodziły.
- Nie była zamieszana w politykę, prawda? Nie zaraziła się komunizmem od swojego chłopaka?
- Nie. Pracowała dla Czerwonego Krzyża, miała do życia praktyczne, zdroworozsądkowe podejście. Nie wiem, jaki może mieć stosunek do reżimu.

Miał dowiedzieć się tego wieczoru. W pewnym momencie na myśl o czekającym go zadaniu poczuł przyływ znużenia. Ale zobowiązał się, że to zrobi i nie mógł się wycofać.

Usłyszał za sobą kroki, ciche stukanie we mgle. Cholera, ten facet znowu śledził go. W weekend Harry go nie widział, ale wyglądało na to, że wrócił. Szybko skręcił najpierw w lewo, potem w prawo. Stała przed nim otwarta klatka schodowa, dozorca najwyraźniej gdzieś sobie poszedł. Mieszkania należały z pewnością do klasy średniej; sądząc po drzwiach, były dobrze utrzymane, w powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego. Harry skrył się w środku, stanął za drzwiami wejściowymi i wyjrzał na zewnątrz. Usłyszał stukot kroków i szelest suchych liści. Po chwili pojawił się młody mężczyzna, ten sam, który śledził go wcześniej. Stanął na środku pustej ulicy i zaczął rozglądać się dookoła, na jego bladej, delikatnej twarzy malował się grymas niezadowolenia. Harry szybko schował głowę. Usłyszał, jak kroki wracają tam, skąd przyszły, i powoli milkną. Poczekał kilka minut i wyszedł na zewnątrz. Ulica była pusta, jeśli nie liczyć starej kobiety w futrzanym płaszczu i jej psa. Spojrzała na Harry'ego podejrzliwie. Wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Pokręcił głową. Ten facet naprawdę był kiepski.

Szpieg go nie przeraził, ale kiedy pół godziny później był na podjeździe już przed domem Sandy'ego, nagle zdjął go strach, poczuł momentalny zawrót głowy, który czasem go nachodził. Nie powiedział Sandy'emu o atakach paniki, nawiedzających go po Dunkierce, chociaż jego szkoleniowcy twierdzili, że to nie zaszkodzi. Podejrzewał, że powstrzymała go duma.

Sandy mieszkał w dużej willi, otoczonej sporym ogrodem. Harry przez moment stał na schodach, zbierając myśli, po czym nacisnął dzwonek. Otworzyła młoda służąca, ładna, ale raczej ponura. Poprowadziła go przez hol wejściowy, w którym na małych stoliczkach stały naczynia z delikatnej porcelany, do sporego salonu z kominkiem, w którym płonął ogień. Wszystkie meble wydawały się wygodne i drogie.

Sandy podszedł do niego i uściśnął mu silnie dłoń. Miał na sobie nieskazitelnie skrojony smoking, jego włosy lśniły od brylantyny.

- Harry, świetnie, że mogłeś przyjść. Poznałeś już kiedyś Barbarę.

Stała przy kominku, paląc papierosa, w ręku trzymała kieliszek wina. Wyglądała zupełnie inaczej: jej stare swetry zastąpiła droga jedwabna suknia podkreślająca jej figurę i jasną cerę, twarz miała szczuplejszą, starannie się umalowała, dzięki czemu jej wydatne kości policzkowe i jasnozielone oczy

bardziej zwracały uwagę. Włosy, niegdyś rozwichrzone, były elegancko przystryżone i zakręcone na końcach. Tylko okulary nosiła te same. Pomimo zmian wydawała się zmęczona i napięta, ale kiedy ucisnęła jego dłoń, uśmiechnęła się ciepło.

- Jak się masz, Harry?
- W porządku. Zmieniłaś się.
- Nigdy nie zapomniałam twojej dobroci trzy lata temu. Czułam się wtedy strasznie.
- Zrobiłem tylko tyle, ile mogłem. To były ciężkie czasy.
- Sandy mówił, że próbowałeś do mnie pisać. Strasznie przepraszam, ale twoje listy nigdy do mnie nie doszły. Czerwony Krzyż przeniósł mnie do Burgos. Musiałam wydostać się z Madrytu po tym, jak... - Machnęła ręką.
- Tak, pisałem do Madrytu. Pewnie nie wysyłali listów na drugą stronę frontu.
- To moja wina - powiedziała Barbara. - Powinnam była utrzymać z tobą kontakt.
- Często" zastanawiałem się, gdzie byłaś. Słyszałem, że nie pracujesz już dla Czerwonego Krzyża?
- Nie, rzuciłam tę pracę, kiedy poznałam Sandy'ego. Tak naprawdę nie miałam wyboru. Nie byłam w stanie pracować. Ale wkrótce być może zostanę wolontariuszką i będę pomagać dzieciom, które uczyniła sierotami wojna.

Harry pokręcił głową z uśmiechem.

- I zesłał się z Sandym. To naprawdę zaskakujące.
- Tak. Pomógł mi się pozbierać.

Sandy podszedł do niej i objął ją ramieniem, przytulając opiekuńczo. Harry'emu wydało się, że Barbara lekko się wzdrygnęła.

- A ty, Harry - spytała - jak się czujesz? Sandy mówił, że walczyłeś pod Dunkierką.
- Tak. Już wszystko w porządku. Jestem tylko trochę przygłuchy.
- Jak się mają sprawy w kraju? Rodzina pisze do mnie listy, ale trudno z nich wyczytać, jakie panują nastroje. Hiszpańskie gazety piszą, że jest źle.- Ludzie trzymają się dobrze. Bitwa o Anglię bardzo pomogła.
- To dobrze. Jesteśmy tak daleko od nich... w czasie dziwnej wojny w ogóle się nie martwiłam, ale teraz, przy tych wszystkich nalotach... Pracujesz w ambasadzie, więc pewnie wiesz, jak jest naprawdę. Tu wszystkie gazety są cenzurowane.

Sandy się roześmiał.

- Tak, nawet cenzurują pokazy mody w „Daily Mail”. Jeżeli sukienki są ich zdaniem zbyt wydekoltowane, naklejają na zdjęcie czarny pasek.

- No cóż, czasy są ciężkie, ale nie jest aż tak źle, jak piszą gazety. Panuje wspaniały duch walki, Churchill wszystkich zmobilizował.

- Poczęstuj się winem - powiedział Sandy. - Kiedy nadejdą pozostali goście, podamy jedzenie. Słuchajcie, może spotkacie się któregoś popołudnia i porozmawiacie o kraju? Barbarze by to dobrze zrobiło.

- Tak, rzeczywiście, to dobry pomysł. - Skinęła głową, ale Harry wyczuł w jej głosie niechęć.

- Z przyjemnością. - Harry zwrócił się do Sandy'ego. - A ty czym dokładnie się teraz zajmujesz? Ostatnim razem właściwie nic mi nie powiedziałaś.

Sandy uśmiechnął się szeroko.

- Mam kilka różnych projektów.

Harry uśmiechnął się do Barbary.

- Sandy stał się w świecie naprawdę kimś.

- Owszem. - Wyglądało na to, że rozmowy o interesach ją nudziły. Harry się ucieszył. Jeżeli nic nie wiedziała, nie będzie mogła nic powiedzieć.

- Ostatnio przede wszystkim zajmuję się projektem popieranym przez rząd - powiedział Sandy. - Wydobywanie minerałów. Straszne nudy, tylko badania rozpoznawcze. Ale trzeba sporo organizować.

- Górnictwo, co? - spytał Harry. Musiało chodzić o złoto. Szczęście mu dopisywało. Serce zabiło mu mocniej. Spokojnie, pomyślał, bądź ostrożny. - Pamiętam, że w szkole chciałeś zostać paleontologiem. Mówiłeś, że chcesz badać sekrety ziemi.

Sandy się roześmiał. - Ech... teraz nie zajmuję się dinozaurami. - Rozległ się dźwięk dzwonka. - Przepraszam, pójde przywitać się z Sebastianem i Jenny.

Wyszedł. Barbara przez chwilę milczała, po czym uśmiechnęła się niepewnie.

- Dobrze cię znowu widzieć.

- Ciebie również. Ładny macie dom.

- Tak. Chyba mogę powiedzieć, że spadłam na cztery łapy. - Przerwała na chwilę, po czym szybko zapytała: - Jak myślisz, Franco przystąpi do wojny?

- Nikt tego nie wie. Krąży na ten temat mnóstwo plotek. Jeśli tak, to zrobi to nagle.

Umilkli, bo wrócił Sandy w towarzystwie elegancko ubranej pary. Mężczyzna był po trzydziestce, drobny i szczupły, przystojny jak Hiszpanie z południa. Nosił mundur Falangi: ciemny wojskowy strój i niebieską koszulę. Kobieta była młodsza, całkiem atrakcyjna, miała blond włosy i okrągłą, gładką twarz, na której malował się wyraz wyniosłości.

- Harry, pozwól, że ci przedstawię - powiedział po hiszpańsku Sandy - mój kolega Sebastian de Salas. Sebastian, to jest Harry Brett.

Hiszpan uściskał dłoń Harry'ego.

- Bardzo mi miło, señor. W Madrycie jest bardzo niewielu Anglików. - Zwrócił się do swojej towarzyszk. - Jenny nie ma często okazji rozmawiać z rodakami.

- Witam państwa! - Kobieta miała wytworny akcent, jej spojrzenie było surowe i badawcze. Zwróciła się do Barbary i pośłała jej chłodny, oficjalny uśmiech. - Cześć, Barbaro, jaka ładna sukienka.

- Napijesz się wina? - głos Barbary był równie chłodny.

- Wolalabym raczej gin z tonikiem. Całe popołudnie spędziłam w klubie golfowym.

- Usiądźmy, proszę państwa - powiedział wesoło Sandy. - Ulżyjmy naszym nogom.

Siedli w wygodnych fotelach.

- Czym się pan zajmuje? - zapytała szorstkim tonem Jenny.

- Jestem tłumaczem w ambasadzie.

- Poznał pan jakieś interesujące osoby? - Tylko jednego podsekretarza stanu.

- Jenny to prawdziwa lady, Harry - powiedział Sandy. - Sebastian też jest arystokratą.

Hiszpan się roześmiał.

- Tylko drobnym. Mamy zameczek w Estremadurze, ale, niestety, w złym stanie.

- Nie przesadzaj, Sebastian - powiedziała Jenny. - Jestem kuzynką lorda Redesdale. Zna go pan?

- Nie. - Harry'emu chciało się śmiać, ona była przezabawna. Jenny wzięła szklanekę, którą podała jej Barbara.

- Ojej, dziękuję. Mm, świetny. - Oparła się o de Salasa.

- Od jak dawna jest pan w Madrycie, señor Brett? - zapytał de Salas.

- Trochę ponad tydzień.

- I jak podoba się panu w Hiszpanii?

- Wygląda na to, że wojna domowa wywołała znaczną... destabilizację.

- To prawda. - De Salas pokiwał smutnie głową. - Wojna spowodowała wiele zniszczeń, a w dodatku mieliśmy kiepskie zbiory. Ludzie cierpią głód i nędzę. Pracujemy nad poprawą sytuacji. Mamy przed sobą trudną drogę, ale przynajmniej zaczęliśmy.

- Jak pewnie zauważyłeś, Sebastian jest w Falandze - ton głosu Sandy'ego nie zdradzał żadnych uczuć. Pośłał Harry'emu bystre, przewrotne spojrzenie. De Salas się uśmiechnął, więc Harry odpowiedział mu niezobowiązującym uśmiechem. Sandy objął Barbarę ramieniem.

- Kochanie, sprawdziłabyś, jak się sprawuje Pilar?

Skinęła głową i wyszła. Jak posłuszna gospodyni domowa, pomyślał Harry. Z jakiegoś powodu ta myśl nie była przyjemna.

- Señor Brett - powiedział de Salas, kiedy Barbara wyszła. - Mogę pana o coś zapytać? Mam wrażenie, że wielu Anglików nie rozumie Falangi.

- Często trudno jest zrozumieć politykę w obcym kraju - odparł ostrożnie Harry. Przypomniawsobiesobierozwrzeszczanąbandę,któraotoczyłajegosamochód, chłopaka, który się zmoczył.- W Anglii macie demokrację, prawda? Za to walczyście, za wasz system.

- Tak. - O rany, pomyślał Harry, nie owija w bawełnę.

De Salas się uśmiechnął.

- Proszę zrozumieć, że nie chcę pana urazić.

- Oczywiście, że nie.

- Demokracja sprawdziła się w Anglii i w Ameryce, ale nie wszędzie działa. W Hiszpanii za czasów Republiki demokracja sprowadziła na nas chaos i doprowadziła do rozlewu krwi. - Uśmiechnął się smutno. - Nie wszystkie kraje są w stanie podołać wolności, którą oferuje demokracja. Dosłownie rozrywa je na części. Czasami autorytarna władza to jedyne wyjście.

Harry skinął głową. Przypomniawsobiesobie, że powinien unikać tematów politycznych, jeśli to tylko możliwe.

- Widzę. Tyle że można by zapytać, przed kim odpowiedzialni są władcy?

De Salas roześmiał się i rozłożył ręce.

- Och, señor, są odpowiedzialni przed całym narodem. Przed całym narodem,-który jest reprezentowany przez jedną partię. Na tym polega piękno naszego systemu władzy. Czy wie pan, dlaczego członkowie Falangi noszą niebieskie koszule?

- Tylko nie mów, że dlatego, że zabrakło innych kolorów - wtrącił ze śmiechem Sandy.

- Bo niebieski to kolor kombinezonów robotniczych. Reprezentujemy całą Hiszpanię. Falanga to trzecia droga, między komunizmem a kapitalizmem. To się sprawdziło we Włoszech. Zdajemy sobie sprawę, że życie w Hiszpanii w obecnych czasach jest bardzo trudne, ale wszyscy zostaną potraktowani sprawiedliwie. Proszę tylko dać nam czas. - Uśmiechnął się szczerze.

- Mam nadzieję - odparł Harry. Przyjrzał się swojemu rozmówcy. Jego twarz była szczerą i otwartą. On naprawdę tak uważa, uznał Harry.

Wróciła Barbara.

- Możemy zaczynać - powiedziała. Sandy wstał i stanął między Harrym a de Salasem. Położył im ręce na ramionach.

- Wrócimy do tej rozmowy przy innej okazji. Ale zmierzmy temat ze względu na, hm, szacunek względem pań. - Uśmiechnął się po ojcowsku, a Harry znowu się zdumiał, jak to się stało, że Sandy

tak się zestarzał, przynajmniej w porównaniu z nim. Wcześniej żał mu było Sandy'ego, ale teraz wydał mu się również trochę odrażający.

W jadalni przygotowano zimny bufet. Nałożyli sobie na talerze i usiedli przy dębowym stole. Sandy otworzył kolejną butelkę wina. Jenny wzięła swój gin.

- Sandy - powiedział de Salas - powinieneś był przyprowadzić señorowi Brettowi jakąś señoritę.
- Racja, Sandy, brakuje nam jednej osoby - zgodziła się Jenny. - To niezgodne z etykietą.
- Nie miałem czasu.
- Nic nie szkodzi - powiedział Harry. - W czwartek na pewno poznam mnóstwo señorit. Idę na moje pierwsze hiszpańskie przyjęcie.
- Do kogo? - zapytał de Salas.
- Do generała Maestre. Osiemnaste urodziny jego córki.

De Salas spojrzał na Harry'ego z wielkim zainteresowaniem.

- Do Maestre?
- Tak, byłem tłumaczem podczas spotkania generała z jednym z naszych dyplomatów.
- Nie, Sebastianie, nie rozmawiamy dzisiaj o interesach - powiedział Sandy z nagłą surowością w głosie.

De Salas skinął głową i zwrócił się do Barbary.

- Jak układają się pani plany, señora? Żeby pomagać sierotom? Czy marquesa była pomocna?
- Dziękuję, owszem. Ma nadzieję, że coś się jej uda dla mnie załatwić.
- Cieszę się. Czy przyjemnie będzie pani wrócić do zawodu pielęgniarki?
- Chciałabym jakoś pomagać. Wydaje mi się, że powinnam.
- Jenny też jest pielęgniarką jak Barbara - powiedział Harry'emu de Salas. - Poznałem ją, kiedy przyjechała tu pracować w czasie wojny.
- Co? - Jenny podniosła głowę. Jej policzki były zarumienione. Harry zdał sobie sprawę, że jest pijana. - Nie dosłyszałam. Dlaczego jestem jak Barbara?
- Mówiłem, że jesteś pielęgniarką.
- Ach tak! Tak! - Zaśmiała się. - Nie jestem prawdziwą pielęgniarką, nigdy nie przesłam szkolenia. Ale kiedy tu przyjechałam, od razu odesłali mnie do pomocy przy operacjach. Po bitwie nad Jaramą. Dobrze, że nie jestem zbyt wrażliwa.

Barbara pochyliła głowę i wbiła wzrok w talerz. Sandy spojrzał na nią zatroskany.

- Harry - powiedział - napij się trochę tego wspaniałego czerwonego wina. Musiałem zapłacić za nie fortunę. To straszne, że ceny są takie.

De Salas uśmiechnął się do Harry'ego.

- Spodziewam się, że ambasada ma własne zapasy.

- Dostajemy racje żywnościowe. Nie są najgorsze.

De Salas skinął głową.

- Czy to prawda, że życie w Anglii jest ciężkie? Żywność jest racjonowana?

- Tak. Ale wszyscy dostają wystarczająco.

- Naprawdę? Co innego czytałem w gazetach. - Pochylił się naprzód, szczerze zainteresowany. - Ale proszę mi powiedzieć, naprawdę jestem ciekaw, dlaczego wciąż walcycie? Pokonano was we Francji, dlaczego się nie poddacie?

Nie miał zamiaru dać się zbyć. Harry spojrzał na Barbarę.

- Tak myślą wszyscy Hiszpanie - powiedziała.

- Hitler zaproponował wam pokój. Widziałem w Hiszpanii dość zabitych, chciałbym, żeby w reszcie Europy wojna też się skończyła.

Sandy pochylił się naprzód.

- Wiesz, on ma sporo racji. Anglia powinna poddać się teraz, kiedy zaproponowano dobre warunki. Harry, nie chcę być posądzony o brak patriotyzmu, chcę tylko tego, co jest w najlepszym interesie mojego kraju. Wyjechałem stamtąd prawie cztery lata temu, a czasami*

- Jenny też jest pielęgniarką jak Barbara - powiedział Harry'emu de Salas. - Poznałem ją, kiedy przyjechała tu pracować w czasie wojny.

- Co? - Jenny podniosła głowę. Jej policzki były zarumienione. Harry zdał sobie sprawę, że jest pijana. - Nie dostyszałam. Dlaczego jestem jak Barbara?

- Mówiłem, że jesteś pielęgniarką.

- Ach tak! Tak! - Zaśmiała się. - Nie jestem prawdziwą pielęgniarką, nigdy nie przesłałam szkolenia. Ale kiedy tu przyjechałam, od razu odesłali mnie do pomocy przy operacjach. Po bitwie nad Jaramą. Dobrze, że nie jestem zbyt wrażliwa.

Barbara pochyliła głowę i wbiła wzrok w talerz. Sandy spojrzał na nią zatroskany.

- Harry - powiedział - napij się trochę tego wspaniałego czerwonego wina. Musiałem zapłacić za nie fortunę. To straszne, że ceny są takie.

De Salas uśmiechnął się do Harry'ego.

- Spodziewam się, że ambasada ma własne zapasy.

- Dostajemy racje żywnościowe. Nie są najgorsze.

De Salas skinął głową.

- Czy to prawda, że życie w Anglii jest ciężkie? Żywność jest racjonowana?

- Tak. Ale wszyscy dostają wystarczająco.

- Naprawdę? Co innego czytałem w gazetach. - Pochylił się naprzód, szczerze zainteresowany. - Ale proszę mi powiedzieć, naprawdę jestem ciekaw, dlaczego wciąż walczyacie? Pokonano was we Francji, dlaczego się nie poddacie?

Nie miał zamiaru dać się zbyć. Harry spojrzał na Barbarę.

- Tak myślą wszyscy Hiszpanie - powiedziała.

- Hitler zaproponował wam pokój. Widziałem w Hiszpanii dość zabitych, chciałbym, żeby w reszcie Europy wojna też się skończyła.

Sandy pochylił się naprzód.

- Wiesz, on ma sporo racji. Anglia powinna poddać się teraz, kiedy zaproponowano dobre warunki. Harry, nie chcę być posądzony o brak patriotyzmu, chcę tylko tego, co jest w najlepszym interesie mojego kraju. Wyjechałem stamtąd prawie cztery lata temu, a czasami w większej odległości pewne rzeczy widać wyraźniej. Poza tym Anglia nie może wygrać.

- Ludzie są zdeterminowani.

- Żeby bronić demokracji, co? - De Salas uśmiechnął się smutno.

- Owszem.

- Może Hitler pozwoliłby nam nie rezygnować z demokracji? - zasugerował Sandy. - W zamian za odstąpienie od wojny.

- W tej kwestii nie ma zbyt dobrych notowań. - Harry poczuł nagły przypływ gniewu. On naprawdę walczył z Niemcami, podczas gdy Sandy siedział tutaj i zarabiał pieniądze. Być może Sandy oprowadzał ludzi po polach bitewnych, ale on brał w bitwie udział.

- Z tego, co słyszałam, w Anglii z demokracji nie zostało wiele

- wtrąciła się głośno Jenny. - Oswald Mosley¹ poszedł siedzieć tylko dlatego, że przewodził niewłaściwej partii.

Barbara posłała jej jadowite spojrzenie. De Salas zakaszłał.

- Chyba trochę się zagalopowaliśmy - zauważył nerwowo.

Przyjęcie nie trwało długo. Wkrótce de Salas stwierdził, że muszą już iść. Wyszli oboje, Jenny lekko się chwiała.

- Sandy, proszę cię, nie zapraszaj jej więcej - powiedziała Barbara, kiedy sobie poszli.

Sandy spojrział znacząco na Harry'ego i zapalił cygaro.

- Jenny spędziła tu całą wojnę domową, była pielęgniarką. Przedtem prowadziła dosyć hulaszcze życie, podobno uciekła z Roedean². Wygląda na to, że nie daje sobie rady w czasach pokoju, bez przerwy się upija. Sebastian rozważa, czy z nią nie zerwać.

- To nikczemna kobieta - powiedziała Barbara. Zwróciła się do Harry'ego. - Przepraszam, że nie byłam zbyt towarzyska.

- Don Sebastian wydaje się być bardzo kulturalnym człowiekiem

- powiedział Harry. - Na swój sposób.

¹ *Założyciel Brytyjskiej Unii Faszystowskiej, zwolennik Hitlera i Mussoliniego.*

² *Roedean - najlepsza angielska prywatna szkoła dla dziewcząt.*

- To prawda. - Sandy skinął głową. - Nie zapominaj, Harry, że hiszpański faszyzm nie przypomina nazizmu. Hiszpanie są bardzo podobni do Włochów. Ja na przykład prowadzę akcję charytatywną pomagającą żydowskim uchodźcom. Musimy się starać trzymać to w tajemnicy, bo rząd panicznie się boi denerwować Niemców, ale przemyka na to oczy. - Uśmiechnął się. - Nie przejmuj się tym, co mówiłem wcześniej o kapitulacji Anglii. Chciałem tylko... podtrzymać dyskusję. Jak pewnie możesz sobie wyobrazić, to tutaj bardzo ważny temat. Byliby bardzo szczęśliwi, gdyby wojna się skończyła. Tak jak powiedział Sebastian, mają już dość przelewu krwi.

Barbara zapaliła papierosa.

- Zgadzam się, że nie mają takich pomysłów dotyczących czystości rasy jak naziści, ale i tak są brutalni.

Sandy uniósł brwi.

- Myślałem, że zgadzasz się ze mną co do tego, iż Franco nareszcie zaprowadził trochę porządku.

Barbara wzruszyła ramionami.

- Może i tak. Sandy, poproszę Pilar, żeby zaczęła sprzątać, a potem pójdę na górę, rozmawiajcie dalej sami. Przepraszam, Harry, nie czuję się najlepiej. Strasznie boli mnie głowa. - Uśmiechnęła się blade. - Zadzwoń do ciebie, może się spotkamy.

- Tak, bardzo chętnie. Zwykle bez trudu zastaniesz mnie w ambasadzie. Może pod koniec tygodnia?

- Może. - W jej głosie znowu usłyszał niechęć. Zastanawiał się dlaczego.

Kiedy zostali sami, Sandy nalał im whisky i zapalił cygaro. Musiał mieć bardzo mocną głowę. Harry pił powoli, żeby zachować przejrzystość myśli.

- Czy Barbarze nic nie jest? - zapytał.

Sandy machnął lekceważąco ręką.

- Nie, po prostu jest zmęczona i martwi się o dom. Naloty i w ogóle. Słuchaj, kiedy do ciebie zadzwoni, zabierz ją na lunch w jakieś przyjemne miejsce. Zdecydowanie zbyt dużo siedzi sama w domu.

- Dobra.- Hiszpania to zabawne miejsce, ale jest tu także wiele okazji do robienia interesów. - Rozeźmiał się. - Może lepiej będzie, jeśli nie będziesz wspominał o mnie na balu na cześć panienki Maestre. W rządzie toczy się ostra rywalizacja, a frakcja, dla której ja pracuję, nie jest w najlepszych stosunkach z frakcją Maestre.

- Nie? - Harry przerwał na moment, po czym zapytał niewinnie.

- Maestre jest monarchistą, prawda?

W widocznych za zasłoną dymu półprzymkniętych oczach Sandy'ego widać było wyrachowanie.

- Tak, zgadza się. Skostniali konserwatyści. - Spojrzał poważnie na Harry'ego. - Przy okazji, pamiętasz, co ci mówiłem w kawiarni, że być może wyjadę z Hiszpanii?

- Tak.

- Nie mów Barbarze, dobrze? Nawet jeśli zdecyduję się wyjechać, to jeszcze nie przez jakiś czas. Powiem jej, kiedy przyjdzie, pora.

- Oczywiście. Rozumiem.

- Muszę sfinalizować kilka interesów. Zrobić pieniądze. - Uśmiechnął się. - Spodziewam się, że ty wszystkie swoje pieniądze ulokowałeś w bezpiecznym miejscu?

Harry się zawahał. To wyrachowanie na twarzy Sandy'ego...

- Tak. Rodzice zostawili mi pewną sumę, mój stryjek zainwestował w bezpieczne papiery wartościowe. Zostawiłem wszystko tam, gdzie było. Czasem myślę, że te pieniądze są nawet zbyt bezpieczne. - Zaśmiał się niepewnie. Tak naprawdę uważał, że pieniądze nigdy nie mogły być zbyt bezpieczne, ale chciał zobaczyć, do czego Sandy zmierzał.

- Pieniądz rodzi pieniądz, jeśli wiedzieć, jak nim obracać.

- Tak, pewnie tak.

Ku rozczarowaniu Harry'ego Sandy wstał.

- Mniejsza z tym, chciałem ci coś pokazać. Chodźmy na górę.

Poprowadził Harry'ego na piętro, do małego wygodnego gabinetu, pełnego dzieł sztuki.

- To mój azyl. Przychodzę tu pracować, kiedy potrzebuję spokoju.

- Harry ogarnął spojrzeniem biurko. Leżały na nim papiery i tekturowe teczki, ale nie widział, czego dotyczyły.

- Spójrz na to. - Sandy włączył lampkę nad obrazem przedstawiającym człowieka, przewieszzonego przez grzbiet niewyraźnie zarysowanego konia, idącego chwiejnie przez pustynię.
 - Wydaje mi się, że to Dali - powiedział. - Niesamowity, prawda?
 - Niepokojący - odparł Harry. Większość przedmiotów w pokoju miała niepokojący charakter: kobieca ręka w koronkowym rękawie, wspaniale wyrzeźbiona w srebrze; japońska waza przedstawiająca krwawą bitwę, cudownie pokolorowana.
 - Na Rastro można znaleźć najprzedziwniejsze przedmioty - powiedział Sandy. - Rzeczy, które czerwoni porozkradali w czasie wojny z bogatych domów. Popatrz, to ci chciałem pokazać. - Otworzył szufladę biurka i wyjął z niej tacę. Była pełna skamielin, kamieni z fragmentami kości dziwnych stworzeń.
 - Moja kolekcja. W każdym razie jej najlepsze fragmenty. - Wskazał na ciemny kamień. - Pamiętasz go?
 - O Boże, no pewnie. Amonit.
 - Bardzo lubiłem szukać skamielin. Tak jak ci powiedziałem w kawiarni, to jedyne dobre wspomnienie z Rookwood. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Harry poczuł dziwne wzruszenie i wyrzuty sumienia że robi to, co robi.
 - A teraz - powiedział Sandy - popatrz na to. - Klęknął i podniósł wieko długiego drewnianego pudełka, które stało obok biurka. Wewnątrz leżał duży, płaski biały kamień.
 - Znalazłem to kilka miesięcy temu po drodze do Estremadury.
- W kamieniu były osadzone kości długiej stopy, jej trzy palce zakończone były pazurami. Jeden z nich był o wiele dłuższy od pozostałych, długości ręki mężczyzny.
- Piękne, prawda? Wczesna kreda, ma ponad sto milionów lat. - Na jego twarzy malowało się szczere rozmarzenie; przez moment wyglądał jak chłopiec.
 - Co to za gatunek?
 - Tu się robi ciekawie. Wydaje mi się, że to coś nowego. Kiedy wrócę do kraju, zabiorę to do Natural History Museum. Jeśli jeszcze tam będzie stało. - Sandy spojrzał na skamielinę. - A przy okazji, kolejna rzecz na twoje spotkanie z Barbarą. Powiedziałem jej, że nie byliśmy w przyjaznych stosunkach z Piperem, ale nie mówiłem jej, że nam się zupełnie nie układało. Myślałem, że pewnie tak będzie lepiej.
 - Rozumiem.
 - Dzięki. - Sandy uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Naprawdę nienawidziłem tej szkoły.
 - Wiem. Ale powiodło ci się. - Harry się zaśmiał. - Pamiętasz, kiedy odchodziłeś, powiedziałeś mi, że twoim przeznaczeniem zawsze było bycie złym chłopcem, tym przegranym?

Sandy również się roześmiał.

- Tak. Pozwalałem draniom mnie upokorzyć. Tory wyścigowe dały mi lepsze wykształcenie. Nauczyłem się, że człowiek jest kowalem własnego losu, można być tym, kim się chce.
- Sam się czasem zastanawiam...
- Nad czym?
- No, czy czasem Rookwood nie pokazywało nieprawdziwego obrazu świata. Pełnego samozadowolenia.

Sandy skinął głową.

- Tak jak powiedziałem w kawiarni, przyszłość należy do ludzi, którzy potrafią chwytać życie. Nie możemy nigdy pozwolić, żeby powstrzymywała nas przeszłość. A przeznaczenie nie istnieje.

Spojrzał uważnie na Harry'ego. Harry spojrzał na stopę dinozaura. Zauważył, że pazury stworzenia były podkurczone, tak, jakby chciało zadać cios w momencie, w którym zginęło.

Rozdział piętnasty

Następnego dnia rano Harry złożył raport Hillgarthowi. Komandor był bardzo zadowolony z postępów. Kazał mu spotkać się z Sandym tak szybko, jak tylko się da, spróbować namówić go na rozmowę o złocie oraz wy badać Barbarę, kiedy się z nią spotka.

Do swojego biura wrócił w porze lunchu. Miał tłumaczyć nowe przemówienie dla gubernatora Barcelony, ale zorientował się, że ktoś zabrał je z jego biurka. Poszedł porozmawiać z Weaverem.

- Musiałem dać to Carne'owi - westchnął Weaver. - Nie wiedziałem, ile czasu spędzisz z kapusiami, a zależało nam na skończeniu tego tekstu. Możesz wziąć sobie wolne na resztę dnia.

Harry z ambasady poszedł prosto do domu. Wiedział, że dwóch pozostałych tłumaczy denerwowało, że zostawia pracę; narastał między nimi chłód. Chrzanić to, pomyślał Harry. Nie lubił ich, byli strasznie zmanierowani, jak wielu pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Coraz bardziej zdawał sobie sprawę ze swojej samotności. Poza Tolhurstem nie miał w ambasadzie znajomych.

W domu zjadł zimny lunch, a ponieważ nie chciał siedzieć przez całe popołudnie sam, przebrał się w swobodniejsze ubranie i wyszedł na spacer. Powietrze wciąż było chłodne i wilgotne, koniec ulicy tonął we mgle. Stał przez chwilę na placu, zastanawiając się, dokąd pójść, po czym skręcił w ulicę, która prowadziła w stronę dzielnicy La Latina i dalej do Carabanchel. Tolhurst pierwszego dnia powiedział mu, że to zła okolica. Przypomniawszy sobie przyjaciół Berniego, rodzinę Mera. Zastanawiał się, czy wciąż tam mieszkają. Kiedy szedł przez La Latinę, myślał o Barbarze. Nie cieszyła go perspektywa zleconego zadania. Będzie musiał wypytać ją dokładnie o pracę Sandy'ego, nie wykazując przy tym nadmiernego zainteresowania. Zmieniła się nie do poznania. Ale widział, że nie jest szczęśliwa. Powiedział o tym Hillgarthowi i od razu poczuł wyrzuty sumienia.

Doszedł do Puerta de Toledo. Dalej zaczynało się Carabanchel. Zawahał się na moment, po czym przekroczył most i wszedł w osiedle wysokich budynków.

W takie zimne, mokre popołudnie jak to dzielnica wydawała się opustoszała, minął ledwie kilka osób. Ale musieliśmy z Berniem od-stawać od otoczenia w trzydziestym pierwszym, bladej, angielscy, w

białych koszulach, pomyślał. Niektóre domy były podparte drewnianymi belkami i wyglądały, jakby zaraz miały się zawalić. Ulice pełne dziur, płyty chodnikowe potłuczone, a tu i tam wciąż widać było miejsca, gdzie spadły bomby - ze stert gruzu sterczały niczym zęby na wpół zawałone mury. Harry wzdrygnął się, kiedy z ruin domu wybiegł duży szczur i pomknął ryszotkiem.

Nagle usłyszał za sobą kroki. Zaklął cicho. To znowu był jego ogon. Musiał czekać gdzieś nieopodal mieszkania. Harry był tak przejęty innymi rzeczami, że nie pamiętał, żeby na niego uważać. Nie popisał się. Wycofał się w stronę klatki schodowej najbliższego bloku. Drzwi były zamknięte; nacisnął klamkę i wślizgnął się do ciemnego korytarza. Skądś kapąła woda, w powietrzu unosił się ostry zapach uryny. Zamknął za sobą drzwi, zostawiając jedynie niewielką szparę, przez którą mógł patrzeć na zewnątrz.

Zobaczył, jak mija go szybkim krokiem opatulony płaszczem blady młodzieniec. Harry poczekał kilka minut, wyszedł na zewnątrz i skręcił w boczną uliczkę. Okolica wydawała mu się znajoma. Minął grupkę mężczyzn, którzy stali na rogu ulicy i rozmawiali. Kiedy ich mijał, zmierz yli go chłodnym wzrokiem. Przypomniał sobie, jak życzliwi byli ludzie dziewięć lat temu, i zrobiło mu się smutno.

Skręcił na plac, którego dwa boki zostały zniszczone przez artylerię; domy zrównano z ziemią, z morza potrzaskanych cegieł i nasiąkniętych szmat - pewnie pozostałości pościeli - wyrastał labirynt zburzonych ścian. Między kamieniami rosły wysokie, ciemnozielone kłujące chwasty. Prostokątne dziury wypełnione do połowy zieloną, mętną, wodą wskazywały miejsca, gdzie niegdyś były piwnice. Plac wyglądał na opuszczony, a domy, które wciąż stały, były w bardzo złym stanie; okna miały powybijane wszystkie szyby.

Harry nigdy nie widział zniszczeń na taką skalę. W porównaniu z tą dzielnicą, gdzie w Londynie spadły bomby, wydawały się, ledwie uszkodzone. Podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się zniszczeniom. Plac musiał być intensywnie bombardowany. Codziennie napływały nowe wieści o nalotach na Anglię - czy Londyn też tak teraz wygląda?

Nagle zobaczył na rogu tabliczkę „Plaża General Blanco”, i serce mu zamarło. Na tym placu mieszkała rodzina Mera. Rozejrzał się jeszcze raz, próbując ustalić, gdzie stał ich dom, i zdał sobie sprawę, że blok, w którym mieszkali, zniknął, zamienił się w stertę gruzu. Stał na placu i patrzył z otwartymi ustami.

Coś się poruszyło. Harry aż podskoczył, kiedy na resztkę muru wskoczył pies i stanął, patrząc na niego. Był to mały, brązowy kundel z podwiniętym ogonem; kiedyś pewnie należał do kogoś, ale teraz był na wpół zagłodzony, przez futro zjedzone w dużej części przez świerzb widać było sterczące żebra.

Pies zaszczekał dwa razy, na co zza murów i spomiędzy chwastów wyłoniło się kilkanaście wychudłych, parszywych psów wszelkich rozmiarów i maści. Niektóre były niewiele większe od brązowego kundelka, ale były też ze trzy czy cztery większe, wliczając w to wilczura. Zbiły się w gromadę i zaczęły go obserwować. Harry zrobił krok do tyłu, przypominając sobie, co Tolhurst mówił o dzikich, zarażonych wściekłą psach. Rozejrzał się gorączkowo, ale oprócz psów na zrujnowanym, zamglonym placu nie było żywego ducha. Serce zaczęło walić mu jak młotem, w chorym uchu słyszał syczenie.

Psy ruszyły truchtem przez rumowisko w jego stronę, rozwijając powoli szereg w miarę, jak się zbliżały. Były niepokojąco ciche. Wilczur, ewidentnie przywódca, wystąpił naprzód i wyszczerzył kły.

Jak łatwo odłonięcie zębów zamieniało psa w dzikie zwierzę!

Nie wolno okazywać strachu. To zawsze słyszał o psach.

- ¡Vete! - zawołał. - Precz! - Z ulgą przyjął, że zatrzymały się jakieś dziesięć metrów od niego. Wilczur ponownie wyszczerzył zęby.

Harry zrobił krok do tyłu, nie spuszczając psów z oka. Potknął się o pękniętą cegłę i omal nie upadł, musiał machać rękami, żeby utrzymać równowagę. Schylił się i podniósł cegłę, wciąż patrząc w oczy wilczurowi. Pies zesztyniał.

Cisnął cegłą w owczarka i krzyknął. Trafił go w parchaty zadek, pies zaskomlał i odskoczył.

- ¡Vete! - wrzasnął ponownie Harry. Psy stały przez moment niepewnie, po czym odwróciły się i pobięły za swoim przywódcą.

Sfora zatrzymała się poza zasięgiem rzutu i stała, obserwując go. Nogi się pod nim ugięły. Podniósł drugi kawałek cegły i powoli się wycofał. Psy zostały tam, gdzie były. Zatrzymał się po drugiej stronie placu i oparł plecami o mur, z którego wciąż zwisał obdarty plakat republikański z żołnierzami w stalowych hełmach, biegnącymi pod ogniem przeciwnika.

Powoli wrócił tam, skąd przyszedł, trzymając się ścian i obserwując, czy w ruinach nic się nie rusza. Psy zniknęły wśród gruzów, ale czuł, że wciąż go obserwują, nie odwrócił się więc, zanim nie dotarł do prowadzącej na plac ulicy. Oparł się o mur, dysząc ciężko.

Nagle usłyszał krzyk, wrzask pełen przerażenia, a po nim drugi, jeszcze głośniejszy. Zawahał się na moment, po czym pobięł z powrotem.

Na skraju ruin stał tropiący go szpicel. Psy otoczyły mężczyznę i skakały na niego. Duży kundel złapał go za nogę i szarpał, próbując przewrócić. Krzyknął jeszcze raz. Nogawka jego spodni i pysk kundla były zbryzgane krwią. Harry zobaczył, jak jeden z mniejszych psów podskakuje i łapie za ramię szpicla, pozbawiając go równowagi. Mężczyzna upadł na ziemię, strasznie krzycząc. Wilczur skoczył mu do szyi. Tropiącemu udało się zasłonić gardło ramieniem, ale pies wczepił się w ramię zębami. Psy warczały podniecone, kiedy właściwie zniknął już wśród nich.

Harry podniósł cegłę i cisnął w ich stronę. Wpadła między nie; odskoczyły, szczercząc zęby i warcząc. Biegl pochylony przez plac, podnosząc po drodze kamienie i gruz, ciskał nimi w psy i krzyczał. Celował w przywódcę, w wilczura. Psy zawahały się i przez moment Harry myślał, że rzucą się na niego, ale wilczur odskoczył na bok i czmychnął. Kulał; cegła, którą oberwał, musiała go zranić. Reszta podążyła za nim i zniknęła wśród chwastów.

Mężczyzna leżał na rozbitym bruku, wciąż osłaniał gardło ramieniem. Spojrzał na Harry'ego, usta miał szeroko otwarte, ciężko dyszał. Nogawka jego spodni była rozdarta i zabrudzona krwią.

- Możesz wstać? - spytał Harry. Mężczyzna gapił się na niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami. - Musimy stąd uciekać - powiedział łagodnie Harry. - Mogą wrócić, zasmakowały krwi. Chodź, pomogę ci.

Wziął mężczyznę pod ramię i pomógł mu wstać. Był lekki, sama skóra i kości. Stanął najpierw na jednej nodze, potem postawił drugą i szybko ją podniósł, krzywiąc się z bólu. Na kupie gruzu znowu pojawił się wilczur i zaczął ich obserwować. Harry krzyknął i pies się wycofał. Pomógł mężczyźnie przejść przez plac; odeszli, oglądając się co kilka sekund za siebie. Kiedy byli dwie ulice dalej, pomógł mu usiąść na schodach przy wejściu do jednego z bloków. Z okna wyjrzała kobieta, po czym szybko zatrasnęła okiennice.

- Dziękuję - powiedział szpicel, łapiąc oddech. - Dziękuję, señor. - Noga wciąż mu krwawiła, na spodniach Harry'ego także była krew. Harry pomyślał o wściekłości. Jeśli psy były zarażone, mężczyzna umrze.

- Myślałem, że cię zgubiłem - powiedział.

Na twarzy szpicla pojawiło się przerażenie.

- Pan wie? - Wybałuszył oczy. Był nawet młodszy, niż Harry sądził, prawie chłopiec. Jego i tak blada twarz zupełnie zblęła z przerażenia.

- Wiem już od jakiegoś czasu. Myślałem, że się ciebie pozbyłem.

Mężczyzna spojrział na niego smutno.

- Bez przerwy pana gubię. Zgubiłem pana dzisiaj rano. Później zobaczyłem pana obok mieszkania, ale przed placem znowu pan zniknął. - Uśmiechnął się słabo. - Jest pan w tym lepszy ode mnie.- Jak się nazywasz?

- Enrique. Enrique Roque Casas. Mówi pan dobrze po hiszpańsku, señor.

- Jestem tłumaczem. Ale pewnie o tym wiesz.

Na jego twarzy malował się wstyd.

- Uratował mi pan życie. Señor, proszę mi wierzyć, nie chciałem tej pracy, ale potrzebujemy pieniędzy. Teraz jest mi wstyd. - Dotknął ręką nogi, a kiedy obejrzał dłoń, była ubrudzona krwią. Zaczął szczerkać zębami.

- Chodź, pomogę ci wrócić do domu. Gdzie mieszkasz? - W odpowiedzi Harry usłyszał jedynie mamrotanie, którego nie zrozumiał przez szum w chorym uchu. Pochylił się naprzód i zapytał ponownie.

- Ledwie kilka ulic stąd, nad rzeką. Madre de Dios, słyszałem o tych psach, ale o nich zapomniałem. Nie chciałem zgłaszać, że znowu pana zgubiłem. Już i tak nie są ze mnie zadowoleni. - Enrique zaczynał się trząść, był w szoku.

- Chodźmy - powiedział Harry. - Włóż mój płaszcz. - Owinął go wokół szczupłych ramion. Podtrzymując Enrique, szli wąskimi uliczkami zgodnie z jego instrukcją, nie zwracając uwagi na spojrzenia przechodniów. Pomyślał, że to idiotyczna sytuacja, ale nie mógł tak po prostu zostawić tego biedaka; był w szoku i ktoś powinien zająć się jego nogą.

- Więc dla kogo pracujesz? - zapytał szorstko.

- Dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, señor. Dyrektor naszego bloku znalazł mi tę robotę. Powiedział, że mam śledzić brytyjskiego dyplomatę, mówić im, gdzie pan chodzi.

- Rozumiem.

- Wszyscy dyplomaci są śledzeni, z wyjątkiem Niemców. Nawet Włosi. Powiedzieli, że jest pan tłumaczem, señor, że prawdopodobnie będzie pan chodził tylko do ambasady i do dobrych restauracji, ale miałem wszystko zapisywać.

- I może dowiedzieliby się czegoś ciekawego. Gdybym, powiedzmy, poszedł do burdelu, mogliby mnie zaszantażować.

Enrique skinął głową.- Widzę, señor, że wie pan, jak to działa.

Aż za dobrze, pomyślał Harry.

Zatrzymali się przed zniszczoną kamienicą.

- To tu, señor - powiedział Enrique.

Harry pchnął drzwi i weszli do ponurego, wilgotnego wnętrza.

- Mieszkamy na pierwszym piętrze - powiedział Enrique. - Mógłby mi pan pomóc?

Harry wszedł na górę, podpierając go ramieniem. Enrique wyjął klucze i trzęsącą się ręką otworzył drzwi, które prowadziły do małego, mrocznego korytarza. Powietrze wewnątrz było zatęchłe i duszne. Otworzył kolejne drzwi i wszedł, kulejąc, do salonu. Harry podążył za nim. Zdjął kapelusz. Pod stolikiem paliło się brasero¹, ale w pokoju i tak było chłodno. Przy stole stały dwa zdezelowane drewniane krzesła, na jednym z nich siedział mały, chudy, na oko ośmioletni chłopiec i na egzemplarzu „Arriby” rysował kredką ciemne kształty. Na widok Harry'ego skoczył na nogi i podbiegł do stojącego w rogu zapadającego się łóżka, wokół którego wisały odsunięte zasłony. Leżała na nim stara kobieta, podparta stertą poduszek. Rzadkie siwe włosy okalały jej pomarszczoną twarz, której jedna strona była wykrzywiona w chytrym grymasie. Oczy miała półprzymknięte. Chłopak wskoczył na łóżko i próbował wtulić się w kobietę. Harrym wstrząsnął widok przerażenia i złości na twarzy dziecka.

Stara kobieta uniosła się na jednym łokciu.

- Enrique, co się stało, kto to jest? - Mówiła powoli i niewyraźnie. Harry zorientował się, że była po wylewie.

Wyglądało na to, że Enrique przyszedł trochę do siebie. Podeszedł do kobiety i pocałował ją w policzek, chłopca pogłaskał po głowie.

- Wszystko w porządku, mamó. Miałem wypadek, psy mnie napadły, ten pan pomógł mi wrócić do domu. Señor, proszę. - Podał mu chwiejne drewniane krzesło. Harry usiadł; zatrzeszczało pod jego ciężarem. Kulejąc, Enrique podeszedł do kobiety. Usiadł na łóżku i wziął ją za rękę.

i Mały piecyk węglowy, ustawiany zwykle pod stołem.- Nie martw się, mamó, wszystko w porządku. Gdzie jest Sofia?

- Poszła do sklepu. - Kobieta pochyliła się i przytuliła chłopca. Leżał wtulony w jej lewe ramię, białe i wychudzone. Usiadł i wskazał na nogę Enrique.
- ¡Sangre! - wrzasnął przenikliwym głosem. - ¡Sangre! - Krew!
- Nie przejmuj się, Paquito, to tylko skaleczenie, nic mi nie jest - powiedział uspokajająco Enrique. Kobieta pogłaskała dziecko po głowie.
- No es nada, niño. - To nic, mały. Spojrzała na Harry'ego. - To obcokrajowiec? - zapytała syna głośnym szeptem. - Czy to Niemiec?
- Jestem Anglikiem, señora. - Spojrzała na niego nerwowo i Harry domyślił się, że wiedziała, w jaki sposób jej syn zarabia na życie. Popatrzył na poszarpane i poplamione krwią spodnie Enrique.
- Powinieneś przemyć nogę.

Kobieta skinęła głową.

- Enrique, przynieś wody.
- Tak, mamo. - Enrique skinął głową i pokuśtykał w stronę drzwi. Harry wstał, żeby mu pomóc, ale Enrique zbył go machnięciem ręki.
- Nie, niech pan siedzi, señor. Dość już pan zrobił. - Wziął stojące w kącie wiadro i wyszedł, pozostawiając Harry'ego w niezręcznej sytuacji. Pomyślał, że pewnie mógłby po prostu wyjść, ale nie chciał być niegrzeczny. Z przerażeniem przypomniał sobie, jak wilczur szarpie ramię mężczyzny, jak próbuje dobrać mu się do gardła.

Kobieta i chłopiec patrzyli na niego z łóżka. Z jej twarzy trudno było coś wyczytać, ale chłopczyk bał się i był zły. Harry uśmiechnął się z zakłopotaniem. Rozejrzał się po pokoju. Był wysprząpany. Skoro kobieta przebywała tu cały czas, pewnie nie można było uniknąć tego zapachu stęchlizny. W wazoniku stały wysuszone kwiaty, na ścianach wisiały tanie obrazki przedstawiające życie na wsi. Ktoś wysilił się, żeby w pokoju było wesoło, ale Harry spostrzegł pod oknem ciemne smugi grzyba w miejscach, gdzie woda przeciekała przez zgniły parapet i skapywała na złożony koc. Odwrócił wzrok. Zobaczył, że na ścianach były także fotografie. Kobieta wskazała na jedną z nich. - Mój ślub - powiedziała chrapliwym głosem. - I mój brat.

Harry skinął uprzejmie głową i wstał, żeby przyrzeć się zdjęciu.

Kiedy przechodził przez pokój, chłopiec zeszywniał. Zdjęcie przedstawiało młodą parę stojącą w drzwiach kościoła, a obok nich młodego, uśmiechniętego księdza. Po ubraniach ocenił, że fotografia musiała być zrobiona mniej więcej w tym samym czasie co zdjęcie ślubne jego rodziców. Kobieta uśmiechnęła się połową twarzy, którą wciąż mogła poruszać.

- Dias mas felices. Szczęśliwsze dni - wyszeptowała.
- Sí, mas felices, señora.
- Proszę, señor, niech pan usiądzie.

Harry znowu usiadł na krześle. Kobieta głaskała po głowie chłopca, który patrzył na Harry'ego przerażonym wzrokiem.

Drzwi otworzyły się i weszła dziewczyna w palcie, niosła torbę z zakupami. Miała trochę ponad dwadzieścia lat, była drobną brunetką, jej twarz miała kształt serca, a oczy były duże i brązowe. Kiedy zobaczyła Harry'ego, znieruchomiła. Harry wstał.

- Co się stało? - zapytała gwałtownie. - Kim pan jest?
- Wszystko w porządku - powiedziała stara kobieta. - Psy napadły Enrique, ten pan pomógł mu wrócić do domu. Twój brat poszedł po wodę.

Postawiła torbę na podłodze, wciąż była zaniepokojona.

- Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem - powiedział Harry.
- Skąd pan jest?
- Jestem Anglikiem. Nazywam się Harry Brett. Pracuję w ambasadzie.

Otworzyła szeroko oczy.

- Czyli... to on pana...
- No, tak. - A więc dziewczyna również wiedziała, czym zajmował się jej brat.
- W co on się teraz wpakował? - Posłała Harry'emu długie surowe spojrzenie, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.
- To moja córka - powiedziała stara kobieta. Uśmiechnęła się. - Mi Sofia. Corazón de mi vida. - Serce mojego życia. Na schodach odezwały się głosy. Dziewczyna była rozgniewana, Enrique mamrotał przepaszajaco. Wkuśtykał do środka, za nim weszła dziewczyna z wiadrem wody. Enrique usiadł na krześle naprzeciwko Harry'ego, dziewczyna wyjęła z szuflady nożyczki. Spojrzała na chłopczyka.
- Paquito, idź do kuchni. No już. Rozpał w piecu, żeby było cieplej.

Chłopczyk posłusznie wstał z łóżka i wyszedł z pokoju, posyłając

Harry'emu przelotne, przestraszone spojrzenie.

- Wydaje mi się, że najgorzej jest z nogą - powiedział Harry. - Ale ugryzły go też w ramię. Czy mogę jakoś pomóc?

Pokręciła głową.

- Damy sobie radę. - Zwróciła się do brata. - Będziesz musiał znaleźć sobie nowe spodnie. - Zaczęła rozcinać nogawkę. Enrique przygryzł wargi, żeby stłumić okrzyk bólu. Noga źle wyglądała, psy wygryzły w niej dziury, które zamieniły się w bruzdy w miejscach, gdzie zaczęły szarpać mięso. Sofia zdjęła marynarkę Enrique i rozcięła rękaw jego koszuli, odstawiając kolejne ugryzienia. Wyjęła z szuflady butelkę jodyny.

- Będzie bardzo piekło, Enrique, ale inaczej w rany może wdać się zakażenie.
- A co z wściekliczną? - spytał Enrique z drzeniem w głosie.
- Tego się nie da stwierdzić - odparła cicho. - Czy któreś psy zachowywały się dziwnie? Zataczały się albo mrugały?
- Jeden z nich, wilczur, zataczał się - odparł z niepokojem w głosie. - Prawda, señor?

Sofia spojrzała na Harry'ego, jej twarz była ściągnięta strachem.

- Trafiłem go kamieniem, kiedy zaatakował mnie wcześniej. To dlatego. Wszystkie psy wyglądały na zdrowe.
- W takim razie jest nadzieja - powiedziała Sofia.
- Te psy stanowią zagrożenie - powiedział Harry. - Powinny zostać zlikwidowane.
- To będzie dzień, w którym rząd wreszcie coś dla nas zrobi. - Sofia przemyślała nogę brata. Harry patrzył, zaskoczony jej spokojnym, chłodnym profesjonalizmem. - Sofia miała być lekarką - powiedziała chrapliwym głosem stara kobieta.

Harry zwrócił się do Sofii.

- Naprawdę? - zapytał z zakłopotaniem.

Sofia nie podniosła wzroku.

- Wojna przerwała moje studia. - Zaczęła ciąć ścierkę w pasy.
- Czy twój brat nie powinien pójść do lekarza?
- Nie stać nas - powiedziała szorstko. - Dopilnuję, żeby rany były czyste.

Harry zawahał się.

- Mógłbym zapłacić. W końcu uratowałem go, powinienem doprowadzić to do końca.

Spojrzała na niego.

- Jest coś innego, co mógłby pan dla nas zrobić, señor, coś, co nic nie będzie kosztować.
- Zrobię, co tylko będę mógł.
- Proszę nikomu o tym nie wspominać. Brat powiedział mi na schodach, że od jakiegoś czasu wiedział pan, że Enrique pana śledzi. Robił to tylko dlatego, że potrzebujemy pieniędzy.

Harry spojrzał na Enrique; siedział z nogą obandażowaną ścierką i wyglądał jak zmęczony, przestraszony chłopiec.

- Kierownik bloku, urzędnik Falangi przydzielony do tej kamienicy, wiedział, że jest nam naprawdę ciężko, i powiedział, że ma dla Enrique pracę. Nie byliśmy zbyt zadowoleni, kiedy dowiedzieliśmy się, o co chodzi, ale potrzebujemy pieniędzy.

- Wiem - powiedział Harry. - Pani brat mi o tym powiedział.

Zmrużyła oczy.

- Więc wypytał go pan o jego pracę?

- A pani by tego nie zrobiła na moim miejscu?

Dziewczyna zacisnęła wargi.

- Może. - Cały czas patrzyła na niego. Jej twarz miała poważny, ale bynajmniej nie błagalny wyraz; czuła, że nie należała do osób, które by prosiły.

- Dzięki Bogu Ramona nie było na dole - powiedział Enrique.- Prawda, dzięki temu mamy szansę. Możemy powiedzieć, że Enrique zaatakowały psy, ale pana tu nie było. Dzięki temu może nawet będą mu płacić, aż się wyleczy.

- A kiedy wyzdrowieję, señor, nie będzie się pan musiał przejmować, że ktoś pana śledzi, jeśli to będę ja - dodał Enrique. - Będę mówił, że wychodzi pan tylko po to, żeby się przewietrzyć, zresztą jak dotąd tak pan robił.

Harry zaśmiał się i pokręcił głową. Enrique też się roześmiał, chociaż z zakłopotaniem. Sofia zmarszczyła brwi.

- Przepraszam - powiedział Harry. - Po prostu ta cała sytuacja jest strasznie dziwna.

- My cały czas żyjemy w takim świecie - powiedziała ostrym tonem.

- To nie moja wina - odparł Harry. - W porządku, nic nikomu nie powiem.

- Dziękujemy. - Sofia odetchnęła z ulgą. Wyjęła paczkę tanich papierosów, podała jednego Enrique, i poczęstowała Harry'ego.

- Dziękuję, nie palę.

Enrique zaciągnął się głęboko. Od strony łóżka rozległo się głośnie chrapanie - stara kobieta zasnęła.

- Czy nic jej nie jest?

Dziewczyna spojrzała na nią czule.

- Cały czas śpi. Po tym, jak tata zginął, walcząc w oddziałach ochotniczych, miała wylew.

Harry skinął głową.

- A Paquito to pani młodszy brat?

- Nie. Mieszkał z rodzicami w mieszkaniu naprzeciwko. - Spojrzała na niego bez drgnienia powieki. - Byli działaczami związkowymi. Któregoś dnia w zeszłym roku wróciłam do domu i zastałam drzwi ich mieszkania otwarte na oścież, ściany były zbryzgane krwią. Zabrali rodziców Paquita, a jego zostawili. Wzięliśmy go, żeby nie trafił do zakonnic.

- Od tego czasu ma coś z głową - dodał Enrique.
- Przykro mi.
- Sofia pracuje w mleczarni - kontynuował Enrique - ale to nie wystarczy dla nas czworga, señor, dlatego musiałem podjąć tę pracę.

Harry wziął głęboki oddech.

- Obiecuję, że nic nikomu nie powiem. Naprawdę.
- Tylko, señor, bardzo proszę - powiedział Enrique, siląc się na dowcip - niech mnie pan nie zabiera znowu na ten plac.

Harry się uśmiechnął.

- Obiecuję. - Poczuł, że między nim a Enrique nawiązuje się porozumienie. Jego też okoliczności zmusiły do zostania szpiegiem mimo woli.
- Dziwne miejsce na spacer dla dyplomaty - powiedziała Sofia, patrząc na niego uważnie.
- Znałem rodzinę, która tu mieszkała. Lata temu, przed wojną domową. Mieszkali przy tym placu, gdzie napadły na nas psy. Ich blok został zburzony. - Westchnął. - Nie wiem, co się z nimi stało.
- Nikogo tam teraz nie ma - powiedziała Sofia. Spojrzała na niego uważnie. - Czyli znał pan Hiszpanię przed... tym wszystkim.
- Tak.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Harry wstał.

- Nic nie powiem o Enrique. I bardzo proszę, pozwólcie mi zapłacić za lekarza.

Sofia zgasiła papierosa.

- Nie, dziękujemy. Już i tak dość pan zrobił.
- Proszę wysłać rachunek do mnie. - Na kawałku papieru napisał swój adres i podał go jej. Zdawał sobie sprawę, że oczywiście Enrique i tak wiedział, gdzie mieszka.
- Zobaczymy - powiedziała niezobowiązująco. - Dziękujemy, señor... Brett, czy tak to się wymawia? - zapytała, wymawiając „r” z wibracją.
- Tak.

Brett. - Wstała i skinęła poważnie głową. - Ja jestem Sofia. - Wyciągnęła małą, kształtną dłoń. Była ciepła i delikatna. - Jesteśmy pana dłużnikami, señor. Do widzenia. To było pożegnanie. Ku swojemu zaskoczeniu Harry zorientował się, że wcale nie miał ochoty już iść. Chciał zostać, dowiedzieć się czegoś więcej o ich życiu. Ale wstał i wziął swój kapelusz.

- Adios.

Z mieszkania zszedł ciemnymi schodami na ulicę. Kiedy wracał w stronę Puerta de Toledo, poczuł, że nogi mu drżą, a w uszach słyszy dzwonięcie. Przypomniał sobie zrujnowany plac i bezpańskie psy. Zastanawiał się, czy cała rodzina Mera zginęła. Jak Bernie?

Rozdział szesnasty

To z powodu rodziców Berniego Harry poznał Barbarę. Wielkanoc w trzydziestym siódmym roku spędził ze strykiem i ciotką. Był to pierwszy rok jego pracy jako wykładowcy. Widywał ich rzadko. Cztery lata wcześniej przeprowadził się do Cambridge i od tego czasu praktycznie wcale ich nie widywał; co dziwne, wydawało się, że przez to zaczęli za nim tęsknić i kiedy raz na jakiś czas do nich przyjeżdżał, witali go z sympatią i chcieli wiedzieć, co się u niego działo.

Pewnego popołudnia, pod koniec kwietnia, w korytarzu ich dużego starego domu zadzwonił telefon. Stryjek James wszedł do salonu, gdzie Harry siedział i czytał „The Telegraph”. Na twarzy stryjka widać było zatroskanie.

- Dzwoniła matka twojego kolegi Berniego Pipera - powiedział. - Tego chłopaka, z którym pojechałeś do Hiszpanii.

Harry od pięciu lat o nim nie słyszał.

- Czy coś się stało?

- Trudno było za nią nadążyć, gadała jak nakręcona. Chyba nie jest przyzwyczajona do rozmów przez telefon. Wygląda na to, że pojechał walczyć na wojnie w Hiszpanii. Po stronie komuchów - dodał z niesmakiem. - Dostali list, że zaginął w akcji. Chciała wiedzieć, czy byłbyś w stanie pomóc. Mnie to wygląda na puszkę Pandory. Tak właściwie powiedziałem jej, że cię nie ma.

Harry poczuł skurcz w żołądku. Przypomniał sobie matkę Berniego, nerwową kobietę przywodzącą na myśl ptaka. W trzydziestym pierwszym, zanim pojechali do Hiszpanii, Bernie zabrał Harry'ego

do Londynu, żeby ją poznał. Chciał, żeby Harry ją przekonał, iż nic im się nie stanie. Uwierzyła jego zapewnieniom, chociaż nie był jej synem; pewnie Harry reprezentował wzbudzający respekt rozsądek, skutek nauki w Rookwood; coś, co Bernie odrzucił.

- Powinienem z nią porozmawiać. Oddzwonię.

- Nie mają telefonu. Zapytała, czy mógłbyś pojechać ją odwiedzić. To właściwie bezczelność. - Przerwał. - Ale cóż, biedna kobieta chyba jest zdesperowana.

Następnego dnia Harry pojechał pociągiem do Londynu. Pamiętał drogę do małego sklepiku spożywczego, który mieścił się na Isle of Dogs, w jednej z małych uliczek, wzdłuż której przechadzali się bezrobotni. Sklep wcale się nie zmienił, na podłodze stały odkryte skrzynki z warzywami, na półkach tanie konserwy. Za ladą zobaczył ojca Berniego. Był wysoki i mocno zbudowany, jak syn. Kiedyś na pewno był przystojny, ale teraz siedział przygaszony, zgarbiony, w jego smutnych oczach ledwo tliło się życie.

- To ty - powiedział. - Witam. Matka jest w środku. - Kiwnięciem głowy wskazał Harry'emu przeszklone drzwi za ladą. Nie poszedł za nim.

Przy stoliku w małym salonie siedziała Edna Piper. Kiedy Harry się pojawił, jej wąska, okolona nieuporządkowanymi lokami twarz rozpogodziła się. Wstała i uściśniła mu rękę swoją kościstą dłonią.

- Harry, Harry, jak się masz?
- Dziękuję, dobrze, pani Piper.
- Tak mi było szkoda, że Bernie stracił z tobą kontakt, marnował czas z tymi ludźmi w Chelsea...
- Przerwała. - Wiedziałaś, że pojechał walczyć do Hiszpanii?
- Nie. Od lat nie miałem od Berniego żadnych wiadomości. Straciliśmy kontakt.

Westchnęła.

- Poza jego wymową nic nie wskazuje na to, że był w waszej szkole. Przepraszam, usiądź, napijesz się herbaty?
- Nie, dziękuję. Co się... co się stało? Mój stryjek nie wyrażał się chyba zbyt jasno.
- Miesiąc temu dostaliśmy list z ambasady brytyjskiej. Napisali, że w lutym była jakaś bitwa, a Bernie zaginął w akcji. List był strasznie krótki i oschły. - Do oczu napłynęły jej łzy. - Zdaniem jego taty to oznacza, że nie żyje, po prostu nie znaleźli ciała.

Harry usiadł naprzeciwko niej. Na stoliku leżała koperta z jaskrawym hiszpańskim znaczkiem. Pani Piper podniosła ją i obracała w rękach.

- W zeszłym roku, w październiku, Bernie wpadł tu któregoś dnia i oświadczył, że jedzie walczyć z faszystami. Patrzył na mnie wyzywająco, bo wiedział, że się sprzeciwię. Ale najbardziej zranił ojca. Bernie o tym nie pomyślał, ale kiedy nam to powiedział, zobaczyłam, że jego tata opadł momentalnie z sił, jakby uciekło z niego powietrze. To go dobije. - Spojrzała ponuro na Harry'ego. - Wiesz, czasem dzieci potrafią być krzyżem swoich rodziców.
- Bardzo mi przykro.
- Oboje twoi rodzice nie żyją, prawda?
- Tak.
- Pete nie chce o tym rozmawiać, jest pewny, że Bernie nie żyje. - Podniosła kopertę. - Przeczytałbyś to? To od Angielki, którą Bernie tam poznał.

Harry wyciągnął list z koperty i przeczytał go. Data była sprzed trzech tygodni.

Szanowni Państwo Piper!

Nie znają mnie Państwo, ale Bernie był mi bardzo bliski i chciałam do Państwa napisać. Wiem, że ambasada przystała Państwu list o tym, że Bernie zaginął i najprawdopodobniej nie żyje. Pracuję dla Czerwonego Krzyża i chcę, by Państwo wiedzieli, że robię, co mogę, by dowiedzieć się, czy istnieje jakakolwiek szansa, że on żyje. Trudno tu się w ogóle czegokolwiek dowiedzieć, ale będę próbować. Bernie był wspaniałym człowiekiem.

Z wyrazami szacunku,

Barbara Clare

- Nie rozumiem, o co jej chodzi - powiedziała pani Piper. - Najpierw mówi, że wciąż może żyć, a potem, że był wspaniałym człowiekiem, jakby nie żył.
- Wydaje mi się, że wbrew faktom wciąż ma nadzieję - powiedział Harry. Poczł, że ogarnia go smutek; dopiero teraz naprawdę dotarł do niego, że Bernie odszedł. Odłożył list.
- Wiesz, napisał nam o niej w okolicach świąt. Napisał, że poznał tam Angielkę. Jest na pewno w strasznym stanie. Wolę nie myśleć, jak musi się tam czuć, zupełnie sama.
- Odpisali państwo?
- Od razu, ale nie było odpowiedzi. - Westchnęła głęboko. - Wydaje mi się, że nie wszystkie listy dochodzą. Zastanawiałam się... Mówisz po hiszpańsku, prawda? Znasz ten kraj?
- Nie byłem w Hiszpanii od trzydziestego pierwszego roku - powiedział z wahaniem Harry.
- Którą stronę popierasz? - zapytała nagle.

Pokręcił głową.

- Żadną. Sądę tylko, że to ogromna tragedia.
- Byli u mnie ludzie ze Spanish Dependants Aid¹, ale nie chcę pieniędzy, tylko Berniego. - Pani Piper spojrzała mu prosto w oczy. - Pojechałbyś tam? Spróbowałbyś znaleźć tę dziewczynę i dowiedzieć się, co się stało? - Pochyliła się naprzód i chwyciła jego dłoń. - Wiem, że proszę o bardzo wiele, ale byliście takimi dobrymi przyjaciółmi. Gdybyś mógł dla pewności sprawdzić, czy jest jakakolwiek nadzieja.

Dwa dni po wizycie u pani Piper Harry wsiadł w pociąg do Madrytu. Udało mu się zarezerwować pokój w hotelu. W biurze podróży powiedzieli mu, że będzie tam mnóstwo dziennikarzy - tylko oni jeździli teraz do Hiszpanii.

Z pociągu Harry widział wszędzie plakaty ze sloganami ogłaszającymi wojnę robotniczą. Była ciepła, świeża kastylijska wiosna, ale

i Organizacja pomagająca członkom Brygad Międzynarodowych i ich rodzinom.

ludzie wyglądali na ponurych i znękanym. Kiedy dojechali do Madrytu, zaskoczyło go, jak wszystko zmieniło się od czasu jego pierwszej wizyty: olbrzymie plakaty, wszechobecni żołnierze i ochotnicy, ludzie o zmęczonych, zmartwionych twarzach, mimo propagandy płynącej z rozmieszczonych w Centro głośników. W gazetach było mnóstwo informacji na temat nieudanej próby przewrotu w Barcelonie, dokonanej przez „trockistowsko-faszystowskich zdrajców”.

Zameldował się w hotelu nieopodal Castellany. Miał adres Barbary, ale postanowił najpierw sam się nieco rozejrzeć. Po południu poszedł na spacer przez La Latinę do Carabanchel. Pamiętał, jak w

trzydziestym pierwszym szli tamtędy z Berniem do rodziny Mera, jakie było gorące lato, jacy oni sami byli beztroscy.

Im dalej szedł na południe, tym mniej ludzi spotykał. Żołnierze patrzyli na niego podejrzliwie. W poprzek wielu ulic zbudowano barykady, prymitywne budowle z wyrwanych z bruku kamieni, z niewielką szparą dla przechodniów. Pozbawione bruku ulice zamieniły się w morze błota. Słychać było odgłosy artylerii, a co jakiś czas, w pewnej odległości, gwizd i huk. Harry zawrócił. Było mu niedobrze. Zastanawiał się, czy rodzina Mera wciąż mieszkała w Carabanchel. '

W hotelu poznał dziennikarza, cynicznego, wyglądającego na belfra mężczyznę o nazwisku Phillips. Zapytał go, co zaszło w Barcelonie.

- Sowieci podkreślali, że rządzą. - Zaśmiał się. - Trockiści, akurat. Tu nie ma trockistów.
- A więc to prawda? Że Sowieci przejęli Republikę?
- Oj prawda, prawda. Wszystkim się teraz zajmują, w podziemiach przy Puerta del Sol zorganizowali własne sale tortur. Mają w ręku atut: jeśli rząd się im przeciwstawi, Stalin może powiedzieć: „dobra, skoro tak, to przerywamy dostawy broni”. Zmusił ich nawet, żeby przewieźli złoto z Banku Hiszpańskiego do Moskwy. Nieprędko je znowu zobaczą.

Harry pokręcił głową.

- Cieszę się, że postanowiliśmy prowadzić politykę nieinterwencji.

Phillips znowu się roześmiał.- W cholerę z taką nieinterwencją. Gdyby Baldwin pozwolił Francuzom dostarczyć w zeszłym roku broń dla Republiki, nie zbliżyliby się do Sowietów nawet na kilometr. To nasza wina. Republika przegra - Niemcy i Włosi przysyłają wciąż ludzi i broń.

- I co się wtedy stanie?

Phillips wyciągnął po faszystowsku ramię.

- Sieg heil, mój drogi. Kolejne faszystowskie mocarstwo. No, pora do łóżka. Mam pecha, muszę jutro przygotować reportaż z Casa de Campo. Szkoda, że nie przywozłem ze sobą hełmu.

Następnego dnia Harry poszedł do kwatery głównej Czerwonego Krzyża i spytał o pannę Clare. Poproszono go do biura, gdzie za zawalonymi papierami blatem na kozłach siedział wyraźnie udręczony Szwajcar. Rozmawiali po francusku. Urzędnik spojrzał na niego poważnie.

- Zna pan osobiście pannę Clare?
- Nie, znałem jej przyjaciela. Jego rodzice poprosili, żebym się z nią skontaktował.
- Bardzo ciężko to przeżyła. Daliśmy jej zwolnienie chorobowe, ale zastanawialiśmy się, czy nie byłoby lepiej odesłać ją do Anglii.
- Rozumiem.
- To by była straszna szkoda, jest podporą całego naszego biura w tych ciężkich czasach. Nie chce wracać do Anglii, mówi, że zostanie, dopóki nie dowie się na pewno, co się stało z jej

chłopakiem. Ale być może nigdy nie będzie wiedzieć na pewno. - Przerwał. - Przykro mi, ale dostałem skargę na nią od miejscowych władz. Zaczyna ich irytować. A my próbujemy utrzymywać z nimi dobre stosunki. Gdyby pomógł jej pan zobaczyć tę sytuację z innego punktu widzenia...

- Zrobię, co w mojej mocy. - Westchnął. - Wygląda na to, że brakuje tu innych punktów widzenia.

- Nawet bardzo. Pod adresem, który dostał, mieścił się blok. Zapukał do jej drzwi, usłyszał wewnątrz kroki. Zastanawiał się, czy nie pomylił mieszkań, dźwięk brzmiał jak kroki staruszki, ale drzwi otworzyła wysoka młoda kobieta z rozwichrzonymi rudymi włosami i zmęczoną, opuchniętą twarzą. Jej zasłonięte brudnymi okularami, zaskakująco zielone oczy były podkrążone.

- Si? - zapytała obojętnie.

- Pani Clare? Nie zna mnie pani. Nazywam się Brett, Harry Brett.

- Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. - Jestem przyjacielem Berniego.

Jej twarz momentalnie odżyła.

- Czy wiadomo coś nowego? - zapytała z przejęciem. - Czy coś pan wie?

- Niestety, nie. Rodzice Berniego dostali od pani list i poprosili mnie, żebym tu przyjechał i zobaczył, co się da zrobić.

- Aha. - Natychmiast uszła z niej energia, ale otworzyła szerzej drzwi. - Proszę wejść.

Mieszkanie było zagracone i nieposprzątane, w powietrzu czuć było gęsty dym papierosów. Zmarszczyła brwi, spojrzała na niego pytająco.

- Znam skądś pana nazwisko.

- Z Rookwood. Chodziłem tam razem z Bernie.

Uśmiechnęła się, jej twarz naraz nabrała ciepłego wyrazu.

- Oczywiście. Harry. Bernie mówił mi o panu.

- Naprawdę?

- Powiedział, że w szkole był pan jego najlepszym przyjacielem.

- Przerwała. - Ale szkoły nienawidził.

- Pod tym względem się nie zmienił?

Westchnęła.

- Zawsze chodziło o jego przekonania. Wygląda na to, że te jego pieprzone poglądy w końcu go załatwiły. Przepraszam, nie zachowuję się zbyt uprzejmie. - Zgarnęła z fotela stertę ubrań. - Proszę usiąść. Kawy? Niestety, obawiam się, że jest raczej podła.

- Bardzo chętnie, dziękuję. Zrobiła kawę i usiadła naprzeciwko niego. Wydawało się, że znowu uszło z niej życie. Zagłębiła się w fotel, paląc mocnego hiszpańskiego papierosa.
- Był pan w Czerwonym Krzyżu? - spytała.
- Tak. Powiedzieli, że jest pani na zwolnieniu lekarskim.
- Już od prawie dwóch miesięcy. - Pokręciła głową. - Chcą, żebym wróciła do Anglii, mówią, że Bernie na pewno nie żyje. Z początku im wierzyłam, ale teraz nie jestem już taka pewna, nie będę mieć pewności, dopóki ktoś mi nie powie, gdzie jest jego ciało.
- Czy poczyniła pani jakieś postępy w poszukiwaniach?
- Nie. Zaczynają mieć mnie dosyć, powiedzieli, żebym do nich więcej nie przychodziła. Nawet złożyli skargę do Doumergue'a. - Zapaliła kolejnego papierosa. - Bernie poznał podczas walk w Casa de Campo pewnego komisarza, komunistę, który pracował w kwaterze głównej. Kapitan Duro. Był bardzo uprzejmy, próbował dowiedzieć się, czego tylko mógł, ale w zeszłym tygodniu nagle wyjechał, przenieśli go czy coś takiego. Ostatnio było dużo zmian. Zapytałam, czy mogłabym pojechać na front, ale powiedzieli, że nie.
- Może lepiej będzie wrócić do domu.
- Nie mam po co. - Jej spojrzenie stało się szkliste, nieobecne; zdawało się, że zapomniała o jego obecności. Harry'emu było jej potwornie żal.
- Proszę przyjść do mnie do hotelu na lunch.

Posłała mu przelotny, smutny uśmiech i skinęła potakująco.

Następne dwa dni spędzili razem. Chciała usłyszeć od niego wszystko, co pamiętał na temat Berniego. Wydawało się, że podnosiło ją to na duchu, chociaż od czasu do czasu smutek wracał, a jej oczy znowu stawały się szkliste. Nosila stare spódnice i niewyprasowane bluzki, nie malowała się. Wyglądało na to, że nie zwraca uwagi na swój wygląd.

Drugiego dnia poszedł do brytyjskiej ambasady, ale powiedzieli to co wszyscy, że sformułowanie „zaginiony i prawdopodobnie martwy” oznacza po prostu, że nie znaleziono zwłok, które dałoby się zidentyfikować. Harry wrócił do mieszkania Barbary. Wolał nie myśleć, jak zareaguje, kiedy jej o tym powie. Obiecał, że następnego dnia pójdzie odwiedzić kwaterę główną; może bardziej przejmą się pytaniami zadanymi przez mężczyznę. Nie miał pojęcia, co jeszcze można zrobić. Był pewien, że Bernie nie żyje.

Zadzwoił do drzwi i usłyszał szuranie jej kroków. Otworzyła drzwi i oparła się o nie, patrząc na niego. Była pijana.

- Wejdz - powiedziała.

Na stoliku stała w połowie opróżniona butelka wina, a w koszu na papiery leżała kolejna, pusta. Barbara opadła na stojące przy stole krzesło.

- Napij się - powiedziała. - Harry, napij się ze mną.

- Nie myślisz, że dość już wypić? - zapytał łagodnym tonem.

- Nie. Weź szklankę i napij się.

Pozwolił jej nalać sobie wina. Wzniósła swoją szklankę.

- Wypijmy za pieprzoną rewolucję.

- Za pieprzoną rewolucję.

Opowiedział jej, co usłyszał w ambasadzie. Odstawiła szklankę. Jej spojrzenie znowu stało się szkliste.

- On zawsze był taki pełen życia, zawsze. Taki zabawny. Taki piękny. - Spojrzała na niego. -

Powiedział mi, że w szkole niektórzy chłopcy lecieli na niego. Nie podobało mu się to.

- Nie, to prawda, nie lubi tego.

- A ty na niego leciałeś?

- Nie. - Harry uśmiechnął się smutno. Przypomniał sobie noc, kiedy Bernie poszedł do prostytutek. - Czasami zazdrościłem mu jego wyglądu.

- Masz w Anglii dziewczynę?

- Tak. - Zawahał się. - Jest bardzo miła. - Chodził z Laurą od kilku miesięcy. Ze zdziwieniem zorientował się, że od przyjazdu do Madrytu prawie o niej nie myślał.

- Mówią, że dla każdego istnieje gdzieś druga osoba, i tak jest, ale nie mówią, że czasami po prostu ci ją odbierają. Druga połowa odchodzi. Znika. - Przycisnęła dłoń do czoła i zaczęła płakać, szlochając chrapliwie, żałośnie. - Oszukiwałam samą siebie, prawda? On nie żyje.

- Obawiam się, że na to właśnie wygląda - odparł cicho Harry.

- Ale pójdziesz jutro do kwatery głównej, prawda? Porozmawiaj z kapitanem Duro. Ale jeśli nic nowego nie wiadomo, wtedy... wtedy się poddam. Będę musiała przyjąć to do wiadomości.

- Pójdę tam. Obiecuję.

Pokręciła głową.

- Rzadko doprowadzam się do takiego stanu. Musiałam cię zaskoczyć, prawda?

Pochylił się nad stołem i wziął jej rękę.

- Żal mi cię - powiedział łagodnie. - Jest mi cię tak strasznie żal.

Schwyciła jego dłoń, oparła o nią głowę i płakała, płakała; płakała.

Żołnierz przy wejściu do kwatery głównej nie chciał go z początku przepuścić, ale Harry wytłumaczył mu po hiszpańsku, o co chodzi, i to pomogło. W środku opowiedział sierżantowi na służbie, że przyszedł dowiedzieć się czegoś o losach żołnierza, który zaginął w bitwie nad Jaramą. Wymienił nazwisko Berniego oraz tego komunisty, który według Barbary jej pomógł. Sierżant powiedział, że

musi porozumieć się z oficerem, i zaprowadził go do małego, pozbawionego okien biura, żeby tam poczekał. Usiadł przy stole. Patrzył na wiszący na ścianie portret Stalina, jego małe, zmrużone oczka, olbrzymie wąsy, uśmiech wyglądający bardziej jak grymas. W pokoju wisiała też mapa Hiszpanii, na której zaznaczano coraz mniejsze obszary kontrolowane przez Republikę.

Wszedł oficer w hiszpańskim mundurze, pod pachą trzymał teczkę. Był niski, o śniadej cerze, jego twarz była nieogolona i zmęczona. Towarzyszył mu drugi kapitan, wysoki, blady, krzepki mężczyzna. Usiedli naprzeciwko niego. Hiszpan skinął uprzejmie.

- Z tego, co rozumiem, próbuje się pan czegoś dowiedzieć o niejakim kapitanie Duro.- Nie, nie. Próbuję dowiedzieć się czegoś o angielskim ochotniku Bernieem Piperze. Jego dziewczyna była tutaj, powiedziała, że kapitan Duro jej pomagał.

- Czy mogę zobaczyć pana paszport?

Harry podał mu go. Hiszpan otworzył go i podniósł do światła. Chrząknął, po czym włożył dokument do swojej teczki.

- Przepraszam, ale czy mogę poprosić go z powrotem? - powiedział Harry. - Jest mi potrzebny.

Kapitan położył ręce na teczce i zwrócił się do swojego kolegi. Drugi mężczyzna skinął głową.

- Dobrze pan mówi po hiszpańsku, señor - powiedział z obcym, gardłowym akcentem.

- To mój zawód. Wykładam w Cambridge.

- Kto pana tu przysłał?

Harry zmarszczył brwi.

- Rodzice szeregowego Pipera.

- Ale ta kobieta już tu jest. W aktach napisano, że zaginęła i prawdopodobnie nie żyje. To znaczy, że nie żyje, ale nie znaleźli ciała. A mimo to dzień w dzień przychodzi tu ta kobieta z Czerwonego Krzyża, a teraz pan. I zawsze mówicie o kapitanie Duro.

- Proszę posłuchać, chcemy po prostu znać prawdę, tylko o to chodzi. - Harry zaczynał być zły. - Szeregowy Piper przyjechał tu walczyć za waszą Republikę, czy nie jesteście nam winni chociaż tyle?

- Popiera pan nacjonalistów, señor?

- Nie. Jestem Anglikiem, jesteśmy neutralni. - Harry zaczął się niepokoić. Zauważył, że obaj mieli przy pasach rewolwery. Zagraniczny oficer gwałtownym ruchem wziął teczkę od swojego kolegi.

- Widzę, że panna Barbara Clare, która była tu wiele razy, poprosiła o pozwolenie na odwiedzenie pola bitwy. To strefa zastrzeżona. Pracuje dla Czerwonego Krzyża i powinna o tym wiedzieć. Czerwony Krzyż nie bierze odpowiedzialności za jej dociekania.

- Nie pytała w ich imieniu. Proszę posłuchać, Bernie Piper był jej... no cóż, był jej kochankiem.

- A pan jakie ma z nim powiązania?

- Chodziliśmy razem do szkoły.

Kapitan wybuchnął szorstkim, gardłowym śmiechem.

- Pan to nazywa powiązaniem?

- Proszę posłuchać - powiedział. - Przyszedłem tu w dobrej wierze, próbując dowiedzieć się czegoś o zaginionym żołnierzu. Ale jeżeli nie chcą mi panowie pomóc, może będzie lepiej, jeśli sobie pójdę. - Zaczął się podnosić.

- Siedź! - Zagraniczny oficer wstał i popchnął go mocno, uderzając w klatkę piersiową. Harry stracił równowagę i upadł na podłogę. Kiedy wstawał, oficer spojrzał na niego lodowato.

- Siadaj na krześle.

Serce waliło Harry'emu jak młotem. Przypomniał sobie, co dziennikarz powiedział mu o salach tortur przy Puerta del Sol. Hiszpański oficer był niespokojny. Pochylił się i szepnął coś koledze do ucha. Drugi mężczyzna pokręcił niecierpliwie głową, po czym wyjął paczkę papierosów i zapalił. Harry spojrzał na pudełko - napisy były cyrylicą. Oficer się uśmiechnął.

- Tak, jestem Rosjaninem. Pomagamy naszym hiszpańskim towarzyszom w sprawach bezpieczeństwa. Potrzebują pomocy; faszystowscy i trockistowscy szpiedzy są wszędzie. Zadają pytania. Kłamią.

Harry starał się, żeby głos mu nie drżał.

- Przyszedłem tu, by zapytać o przyjaciela...

- Szeregowy Piper nie wstąpił do wojska zgodnie ze standardową procedurą Brygad Międzynarodowych. Po prostu pojawił się w Madrycie w zeszłym roku w listopadzie. To nie jest normalne.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Od lat nie widziałem Berniego.

- A mimo to przyjechał go pan szukać?

- Jego rodzice poprosili mnie o to.

Rosjanin pochylił się naprzód.

- A kto poprosił pana, żeby zapytać o kapitana Duro?

Harry wziął głęboki oddech. Był w piwnicy, w obcym mieście, w którym obowiązywał stan wojenny. Nie było szansy, żeby się stąd wydostał, jeżeli go nie wypuszczą.

- Panna Clare. Powiedziała, że kapitan Duro rozmawiał z nią, kiedy przyszła tu pierwszy raz. Powiedziałem panu, że poznał Berniego w Casa de Campo. Próbował dowiedzieć się czegoś więcej w jej imieniu. Potem powiedziano jej, że go przeniesiono. Nikt inny nie chciał jej pomóc.

- Nareszcie dokądś zmierzamy. Tak się składa, że kapitan Duro nie został przeniesiony. Aresztowano go jako sabotażystę. Ktoś usłyszał, jak mówił, że powinniśmy byli negocjować z

rebeliantami w Barcelonie. - Odchylił się do tyłu i skrzyżował ramiona. - Negocjować z trockisto-faszystowskimi sabotażystami.

- Proszę zrozumieć, naprawdę nic o tym nie wiem. Jestem tu ledwie od trzech dni.

- Z teczki szeregowego Pipera wynika, że kiedy został ranny podczas walk w Casa de Campo, zaproponował pomoc przy przyjmowaniu nowych ochotników z Anglii. Ale odniesiono wrażenie, że był burżujem, sentymentalistą, kimś, kto łatwo mógłby nie zgodzić się z niektórymi surowymi zasadami, które są nam niezbędne. Odniesiono wrażenie, że lepiej będzie, jeśli pozwoli mu się wrócić do zdrowia, a potem odeśle go na front. Był materiałem na zwykłego żołnierza, nie był jednym z tych ludzi ze stali, jakich nam teraz trzeba.

Harry patrzył na Rosjanina w milczeniu.

- Takich ludzi łatwo uwodzą trockisto-faszyści. - Rosjanin odwrócił się do swojego kolegi. Hiszpan nachylił się bliżej; Harry usłyszał wypowiedziane szeptem słowa „Czerwony Krzyż”. Rosjanin zmarszczył brwi.

- Porozmawiajmy o tym na zewnątrz. - Zwrócił się do Harry'ego. - Pan, señor Brett, zostanie tutaj. - Harry'ego przeszył dreszcz, nagle zrobiło mu się zimno, mimo że był w gorącym, dusznym pokoju.

Żołnierze wyszli. Harry słyszał stłumione głosy. Gorączkowo rozważał, co się stanie, jeżeli go gdzieś zabiorą. Barbara czekała na niego w mieszkaniu. Po wczorajszym wybuchu wydawała się spokojniejsza, miał nadzieję, że nie zaczęła znowu pić. Jeśli nie wróci, będzie go szukać. Ręce zaczęły mu się pocić. Powiedział sobie, że nie może ulec panice.-

Głosy na korytarzu stały się głośniejsze. Usłyszał, jak Rosjanin krzyczy: „Kto tu dowodzi!?”. Rozległ się odgłos odchodzących kroków, po czym zapadła cisza, tak gęsta, że prawie namacalna. Przypomniał sobie, jak chłopcy w szkole dyskutowali ochoczo o różnych rodzajach tortur. Co robiło człowiekowi łamanie kołem, miażdżenie kciuków, nowe rodzaje z użyciem prądu...

Otworzyły się drzwi i do środka wszedł hiszpański oficer, sam, jego twarz miała kamienny wyraz. Podał Harry'emu paszport.

- Powinien się pan cieszyć, że ma pan kontakty w Czerwonym Krzyżu - powiedział chłodno. - Niech pan będzie wdzięczny, że potrzebujemy od nich lekarstw. Może pan iść. Proszę się wynosić, zanim on zmieni zdanie. - Spojrzał Harry'emu prosto w oczy. - Ma pan dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie Hiszpanii.

Po powrocie do mieszkania Harry opowiedział Barbarze, co zaszło. Musiał natychmiast wyjeżdżać z Hiszpanii i lepiej by było, żeby ona również wyjechała. Nie powinna nigdy więcej wracać do kwatery głównej. Myślał, że może nie uwierzyć w to, co mu się przytrafiło, ale uwierzyła.

- Wiemy, co się dzieje - powiedziała cicho. - My, to znaczy Czerwony Krzyż. Wiemy o aresztowaniach i zniknięciach. - Pokręciła głową. - Po prostu przestałam o tym myśleć. Nie myślałam o niczym innym, byle tylko dowiedzieć się czegoś o Berniem. Byłam strasznie samolubna. Przepraszam, że musiałeś przez to przejść.

- Sam się zgłosiłem, że pójdę. Chyba oboje byliśmy naiwni.
- Ja nie mogę się tak łatwo wytłumaczyć, jestem tu od dziewięciu miesięcy.
- Barbaro, powinnaś wrócić do Anglii.
- Nie. - Wstała. W jej ruchach odżyło zdecydowanie. - Wrócę do pracy, powiem Doumergue'owi, co się stało. Spróbuję załatwić sobie przeniesienie.
- Na pewno dasz sobie z tym radę?

Uśmiechnęła się słabo. - Lepiej, jeśli będę pracować. Łatwiej się w ten sposób pozbięram.

Harry pojechał do hotelu i spakował się, po czym wrócił na kolację do mieszkania Barbary. Żadne z nich nie miało ochoty iść do miasta.

- Muszę zachować odrobinę nadziei - powiedziała. - Nie mogę zaakceptować tego, że Bernie nie żyje.
- Co masz zamiar robić dalej?

Uśmiechnęła się dzielnie.

- Namówiłam Doumergue'a, żeby mnie przeniósł. Będę pomagać w załatwianiu zaopatrzenia medycznego w Burgos.
- W strefie nacjonalistów?
- Tak. - Uśmiechnęła się słabo. - Zobaczą, jak to wygląda od drugiej strony. W Burgos nie toczą się walki, miasto leży dość daleko od frontu.
- Będziesz w stanie to wytrzymać? Pracę z ludźmi, przeciwko którym walczył Bernie?
- Och, nacjonaści i komuniści są siebie warcii. Wiem o tym, ale chcę po prostu wykonywać swój zawód, pomóc ludziom, którzy nie są po żadnej ze stron. Pieprzyć tę cholerną politykę. Nic mnie już nie obchodzi.

Harry spojrział na nią. Zastanawiał się, czy na pewno da sobie radę.

- Czy czujesz obecność Berniego? - zapytała nagle. - Tu, w mieszkaniu?
- Nie. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Nie mam takich zdolności.
- Czasem ogarnia mnie coś w rodzaju ciepła, jakby tu był. To pewnie tylko dowodzi, że nie żyje.
- Cokolwiek się stanie, masz trochę miłych wspomnień. Za jakiś czas będziesz mogła się tym pocieszać.
- Pewnie tak. A co ty ze sobą poczniesz?

Uśmiechnął się.

- Wrócę do domu, do codziennego życia.

- Wygląda na to, że dobrze ci się układa. Czy jesteś szczęśliwy?
- Chyba zadowolony. Może nie powinienem oczekiwać więcej.- Ja zawsze chciałam więcej. - Przez moment patrzyła jakby gdzieś daleko przed siebie. - O Boże, w Burgos naprawdę będę musiała się pozbierać. - Uśmiechnęła się. - Napiszesz do mnie?
- Tak, oczywiście.
- Napisz mi o Cambridge, kiedy znowu będę tkwić po uszy w moich formularzach. - Posłała mu znowu ten sam przelotny, smutny uśmiech.

Rozdział siedemnasty

Generał Maestre mieszkał w osiemnastowiecznym dworcu na północnych przedmieściach. Wysłał po Harry'ego i Tolhursta samochód, dużego amerykańskiego lincolna. Było późno, przejechali z dużą szybkością Castellaną, z której zdjęto już nazistowskie flagi. Himmler wyjechał, ale poprzedniego dnia w gazetach pojawiła się jeszcze bardziej sensacyjna wiadomość: Hitler i Franco spotkali się w miasteczku Hendaye na granicy francuskiej i przez sześć godzin prowadzili rozmowy. Gazety przewidywały, że Hiszpania niedługo przystąpi do wojny.

- Tak naprawdę spotkanie nie przebiegło pomyślnie; to wiadomość od Sama - powiedział Hillgarth tego popołudnia Harry'emu i Tolhurstowi. Wezwał ich na spotkanie w biurze Tolhursta. Był ubrany w zwykły garnitur i wydawał się zmęczony. Siedział z nogą założoną na nogę i machał stopą. - Ma źródło w obstawie Franco. Jego zdaniem Franco powiedział Hitlerowi, że przystąpi do wojny, tylko jeśli Hitler zagwarantuje mu odpowiednią ilość zapasów. Wie, że nic nie puścimy przez blokadę. No cóż, miejmy nadzieję, że to prawda. - Wziął z wąskiego biurka Tolhursta egzemplarz „ABC”. Na okładce widniał Generalísimo, wychylający się z okna królewskiego pociągu, by pozdrawić Hitlera. Uśmiechał się szeroko, oczy mu błyszczały.

- Franco jest odurzony Hitlerem, chce być częścią nowego porządku. - Hillgarth pokręcił głową, po czym przyjrzał im się bacznie. - Obaj jedziecie dzisiaj wieczorem na to przyjęcie, prawda? Spróbujcie dowiedzieć się od Maestre czegoś o tym, jak się ma nowy ministerhandlu. Carceller wygłosił ostatnio profaszystowskie przemówienie, Maestre może nie przetrwać zbyt długo jako jego zastępca. Możemy stracić przyjaciela.

- Widział pan raport od naszego człowieka z Gerony, panie komandorze? - zapytał Tolhurst. - O pociągach, które jadą w stronę francuskiej granicy z napisami „Dla naszych niemieckich sprzymierzeńców”?

Hillgarth skinął głową. Poruszył się w krześle, opuścił nogę, żeby odpocząć.

- Czas wziąć się porządnie za Forsytha, panie Brett. Proszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym cholernym złocie. Co z tą kobietą, Clare, jakie jest jej miejsce w tym wszystkim?

- Nie wydaje mi się, żeby Barbara coś wiedziała.

Hillgarth zmierzył go baczny spojrzeniem.

- Niech się pan dowie - powiedział krótko. - Zna ją pan.

- Nie najlepiej. Ale spotykamy się w poniedziałek na lunch. - Zadzwoił poprzedniego dnia. Wydawało mu się, że Barbara się waha, ale przyjęła jego zaproszenie. Harry poczuł wyrzuty sumienia, ale z drugiej strony bardzo był ciekaw, jak wyglądał jej związek z Sandym. Pomyślał, że bycie szpiegiem pobudza wścibstwo. - Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli będę drążył temat okazji do interesów, o których wspomniał Sandy - kontynuował. - Może dzięki temu zdobędę przynajmniej ogólne pojęcie o tym, co robi.

- Kiedy znowu ma się pan z nim spotkać?

- Pomyślałem, że ustalę coś w poniedziałek, kiedy spotkam się z Barbarą.

Hillgarth znowu zamachał stopą.

- To sprawa niecierpiąca zwłoki. Powinieneś być się umówić, kiedy rozmawiałeś z nią przez telefon.

- Nie chcemy, żeby wyglądał na zbyt zainteresowanego - wtrącił Tolhurst.

Hillgarth machnął niecierpliwie ręką.

- Potrzebujemy tych informacji. - Wstał gwałtownie. - Muszę iść. Proszę się tym zająć.

- Tak jest, panie komandorze.- Martwi się - powiedział Tolhurst, kiedy drzwi się zamknęły. - Lepiej załatw szybko następne spotkanie z Forsythem.

- W porządku. Ale Sandy jest cwany.

- Musimy być bardziej cwani.

Bal był oparty na motywie mauretańskim. Przy drzwiach frontowych stało dwóch marokańskich wartowników w turbanach i długich żółtych płaszczach, w rękach trzymali lance. Mijając ich, Harry spojrzał na ich niewzruszone twarze i przypomniał sobie, jaką brutalną reputacją cieszyli się Maurowie podczas wojny domowej.

Hol był obwieszony mauretańskimi gobelinami. Goście krążyli po sali, mężczyźni w smokingach, spora część kobiet w szerokich andaluzyjskich spódnicach. Odsunięto ruchomą ścianę oddzielającą hol od salonu, dzięki czemu powstała jedna wielka sala. Była pełna ludzi. Służący, Hiszpan, ale ubrany w fez i kaftan, zapisał ich nazwiska i gestem przywołał kelnera, żeby podał im napoje.

- Znasz kogoś? - zapytał Harry.

- Jedną czy dwie osoby. Popatrz, Goach. - W rogu stał ekspert od protokołu dyplomatycznego i żywo dyskutował z wysokim, ubranym na czerwono duchownym. - To katolik, kocha rozmawiać z wielebnymi.

- Popatrz na tych poprzebieranych kelnerów. Musi im być gorąco.

Tolhurst pochylił się bliżej.

- Skoro mowa o Maroku, popatrz tam.

Harry podążył za jego wzrokiem. Na środku pomieszczenia stał Maestre i dwóch innych mężczyzn, podobnie jak on w mundurach. Jeden był porucznikiem, drugi generałem, jak Maestre. Był wyjątkową postacią. Starszy, chudy, o siwych włosach, mówił, żywo gestykulując, tak, że jego towarzysze ryzykowali ochłapanie napojem z kieliszka, który trzymał w dłoni. Drugi rękaw jego marynarki wisiał luźno, pusty. Jego porwana szramami twarz była trupioblada. Miał tylko jedno oko, do drugiego oczodołu przytwierdzona była czarna opaska. Zaśmiał się, odsłaniając prawie bezzębne usta.- Milian Astray - powiedział Tolhurst. - Trudno pomylić go z kimś innym. Założyciel hiszpańskiej legii cudzoziemskiej. Astray jest pro-faszystowski i zupełnie obłąkany, ale jego dawni żołnierze go uwielbiają. Franco pod nim służył, Maestre też. Jest dowódcą wybrańców śmierci.

- Kogo?

- Tak nazywają legię cudzoziemską. Przy nich francuska legia to panny ze szkółki niedzielnej. - Tolhurst nachylił się bliżej. - Komandor opowiedział mi historię o Maestre. Podczas rebelii w Maroku przyjechały tam zakonnice z jakiegoś zakonu pielęgniarskiego. Maestre i jego ludzie powitali je w porcie w Melilli i podarowali im olbrzymi kosz róż. Między nimi leżały głowy dwóch przywódców marokańskiej rebelii.

- To brzmi dosyć niewiarygodnie. - Harry spojrzął znowu na Maestre. Milian Astray gestykulował jeszcze żywiej niż przedtem i wydawało się, że Maestre jest trochę zniecierpliwiony, ale -wciąż stał i uprzejmie słuchał.

- Maestre sam o tym opowiedział komandorowi Hillgarthowi. Podobno zakonnice nawet nie mrugnęły okiem. Legia miała lekkiego fioła na punkcie dekapitacji, lubili defilować z głowami zatkniętymi na bagnety. - Tolhurst pokręcił z niedowierzaniem głową. - Teraz połowa rządu pochodzi z legii cudzoziemskiej. To jedna rzecz, która trzyma monarchistów i falangistów razem. Wspólna przeszłość.

Milian Astray odstawił kieliszek i złapał za ramię drugiego towarzysza Maestre. Nie przestawał żywo dyskutować. Harry zauważył, że jedyna jego ręka nie miała wszystkich palców. Maestre widząc, że Harry patrzy w ich stronę, powiedział coś cicho do Miliana Astraya. Mężczyzna skinął głową i Maestre wraz z porucznikiem podeszli do Harry'ego i Tolhursta. Po drodze Maestre szepnął coś do drobnej, pulchnej kobiety w szerokiej andaluzyjskiej spódnicy oraz w długich białych rękawiczkach; przyłączyła się do nich. Maestre wyciągnął dłoń do Harry'ego i uśmiechnął się uprzejmie.

- Ach, señor Brett. Bardzo się cieszę, że mógł pan przyjść. Señor Tolhurst, jak miemam?y

- Tak, panie generale. Dziękuję za zaproszenie.

- Zawsze z radością zapraszam moich przyjaciół z ambasady. Powinienem zajmować się gośćmi, ale akurat wspominaliśmy dawne czasy w Maroku. To moja żona, Elena.

Harry i Tolhurst ukłonili się.

- A to moja prawa ręka z tamtych czasów, porucznik Alfonso Gómez.

Drugi mężczyzna uściśnął im dłonie i skłonił się sztywno. Był niski i krępy, jego twarz miała kolor mahoni, a oczy patrzyły bystro.

- Panowie są Anglikami? - zapytał.
- Tak, pracujemy w ambasadzie. Señora Maestre uśmiechnęła się.
- Słyszałam, señor Tolhurst, że był pan w Eton.
- To bardzo dobra szkoła. - Maestre skinął głową z aprobatą. - Tam wychowują angielskich dżentelmenów, prawda?
- Mam taką nadzieję, panie generale.
- A pan gdzie chodził, señor Brett? - spytała señora Maestre.
- Do innej prywatnej szkoły, Rookwood. - Zobaczył, że Gomez mierzy go wzrokiem.

Señora Maestre skinęła głową.

- A czym się zajmuje pańska rodzina? Harry'ego zaskoczyła jej bezpośredniość.
- Mam wojskowe pochodzenie. Skinęła głową z zadowoleniem.
- To świetnie, tak jak my. I jest pan wykładowcą w Cambridge?
- Patrzyła na niego bystro, próbowała go wybadać.
- Tak. W czasach pokoju. Tylko wykładowcą, nie profesorem. Maestre pokiwał głową z aprobatą.
- Cambridge. Spędziłem tam wspaniałe chwile, już panu o tym wspominałem, señor Brett. To tam zakochałem się w Anglii.
- Muszą panowie poznać moją córkę - powiedziała señora Maestre.
- Nigdy jeszcze nie miała okazji spotkać Anglika, tylko samych Włochów, a oni nie mają na nią dobrego wpływu. - Spojrzała na nich znacząco i lekko zadrżała.
- Tak, niech panowie pójdą z Eleną - powiedział Maestre. Kiedy Harry go mijał, generał dotknął jego ramienia. Jego bystre, brązowe oczy patrzyły poważnie.
- Dzisiejszego wieczoru jest pan wśród przyjaciół - powiedział cicho. - Nie ma tu Niemców ani niebieskich koszul, poza Milianem Astrayem, ale on jest kimś wyjątkowym. Ostatnio nie narzeka na nadmiar zajęć, zaprosiliśmy go przez uprzejmość.

Harry i Tolhurst podążyli za señorą Maestre, która szła przez tłum, szeleszcząc spódnicą. Po drugiej stronie sali stały nieśmiało trzy dziewczyny, w rękach trzymały kryształowe kieliszki z winem. Dwie z nich były ubrane w suknie do flamenco, trzecia, niska i zaokrąglona jak jej matka, o oliwkowej cerze, okrągłej twarzy i wyraźnych rysach miała na sobie białą jedwabną suknię wieczorową. Señora Maestre klasnęła w dłonie, na co podniosły wzrok. Harry na moment przypomniał sobie śpiewaczki flamenco, które tańczyły w El Toro, kiedy byli w Hiszpanii z Berniem dziewięć lat temu. Ale tamte były ubrane na czarno.

- Milagros! - powiedziała señora Maestre. - Powinnaś porozmawiać z twoimi gośćmi. Señor Brett, señor Tolhurst, to moja córka Milagros i jej przyjaciółki, Dolores i Catalina. - Zwróciła się prędko w stronę przechodzącego obok mężczyzny. - Marqués! Jak to miło, że pan przyszedł! - Wzięła mężczyznę pod ramię i odeszła.

- Czy jest pan z Londynu? - zapytała Milagros Harry'ego, uśmiechając się nieśmiało. Wydawała się zdenerwowana, niepokojąca siebie.

- Z okolic. Z miejsca, które nazywa się Surrey. Simon jest z Londynu, prawda?

- Co... A, tak. - Tolhurst zaczerwienił się, na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Kosmyk włosów opadł mu na twarz; odgarnął go, prawie rozlewając swojego drinka. Przyjaciółki Milagros wymieniły spojrzenia i zachichotały.

- Widziałam zdjęcia waszego króla i królowej - powiedziała Milagros. - I księżniczek. Ile one mają teraz lat?

- Księżniczka Elżbieta ma czternaście lat.

- Jest bardzo ładna, nie sądzi pan?

- Tak, to prawda.

Podszedł kelner i napełnił im kieliszki. Harry uśmiechnął się do Milagros, rozpaczliwie szukając czegoś ciekawego do powiedzenia.

- A więc kończy pani dzisiaj osiemnaście lat.

- Tak, dzisiaj wychodzę w świat. - Powiedziała to z odrobiną żalu w głosie, może za skończonym dzieciństwem. Przez moment przyglądała się Harry'emu i uśmiechnęła się, jakby rozluźniona.

- Tata mówił, że jest pan tłumaczem. Od dawna się pan tym zajmuje?

- Nie. Byłem wykładowcą na uniwersytecie.

Milagros znowu się uśmiechnęła, tym razem smutno.

- Nie szło mi zbyt dobrze w szkole. Ale te czasy już minęły.

- Tak - powiedziała radośnie jedna z jej przyjaciółek. - Teraz czas, żeby znalazła sobie męża. - Zachichotały, a Milagros się zarumieniła. Harry'emu zrobiło się jej żal.

- To ciekawe - wtrącił się nagle Tolhurst. - Pani imię, Milagros, i pani, Dolores. Bardzo dziwnie brzmią po angielsku - Cuda i Smutek. Nie mamy u nas religijnych imion dla dziewcząt. - Zaśmiał się. Dziewczyny spojrzały na niego lodowato.

- Oprócz Nadziei - powiedział z zakłopotaniem Harry.

- Señor Simon, czy nie jest panu trochę gorąco? - zapytała złośliwie Dolores. - Może chciałby pan ściereczkę, żeby przetrzeć czoło?

Tolhurst zaczerwienił się jeszcze bardziej.

- Nie, nie, nic mi nie jest, ja...
- O, Dolores, popatrz, Jorge przyszedł - powiedziała z podnieceniem Catalina. - Chodź. - Obie dziewczyny, chichocząc, odeszły w stronę przystojnego młodego mężczyzny w mundurze kadeta. Milagros wydawała się zawstydzona.
- Przepraszam, moje przyjaciółki nie są zbyt uprzejme.
- Nic nie szkodzi - powiedział z zakłopotaniem Tolhurst. - Ja, tego, pójdę poszukać czegoś do jedzenia. - Odszedł ze spuszczoną głową.

Harry uśmiechnął się współczująco.

- Chyba od dawna nie był na tak dużym przyjęciu.

Dziewczyna wyjęła wachlarz i zaczęła wachlować lekko twarz.

- Ja też nie, od czasu, kiedy rok temu wróciliśmy do Madrytu, nie byłam na żadnym przyjęciu. Ale rzeczy powoli wracają do normalności. Chociaż to dziwne uczucie po tak długim czasie.
- Tak, to prawda. To też moje pierwsze przyjęcie od... dawna. - Od Dunkierki. Harry czuł, że dziwnie odstawał od reszty gości, jakby oddzielała go od nich szklana ściana. W chorym uchu nie słyszał nic oprócz kakofonii dźwięków.

Milagros spojrzała na niego poważnie. Odwrócił głowę zdrowym uchem w jej stronę.

- Mam ogromną nadzieję, że Hiszpania będzie się trzymać z dala od wojny w Europie - powiedziała. - A co pan sądzi, señor?
- Ja też mam taką nadzieję.

Milagros przyjrzała mu się z uwagą.

- Proszę wybaczyć, że pytam, ale czy jest pan żołnierzem? W mojej rodzinie od pokoleń byli żołnierze i nie potrafię nie zauważyć, kiedy mężczyzna stoi niepewnie jak pana przyjaciela. Ale pan stoi jak żołnierz.
- Jest pani bardzo bystra. Byłem w wojsku, odszedłem ledwie kilka miesięcy temu.
- Kiedy byłem mała, tata służył w Maroku. To było straszne miejsce, ucieszyłam się, kiedy wróciliśmy do kraju. Ale wtedy przyszła wojna domowa. - Uśmiechnęła się, próbując zdobyć się na wesołość. - A pan był długo w wojsku, señor?
- Nie. Wstąpiłem do armii dopiero, kiedy zaczęła się wojna.
- Mówią, że naloty na Londyn są straszne.
- Owszem. To trudne czasy. - Przypomniał sobie spadające bomby.
- To takie smutne. Słyszałam, że Londyn jest piękny. Jest w nim dużo muzeów i galerii sztuki.
- Tak. Obrazy wywieziono na czas wojny.

- W Madrycie mamy Prado. Wieszają w nim z powrotem obrazy. Nigdy ich nie widziałam, mam ochotę tam pójść. - Uśmiechnęła się do Harry'ego zachęcająco, ale też nieśmiało. Chce, żebym ją tam zabrał, pomyślał. To mu pochlebiało, ale ona była taka młoda, ledwie przestała być dzieckiem.»

- No cóż, ja też chciałem pójść, chociaż ostatnio jestem bardzo zajęty...

- Byłoby mi bardzo miło. Mamy telefon, mógłby pan zadzwonić do mamy i ustalić szczegóły...

Pojawiły się znowu Catalina i Dolores, otoczone grupką kadetów. Milagros zmarszczyła brwi.

- Milagros, musisz poznać Carlosa. Ma już medal, walczył z komunistycznymi bandytami na północy...

- Bardzo przepraszam - powiedział Harry. - Powinienem znaleźć Simona. - Udało mu się wymknąć. Odetchnął z ulgą. Była bardzo sympatyczna, ale to wciąż dziecko. Od przechodzącego obok kelnera wziął kolejny kieliszek. Powiedział sobie, że powinien uważać, ile pije. Pomyślał o Sofii, co zdarzyło mu się kilka razy od poprzedniego dnia. Była taka pełna życia i energii. Nie powiedział nic Hillgarthowi o szpiegu. Postanowił dotrzymać obietnicy.

Tolhurst stał na środku sali i rozmawiał z Goachem, który patrzył na niego przez monokl z pewnym niesmakiem. Biedny Tolly, pomyślał nagle Harry. Ze swoją potężną budową Tolhurst powinien wyglądać imponująco, ale zawsze wydawał się lekko zgarbiony, jakby opadł z sił.

Goach rozweselił się, kiedy Harry dołączył.

- Dobry wieczór, panie Brett. No, niech pan lepiej ma się na baczności. Generał i jego żona szukają dobrej partii dla Milagros. Brat generała mi powiedział. Wielebny Maestre. - Skinął głową w stronę księdza, który rozmawiał z dwiema starszymi kobietami. Harry dostrzegł w jego chudej twarzy i władczym zachowaniu pewne podobieństwo do generała.

- Zna go pan?

- Tak, to bardzo uczonego człowiek. Ekspert w dziedzinie hiszpańskiej liturgii za czasów rekonkwisty. - Goach uśmiechnął się i skłonił, bo wielebny podszedł, słysząc swoje imię.

- Ach, George - powiedział wielebny po hiszpańsku. - Właśnie dostałem więcej datków. - Zmierzył spojrzeniem Harry'ego i Tolhursta, szybko i bystro jak jego brat.

- Świetnie, świetnie. - Goach przedstawił ich sobie. - Wielebny stoi na czele fundacji mającej na celu odbudowanie wszystkich spalonych w Madrycie kościołów. Watykan bardzo pomaga, ale to olbrzymie wyzwanie, potrzebują dużo pieniędzy.

Wielebny Maestre pokręcił ze smutkiem głową.

- Tak jest w istocie. Ale powoli zmierzamy do celu, chociaż nikt nie zastąpi naszych męczenników, zamordowanych księży i zakonnic.

- Zwrócił się do Harry'ego i Tolhursta. - Pamiętam, że w czasie wojny niektóre angielskie kościoły przesyłały nam zebrane przez wiernych datki, żeby pomóc nam odzyskać to, co straciliśmy. To była dla nas wielka pociecha, czuliśmy, że nie zostaliśmy zapomniani.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedział Harry. - To musiały być trudne czasy.

- Nie wyobraża pan sobie, co oni nam robili, señor. Może i lepiej, że pan o tym nie wie. Chcemy odbudować kościoły w La Latinie i Carabanchel. - Ksiądz spojrział poważnie na Harry'ego. - Ludzie w tym kraju potrzebują światła przewodniego, czegoś, co będzie ich prowadzić.

- Niedaleko miejsca, gdzie mieszkam, na skraju La Latiny jest spalony kościół - powiedział Harry.

Twarz wielebnego zeszywniała.

- Owszem, a ludzie, którzy to zrobili, muszą zobaczyć, że nie można zniszczyć władzy Kościoła Chrystusowego. Że wróciliśmy silniejsi niż przedtem.

Goach skinął głową.

- Co racja, to racja.

Rozległ się chrapliwy śmiech; wielebny Maestre zmarszczył brwi.

- Szkoda, że mój brat zaprosił Miliana Astraya. To straszny inculto¹. I do tego falangista. Oni wszyscy są tak strasznie niereligijni.

- Uniósł brwi. - Potrzebowaliśmy ich w czasie wojny, ale teraz... Cóż, Bogu niech będą dzięki, że Generalísimo jest prawdziwym chrześcijaninem.

i Osoba niekulturalna, nieobyta.- Niektórzy falangiści chętnie zamieniliby go w Boga - powiedział cicho Goach.

- W rzeczy samej.

Harry popatrzył na nich. Mówili bardzo otwarcie, ale w końcu na przyjęciu byli sami monarchiści, z wyjątkiem Miliana Astraya. Kaleki generał trzymał się teraz grupy kadetów; wyglądało na to, że chłonęli każde jego słowo.

Wielebny wziął Goacha pod ramię.

- George, chodź ze mną, chcę, żebyś poznał sekretarza biskupa.

- Skłonił się lekko Harry'emu i Tolhurstowi i odszedł razem z Goa-chem, kołyszając sutanną. Tolhurst pociągnął łyk wina.

- Myślałem, że nigdy nie przestanie. Jak ci poszło z señoritą?

- Chce, żebym zabrał ją do Prado. - Harry spojrział przez ramię w stronę, gdzie Milagros znowu rozmawiała z przyjaciółkami. Zobaczyła, że na nią patrzy, i uśmiechnęła się niepewnie. Poczł wyrzuty sumienia, jego nagłe odejście musiało wydać się jej nieuprzejme.

- Mnóstwo tu kociaków. - Tolhurst wytarł okulary w rękaw. - Naśmiewanie się z ich imion było chyba trochę głupie. Nie wiem, jakoś mi się nigdy nie układa z dziewczynami w sytuacjach towarzyskich.

- Zachwiał się trochę, był bardziej niż lekko pijany. - Widzisz, byłem na Kubie przez tyle lat, że przyzwyczałem się do dziwki. - Zaśmiał się. - Lubię dziwki, ale człowiek zapomina, jak rozmawiać z przyzwoitymi panienkami. - Spojrzał na Harry'ego. - A więc señońta Maestre nie jest w twoim typie?

- Nie. >

- Żadna z niej Vera Lynn1, co?

- Jest młoda. Biedna dziewczyna, martwi się o przyszłość.

- Jak my wszyscy. Słuchaj, w dziale prasowym jest gość, który zna taki mały burdelik przy operze...

Harry szturchnął go, żeby był cicho. Maestre szedł w ich stronę, uśmiechając się szeroko.

- Señor Brett, mam nadzieję, że Milagros pana nie zostawiła?

i Słynna angielska piosenkarka, znana zwłaszcza podczas II wojny światowej.J»

- Nie, nie. Grodnie pana reprezentowała, generale.

Maestre spojrzał w stronę, gdzie dziewczyny były pogrążone w rozmowie z innymi kadetami. Pokręcił pobłaźliwie głową.

- Obawiam się, że nie są w stanie oprzeć się młodemu oficerowi. Młodzież żyje teraz tylko dla chwili obecnej. Musi im pan wybaczyć.

Pewnie mu się wydaje, że to Milagros mnie zostawiła, pomyślał Harry.

Maestre napił się, wytarł swoje wąsiki i spojrzał na nich.

- Panowie - powiedział - obaj znacie komandora Hillgartha, prawda? Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Tak, panie generale. - Twarz Tolhursta od razu zrobiła się czujna.

- Powinien wiedzieć, że w rządzie panuje spore niezadowolenie z powodu Negrina. Anglia nie powinna udzielać schronienia republikańskiemu premierowi. Takie wydarzenia w brytyjskim parlamencie denerwują moich przyjaciół. - Pokręcił głową. - Wy, Anglicy, często hodujecie żmije na własnym łonie.

- To trudna sytuacja, panie generale - powiedział poważnym tonem Tolhurst. - Nie wiem, w jaki sposób Izba Gmin zwietryżyła, że sir Samuel zarekomendował, by Negrin wyjechał, ale laburzystów bardzo to zdenerwowało.

- Ależ z pewnością macie władzę nad waszym parlamentem?

- Nie bardzo - odparł Tolhurst. - Mamy demokrację - dodał przepaszająco.

Maestre rozłożył dłonie i uśmiechnął się ze zdziwieniem.

- Ale Anglia nie jest taką dekadencją republiką, jaką była Francja, macie monarchię i arystokrację, rozumiecie zasady władzy autorytarnej.

- Powiem o tym komandorowi Hillgarthowi - powiedział Tolhurst. - A przy okazji, panie generale - dodał cicho - komandor pyta, jak tam nowy minister.

Maestre skinął głową.

- Proszę mu powiedzieć, że w tej kwestii nie ma się czym przejmować - odparł cicho.

Pojawiła się señora Maestre. Poklepała męża w ramię wachlarzem.- Santiago, znowu rozmawiasz o polityce? To bal dla naszej córki.

- Pokręciła głową. - Muszą mu panowie wybaczyć.

Maestre uśmiechnął się.

- Oczywiście masz rację, moja droga.

Uśmiechnęła się promiennie do Harry'ego i Tolhursta.

- Słyszałam, że Juan March jest w Madrycie. Jeśli wrócił na dobre, na pewno wyda jakieś przyjęcie.

- Podobno to tylko krótka wizyta - odparł Maestre. Harry spojrzął na niego. Znowu Juan March. Nazwisko, o którym Hillgarth kazał mu zapomnieć, tak jak o Rycerzach Świętego Jerzego.

- To biznesmen, który odnosi w Hiszpanii wielkie sukcesy - powiedziała senora Maestre z uśmiechem. - Oczywiście za czasów Republiki musiał wyjechać. Dobrze by było, gdyby wrócił. Nie wyobrażacie sobie, panowie, jakie szare było życie w strefie nacjonalistów za czasów wojny domowej. Rzecz jasna musiało tak być. A kiedy wróciliśmy..! - Przez jej twarz przemknął cień.

- Ten dom był na wpół zrujnowany - powiedział Maestre. - Porządne meble zużyto na opał. Wszystko było potłuczone i poniszczzone. Rodziny, które tu umieścili republikanie, nie umiały nawet korzystać z toalety, ale najgorzej było z naszymi pamiątkami rodzinnymi, fotografie sprzedano na Rastro, bo miały srebrne ramki. Widzicie panowie, dlaczego fakt, że Negrin znalazł w Londynie schronienie, irytuje ludzi.

- Maestre spojrzął w stronę swojej córki, nagle jego twarz przybrała wyjątkowo czuły wyraz. - Milagros jest delikatnym dzieckiem, bardzo to wszystko przeżyła. Nie jest szczęśliwa. Boję się, że jest zbyt delikatnym kwiatem, by móc bezpiecznie się rozwinąć w obecnych czasach w Hiszpanii. Czasami nawet myślę, że może byłaby szczęśliwsza za granicą. - Objął żonę ramieniem. - Kochanie, chyba powinniśmy rozpocząć tańce. Poproszę naszą orkiestrę, żeby zaczęła. - Uśmiechnął się do Harry'ego. - Dla Milagros mamy wszystko, co najlepsze. Powiem jej, że musi z panem zatańczyć. Proszę nam wybaczyć. - Odszedł, prowadząc żonę.

- O cholera - powiedział Tolhurst. - Jeśli chodzi o taniec, jestem beznadziejny.i

- Ten Juan March - powiedział obojętnym tonem Harry - to całkiem ważna osoba, co?

- No. Jest milionerem. Typ spod ciemnej gwiazdy, zaczął karierę jako przemytnik. Mieszka w Szwajcarii, zabrał stąd wszystkie pieniądze, nim zaczęła się wojna. Jest zwolennikiem monarchistów. Pewnie przyjechał tu w interesach. - Tolhurst mówił to beztróskim tonem, ale Harry zauważył, że spojrzał na niego uważnie. Tolhurst zmienił temat.

- To straszne, jakie straty ponieśli Maestre, zresztą wszystkie rodziny z wyższej i średniej klasy strasznie ucierpiały. Jedną rzecz, którą trzeba przyznać temu reżimowi, to to, że potrafi bronić interesów... no wiesz, ludzi z naszej klasy.

- Tak, pewnie masz rację. Nasza klasa. Wiesz, tak się zastanawiałem. Może to śmieszne, ale to, iż obaj z Sandym chodziliśmy do Rookwood znaczy teraz więcej dla niego niż dla mnie. Wciąż ma wobec tej szkoły jakieś uczucia, chociaż w jego przypadku to tylko nienawiść.

-A ty?

- Już sam nie wiem, Tolly.

Pojawiła się señora Maestre, a wraz z nią czterech mężczyzn w smokingach, niosących instrumenty muzyczne. Za nimi weszła grupka ubranych w kaftany służących, którzy pchali niewielki drewniany podest. Goście zaczęli bić brawo i wiwatować. Harry zobaczył, że stojąca po drugiej stronie sali Milagros macha w jego stronę wachlarzem. Uniósł w górę kieliszek. Stojący za nim Tolhurst westchnął.

- O rany - powiedział. - No to jedziemy.

Rozdział osiemnasty

Barbara nie chciała pójść na spotkanie z Harrym. Przed trzema laty był dla niej bardzo dobry, przyjemnie było spotkać znajomego Anglika, ale wydawało jej się, że spotkanie z najlepszym przyjacielem Berniego było kuszeniem losu. Rozważała, czy nie powinna zwierzyć mu się ze swojego planu, ale on był taki przyjazny wobec Sandy'ego. Poza tym zmienił się, był w nim smutek i gniew, których nie widziała przed trzema laty. Musiała zachować wszystko w tajemnicy. Ale Harry tu był, a Sandy wyraźnie go lubił, więc musiała udawać, że wszystko jest w porządku, także przed Harrym. To już druga osoba, którą musiała oszukiwać, tym razem najlepszy przyjaciel Berniego.

W sobotę usłyszała w radiu BBC o wielkim niemieckim nalocie na Birmingham. Zginęło prawie dwieście osób. Słuchała radia z przerażeniem. Nie powiedziała o tym Sandy'emu; pocieszałby ją, a tego nie mogłaby znieść, bo nie zasługiwała na pocieszenie. Martwiła się przez dwa dni, ale przyszedł telegram od ojca, że u nich wszystko w porządku, zbombardowano tylko centrum miasta. Z poczucia ulgi aż się rozplakała.

Z Luisem miała się spotkać za dwa dni. Obawiała się, że jej pieniądze z Anglii nie zdążą przyjść na czas. Chociaż po pierwszym spotkaniu nie ufała Luisowi, teraz była coraz bardziej skłonna mu uwierzyć. Jeżeli przyniesie jej dowód, sprawa będzie postanowiona. Ostrzegła samą siebie, że to było dokładnie to, w co chciała wierzyć, i że nie powinna rozbudzać w sobie zbyt wielkich nadziei. Ale jeśli to rzeczywiście prawda? Czy dałoby się wydostać Berniego z obozu i dostarczyć go do ambasady? A gdyby Sandy się dowiedział? Co by zrobił? Ostatnimi czasy zorientowała się, że wśród jej wielu

skomplikowanych uczuć wobec Sandy'ego był również strach, strach przed bezwzględnością, która, jak Barbara dobrze wiedziała, była częścią jego osobowości.

Poprzedniego wieczoru zrobiła coś, co jeszcze kilka tygodni wcześniej byłoby nie do pomyślenia. Pod nieobecność Sandy'ego, który poszedł gdzieś ze swoimi znajomymi, weszła do jego gabinetu i próbowała się zorientować, ile miał pieniędzy. Powiedziała sobie, że nigdy by nic mu nie ukradła, ale jeżeli jej oszczędności nie miałyby dotrzeć na czas, może kłamstwem wyciągnęłaby od niego trochę gotówki. Jeżeli miał jej dość. Jak większość mężczyzn Sandy uważał, że pieniądze nie są czymś, o czym kobiety powinny wiedzieć.

Z bijącym szybko sercem, bo czuła, że na dobre przekroczyła pewną granicę, Barbara wzięła klucz do stojącego w gabinecie Sandy'ego biurka. Był w sypialni, w szufladzie ze skarpetkami - widziała kilka razy, jak Sandy go tam wkładał, kiedy przychodził do łóżka po wieczorze spędzonym przy pracy. Klucz leżał zupełnie z tyłu, wewnątrz złożonej skarpetki. Spojrzała na klucz, zawahała się na moment, po czym wzięła go i poszła do gabinetu Sandy'ego.

Niektóre szuflady były zamknięte kluczem, ale nie wszystkie. Znalazła dwie książeczki bankowe. Jedna odnosiła się do miejscowego oddziału hiszpańskiego banku i wykazywała, że na koncie było około tysiąca peset. Wpłaty na to konto i wypłaty z niego były regularne; Barbara domyślała się, że te pieniądze pokrywały ich wydatki. Ku jej zaskoczeniu drugie konto było w banku w Argentynie. Miało zarejestrowanych kilka wpłat, ale żadnych wypłat, a saldo wynosiło prawie pół miliona argentyńskich pesos, cokolwiek to oznaczało. Oczywiście nie było żadnego sposobu, żeby sama mogła podjąć pieniądze: konta były wyłącznie na nazwisko Sandy'ego. Poczwała ku swojemu zdziwieniu ulgę.

Wyszła z gabinetu, przystając na moment przy drzwiach, żeby się upewnić, że Pilar nie ma nigdzie w pobliżu. Kiedy odkładała klucz, poczuła, że ogarnia ją chłód, jakiego nigdy przedtem nie zaznała. Umówiła się z Harrym na spotkanie w restauracji niedaleko pałacu królewskiego. Była to mała, cicha knajpka serwująca dobre jedzenie zdobywane na czarnym rynku. Służąca Barbary była tego dnia wyjątkowo zdenerwowana, bo po drodze do pracy zatrzymali ją civiles, a akurat zapomniała swoich dokumentów. Barbara musiała napisać list potwierdzający, że dziewczyna u niej pracuje.

Harry już był na miejscu, siedział przy jednym z niewielkich stolików i czytał gazetę. Oprócz niego w restauracji siedziało jeszcze parę zamożnych par i kilku biznesmenów. Harry wstał, żeby się z nią przywitać.

- Jak się masz, Barbaro? - Był blady i wydawał się zmęczony.
- Jakoś leci.
- Zimno jest.
- Tak, zima już prawie nadeszła.

Kelner wziął od niej płaszcz i kapelusz i położył przed nimi karty dań.

- A co u ciebie? - zapytała pogodnie. - Jak tam w ambasadzie?
- Trochę nudnawo. Tłumaczę głównie na spotkaniach z urzędnikami. - Wydawało jej się, że był zdenerwowany, niespokojny.

- Jak tam twoja rodzina? W porządku?
- Tak, ciotka i stryjek mają się dobrze. W Surrey łatwo można zapomnieć, że toczy się wojna. Chociaż mój kuzyn i jego rodzina, którzy mieszkają w Londynie, mieli ostatnio ciężką przeprawę. - Przerwał i spojrzał na nią poważnie. - Słyszałem, że zbombardowano Birmingham.
- Tak. Rodzice przysłali mi telegram, nic im nie jest.
- Pomyślałem o tobie, kiedy o tym usłyszałem. Musiałaś się strasznie martwić.
- Tak. Obawiam się, że będzie więcej nalotów. - Westchnęła. - Ale w Londynie mieliście je o wiele dłużej, prawda?
- Kiedy byłem tam miesiąc temu z moim kuzynem Willem, był jeden nalot. Will z rodziną wyjechali teraz na wieś, dostał jakieś tajne zadanie.
- Musiało ci ulżyć.
- Owszem.

Barbara zapaliła papierosa.- Wydaje mi się, że moi rodzice po prostu starają się żyć dalej, jak wszyscy. Co innego im zostało? Mama i tata nie piszą zbyt wiele w swoich listach.

- Jak tam biskup, ojciec Sandy'ego?
- Wiesz, że nie mam zielonego pojęcia? Od czasu, kiedy Sandy tu przyjechał, przestali się do siebie odzywać. Nigdy nie mówi o swoim ojcu ani bracie. To smutne. - Przyjrzała się Harry'emu. Zmienił się, był bardzo spięty. Kiedy spotkali się trzy lata wcześniej, wydawał się całkiem przystojny, chociaż nie w jej typie. Teraz wyglądał na starszego, był bardziej przy kości, wokół oczu miał zmarszczki. Pomyślała, że nowe pokolenie mężczyzn bardzo szybko się starzeje. Zawahała się, po czym zapytała: - Jak się czujesz? Wyglądasz, jakbyś był trochę zmęczony.
- Och, nic mi nie jest. Miałem nerwicę frontową - dodał. - Nachodziły mnie straszne napady paniki.
- To przykre.
- Ale już mi jest o wiele lepiej, od dłuższego czasu nie miałem żadnego ataku.
- Przynajmniej robisz coś pożytecznego w ambasadzie.

Uśmiechnął się nerwowo.

- Zmieniłaś się od naszego ostatniego spotkania - powiedział.

Barbara się zarumieniła.

- Tak, pamiętam te swoje poszarpane swetry. Byłam w takim strasznym stanie, że nie przejmowałam się swoim wyglądem. - Uśmiechnęła się ciepło. - Pomogłeś mi wtedy.

Przygryzł wargi i przez chwilę patrzył na nią poważnie swoimi niebieskimi oczami. O Boże, domyśla się czegoś, pomyślała przez moment.

- Jak się tu teraz mieszka? - zapytał. - Wydaje się, że Madryt jest w bardzo złym stanie. Panuje bieda, same nieszczęścia, wszędzie są żebracy. Gorzej niż w czasie wojny domowej.

Westchnęła.

- Wojna domowa zrujnowała Hiszpanię, zwłaszcza Madryt. Zbiory znowu były słabe, a teraz dochodzi jeszcze nasza blokada, która ogra-

nicza dostępne im zapasy. Przynajmniej tak twierdzą gazety. Sama nie wiem. - Uśmiechnęła się smutno. - Już nie wiem, w co wierzyć.

- Ja nie mogę znieść ciszy. Pamiętasz, jaki Madryt był hałaśliwy? Wydaje się, jakby z ludzi wyssano całą energię i nadzieję.

- To wojna.

Harry spojrzał na nią poważnie.

- Wiesz, co mnie naprawdę przeraża? Zatrzymaliśmy w tym roku Hitlera, nie podbił Anglii, ale jeśli spróbuje jeszcze raz w przyszłym roku, możemy przegrać. Urządzimy mu piekło, będziemy walczyć na plażach, będziemy walczyć na ulicach, jak powiedział Churchill, ale możemy przegrać. Myślę, że Wielka Brytania mogłaby skończyć jak Hiszpania, zniszczony, zrujnowany kraj rządzony przez skorumpowanych faszystów. Tak może wyglądać nasz kraj.

- Myślisz? Wiem, że miejscowe przepisy są surowe, ale są też ludzie jak Sebastian de Salas, którzy chcą odbudować Hiszpanię. - Przerwała i otarła dłonią czoło. - O, Jezu - powiedziała - teraz zaczynam ich bronić. Zrozum, wszyscy, których znam, stoją po ich stronie. - Przygryzła wargi. Powinna była się domyślić, że jeśli spotka się z Harrym, cała jej niepewność i strach wyjdą na jaw. Ale może lepiej, jeżeli stanie z niektórymi problemami twarzą w twarz. Jeżeli tylko nie sprowadzą rozmowy na temat Berniego.

- Co myślisz o nich Sandy? - zapytał Harry.

- Uważa, że Hiszpania lepiej wyszła na ich zwycięstwie, niż gdyby mieli wygrać komuniści.

- Zgadzasz się z tym?

- A kto to może wiedzieć, do cholery? - powiedziała z nagłą pasją w głosie. Harry się uśmiechnął.

- Przepraszam, zapędziłem się. Zmieńmy temat.

- Może zobaczymy, co tu podają?

Złożyli zamówienia, kelner przyniósł im butelkę wina. Harry spróbował i skinął głową.

- Bardzo dobre.

- Większość win jest okropna, ale tu mają dobrą piwniczkę.

- Jeśli tylko można sobie na nią pozwolić.

Podniosła wzrok, słysząc w jego głosie gorycz.

- Niedługo zacznę pracę w sierocińcu - powiedziała.
- Wracasz do pielęgniarstwa?
- Tak. Chcę robić coś pożytecznego. To Sandy wpadł na ten pomysł.

Harry skinął głową i znowu się zawahał.

- Sandy chyba ma się dobrze i nieźle mu się powodzi.
- Owszem. Jest świetny w organizowaniu różnych rzeczy. To bardzo dobry biznesmen.

Przerwali na moment, bo kelner przyniósł im zupę, po chwili Harry powiedział:

- Sandy zawsze sam sobie torował drogę. Nawet w szkole. Zdecydowanie sprawia wrażenie, jakby odnosił sukcesy. - Spojrzał na nią. - Wydaje mi się, że mówił, iż pracuje dla Ministerstwa Górnictwa, prawda?

Barbara wzruszyła ramionami.

- Tak. Niewiele wiem na ten temat. Mówi, że to tajne. - Uśmiechnęła się smutno. - Stałam się cichą gospodynią domową, nie przejmuję się interesami.

Harry skinął głową. Drzwi restauracji nagle otworzyły się i w drzwiach stanęło trzech młodych mężczyzn w mundurach Falangi. Z pokoju na tyłach restauracji wyszedł niski, pulchny mężczyzna w poplamionym surducie. Uśmiechnął się nerwowo do nowych gości.

- Buenos tardes, señor - powiedział jeden z nich wesoło. Miał mniej więcej tyle samo lat co Harry, był wysoki i szczupły, miał typowy dla falangistów prosty wąsik. - Poprosimy stolik dla trzech osób. - Właściciel z ukłonem wskazał im pusty stolik.
- Mam nadzieję, że nie będą zbyt zadziorni - powiedziała szeptem Barbara.

Falangista rozejrzał się dookoła, po czym podszedł do ich stolika z szerokim uśmiechem. Wyciągnął przed siebie ramię.

- O, zagraniczni goście? Alemanest
- Nie. Ingles. - Barbara uśmiechnęła się nerwowo. Falangista opuścił ramię, chociaż nie przestał się uśmiechać. - Aha. Ingleses. - Skinął radośnie głową. - Niestety, wkrótce będziecie musieli wyjechać. Generalísimo przyłączy się do krucjaty Führera wymierzonej przeciw Anglii. Niedługo Gibraltar będzie nasz.

Barbara spojrzała zdenerwowana na Harry'ego. Jego twarz była chłodna, ale obojętna. Przywódca skłonił się kpiąco i poszedł do swoich towarzyszy. Obejrzeni się na nią i Harry'ego i wybuchnęli szyderczym śmiechem. Harry był czerwony z wściekłości.

- Bądź cicho - powiedziała. - Nie zadzieraj z nimi.
- Wiem - wymamrotał Harry. - Sukinsyny.

Kelner przyniósł prędko główne danie. Patrzył nerwowo to na nich, to na falangistów, ale ci byli zagłębieni w lekturze karty dań.

- Kończmy szybko i wynośmy się stąd - powiedziała Barbara. - Zanim zaczną pić.

W pośpiechu skończyli posiłek. Harry opowiedział jej o przyjęciu u rodziny Maestre, po czym zaczął znów rozmawiać o Sandym. Barbara miała wrażenie, że chciał o nim mówić.

- Pokazał mi znaleziony przez siebie szpon dinozaura.

Uśmiechnęła się.

- Jest bardzo zapalony do swoich skamielin. Kiedy się nimi zajmuje, jest jak mały chłopczyk. To naprawdę urocze.

- Kiedy byliśmy w szkole, Sandy mawiał, że skamieliny to klucz do tajemnic ziemi.

- To rzeczywiście brzmi jak jego zdanie. - Skończyli posiłek. Spostrzegła, że falangiści zabrali się za wino. Śmiali się głośno. - Powinniśmy już iść.

- Słusznie. v Harry dał znak, że chcą rachunek. Kelner przyniósł go od razu. Widać, że pozbywał się ich z ulgą, na wypadek, gdyby falangiści wszczęli jakąś burdę. Zapłacił i odebrali płaszcze.

- Zastanawiam się - powiedział z zakłopotaniem Harry, kiedy wyszli na ulicę - czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy rzucili okiem na pałac królewski. To zaraz za rogiem, a nigdy nie widziałem go z bliska.

- W porządku, chodźmy, mam mnóstwo czasu.

Poszli w tamtą stronę. Przez lekką mgłę świeciło słońce, ale popołudnie było chłodne. Barbara zapięła płaszcz. Zatrzymali się przedbramą. Była zamknięta, a przed nią stali na straży civiles. Harry przyjrzał się bogato zdobionym białym murom.

- Nikt nie wymalował na nim napisu Arńba España - zauważył.

- Falanga nie odważyła się tknąć pałacu. Dla monarchistów to symbol. Mają nadzieję, że pewnego dnia Franco pozwoli wrócić królowi Alfonsowi.

Zatrzymała się, żeby zapalić papierosa. Harry doszedł do końca ulicy. Po drugiej stronie ogrodzenia było strome zbocze, schodzące do ogrodów pałacowych. Za nimi widać było brązowo-zielony krajobraz Casa de Campo. Barbara stanęła przy nim.

- Pole bitwy - powiedział cicho Harry.

- Tak. Podobno w parku panuje straszny bałagan. Ale ludzie zaczęli znowu chodzić tam na spacer. Wciąż leżą dookoła niewybuchy, ale wyznaczono trochę bezpiecznych ścieżek.

Harry spojrział w stronę parku.

- Chciałbym pójść go zwiedzić. Miałabyś coś przeciw? .

Zawahała się. Nie chciała wracać myślami do wojny i oblężenia.

- Może lepiej nie? - zapytał łagodnym tonem.

Barbara wzięła głęboki oddech.

- Nie, chodźmy. Może powinnam tam pójść.

Park był zaledwie dwa przystanki tramwajem dalej. Wysiedli i poszli krótką alejką w stronę wejścia. W tym samym kierunku szli inni spacerowicze, młody żołnierz ze swoją dziewczyną i dwie ubrane na czarno kobiety w średnim wieku. Obeszli wzgórze i nagle rozpostarło się przed nimi podziurawione pustkowie, na którym tu i tam leżały wypalone czołgi i zniszczone działa. Nieopodal stała podziurawiona kulami ściana -jedyna pozostałość jakiegoś budynku. Większość terenu zarosła trawą, ale na pustkowiu pełno było wypełnionych wodą lejów po bombach i pociskach, a długie linie okopów rozcinały ziemię niczym otwarte rany. Przez zniszczoną okolicę prowadziły ścieżki, a co jakiś czas drewniane tabliczki przypominały, by z nich nie zbaczać z powodu niewybuchów. Na horyzoncie niczym miraż widniał biały i jasny gmach pałacu. Barbara myślała, że ten widok wytrąci ją z równowagi, ale czuła jedynie smutek. Przypominał jej zdjęcia z wielkiej wojny. Wydawało się, że Harry był bardziej poruszony, zbladł. Dotknęła delikatnie jego ramienia.

- Dobrze się czujesz?

Wziął głęboki oddech.

- Tak. Na moment przypomniałem sobie Dunkierkę. Tam też wszędzie leżała porzucona artyleria.

- Chcesz wrócić? Może nie powinniśmy byli tu przychodzić.

- Nie, chodźmy dalej. Tu jest ścieżka.

Przez moment szli w milczeniu.

- Mówią, że na północy jest gorzej - powiedziała Barbara. - Nad Ebro, gdzie toczyły się walki. Całe kilometry porzuconych czołgów.

Po ich lewej dwie ubrane na czarno kobiety ruszyły inną ścieżką, przytulając się mocno do siebie.

- Tyle wdów. - Barbara uśmiechnęła się smutno. - Ja czułam się tak samo, jak one, byłam zagubiona, dopóki nie spotkałam Sandy'ego.

- Jak to się stało? - zapytał Harry.

Zatrzymała się i zapaliła kolejnego papierosa.

- Czerwony Krzyż wysłał mnie do Burgos, rzecz jasna. Tam było zupełnie inaczej niż w Madrycie. Po pierwsze, miasto leżało daleko za linią frontu. To ponure miejsce, pełne wielkich średniowiecznych budynków. W tamtejszym oddziale Czerwonego Krzyża pracowało wielu emerytowanych generałów i wiele szacownych hiszpańskich matron. Byli bardzo mili, nie popadali w taką paranoję jak republika-nie. Ale mogli sobie na to pozwolić. Już wtedy wiedzieli, że wygrają.

- Musiałaś dziwnie się czuć, pracując z wrogami Berniego.

Po raz pierwszy Harry wymienił jego imię. Spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok.

- Wiesz przecież, że nie podzielałam jego poglądów. Byłam neutralna. W Czerwonym Krzyżu to nic złego. Trzeba być nijakim, dobrze być tylko siłą, która stara się ulżyć cierpieniom. Ludzie tego nie rozumieją. Bernie też tego nie pojmował. - Odwróciła się i spojrzałamu prosto w oczy. - A ty, czy myślisz, że postąpiłam źle? - zapytała nagle. - Schodząc się z mężczyzną, który popiera reżim? Wiem, że w szkole Bernie i Sandy nie byli przyjaciółmi.

Harry się uśmiechnął.

- Nie. Nie, ja sam z natury jestem neutralny.

Słyszając tę odpowiedź, poczuła ulgę. Z jakiegoś powodu nie zniósłaby, gdyby nie zaakceptował jej postępowania. Spojrzała na niego, chciała zawołać: „Być może on żyje! Być może on żyje!”. Przygryzła wargi.

- Harry, pamiętasz, w jakim byłam stanie? Nie przejmowałam się żadnymi poglądami, wystarczająco trudno było mi się skupić na pracy. Czułam, że otacza mnie szara mgła. Oczywiście nie mogłam mówić o Bernie. Nie mogłam oczekiwać, że ludzie, którzy stoją po stronie nacjonalistów będą szczęśliwi, iż spotykałam się z kimś, z kim walczyli.

- Nie.

Przeszli po dwóch deskach przerzuconych nad okopem, na którego dnie leżały stare, przegniłe buty oraz sterta zardzewiałych puszek po sardynkach z napisami po rosyjsku. Na krawędzi okopu stała tablica z dwiema strzałkami wskazującymi w przeciwnych kierunkach. Nosotros i Ellos. My i oni. W pewnej odległości widzieli spacerujące wolno dwie kobiety, wciąż wtulone w siebie.

- I wtedy spotkałaś Sandy'ego? - Głos Harry'ego wyrwał ją z zamyślenia.

- Tak. - Spojrzała na niego poważnie. - On mnie uratował.

- Powiedział mi, że oprowadzał wycieczki po polach bitewnych.

- Zgadza się. W Burgos byłam bardzo samotna. A potem spotkałam jego, no i jakoś tak... zaopiekował się mną. Pomógł mi to wszystko przetrwać.

- Niezły zbieg okoliczności, że spotkałaś innego mężczyznę z Rookwood.

- Tak. Chociaż wszyscy Anglicy w strefie nacjonalistycznej prędzej czy później się spotykali. Nie było nas zbyt wielu. - Uśmiechnęła się. - Sandy mówił, że to przeznaczenie. - Kiedyś wierzył w przeznaczenie, ale teraz powiedział mi, że przestał.

- Wydaje mi się, że to nieprawda, chociaż Sandy wolałby, żeby było inaczej. To bardzo skomplikowany człowiek.

- Tak. To prawda. - Doszli do kolejnego okopu. - Uważaj na tych deskach. Daj mi rękę.

Wziął jej dłoń i przeprowadził na drugą stronę. Na krawędzi okopu znowu stała tablica ze strzałkami „my” i „oni”, skierowanymi w przeciwne strony.

- Sandy jest dla mnie bardzo dobry - powiedziała Barbara.
- Przepraszam - Harry odwrócił się do niej - ale nie usłyszałem. Po tej stronie wciąż jestem trochę przygłuchy. - Przez moment na jego twarzy malował się wyraz zagubienia i zmieszania.
- Powiedziałam, że Sandy jest dla mnie bardzo dobry. Przekonał mnie, żebym podjęła pracę jako wolontariuszka, wiedział, że potrzebuję jakiejś zmiany. Ciekawe, czy bronię go tak z poczucia winy? pomyślała z goryczą.
- To dobrze - powiedział Harry ostrożnie, obojętnym tonem. - Barbara pomyślała ze zdziwieniem, że chyba nie lubił Sandy'ego. To dlaczego się z nim zaprzyjaźnił?
- Próbuje pomóc Żydom, którzy uciekli z Francji.
- Tak, wspominał o tym.
- Kiedy Niemcy podbili Francję, wielu uciekło tutaj, nie mając nic poza tym, co byli w stanie unieść. Próbują dostać się do Portugalii, a stamtąd do Ameryki. Panicznie boją się nazistów. Utworzono komitet, który im pomaga, Sandy jest jego członkiem.
- Ostatnio pod ambasadą była demonstracja falangistów. Wykrzykiwali antysemickie slogany.
- Rząd musi trzymać z nazistami, ale mimo to pozwalają Sandy'emu prowadzić jego działalność, pod warunkiem że będzie dyskretny.

Idące przed nimi dwie kobiety zatrzymały się. Jedna z nich zaczęła płakać, druga mocno ją przytulała. Barbara znowu spojrzała na Harry'ego. - Sandy i ja nie jesteśmy naprawdę małżeństwem. Mówił ci?

Zawahał się. - Tak.

- Może wydaje ci się, że jesteśmy okropni, ale... ale nie byliśmy gotowi na ten krok. - Barbara się zarumieniła.
- Rozumiem - powiedział z zakłopotaniem. - To nie są normalne czasy.
- Wciąż jesteś z tamtą dziewczyną, jak ona się nazywała?
- Z Laurą. Nie, zerwaliśmy wieki temu. Chwilowo jestem kawalerem. - Harry spojrzał w stronę mającego w oddali pałacu królewskiego. - Myślisz, że zostaniesz w Hiszpanii? - zapytał.
- Nie wiem. Nie wiem, co przyniesie przyszłość.

Odwrócił się w jej stronę.

- Nienawidzę tego kraju - powiedział z nagłą pasją. - Nienawidzę tego, co Franco z nim zrobił. Miałem swoje wyobrażenie romantycznej Hiszpanii, krętych uliczek i podniszczonych budynków. Nie wiem czemu, może dlatego, że kiedy przyjechałem tu w trzydziestym pierwszym ludzie mieli nadzieję, nawet tacy, którym nic nie zostało, jak rodzina Mera. Pamiętasz ich?
- Tak. Ale, Harry, te marzenia, socjalizm, już przepadły...

- W zeszłym tygodniu poszedłem na plac, na którym mieszkali. Został zbombardowany, przez samoloty albo przez artylerię. Ich dom został zburzony. Był tam mężczyzna... - Przerwał na moment. Kiedy zaczął znowu mówić, w jego oczach płonął gniew. - Spotkałem tam mężczyznę, którego napadły zdziczałe psy. Pomogłem mu, zabrałem go do domu. Mieszka w malutkim, wilgotnym mieszkaniu ze swoją matką, która miała wylew, ale chyba nie opiekuje się nią lekarz, z małym chłopczykiem, który na wpół oszalał, kiedy zabrali jego rodziców, i z siostrą, która studiowała medycynę, ale teraz pracuje w mleczarni. - Odetchnął głęboko. - Tak wygląda Nowa Hiszpania.

Westchnęła.

- Wiem, że masz rację. Mam wyrzuty sumienia, że wśród tego wszystkiego prowadzimy takie życie. Nie mówię o tym Sandy'emu, ale naprawdę mam wyrzuty sumienia.

Skinął głową. Wydawał się spokojniejszy, uszedł z niego gniew. Barbara przyjrzała się jego twarzy. Wyczuła, że w jego gniewie i rozczarowaniu było coś więcej niż tylko skutek spotkania z biedną rodziną, ale nie wiedziała co.

Harry nagle się uśmiechnął.

- Przepraszam, że tak się rozgadałem. Nie zwracaj na mnie uwagi, po prostu jestem zmęczony.

- Nie przepraszaj, słusznie, że mi o tym przypominasz. - Także się uśmiechnęła. - Chociaż nie wydaje mi się, żebyś wciąż był neutralny.

Zaśmiał się gorzko.

- Nie, chyba nie. Różne rzeczy się zmieniają.

Doszli do Manzanares, płynącej przez zachodnią część miasta rzeczki. Mieli przed sobą mostek, a za nim prowadzące do pałacu schody.

- Możemy tędy wrócić do pałacu - powiedziała Barbara.

- Tak, powinienem wracać do ambasady.

- Harry, na pewno nic ci nie jest? - zapytała nagle. - Wydajesz mi się jakiś taki... Nie wiem, zmartwiony.

- Nic mi nie jest. To tylko sprawa z tym spotkaniem w Henday i w ogóle. -W ambasadzie wszyscy są podenerwowani. - Uśmiechnął się. - Powinniśmy spotkać się jeszcze raz i zjeść razem kolację. Moglibyście przyjść do mnie. Zadzwoń do Sandy'ego.

Rozdział dziewiętnasty

Kiedy Barbara wróciła, Sandy był już w domu. Siedział w salonie, czytał gazetę i palił jedno ze swoich grubych cygar, które wypełniały pokój gęstym, duszącym dymem.

- Dopiero wróciłaś? - spytał.
- Tak. Poszliśmy na spacer po Casa de Campo.
- Po co żeście tam poszli? Wciąż leży tam mnóstwo niewypałów.
- Już jest bezpiecznie. Harry chciał się przejść po parku.
- Jak on się ma?
- Jest trochę przygnębiony. Chyba Dunkierka zmieniła go bardziej, niż się przyznaje.

Sandy uśmiechnął się zza kłębow dymu.

- Musi znaleźć sobie dziewczynę.
- Może i tak.
- Co chciałbyś robić w czwartek? Może zjemy uroczystą kolację?
- Słucham? - spojrzała na niego zdziwiona.
- To trzecia rocznica dnia, w którym się spotkaliśmy. Nie zapomniałaś chyba? - Wydawał się urażony.
- Nie, nie. Oczywiście, że nie zapomniałam. To dobry pomysł, pójdźmy gdzieś razem. - Uśmiechnęła się. - Sandy, jestem trochę zmęczona, chyba pójde się na chwilę położyć przed kolacją.
- Dobrze, w porządku. - Widziała, że był na nią zły, bo zapomniała o ich rocznicy. Zupełnie jej to wypadło z głowy.

Kiedy wyszła, spotkała na korytarzu Pilar, która spojrzała na nią swoimi ciemnymi, pozbawionymi wyrazu oczami.

- Señora, czy mam rozpałić w kominku? Robi się coraz chłodniej.
- Zapytaj pana Forsytha, co o tym sądzi, Pilar. Siedzi w salonie.
- Dobrze, señora. - Dziewczyna uniosła lekko brwi; sprawy domowe były domeną pani domu. Barbara nie miała siły o tym myśleć. Zupełnie opadła z sił w drodze powrotnej ze spotkania z Harrym. Poszła na górę i wyciągnęła się na łóżku. Zamknęła oczy, ale w jej głowie krążyły obrazy: przyjazd Harry'ego do Madrytu po zaginięciu Berniego, koniec nadziei, że Bernie może żyć, a potem Burgos, gdzie poznała Sandy'ego.

Do stolicy nacjonalistów przyjechała w maju trzydziestego siódmego roku, na początku lata. Stare budynki zalane były jaskrawym słońcem, niebo błękitne. Nie było możliwości przejechania linii frontu, z Madrytu musiała pojechać aż do Francji, a potem z powrotem przez granicę do Hiszpanii pod rządami nacjonalistów. Po drodze czytała przemówienie autorstwa doktora Martiego, powszechnie szanowanego męża stanu, członka Czerwonego Krzyża, które kierował do przedstawicieli organizacji

w Hiszpanii. „Nie opowiadajcie się po żadnej ze stron - głośi! - starajcie się chłodnym okiem oceniać, jak najlepiej możecie pomóc". Powtarzała sobie, że właśnie to musi teraz robić. Podróż do Hiszpanii pod rządami Franco nie była zdradą wobec Berniego, jechała tam, żeby pracować, tak jak pracowała w strefie republikańskiej.

Barbarę przydzielono do sekcji, która starała się przekazywać wiadomości członkom rodzin, których wojna zaskoczyła po przeciwnych stronach frontu. Wiele jej zajęć było zwykłymi pracami administracyjnymi i były łatwe w porównaniu z zajmowaniem się losem jeńców i dzieci. Po troskliwości swoich kolegów poznała, że wiedzieli o Berniem. Zorientowała się, że nienawidzi, kiedy traktuje się ją delikatnie i ze współczuciem, ją, która zawsze wszystkim kierowała, wszystko organizowała. Odnosiła się do nich oschle i szorstko.

Nigdy nie rozmawiała z nimi o Berniem, a Hiszpanom, których spotykała, urzędnikom, matronom z klasy średniej i emerytowanym pułkownikom hiszpańskiego Czerwonego Krzyża nie ważyła się o nim wspominać. Wszyscy byli zawsze bardzo uprzejmi, a ich przesadna grzeczność sprawiała, że tęskniła za swobodną atmosferą strefy republikańskiej; ale zdarzało się, że na spotkaniach i przyjęciach, na które czasami musiała chodzić, okazywali złość i wzdargę dla tego, co robiła.

- Nie popieram wymiany wziętych do niewoli żołnierzy - powiedział jej pewnego dnia jakiś stary żołnierz z hiszpańskiego Czerwonego Krzyża. - Dzieci, tak, wiadomości między rodzinami rozdzielonymi przez wojnę, tak, ale żeby wymieniać hiszpańskiego dżentelmena na czerwonego psa? Nigdy! - podsumował z taką mocą, że opluł jej podbródek. Odwróciła się, poszła do łazienki i zwymiotowała.

Z upływem czasu popadała w coraz głębszą depresję, coraz bardziej uciekała od otaczających ją ludzi, jak gdyby była spowita rzadką szarą mgłą. Lato przeszło w jesień, zimne wiatry zaczęły wiać przez wąskie ponure uliczki, przy których w kawiarniach siedzieli przygarbieni ludzie i którymi bez końca przejeżdżały ciężarówki z żołnierzami o poważnych twarzach. Całą sobą poświęciła się pracy, robieniu czegoś, osiągnięciu czegoś dobrego. Wieczorami wracała do swojego mieszkania zupełnie wykończona.

W październiku przez kilka tygodni dzieliła mieszkanie z Cordelią, pielęgniarką ochotniczką z Anglii, która przyjechała do Burgos na przepustkę. Była angielską arystokratką; przez jakiś czas była nowicjuską w zakonie, ale nie znalazła w sobie powołania.

- Więc przyjechałam tutaj, chcąc zrobić coś dobrego - powiedziała. Jej brzydka, ale uprzejma twarz była poważna.

- Ja chyba też - odparła Barbara.

- Coś dla ludzi, których prześladowano za ich poglądy religijne.

Barbara przypomniała sobie zamieniony na stajnię kościół, który

zobaczyli z Berniem w dniu, gdy na Madryt spadł samolot, pamiętała przerażone owce stłoczone w kącie.

- Ludzi prześladowuje się za różne poglądy. Po obu stronach.

- Byłaś w komunistycznej strefie, prawda? Jak tam jest?
- Pod wieloma względami zaskakująco podobnie jak tutaj. - Spojrzała Cordelii w oczy. - Miałam tam chłopaka. Anglika, żołnierza Brygad Międzynarodowych, zginął nad Jaramą.

Barbara próbowała zaszokować Cordelię, ale ona tylko skinęła głową i posmutniała.

- Pomodłę się za niego i zapalę świeczkę.
- Nie rób tego - powiedziała Barbara. - Bernie wcale by tego nie chciał. - Zamilkła na moment. - Od miesiący nie powiedziałam na głos jego imienia. Pomódl się, jeśli chcesz, to na pewno nie zaszkodzi, ale nie zapalaj świeczki.
- Naprawdę go lubiłaś. Barbara nie odpowiedziała.
- Powinnaś więcej wychodzić do miasta - powiedziała Cordelia.
- Spędzasz tu za dużo czasu.
- Jestem zbyt zmęczona.
- W kościele, do którego chodzę, będzie przyjęcie dobroczynne... Barbara' pokręciła głową.
- Cordelio, nie zwrócę się ku religii.
- Nie to miałam na myśli, tylko to, że nie powinnaś się tak rozwodzić nad przeszłością.
- Nie rozwodzę się nad przeszłością. Staram się o nim nie myśleć, chociaż uczucia wciąż są we mnie, stłumione. Ale - spojrzała w twarz Cordelii i krzyknęła - jestem wściekła! Że mógł tak po prostu sobie pójść i mnie zostawić, pójść i dać się zabić, do cholery, sukinyń jeden!
- Zaczęła płakać, trzęsła się, szlochając i zawodząc. - No, to udało mi się tobą wstrząsnąć - powiedziała przez łzy. - Chciałam cię zaszokować.
- Zaśmiała się histerycznie. Poczuła, że Cordelia nieśmiało położyła jej dłoń na ramieniu.
- Wyrzuć to z siebie - usłyszała głos Cordelii. - Musisz jakoś to z siebie wyrzucić. Wiem. Mam brata, zszedł na złą drogę, w duchu też byłam na niego wściekła. Nie pognębiaj się, proszę. Barbara pozwoliła, żeby Cordelia czasem ją gdzieś zabierała, chociaż odmówiła chodzenia na przyjęcia kościelne. Czasem czuła zakłopotanie, wydawało jej się, że jest niezdarna i nie chciało jej się z nikim rozmawiać, ale od czasu do czasu spotykała kogoś miłego albo interesującego, z kim mogła pogadać i szara mgła na trochę się przeredzała. Ostatniego dnia października, na krótko przed tym, jak przepustka Cordelii miała się skończyć, poszły na przyjęcie wydane przez przedstawiciela Texas Oil, firmy, dzięki której poparci Franco był zawsze zaopatrzony w paliwo. Nie bawiła się dobrze. Przyjęcie było efekciarskie, w najlepszym hotelu w Burgos, pełno było na nim hałaśliwych Amerykanów, uszczęśliwionych poważaniem, jakim obdarzali ich Hiszpanie. Pomyślała, co Bernie by o tym powiedział; pewnie coś o międzynarodowym spisku kapitalistów strojących się w pawie pióra albo jakoś tak. Cordelia rozmawiała z hiszpańskim księdzem, Barbara stała sama, paląc papierosa, sącząc kiepskie wino i obserwując ją. Przepustka Cordelii dobiegała końca, niedługo miała wyjechać. Barbara polubiła ją, chociaż nie miały ze sobą hic wspólnego poza tym, że nie stanowiły dobrego materiału na

zwyczajne żony i matki. Kiedy na nią patrzyła, wiedziała, że będzie tęsknić za nią i za jej bezinteresowną uprzejmością. Nagle poczuła się strasznie zaniedbana w porównaniu do wszystkich bogato ubranych kobiet, więc postanowiła wyjść. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi za nią mężczyzna. Nie zauważyła, kiedy się zbliżył. Uśmiechnął się, pokazując duże, białe zęby.

- Czy dobrze mi się zdawało, że wcześniej rozmawiała pani ze swoją przyjaciółką po angielsku?

Barbara uśmiechnęła się niepewnie.

- Tak. - Przedstawiła się. Pomyślała, że chyba lubił się popisywać, chociaż miał miły uśmiech. Powiedział, że nazywa się Sandy Forsyth i oprowadza angielskich turystów, którzy chcą odwiedzić pola bitew. Jego akcent osoby z wyższej klasy przypomniał jej Berniego.

- To straszna propaganda - powiedział. - Pokazuję im pole bitwy, po czym wdaję się w wojskowe szczegóły, ale przemycam wiele in-formacji o okrucieństwach popełnianych przez czerwonych. To głównie starzy ramole zainteresowani wojskowością. Nie mieści się w głowie, jacy to ignoranci. Jeden zapytał mnie kiedyś, czy to prawda, że Baskowie mają sześć palców u każdej dłoni.

Barbara roześmiała się, zachęcając tym Sandy'ego. Opowiedział jej o wycieczce angielskich turystów. Ich autobus się zepsuł, a byli zbyt skrupowani, by pójść za potrzebą w krzaki, w związku z czym stali przy drodze i cierpieli potworne męki. Znowu się roześmiała; od wielu miesięcy nikomu nie udało się jej rozśmieszyć. Sandy się uśmiechnął.

- Wiedziałem, że będę mógł pani opowiedzieć tę historię i nie będzie pani zgorszona, chociaż w zasadzie nie nadaje się do opowiadania w mieszanym towarzystwie.

- Jestem pielęgniarką. W Hiszpanii pracuję od ponad roku, byłam po obu stronach frontu. Nic już nie jest w stanie mnie zgorszyć.

Sandy skinął głową z zainteresowaniem. Podał jej papierosa i przez chwilę stali, przyglądając się innym gościom.

- No cóż-- powiedział Sandy. - Co sądzi pani o Nowej Hiszpanii i jej przyjaciółkach?

- Chyba to, że wydaje się bardzo uporządkowana po tym, co widziałam w Madrycie. Ale panuje też wojskowa, surowa atmosfera. To niewdzięczne miejsce. - Spojrzała na Cordelię, wciąż pogrążoną w rozmowie z księdzem. - Może Kościół załagodzi sprawy.

Sandy wypuścił z ust kłąb dymu.

- Proszę w to nie wierzyć. Kościół świetnie wie, co jest dla niego dobre, pozwoli reżimowi robić, co mu się żywnie podoba. Oni wygrają, wie pani o tym? Mają żołnierzy i pieniądze. Dobrze to wiedzą, można wszystko wyczytać z ich twarzy. To tylko kwestia czasu.

- Tak pan myśli?

- O tak.

- Czy jest pan katolikiem?

Roześmiał się.

- Wielkie nieba! Nie, nie jestem.- Moja przyjaciółka, o tam, jest. Tak, ma pan rację, wygrają. - Westchnęła.

- Lepsze to od alternatywy.

- Może.

- Kiedy wszystko ucichnie, być może tu zostanę. Mam dosyć Anglii.

- Nie trzyma tam pana rodzina?

- Nie. A panią?

- Nikt, o kim by warto mówić.

- Miałaby pani ochotę umówić się któregoś wieczoru na drinka?

Właśnie zmieniam pracę. Rozglądam się, czym by się tu zająć, ale chwilowo jestem dosyć samotny.

Spojrzała na niego zaskoczona; nie spodziewała się tego.

- Żadnych zobowiązań - dodał Sandy. - Po prostu spotkanie na drinka. Proszę przyprowadzić swoją przyjaciółkę Cordelię, jeśli ma pani ochotę.

- W porządku - powiedziała. - Czemu nie? - Chociaż miała przecucie, że Sandy nie przypadnie Cordelii do gustu.

Kiedy nadszedł wieczór spotkania, nie chciała iść. Cordelia nie mogła jej towarzyszyć, miała kolejne przyjęcie kościelne, na którym musiała być, a po pracy Barbara jak zawsze była zmęczona i zdołowana. Ale wcześniej zgodziła się na spotkanie, więc poszła.

Spotkali się w ciemnym, cichym barze nieopodal katedry. Sandy zapytał, jak minął dzień. Pytanie lekko ją rozdrażniło, zadał je tak, jakby pracowała w biurze albo w sklepie.

- Tak się składa, że był dosyć ponury. Przenieśli mnie do innych zajęć, mam spróbować załatwić ewakuację dzieci przez linię frontu. Większość z nich to sieroty. To zawsze okropne zadanie. - Odwróciła się, czując, że napływają jej do oczu łzy. - Przepraszam - powiedziała. - Mam za sobą długi dzień, a to nowe zadanie przywodzi mi na myśl... złe wspomnienia.

- Może chcesz o tym porozmawiać? - zapytał delikatnie, lekko zaciekawiony. Postanowiła mu opowiedzieć. Cordelia miała rację, nie było sensu zamykać się w sobie.

- Kiedy pracowałam w Madrycie, spotkałam pewnego Anglika, żołnierza Brygad Międzynarodowych. Ostatnią zimę spędziliśmy ze sobą. A potem pojechał nad Jaramę. Zaginiony, przypuszczalnie nie żyje.

Sandy skinął głową.

- Przykro mi.

- Minęło ledwie dziewięć miesięcy, trudno mi się z tym pogodzić. - Westchnęła. - Wiem, że ostatnimi czasy w Hiszpanii to dość normalna opowieść.

Zaproponował jej papierosa, zapalił go dla niej.

- Był jednym z ochotników?

- Tak, Bernie był komunistą. Chociaż nie był z klasy robotniczej, przynajmniej nie naprawdę. Dostał stypendium do prywatnej szkoły, miał akcent taki jak ty. Później dowiedziałam się, że zdaniem partii mógł być ideologicznie podejrzany ze względu na swoje skomplikowane pochodzenie. Nie był w wystarczającym stopniu człowiekiem ze stali.

Spojrzała na Sandy'ego i ze zdziwieniem stwierdziła, że odchylił się w krześle i patrzy na nią w skupieniu spod zmarszczonych brwi.

- Do jakiej szkoły chodził? - zapytał cicho.

- Do Rookwood, w hrabstwie Surrey.

- Nie miał czasami na nazwisko Piper?

- Miał. - Teraz ona się zdziwiła. - Zgadza się. Ale skąd...

- Przez jakiś czas chodziłem do Rookwood. Znałem Pipera. Nie najlepiej, ale znałem go. Nie sądzę, by o mnie kiedykolwiek wspominał... - Sandy zaśmiał się z przymusem. - O głównym złym chłopaku z jego roku?

- Nie. Nie mówił zbyt wiele o szkole. Poza tym, że nie był w niej szczęśliwy.

- Nie był. Pamiętam, że to nas łączyło.

- Byliście przyjaciółmi? - Serce Barbary забиło mocniej, czuła się tak, jakby część Berniego wróciła do niej.

Sandy się zawahał. - Nie do końca. Jak powiedziałem, nie znałem go najlepiej. - Pokręcił głową. - O Boże, co za zbieg okoliczności.

Uśmiechnęła się.

- To przeznaczenie. To, że spotkałam kogoś, kto go znał.

Fakt, że Sandy znał Berniego, nawet jeśli nie byli przyjaciółmi,

zbliżył do niego Barbarę. Spotykali się co czwartek na drinki w barze.

Zauważyła, że czeka na te wieczory z ochotą. Cordelia wróciła na front, więc poza tym w ogóle nie wychodziła na miasto. Jej przyjaciółka wyjechała pewnego ranka. Uściskała krótko Barbarę i nie chciała, żeby jej zanieść bagaże na dworzec. Barbara podziękowała za pomoc w powrocie do równowagi, ale Cordelia uśmiechnęła się i powiedziała, że dla każdego zrobiłaby to samo, bo tak jej nakazywała miłość bliźniego i wiara w Boga. Ta beznamiętna uwaga zraniła Barbarę, znowu poczuła się bardzo samotna.

Dowiedziała się, że Sandy znał też Harry'ego i przyjaźnił się z nim, chociaż nie lubił Berniego. Czasami wydawał się jej taki zagadkowy. Był tajemniczy, prawie nie mówił o sobie. Powiedział, że chwilowo

nie ma żadnych wycieczek, ale próbuje zorganizować w Burgos jakiś interes, więc został. Nigdy nie chciał jej powiedzieć, o co chodziło. Zawsze był nieskazitelnie ubrany. Barbara zastanawiała się, czy miał gdzieś dziewczynę, ale nigdy o nikim nie wspomniał. Przeszło jej przez myśl, że może był gejem, ale nie sprawiał takiego wrażenia. Za to widać było, że tak jak ona jest samotny.

Pewnego grudniowego czwartku, kiedy Barbara szła do kawiarni, z ciemniejącego nieba strumieniami lał lodowaty deszcz. Gdy weszła do środka, Sandy już tam był, siedział przy tym samym stoliku co zawsze; towarzyszył mu mężczyzna w mundurze Falangi. Obaj byli nachyleni i chociaż nie słyszała, co mówili, wiedziała, że się kłócą. Zawahała się. Jej płaszcz ociekał wodą. Kiedy Sandy ją zobaczył, przywołał ją gestem.

- Przepraszam cię, Barbaro, właśnie kończyłem pewien interes. Falangista wstał i spojrzał na nią. Był mężczyzną w średnim wieku,

o surowej twarzy. Spojrzał na Sandy'ego z góry.- Interes, który powinien pozostać w rękach Hiszpanów, señor - powiedział. - Hiszpański interes, Hiszpanie zarabiają. - Skłonił się szorstko Barbarze i odszedł, stukając obcasami w podłogę. Sandy odprowadził go wzrokiem, jego twarz zastygła w wyrazie wściekłości. Barbara usiadła zażenowana. Sandy zebrał się w sobie i zaśmiał się oschle.

- Przepraszam za to - powiedział. - Mój plan, żeby czymś się zająć, spalił na panewce. Chyba nie lubię tu przedsiębiorczych. - Westchnął. - Trudno się mówi. Wygląda na to, że muszę wrócić do oprowadzania wycieczek.

Poszedł kupić Barbarze drinka.

- Może powinieneś rozważyć powrót do kraju - powiedziała. - Zastanawiałam się, co zrobię, kiedy skończy się wojna. Wydaje mi się, że nie chcę jechać z powrotem do Genewy.

Pokręcił głową.

- Nie chcę wracać - powiedział cicho. - Nikogo tam nie mam. Anglia mnie tłumi.

- Wiem, o czym mówisz. - Uniosła kieliszek. - Za brak korzeni.

Uśmiechnął się.

- Za brak korzeni. Wiesz co, pierwszego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy, pomyślałem sobie: To jest dziewczyna inna niż wszyscy, która innych obserwuje. Jak ja.

- Naprawdę?

- Tak.

Westchnęła.

- Ja siebie zbytnio nie lubię - powiedziała. - Dlatego odstaję od innych.

- Bo jesteś zła na Berniego?

- Na Berniego? Nie, to nie o to chodzi. Dzięki niemu odrobinę polubiłam samą siebie. Na trochę.

Sandy spojrzał na nią poważnie.

- Nie powinnaś uzależniać od innych tego, czy zaczniesz siebie lubić. Wiem coś o tym. Ja też taki kiedyś byłem.

- Ty? - Zdziwiła się. Wydawał się taki odważny i pewny siebie.- Dopóki nie dorosłem na tyle, by myśleć sam za siebie. Wzięła głęboki oddech.

- W szkole miałam trudne przejścia. Znęcano się nade mną. - Przerwała, ale on tylko skinął głową zachęcająco. Opowiedziała mu o wszystkim. - Wiesz, czasami słyszę w głowie głosy. Nie, nie dosłownie, jeśli bym je naprawdę słyszała, to by znaczyło, że oszalałam, ale przypominam je sobie. Kiedy jestem zmęczona i myślę się w pracy. Mówią mi, że jestem brzydką, kudłatą okularnicą, do niczego. Od czasu, kiedy Bernie zginął, zdarza mi się to częściej. - Schyliła głowę. - Nigdy o tym nikomu nie powiedziałam. Tylko Bernie o tym wiedział.

- A więc jestem zaszczycony, że powiedziałaś mnie. Nie podniosła wzroku.

- Mam wrażenie, że mogę ci opowiadać o takich rzeczach. Nie wiem dlaczego.

- Podnieś wzrok - powiedział cicho. - Spójrz na mnie, nie bój się. Podniosła głowę, uśmiechając się dzielnie, mruganiem powstrzymując łzy.

- Powiedz im, żeby sobie poszły precz - powiedział. - Kiedy je słyszysz, powiedz im, że się myślą i ty im pokażesz. Nie na głos, ale w głowie. Ja tak zrobiłem. Moim rodzicom i nauczycielom, którzy wmawiali mi, że trafię do piekła.

- Zadziałało? Tak, musiało, przecież wierzysz w siebie, prawda?

- Nie miałem innego wyboru. Trzeba decydować, kim się chce być, i do tego dążyć. Nie słuchaj opinii innych o sobie. Wszyscy szukają tylko kozła ofiarnego. W ten sposób czują się bezpiecznie.

- Nie wszyscy. Ja nikogo nie szukam.

- W porządku, większość ludzi. Mogę ci coś powiedzieć?

- Jeśli chcesz.

- Nie obrazisz się?

- Nie.

- Nie dajesz z siebie tyle, na ile cię stać. Tak jakbyś nie chciała, żeby inni cię poważali. Włóż trochę wysiłku w swoje ubrania, włosy, mogłabyś być naprawdę atrakcyjną kobietą. Znowu spuściła głowę.

- To była druga rzecz, którą pomyślałem tamtej nocy, kiedy się spotkaliśmy. - Barbara poczuła, że dotknął koniuszków jej palców swoimi. Przez chwilę milczeli. Przypomniała sobie niczym na jawie kościół, pocałunek Berniego. Zabrała dłoń i podniosła wzrok.

- Nie... Nie jestem jeszcze na to gotowa. Po Bernie, nie wiem, czy kiedykolwiek...
- Och, Barbaro, daj spokój - powiedział łagodnym tonem. - Nie mów mi, że wierzysz w to romantyczne gadanie, że dla każdej osoby jest tylko jedna właściwa.
- Tak się składa, że chyba wierzę. - Chciała sobie pójść, szalejące w niej uczucia przyprawiły ją o mdłości. Sandy podniósł dłoń.
- W porządku. Zapomnijmy o tym.
- Sandy, chcę, żebyśmy byli tylko przyjaciółmi.
- Barbaro, potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje. - Uśmiechnął się. - Ją zawsze chciałem się kimś opiekować.
- Nie, Sandy. Nie. Zostańmy przyjaciółmi.

Skinął głową.

- W porządku. W porządku. Ale pozwól mi opiekować się tobą choć trochę.

Oparła głowę na rękę, chowając twarz. Siedzieli w milczeniu. Na zewnątrz szumiał deszcz.

Jesień przeszła w zimę. Rozeszły się pogłoski o nowej ofensywie nacjonalistów, która miała wreszcie zakończyć wojnę. Przez jakiś czas w Burgos było mnóstwo włoskich żołnierzy, ale wkrótce zniknęli.

Sandy dotrzymał słowa, nie robił więcej miłosnych podchodów. Nie czuła do niego tego, co do Berniego, bo to było niemożliwe. Ale prawie wbrew sobie była podekscytowana tym, że wydała się atrakcyjna kolejnemu mężczyźnie. Zorientowała się, że część, bardzo niewielka część jej rozpacz była użalaniem się nad sobą, bo jej jedyna szansa na miłość pojawiła się i zniknęła. Tak jak gdyby samo stwierdzenie

tego faktu coś zmieniło, zaczęła postrzegać Sandy'ego jako postawnego, silnego mężczyznę.

W połowie grudnia przyszły wieści, że republikanie wyprzedzili natarcie Franco i przeprowadzili ofensywę pod Teruel, daleko na wschodzie. Było zimno, w Burgos zalegał śnieg, a w biurze słyszeli o żołnierzach, którym na polu bitwy musiano amputować odmrożone stopy. W biurze Czerwonego Krzyża znów było mnóstwo roboty.

- Powinnaś zostawić tę pracę - powiedział do niej Sandy, kiedy spotkali się tamtego czwartkowego wieczoru. - Wykańcza cię. - Spojrzał na nią zatroskany, ale także z odcieniem niecierpliwości, który ostatnio zaczęła u niego zauważać. Tydzień wcześniej po raz pierwszy spróbował wziąć ją za rękę, kiedy wychodzili z baru. Wypili więcej niż zwykle, a on zamawiał więcej i więcej wina. Wyjęła dłoń z jego dłoni.

Westchnęła.

- Tym się zajmuję. Odwołałam wyjazd do domu na święta, żeby pomagać.

- Myślałem, że jedziesz do domu. Do Birmingham.
- Miałam taki zamiar. Ale tak naprawdę wcale nie chciałam. Cieszę się, że mam wymówkę. - Spojrzała na niego. - A ty? Nigdy nic nie mówisz o swojej rodzinie, Sandy, wiem tylko, że masz ojca i brata.
- I matkę, która mieszka nie wiadomo gdzie, o ile w ogóle żyje. Mówiłem ci, że z nimi zerwałem. Należą do przeszłości. - Spojrzała na nią. - Ale wyjeżdżam na jakieś dwa tygodnie.
- Tak? - Zmartwiła się, miała nadzieję, że spędzi z nią święta.
- Okazja do interesów. Importowanie samochodów z Anglii. Nie lubią, kiedy ludzie z zewnątrz mieszają się do ich interesów, tego już się nauczyłem, ale do tej roboty potrzebują kogoś, kto włada angielskim. Jadę do San Sebastian, żeby się tym zająć.

Przypomniała sobie falangistę, z którym się kłócił.

- Rozumiem. To pewnie świetna okazja. Ale to niedobra pora roku na podróżowanie, poza tym na drogach będzie mnóstwo żołnierzy, po tej bitwie...
- Nie na północy. Postaram się wrócić na pierwszy dzień świąt.
- Postaraj się. Dobrze by było spędzić je razem.
- Postaram się.

Ale nie przyjechał. Miała nadzieję, że zadzwoni do niej do biura, ale tego też nie zrobił. Podziało to na nią bardziej, niż się spodziewała. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia poszła na samotny spacer po zasypanych śniegiem ulicach, patrząc z zazdrością na domy i ogródki, w których stały szopki bożonarodzeniowe, na rodziny udające się na msze w niezliczonych kościołach Burgos. Poczula nagle gniew i zniecierpliwienie na samą siebie. Dlaczego nie wzięła tego, co Sandy jej zaoferował? Na co czekała? Aż się zestarzeje? Pomyślała o Bernie i po raz kolejny żal ścisnął jej serce. Ale Bernie nie żył.

Zadzwonił do niej do biura dwa dni po świątach.

- Przepraszam, że tyle mi to zajęło - powiedział. Na dźwięk jego głosu uśmiechnęła się.
- Jak ci poszło?
- Bardzo dobrze. Rozmawiasz z człowiekiem, który ma bardzo ważną licencję, podpisaną przez samego ministra handlu. Słuchaj, masz ochotę pójść dzisiaj do baru? Wiem, że to nie czwartek.

Roześmiała się.

- Bardzo chętnie. O tej porze co zawsze?
- Do zobaczenia o ósmej. Napijemy się szampana, będziemy świętować ubity interes.

Założyła nowy płaszcz, zielony, który wybrał dla niej Sandy, bo twierdził, że pasuje do jej włosów. Jak zwykle był na miejscu przed nią. Na stoliku leżała duża, jasna, kolorowa paczka. Uśmiechnęła się.

- Spóźniony prezent pod choinkę. Jako przeprosiny, że tak długo mnie nie było.

Otworzyła go. W środku była broszka w kształcie kwiatu. Była złota, a w płatkach błyszcząły drobne zielone kamienie.- Och, Sandy - powiedziała. - Jest przepiękna. Czy to... Uśmiechnęła się.

- Szmaragdy. Malutkie.

- Nie powinieneś być, musiała kosztować fortunę.

- Nie, jeśli wiedzieć, gdzie szukać.

- Dziękuję. - Jej wargi zadrżały. - Nie jestem tego warta.

- Moim zdaniem jesteś. - Wyciągnął rękę i wziął jej dłoń. Tym razem jej nie cofnęła. Spojrzał jej w oczy. - Zdejmij okulary - powiedział. - Chcę zobaczyć twoją twarz bez okularów.

- Och, Sandy - powiedziała. - Jest przepiękna. Czy to... Uśmiechnęła się.

- Szmaragdy. Malutkie.

- Nie powinieneś być, musiała kosztować fortunę.

- Nie, jeśli wiedzieć, gdzie szukać.

- Dziękuję. - Jej wargi zadrżały. - Nie jestem tego warta.

- Moim zdaniem jesteś. - Wyciągnął rękę i wziął jej dłoń. Tym razem jej nie cofnęła. Spojrzał jej w oczy. - Zdejmij okulary - powiedział. - Chcę zobaczyć twoją twarz bez okularów.

Rozdział dwudziesty

W środę po spacerze z Harrym Barbara poszła spotkać się po raz trzeci z Luisem. Był ciepły i słoneczny jesienny dzień. Kiedy szła Castellaną, suche liście szeleściły jej pod nogami, a w powietrzu czuć było lekki zapach dymu z palonych liści. Ostatnimi czasy chodziła na spacerzy coraz częściej; lepiej jej się wtedy myślało, coraz mniej lubiła też siedzieć w domu.

Jej pieniądze z Anglii nie przyszły i zaczęła tracić nadzieję, czy kiedykolwiek się pojawią. Jeżeli Luis dostarczy jej dowodu, że Bernie jest w obozie, będzie je musiała skądś wyciągnąć.

Był już w kawiarni. Palił papierosy dobrej marki; zaczęła się zastanawiać, czy poszła na nie część pieniędzy, które dała mu na pociąg - nie wiedziała, ile kosztuje bilet. Oczywiście miała jedynie jego słowo, że w ogóle gdzieś był.

Wstał i uściśnął jej dłoń, był jak zawsze oficjalny i uprzejmy. W kawiarni było cicho, przy barze siedział tylko samotny jednonogi weteran z zaszytą nogawką.

Zapaliła papierosa, patrząc znacząco na jego paczkę.

- Pojechałeś do Cuenki? - zapytała.

- Pojechałem, señora. - Uśmiechnął się. - Spotkałem się po raz kolejny z Agustinem. - Pochylił się naprzód. - Agustinowi udało się spojrzeć w akta Bernarda Pipera, chociaż to nie było łatwe. Opowiedział mi wiele szczegółów.

Skinęła głową.

- Słucham.- Urodził się w Londynie, w miejscu, które nazywa się Isle of Dogs. Przyjechał walczyć po stronie Republiki w trzydziestym szóstym, podczas bitwy o Casa de Campo został lekko ranny w ramię.

Serce Barbary zaczęło mocniej bić. Nie było sposobu, żeby Luis albo Markby mogli się tego dowiedzieć inaczej, niż patrząc w oficjalne akta.

- Kiedy wrócił do zdrowia, wysłano go nad Jaramę, gdzie został ranny i wzięty do niewoli.

- Ranny? - zapytała gwałtownie. - Jak bardzo?

- Niezbyt poważnie. Draśnięte udo. - Luis uśmiechnął się. - Wygląda na to, że jest urodzony w czepku.

- Nie do końca, skoro wylądował w tym obozie.

- Agustín opisał mi go - kontynuował Luis. - Jest wysoki, szeroki w ramionach, ma jasne włosy. Prawdopodobnie był bardzo przystojny, powiedział Agustín, chociaż teraz oczywiście ma postrzępioną brodę i wszy. - Barbara wzdrygnęła się. - Znany jest z tego, że jest trudnym więźniem, jego duch się nie ugiął. Agustín kazał mu uważać, bo mogą nadejść lepsze czasy, ale nic ponadto. - Luis uśmiechnął się cierpko.

- Mówi, że pani mężczyzna ma duende. Odwagę, klasę. Wydaje mu się, że ma dość sił i woli, by uciec. Wielu więźniów w obozie straciło wolę walki i energię.

Serce Barbary waliło jak młotem. Wiedziała teraz, że to prawda, była pewna. Luis przekrzywił głowę.

- Czy jest pani zadowolona, señora? Wierzy pani, że powiedziałem prawdę?

- Tak. Tak, jestem. Dziękuję ci, Luis. - Wzięła głęboki oddech.

- Moje pieniądze z banku w Anglii jeszcze nie przyszły. Trudno jest teraz wyciągnąć pieniądze z kraju.

Spojrzał na nią poważnie.

- Bardzo ważne, żeby to zrobić, nim pogoda się pogorszy. Zimy na płaskowyżu są bardzo surowe i zaczynają się wcześniej. Już teraz robi się chłodno.

- A sytuacja dyplomatyczna może ulec zmianie, wiem. Postaram się ich popędzić, napiszę do nich jeszcze dzisiaj. Może spotkajmy się tutaj znowu za tydzień. Do tego czasu w ten czy inny sposób zdobędę pieniądze. Jeżeli przyjdą wcześniej, czy mogę się jakoś z panem inaczej skontaktować?

- Nie mam telefonu, señora. Czy mogę zadzwonić do pani?

Zawahała się.

- Lepiej nie. Nie chcę, żeby mój mąż się czegoś dowiedział, już i tak się dosyć martwi.
- W takim razie za tydzień. Ale wtedy musimy coś ustalić, cokolwiek się stanie. Zaraz listopad.
- Tak, wiem. - Kiedy to powiedziała, pomyślała, że nie będzie miała czasu napisać jeszcze raz do banku. A jeśli poprosi Harry'ego o pożyczkę? Wiedziała, że miał pieniądze. Ale był dyplomatą, to by było dla niego niebezpieczne...

Zmusiła się, żeby myśleć o teraźniejszości.

- Czy plan się nie zmienił? - zapytała Luisa. - Agustín pomaga mu uciec, a ja odbieram go z Cuenki?
- Tak. Być może uda się przebrać go w cywilne ubranie, żeby nie rzucał się w oczy. Agustín się tym zajmie. Wtedy pani zadaniem będzie wywieźć go stamtąd i dostarczyć do ambasady, señora.
- To może nie być takie proste. Przechodziłam tamtędy, przed wejściem stoją civiles.
- To pani musi rozwiązać ten problem, señora - powiedział Luis z lekkim uśmiechem. Wydawało się, że stracił zainteresowanie tym, co się stanie, kiedy Barbara odbierze Berniego; to przestał być jego problem.
- Zapłacę panu część, kiedy ułożymy dokładny plan, a resztę po wszystkim - powiedziała Barbara. - W naszym wspólnym interesie leży, żeby się udało.

Spojrzał na nią.

- Ufam, że pani się o to zatroszczy.

Barbara znowu pomyślała o Harrym. Jeżeli tylko przywiezie Berniego do Madrytu i go gdzieś ukryje... Westchnęła. Zorientowała się, że Luis patrzy na nią z zaciekawieniem.

- O co chodzi? - spytała.
- Señora, proszę wybaczyć, że pytam, ale czy ta sprawa nie będzie miała konsekwencji dla pani i pani męża? Jeżeli señor Piper dotrze do ambasady, z pewnością sprawa stanie się głośna. Co najmniej na ręce rządu zostanie złożony protest. A pani mąż pracuje dla rządu, prawda? Powiedziała to pani na naszym pierwszym spotkaniu.
- To prawda - powiedziała cicho. - Być może będą jakieś konsekwencje. Będę musiała je ponieść.

Spojrzał na nią poważnie.

- Jest pani odważną kobietą, że ryzykuje swoją przyszłość.

Przyjrzała mu się. Jego smutna twarz była wymizerowana. Dopiero

niedawno przestał być chłopcem, a zmuszono go do popełniania okropnych czynów w zbyt młodym wieku, jak połowę mężczyzn na świecie w tych czasach.

- A co pan i pański brat zamierzacie zrobić, kiedy to się skończy i Agustín wyjdzie z wojska?

Uśmiechnął się smutno.

- Mam takie marzenie, że zabierzemy matkę z Sewilli, zamieszkamy gdzieś pod Madrytem i będziemy na przykład hodować warzywa. Zawsze lubiłem rośliny, a przecież w dużym mieście potrzeba warzyw, prawda? I znowu będziemy wszyscy razem, jak jedna rodzina. - Jego twarz spochmurniała. - Dla Hiszpanów rodzina jest bardzo ważna, a wojna rozbiła ich bardzo wiele. Wy, Anglicy, nie jesteście w stanie pojąć bólu, jaki to ze sobą niesie. Dlatego właśnie muszę robić wszystko, co tylko w mojej mocy, żebyśmy znów byli razem. Rozumie to pani, señoora?

- Tak. Mam nadzieję, że się panu uda.

- Ja też mam taką nadzieję. - Na moment schylił głowę i zamknął oczy, po czym podniósł wzrok i uśmiechnął się. - Do zobaczenia za tydzień, señoora.

- Zdobędę pieniądze, w taki czy inny sposób.

Tego wieczoru Sandy oznajmił, że na ich rocznicę następnego wieczoru zarezerwował stolik w Ritzu.-

Ojej - powiedziała, zaskoczona.

- Dlaczego nie? - zapytał. Wciąż jej nie wybaczył, że zapomniała. - To najdroższy hotel w Madrycie.

- Wiem, Sandy. Tylko zawsze jest pełen Niemców i ich włoskich kumpli. Wiesz, że nienawidzę na nich patrzeć.

Uśmiechnął się.

- Mamy okazję, żeby się pokazać. - Zastanawiała się, czy celowo wybrał Ritz, żeby ją zdenerwować. Spojrzała na niego, przypominając sobie jego łagodność, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Gdzie się podziała? Zorientowała się, że to jej niezadowolenie go denerwuje, niezadowolenie z życia, które dla niej wybrał. Od dawna w niej narastało, ale wyszło na jaw dopiero po spotkaniu z Markbym.

- Pamiętasz pierwsze święta po tym, jak się spotkaliśmy? - zapytał. W jego zimnych oczach czaiła się kpina.

- Tak. Kiedy wyjechałeś w interesach i nie mogłeś wrócić wcześniej niż po świętach.

- Zgadza się. - Uśmiechnął się. - Tyle że mogłem. Dobiliśmy umowę przed Gwiazdką, mogłem wrócić. Ale wiedziałem, że jeśli się nie pojawię, zdasz sobie sprawę z tego, jak bardzo mnie potrzebujesz. I miałem rację.

Wbiła w niego wzrok. Najpierw poczuła wstrząs, a potem niepohamowaną wściekłość.

- Więc zagrałeś na moich uczuciach - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią ponad stołem, tym razem poważnie.

- Barbaro, wiem, czego ludzie chcą, czują to. To dar, bardzo użyteczny w interesach. Widzę, co się dzieje pod powierzchnią. Czasem to proste. Na przykład Żydzi chcą jedynie przetrwać, dygoczą i trzęsą się w desperacji, by przeżyć. Ludzie, z którymi pracuję, zwykle chcą pieniędzy, chociaż czasami to coś innego, ale cokolwiek to jest, próbuję im dogodzić. Chciałaś mnie i chciałaś bezpieczeństwa, ale nie potrafiłaś tego dostrzec. Po prostu pomogłem twoim uczuciom wypłynąć na wierzch. - Przekrzywił głowę i podniósł kieliszek w górę.

- A ty, Sandy? Czego ty chcesz?

Uśmiechnął się.- Sukcesu, pieniędzy. Chcę wiedzieć, że pociągam za sznurki, że zmuszam ludzi, by dawali mi to, czego pragnę.

- Czasami jesteś prawdziwym gnojkiem - powiedziała. - Wiedziałeś o tym?

Nigdy się tak do niego nie odezwała; przez moment milczał zdziwiony. Potem jednak jego rysy stężały.

- Wiesz, ostatnio trochę przestałaś o siebie dbać. Jesteś w strasznym nieładzie. Mam nadzieję, że praca w sierocińcu pomoże ci zebrać się w sobie.

Te słowa zaboląły ją niczym cios, tym bardziej że zrozumiała, iż wybrał je tak, by trafiły ją w najczulszy punkt. W jej myślach pojawiła się obojętność i chłód. Nie reaguj, musisz zachować pozory, pomyślała. Wstała, położyła ostrożnie na stole serwetkę i wyszła z pokoju. Drżały pod nią nogi.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Psychiatra był wysokim, chudym człowiekiem w okularach, o srebr-nosiwych włosach. Miał na sobie szary garnitur w prążki. Bernie od trzech i pół roku nie widział nikogo w garniturze. Wszyscy więźniowie nosili kombinezony, a strażnicy praktyczne mundury, jedne i drugie w burym oliwkowozielonym kolorze.

Lekarz urzędował w pokoju w piwnicy pod domkiem komendanta. Siedział za porysowanym biurkiem, przyniesionym z biura na górze. Bernie domyślał się, że nikt mu nie powiedział, do czego zwykle używano tego pokoju. To, że go tam umieścił, pasowało do makabrycznego poczucia humoru Arandy.

Kiedy grupa robocza Berniego wróciła z kamieniołomów, Agustín, jeden ze strażników, czekał na Berniego z rozkazami, by zabrać go do komendanta.

- Nie masz się czym przejmować, nie wpadłeś w żadne tarapaty - wyszeptał, kiedy przechodzili przez plac. Bernie podziękował mu skinieniem głowy. Agustín, młody mężczyzna, który lubił spokojne życie, był jednym z lepszych strażników.

Słońce stało nisko, z gór wiał zimny wiatr. Bernie liczył dni i wiedział, że był pierwszy listopada; zima już prawie przyszła. Pasterze zaczęli sprowadzać stada z położonych wysoko pastwisk. Praca w kamieniołomie była ciężka, ale przynajmniej miało się poczucie rytmu życia na zewnątrz.

Zatrząś się z zimna, zazdroszcząc Agustinowi grubego płaszcza, który założył na mundur.é

Komendant Aranda siedział za biurkiem. Spojrzał na Berniego zimnymi oczami. Jego pociągła przystojna twarz z bujnym czarnym wąsem była pozbawiona wyrazu.

- A, Piper - powiedział. - Masz gościa.

- ¿Señor? - Bernie stanął wyprostowany na baczność, tak, jak Aranda tego oczekiwał. Ramię przeszył mu nagły ból; spędził dzień, przerzucając kamienie, i odezwała się jego dawna rana.

- Pamiętajsz, jak w San Pedro de Cardena zbadał cię psychiatra?

- Sí, señor. - To było dziwne zdarzenie, jakiś diabelski dowcip. San Pedro było opuszczonym klasztorem niedaleko Burgos. Po bitwie nad Jaramą stłoczono tam tysiące republikańskich jeńców. Któregoś dnia dano im do wypełnienia długie formularze. Powiedziano im, że to część projektu badającego psychologię marksistowskiego fanatyzmu. Dwieście pytań, od reakcji na pewne kolory do stopnia patriotyzmu.

Komendant zapalił papierosa i przyglądał się Berniemu zza kłębow dymu swoimi zimnymi, orzechowymi oczami. Aranda był dowódcą obozu na Tierra Muerte już prawie od roku. Był pułkownikiem, weteranem wojny domowej, przedtem służył w legii cudzoziemskiej. Lubował się okrucieństwem i nawet Bernie nie odważył mu się postawić. Jak zawsze jego ubranie było nieskazitelne, kanty munduru miał wyprasowane ostro jak żyłetki. Więźniowie znali na pamięć każdą zmarszczkę i bruzdę na jego przystojnej, spalonej na brąz twarzy, ozdobionej nawoskowanymi wąsami. Jeżeli miał zmarszczone brwi albo dęsał się jak dziecko, ktoś mógł oberwać.

Ale tego wieczoru wydawał się raczej rozbawiony. Wypuścił mu w twarz kłąb dymu, od czego Berniemu od razu zachciało się nikotyny. Bernie zorientował się, że pochylił się naprzód, próbując złapać kolejną porcję.

- Kontynuują badania, zajmują się specjalnymi jeńcami. Doktor Lorenzo czeka na ciebie na dole. A, Piper, postaraj się z nim współpracować, ¿ale?

- Sí, señor comandante.

Kiedy Agustín prowadził go na dół, serce Berniego zaczęło bić mocniej. Strażnik otworzył ciężkie drewniane drzwi. Bernie nigdy nie był w środku, ale słyszał bardzo dokładne opisy.

Twarz psychiatry była lodowata.

- Możesz nas zostawić - powiedział do Agustina.

- Będę czekał pod drzwiami, señor.

Psychiatra gestem wskazał mu stojące przed biurkiem stalowe krzesło.

- Usiądź. - Bernie opadł na siedzenie. Był bardzo zmęczony. W kącie pokoju stał piecyk olejowy i we wnętrzu było gorąco. Psychiatra przesunął srebrnym piórem po pytaniach w kwestionariuszu. Bernie rozpoznał swój charakter pisma. Wszy w jego brodzie ożywiły się, czując ciepło. Psychiatra podniósł wzrok.

- Jesteś Piper, Bernard, Anglik, lat trzydzieści jeden?

- Tak.

- Ja jestem doktor Lorenzo. Trzy lata temu, kiedy byłeś w San Pedro, wypełniłeś kwestionariusz. Pamiętasz?

- Tak, panie doktorze.

- Celem tych badań było ustalenie czynników psychologicznych, które sprawiają, że ludzie zostają marksistami. - Jego głos był spokojny, monotony. - Większość marksistów to ignoranci z klasy robotniczej, niewykazujący się wyższą inteligencją ani kulturą. Chcemy przyrzeć się jeszcze raz ludziom, którzy nie podpadają pod te kryteria. Na przykład tobie. - Zlustrował Berniego badawczo.

- To, dlaczego ludzie stają się marksistami, jest bardzo proste - powiedział cicho Bernie. - Skłania ich do tego ucisk i bieda.

Psychiatra skinął głową.

- Tak, spodziewałem się takiej odpowiedzi. Ale sam nie znalazłeś żadnej z tych dwóch rzeczy. Widzę tu, że chodziłeś do prywatnej szkoły w Anglii.

- Moi rodzice byli biedni. Do Rookwood dostałem się dzięki stypendium. - Bernie złapał się na tym, że wzrok uciekał mu w kąt pokoju, gdzie stał przykryty plandeką wysoki przedmiot. Lorenzo postukał gwałtownie srebrnym piórem w biurko.

- Proszę się nie rozpraszać. Opowiedz mi o swoich rodzicach. Czym się zajmowali?

- Pracowali w sklepie, właścicielem był kto inny.

- I może było ci ich żal? Byli ci bliscy?Berniemu stanął przed oczami obraz matki, stojącej w przedpokoju, załamującej ręce i wołającej: „Bernie, Bernie, po co musisz jechać na tę okropną wojnę?”. Wzruszył ramionami.

- Z tego, co wiem, mogli zginąć. Nigdy nie pozwolono mi do nich napisać.

- Napisałbyś do nich, gdybyś mógł?

- Tak. - Lorenzo sporządził kolejną notatkę.

- Pomyślałbym, że w tej szkole, w Rookwood, miałeś styczność z chłopcami wykazującymi się wysoką kulturą. Ciekawi mnie fakt, że odrzuciłeś ich wartości.

Bernie zaśmiał się gorzko.

- Tam nie było kultury. A ich klasa była wrogiem mojej.

- Ach tak, marksistowska metafizyka. - Psychiatra pokiwał z zadumą głową. - Nasze badania wykazują, że gdy inteligentnych, uprzywilejowanych ludzi pociąga marksizm, dzieje się tak na skutek wady charakteru. Nie są w stanie zrozumieć wyższych wartości, takich jak duchowość i patriotyzm. Są z natury aspołeczni i agresywni. Na przykład od komendanta usłyszałem, że odrzucaś wysiłki resocjalizacyjne, jakie oferuje obóz, prawda, Piper?

Bernie zaśmiał się cicho.

- Ma pan na myśli obowiązkowe lekcje religii?

Lorenzo przyjrzał mu się tak, jakby Bernie był szczurem w klatce w laboratorium.

- Tak, powinieneś nienawidzić chrześcijaństwa, religii miłości i wybaczenia. Tak, to całkiem jasne.

- Mamy też inne lekcje.

Doktor Lorenzo nie rozumiał.

- Jak to?

- To jest izba tortur. W stojącej za panem szafce znajdzie pan mnóstwo gumowych pałek i wiader do podtapiania.

Lorenzo pokręcił łagodnie głową.

- To fantazje.

- Więc proszę zdjąć płachtę z tego czegoś za panem - powiedział Bernie. - No, proszę. - Zorientował się, że ton jego głosu był bezczelny, więc ugryzł się w język. Nie chciał, żeby doktor poskarżył się Arandzie.

Psychiatra burknął coś ze zdenerwowaniem, po czym wstał i podniósł płachtę. Jego twarz stężała, kiedy zobaczył wysoki, drewniany pał z metalowym krzesłem, pasami oraz obrozą z ciężką mosiężną śrubą z uchwytemi z tyłu.

- To jest garrote vil, doktorze. Od czasu, kiedy tu trafiłem, miało miejsce sześć egzekucji. Ustawiają nas rzędem na placu, przynoszą garrote i zmuszają nas, byśmy patrzyli. Słysząc, kiedy człowiekowi łamie się kark, głośny trzask, który przypomina wystrzał.

Psychiatra usiadł ponownie. Mówił wciąż spokojnym głosem. Spojrzał beznamiętnie na Berniego i pokręcił głową.

- Jest pan aspołeczny - powiedział cicho. - Psychopata. - Pokręcił ponownie głową. - Ludzi takich jak pan nie da się zresocjalizować. Wasze umysły są nienormalne, niekompletne. Obawiam się, że garrote jest potrzebna, żeby mieć takich jak ty pod kontrolą. - Zapisał coś w kwestionariuszu, po czym zawołał Agustina.

- Strażnik! Skończyłem z nim.

Agustín odprowadził Berniego. Słońce zniknęło za horyzontem, drewniane chatki wokół ziemistego placu skąpane były w czerwonej poświacie. Wkrótce włączą reflektory na wieży strażniczej, stojącej nad ogrodzeniem z drutu kolczastego. Przy chacie, która służyła za stołówkę, stał duży krzyż, wysoki na dwa metry, z jego ramion zwisały liny. Budowla wyglądała jak religijny symbol, ale nim nie była; wieszano na niej za karę więźniów. Bernie żałował, że nie powiedział o tym psychiatrze.

Był czas zbiórki. Trzystu więźniów ustawiło się w rzędy wokół stojącego na środku niewielkiego drewnianego podestu. Agustín zatrzymał się i zarzucił swój ciężki karabin na ramię.

- Mam zaprowadzić do tego faceta od czubków jeszcze pięciu - powiedział. - To będzie długi wieczór.

Bernie spojrzał na niego, zaskoczony. Strażnikom nie wolno było rozmawiać z więźniami.

- Doktor nie wyglądał na zadowolonego - dodał Agustín.

Bernie spojrzał na niego, ale chuda twarz strażnika patrzyła w inną stronę.

- Uważaj - powiedział cicho Agustín. - Może nadchodzą lepsze czasy, Piper. Nie mogę na razie powiedzieć nic więcej. Ale uważaj. Nie daj się teraz ukarać albo zabić.

Bernie stał obok swojego przyjaciela Vicente. Pociągła twarz prawnika, otoczona gęstą siwą czupryną i zmierzwioną brodą była ściągnięta i nie wyglądała zdrowo. Uśmiechnął się do Berniego, po czym z jego płuc wydobył się mokry, bulgoczący kaszel. Tego lata Vicente dostawał ciągle infekcji płuc; zdawało się, że choroba minęła, ale potem wracała, gorsza niż przedtem. Niektórzy strażnicy pozwalali mu wykonywać lżejsze prace, a on w zamian pomagał im wypełniać formularze, ale w tym tygodniu grupą pracującą w kamieniołomie dowodził sierżant Ramirez, brutalny mężczyzna, który kazał Vicente przerzucać cały dzień kamienie. Prawnik wyglądał, jakby zaraz miał upaść.

- Co się z tobą dzieło? - spytał Berniego.

- Mają tu psychiatrę, rozmawiają z niektórymi z San Pedro. Powiedział, że jestem aspołecznym psychopata.

Vicente uśmiechnął się cierpko.

- To tylko potwierdza to, co zawsze mówiłem. Jesteś dobrym człowiekiem, nawet jeśli bolszewikiem. Jeżeli któryś z tych ludzi powie, że jesteś normalny, wtedy trzeba zacząć się martwić. Przegapiłeś kolację.

- Przeżyję - powiedział Bernie. Jeżeli miał być wystarczająco silny, by jutro pracować, musiał się porządnie wyspać. Ryż, który jedli jeńcy, był obrzydliwy, dostawali ledwie zmieszane z chrząszczącym w zębach pyłem resztki z jakiegoś okolicznego magazynu, ale żeby wytrzymać ciężkie roboty, trzeba było jeść, ile się dało.

Zastanawiał się nad tym, co powiedział Agustín. Nie zrozumiał. Lepsze czasy? Czy w Hiszpanii miały zajść jakieś zmiany polityczne? Komendant powiedział im, że Franco spotkał się z Hitlerem i wkrótce

Hiszpania przystąpi do wojny, ale nie wiedzieli tak naprawdę o niczym, co się dzieło na zewnątrz.

Aranda wyszedł ze swojej chaty. Trzymał w ręku szpicrutę, uderzał nią w nogę. Tego wieczoru uśmiechał się, więc większość więźniów trochę się rozluźniła. Wskoczył na podest i ostrym, wyraźnym głosem zaczął wykrzykiwać nazwiska jeńców.

Zbiórka trwała pół godziny, mężczyźni stali przez cały czas na baczność. Pod koniec ktoś o kilka rzędów dalej przewrócił się. Jego sąsiedzi schylili się, by mu pomóc.

- Zostawcie go! - zawołał Aranda. - Patrzeć przed siebie!

Na koniec komendant uniósł ramię w faszystowskim pozdrowieniu i zawołał ¡Arriba España! Na początku niewoli Berniego, w San Pedro, niektórzy więźniowie odmawiali odpowiedzi, ale kiedy kilku z nich zastrzelono, reszta przestała się bronić, więc teraz rozbrzmiała nierówna, głucha odpowiedź. Bernie powiedział innym więźniom o angielskim słowie, które brzmiało prawie jak Arriba, więc teraz wielu odpowiadało Grieve España1.

Więźniów zwolniono. Mężczyznę, który upadł, podnieśli stojący obok niego więźniowie; zanieśli go do chaty. To był jeden z Polaków. Ledwo się ruszał. Po drugiej stronie ogrodzenia ciemna postać w długiej, czarnej szacie stała i patrzyła.

- Ojciec Eduardo - wymamrotał Vicente. - Przyszedł po swoją ofiarę.

Obserwowali, jak młody ksiądz przechodzi przez bramę i idzie

w stronę chaty Polaka. Jego sutanna wznosiła w górę drobiny kurzu. Okulary księdza odbiły ostatni błysk światła dnia.

- Sukinsyn - wymamrotał Vicente. - Przychodzi sprawdzić, czy uda mu się przerazić wizją piekła kolejnego porządnego ateistę wystarczająco, by przyjął ostatnie namaszczenia.

Vicente był starym lewicowym republikaninem, członkiem partii Azañii. Był madryckim prawnikiem, świadczył tanie usługi biedocie,

i Oplakujmy Hiszpanię.,

póki nie wstąpił do oddziałów ochotniczych w trzydziestym szóstym. Powiedział Berniemu, że to był romantyczny gest.

- Byłem za stary. Ale wszyscy Hiszpanie, nawet tacy racjoniści jak ja, w głębi duszy są romantykami. - Jak wszyscy członkowie jego partii, Vicente instynktownie nienawidził Kościoła. Wśród lewicowych republikanów ta nienawiść graniczyła z obsesją. Komuniści mówili, że to tylko liberalno-burżuazyjna rozrywka. Vicente nienawidził komunistów i oskarżał ich o zniszczenie Republiki. Establo, przywódca komunistów w chacie Berniego, nie popierał jego przyjaźni z Vicente.

- W tym obozie możesz przetrwać tylko dzięki przekonaniom - pewnego razu ostrzegł Berniego Establo. - Jeżeli je porzucisz, opuszczą cię siły, poddasz się i umrzesz. - Establo sam sprawiał wrażenie, jakby przy życiu trzymały go tylko jego przekonania. Miał czterdzieści kilka lat, ale wyglądał na sześćdziesiąt. Jego poóółkła skóra była pomarszczona i poznaczona bliznami od świerzbu. Ale w jego oczach wciąż płonął ogień.

Bernie wzruszył ramionami i odparł, że w końcu nawróci Vicente, że prawnik miał zadatki, by dostrzegać rzeczywistość z punktu widzenia ich klasy. Nie darzył Establa szacunkiem; kiedy dwudziestu komunistów z jego chaty wybierało przywódcę, nie głosował na niego. Establo miał obsesję na punkcie władzy i nie znosił sprzeciwu. W czasie wojny tacy ludzie byli potrzebni, ale teraz sytuacja była inna. Kiedy wojna domowa dobiegała końca, wszystkie partie, które tworzyły Republikę, nienawidziły siebie nawzajem, ale w obozie więźniowie musieli współpracować, by przeżyć. Establo starał się utrzymywać osobną tożsamość komunistów. Mówił im, że wciąż byli przednią strażą klasy robotniczej, że pewnego dnia ich czas znów nadejdzie.

Kilka dni wcześniej Pablo, jeden z komunistów, wyszeptał Berniemu do ucha:

- Lepiej nie zadawaj się z prawnikiem, compadre. Establowi to się nie podoba.
- Niech się pierdoli. Czy on ma w ogóle władzę?- Bernardo, po co szukać kłopotów? Wszyscy i tak wiedzą, że prawnik wkrótce umrze.

Trzydziestu więźniów weszło z ociąganiem do drewnianej chaty i rzuciło się na słomiane materace, leżące na zbitych z drewnianych desek pryczach. Każdy miał brązowy wojskowy koc. Bernie zajął pryczę koło Vicente, kiedy jej poprzedni lokator umarł. Piper zrobił tak częściowo po to, żeby postawić się Establowi, który leżał teraz na pryczy w rzędzie naprzeciwko i patrzył na niego.

Vicente znowu zakaszłał. Jego twarz poczerwieniała. Położył się, sapiąc.

- Źle ze mną. Będę musiał prosić jutro o zwolnienie chorobowe.
- Nie możesz. Ramirez jest na służbie, po prostu dostaniesz lanie.
- Nie wiem, czy wytrzymam jeszcze jeden dzień.
- Nie gadaj, wytrzymasz do czasu, aż wróci Molina. On ci da lekkie zajęcia.
- Spróbuję.

Przez moment milczeli. Bernie oparł się na łokciu.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - Agustín, strażnik, powiedział mi wcześniej coś dziwnego.
- Ten cichy, z Sewilli?
- Tak. - Bernie powtórzył jego słowa. Vicente zmarszczył brwi.
- Co to może znaczyć?
- Nie wiem. A co, jeśli monarchiści obalili Falangę? Nie powiedzieliby nam tego.
- Pod monarchistami wcale nie wiodłoby nam się lepiej. - Vicente zamyślił się na moment. - Nadchodzą lepsze czasy, co? Może miał na myśli tylko ciebie, a nie cały obóz.
- Dlaczego mieliby wyświadczać mi przysługi?
- Nie wiem. - Vicente położył się z westchnieniem, które przeszło w kaszel. Był chory i zmarnowany.

- Posłuchaj - powiedział Bernie, żeby go czymś zająć. - Postawiłem się temu pieprzonemu konowałowi. Powiedział mi, że jestem

degeneratem, bo nie chcę przejść na katolicyzm. Ciągle pamiętam ten cyrk, jaki urządzili na ostatnie święta. Pamiętasz tę lalkę?

Vicente wydał z siebie odgłos, który był czymś pomiędzy śmiechem a jękiem.

- Jak można by o tym zapomnieć.

Był zimny dzień, na ziemi leżał śnieg. Więźniowie zostali wyprowadzeni na plac, gdzie stał ubrany w żółto-zieloną kapę ojciec Jaime, starszy z dwóch służących w obozie księży. W swoim kolorowym stroju na pustym białym placu wyglądał jak przybysz z innego świata. Obok niego stał młody ojciec Eduardo, ubrany jak zawsze na czarno. Był niespokojny. Ojciec Jaime trzymał dziecięcą lalkę, zrobioną z drewna dziecko zawinięte w szal. Wokół czoła miało nakreślone srebrne kółko, które na moment zdziwiło Berniego, póki nie zorientował się, że to miała być aureola.

Jak zawsze na twarzy ojca Jaime malował się wyniosły, wściekły wyraz, jego orli nos u nasady z małymi, sztywnymi włoskami brwi był podniesiony, jak gdyby razito go coś więcej niż tylko smród więźniów. Aranda rozkazał trzęsącym się z zimna więźniom stanąć w szeregach, po czym wszedł na podest, klepiąc się w nogę szpicrutą.

- Dzisiaj jest dzień Objawienia Pańskiego - zawołał. Jego oddech w mroźnym powietrzu tworzył szare kłęby pary. - Dzisiaj czcimy Pana naszego, Dzieciątka Jezus, które przybyło na Ziemię, by nas zbawić. Złóżcie mu hołd, może wtedy Pan Bóg zlituje się nad wami i rozświecili wasze dusze. Każdy z was ucałuje figurkę Dzieciątka Chrystusa, którą trzyma ojciec Jaime. Nie martwcie się; jeżeli ktoś całujący je przed wami ma gruźlicę, Pan nie pozwoli, byście się zarazili.

Ojciec Jaime zmarszczył brwi, słysząc beztroski ton komendanta. Ojciec Eduardo wbił wzrok w ziemię. Starszy ksiądz uniósł lalkę, grożąc nią niczym bronią.

Mężczyźni podchodzili do niej jeden po drugim i całowali ją. Kilku nie dotknęło drewna wargami, więc ksiądz Jaime wołał ich ostro z powrotem. „Jeszcze raz! Ucałuj Dzieciątka Jezus jak należy!”.

To jeden z anarchistów, stoczniowiec Tomás z Barcelony, odmówił. Stanął przed księdzem i patrzył mu prosto w oczy. Był postawnym mężczyzną, ojciec Jaime lekko się skulił.

- Nie pocałuję twojego symbolu zabobonu - powiedział. - Pluję na niego! -i splunął, zostawiając na drewnianym czole lalki smugę śliny. Ojciec Jaime krzyknął tak, jakby lalka była prawdziwym Dzieciątkiem. Jeden ze strażników wymierzył Tomasowi cios w głowę, powalając go na ziemię. Ojciec Eduardo rozejrzał się i chciał wystąpić naprzód, ale powstrzymało go spojrzenie ojca Jaime. Starszy ksiądz wytarł białą chusteczką czoło lalki.

Aranda zeskoczył z podestu i podeszedł do miejsca, gdzie leżał mężczyzna.

- Obrażasz naszego Pana! - zawołał. - Panienska w niebie płacze, kiedy plujesz na jej dziecko!

W jego głosie była wściekłość, ale mówił wciąż drwiącym tonem. Aranda zamachnął się szpicrutą i zaczął metodycznie okładać anarchistę, poczynając od nóg, a kończąc ciosem w głowę Tomasza, od którego pociekła mu krew. Zawołał dwóch strażników, żeby go zabrali, po czym zwrócił się do ojca

Jaime. Ksiądz skulił się, przyciskając do piersi lalkę tak, jakby chronił ją przed rozgrywającą się sceną. Aranda skłonił się.

- Przepraszam, panie, za tę obelgę. Proszę kontynuować. Nawrócimy tych ludzi, choćbyśmy mieli zginąć, prawda? - Aranda skinął w stronę kolejnego więźnia w kolejce. Kiedy mężczyzna podszedł i pochylił się nad lalką, Bernie z zadowoleniem zauważył w oczach księdza oprócz wściekłości także odrobinę strachu.

- Pamiętam, jak ta lalka śmierdziała - powiedział Bernie do Vicente. - Farbą i śliną.

- Te czarne kruki wszystkie są takie same. Ojciec Jaime to brutal, ale Eduardo jest przebiegły. Na pewno siedzi teraz w chacie Polaka i węszy, czy ten wkrótce umrze, czy jest już dość słaby, by przekonać go do zbawienia.

Bernie pokręcił głową.

- Eduardo nie jest taki najgorszy. Pamiętasz, że próbował załatwić lekarza dla obozu? I krzyże na cmentarz? - Pomyślał o zboczu wzgórza zaraz za obozem, gdzie leżeli pochowani w nieoznaczonych grobach wszyscy, którzy tu umarli. Kiedy ojciec Eduardo przybył latem, poprosił o krzyże, żeby oznakować groby zmarłych. Komendant zabronił mu tego. Wszyscy w obozie zostali skazani przez sądy wojskowe na dziesiątki lat więzienia. W praktyce już byli martwi. Pewnego dnia obóz zostanie zamknięty, chaty i drut kolczasty znikną i na tysym, owianym wiatrem wzgórzu nie pozostanie po nich żaden ślad.

- A jakie tam znaczenie mają krzyże - odparł Vicente. - To też tylko symbole zabobonu. Ojciec Eduardo udaje uprzejmość, służy tylko jego celom. Czarne kruki wszystkie są takie same, próbują dorwać cię, kiedy umierasz, kiedy jesteś najsłabszy.

Na zewnątrz zapadła noc. Niektórzy w chacie grali w karty albo szyli poszarpane ubrania w świetle słabych łojowych świec. Bernie zamknął oczy i próbował zasnąć. Pomyślał o pobiciu Tomasa - anarchista zmarł po kilku dniach. Tego popołudnia sam igrał z ogniem, kiedy rozmawiał z psychiatrą. Miał szczęście, że lekarz zdawał się traktować go jedynie jako obiekt badań. Bernie chciał częściowo wykonać jakiś bohaterski gest, tak jak Tomás, ale pragnął przeżyć. Jeżeli go zabiją, odniosą ostateczne, nieodwołalne zwycięstwo.

W końcu udało mu się zasnąć. Miał dziwny sen. Wszedł do chaty w której był tłum uczniów z Rookwood, przewodził im pan Taylor. Chłopcy przyjrzeni się drewnianym pryzcom, po czym stanęli wokół stojącego pośrodku drewnianego stołu ze skrzynek po jedzeniu. Powiedzieli, że jeśli to jest ich nowa sypialnia, to wydaje się okropnie niewygodna i nie podoba im się. „Nie popadajcie w przygnębienie - powiedział z reprimendą w głosie pan Taylor. - Nie tak się zachowujemy w Rookwood”.

Bernie ocknął się gwałtownie. W chacie było zupełnie ciemno, nic nie widział. Było mu zimno; przykrył stopy cienkim kocem. Była pierwsza naprawdę zimna noc. Wrzesień i październik były najprzyjemniejsze; letni żar ustępował z każdym tygodniem o kilka stopni,

temperatura w nocy była na tyle przyjemna, że dało się spokojnie spać. Ale teraz nadeszła zima.

Leżał w ciemności rozbudzony, słuchał pokastywań i szmeru rozmów pozostałych. Prycze trzeszczały, kiedy ktoś, być może także z zimna, przewracał się niespokojnie na drugi bok. Niedługo każdego ranka będzie mróz. Przed świętami więźniowie zaczną umierać.

Z sąsiedniej pryczy doszedł do niego szept.

- Bernardo, nie śpisz? - Vicente znowu zakaszłał.
- Nie.
- Posłuchaj - powiedział nagłym głosem. Bernie odwrócił się, ale w ciemności nie mógł go zobaczyć. - Chyba nie przeżyję tego zimna.
- Oczywiście, że przeżyjesz.
- Jeśli nie, chcę, żebyś coś mi obiecał. Pod koniec przyjdą po mnie czarne kruki i spróbują mnie rozgrzeszyć. Powstrzymaj ich. W ten sposób zdradziłbym wszystko, po co żyłem. Proszę, powstrzymaj ich jakoś.

Bernie poczuł, że napływają mu do oczu łzy.

- W porządku - wyszeptał. - Jeżeli do tego dojdzie, obiecuję. - Vicente wyciągnął w jego stronę swoją chudą dłoń, znalazł jego ramię i ucisnął je.
- Dziękuję - powiedział. - Jesteś prawdziwym przyjacielem. Pomożesz mi w moim ostatnim akcie oporu.

Rozdział dwudziesty drugi

W Madrycie pierwszy dzień listopada wstał zimny i wilgotny. Mieszkanie Harry'ego było ponure, pomimo akwarelek przedstawiających sceny z angielskiej wsi, które pożyczył z ambasady, żeby przykryć gołe ściany.

Czasami rozmyślał o zaginionym komisarzu. Zastanawiał się, jakim komisarzem byłby Bernie, gdyby przeżył i gdyby jego strona wygrała. Zadaniem Harry'ego podczas spotkań z Barbarą było zachęcić ją do mówienia o Sandym, więc prawie nie wspominali o Bernie; trochę mu było z tego powodu wstyd, czuł się tak, jak gdyby oboje wymazali go ze swojej przeszłości. Pomyślał, że pewnie Bernie byłby bardzo kompetentnym komisarzem, obok społecznego współczucia miał też w sobie coś surowego, ostrego. Ale nie wyobrażał sobie, by mógł zostać jednym z takich ludzi, o jakich słyszał podczas wojny domowej, takich, którzy potrafili skazać żołnierza na rozstrzelanie tylko dlatego, że narzekał.

Wziął kubek z herbatą Lipton, którą załatwiła mu ambasada, i podszedł do okna. Włączył brasero; ze stojącego pod stołem piecyka rozeszło się przyjemne ciepło. Z balkonów naprzeciwko kapał niespiesznie deszcz. Bardzo nie lubił wypytywania Barbary o Sandy'ego, węszenia za jakimiś informacjami o nim, i ulżyło mu, kiedy zorientował się, że ona prawdopodobnie nic nie wie. Doszedł do wniosku, że chyba nie nadaje się za bardzo na szpiega.

Tego ranka pracował jako tłumacz na przyjęciu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a później miał spotkać się z Sandym w ka-wiarni Rocinante. Zadzwoił do niego dzień po spacerze z Barbarą.

Powiedział, że w ambasadzie jest spokój, i zapytał, czy może miałby ochotę się z nim spotkać? Sandy z chęcią przystał na jego propozycję.

Harry szedł ulicą w stronę kawiarni. Jak zawsze rozejrzał się ostrożnie dookoła, ale nic nie wskazywało na to, by Enrique zastąpił inny, lepiej wyszkolony szpicel.

Kiedy dotarł do kawiarni, Sandy już tam był. Siedział przy stole z nogą opartą na drewnianym klocek, a obdarty dziesięcioletni chłopiec czyścił mu buty. Zamachał do Harry'ego.

- Tutaj! Wybacz, że nie wstanę.

Harry usiadł. Tego popołudnia w kawiarni było spokojnie. Może mgła i deszcz skłoniły ludzi do pozostania w domu.

- Parszywa pogoda, co? - powiedział wesoło Sandy. - Zupełnie jak w domu.

- Przepraszam za spóźnienie.

- Nic się nie stało. Sam jestem tu ledwie od paru minut. Obawiam się, że idzie zima. - Chłopiec przykucnął, a Sandy przyjrzał się swoim butom.

- Dobrze, niño. - Podał chłopcu monetę. Ten zwrócił swoje duże smutne oczy na Harry'ego.

- Wyczyścić panu buty, señor?

- No, gracias.

- Harry, daj spokój, to tylko dziesięć centymów.

Harry skinął głową, na co chłopak podłożył mu pod nogę drewniany klocek i zaczął czyścić jego czarne buty, które godzinę wcześniej Harry sam wypastował. Sandy skinął na kelnera i zamówili kawę. Chłopak skończył czyścić. Harry podał mu monetę i mały podszedł do innych klientów, pytając smutnym, pochlebny szepcąc ¿Limpiabotas?

- Biedaczyna - powiedział Harry.

- W zeszłym tygodniu próbował sprzedać mi świńskie pocztówki. Okropne, podstarzałe dziwki ściągające majtki. Powinien uważać, żeby civiles go nie złapali.£

Kelner przyniósł im kawę. Sandy przyjrzał się Harry'emu w zamyśleniu.

- Powiedz mi - poprosił - jakie wrażenie wywarła na tobie Barbara, kiedy się spotkaliście.

- W porządku. Poszliśmy na spacer po Casa de Campo. - Wcale nie wydawała się w porządku. Była zamknięta w sobie i skryta, czego się po niej nie spodziewał, ale nie miał zamiaru mówić o tym Sandy'emu. Przynajmniej pod tym względem mógł pozostać wobec niej lojalny.

- Nie wydawała ci się zmartwiona, zatroskana?

- Chyba nie.

- Hmm. - Sandy zapalił cygaro. - Od kilku tygodni coś jej chodzi po głowie. Mówi, że to nic takiego, ale nie byłbym taki pewien. - Uśmiechnął się. - No cóż, może ta praca wolontariuszki trochę ją rozpogodzi. Mówiła ci o tym?

- Tak. Brzmiało nieźle.

- Słyszałem, że mieliście starcie z falangistami w restauracji. - Sandy spojrzał na niego znacząco. Harry skinął głową.

- Byli tylko trochę nieuprzejmi.

Sandy się roześmiał.

- Hitler powiedział kiedyś, że faszyzm potrafi zamienić robaka w smoka. Wygląda na to, że tutaj przytrafiło się to całkiem wielu robakom. No cóż, trzeba im po prostu pozwolić ziać dymem i ogniem. Chociaż czasami to się robi męczące. - Uśmiechnął się nagle z sympatią. - Dobrze jest raz na jakiś czas zobaczyć trzeźwą, angielską twarz.

- Praca z takimi ludźmi musi być dziwna. Pracujesz głównie w Ministerstwie Górnictwa, prawda? Wspominałeś coś o tym poprzednim razem.

Sandy skinął głową i przygładził wąsy.

- Zgadza się. W końcu moje poszukiwania dinozaurów do czegoś się przydały. Bardziej niż ta cała łacina, którą wbijali nam do głów. Znam się trochę na geologii. Jakiś czas temu spotkałem na przyjęciu pewnego inżyniera górnictwa i wspólnie rozkręciliśmy interes.

- Naprawdę? - Harry pomyślał, że to musiał być Otero. Próbował ukryć zainteresowanie.

- Polityka gospodarcza Franco polega na tym, żeby uczynić Hiszpanię państwem jak najbardziej samowystarczalnym - kontynuował Sandy. - Żeby korzystała jak najbardziej z własnych surowców, a nie zależała od obcych mocarstw. Standardowa faszystowska gadka. Więc jeśli znasz się na badaniach górniczych, masz nieograniczone możliwości. Jeżeli masz kompetencje, nawet zasponsorują ci badania.

- Przerwał na chwilę i przyjrzał mu się tak uważnie, iż przez moment Harry przestraszył się, że dowiedział się o jego zadaniu. - Pamiętasz, jak poprzednim razem powiedziałem, że mógłbym ci udzielić kilku wskazówek biznesowych?

- Tak.

- Jeśli wiesz, w co zainwestować, możesz zarobić mnóstwo pieniędzy.

Harry pokiwał zachęcająco głową.

- Przez lata zaoszczędziłem sporo z mojej renty. Czasami myślę sobie, że lepiej byłoby coś z tym zrobić, zamiast trzymać to po prostu w banku.

Sandy pochylił się naprzód i klepnął go w ramię.

- W takim razie to mnie potrzebujesz. Z przyjemnością pomogę ci zarobić trochę pieniędzy. Zwłaszcza w górnictwie; jako nagrodę za to, że chodziłeś ze mną na te wszystkie wyprawy w poszukiwaniu skamielin. - Przekrzywił głowę. - Nie nudziłeś się wtedy, prawda?

- Nie, lubiłem te wycieczki.

- Wciąż mnie fascynują rzeczy ukryte w ziemi. - Skinął poważnie głową. - Zobaczą, co się da zrobić. Muszę być ostrożny, falangiści w ministerstwie robią dla mnie wyjątek, ale nie lubią Brytyjczyków.

- Uśmiechnął się. - Coś wymyślę. Chciałbym ci pokazać, że osiągnąłem sukces. - Przerwał i posłał Harry'emu jedno ze swoich przenikliwych spojrzeń. - Masz co do tego wątpliwości, prawda?

- No cóż...

- Widzę to w twojej twarzy, Harry. Zastanawiasz się, co ja robię z tymi ludźmi. Barbara też ciągle się nad tym zastanawia, z jej twarzy też to wyczytałem. Ale w interesach nie można być kapryśnym.- Potrzeba trochę czasu, żeby zrozumieć, jakie wszystko tutaj jest... skomplikowane.

Sandy posłał mu krótki, ironiczny uśmiech.

- Jeszcze jak skomplikowane... Byłeś na tym przyjęciu u generała Maestre?

- Tak. Mam zabrać jego córkę do Prado. - Będzie musiał do niej zadzwonić dziś wieczorem. Bez przerwy to odkładał.

- Fajna dziewczyna?

- Bardzo młoda. Na przyjęciu byli sami monarchiści. W ogóle nie lubią Falangi.

- Chcą monarchii autorytarnej, chcą żeby rządziła arystokracja, jak pięćdziesiąt lat temu. Ale wtedy wszystko znowu by się rozpadło.

- Popierają aliantów.

- Nie daj się zwieść pozorom, Harry. To twardzi ludzie. W wojnie domowej wszyscy walczyli po stronie Franco. Pierwszą rebelię generałów ufundował kumpel monarchistów, Juan March.

- Ostatnio często słyszę to nazwisko.

- Falangiści sądzą, że spiskuje z monarchistami i ma kontakty z aliantami. Mówią, że korumpuje generałów, kupuje ich poparcie, żeby powstrzymywali Hiszpanię od przystąpienia do wojny.

I wtedy nagle Harry zrozumiał. Poczuł, jakby w głowie zapaliło mu się jakieś światło. Przekupstwo. To o tym rozmawiali Hillgarth i Maestre tamtego dnia. Rycerze Świętego Jerzego to był kryptonim pieniędzy, na suwerenach na awersie widniał święty Jerzy powalający smoka. Płacili im w suwerenach. Wziął głęboki oddech.

- Wszystko w porządku? - zapytał Sandy.

- Tak. Po prostu... coś sobie przypomniałem. - Wypił łyk kawy i zmusił się, by wrócić do teraźniejszości. - Powiedz mi - zagadnął, żeby tylko podtrzymać rozmowę - miałeś ostatnio jakieś wiadomości od swojego brata?

- Peter od dziewięciu lat się do mnie nie odzywa. Po tym, jak wywalili mnie z Rookwood, tata nie chciał, żebym się do niego zbliżał. Powiedział, że jestem stracony, nie mógł zrozumieć, jak mogłem zrobić coś tak niegodziwego. - Zaśmiał się nieszczerze. - Wrzuciłem pająki do pokoju nauczyciela. O Boże, gdyby wiedział, co się tutaj działo. W każdym razie od kiedy wyjechałem z domu, nie odezwał się do mnie ani ojciec, ani Peter, syn doskonały. - W jego głosie pojawiła się gorzycz. - Jestem pewien, że Peter został bohaterskim kapelanem. - Zapalił cygaro.

- Przepraszam, nie chciałem...

- Nie szkodzi. Słuchaj, wracając do tego interesu, pozwól, że pogadam z kilkoma osobami i wtedy zobaczymy.

- Dobrze by było. - Zawahał się. - Mógłbyś powiedzieć mi coś więcej?

Sandy uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Kwestia poufności. - Spojrzał na zegarek. - Powinienem iść, mam spotkanie w swoim Komitecie do spraw Żydów.

- Barbara powiedziała, że pracujesz z uchodźcami.

- Tak, przychodzą zza Pirenejów. Próbują dostać się do Portugalii na wypadek, gdyby Franco przystąpił do wojny i oddał ich z powrotem Hitlerowi. Niektórzy są w kiepskim stanie, kiedy tu docierają. Staramy się doprowadzić ich do porządku i pomóc im w problemach z dokumentami. - Uśmiechnął się nieśmiało, jakby wstydził się pracy dobrotocznej. - Lubię im pomagać. Chyba sam zawsze czułem się trochę jak Żyd tułacz. - Wstał. - No cóż, muszę iść. Ja stawiam. Ale musimy to powtórzyć. Jestem tu prawie codziennie o tej porze.

Harry ruszył w stronę domu. Wciąż było zimno i wilgotno. Nie mógł przestać myśleć o rozmowie między Maestre i Hillgarthem oraz o zwiężłym rozkazie komandora, żeby zapomniał o Juanie Marchu i Rycerzach Świętego Jerzego. Czyżby ambasada była zaangażowana w przekupywanie ministrów? Kiedy o tym pomyślał, uznał, że taka teoria może być trochę naciągana. Gdyby Franco się dowiedział, sytuacja byłaby niebezpieczna.

Potrząsnął głową, w chorym uchu znowu czuł ucisk i słyszał lekkie, denerwujące brzęczenie. Może to przez wilgoć. Pomyślał o MissMaxse, która stwierdziła, że nie można było wygrać tej wojny, postępując fair. Co jeszcze powiedziała, coś o ludziach, którzy angażowali się w politykę ekstremistów? „Czasem chodzi im w tej samej mierze o adrenalinę, co o politykę”. Sandy zawsze lubił podejmować ryzyko - czy to dlatego tu wylądował? Zastanowił się nad komitetem do spraw Żydów. Sandy miał także swoją dobrą stronę. Jeżeli kontrolował sytuację, pomagał innym: na przykład, kiedy uczył go o skamielinach albo kiedy sterował życiem Barbary, bo tak właśnie wyglądał ich związek.

Powinien wrócić do ambasady i zdać raport ze swoich postępów. Na pewno ucieszą się, że Sandy zaproponował mu współudział w jednym ze swoich przedsięwzięć. Oczywiście mogło chodzić o coś innego, niezwiązanego ze złotem. Wciąż jednak nie mógł przestać myśleć o Rycerzach Świętego

Jerzego, o tym, co to mogło znaczyć. A jeśli im się nie uda, czy falangiści zdobędą posłuch u Franco i Hiszpania przystąpi do wojny? Ludzie pokroju Maestre byliby wtedy zagrożeni. Może dlatego Maestre chciał za wszelką cenę wydostać córkę z kraju?

Zorientował się, że doszedł prawie do Puerta del Toledo. Zatrzymał się na moment i obserwował przejeżdżające ulicą wozy i poobijane samochody. Niektóre wyglądały, jakby jeździły od ponad dwudziestu lat, i pewnie tak było. Minął go z charkotem saturator. Od ponad tygodnia nie usłyszał nic od Sofii o lekarzu dla Enrique. A co jeśli Enrique dostał wścieklizny? Harry słyszał, że według Chińczyków to, że ocaliłeś kogoś od śmierci, sprawia, że wasze życia są na zawsze związane, ale wiedział, że myśli o tej rodzinie przede wszystkim ze względu na Sofię. Zawahał się przez chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w kierunku Carabanchel.

Ulica, na której mieszkała Sofia, była cicha i wyludniona, jak wszystkie inne w tej dzielnicy. Kiedy stanął przed kamienicą, zaczynało się już robić ciemno. Dwoje dzieci, toczących w tę i z powrotem koło od wozu, zatrzymało się i spojrzało na niego. Ich białe stopy były czerwone z zimna. Harry ze wstydem pomyślał o swoim grubym płaszczu i kapeluszu. Otworzył drzwi na wilgotną klatkę schodową, zawahał się, po czym wszedł po mokrych schodach i zapukał do ich mieszkania. W tym samym momencie otworzyły się drzwi naprzeciwko i wyszła z nich starsza kobieta. Miała okrągłą, pomarszczoną twarz o zimnym, surowym spojrzeniu. Harry uniósł kapelusz.

- Buenas tardes.

- Buenas tardes - odparła podejrzliwie. W tej samej chwili Sofia uchyliła drzwi. Spojrzała na niego, zaskoczona, otworzyła szeroko ze zdziwienia swoje duże brązowe oczy.

- Och, señor Brett.

Harry ponownie uniósł kapelusz.

- Buenas tardes. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem wiedzieć, jak się ma Enrique.

Sofia spojrzała na wścibską sąsiadkę, która wciąż się na nich gapiała.

- Buenas tardes, señora Avila - powiedziała chłodno.

- Buen día - wymamrotała kobieta. Zamknęła drzwi i prędko zeszła na dół po schodach. Sofia przez chwilę śledziła ją wzrokiem, po czym zwróciła się do Harry'ego.

- Señor, proszę wejść - powiedziała poważnie. Nie uśmiechnęła się.

Harry wszedł za nią do zimnego, wilgotnego salonu. Stara kobieta

w łóżku grała zdrową ręką w warcaby z chłopczykiem, który na widok Harry'ego się skulił. Jedną ręką zaczęła mu dygotać. Kobieta objęła go ramieniem.

- Buenas tardes - powiedział Harry. - Jak się pani czuje?

- Dostyc dobrze, señor, dziękuję.

Enrique siedział przy stole, jego noga leżała na poduszce i była cała obwiązana bandażami. Jego pociągła, wychudła twarz była rozgorączkowana, ale na widok Harry'ego rozpoznała się.

- Señor. Dobrze pana znowu widzieć. - Pochylił się i uściskał Harry'emu dłoń.
- Jak noga?
- Wciąż źle. Sofia przemywa rany, ale właściwie nic się nie poprawia.

Jego siostra się zawstydziała.

- Potrzeba czasu - powiedziała.

Na stoliku leżało kilka dziecięcych rysunków. Harry spojrzał na nie i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Na jednym dwóch civiles w zielonych mundurach i żółtych pasach, dokładnie pokolorowanych we właściwym odcieniu, strzelało do kobiety, z jej ciała płynęły małe czerwone strumyki. Obok leżał obrazek przedstawiający jednego z nich powieszono na latarni, mały chłopczyk ciągnął za linę. Ale rysunki były pomazane grubymi, czarnymi kreskami.

- Paco je zrobił - powiedziała łagodnie Sofia. - Rysuje je, po czym przekreśla i wpada w złość. Tylko mama potrafi go uspokoić. Rano narobił strasznego hałasu, myślałam, że przyleci tu señora Avila.

Harry spojrzał na chłopczyka. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Señor Brett - powiedziała z wahaniem Sofia - czy mogłabym może pomówić z panem w kuchni?

- Oczywiście.

Harry wszedł za nią do pomieszczenia z betonową posadzką, w którym wzdłuż ścian wisiały tanie szafki. Ściemniało się. Dziewczyna wcisnęła guzik, słaba żarówka oświetliła kuchnię żółtym światłem. Było tu czysto, poza tym, że zlew był pełen naczyń. Sofia podążyła za jego wzrokiem.

- Muszę teraz dla nich wszystkich gotować i sprzątać.
- Wcale nie... Nie miałem na myśli...
- Proszę usiąść. - Wskazała Harry'emu gestem krzesło przy stole kuchennym. Sama usiadła naprzeciwko niego i złożyła drobne ręce. Spojrzała na Harry'ego w zamyśleniu.
- Nie spodziewałam się, że pan wróci - powiedziała.

Harry uśmiechnął się.

- Nie dostałem rachunku od lekarza.
- Miałam nadzieję, że noga Enrique sama się wyleczy. - Westchnęła. - Ale zakażenie nie chce ustąpić. Chyba rzeczywiście potrzebuje lekarza.
- Moja propozycja jest wciąż aktualna.

Zmarszczyła brwi.

- Señor, proszę mi wybaczyć, ale czemu miałby nam pan pomagać? Za to, że Enrique pana śledził? - Wydawało mi się, że powinienem coś zrobić. Bardzo proszę, to tylko rachunek za lekarza. Mogę w ten sposób pomóc. Stać mnie na to.

- Jeśli ta starucha z naprzeciwka usłyszy, że dostaję pieniądze od zagranicznych dyplomatów, już wiem, co sobie pomyśli.

Harry się zarumienił. Czy Sofia też tak myślała?

- Przepraszam, nie chciałem pani wprawić w zakłopotanie. - Zaczął wstawać. - Chciałem tylko pomóc.

- Wiem, widzę. Proszę zostać - powiedziała przepraszająco. Usiadła i zapaliła papierosa. - Ale to, że obcokrajowiec chce nam pomóc po tym, co zrobił Enrique, zaskoczyło nas. - Przygryzła wargi. - Wydaje mi się, że mój brat może potrzebować nowej penicyliny.

- W takim razie proszę pozwolić mi pomóc. Widzę, że czasy są dla państwa... trudne.

Uśmiechnęła się, jej twarz pojaśniała.

- W porządku. Dziękuję.

- Proszę sprowadzić lekarza, kupić wszystkie leki, których potrzebuje pani brat, a potem przysłać mi rachunek. Nic więcej.

Wydawało się, że była zażenowana.

- Przepraszam bardzo, señor Brett, uratował pan mojemu bratu życie, a ja nawet panu odpowiednio nie podziękowałam.

- To nic takiego.

- W tych czasach wszyscy wszystkich podejrzewają. - Wstała. - Napije się pan kawy? Nie jest najlepsza, nie przypomina tej, do której jest pan przyzwyczajony.

- Dziękuję, chętnie.

Napełniła w zlewie duży czarny czajnik.

- Ta stara suka, którą widział pan na korytarzu, chce, żebyśmy oddali Paquita do prowadzonego przez Kościół sierocińca, teraz, kiedy Enrique jest chory. Ale tego nie zrobimy. To nie jest dobre miejsce.

- Nie? - Miał właśnie zamiar powiedzieć, że zna kogoś, kto zgłosił się do pracy jako wolontariusz w jednym z nich, ale zmienił zdanie. Sofia podała mu filiżankę kawy. Spojrzał na nią. Skąd miała w sobie

tyle opanowania, tyle energii? Jej włosy były kruczoczarne, ale w miejscach, gdzie odbijało się od nich światło, widać było kasztanowe odbłyски.

- Od dawna pracuje pan w ambasadzie? - spytała.

- Ledwie od kilku tygodni. Zwolniono mnie z wojska z powodu problemów ze zdrowiem.
- A więc walczył pan? - W jej głosie słychać było szacunek.
- Tak. We Francji.
- Co się panu stało?
- Po wybuchu bomby mam trochę uszkodzony słuch. Poprawia mi się. - Ale wciąż czułem w głowie nieustępliwy ucisk.
- A więc walczył pan z faszystami? - zapytała po chwili wahania.
- Tak. Tak, walczyłem. - Spojrzał na nią. - Zrobiłbym to jeszcze raz.
- Ale wielu ludzi podziwia Generalísima. W czasach wojny domowej poznałam chłopaka z Anglii, był ochotnikiem. Powiedział, że wielu Anglików uważa Franco za prawdziwego hiszpańskiego dżentelmena.
- Ja tak nie sądzę.
- Ten chłopak był z Leeds. Zna pan Leeds?
- Nie. To na północy.
- Ojciec poznał go podczas bitwy o Casa de Campo. Obaj tam polegli.
- Przykro mi.
- Teraz po prostu musimy żyć najlepiej, jak się da. - Wyjęła papierosa i zapaliła.
- Nie ma szans, żeby wróciła pani do szkoły medycznej?

Pokręciła głową.

- Muszę opiekować się mamą i Paquitem, a teraz też Enrique.
- Po leczeniu może będzie mógł znowu podjąć pracę.
- Tak, ale tym razem inną. - Gniewnie strzepnęła popiół do popielniczki. - Powiedziałam mu, że nie powinien brać tej roboty. - Ponownie zmierzyła go baczny spojrzeniem. - Jak udało się panu nauczyć tak dobrze mówić po hiszpańsku?
- W Anglii jestem nauczycielem, wykładowcą. A w każdym razie byłem, nim wybuchła wojna. Nasza wojna - dodał. - Byłem w Hiszpanii w trzydziestym pierwszym, mówiłem pani o tym. Chyba wtedy na dobre się zainteresowałem tym krajem.

Uśmiechnęła się smutno.

- To był nasz czas nadziei.
- Przyjaciel, z którym przyjechałem tu w trzydziestym pierwszym, wrócił, żeby walczyć w wojnie domowej. Zginął nad Jaramą.

- Pan też popierał Republikę?
- Bernie ją popierał. Był idealistą. Ja wierzyłem w neutralność.
- A teraz?

Nie odpowiedział. Sofia się uśmiechnęła.

- Przypomina mi pan pod pewnym względem tego chłopaka z Leeds. Na jego twarzy malowało się takie samo zmieszanie, kiedy mówiliśmy o Hiszpanii. - Wstała. - Powinnam sprowadzić lekarza.

Harry podążył za nią do salonu.

- Enrique - powiedziała. - Rozmawiałam z señorem Brettern. Sprowadzimy dla ciebie lekarza. Pójdę po niego.

Enrique westchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu. Moja noga nie wygląda zbyt dobrze. Dziękuję, señor. Siostra jest strasznie uparta.
- De nada - powiedział z zakłopotaniem Harry. Mały chłopczyk patrzył na niego z przerażeniem w oczach. Harry rozejrzał się dookoła. Poczł zapach stęchlizny, zobaczył plamy wilgoci pod oknem i zrobiło mu się wstyd, że był bogaty i mógł czuć się bezpiecznie.
- Señora Avila znowu kręciła się po korytarzu, kiedy señor Brett przyszedł - powiedziała do matki Sofia.
- Przeklęta beata¹ - powiedziała kobieta niewyraźnie. - Myśli, że jeśli opowie księżom wystarczająco wiele, Bóg uczyni ją świętą.

Sofia się zarumieniła.

- Señor Brett, czy miałby pan coś przeciwko temu, żeby wyszedł pan jako pierwszy? Jeżeli ludzie zobaczą nas razem, będą plotki.
- Oczywiście - odparł Harry zakłopotany.

i Dewotka. Harry pożegnał się i poszedł powoli na przystanek tramwajowy przy Puerta de Toledo. Patrzył pod nogi, uważając na dziury i odkryte studzienki, z których wydobywał się przyprawiający o mdłości smród. Jeśli się nie uważało, można było złamać nogę. Posmutniał na myśl, że być może teraz dostanie tylko rachunek od lekarza i na tym się skończy. Nie spodziewali się, by wrócił. Ale postanowił, że w taki czy inny sposób znowu spotka się z Sofią. ✓

Rozdział dwudziesty trzeci

Następny poniedziałek był w ambasadzie bardzo pracowity. Harry umówił się na spotkanie z Milagros Maestre o czwartej w Prado, ale musiał przetłumaczyć komunikat prasowy o brytyjskich zwycięstwach w Afryce Północnej i spóźnił się o kwadrans.

Zadzwoił do niej w weekend. Nie miał ochoty, ale nie mógł tego tak zostawić, to by było niegrzeczne. Tolhurst stwierdził, że w ten sposób łatwo rozłościć Maestre, a na to nie mogli sobie pozwolić. Milagros ucieszyła się i od razu przyjęła jego zaproszenie.

Był już niegdyś w Prado, poszedł tam z Bernieem pewnego popołudnia w trzydziestym pierwszym. Wtedy w środku było tłoczno i gwarno, ale teraz olbrzymi budynek był cichy. Kupił bilet i wszedł do głównej sali. W środku prawie nikogo nie było, mniej zwiedzających niż strażników, którzy przechadzali się w tę i z powrotem, dzwoniąc kluczami; ich kroki rozbrzmiewały głuchym echem. Oświetlenie było słabe; w pochmurny, zimowy dzień muzeum wydawało się ponure i opuszczone. '

Prawie biegiem zszedł po schodach do kawiarni, gdzie umówił się na spotkanie z Milagros. Zdziwił się, kiedy zobaczył, że siedzi z nią mężczyzna; kiedy się odwrócił, Harry spostrzegł, że to towarzysz generała Maestre z balu, porucznik Gomez. Jego surowa, kwadratowa twarz wyrażała dezaprobatę. Milagros uśmiechnęła się, wyraźnie jej ulżyło.

- A, señor Brett - powiedział Gomez z naganą w głosie. - Zaczynaliśmy się zastanawiać, czy w ogóle pan przyjdzie.

- Strasznie przepraszam, zatrzymali mnie w ambasadzie. - Zwrócił się do Milagros. - Proszę o wybaczenie.

- To nic takiego - powiedziała. - Alfonso, proszę cię, to nic takiego. - Była ubrana w drogie futro, miała też świeżo zrobioną trwałą ondulację. Ubierała się jak dorosła kobieta, ale Harry znowu pomyślał, że jej pulchna twarz była bardzo dziecięca.

Gomez chrząknął z niezadowoleniem. Zgasił niedopałek papierosa i wstał. < >

- Milagros, zostawiam cię, spotkamy się przy wejściu o wpół do szóstej. Życzę miłego popołudnia, señor Brett. - Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Gomez spojrzał na niego chłodno. Harry przypomniał sobie historię o koszyku róż z głowami Marokańczyków w środku, który Maestre podobno ofiarował zakonnicom. Zastanawiał się, czy Gomez przy tym był.

Usiadł naprzeciwko Milagros.

- Obawiam się, że go uraziłem.

Pokręciła głową.

- Don Alfonso jest nadopiekuńczy. Wszędzie ze mną chodzi, jest moją przyzwoitką. Czy w Anglii dziewczyny wciąż mają przyzwoitki?

- Nie. W zasadzie nie.

Wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów. Dobrej marki, Lucky Strike, nie tę truciznę, którą paliła Sofia. Harry złapał się na tym, że przez cały weekend myślał o Sofii.

- Zapali pan, señor Brett?

Uśmiechnął się.

- Nie, dziękuję. Mów mi Harry.

Milagros zaciągnęła się głęboko i wypuściła kłąb dymu.

- Och, od razu lepiej. Nie lubią, kiedy palę, mówią, że jestem za młoda. - Zarumieniła się. -
Mówią, że to przejaw złych obyczajów.

- Wszystkie kobiety, które znam, palą.

- Masz ochotę na kawę?

- Nie teraz, dzięki, może kiedy obejrzymy obrazy?

- Bardzo chętnie. W takim razie wtedy skończę papierosa. - Uśmiechnęła się nerwowo. -
Palenie w miejscu publicznym to dla mnie rzadka

przyjemność. - Wypuściła znowu kłąb niebieskiego dymu, odwracając lekko głowę od Harry'ego.

Harry nie miał nic przeciwko galeriom sztuki, jeżeli nie musiał spędzać w nich za dużo czasu, ale nie był raczej ich entuzjastą. Kiedy szli przez sale, które echem odbijały ich kroki, narastało w nim poczucie bezbrzeżnej pustki. Wiele sal, z których obrazy zaginęły lub zostały skradzione w czasie wojny domowej, miało gołe ściany. Strażnicy w czarnych mundurach siedzieli w kątach na krzesłach i czytali „Arribę”.

Milagros była jeszcze większą ignorantką w kwestii sztuki niż Harry. Zatrzymywali się przed obrazami i któreś z nich wygłaszało jakąś górnolotną uwagę, po czym szli dalej.

W sali z obrazami Goi poczuła się nieswojo, stojąc przed Czarnymi malowidłami

- Malował okrutne rzeczy - powiedziała, patrząc na Sabat czarownic.

- Spędził dużo czasu na wojnie. Chyba zobaczyliśmy już prawie wszystko. Masz ochotę na kawę?

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

- Och tak, dziękuję.

W salach panował chłód, ale w kawiarni było za gorąco. Kiedy przyniósł do stolika dwie filiżanki kiepskiej kawy, Milagros zdjęła futro, rozesała się mdląca woń drogich perfum. Zdecydowanie przesadziła z ich ilością. Harry'emu nagle zrobiło się jej żal.

- Chciałabym zobaczyć muzea w Londynie - powiedziała. - Chciałabym zobaczyć Londyn. Moja mama mówi, że to wspaniałe miasto.

- Była tam?

- Nie, ale wie o nim wszystko. Moi rodzice uwielbiają Anglię.

Harry wiedział, że Hiszpanie nie lubili, kiedy ich córki umawiały się

z cudzoziemcami, ale w tych czasach Anglia byłaby pożądanym miejscem dla kogoś pokroju Maestre. Spojrzał w jej poważną, pulchną twarzyczkę.

- Każdy kraj wygląda lepiej z daleka.- Może. - Milagros wydawała się przybita. - Ale Anglia na pewno jest lepsza niż Hiszpania. Tu wszystko jest takie ubogie, brudne, inculto.

Harry pomyślał o Sofii i jej schorowanej rodzinie, o ich mieszkaniu.

- Twój ojciec ma piękny dom.

- Ale wszystko teraz jest takie niepewne. Musieliśmy uciekać z Madrytu w czasie wojny. Teraz wisi nad nami nowa wojna, co będzie, jeśli znowu wszystko stracimy? - Na moment posmutniała, po czym znowu się uśmiechnęła. - Opowiedz mi coś więcej o Anglii. Słyszałam, że na wsi jest bardzo pięknie.

- Tak, bardzo zielono.

- Nawet latem?

- Zwłaszcza wtedy. Zielona trawa, mnóstwo dużych, rozłożystych drzew.

- W Madrycie było pełno drzew. Kiedy wróciliśmy, okazało się, że czerwoni wycięli wszystkie na opał. - Westchnęła. - W Burgos byłam szczęśliwsza.

- W Anglii też są teraz niepewne czasy. Przed wojną było inaczej.

- Uśmiechnął się. Pamiętam, że w szkole nie było nic przyjemniejszego niż długi mecz krykieta w letnie popołudnie. - Przed oczami stanęły mu zielone łąki, ubrani w białe stroje do krykieta chłopcy, odgłos piłki uderzanej kijem. Wydawało mu się, że to sen, równie odległy jak świat, w którym zrobiono zdjęcie jego rodziców.

- Słyszałam o krykiecie. - Milagros zaśmiała się nerwowo. Jeszcze bardziej przypominała pulchną uczennicę. - Ale nie wiem, jak się w niego gra. - Spuściła wzrok. - Przepraszam za to popołudnie... Nie wiem też nic o obrazach.

- Ja też właściwie nie - odparł z zakłopotaniem.

- Po prostu musiałam wymyślić jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pójść. Ale jeśli chcesz, pojedziemy gdzieś na wieś. Mogę pokazać ci góry Guadarrama zimą. Alfonso mógłby nas tam zawieźć.

- Tak, może. - Rumieniła się; nie było wątpliwości, że się w nim zadurzyła. O, cholera, pomyślał Harry. Spojrzał na zegar na ścianie.

- Alfonso będzie czekał. Nie mogę go znowu rozgniewać. Jej wargi zdrząły lekko.

- To prawda.

Stary żołnierz stał na stopniach przed muzeum, palił papierosa i patrzył na hotel Ritz po drugiej stronie ulicy. Zaczynało się ściemniać. Odwrócił się, tym razem z uśmiechem.

- A, w sam raz o czasie. Bueno. Dobrze się bawiłaś, Milagros?

- Tak, Alfonso.

- Musisz opowiedzieć mamie o wszystkich obrazach, które obejrzałaś. Samochód stoi za rogiem. - Uścisnął Harry'emu dłoń. - Być może jeszcze się spotkamy, señor Brett.

- Tak, poruczniku Gomez. - Harry podał dłoń Milagros. Spojrzała na niego z oczekiwaniem, ale nie powiedział nic o ponownym spotkaniu. Posmutniała, przez co poczuł wyrzuty sumienia, lecz nie miał zamiaru jej nabierać. Patrzył za nimi, jak odchodzili. Dlaczego go lubiła, nie mieli przecież ze sobą nic wspólnego.

- O, cholera - powiedział na głos.

Harry umówił się na spotkanie z Tolhurstem w Café Gijón. Przeszedł przed zamkniętym budynkiem parlamentu, a następnie przed ministerstwem, w którym spotkał się z generałem Maestre. Ulicę patrolowali civiles uzbrojeni w karabiny maszynowe. Postawił kołnierz płaszcza. Znowu było zimno. Wyglądało na to, że po upalnym lecie i katastrofalnych zbiorach przyjdzie lodowata zima.

Gran Vía została przemianowana na Avenida José Antonio, na cześć zmarłego założyciela Falangi, ale wyglądała tak samo, jak Harry ją zapamiętał z trzydziestego siódmego roku. Była to długa ulica handlowa. Sklepy otwierały się na nowo po przerwie na sjęstę, na chodniki padało żółtawe światło. Nawet tutaj wystawy świeciły pustkami. Słyszał o Gijón, ale nigdy tam nie był. Kiedy podchodził do obwieszonych lustrami baru, przyjrzał się siedzącym wokół ludziom. Większość stanowili brodaci artyści z ekstrawaganckimi wąsami, bez wątpienia poplecznicy reżimu jak Dali.

- Faszyzm to urzeczywistnienie ludzkich marzeń - mówił właśnie jakiś młody człowiek do swojego towarzysza. - Realny surrealizm. - Jeszcze jak, pomyślał Harry.

Tolhurst siedział wciśnięty między stół a ścianę. Harry pozdrowił go skinieniem ręki, po czym zamówił przy barze brandy i przysiadł się do niego.

- Jak tam randka? - spytał Tolhurst.

Harry wypił solidny łyk brandy.

- Od razu lepiej. Raczej kiepsko. Milagros jest bardzo miła, ale cóż, to wciąż ledwie dzieciak. Miała ze sobą przywoitkę. Byłego or-dynansa Maestre czy kim on tam jest.

- Mają tu dosyć starodawne wyobrazenie o kobietach. - Tolhurst spojrzał na niego. - Staraj się być z nią w kontakcie, zawsze to jakieś powiązanie z Maestre.

- Chce pojechać ze mną w góry Guadarrama.

- Aha. - Tolhurst się uśmiechnął. - Chce cię mieć dla siebie na osobności, co?

- Z Gomezem za kierownicą.

- No trudno. - Tolhurst wyduł policzki. - O Boże, jak ja chciałbym czasami wrócić do kraju. Tęsknię za domem.

- Za rodziną?

Tolhurst zapalił papierosa i patrzył przez chwilę na wznoszący się ku sufitowi dym.

- Tak właściwie nie. Mój ojciec jest w wojsku, od lat go nie widziałem. - Westchnął. - Zawsze chciałem mieszkać w Londynie i cieszyć się życiem wyższych sfer. Nigdy mi nie wyszło. Najpierw byłem w szkole, potem wylądowałem w korpusie dyplomatycznym. - Westchnął ponownie. - Pewnie już za późno. Z powodu nalotów i zaciemnień wszelkie życie towarzyskie najprawdopodobniej wygasło. - Pokręcił głową. - Czytałeś dzisiejsze gazety? Wciąż piszą, jak dobrze poszło spotkanie Franco z Hitlerem w Hendaye. Sir Sam pracuje w trybie łagodzenia; powiedział Franco, że Wielka Brytania nie będzie miała nic przeciwko, jeżeli Hiszpania odbierze Francuzom Maroko i Algierię. -
- Że co? Miałyby się stać hiszpańskimi koloniami?

- Tak. Gra na marzeniach Franco o stworzeniu imperium. Chyba trochę rozumiem jego punkt widzenia. Francuzi jako mocarstwo przepadli.

Tolhurst mówił o tym, co robił Sam, tak, jakby był powiernikiem tajemnic ambasadora. Często się w ten sposób zachowywał, chociaż Harry wiedział, że najprawdopodobniej powtarzał jedynie zasłyszane w ambasadzie plotki.

- Mamy blokadę - powiedział Harry. - Moglibyśmy odciąć im dostawy żywności i ropy. Może najwyższy czas to zrobić?

- To nie takie proste. Jeżeli nie będą mieli nic do stracenia, mogą przyłączyć się do Niemców i zająć Gibraltar.

Harry pociągnął kolejny łyk brandy.

- Pamiętasz tamten wieczór w Ritzu? Usłyszałem, jak Hoare mówi, że Wielka Brytania nie może popierać w tym kraju żadnych specjalnych operacji. Pamiętam przemówienie Churchilla, które wygłosił zaraz przed moim wyjazdem. O tym, że opór Anglii rozpala w Europie iskry nadziei. Moglibyśmy pomóc tutejszym ludziom, zamiast podlizywać się przywódcom.

- Spokojnie. - Tolhurst zaśmiał się nerwowo. - Brandy uderzyła ci do głowy. Gdyby Franco upadł, wróciliby czerwoni. Byliby jeszcze gorsi.

- Co uważa komandor Hillgarth? Tamtego wieczoru wydało mi się, że zgadzał się z sir Samem.

Tolhurst poruszył się niespokojnie na krześle.

- Harry, wiesz, moim zdaniem gdyby dowiedział się, że ktoś go usłyszał, byłby trochę zły.

- Nie zrobiłem tego celowo.

- Ja i tak nic nie wiem - dodał zmęczonym tonem. - Jestem tylko chłopcem na posyłki. Zajmuję się organizacją, składam sprawozdania naszym wtyczkom i kwestionuję ich wydatki.

- Powiedz mi - zapytał Harry - czy słyszałeś kiedyś wyrażenie „Rycerze Świętego Jerzego”?

Tolhurst zmrużył oczy.

- Gdzie to usłyszałeś? - zapytał cicho.

- Maestre użył tego sformułowania w rozmowie z komandorem Hillgarthem, pierwszego dnia, kiedy pojechałem tłumaczyć. To kod na suwereny, prawda, Tolly? - Tolhurst nie odpowiedział,

zacisnął tylko usta. Harry kontynuował, nie przejmując się, jakie łamał zasady. - Hillgarth mówił też o Juanie Marchu. Czy my jesteśmy zaangażowani w przekupywanie monarchistów? Czy to na tego konia stawiamy, żeby powstrzymać Hiszpanię od przystąpienia do wojny? Czy to dlatego Hoare nie chce mieć nic wspólnego z ruchem oporu?

- Wiesz co, Harry, niedobrze jest być zbyt ciekawskim. - Tolhurst mówił wciąż cichym głosem. - Myślenie o, hmm... polityce to nie nasza broszka. I mów ciszej, do kurwy nędzy.

- Mam rację, prawda? Widzę to po twojej twarzy. - Harry pochylił się naprzód, szepcząc ostrożnie. - A co, jeśli coś trzaśnie i Franco się dowie? Będziemy mieli przesrane, tak jak Maestre i jego kumple.

- Komandor wie, co robi.

- A jeżeli się uda? Będziemy na dobre związani z tymi sukinsynami. Na wieki będą rządzić Hiszpanią.

Tolhurst wziął głęboki wdech. Twarz mu poczerwieniała, na jego twarzy malowała się złość.

- Chryste, Harry, od jak dawna tłukło ci się to po łepetynie?

- Ledwie kilka dni temu domyśliłem się, co mogą oznaczać Rycerze Świętego Jerzego. - Odchylił się do tyłu na krześle. - Nie martw się, Tolly, nic nikomu nie powiem.

- Postaraj się, jeśli nie chcesz zostać oskarżony o zdradę stanu. Tak się kończy rekrutowanie ludzi z uniwersytetu - powiedział. - Jesteś zbyt ciekawski, do cholery. - Zaśmiał się, próbując przywrócić między nimi przyjacielskie stosunki. - Ja ci nic nie mogę powiedzieć - kontynuował - na pewno to rozumiesz. Ale komandor i Sam wiedzą, co robią. Będę musiał poinformować komandora, że zaskoczyłeś, o co chodzi. Na pewno nikomu nic nie mówiłeś?

- Przysięgam, Tolly.

- W takim razie wypij jeszcze jednego i zapomnij o tym wszystkim.- Dobrze - powiedział Harry. Nie zapomni, ale nie było sensu pakować się w tarapaty. Żałował, że posłuchał impulsu i zwierzył się Tolhurstowi.

Tolhurst wstał z trudem, krzywiąc się z bólu, kiedy zahaczył brzuchem o kant stołu. Harry wbił wzrok w szklankę. Na moment ogarnęła go panika, bo poczuł, że znowu stąpa po grząskim gruncie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Pieniądze przyszły piątego listopada, na dzień przed kolejnym spotkaniem Barbary z Luisem. Wątpiła, czy w ogóle się pojawią, i była gotowa prosić Luisa o trochę więcej czasu. Wiedziała, że im bardziej się martwiła, tym bardziej była podenerwowana i zamknięta w sobie. Sandy najwyraźniej zaczynał się zastanawiać, co jest z nią nie tak. Tego ranka, kiedy się ubierała, udawała, że śpi, ale leżała z otwartymi oczami i patrzyła w poduszkę, myśląc, że akurat była rocznica spisku prochowego¹. Tego roku w Londynie nie będzie fajerwerków, co noc mieli dość zwykłych eksplozji. W BBC powiedzieli, że naloty na środkową Anglię się skończyły, ale Londyn był bombardowany praktycznie każdej nocy. Według madryckich gazet większość miasta została obrócona w ruinę, ale Barbara powtarzała sobie, że to tylko propaganda.

Kiedy Sandy'ego już nie było, zeszła na dół odebrać pocztę. Jedna z leżących na wycieracze kopert była zaadresowana na maszynie i zamiast zimnego spojrzenia Franco miała na znaczku głowę króla. Rozerwała ją. Bank informował urzędowym tonem, że przestali jej oszczędności na konto, które otworzyła w Madrycie: ponad pięć tysięcy peset. Czuła ich dezaprobatę wynikającą z faktu, że w czasie wojny wycofała z kraju pieniądze.

i Angielskie święto upamiętniające udaremniiony spisek mający na celu wysadzenie w powietrze brytyjskiego parlamentu. W ramach obchodów pali się kukły Guya Fawkesa, schwytanego spiskowca, oraz puszcza fajerwerki. Wróciła do sypialni i włożyła list do szuflady swojego biurka. Leżały tam również dwa przewodniki po Cuenca, które kupiła i uważnie przestudiowała. Szufladę zamknęła na klucz.

Ubrała się w pośpiechu, miała być o dziewiątej w sierocińcu. Był to tam jej drugi dzień. Poprzedniego dnia poszła ubrana w swój zwykły strój, ale siostra Inmaculada zwróciła jej uwagę, że szkoda brudzić dobrą sukienkę. Z ulgą włożyła starą spódnicę i powyciągany sweter. Spojrzała na zegarek. Musiała już iść.

Barbara umówiła się, że będzie pracować w sierocińcu dwa razy w tygodniu, ale już teraz nie była pewna, czy powinna zostać. Przedtem była pielęgniarką, ale nie w takich warunkach.

Kiedy szła do sierocińca, z nostalgią wspominała wyszorowane, bezbarwne korytarze miejskiego szpitala w Birmingham. Minął ją saturnalator. Dobywający się z małego komina śmierzący dym spowodował, że zaczęła kaszleć. Zapukała do drzwi i zakonnica wpuściła ją do środka.

Szary dziewiętnastowieczny budynek, zbudowany wokół otoczonego kolumnowymi krużgankami dziedzińca, był kiedyś klasztorem. Ściany obwieszono antykomunistycznymi plakatami: szczerzący zęby potworny olbrzym w czapce z czerwoną gwiazdą, pochylający się nad młodą matką z dziećmi; sierp i młot skrzyżowany z czaszką, podpisane „Oto komunizm”. Poprzedniego dnia zapytała siostrę Inmaculadę, czy dzieci nie boją się tych plakatów, ale ona tylko pokręciła smutno głową.

- Prawie wszystkie pochodzą z komunistycznych rodzin. Trzeba im przypominać, że żyją w cieniu diabła. Jak inaczej można będzie zbawić ich duszyczki?

Kiedy Barbara przyszła, siostra Inmaculada właśnie kończyła zbiórkę na dziedzińcu. Jej wysoki, wyraźny głos rozbrzmiewał wśród krużganków, za pas habitu miała wetkniętą trzciniową różgę. Na betonie stało w rzędach około pięćdziesięcioro chłopców i dziewczynek w wieku między sześć a dwanaście lat. Zakonnica opuściła swój notes. - Rozejść się - powiedziała, po czym uniosła w górę ramię w faszystowskim pozdrowieniu. - ¡Viva Franco! - Dzieci odpowiedziały nierównym chórem, podnosząc i opuszczając niechętnie ramiona. Barbara przypomniała sobie koncert i tłumiącego ziewnięcie Franco. Poszła do izby chorych. Na drzwiach widniał napis „Hiszpania odzyskana dla Chrystusa!”.

Jej pierwszym zadaniem tego dnia było sprawdzić stan zdrowia nowo przyjętych dzieci. Miała zobaczyć, czy któreś nie powinno być odesłane do lekarza. Wewnątrz zimnej sali, w której stały żelazne łóżka, a ze ścian zwisały stalowe instrumenty lekarskie, czekała na nią jej pomocnica, señoora Blanco, podstarzała emerytowana kucharka. Była dewotką. Jej siwe włosy skręcały się w loki, miała na sobie brązowy fartuch. Pulchna, pokryta zmarszczkami twarz na pierwszy rzut oka wydawała się życzliwa.

- Buenas tardes, señora Forsyth. Przygotowałam już wrzątek.
- Dziękuję, señora. Ile dzieci dzisiaj mamy?
- Tylko dwoje. Przyprowadzili je civiles. Chłopczyk, którego przyłapano na włamaniu do domu, i dziko żyjąca dziewczynka. - Pokręciła pobożnie głową.

Barbara umyła ręce. Dzieci, które trafiały do sierocińca, były przeważnie bezdomne, żyły z żebractwa i kradzieży. Potrafiły być uciążliwe, więc kiedy policja je łapała, oddawała je w ręce zakonnic.

Señora Blanco zadzwoniła małym dzwoneczkiem, na co zakonnica wprowadziła mniej więcej ośmioletniego rudego chłopca w zatłuszczonym, brązowym, za dużym na niego płaszczu. Siostra Teresa była młoda, miała kwadratową twarz wieśniaczki.

- Złapany na kradzieży, mały potwór - powiedziała z naganą w głosie.
- Jakie niegrzeczne dziecko - powiedziała ze smutkiem señora Blanco. - Zdejmij ubranie, mój mały, pozwól obejrzeć się pielęgniarce. - Chłopiec rozebrał się z nadąsaną miną i stanął przed nimi nago. Sterczały mu żebra, ręce miał chude jak patyki. Kiedy Barbara badała go, spuścił głowę. Czuć go było starym potem i uryną, jego skóra była zimna w dotyku. - Jest strasznie wychudzony - powiedziała cicho. - Oczywiście ma wszy. - Na nadgarstku chłopak miał czerwoną, sączącą się długą szramę. - To brzydkie skaleczenie, niño - powiedziała łagodnie. - Skąd je masz?

Chłopak spojrzał na nią dużymi, przerażonymi oczami.

- To przez kota - wymamrotał. - Wszedł do mojej piwnicy. Próbowałem go podnieść i mnie podrapał.

Barbara się uśmiechnęła.

- Niedobry kotek. Posmarujemy to maścią. A potem damy ci coś do jedzenia, masz ochotę? - Chłopak pokiwał głową. - Jak ci na imię?

- Iwan, señora.

Señora Blanco zacisnęła wargi.

- Kto cię tak nazwał?
- Rodzice.
- Gdzie są teraz twoi rodzice?
- Zabrali ich civiles.
- Iwan to złe imię, to rosyjskie imię, nie wiesz o tym? Zakonnice wymyślą ci lepsze. - Chłopak zwiesił głowę na piersi.
- To chyba tyle - powiedziała Barbara. Wypełniła kartę i podała ją señorze Blanco, która odprowadziła chłopca. Siostra Teresa wyszła drugimi drzwiami po drugie dziecko. Kilka chwil później beata wróciła, wycierając ręce w fartuch.

- Dobry Boże, ależ on śmierdział.

Na zewnątrz rozległ się hałas. Barbara usłyszała cienki głos, wrzaski i nagle drzwi się otworzyły. Siostra Teresa wciągnęła do środka wy-mizerowaną, ciemnowłosą, na oko jedenastoletnią dziewczynkę, która zaciekle się opierała. Zakonnica była czerwona na twarzy i miała przekrzywiony kornet, przez co wyglądała, jakby była pijana.

- Madre de Dios, rzuca się gorzej niż świnia. - Siostra Teresa złapała dziewczynkę silnie za ramiona, zmuszając ją, żeby stanęła w miejscu. - Przestań albo oberwiesz różgą! Diabeł ją opętał! Mieszkała w pustym domu w Carabanchel, civiles musieli gonić ją po ulicy.

Barbara schyliła się do dziewczynki, która ciężko dyszała i szczyrzyła zepsute zęby, w jej szeroko otwartych oczach malowało się przerażenie. Była ubrana w brudną niebieską sukienkę, a do piersi przyciskała małego wełnianego osiołka, tak brudnego i podartego, że prawie nie było widać, co to jest.

- Jak się nazywasz? - zapytała łagodnie Barbara. Dziewczynka przełknęła ślinę.

- Jesteś zakonnica?

- Nie, jestem pielęgniarką. Chcę cię tylko zbadać, sprawdzić, czy nie potrzebujesz lekarza.

Dziewczynka spojrzała na nią błagalnie.

- Niech mnie pani wypuści, proszę. Nie chcę, żeby zrobiono ze mnie zupę.

- Co?

- Zakonnice robią z dzieci zupę, którą karmią żołnierzy Franco. Proszę, proszę, niech je pani zmusi, żeby mnie puściły.

Siostra Teresa wybuchnęła śmiechem.

- Widać, kto ją wychowywał.

Señora Blanco zmarszczyła brwi.

- To przebrzydłe kłamstwa, które opowiadali czerwoni. Jesteś niegrzeczna, nie wolno mówić takich rzeczy. Rozbieraj się, żeby pielęgniarka mogła cię obejrzeć. I daj mi to! - Wyciągnęła rękę po osiołka, ale dziewczynka tylko przycisnęła go mocniej. Twarz señory Blanco poczerwieniła z wściekłości.

- Daj mi to! Jak śmiesz mi się przeciwstawiać, komunistyczny pomiole! - Złapała zabawkę i pociągnęła mocno. Osiołek rozerwał się na dwie części, wata wyleciała na zewnątrz. Beata straciła równowagę. Dziewczynka odskoczyła z krzykiem. Wczołgała się pod łóżko, skuliła się i przyciskając do twarzy głowę osiołka, szlochała. Señora Blanco cisnęła resztkę zabawki na podłogę. - Ty mała suko...

- Cicho bądź! - warknęła Barbara. Beata zrobiła minę, jakby została znieważona. Siostra Teresa złożyła ręce na piersi i z zainteresowaniem patrzyła na Barbarę, która schyliła się koło dziewczynki.

- Strasznie mi przykro - powiedziała łagodnie Barbara. - To był wypadek. Może będę mogła naprawić twojego osiołka.

Dziewczynka ocierała głowę o policzek.- Fernandito, Fernandito... Ona go zabiła.

- Daj, obiecuję, że ci go zszyję. Jak masz na imię?

Dziewczynka przyjrzała się jej podejrzliwie. Nie była przyzwyczajona do życzliwego tonu.

- Carmela - wyszeptwała. - Carmela Mera Varela.

Barbarze ścisnęło się serce. Mera. Tak mieli na nazwisko przyjaciele Berniego. Do tego mieszkali w Carabanchel. Pamiętała, jak odwiedzili ich trzy lata wcześniej; potężnego, pogodnego ojca, przepracowaną matkę, chłopca z gruźlicą. Była tam też dziewczynka, miała wtedy może osiem lat.

- Czy... czy masz jakąś rodzinę?

Dziewczynka pokręciła głową i przygryzła wargi.

- Spadła duża bomba... - powiedziała. - Potem znalazłam pustą piwnicę dla mnie i Fernandita. - Zaczęła płakać, szlochając cicho i żałośnie.

Barbara wyciągnęła w jej stronę dłoń, ale dziewczynka odsunęła się gwałtownie, nie przestając płakać. Barbara wstała.

- Dobry Boże, musiała żyć tak dziko przez kilka lat. - Wiedziała, że nie mogła się przyznać do znajomości z jej rodziną. Z rodziną komunistów.

- Czy mogłybyśmy ją stamtąd wyciągnąć? - zapytała lodowatym tonem señora Blanco.

Barbara znowu przyklęknęła.

- Carmelo, obiecuję, że zakonnice cię nie skrzywdzą. Nakarmią cię, dadzą ci ciepłe ubrania. Nic ci się nie stanie, jeśli będziesz ich słuchać, ale jeżeli stamtąd nie wyjdiesz, będą złe. Jeśli wyjdiesz, obiecuję, że naprawię twojego osiołka, zszyję go z powrotem. Ale musisz wyjść.

Tym razem dziewczynka pozwoliła Barbarze wyciągnąć się delikatnie spod łóżka.

- Bardzo dobrze, Carmelo. Teraz stań bez ruchu i zdejmij sukienkę, żebym mogła cię obejrzeć. Tak, dobrze, daj mi Fernandita, zajmę się nim.

Ramiona i nogi dziewczynki były pokryte wypryskami. Barbara zastanawiała się, jakim cudem to dziecko przeżyło.J>

- Jest bardzo niedożywiona. Carmelcita, skąd brałaś jedzenie?

- Żebrałam. - Jej oczy rozbłyły wyzywająco. -i brałam sobie różne rzeczy.

- Pospieszmy się - powiedziała szorstko siostra Teresa. - Wkładaj ubranie, trzeba cię zarejestrować. Koniec zabaw i wygłupów. Jeśli będziesz grzeczna, dostaniesz coś do jedzenia. Jeśli nie, oberwiesz różgą.

Dziewczynka włożyła sukienkę. Siostra Teresa wzięła jej rączkę w swoją czerwoną, pulchną dłoń. Kiedy odprowadzała zdecydowanym krokiem Carmelę, dziewczynka odwróciła się i spojrzała błagalnie na Barbarę.

- Przyniosę Fernandita jutro albo pojutrze - zawołała Barbara. - Obiecuję. - Drzwi się zamknęły.

Señora Blanco prychnęła.

- Ale tu naśmiecila. - Schyliła się i zaczęła zbierać kłębki waty, które wypadły z wnętrza Fernandita. Zgniotła je w kulkę i cisnęła do kosza razem z drugą połową wełnianego osiołka. Barbara podeszła zdecydowanym krokiem, wyjęła resztkę osiołka i włożyła do kieszeni.

- Obiecałam, że go naprawię.

Beata znowu prychnęła.

- To śmieć. Nie pozwolę go jej zatrzymać. - Podeszła bliżej, zmrużyła oczy. - Señora Forsyth, z całym szacunkiem, ale zastanawiam się, czy nadaje się pani do pracy u nas. W Hiszpanii w dzisiejszych czasach nie możemy sobie pozwolić na sentymentalizm. Może powinna pani podyskutować o tym z siostrą Inmaculadą. - Odgarnęła z czoła loki i wyszła z izby chorych.

Tego popołudnia po powrocie do domu Barbara próbowała pozszywać osiołka. Był brudny i zatłuszczony, poza tym musiała uważać, jak włożyć z powrotem watę, żeby nie stracił kształtu. Użyła najmocniejszej nitki, jaką miała, ale nie była pewna, czy wytrzyma w rękach dziecka. Nie potrafiła przestać myśleć o Carmeli. Czy pochodziła z rodziny przyjaciół Berniego? Czy reszta zginęła? Do pokoju weszła Pilar, żeby napalić w kominku. Spojrzała podejrzliwie. Barbara pomyślała, że musi dziwnie wyglądać, siedząc w salonie w swoim starym ubraniu, zszywając w skupieniu dziecięcą zabawkę.

Kiedy skończyła, postawiła osiołka na piecu. Nieźle sobie poradziła. Nalała ginu z tonikiem, zapaliła papierosa i usiadła, patrząc na osiołka. Miał na pyszczku uparty, potulny wyraz prawdziwego osiołka.

O siódmej wrócił Sandy. Grzał dłonie przy ogniu, patrząc na Barbarę z uśmiechem. Nikomu nie chciało się zapalać żyrandola, więc poza kręgiem światła od małej lampki do czytania w pokoju było ciemno.

Sandy był zadowolony i odprężony.

- Zimno na dworze - powiedział. Spojrzał ze zdumieniem na osiołka. - Co to jest, u licha?

- Fernandito.

- Kto? - Sandy zmarszczył brwi.

- Należy do dziewczynki z sierocińca. Podarł się, kiedy ją tam przyprowadzili.

Sandy chrząknął z niezadowoleniem.

- Nie powinnaś zbyt angażować się emocjonalnie w pracę z tymi dziećmi.

- Stwierdzam, że moja praca stwarza ci dogodną sytuację. Masz dzięki temu kontakt z marquêsą. - Sięgnęła po stojącą na stoliku z szyciem butelkę ginu i nalała sobie kolejną szklaneczkę. Sandy spojrział na nią.

- Ile już wypitaś?

- Tylko jedną. Też chcesz?

Sandy wziął do ręki szklaneczkę i usiadł naprzeciwko Barbary.

- Pojutrze znowu spotykam się z Harrym Brettem. Chyba uda mi się go wkręcić w pewien interes.

Barbara westchnęła.

- Na miłość boską, nie zamieszaj go w nic podejrzanego. Na pewno by tego nie lubił. Poza tym pracuje dla ambasady, muszą tam uważać.

- To tylko okazja do interesów. - Spojrział na nią, marszcząc brwi. - Skoro tak mówisz. - Zwykle tak się do niego nie odzywała, ale była zdołowana i wykończona.

- Nie wydajesz się być bardzo zainteresowana Harrym - powiedział Sandy. - Wydawało mi się, że po tym, jak Bernie przeniósł się na tamten świat, był dla ciebie bardzo dobry.

Spojrziała na niego w milczeniu. W jego oczach przez moment było coś nieprzyjemnego, jakiś gniew i okrucieństwo. W blasku kominka jego pełne rysy sprawiały, że wyglądał jak podstarzały rozpustnik. Poruszył się na krześle niespokojnie, ale się uśmiechnął.

- Powiedziałem, że pójdziesz z nami na kawę. Tylko my troje.

- W porządku.

Znowu się uśmiechnął.

- Harry to śmieszny facet - powiedział zamyślonym głosem. - Czasami nie wiadomo, co mu chodzi po głowie: nagle robi się cichy i pochmurny i widać, że nad czymś rozmyśla.

- Mnie zawsze wydawał się bardzo bezpośredni. Zapalić światło?

Wbił w nią spojrzenie swoich ciemnych oczu.

- Barbaro, co się z tobą ostatnio dzieje? Myślałem, że powrót do pracy pielęgniarki cię rozchmurzy, a ty jesteś bardziej ponura niż kiedykolwiek.

Przyjrzała mu się bacznie. Nie wydawał się podejrzliwy, tylko zirytowany.

- Gdybyś widział to, co ja zobaczyłam w tym sierocińcu, też byś był ponury. - Westchnęła. - Chociaż czy ja wiem? Może i nie.

- Musisz się pozbierać, jestem ostatnio bardzo zajęty.

- Sandy, jestem po prostu zmęczona.

- Zaniedziesz się, popatrz tylko na ten poszarpany sweter.
- Pracuję w nim w sierocińcu.
- Ale przecież nie jesteś teraz w sierocińcu, prawda? - Widziała, że jest zły. - Przypomina mi czasy, kiedy spotkałem cię po raz pierwszy. Potrzebujesz nowej fryzury. Widzę teraz, dlaczego tamte dziewczynki mówiły, że jesteś kudłata. I wciąż masz na nosie okulary.

Barbara zdumiała się siłą gniewu i bólu, które w niej wezbrały. Bardzo rzadko, kiedy naprawdę go zdenerwowała, Sandy stawał się taki jak teraz. Wiedział, jak ranić innych. Z trudem powstrzymała drżenie w głosie. Wstała.

- Pójdę na górę się przebrać - powiedziała.

Sandy uśmiechnął się do niej szeroko.

- To mi się podoba. Muszę przeczytać kilka dokumentów, powiedz Pilar, że zjemy kolację o ósmej.

Wyszła z salonu. Po drodze na piętro pomyślała, że kiedy uratuje Berniego, wróci do Anglii. Z dala od tego okropnego miejsca, z dala od Sandy'ego.

Kiedy przyszła następnego dnia do kawiarni, Luisa nie było. Zajrzała przez okno, ale w środku siedziało jedynie przy barze kilku robotników. Było zimne, szare popołudnie.

Podeszła do baru i zamówiła kawę. Gruba, stara kobieta spojrzała na nią pytająco.

- Kolejne zlecenie, señora? - zapytała i mrugnęła okiem. Barbara zaczerwieniła się i nic nie odpowiedziała.

- Pani amigo jest całkiem przystojny, co, señora? Pani kawa.

Przy jednym ze stolików siedziało pochylone nad pustymi filiżankami stare małżeństwo. Barbara pomyślała, że byli tu poprzednim razem. Usiadła przy tym stoliku co zawsze i zapaliła papierosa. Nie wyglądali na szpiegów, raczej na dwoje biednych staruszków, którzy siedzieli w kawiarni, żeby się ogrzać. Wypiła łyk kawy; smakowała jak gorąca brudna woda. Siedziała jakieś dziesięć minut; robiła się coraz bardziej niespokojna. Wreszcie przyszedł Luis. Był zdyszany i bardzo ją przeproszał. Kupił kawę i przysiadł się pospiesznie.

- Señora, tak mi przykro, proszę mi wybaczyć. Przeprowadzałem się do nowego domu.
- Nieważne. Ma pan jakieś nowe wieści?

Skinął głową i pochylił się naprzód, spojrzał na nią ochoczo.

- Tak. Robimy postępy. Agustinowi udało się dostać na służbę w kamieniołomie. W odpowiednim czasie załatwi wszystko tak, że pani przyjaciel poprosi o pójście do toalety z powodu - chrząknął, zakłopotany - biegunki. Wtedy uderzy Agustina w głowę, ukradnie mu klucze do kajdanów i ucieknie.

- Mają kajdany? - To była jedna z tych potwornych rzeczy, które sobie wyobrażała.

- Owszem, żeby mógł pójść do toalety, będą mu musieli założyć kajdany.

Barbara zastanawiała się przez kilka chwil, po czym skinęła głową.

- W porządku. - Zapaliła kolejnego papierosa i podała Luisowi paczkę. - Kiedy? Im dłużej czekamy, tym większe ryzyko. Nie chodzi tylko o sytuację polityczną. Już wiele dłużej nie wytrzymam, mój... mąż zauważył, że nie jestem sobą.

Luis poruszył się niespokojnie na krześle.

- Obawiam się, że tu mamy kłopot. Agustín ma dostać trzytygodniową przepustkę, zaczyna w przyszłym tygodniu. Nie wróci przed początkiem grudnia. Musimy poczekać.

- Ale to cały miesiąc! Czy nie mógłby przesunąć przepustki?

- Señora, proszę mówić ciszej. Proszę pomyśleć, jakie by to było podejrzone, gdyby Agustín nagle odwołał przepustkę, którą zarezerwował sobie wiele miesięcy temu, a potem był na służbie, kiedy uciekł więzień.

- To naprawdę niedobrze. A co, jeśli Hiszpania przystąpi do wojny, jeżeli będziemy musieli wyjechać?

- Mówią od czerwca, że tak się stanie, a na razie nic się nie zmieniło, nawet po spotkaniu caudilla1 z Hitlerem. Señora, obiecuję, że to zrobimy, zaraz jak tylko Agustín wróci z przepustki. Poza tym dni będą wtedy krótsze, co ułatwi sprawę. W ciemności pani przyjacielowi będzie łatwiej uciec.

- On się nazywa Bernie. Bernie. Dlaczego nie może pan używać jego imienia?

- Oczywiście, Bernie. Tak jest.

Zastanowiła się.

i Przywódca.- Jak dostanie się z obozu do Cuenki? Będzie miał na sobie więzienne ubranie.

- Aż do wąwozu w Cuence teren jest nierówny, łatwo się tam ukryć. A w Cuence jest miejsce, gdzie może się pani z nim spotkać. Agustín wszystko załatwi.

- Jak daleko jest z obozu do Cuenki?

- Jakieś osiem kilometrów. Señora, pani Bernie jest jednym z najsilniejszych ludzi w obozie. Wszyscy są przyzwyczajeni do ciężkiej pracy i długiego marszu zimą. Uda mu się.

- Ile Bernie wie? Czy... czy wie, że próbuję mu pomóc?

- Jeszcze nie. Tak jest bezpieczniej. Agustín powiedział mu jedynie, że być może nadchodzą lepsze czasy. Ma na niego oko.

- Nie będzie mógł mieć na niego oka, kiedy będzie w Sewilli.

- To jest nieuniknione. Przykro mi, ale nic nie możemy zrobić.

- W porządku. - Westchnęła i przeciągnęła dłonią po twarzy. Jak miała przetrwać nadchodzące tygodnie?

- Ułożyliśmy plan, señora. - Luis spojrział na nią znacząco. - Zgodziliśmy się, że kiedy ułożymy plan, zapłaci mi pani połowę.

Barbara pokręciła głową.

- Niezupełnie. Powiedziałam, że zapłacę połowę, kiedy plan będzie gotowy. To oznacza, że muszę wiedzieć, jak oraz kiedy macie zamiar to zrobić.

Zobaczyła w jego oczach błysk gniewu.

- Pani przyjaciel będzie musiał uderzyć mojego brata w głowę naprawdę mocno, żeby uwierzyli w tę historię. A potem będzie musiał zostać na Tierra Muerta nawet przez kilka godzin, by dać mu szansę ucieczki. Na szczytach sierry już leży śnieg.

Barbara zmusiła go, by odwrócił wzrok.

- Kiedy będę miała datę. Datę.

- Ale...

Przerwał. Do kawiarni weszło dwóch civiles. Ich czapki z dwoma rogami i krótkie peleryny błyszcząły niczym pancerzyki owadów. W żółtych kaburach przy pasie widać było pistolety. Podeszli do baru.-
¡Mierda! - wymamrotał Luis. Zaczął wstawać, ale Barbara położyła mu dłoń na ramieniu.

- Proszę usiąść. Co sobie pomyślą, jeżeli na ich widok uciekniemy?

Luis usiadł. Stara kobieta obsłużyła civiles, wygłaszając przy tym

swoje zdanie na temat zimna.

- Jest zbyt zimno, by pójść prosto do domu zaraz po służbie, señora. - Wzięli swoje kawy i usiedli. Jeden spojrział z zainteresowaniem na Barbarę, po czym powiedział coś szeptem do kolegi. Roześmieli się.

- Señora, chodźmy już stąd. - Luis wiercił się niespokojnie.

- W porządku. Ale powoli. - Wstali i wyszli. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, oboje odetchnęli z ulgą.

- Señora, jestem rozczarowany w kwestii pieniędzy - powiedział Luis obrażonym głosem. - Nad niektórymi rzeczami nie mam kontroli.

Zastanawiała się, czy przeprowadził się, licząc na pieniądze. Jego problem.

- Kiedy będę miała dokładną datę, dostanie pan pieniądze.

Luis wzruszył ramionami ze złością.

- Pojadę do Cuenki jeszcze raz w ten weekend, spotkam się z Agusti-nem, nim wyjedzie do Sewilli. Możemy spotkać się za tydzień. - Ku jej zaskoczeniu uściskała jej oficjalnie dłoń, po czym zniknął w szarości popołudnia. Całe tygodnie, pomyślała Barbara, całe tygodnie tej męki. Zaciśnięta pięści. Kiedy odchodziła, starała się nie spojrzeć przez okno na civiles, ale zobaczyła, że stare małżeństwo wbiło wzrok w swoje puste kubki i spoglądało na nich ze strachem. Oni też się bali. Nie byli szpiczlami.

i Dosłownie „gówno”, używane jako ogólne przekleństwo.

Rozdział dwudziesty piąty

Na szczytach Sierra Valdemeca daleko na północnym wschodzie leżał już śnieg. Tego ranka plac obozowy po raz pierwszy był przykryty białym szronem, małe kałuże ścięły się lodem. Poranne słońce zabarwiło śnieg na dalekich szczytach na różowo. Bernie pomyślał, że to piękny widok, chociaż stojąc na placu w swoim cienkim kombinezonie, trząsł się z zimna, kiedy czekali, aż Aranda rozpocznie poranną zbiórkę.

Obok niego Vicente wydmuchał nos w rękaw i skrzywił się, kiedy zobaczył długiego jasnożółtego gluta. Z jego nosem było coś nie tak; kiedy go dmuchał, czuł okropny ból, a do tego pękała mu głowa.

Aranda, ubrany w szynel i rękawiczki, wyszedł ze swojej chaty. Szybkim krokiem podszedł do podestu. Zdjął rękawiczki i chuchnął w dłonie, spoglądając na jeńców. Z gór wiał zimny wiatr, targając włosy więźniów lodowatymi podmuchami. Aranda odczytywał nazwiska donośnym głosem. Pojawiło się kilku nowych mężczyzn, republikanów, którzy po zwycięstwie Franco uciekli do Francji i których naziści odesłali z powrotem. Obojętnie rozejrzeli się po nowym więzieniu. Jeden z nich powiedział, że Companys, kataloński przywódca, został odesłany do Madrytu i rozstrzelany.

Przy śniadaniu w przerobionej na stołówkę chacie Bernie usiadł z kilkoma komunistami. Pablo, były górnik z Asturii, przysunął dla niego ławkę.

- Buenos días, compañero. ¿Hoy hace frío, no?!

i Dzień dobry, kolego. Zimno dzisiaj, co?- Bardzo zimno. Wcześniej się zaczyna ta zima.

Bernie nałożył sobie cienkiego kleiku z ciecierzycy. Siedzący dalej przy tym samym stole Establo łypnął na niego spode łba. Jego świerzb pogarszał się, na twarzy miał czerwone bruzdy w miejscach, gdzie się drapał. Kawałek stwardniałej, czerwonej skóry na nadgarstku świadczył o tym, że choroba osiągnęła stadium strupów, pod którymi żyły jajeczka i larwy.

- Compadre Piper, postanowiłeś dzisiaj z nami usiąść.

- Wiesz, że lubię siadać w różnych miejscach, w ten sposób można się więcej dowiedzieć.

Establo wbił w niego surowe spojrzenie swoich zimnych szarych oczu.

- I czego to się dowiedziałeś?

- Jeden ze strażników powiedział Guillerrowi, że kamienie z tego kamieniołomu idą na posąg Franco, który zaczęli budować w górach Guadarrama. Podobno ma to być jego grobowiec. Będą go budować dwadzieścia lat.

- Skoro stawiają go w górach Guadarrama - burknął Establo - po co im wapień stąd?
- Guillermo mówi, że jest lepszy na pomniki.

Establo chrząknął z niezadowoleniem.

- Mnie to brzmi jak propaganda. Strażnicy rozsiewają takie historie, byśmy uwierzyli, iż Franco będzie zawsze rządził. Compadre, powinieneś dokładniej analizować to, co słyszysz.
- Zawsze to robię, compadre Establo. - Bernie odwzajemnił mu spokojne spojrzenie. Wypukła łyśa czaszka i cienkie, odstające na szyi kości sprawiały, że Establo przypominał jedną z jaszczurek, które widywali latem biegnące po skałach. Establo uśmiechnął się zimno.
- Mam nadzieję, że analizujesz zwłaszcza to, co mówi ci ten burżuj Vicente.
- Owszem. A on analizuje to, co ja mówię jemu.
- Wciąż jesteś w kamieniołomie? - zapytał Pablo, zmieniając temat.
- Cały tydzień. Szczerze mówiąc, wolałbym być z tobą w garkuchni.

Strażnik dmuchnął w gwizdek. - Bardzo zimno. Wcześniej się zaczyna ta zima.

Bernie nałożył sobie cienkiego kleiku z ciecierzycy. Siedzący dalej przy tym samym stole Establo łypnął na niego spode łba. Jego świerzb pogarszał się, na twarzy miał czerwone bruzdy w miejscach, gdzie się drapał. Kawałek stwardniałej, czerwonej skóry na nadgarstku świadczył o tym, że choroba osiągała stadium strupów, pod którymi żyły jajeczka i larwy.

- Compadre Piper, postanowiłeś dzisiaj z nami usiąść.
- Wiesz, że lubię siadać w różnych miejscach, w ten sposób można się więcej dowiedzieć.

Establo wbił w niego surowe spojrzenie swoich zimnych szarych oczu.

- I czego to się dowiedziałeś?
- Jeden ze strażników powiedział Guillerrowi, że kamienie z tego kamieniołomu idą na posąg Franco, który zaczęli budować w górach Guadarrama. Podobno ma to być jego grobowiec. Będą go budować dwadzieścia lat.
- Skoro stawiają go w górach Guadarrama - burknął Establo - po co im wapień stąd?
- Guillermo mówi, że jest lepszy na pomniki.

Establo chrząknął z niezadowoleniem.

- Mnie to brzmi jak propaganda. Strażnicy rozsiewają takie historie, byśmy uwierzyli, iż Franco będzie zawsze rządził. Compadre, powinieneś dokładniej analizować to, co słyszysz.
- Zawsze to robię, compadre Establo. - Bernie odwzajemnił mu spokojne spojrzenie. Wypukła łyśa czaszka i cienkie, odstające na szyi kości sprawiały, że Establo przypominał jedną z jaszczurek, które widywali latem biegnące po skałach. Establo uśmiechnął się zimno.

- Mam nadzieję, że analizujesz zwłaszcza to, co mówi ci ten burżuj Vicente.
- Owszem. A on analizuje to, co ja mówię jemu.
- Wciąż jesteś w kamieniołomie? - zapytał Pablo, zmieniając temat.
- Cały tydzień. Szczerze mówiąc, wolałbym być z tobą w garkuchni.

Strażnik dmuchnął w gwizdek.- Pospieszyć się, kończyć. Czas do pracy!

Bernie zgarnął ostatnią łyżkę do ust i wstał. Establo drapał strup na nadgarstku, jego twarz była wykrzywiona z bólu.

Więźniowie ustawili się na placu w długich szeregach. Słońce weszło już nad gołe brązowe wzgórza i zrobiło się trochę cieplej, lód w kałużach zaczął tajać. Otwarto wrota i grupa Berniego wystąpiła naprzód; czekali w długim szeregu, kiedy strażnicy z karabinami ustawiali się co kilka metrów wzdłuż kolumny. Sierżant Ramirez chodził w tę i z powrotem wzdłuż kolejki, patrząc posępnie na więźniów. Był grubym mężczyzną po pięćdziesiątce, miał rozwichrzone siwe wąsy, czerwoną twarz i kartoflowaty nos pijaka. Wyglądał niedołąźnie, ale był niebezpieczny, wewnątrz kipiał w nim prawdziwy wulkan nienawiści. Był zawodowym żołnierzem, a ci zwykle okazywali się okrutni. Rekruci zwykle woleli spokojne życie. Pod jego szynalem widać było wypukłość, gdzie trzymał bat. Doszedł do początku kolumny i dmuchnął w gwizdek. Więźniowie ruszyli w stronę wzgórz.

Mieli do przejścia pięć kilometrów. Nazwa Tierra Muerta była odpowiednia dla tego miejsca. Teren był odkryty i kamienisty, gdzieś tam ledwie kilka pół osłoniętych karłowatymi dębami, wciśniętych w jary między wzgórzami. Minęli chłopską rodzinę orzącą pługiem kamienistą ziemię. Nie podnieśli wzroku, kiedy kolumna przechodziła obok nich. Panowała zasada, że więźniowie byli niewidzialni.

Kawałek dalej wspięli się na wzgórze i Ramirez znów dmuchnął w gwizdek, zarządzając pięciominutowy postój. Vicente opadł na przydrożny głąz. Twarz miał bladą, oddech krótki i chrapliwy. Bernie spojrzał na stojącego najbliżej strażnika i zdziwił się, że był to Agustín, ten sam, który tydzień wcześniej po wizycie u psychiatry wyszeptał mu tę dziwną uwagę.

- Źle ze mną dzisiaj, Bernardo - powiedział Vicente. - Mam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa.
- Molina wraca w przyszłym tygodniu, może będzie łatwiej. - Pochylił się nad nim. - Będziemy pracować razem, odpoczniesz.- Jesteś dobry dla starego burżuja - powiedział Vicente, siląc się na żart. Pocił się, czoło mu błyszczało od potu. - Ostatnio zastanawiam się, jaki jeszcze jest sens walczyć? Faszyci w końcu i tak nas wszystkich zabiją. Tego właśnie chcą, zaharować nas na śmierć.
- Jeszcze zostaną pokonani. Musimy wytrwać.
- Wszędzie wygrali. Tu, w Polsce, we Francji. Następna będzie Anglia. A Stalin podpisał z Hitlerem traktat o nieagresji dlatego, że się boi.
- Towarzysz Stalin zawarł pakt z Hitlerem, by zyskać na czasie. - To powiedział Establo, kiedy jeden ze strażników poinformował ich o traktacie między nazistami i Sowieciami. Bernie nie potrafił przełknąć informacji, że wojnę z faszyzmem trzeba było przemianować na wojnę między imperialistycznymi mocarstwami. Wtedy po raz pierwszy zwątpił w poglądy partii.

- Towarzysz Stalin. - Głuchy śmiech Vicente przeszedł w kaszel.

Daleko, w miejscu, gdzie Tierra Muerta zniżała się i znikwała we mgle,

Bernie ujrzał nadzwyczajny widok. Znad morza białej mgły wystawała skała, w której zbocze wbudowane były domy. Światło odbijało się od szyb w oknach. Wydawały się być blisko, wyglądały, jakby unosiły się na mgle. Czasami z tego miejsca miało się takie złudzenie, przypominające miraż na pustyni. Bernie trącił Vicente łokciem.

- Amigo, popatrz tam, czy dla takiego widoku nie warto dalej żyć? Rzadko się trafia taka scena.

Vicente spojrzał przed siebie.

- Nie widzę, nie mam okularów. Widać dzisiaj Cuencę?

- Widać nawet wiszące domy. Wydaje się, że wznoszą się na mgle z dna przepaści. - Bernie westchnął. - To jak widzieć inny świat.

Z przodu kolumny Ramirez zagwizdał.

- Ruszać się - zawołał Agustín. Bernie pomógł Vicente wstać. Kiedy szli, Agustín zrównał się z nimi. Bernie widział, że mężczyzna mu się przyglądał, chociaż udawał, że nie. Zastanawiał się, czy chodziło mu o jego dupę; takie rzeczy zdarzały się w obozie.

Kamieniołom wcinał się w stok wzgórza niczym wielka okrągła rana. Przez ostatnich kilka tygodni pracowali tu codziennie, wyrąbывali bloki wapienia i rozbijali je na mniejsze kawałki, które ładowano naciężarówki. Bernie zastanawiał się, czy historia o posągu Franco jest prawdziwa. Czasami, podobnie jak Vicente, podejrzewał, że praca w kamieniołomie mogła być po prostu wymówką, by powoli zaharować ich na śmierć w tej dzicy.

Agustín z drugim strażnikiem rozpalili ogień przed małą chatką, którą zbudowano u wejścia do kamieniołomu, ale Ramireza w przeciwieństwie do Moliny nie interesowało ciepło. Wszedł na stertę kamieni i stał na niej z rękami założonymi na plecach, obserwując strażnika, który ustawiał karabin maszynowy. Inni wartownicy wydawali z chaty kilofy i łopaty. Nie było szans, by więźniowie mogli użyć narzędzi jako broni i ich zaatakować - karabin maszynowy w minutę wybiłby ich co do nogi.

Bernie i Vicente znaleźli stertę bloków wapiennych, które częściowo były ukryte za załomem skały. Bernie wziął się do roboty, pozwalając Vicente rozbijać kamienie na mniejsze w ślimaczym tempie. Mieli pracować tu aż do zachodu słońca, z jedną krótką przerwą w południe na wodę i jedzenie. Przynajmniej dni stawały się coraz krótsze, w lecie dzień pracy trwał trzynaście godzin. Wokół nich rozbrzmiewał brzęk i trzask metalu uderzającego o kamień.

Po godzinie Vicente zachwiał się i usiadł ciężko. Wydmuchał znowu nos, brudząc sobie rękaw cienkim pasmem ropnej wydzieliny. Zajęczał z bólu.

- Nie dam więcej rady - powiedział. - Wezwij strażnika.

- Po prostu odpocznij przez chwilę.

- Bernardo, to zbyt niebezpieczne. Jeżeli ktoś jest chory, masz obowiązek wezwać strażnika.

- Zamknij swoją burżujską gębę.

Vicente usiadł, dysząc ciężko. Bernie pracował dalej, nasłuchując kroków za skarpą. Stopy bolały go od starych, potrzaskanych butów, osiągnął właśnie pierwsze stadium pragnienia. Nieprzerwanie ruszał w ustach językiem, szukając wilgoci.

Żołnierz pojawił się bez ostrzeżenia, wyszedł zza załomu zbyt szybko, by Bernie mógł kazać Vicente wstać. To był Rodolfo, siwowłosy weteran wojen marokańskich.

- Co ty wyprawiasz? - wrzasnął. - Ty! Wstawaj!

Vicente wstał ociężale, nogi się pod nim trzęsły. Rodolfo przerzucił się na Berniego.

- Czemu pozwalasz mu się obijać? To sabotaż!

- Źle się poczuł, señor cabo¹. Miałem właśnie pana wezwać.

Rodolfo wyciągnął gwizdek z kieszeni i zagwizdał donośnie. Vicente opuścił bezsilnie ramiona.

Rozległ się chrzęst butów i pojawił się Ramirez. Kawalek za nim biegł Agustín. Ramirez spojrzał z wściekłością na Berniego i Vicente.

- Co tu się, kurwa, dzieje?

Ramię Rodolfo wystrzeliło do przodu w faszystowskim pozdrowieniu.

- Złapałem prawnika na tym, jak siedział i nic nie robił - powiedział. - Inglés stał obok i nie reagował.

- Proszę, señor sargento² - powiedział Vicente. - Źle się poczułem. Piper miał właśnie wezwać strażnika.

- Źle się poczułeś, co? - W oczach Ramireza zakipiła wściekłość. Uderzył silnie Vicente w twarz dłonią w rękawicy. Odgłos uderzenia rozległ się w kamieniołomie niczym wystrzał. Prawnik upadł bez czucia. Ramirez zwrócił się do Berniego.

- Pozwalałeś mu bumelować, prawda? Ty komunistyczna angielska świnio. - Podeszedł bliżej. - Jesteś jednym z tych nieugiętych, co? Coś mi się wydaje, że dzień na krzyżu dobrze ci zrobi. - Odwrócił się do Rodolfa, który uśmiechnął się i pokiwał ponuro głową. Bernie zacisnął wargi. Pomyślał o tym, co rozciąganie robi z jego starą raną w ramieniu, która i tak dosyć bolała po całym dniu spędzonym w kamieniołomie. Spojrzał w oczy Ramirezowi. Coś w jego spojrzeniu musiało sierżanta rozgniewać. W mgnieniu oka wyciągnął bicz i zdzielił Berniego po szyi. Bernie krzyknął i zachwiał się, spomiędzy palców trysnęła mu krew.

Agustín wystąpił naprzód i nerwowo dotknął ramienia Ramireza.

- Señor sargento?

1 *Panie strażniku.*

Ramirez odwrócił się zniecierpliwiony.

- Czego?

Agustín przełknął ślinę.

- Señor, psychiatra bada tego człowieka. Wydaje mi się... Wydaje mi się, że komendant nie chciałby, by go uszkodzono.

Ramirez zmarszczył brwi.

- Pewny jesteś, że to ten?

- Por cierto, sargento¹.

Ramirez wyduł wargi niczym dziecko, któremu odmówiono przyjemności. Niechętnie skinął głową.

- W porządku. - Pochylił się nad Berniem, który poczuł na twarzy gorący, śmierzący czosnkiem oddech. - Potraktuj to jako ostrzeżenie. A ty - machnął w stronę Vicente - wracaj do roboty.

Odmaszerował razem z Rodolfem. Agustín pospieszył w ich ślady, nie spoglądając na Berniego.

Tego wieczoru, kiedy leżeli na pryzkach, czekając na zgaszenie świateł, Vicente odwrócił się w stronę Berniego. Prawnik przespał większość wieczoru.

- Lepiej? - spytał Bernie.

Vicente westchnął.

- Przynajmniej odpocząłem. - Jego poorana zmarszczkami twarz w świetle świec była wymizerowana. - A ty?

Bernie dotknął delikatnie długiego rozcięcia na szyi. Przemył je i miał nadzieję, że nie wda się tam zakażenie.

- Nic mi nie będzie.

- Co się stało dzisiaj rano? - zapytał szeptem Vicente. - Czemu cię puścili?

- Nie wiem. Cały dzień starałem się to zrozumieć. - Pobłażliwość Ramireza była najważniejszą plotką w obozie tego dnia. Przy kolacji Establo zapytał go o to, był podejrzliwy. - Agustín powiedział, że

¹ Na pewno, panie sierżancie.

obserwuje mnie psychiatra, ale psychiatry nie obchodzi, w jakim jestem stanie.

- Może Agustín chce cię mieć w łóżku.

- Myślałem o tym, ale nie wydaje mi się. Jakoś tak na mnie nie patrzy.

- Ktoś mnie obserwował, kiedy wracaliśmy - powiedział cicho Vicente. - Widziałem go.
- Ojca Eduardo? Tak, ja też go widziałem.

Bernie musiał pomóc prawnikowi w ostatnim etapie marszu z powrotem z kamieniołomu. Podpierał go. Kiedy przeszli przez plac, zobaczył, że młody ksiądz wyszedł z domu, w którym mieli zajęcia. Zatrzymał się i śledził ich wzrokiem, kiedy kuśtykali do swojej chaty.

- Już mnie wziął na celownik - powiedział Vicente. - Byłbym dla niego porządnym łupem.

Rozdział dwudziesty szósty

Biuro Sandy'ego mieściło się w budynku przy brudnym placu pełnym sklepów i małych magazynów; większość z nich była wyprzedawana z powodu bankructwa. Padał zimny, rześisty deszcz. Stary gazeciarski smętnie obserwował ze swojego kiosku przechodzącego przez plac Harry'ego. Po drugiej stronie jacyś ludzie, którzy rozładowywali skrzynie z wozu, spojrzeli na niego z zaciekawieniem. O ile Harry się orientował, nikt go teraz nie śledził, ale czuł, że sam rzuca się w oczy.

Na ciężkich, drewnianych drzwiach widniał rząd guzików elektrycznych dzwonek. Na górze widniała stalowa tabliczka z napisem „Nuevas Iniciativas”. Harry zadzwonił i czekał.

Sandy zadzwonił do ambasady.

- Przepraszam, że tyle mi to zajęło, ale w kwestii tych interesów... moglibyśmy się spotkać w moim biurze, a nie w kawiarni? Chcę ci pokazać parę rzeczy. Barbara dołączy do nas później na kawę.

Harry spotkał się rano na odprawie z Hillgarthem i Tolhurstem w pokoju Simona. Hillgarth był w dobrym humorze, jego zwykle posępne oblicze było zrelaksowane i zadowolone.

- Może chodzi o złoto? - powiedział. W jego oczach widać było radość.
- Miał się bardzo na baczności, kiedy o tym mówił - odparł ostrożnie Harry.

Hillgarth przesunął palcem po kancie nogawki. Zamyślił się.

- Słyszeliśmy, że Franco próbuje załatwić dostawy żywności od Argentyńczyków. Będą musieli im zapłacić, co, Tolly?- Tak, panie komandorze.

Hillgarth pokiwał głową i odchylił się do tyłu na krześle.

- Cokolwiek ci zaoferuje, myślę, że powinieneś połączyć przynętę. - Zaśmiał się cicho. - Nie, to nie tak, to ty jesteś przynętą, a on rybą. Dobra, Tolly, pieniądze.

Tolhurst otworzył teczkę i spojrzał uważnie na Harry'ego.

- Masz upoważnienie, żeby zaoferować inwestycję do dwóch tysięcy funtów w jakikolwiek powiązany z twoją misją interes, który Forsyth zaproponuje. Jeżeli poprosi o więcej, możesz się do nas zwrócić. Dostarczymy ci pieniądze, ale powinieneś pokazać Forsythowi swoją książeczkę czekową, żeby wiedział, iż masz fundusze.

- Mam ją przy sobie. - Harry wyjął tekturową książeczkę. Hillgarth przyjrzał się jej uważnie.

- To mnóstwo pieniędzy.
- Kiedy miałem dwadzieścia jeden lat, dostałem pieniądze po rodzicach. Nie mam dużych wydatków.
- Powinieneś trochę intensywniej cieszyć się życiem. W twoim wieku prowadziłem kopalnię cyny w Boliwii. Co ja bym wtedy dał za pięć tysięcy funtów...
- Dobrze, że Brett je zachował - powiedział Tolhurst. - Londyn nie lubi podrabiać książeczek czekowych.

Hillgarth wciąż patrzył na Harry'ego swoimi dużymi brązowymi oczami. Harry poruszył się niespokojnie w krześle; przypomniał sobie, że nie powiedział im o Enrique. To było głupie, że się tak uparł, ale nie powiedział. Co to komu szkodziło?

- Maestre powiedział, że jego córka ma złamane serce po tym, jak nie odezwała się do niej po wizycie w Prado - powiedział Hillgarth.

Harry się zawahał.

- Szczerze mówiąc, wolałbym się już z nią nie spotykać - powiedział.

Hillgarth zapalił papierosa Golden Flake, przyglądając się Harry'emu znad zapalniczki.

- Sympatyczna z niej señońta. Dziwne, że cię nie interesuje.- To jeszcze prawie dziecko.
- Szkoda. Mogłaby być użyteczna z dyplomatycznego punktu widzenia.

Harry nie odpowiedział. Okłamywał Sandy'ego i Barbarę, czy to nie było dość, czy musiał włączać w to jeszcze Milagros?

- Niektórzy mogliby powiedzieć, że jesteś idealnym agentem, Brett - powiedział w zamyśleniu Hillgarth. - Nie można cię przekupić. Nie uganiaś się za spódniczkami, nie obchodzą cię pieniądze. Nawet nie pijesz za dużo, prawda?

- Kilka dni temu trochę sobie wypiliśmy - powiedział wesoło Tolhurst.

- Chodzi o to, że większość agentów da się jakoś przekupić. Chcą czegoś, nawet jeśli tylko adrenaliny. Ale to cię też nie kręci, prawda?

- Robię to dla mojego kraju - powiedział Harry. Wiedział, że brzmi to sztywno i pompatycznie, ale nic go to nie obchodziło. - Powiedziano mi, że pomogę w ten sposób wygrać wojnę. Że to inny rodzaj żołnierki.

Hillgarth pokiwał wolno głową.

- W porządku, to dobrze. Lojalność. - Zastanowił się. - Jak daleko posunąłbyś się w imię lojalności?

Harry zawahał się, ale pogardliwy ton Hillgartha rozżłościł go, przez co z kolei zrobił się zuchwały.

- Nie wiem, panie komandorze, to by zależało od tego, co miałbym zrobić.

Hillgarth skinął głową.

- Ale są pewne granice?
- To by zależało od tego, co miałbym zrobić - powtórzył.
- Wątpię, czy Forsyth ma wyznaczone jakieś granice. Jak sądzisz?
- Sandy daje po sobie poznać tylko tyle, ile sam chce. Tak naprawdę nie wiem, do czego byłby zdolny. - Przerwał. - Pewnie w zasadzie do wszystkiego. - Jak ty, dodał w myślach.
- No cóż, zobaczymy. - Hillgarth odchylił się w krześle. - Dzisiaj spróbuj się dowiedzieć, co ma do zaoferowania, powiedz, że się zgadzasz, po czym zdaj nam raport.
- Ale nie działaj zbyt pochopnie, Harry - dodał Tolhurst. - Udawaj, że masz wątpliwości i martwisz się o swoje pieniądze. Powiedz, że musisz wiedzieć wszystko, nim się do czegoś zobowiąziesz.
- Tak - zgodził się Hillgarth. - Trzymaj się tego kursu. W ten sposób więcej ci pokażą.

Drzwi otworzyła pulchna kobieta po pięćdziesiątce o twarzy pokrytej zmarszczkami, siwe włosy miała spięte w kok.

- Słucham? - zapytała.
- Jestem umówiony z señorem Forsythem. Nazywam się Brett.

Poprowadziła go wąskimi schodami do małego biura, w którym na

poobijanym biurku stała maszyna do pisania. Zapukała do drzwi. Wszedł z nich Sandy, uśmiechając się szeroko. Był ubrany w prążkowany garnitur, w górnej kieszeni miał czerwoną chusteczkę.

- Harry! Witamy w Nuevas Inicativas. - Uśmiechnął się do sekretarki, która ku zaskoczeniu Harry'ego zarumieniła się. - Widzę, że poznałeś już Marię. Parzy najlepszą herbatę w Madrycie. Mario, dwie kawy i dwie herbaty poproszę. - Sekretarka oddaliła się pospiesznie.
- Wejź. - Sandy wprowadził Harry'ego do zaskakująco dużego pokoju. Przy jednej ze ścian stał okazały stół, zavalony mapami i papierami. Harry zdziwił się, widząc oprócz tego na stole kilka błyszczących metalowych kanistrów, które wyglądały jak duże termosy. Nad blatem wisiła reprodukcja dziewiętnastowiecznego malowidła, przedstawiającego tropikalne morze pełne potwornych gadów chwytających się nawzajem w zakrwawione paszcze. Nad nimi krążyły pterodaktyle.

Po drugiej stronie pokoju za dużym, dębowym biurkiem siedziało dwóch mężczyzn w garniturach. Palili papierosy.

- Oczywiście znasz już Sebastiana de Salasa - powiedział Sandy.
- Buenas tardes. - De Salas wstał i ukłonił się, podając Harry'emu dłoń.

Drugi mężczyzna był niewysoki i miał śniadą cerę. Nosił źle dopasowany garnitur. Obok niewyszukanie eleganckiego de Salasa wyglądał jak nieporządny urzędnik. - Alberto Otero, mózg naszego przedsięwzięcia. - Otero uniósł się na krześle i podał Harry'emu wilgotną dłoń. Nie uśmiechnął się, przyglądał mu się tylko obojętnie.

- Widzę, że zauważyłeś mój obraz - powiedział Sandy. - Prehistoryczne hrabstwo Dorset, autorstwa Henry'ego de la Beche. Namalował go w 1830, kiedy ludzie dopiero co dowiadawali się o istnieniu dinozaurów.

- Oczywiście wizerunek jest całkowicie błędny - powiedział surowym tonem Otero. - Te stworzenia są mocno przesadzone.

- Tak, Alberto. Ale wyobraź sobie, co musieli pomyśleć sobie ludzie, kiedy dowiedzieli się, że ich spokojny angielski krajobraz był niegdyś pełen olbrzymich gadów. - Forsyth uśmiechnął się i usiadł obok de Salasa. Kiedy usiedli razem naprzeciwko niego, Harry zorientował się, że wszyscy trzej mieli identyczne cienkie wąsiki, oznakę przynależności do Falangi.

Sandy odchylił się w krześle i złożył ręce na brzuchu.

- A więc, Harry, masz do zainwestowania pieniądze, a my mamy projekt, któremu przydałoby się trochę kapitału. Na początek Alberto chciałby wiedzieć trochę więcej o dostępnych środkach. - Mrugnął porozumiewawczo. - Strasznie ostrożni są ci Hiszpanie. Oczywiście całkiem słusznie.

- Mam w banku pokaźną sumę - powiedział Harry. - Chociaż nie chciałbym wkładać za dużo w pojedynczy projekt.

De Salas pokiwał głową, ale twarz Otera pozostała niewzruszona.

- Czy mogę spytać, skąd pan ma te pieniądze? - spytał. - Nie chciałbym wydać się panu bezczelny, ale powinniśmy to wiedzieć.

- Oczywiście. To dochody z posiadłości moich rodziców. Umarli, kiedy byłem dzieckiem.

- Harry to poważny i stateczny człowiek - powiedział Sandy. - Nie ma dużych wydatków.

- Gdzie są teraz pańskie pieniądze?

- W moim banku w Anglii. - Harry wyjął książeczkę czekową. - Proszę sobie obejrzeć, nie mam nic przeciwko temu, spodziewałem się, że panowie będziecie chcieli ją zobaczyć. Otero przejrzał książeczkę.

- A co z ograniczeniami walutowymi?

- Nie mają zastosowania - powiedział Sandy. - Harry jest pracownikiem ambasady. Prawda?

- Wolno mi inwestować w neutralnym kraju.

De Salas się uśmiechnął.

- I nie ma pan nic przeciwko inwestowaniu tutaj? Mam na myśli sytuację polityczną. Przy naszym ostatnim spotkaniu nie mogliśmy dojść do porozumienia w tej kwestii.

- Wspieram mój kraj w walce z Niemcami. Nie mam nic przeciwko Hiszpanii. Musi sama wykuć własną przyszłość. Jak pan sam powiedział.

- Zwłaszcza jeśli można na tym zarobić, co, señor? - Sebastian uśmiechnął się poufale, ale także z odrobiną pogardy.

- A co jeśli Hiszpania przystąpi do wojny? - spytał Otero. - Nawet jeśli nic więcej nie zajdzie, wszelkie angielskie inwestycje zostaną wstrzymane.

- Ambasada wydaje się być dosyć pewna, że Franco tego nie zrobi - powiedział Harry. - Wystarczająco pewna, bym zaryzykował.

Otero pokiwał głową.

- Jak wiarygodne są pańskie informacje? Czy tak uważa ambasador?

Harry wiedział, że takie informacje byłyby warte dużo pieniędzy.

- Powtarzam tylko to, co mówią inni tłumacze. Oczywiście nie mam dostępu do żadnych tajnych materiałów. - Pozwolił sobie na odrobinę wyniosłości w głosie. - A gdybym miał, nawet by mi przez myśl nie przeszło wspomnieć o tym cokolwiek. Wiem tylko tyle, ile ludzie mówią, hiszpańscy chłopcy na posyłki prawdopodobnie wiedzą tyle samo.

Sebastian uniósł dłoń.

- Oczywiście, señor Brett. Proszę wybaczyć naszą ciekawość.

- Harry jest wierny królowi - powiedział Sandy z uśmiechem. Otero spojrzał na niego bystro.

- Jeżeli mamy opowiedzieć panu o naszym przedsięwzięciu, będzie pan musiał zachować je w największej tajemnicy.- Oczywiście.

- Nie chcemy, by mówił pan o nim komukolwiek. Zwłaszcza z ambasady. Może są zainteresowani tym tematem?

- Nie wiem, czemu by mieli być - Harry udawał naiwnego - jeżeli to tylko interesy. - Udał, że się niepokoi. - To nie jest nic nielegalnego, prawda?

Otero się uśmiechnął.

- Wręcz przeciwnie. Ale ta sprawa mogłaby wzbudzić... znaczne zainteresowanie.

- Oczywiście nic nikomu nie powiem. - Zawahał się na moment. - Obiecuję.

- Nawet Barbarze - dodał Sandy. - Słowo honoru?

- Oczywiście.

Sebastian de Salas znowu się uśmiechnął.

- Sandy opowiedział nam o sprawach honoru między przyjaciółmi z prywatnej szkoły. To kodeks, prawda?

- Harry nigdy by go nie złamał - dodał Sandy.
- Czy to kodeks honorowy, jak między żołnierzami w legii?
- Tak - odparł Harry. - Właśnie tak.

Otero przyglądał się jeszcze przez chwilę Harry'emu, po czym zwrócił się do Sandy'ego.

- W porządku. Ale na twoją odpowiedzialność, Forsyth.
- Ręczę za Harry'ego - powiedział z uśmiechem Sandy.
- Ile miałby pan zamiar zainwestować? - zapytał Harry'ego Otero.
- To zależy. Od propozycji.

Rozległo się pukanie i weszła Maria, niosąc tacę. Nalała im kawy i herbaty. W ciszy, która zapadła, Harry'ego nagle zdjął strach. Zorientował się, że pod pachami jest zupełnie mokry od potu. Źle się czuł, kiedy wszyscy trzej skupiali na nim swoją uwagę. Sekretarka wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Dobra - powiedział Sandy i otworzył szufladę biurka. Wszyscy patrzyli na niego, kiedy wyjmował szklaną fiolkę wypełnioną żółtym pyłem. Wziął kartkę papieru i ostrożnie wysypał na nią trochę zawartości.- Proszę. Jak myślisz, co to jest? Dalej, dotknij.

Harry potarł pył palcami. Wiedział, co to jest, ale udawał naiwnego.

- Trochę oleiste.

Otero wybuchnął chrapliwym śmiechem i pokręcił głową. Sandy uśmiechnął się szeroko.

- Harry, to jest złoto. Hiszpańskie złoto. Pochodzi z pewnego pola za miastem. Alberto od lat krążył po tamtej okolicy, zbierając próbki, no i tej wiosny trafił w dziesiątkę. Hiszpania ma trochę złóż złota, ale niewielkich. To jest duże. Naprawdę duże.

Harry pozwolił ziarenkom upaść na papier.

- Czy tak wygląda złoto po wydobyciu?

Otero wstał i podszedł do dużego stołu. Przyniósł do biurka jeden z kanistrów i odkręcił zakrętkę. W środku było pełno sypkiej żółto-pomarańczowej ziemi.

- Tak wygląda ruda. Traktuje się ją rtęcią i kwasem, żeby oddzielić złoto. Z dwóch takich kanistrów można otrzymać mniej więcej zawartość tej fiołki; zawartość złota jest bardzo wysoka. Wyobraża pan sobie, ile warte byłoby całe pole tej rudy? Dwadzieścia pól?

Harry delikatnie dźgnął palcem sypką ziemię. O to chodziło, pomyślał. Cholera, udało mi się.

- Te kanistry wysyłamy do Ministerstwa Górnictwa, gdzie wykonują próbę. - Sandy zwrócił się do de Salasa. - Tam pracuje Sebastian, jest naszym kontaktem w ministerstwie.

- Jak pan wie, señor Brett, hiszpańska polityka gospodarcza opiera się na samowystarczalności. Wydobywanie surowców mineralnych jest priorytetem. Ministerstwo Górnictwa wydaje prywatnym

firmom licencje na prowadzenie poszukiwań złóż. Jeżeli znajdą surowce, a laboratoria rządowe są zadowolone z prób, firma otrzymuje licencję na rozwój.

- A jej akcje idą w górę - dodał Sandy.
- I tym właśnie zajmuje się Nuevas Iniciativas?
- Zgadza się. My trzej jesteśmy głównymi udziałowcami. Sebastian w zasadzie nie powinien być członkiem, bo jest pracownikiem Ministerstwa Górnictwa, ale nikt się tu nie przejmuje takimi szczegółami. Ma kilku kolegów, którzy z chęcią zainwestują.

- Czy są zadowoleni z waszej rudy?
- Mieliliśmy pewne opóźnienia - odparł de Salas. - Niestety, do sprawy dochodzi polityka. Słyszał pan coś o fiasku w Badajoz?
- Coś słyszałem.

Sandy skinął głową.

- W zeszłym roku ogłoszono odkrycie olbrzymich złóż, ale okazało się, że nic tam nie było. Po tym, jak Generalísimo powiedział ludowi w świątecznym przemówieniu, że wkrótce Hiszpania będzie miała tyle złota, ile będzie potrzebować. - Sandy uśmiechnął się smutno. - To było żenujące, podobnie jak sprawa z tym austriackim naukowcem sponsorowanym przez Franco, który twierdził, że potrafi wytworzyć ropę z trawy. Generalísimo był tak zdesperowany, że stał się trochę... powiedzmy, łatwowierny. Teraz za to przeszedł w drugie ekstremum i jest zbyt ostrożny. Powołano specjalny komitet, który bada wszystkie doniesienia o odkryciu złóż. Ludzie, którzy w nim zasiadają, nie są politycznie dobrze nastawieni do Ministerstwa Górnictwa. Postrzegają nas jako siedlisko falangistów.
- Ale jeżeli to są prawdziwe złoża, chyba w interesie wszystkich leży ich eksploatacja?
- Tak by się mogło wydawać, Harry - zgodził się Sandy. - Tak by się mogło wydawać.

Otero wzruszył ramionami.

- Pewni ludzie przeciągają sprawę, zamawiają kolejne próby, chociaż wykonano już dość testów, by zaspokoić każdego normalnego klienta. Sprawdzone próbki wzięte z tego miejsca w obecności inspektorów rządowych.
- Być może będziemy w stanie pokazać ci ich raporty - powiedział Sandy. - Oczywiście w ścisłej tajemnicy.
- Nie mam nic przeciwko testom - kontynuował Otero. - Co więcej, w międzyczasie przeszukałem sąsiadujące tereny. Wykazują jeszcze lepszy potencjał. Kiedy pokonamy wszystkie biurokratyczne przeszkody i sprawa stanie się powszechnie znana, wszystkie osoby związane z tą firmą staną się bardzo bogate. Ale na to potrzeba pieniędzy, señor. Pobieranie próbek, przeprowadzanie testów - a do tego chcemy

nabyć sąsiedni kawałek ziemi. Cena jest większa, niż możemy sobie w tej chwili pozwolić.

- Nie chodzi tylko o politykę - dodał de Salas. - Zasiadający w Komitecie Generałowie chcą, żeby przez niekończące się testy skończyły się nam pieniądze i żebyśmy musieli dać się wykupić innej firmie zajmującej się poszukiwaniami złóż. Kontrolowanej przez nich.

- Zawsze wszystko sprowadza się do mamony. - Sandy spojrzął na niego znacząco. - W tej chwili, powiedzmy, tysiąc funtów byłoby nam bardzo pomocne. Moglibyśmy zapłacić za więcej odwiertów, przygotowanie próbek i wykupienie praw do nowej ziemi. Jeżeli zobaczą, że mamy porządne wsparcie finansowe, moim zdaniem wszelka opozycja upadnie. Wtedy wszyscy nieźle się obłowimy.

- Może pięćset? - powiedział Harry. - To dużo pieniędzy. Cała sprawa wydaje mi się oparta na przypuszczeniach.

- To nie są przypuszczenia - powiedział Otero lodowatym tonem.

- Powiedziałem, że mamy raporty świadczące o jakości naszej rudy.

Harry udał, że się zastanawia. Zaciął wargi. Serce biło mu szybko, ale już się nie bał, czuł, że nadchodzi sukces.

- Czy te raporty są w języku zrozumiałym dla laika?

- Oczywiście. - De Salas się roześmiał. - Muszą być zrozumiałe dla członków komitetu.

- Będziesz musiał przyjść tutaj, żeby je przeczytać - powiedział Sandy. - Nie możemy wynosić ich z biura. Ale pomożemy ci przez nie przebrnąć.

- Jest pan w uprzywilejowanej pozycji, señor Brett - powiedział poważnie Otero. - Wie o tym bardzo niewielu ludzi.

Harry wziął głęboki wdech. Raz kozie śmierć, pomyślał.

- Chciałbym zobaczyć to miejsce. Nie chcę kupować kota w worku.

Otero pokręcił wolno głową.

- Señor, informacja o lokalizacji złóż jest ściśle tajna. Nie jestem gotów posunąć się tak daleko.

- Ale z pewnością rząd wie, gdzie to jest?

- Tak, Harry. - W głosie Sandy'ego słychać było zniecierpliwienie.

- Ale tylko pod klauzulą tajności.

- Ale skoro mam się przyłączyć do interesu... - Harry rozłożył ręce.

- Będziemy musieli to omówić. - Sandy przygładził wąsy, spoglądając to na de Salasa, to na Otera. Nie wyglądali na zadowolonych.

- W porządku - powiedział Harry. Nie było sensu bardziej naciskać. Fakt, że udało mu się przyprawić ich o niepokój, sprawił mu przyjemność. Sandy stracił ten swój pełen samozadowolenia uśmiezek. Jeżeli mu odmówią, i tak się do nich przyłączy, ale gdyby dowiedział się, gdzie są złoża, to by dopiero był wyczyn.

Rozległo się pukanie do drzwi. Sandy podniósł wzrok. Wciąż był podenerwowany. Do środka zajrzała Maria.

- O co chodzi?

- Przyszła señoora Forsyth, proszę pana. Czeka na zewnątrz.

Sandy przeciągnął dłonią po włosach.

- Trochę za wcześnie. Harry, posłuchaj, musimy to omówić. Może sam pójdz z Barbarą na kawę? Zadzwoimy później.

- Jak wolisz.

- Dobra. Wyjdę z tobą, żeby się z nią przywitać. - Sandy wstał, a Hiszpanie za nim.

- W takim razie do zobaczenia. - Sebastian uściskał mu dłoń, a po nim Otero, który posłał mu kolejne surowe spojrzenie. Sandy wyprowadził go z pokoju. Barbara siedziała przy biurku Marii. Na głowie miała mokrą od deszczu chustę. Była blada i zmartwiona.

- Cześć, Harry.

- Przyszłaś za wcześnie. - Sandy ze zdenerwowaniem wskazał na jej chustę. - Po co to włożyłaś? Masz dosyć kapeluszy.

Harry spojrzał na niego, zaskoczony takim tonem jego głosu. Sandy zauważył to i uśmiechnął się. Wziął Barbarę pod ramię.

- Kochanie, posłuchaj, zmiana planów. Mamy spotkanie, muszę omówić coś z paroma znajomymi. Może sami pójdziecie z Harrym na kawę?

- Dobrze, w porządku. - Posłała Harry'emu krótki uśmiech.

- Odprowadzi cię potem do domu, prawda, Harry? Świetnie. Zadzwoię do ciebie jutro. - Mrugnęła do niego porozumiewawczo. - Zobaczę, na co da się namówić Otera.

Na dworze deszcz nie przestał padać, było chłodno i mokro. Barbara poprawiła chustę na głowie.

- Nie lubi, kiedy je noszę - powiedziała. - Uważa, że są pospolite.

- Uśmiechnęła się cierpko i chłodno. Harry nie widział jej nigdy przedtem w takim nastroju. - Co tam kombinowaliście? Próbował wkręcić cię w jeden ze swoich planów?

Harry zaśmiał się z zakłopotaniem.

- Jest okazja do zrobienia interesu.

- Posłuchaj, miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy nie szli na kawę? Wolalabym wrócić do domu, chyba się przeziębiam.

- Oczywiście. - Szli przed siebie powoli. Spojrzał na jej bladą, ściągniętą twarz. - Barbaro, wszystko w porządku?

- Nie, właściwie nie. - Westchnęła ciężko. - Po lunchu poszłam do kina, żeby do spotkania z wami się nie nudzić. Puścili kronikę filmową; wiesz, jakie one są, zawsze pełne proniemieckiej propagandy. - Westchnęła z drżeniem. - Puścili informację „Brytania na kolanach” o nalotach. Pokazali centrum Birmingham.

- Żal mi cię. Bardzo źle to wyglądało?

- To było okropne. Część miasta stała w ogniu. W ostatnim wielkim nalocie zginęło tylu ludzi, a oni się tym puszą. - Zatrzymała się nagle.

- O Boże, przepraszam, chyba zaraz zemdleję.

Harry rozejrzał się w poszukiwaniu kawiarni, ale w pobliżu nie było żadnej, stali jedynie tuż obok jednego z dużych miejskich kościołów. Wziął Barbarę pod ramię.

- Chodź, wejdźmy do środka i usiądźmy. - Poprowadził ją po schodach.

Wnętrze kościoła było zimne i ponure, jedynie bogato zdobiony złoty ołtarz był oświetlony. Na pograżonych w mroku ławach siedziało kilka skulonych postaci, niektóre coś mamrotały. Harry zaprowadził Barbarę do pustej ławy. Po jej policzkach płynęły łzy. Zdjęła okulary i sięgnęła do kieszeni po chustkę.

- Przepraszam - wyszeptała.

- Rozumiem. Ja martwię się o Willa, mojego kuzyna.

- To ten, którego żona jest taką zołą?- Tak, chociaż zaraz przed wyjazdem poznałem ją z innej strony. Był nalot, musiałem zaprowadzić ją do schronu. Bała się panicznie o swoje dzieci. Zawsze miałem wrażenie, że ich nie kocha, ale się myliłem.

Barbara westchnęła.

- Widziałam naloty w czasie wojny domowej ale, rzecz jasna, to co innego, kiedy widzisz je w Anglii... - Przygryzła wargi. - Kiedy ta wojna się skończy, nic już nie będzie takie samo, prawda? Nigdzie?

Harry spojrzął jej w twarz. Widać było w ciemności, że jest blada i skupiona.

- Nie, nie sędzę.

- Mam wrażenie, że powinnam tam być. W Anglii. Kiedyś potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa, po tym jak Bernie... - przerwała - po tym jak odszedł. Sandy mi je dał, a w każdym razie tak sądziłam. Ale w dzisiejszych czasach nigdzie się nie jest bezpiecznym. - Znowu przerwała. - Nawet nie wiem, czy ciągle jest mi potrzebne.

Harry uśmiechnął się smutno.

- Obawiam się, że mnie jest ciągle potrzebne. Nie jestem bohaterem. Jeśli mam być szczery, najbardziej chciałbym czmychnąć z powrotem do kraju i prowadzić spokojne życie.

- Ale tego nie zrobisz, prawda? - Uśmiechnęła się. - To by było wbrew twojemu poczuciu honoru.

- To zabawne, kiedy rozmawiałem przed chwilą z Sandym, też wspomniał o honorze. Honorze prywatnej szkoły. Oczywiście dla niego to nigdy nic nie znaczyło.

Milczeli przez chwilę. Ich oczy przyzwyczyły się do ciemności i Harry spostrzegł, że większość modlących się to ubrane na czarno biedne kobiety. Niektóre miały głowy przykryte jedynie kawałkami czarnego materiału. Barbara spojrzała na wiszący w bocznej kaplicy krucyfik. Z ran Jezusa spływała namalowana krew.

- Co za religia - powiedziała z goryczą. - Krew i tortury. Nie dziw, że Hiszpanie masakrują się nawzajem. Religia to przekleństwo, tu Sandy ma rację.

- Kiedyś myślałem, że utrzymuje ludzi w ryzach. Barbara zaśmiała się gorzko.

- Tutaj religia działa odwrotnie, chyba tak było od zawsze. - Włożyła z powrotem okulary. - Pamiętasz rodzinę, z którą przyjaźnił się Bernie? Mera?

- Tak, byłem z nim, kiedy poznał Pedra Merę. Tak właściwie... właściwie poszedłem zobaczyć, czy uda mi się znaleźć ich mieszkanie. - Zawahał się, nie chciał mówić Barbarze o tym, co zobaczył w Cara-banchel.

- Udało ci się?

- Tak. Dlaczego pytasz? Spotkałeś ich? - zapytał z nadzieją. Barbara przygryzła wargi.

- Wiesz, że pracuję jako wolontariuszka w sierocińcu? - powiedziała cicho.

- Tak.

- To prawdziwe piekło. Zakonnice traktują dzieci jak zwierzęta. Dwa dni temu przyprowadzono tam małą córeczkę Pedra i Ines, Carmelę. Żyła sama zupełnie dziko. Wydaje mi się, że wszyscy inni zginęli.

- O mój Boże... - Harry przypomniał sobie małą dziewczynkę, która patrzyła na niego w skupieniu, kiedy próbował nauczyć ją angielskich słówek. Jej brata Antonia, który obserwował razem z nim i Ber-niem, jak komuniści ścigają faszystów. Pedra, ojca, postawnego i bezpośredniego, Ines, niestrudzoną matkę. - Wszyscy?

- Chyba tak. - Barbara sięgnęła do torebki i wyciągnęła poszarpanego wełnianego osiołka, zszytego pośrodku. - Stara suka, która pracuje tam ze mną, wyrwała go dziewczynce z rączki i rozdarła. To chyba ostatnia rzecz, jaką Carmela miała. Obiecałam jej, że go naprawię, ale kiedy poszłam go zanieść dzisiaj rano, powiedzieli mi, że ciągle próbowała uciekać, więc przeniesiono ją do specjalnego domu dla krnąbrnych dzieci. Możesz sobie wyobrazić, co to oznacza. Zakonnica, która

zarządza sierocińcem nie chce mi powiedzieć, gdzie to jest, mówi, że to nie mój interes. Siostra Inmaculada. - W jej głosie była wściekłość i gorycz.

- Nie możesz się dowiedzieć?- Jak? Jak, jeśli nie chcą mi powiedzieć? - powiedziała podniesionym głosem; westchnęła. Zaciśnęła usta. - Mam pomysł, zostawmy osiołka Fernandita jako podarunek dla Pana. Może wtedy zaopiekuje się Carmelą. Może. - Wstała i zaniósła zabawkę w stronę bariery bocznej kaplicy. Rzuciła ją z gniewem na stos leżących pod krucyfiksem kwiatów, po czym wróciła i usiadła obok Harry'ego.

- Nie wrócę do tego klasztoru. Sandy'emu to się nie spodoba, ale musi to przelknąć.

- Czy między tobą a Sandym - zawahał się na chwilę - wszystko jest w porządku?

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie mówmy o tym, Harry. - Przeszył ją dreszcz. - Chodźmy, wynośmy się z tego mauzoleum.

Spojrzał na nią poważnie.

- Barbaro, jeżeli kiedykolwiek potrzebowałabyś... cóż, pomocy, zawsze możesz na mnie liczyć.

Dotknęła jego dłoni. Stara kobieta, która właśnie przechodziła obok cmoknęła z dezaprobatą.

- Dziękuję, Harry. Ale dam sobie radę, po prostu miałam zły dzień. - Harry zobaczył, że kobieta pociągnęła za rękaw księdza i wskazywała w ich stronę. - Chodźmy stąd - powiedziała Barbara - zanim aresztują nas za niemoralne zachowanie w świętym miejscu.

Na zewnątrz Barbara poczuła złość na samą siebie, że tak nagle osłabła. Musiała być silna.

Po wyjściu z kościoła pozwoliła Harry'emu zaprowadzić się do kawiarni. Zapytała, jakie są ostatnie wiadomości z ambasady na temat tego, czy Franco przystąpi do wojny. Harry powiedział, że ich zdaniem spotkanie z Hitlerem przebiegło źle. To ją trochę uspokoiło.

Kiedy wróciła do domu, zaparzyła herbatę i siedziała samotnie w kuchni, rozmyślając i paląc papierosa. Pilar miała po południu wolne; Barbara cieszyła się z tego, nigdy nie była spokojna w obecności dziewczyny. W radiu nadano prognozę pogody, spiker zapowiedział kolejne ochłodzenie w Madrycie i śnieg w górach Guadarrama. Barbara wyjrzała na tonący w strugach deszczu ogród i pomyślała, że to oznacza śnieg w Cuence. I nic nie mogła zrobić, jedynie czekać, aż brat Luisa wróci z przepustki. Znowu pomyślała o Harrym. Żałowała, że nie może mu powiedzieć o Berniem. Było jej przykro, że pozwalała mu uważać starego przyjaciela za zmarłego, i bardzo chciała wyznać prawdę, ale Harry był też przyjacielem Sandy'ego, a to, co zamierzała zrobić, było nielegalne. Nie mogła bez obaw powiedzieć o tym nikomu.

Po jakimś czasie przeszła do salonu i napisała list do siostry Inmaculady, oświadczając zimnym, uprzejmym tonem, że sprawy osobiste nie pozwalają jej kontynuować pracy w sierocińcu. Właśnie kończyła, kiedy wszedł Sandy. Widać było, że jest zmęczony. Uśmiechnął się, kiedy odstawiał walizkę. Rozległ się brzęk, jakby w środku było coś metalowego. Podeszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Jak się masz, kochanie? Posłuchaj, przepraszam, że w biurze byłem w złym nastroju. Miałem ciężki dzień. Przez ostatnią godzinę siedziałem w komitecie do spraw Żydów. - Pochylił się nad nią i pocałował ją w szyję. Zwykle to wystarczało, żeby mu wybaczyła, ale tym razem poczuła jedynie łaskotanie jego wąsika. Odsunęła się. Zmarszczył brwi.

- O co ci chodzi? Że przepraszam.

- Ja też miałam ciężki dzień.

- Do kogo piszesz?

- Do siostry Inmaculady. Informuję, że nie mam zamiaru wrócić do sierocińca. Nie potrafię znieść tego, jak traktują dzieci.

- Mam nadzieję, że nie napisałaś tego w liście?

- Nie, Sandy. Powiedziała, że chodzi o sprawy osobiste. Nie martw się, nie będziesz miał kłopotów z marquesą.

Odsunął się od niej.

- Nie ma powodu do złości.

Wzięła głęboki oddech.

- Przepraszam.

- Więc co masz zamiar ze sobą zrobić? Musisz mieć coś do roboty.

Potrzebuję jeszcze miesiąca, żeby wydostać Berniego z obozu i uciec, pomyślała.

- Nie wiem. Może mogłabym ci pomóc z uchodźcami? Z Żydami?

Sandy wypił łyk whisky i pokręcił głową.

- Właśnie byłem na spotkaniu. Są bardzo ortodoksyjni. Nie lubią, kiedy kobiety mówią im, co mają robić.

- Myślałam, że to w większości ludzie wykształceni.

- Ale wciąż ortodoksyjni. - Zmienił temat. - Co miał ci do powiedzenia Harry?

- Rozmawialiśmy o obecnej sytuacji. Nie sądzi, żeby Franco przystąpił do wojny.

- Tak, mnie też to powiedział. Wiesz, kiedy chodzi o interesy, jest całkiem sprytny. - Uśmiechnął się z zadumą. - Bardziej, niż bym się po nim spodziewał. - Spojrzał na nią ponownie. - Posłuchaj, skarbie, wydaje mi się, że popełniasz błąd z tym sierocińcem. Musisz robić wszystko tak, jak oni sobie tego życzą. Kiedy wejdiesz między wrony... Wystarczająco często ci to powtarzałem.

- Owszem, ale ja tam nie wrócę, Sandy. Nie będę brała udziału w takim traktowaniu dzieci. - Dlaczego w ostatnich dniach bez przerwy doprowadzał ją do wściekłości, właśnie kiedy powinna zachowywać się normalnie i być całkiem spokojna? Zorientował się, że coś jest nie tak, wiedziała o

tym. Ostatnio unikała nawet seksu, a kiedy nalegał i w końcu zgodziła się, nie była w stanie udawać rozkoszy.

- Te dzieci są zdziczałe - powiedział Sandy. - Sama tak powiedziałaś. Potrzebują dyscypliny, a nie pluszowych zabawek.

- Chryste, Sandy, czasami mam wrażenie, że masz głąz zamiast serca. - Powiedziała to, nim zdążyła się powstrzymać.

Poczerwieniał z wściekłości i zrobił krok w jej stronę. Miał zaciśnięte pięści. Barbara skuliła się, serce jej łomotało. Zawsze wiedziała, że kiedy wpadał w gniew, potrafił być jadowity i okrutny, ale aż do teraz nie obawiała się z jego strony przemocy. Wzięła głęboki oddech. Sandy opanował się i przemówił do niej lodowatym tonem.

- To ja cię stworzyłem - powiedział. - Nie zapominaj o tym. Kiedy cię spotkałem, byłaś nikiem, byłaś w opłakanym stanie, dlatego że przejmowałaś się w życiu jedynie tym, co myślą o tobie inni. Ty w sercu masz jedynie sentymentalną papkę. - Patrzył na nią z furją, a Barbara po raz pierwszy ujrzała, czego on od niej naprawdę chciał, na czym polegał od samego początku ich związek. Na kontroli. Na władzy.

Wstała i wyszła z pokoju.

Rozdział dwudziesty siódmy

Kiedy Harry odprowadził Barbarę i wrócił do domu, czekały na niego dwa listy. W pierwszym była krótka informacja od Sandy'ego, dostarczona przez kogoś pospiesznie. Pisał, że przekonał Otera i de Salasa, by pozwolili mu zwiedzić kopalnię, że przyjedzie po Harry'ego wcześniej w niedzielę, za trzy dni, i pojadą razem. Pisał, że to ledwie kilka godzin jazdy.

Otworzył drugi list. Adres był napisany ręcznie, drobnym, zgrabnym charakterem pisma, którego nie znał. List, napisany po hiszpańsku, był od Sofii, a w środku razem z nim był rachunek za leczenie i lekarstwa od doktora z centrum miasta.

Szanowny Panie Brett!

Załączam rachunek od lekarza. Wiem, że policzył sobie rozsądnie. Enrique już czuje się lepiej. Wkrótce będzie mógł znowu wrócić do pracy i nasza sytuacja się poprawi. Przesyła podziękowania, mama również. Uratował pan życie Enrique i zawsze będziemy pamiętać o tym z wdzięcznością.

Harry był rozczarowany oficjalnym tonem listu i wskazówką, by zakończyć ich znajomość. Przeleciał go kilka razy wzrokiem, po czym usiadł i napisał odpowiedź.

Cieszę się, że Enrique czuje się lepiej, zapłacę rachunek za lekarza jutro rano. Chciałbym się z Panią spotkać, żeby dać Paniparagon oraz żeby zaprosić Panią na kawę. Bardzo miło mi się z Panią rozmawiało, a nie mam okazji spotykać się z wieloma Hiszpanami na gruncie towarzyskim. Mam nadzieję, że będzie Pani mogła przyjść.

Zaproponował, żeby spotkali się za dwa dni w znanej mu kawiarni przy Puerta del Sol o szóstej; wiedział, że wcześniej zaczynała pracę.

Zakleił kopertę. Miał zamiar ją wysłać, kiedy tylko wyjdzie na dwór. Na pewno Sofia zorientuje się, że paragon jest tylko pretekstem. No cóż, albo odpisze, albo nie. Odwrócił się do stolika z telefonem i wykręcił numer ambasady. Poprosił w recepcji, by powiedzieli panu Tolhurstowi, że chciał omówić planowany komunikat prasowy dotyczący importu owoców. To było hasło oznaczające, że miał nowe wieści o Sandym. Z początku uważał te hasła za głupie i melodramatyczne, ale zorientował się, że są konieczne, bo telefony były na podsłuchu.

Recepcjonistka wróciła i powiedziała mu, że pan Tolhurst będzie dostępny, jeśli on może teraz przyjść. Nie zdziwiło go to. Wydawało się, że Tolly często spędza wieczory w ambasadzie. Harry wziął płaszcz i znowu wyszedł.

Kiedy Harry zdał relację z tego, co zaszło, Tolhurst był naprawdę uradowany. Oświadczył, że zaraz idzie z tym do Hillgartha; wprawdzie komandor był na spotkaniu, ale na pewno będzie chciał o tym wiedzieć. Po kilku minutach wrócił do biura i aż promieniał ze szczęścia i podniecenia.

- Komandor był bardzo zadowolony - powiedział. - Jeżeli złota jest dużo, jestem pewien, że pójdzie z tym prosto do Churchilla i zażąda zacieśnienia blokady. Będą mieli mniej zapasów, by zrekompensować to, co będą w stanie kupić za to złoto. - Zatarł z zadowoleniem ręce.

- Co na to powie sir Sam?

- Dla Churchilla liczy się to, co myśli komandor. - Na twarzy Tolhursta malowała się rozkosz, kiedy wymawiał nazwisko premiera.

- Zapytają, czemu zacieśniamy blokadę.

- A my im pewnie powiemy. Pokażemy im, że przed nami nic się nie ukryje. Falanga dostanie po nosie. Harry, powiedziałaś, że powinniśmy zaostrzyć naszą politykę. Być może właśnie to się stanie.

Harry pokiwał w zamyśleniu głową.

- To dopiero wpędzi Sandy'ego w tarapaty. Może mieć naprawdę poważne problemy. - Zorientował się, że skupił się na swoim zadaniu i zupełnie nie myślał o tym, co może się stać z Sandym. Ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Tolhurst mrugnął porozumiewawczo.

- Niekoniecznie. Komandor i w tej sprawie trzyma coś w zanadru.

- Co? - Harry zamyślił się na moment. - Nie macie zamiaru go zwerbować?

Tolhurst pokręcił głową.

- Nie mogę powiedzieć, jeszcze nie teraz. - Uśmiechnął się z wyższością, co rozdrażniło Harry'ego. - A przy okazji, nikomu nie powiedziałaś o Rycerzach Świętego Jerzego?

- Oczywiście, że nie.

- To bardzo ważne.
- Wiem.

Następnego ranka Harry jako tłumacz towarzyszył jednej z sekretarek z ambasady na spotkaniu z Maestre; musieli przejrzeć kolejną porcję certyfikatów. Młody tłumacz z Falangi znów był obecny i powtórzyli grę, w której Maestre udawał, że nie mówi po angielsku. Hiszpański generał wyraźnie traktował Harry'ego z rezerwą. Zrozumiał, że Hillgarth miał rację; to, że nie odezwał się ponownie do Milagros, zostało potraktowane jako policzek. Ale nie miał zamiaru udawać, że między nim a dziewczyną może coś zająć, tylko po to, by uszczęśliwić kilku szpicli. Cieszył się, że był piątek i tydzień się kończył. Kiedy wrócił do domu, na wycieraczkę leżała odpowiedź od Sofii. Odpisała mu w dwóch liniijkach, że zgadza się na spotkanie następnego wieczoru. Zdziwił się, jak bardzo serce podskoczyło mu z radości. Kawiarnia była nieduża, jasna i nowoczesna. Gdyby nie portret Franco na ścianie za barem mogłaby być gdziekolwiek w Europie. Przyszedł trochę wcześniej, ale Sofia już była, siedziała przy stoliku z filiżanką kawy. Była ubrana w ten sam czarny płaszcz, który miała na sobie, kiedy przyprowadził Enrique do mieszkania. W jasnym świetle zauważył, że jest trochę wytarty. Nie miała makijażu, a jej łagodna twarz była blada. Wyglądała o wiele młodziej i zdawała się zupełnie bezbronna. Kiedy podszedł, spojrzała na niego z uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie czekała pani zbyt długo - powiedział.
- Byłam tu za wcześnie, pan przyszedł o czasie. - Jej uśmiech był inny niż przedtem, otwarty i przyjacielski, może i trochę znaczący.
- Zamówię pani nową kawę.
- Enrique ma się o wiele lepiej - powiedziała, kiedy Harry wrócił z kawą i usiadł. - W przyszłym tygodniu ma zamiar zacząć znowu szukać pracy.

Harry uśmiechnął się cierpko.

- Nowej pracy.
- O tak. Jakiejś pracy fizycznej, jeśli mu się uda ją dostać.
- Czy... ministerstwo płaciło mu, kiedy był chory?

Na moment jej uśmiech stał się cyniczny.

- Nie.
- Mam paragon. - Harry poszedł do przychodni i zapłacił, tak jak obiecał.
- Dziękuję. - Sofia ostrożnie złożyła papier i schowała do kieszeni.
- Jeżeli będzie miał znowu jakieś kłopoty, z chęcią pomogę.
- Teraz już wyzdrowieje.
- To dobrze.

- Tak jak napisałam w liście, uratował mu pan życie. Będziemy panu dozgonnie wdzięczni.
- Naprawdę nic takiego. - Harry uśmiechnął się i zamilkł. Nie wiedział, co powiedzieć.
- Czy ktoś go - Sofia uniosła znacząco brwi - zastąpił?
- Dzięki Bogu, nie. Zostawili mnie w spokoju. Nie jestem zbyt ważną osobą. Tylko zwykłym tłumaczem. Zapaliła papierosa, odchyliła się do tyłu i obserwowała go. Na jej twarzy malowała się dociekliwość, ale nie wrogość ani podejrzliwość. Poza swoim mieszkaniem była o wiele bardziej zrelaksowana.
- Wraca pan do domu, do Anglii? - spytała. - Na święta?
- Święta. - Zaśmiał się. - W ogóle o nich nie pomyślałem.
- Ledwie za sześć tygodni. W Anglii z pewnością święta są ważne.
- To prawda. Ale wątpię, czy wrócę do domu. W ambasadzie w tej sytuacji potrzebują wszystkich. Do dyplomacji. - Zastanawiał się, skąd wiedziała o angielskich świętach. Może od tego chłopaka z Leeds, którego poznała w czasie wojny domowej. Po raz kolejny pomyślał, czy był jej kochankiem. Ile ona mogła mieć lat. Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia sześć?
- Więc nie spędzi pan świąt z rodzicami.
- Moi rodzice nie żyją.
- To przykre.
- Mój ojciec zginął w pierwszej wojnie, a matka umarła zaraz po, podczas epidemii grypy.

Sofia skinęła głową.

- Tak. Hiszpania nie walczyła w pierwszej wojnie, ale dopadła nas później epidemia. To przykre stracić oboje rodziców.
- Mam ciotki i stryjka oraz kuzyna. Od niego dowiaduję się o szczegółach życia w kraju.
- O bombardowaniach?
- Tak. Są ciężkie, ale nie aż tak, jak twierdzi tutejsza propaganda. - Kiedy spostrzegł, że słysząc te słowa, rozejrzała się szybko wokół, przeklął sam siebie, że zapomniał o wszechobecnych w tym kraju szpiclach. - Przepraszam - powiedział.

Posłała mu swój sardoniczny uśmiech, dziwnie atrakcyjny.

- Nikt nie siedzi w zasięgu słuchu. Specjalnie wybrałam stolik na tyłach kawiarni.
- Rozumiem.
- Ma pan jeszcze kogoś innego w kraju? - spytała. - Na przykład żonę?

Zaskoczyła go jej bezpośredniość.

- Nie, nikogo. Nikogo.
- Proszę mi wybaczyć moje pytanie, musiałam wydać się bezczelna. Pewnie to nie jest pytanie, jakiego spodziewał się pan po hiszpańskiej kobiecie.
- Nie mam nic przeciwko bezpośredniości - powiedział. Spojrzał w jej duże brązowe oczy. - To odmiana po pracy w ambasadzie. Poszedłem dwa tygodnie temu na przyjęcie, które z okazji osiemnastych urodzin córki wydał pewien pracownik rządu. Było tak sztywno, że można było umrzeć. Biedna dziewczyna - dodał.
- Ja byłam inaczej wychowywana. - Sofia wypuściła kłęb dymu.
- Naprawdę?
- Po republikańsku. Mój ojciec był republikaninem, jego rodzina też. Bogaci cudzoziemcy wyobrażają sobie Hiszpanię jako kraj starych kościołów, walk byków i kobiet w koronkowych mantylkach, ale mamy tu też zupełnie inne tradycje. W mojej rodzinie uważaliśmy, że kobiety powinny być równe mężczyznom. Wychowano mnie tak, bym wierzyła, że jestem tyle samo warta co mężczyźni. Przynajmniej matka tego mnie uczyła, mój ojciec miał trochę staroświeckie przekonania. Ale przynajmniej miał też dość godności, by się ich od czasu do czasu wstydzić.
- Czym się zajmował?
- Pracował w magazynie, wiele godzin za niewiele pieniędzy, jak ja.
- Wydaje mi się, że rodzina, którą poznałem tu w trzydziestym pierwszym, była podobna. Chociaż wtedy tego nie widziałem z tej strony. - Pomyślał o opowieści Barbary o Carmeli i jej osiołku.
- Lubił ich pan - powiedziała Sofia.
- Tak, to byli dobrzy ludzie. - Uśmiechnął się. - Pani rodzice też byli socjalistami?

Pokręciła głową.

- Mieliśmy przyjaciół wśród socjalistów, anarchistów i lewicowych republikańców. Ale nie wszyscy wstępowali do partii, bo tam dyskutowało się o komunistycznych albo anarchistycznych utopiach, podczas gdy większość ludzi chce spokoju, chleba i godności. Czyż tak nie jest?V

- To prawda.

Pochyliła się naprzód i spojrzała na niego w skupieniu.

- Trudno zrozumieć, jak się czuli ludzie tacy jak my, co oznaczało dla nas powstanie Republiki. Nagle zaczęliśmy się liczyć. Dostałam się do szkoły medycznej. Musiałam równocześnie pracować w barze, ale wszyscy byli pełni nadziei, wreszcie nadeszły zmiany, mieliśmy szansę na godne życie. - Uśmiechnęła się nagle. - Przepraszam pana, señor Brett, ale mnie czasem ponosi. Rzadko mam okazję porozmawiać o tamtych czasach.
- Proszę nie przepraszać. Łatwiej mi jest dzięki temu zrozumieć.

- Zrozumieć co?
- Hiszpanię. - Zawahał się. - Panią.

Spuściła wzrok. Sięgnęła po papierosy i zapaliła. Kiedy znowu na niego spojrzała, w jej oczach była niepewność.

- Być może będzie pan musiał wyjechać z Hiszpanii wcześniej, niż pan planował. Jeżeli Franco przystąpi do wojny.
- Mamy nadzieję, że tego nie zrobi.
- Wszyscy mówią, że Anglia da Franco, czego tylko sobie zażyczy, byleby nie wypowiedział im wojny. A co się wtedy stanie z nami?

Harry westchnął.

- Moi przełożeni pewnie by powiedzieli, że musimy za wszelką cenę powstrzymać Hiszpanię od przystąpienia do wojny, ale wiem, że nie mamy być z czego dumni. - Ku jego zaskoczeniu Sofia się uśmiechnęła.
- Ojej, przepraszam, strasznie się pan zasmucił. Tyle pan dla nas zrobił, a ja się z panem kłócę. Bardzo przepraszam.
- Proszę nie przepraszać. Mogę postawić pani jeszcze jedną kawę?

Pokręciła głową.

- Nie, niestety, muszę wracać. Mama i Paco czekają na mnie. Muszę kupić jedzenie, spróbować znaleźć gdzieś oliwę z oliwek.

Harry się zawahał. Ale wcześniej w wieczornej gazecie zobaczył afisz i postanowił, że ją zaprosi na przedstawienie, jeśli tylko spotkanie nie pójdzie źle.

- Lubi pani teatr? - zapytał nagle tak niezręcznie, że Sofia przez chwilę patrzyła na niego zdziwiona. - Przepraszam - dodał prędko- ale jutro wieczorem w teatrze Zara grają Makbeta. Zastanawiałem się, czy miałyby pani ochotę pójść. Chciałem zobaczyć tę sztukę po hiszpańsku.

Zawahała się, spojrzała na niego swoimi dużymi brązowymi oczami.

- Dziękuję, señor, ale chyba wolałabym nie.
- Szkoda - powiedział Harry. - Ja tylko chciałem... Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi. Nie mam żadnych przyjaciół wśród Hiszpanów.

Uśmiechnęła się, ale pokręciła głową.

- Señor, dobrze się z panem rozmawiało, ale żyjemy w zupełnie innych światach.
- Czy aż tak się różnimy? Czy jestem zbyt burzuj ski?

- W Żarze wszyscy będą ubrani w swoje najlepsze stroje. Ja nie mam takich ubrań jak oni. - Westchnęła i spojrzała na niego. - Kilka lat temu w ogóle bym się tym nie przejęła.

Harry się uśmiechnął.

- No właśnie.
- Mam jedną sukienkę, która może się nada...
- Bardzo proszę, chodźmy razem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Niech będzie, señor Brett. - Zaczerwieniła się. - Ale jako przyjaciele, dobrze?

Rozdział dwudziesty ósmy

Przez ostatni tydzień często padał zimny deszcz, czasem ze śniegiem. W drodze do kamieniołomu więźniowie brnęli przez lepkie czerwone błoto. Codziennie linia śniegu na widocznych daleko górach się obniżała.

Tego ranka panowało przejmujące zimno, było mokro. Grupa robotników stała w rzędach obok kamieniołomu, przytupując, by się rozgrzać, podczas gdy dwóch saperów zakładało laski dynamitu w długiej szczelinie biegnącej wzdłuż siedmiometrowej skalnej ściany. Sierżant Molina, który wrócił z przepustki, rozmawiał z kierowcą wojskowej ciężarówki. Przyjechały nią z Cuenki ładunki wybuchowe.

Bernie przypomniał sobie Agustina, który kilka dni wcześniej wyjechał na przepustkę. Wychodził z obozu podczas porannej zbiórki. Bernie widział, jak idzie przez plac z przerzuconym przez ramię tornistrem. Agustín przez krótką chwilę popatrzył mu w oczy, po czym odwrócił prędko głowę. Przeszedł przez otwartą bramę i zniknął za zakrętem drogi do Cuenki.

- To duży ładunek - wymamrotał Pablo. Komunistyczny kolega Berniego też był teraz w grupie pracującej w kamieniołomie. Był kiedyś górnikiem w Asturii i znał się na ładunkach wybuchowych. - Powinniśmy stać dalej, w powietrzu będą fruwać kamienie.

- Powinni byli dać ci założyć ładunki, amigo.

- Baliby się, że podłożyłbym je pod ciężarówkę, jak w Oviedo w trzydziestym szóstym.

- Gdybyśmy tylko mogli się do nich dorwać, co, Vicente?

- No. - Prawnik siedział obok nich na skale. Tego ranka pomagał Molinie przy robocie papierkowej. Gruby i leniwy sierżant awansował powyżej swoich możliwości, ledwo umiał pisać; prawnik był dla niego istnym darem bożym. Ale kiedy podkładano ładunki, Vicente został odesłany, by stać z innymi. Siedział z głową ukrytą w dłoniach. Jego choroba nosa pogarszała się; już nie starał się wciąż, by go jakoś wydmuchać, ale teraz wyglądało na to, że trucizna siedziała mu w zatokach. Nie mógł oddychać przez nos, a kichanie i połykanie śliny było dla niego strasznie bolesne.

- Odsunąć się! Dalej! - zawołał Molina. Więźniowie się cofnęli, a dwaj saperzy pobiegli w stronę ciężarówki; Molina i kierowca przyłączyli się do nich za pojazdem.

Rozległ się głuchy huk. Bernie się wzdrygnął, ale nie poleciały żadne kamienie. Zamiast tego cała ściana runęła, waląc się niczym uderzony przez falę zamek z piasku. Z miejsca eksplozji wyleciała chmura pyłu, powodując u wszystkich kaszel. Ze wzgórza zbiegło w podskokach przerażone stado zamieszkujących Tierra Muerta karłowatych jeleni.

Kiedy pył opadł, zobaczyli, że zawał odsłonił ukrytą za ścianą jaskinię, wysoką na około półtora metra. Saperzy zbliżyli się. Wyjęli latarki i schyleni weszli ostrożnie do środka. Przez chwilę panowała cisza, potem nagle rozległ się wrzask i mężczyźni wybiegli na zewnątrz. Gnali w stronę ciężarówki, na ich twarzach malowało się przerażenie. Więźniowie jak i strażnicy patrzyli na nich zdumieni.

Saperzy powiedzieli coś do Moliny, cicho i błagalnie. Gruby sierżant się roześmiał.

- ¿Qué diceis? ¡No es posible! ¡Estáis loco!
- To prawda! To prawda! Niech pan sam zobaczy.

Molina zmarszczył brwi, na jego twarzy widać było konsternację. Podeszedł z saperami do miejsca, gdzie stał Bernie i inni. Sierżant skinął na Vicente, który, chwiejąc się, wstał.

1 Co mówicie? Niemożliwe! Oszalesiście!

- Ay, prawniku, jesteś uczonym człowiekiem, no? Może ty zrozumiesz, co ten idiota mówi. - Skinął w stronę jednego z saperów, chudego pryszczatego chłopaka. - Powiedz mu, co widziałeś.

Chłopak przełknął ślinę.

- W tej jaskini są obrazy. Ludzie goniący zwierzęta, jelenie, a nawet słonie. To szaleństwo, ale właśnie to widzieliśmy.

Na twarzy Vicente pojawił się cień zainteresowania.

- Gdzie?
- Na ścianie, na ścianie!
- Kilka lat temu znaleziono coś podobnego we Francji. Malowidła jaskiniowe zrobione przez prehistorycznych ludzi.

Młody żołnierz się przeżegnał.

- Myślałem, że patrzymy na ściany piekła.

Molinie rozbłyły oczy.

- Czy mają jakąś wartość?
- Chyba tylko dla naukowców, sargento.

- Moglibyśmy je zobaczyć? - zapytał Bernie. - Mam dyplom uniwersytetu w Cambridge - skłamał. Molina pomyślał przez chwilę, po czym skinął głową. Bernie i Vicente poszli za nim w stronę jaskini. Saperzy ociągali się. Molina machnął w stronę tego, który z nimi rozmawiał.

- Pokaż im.

Mężczyzna przełknął ślinę, po czym wziął od swojego kolegi latarkę, podał ją Berniemu i niechętnie zaprowadził ich do wejścia. Więźniowie przyglądali się z zainteresowaniem.

Jaskinia była wąska, w powietrzu było duszno od pyłu. Vicente zaczął kaszleć, skrzywił się z bólu. Po kilku metrach korytarz otworzył się na szeroką, okrągłą jaskinię. Przed sobą w świetle latarek ujrzeli na ścianie, składające się z kresek postacie ludzi goniących olbrzymie zwierzęta, gęsto owłosione słonie o wielkich głowach, nosorożce, jelenie. Malowidła zrobiono czarną i jasnoczerwoną farbą, w świetle latarek wydawały się skakać i tańczyć. Jedna ściana jaskini była w całości nimi pokryta.

- O rany... - wyszeptał Bernie.- Jak we Francji - powiedział cicho Vicente. - Widziałem je w jakimś piśmie. Nie miałem pojęcia, że malowidła mogą wydawać się takie... żywe. Señor, dokonał pan ważnego odkrycia.

- Kto je namalował? - zapytał z niepokojem żołnierz. - Po co malować obrazy w ciemności?

- Nikt nie wie, soldado. Może używali ich do obrzędów religijnych.

Saper niespokojnie powiodł światłem latarki po jaskini, oświetlając stalagmity i litą skałę.

- Ale przecież tu się nie da wejść - powiedział niespokojnie.

Bernie wskazał na leżącą w kącie bezładną stertę kamieni.

- Popatrz, może kiedyś było tam wejście, ale zostało zasypane.

- A te malowidła czekały przez tysiąclecia w ciemnościach - powiedział szeptem Vicente. - Są starsze niż Kościół, starsze niż Chrystus.

Bernie znowu spojrzał na obrazki.

- Są cudowne - powiedział. - Wyglądają, jakby namalowano je wczoraj. Popatrzcie, włochate mamuty. Oni polują na mamuty. - Roześmiał się zachwycony.

- Chciałbym już sobie pójść. - Saper odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Bernie po raz ostatni oświetlił latarką goniącą potężnego jelenia grupę namalowanych kreskami postaci, po czym się odwrócił.

Na zewnątrz saper i Vicente poszli porozmawiać z Moliną. Strażnik ruchem karabinu nakazał Berniemu wrócić do reszty więźniów, którzy wciąż stali w nierównych rzędach. Wielu trzęsło się z zimna i wilgoci.

- ¿Qué pasó?i - zapytał Berniego Pablo.

- Odkryliśmy malowidła jaskiniowe - powiedział. - Zrobione przez prehistorycznych ludzi.
- ¿De verdad?2. Jak wyglądały?
- Były niesamowite. Mają wiele tysięcy lat.
- Czasy prymitywnego komunizmu - powiedział Pablo. - Nim powstały klasy społeczne. Powinny zostać przebadane.

1 Co się stało?

2 Naprawdę?

Wrócił do nich Vicente. Idąc po nierównym gruncie, dyszał, a jego chrapliwy oddech brzmiał jak odgłos papieru ściernego trącego o twardą powierzchnię.

- Co powiedział Molina? - zapytał Bernie.
- Zgłosi to komendantowi. Przenoszą nas na drugą stronę wzgórza, wysadzą inne miejsce. - Zakaszał, jego czoło pokryło się kroplami potu. - Uch, czuję się, jakbym płonął. Gdybym tylko mógł napić się trochę wody.

Do jaskini podszedł żołnierz. Przeżegnał się, po czym stanął przy wejściu na straży.

Tego wieczoru podczas kolacji Vicente poczuł się jeszcze gorzej. W słabym świetle olejnych lamp Bernie widział, że prawnik ma dreszcze i bardzo się poci. Przy każdym łyku kleiku z ciecierzycy krzywił się z bólu.

- Dobrze się czujesz?

Vicente nie odpowiedział. Odłożył łyżkę i ukrył twarz w dłoniach.

Drzwi chaty, w której mieściła się stołówka, otworzyły się i stanął w nich Aranda, a za nim Molina, z miną winowajcy. Za nimi pojawiła się wysoka, surowa postać ojca Jaime w sutannie, stalowosiwe włosy miał zaczesane na bok. Siedzący przy stołach mężczyźni poruszyli się niespokojnie, kiedy Aranda spojrzał na nich surowo.

- Dziś w kamieniołomie - powiedział donośnym głosem - grupa sierżanta Moliny dokonała odkrycia. Ojciec Jaime chce wam coś powiedzieć na ten temat.

Ksiądz skinął głową.

- Te bazyliki jaskiniowców na skałach są pogańskie, powstały, nim światło Chrystusa rozjaśniło świat. Powinny pójść w zapomnienie, powinny zniknąć. Jutro w jaskini zostaną podłożone nowe ładunki i malowidła zostaną zniszczone. Jeżeli ktoś choćby o nich wspomni, zostanie ukarany. To tyle.
- Skinął w stronę Arandy, spojrzał nieprzychylnie na Molinę i wyszedł zamaszystym krokiem, a oficerowie podążyli za nim.

Pablo nachylił się do Berniego.

- To sukinsyn. To część dziedzictwa kulturowego Hiszpanii.

- Ci ludzie są jak Goci i Wandalowie, co, Vicente? - Bernie trącił prawnika łokciem.

Vicente jęknął i osunął się na stół, uderzając głową w blat. Jego blaszana miska spadła z brzękiem na podłogę. Podbiegł do niego strażnik Arias, nieczuły i brutalny młody rekrut.

- ¿Qué pasa aquí?i - Potrzęsnał Vicente za ramię. Prawnik zajęczał.
- Zemdłał - powiedział Bernie. - Jest chory, potrzebuje pomocy.

Arias chrząknął z niezadowoleniem.

- Zabierz go do chaty. No już, bierz go. Teraz przez was będę musiał wyjść na dwór w to zimno.
- Nie przestając narzekać, włożył płaszcz.

Bernie podniósł Vicente. Był lekki, sama skóra i kości. Prawnik próbował stanąć, ale nogi za bardzo się pod nim trzęsły. Bernie pomógł mu wyjść ze stołówki, strażnik podążył za nimi. Przeszli niepewnym krokiem przez plac pokryty zamarzającymi kałużami, błyszczącymi w świetle reflektorów z wież wartowniczych.

W chacie Bernie położył Vicente na pryczy. Prawnik był półprzytomny, zlany potem, ciężko dyszał. Arias przyjrzał się jego twarzy.

- Chyba czas wezwać księdza.
- Nie, jeszcze nie jest z nim tak źle - powiedział Bernie. - Już miewał takie napady.
- Mam obowiązek wezwać księdza, jeśli któryś z więźniów umiera.
- On jest tylko chory. Niech pan wezwie ojca Jaime, jeśli pan chce, ale widział pan, w jakim jest humorze.

Arias się zawahał.

- W porządku. Zostaw go, chodź. Wracamy do stołówki.

Kiedy więźniowie wrócili po posiłku do chaty, Vicente odzyskał przytomność, ale wyglądał znacznie gorzej.

- Co się stało? - zapytał. - Zemdlałem?
- Tak. Powinieneś odpocząć.

1 Co tu się dzieje?

- Głowa mi płonie. Jest pełna trucizny.

Na pryczy naprzeciwko leżał Establo i obserwował ich, jego żółta, pokryta strupami twarz w świetle tojowej świecy była przerażająca.

- ¡Ay, compadre! - zawołał. - Widziałeś malunki tych prehistorycznych ludzi. Jak wyglądali? Wspaniali ludzie, co? Prymitywni komuniści.
- Tak, Establo, to byli wspaniali ludzie. Polowali na włochate słonie.

Establo spojrział na niego uważnie.

- Jak słonie mogą być włochate? Nie nabijaj się ze mnie, Piper.

Następnego dnia była niedziela. W chacie, która służyła za kościół, odbywała się msza. Przykryty białym obrusem stół na kozłach służył za ołtarz. Więźniowie przesiadali mszę, tak jak zwykle wielu zasnął. Gdyby odprawiał ją ojciec Jaime, kazałby strażnikowi obudzić ich dźwiękiem, ale ojciec Eduardo pozwalał im spać. Kazania Jaime traktowały zwykle o ogniu piekielnym i zemście, podczas gdy ojciec Eduardo opowiadał o świetle Chrystusa i radości, którą może przynieść skrucha. W jego głosie prawie słychać było błaganie. Bernie przyglądał mu się z uwagą.

Po mszy każdy, kto chciał, mógł porozmawiać z księdzem, chociaż niewielu z tego korzystało. Kiedy więźniowie wychodzili, Bernie ociągał się chwilę, po czym powiedział coś szeptem do strażnika. Żołnierz spojrział na niego zdziwiony i zaprowadził go do małego pokoju na tyłach chaty.

Bernie zawstydził się, wchodząc do pokoju księdza. Ojciec Eduardo zdjął swoją szatę i był znowu ubrany tylko w czarną sutannę. Miał młodą, okrągłą twarz, wyglądał jak dobrze wyszorowany dzieciak. Uśmiechnął się nerwowo do Berniego i gestem wskazał mu krzesło przy biurku.

- Buenos dias. Proszę usiąść. Jak się pan nazywa?
- Bernie Piper, chata numer osiem.

Ksiądz przyjrzał się liście.

- Ach tak, Anglik. Jak mogę ci pomóc, synu?
- Przyjaciel w mojej chacie jest bardzo chory. Vicente Medina.
- Tak, wiem, o kogo chodzi.
- Gdyby sprowadzić lekarza, można by mu pomóc.

Ksiądz pokręcił ze smutkiem głową.

- Władze nie chcą się zgodzić, by przyszedł tu doktor. Próbowałem, bardzo mi przykro.

Bernie pokiwał głową. Spodziewał się podobnej odpowiedzi. Przemyślał jeszcze raz słowa, które powtarzał sobie podczas mszy.

- Czy sądzi pan, że nawracanie siłą jest złe?

Ksiądz się zawahał.

- Tak. Kościół uczy nas, że nieszczerze przyjęcie wiary chrześcijańskiej, czcze wygłoszenie formuły, jest nieważne.
- Vicente jest starym lewicowym republikaninem. Wie pan, że to zagorzali ateści.

Twarz księdza stężała.

- Wiem. Mój kościół został spalony przez tłum w trzydziestym pierwszym. Policja dostała rozkaz, by nie reagować. Lewicowy republikanin Azaña powiedział, że wszystkie kościoły w Hiszpanii nie były warte życia jednego republikanina.

- Vicente już nic nie może panu zrobić. - Bernie wziął głęboki oddech. - Chcę, by pozwolił mi pan umrzeć w spokoju, kiedy przyjdzie na niego czas. Proszę nie próbować udzielić mi ostatnich namaszczeń. Przy jego przekonaniach to byłaby farsa.

Ojciec Eduardo westchnął.

- Wierzycie, że zmuszamy umierających ludzi, by się nawrócili?

- A tak nie jest?

- Musimy wydawać się wam potworni. - Ojciec Eduardo spojrzał uważnie na Berniego. Jego grube okulary powiększały jego oczy tak, że zdawały się pływać za szklami. - Nie zostałeś wychowany na katolika, Piper?

- Nie.

- Widzę, że jesteś komunistą.

- Tak. - Bernie zamilkł na chwilę. - Chrześcijanie wierzą w przebaczenie, prawda? - To podstawa naszej wiary.

- Dlaczego w takim razie nie możecie wybaczyć Vicentemu tego, co zrobiła jego partia, i nie zostawicie go w spokoju?

Ojciec Eduardo uniósł dłoń.

- Nic nie pojmujesz. - W jego głosie pojawiła się znowu błagalna nuta. - Proszę, spróbuj nas zrozumieć. Jeżeli człowiek umrze, odrzucając Kościół, trafia do piekła. Ale jeśli okaże skruchę i poprosi o wybaczenie, nawet na samym końcu, nawet jeżeli wiódł bardzo złe życie, Bóg mu przebaczy. Kiedy człowiek leży na łożu śmierci, to ostatnia okazja, by zbawić jego duszę, bo człowiek wtedy jest na skraju wieczności. Czasami dopiero w tym momencie po raz pierwszy naprawdę widzi swoje życie i swoje grzechy i kieruje się ku Bogu.

- Człowiek w takiej chwili jest najsłabszy, najbardziej przerażony. A wy wiecie, jak to wykorzystać. A co, jeśli człowiek przyjmuje ostatni sakrament jedynie ze strachu?

- Tylko Bóg wie, czy naprawdę wykazał skruchę.

Bernie zrozumiał, że przegrał. Nie docenił tego, jak bardzo ksiądz był pogrążony w zabobonie. Jego wrodzone współczucie było ledwie cieniem tego, co działo się w jego duszy.

- Ma pan na wszystko odpowiedź, prawda? - zapytał znużonym głosem. - Swoją zapętloną i pokrętną logikę?

Ojciec Eduardo uśmiechnął się smutno.

- Mógłbym powiedzieć to samo o twojej wierze. O gmachu, który wznosił Karol Marks.

- Moje przekonania są poparte naukowo.
- Doprawdy? Słyszałem o jaskini, którą odkryto na wzgórzach, o prehistorycznych malowidłach. Przedstawiały ludzkie postacie polujące na zwierzęta, które wyginęły, prawda?
- Tak. Są prawdopodobnie bezcenne, a wy zamierzacie je zniszczyć.
- Nie ja podjąłem tę decyzję. Ale wierzysz, że ci ludzie żyli jak komuniści, prawda? Prymitywny komunizm, pierwszy etap dialektyki historycznej. Widzisz, czytałem Marksa. Ale to tylko wiara, nie można wiedzieć, jak ci ludzie żyli naprawdę. Ty też żyjesz wiarą; fałszywą wiarą.

Bernie poczuł się znowu jak u psychiatry. Chciał zranić księdza, rozżłościć go, tak jak lekarza.

- Tu nie chodzi o jakieś intelektualne gierki. Jesteśmy w miejscu, gdzie chorym ludziom odmawia się lekarza i gdzie zaharowuje nas na śmierć rząd popierany przez Kościół.

Ksiądz westchnął.

- Piper, nie jesteś Hiszpanem, jak możesz naprawdę zrozumieć wojnę domową? Miałem przyjaciół księży, których wojna zaskoczyła w strefie republikańskiej. Torturowano ich, niektórych rozstrzelano, innych zrzucono w przepaść.
- Więc mścicie się na nas. Myślałem, że chrześcijanie mają być lepsi od innych ludzi. - Zaśmiał się gorzko. - Jak to jest w Biblii: „Po ich owocach ich poznacie”.

Ojciec Eduardo nie zdenerwował się, jego twarz była wciąż smutna i zatroskana.

- Jak myślisz, jak my się czujemy, ojciec Jaime i ja - zapytał cicho - pracując z ludźmi, którzy zabijali naszych przyjaciół? Myślisz, że dlaczego to robimy? Z dobrego serca, próbujemy zbawić tych, którzy nas nienawidzą.
- Wie pan, że jeśli to ojciec Jaime przyjdzie do Vicente, będzie czerpał z tego przyjemność. To jego zemsta. - Wstał. - Przepraszam, czy mogę już iść?

Ojciec Eduardo uniósł dłoń, po czym opuścił ją, jakby był zmęczony.

- Tak. Idź.

Bernie się odwrócił.

- Będę się modlił za twojego przyjaciela - powiedział ojciec Eduardo. - Za jego powrót do zdrowia.

Tego samego wieczoru Establo zarządził zebranie komórki. Wokół pryczy Pabla w najdalszym kącie chaty zebrało się dziesięciu komunistów.

- Musimy wzmocnić naszą marksistowską wiarę - powiedział Establo. Bernie spojrzał mu w oczy, słysząc to słowo. Twarz Establav była surowa, sroga. - Odkrycie tych malowideł skłoniło mnie do myślenia. Powinniśmy mieć zajęcia z marksistowskiego pojmowania historii, rozwoju walki klas przez wieki. Czegoś, co nas zwiąże ze sobą mocniej. Potrzebujemy tego, nadchodzi kolejna zima.

Jeden czy dwóch skinęło głową, ale reszta wydawała się zmęczona. Pierwszy odezwał się Miguel, stary tramwajarz z Walencji.

- Jest za zimno, żeby siedzieć po ciemku i rozmawiać.
- A co, jeśli odkryją nas strażnicy? - powiedział Pablo. - Albo ktoś doniesie?
- Kto będzie prowadził zajęcia? - zapytał Bernie. - Ty? - Czuł, że zgromadzenie nie było przychylnie Establowi; powinien był to zaproponować wcześniej, nim zimne wieczory spowodowały, że ludzie zaczęli zamykać się w sobie.

Pokrytą strupami twarz zwrócił w stronę Berniego, płonął gniewem.

- Tak. Jestem przywódcą tej komórki.
- Towarzysz Establo ma rację - powiedział Pepino, młody robotnik rolny o zapadniętych policzkach. - Musimy pamiętać, kim jesteśmy.
- Ja na przykład nie mam siły słuchać, jak towarzysz Establo wyklada nam historyczny materializm.
- Powziąłem decyzję, towarzyszu - powiedział groźnie Establo.
- Zostałem wybrany, to ja podejmuję decyzje. Na tym polega centralizm demokratyczny.
- Nieprawda, będę posłuszny twoim rozkazom będącym w sprzeczności z wolą tego zebrania dopiero, jeśli nakaże mi tak powołany zgodnie z zasadami Komitet Centralny Komunistycznej Partii Hiszpanii, nie wcześniej.
- Nie ma już komitetu centralnego - powiedział ze smutkiem Pepino. - Nie w Hiszpanii.
- Właśnie.
- Uważaj na to, co mówisz, Ingles - powiedział cicho Establo.
- Znam twoją przeszłość. Syn robotnika, który poszedł do szkoły dla arystokratów, arríste1.

i Nuworysz.- A ty jesteś drobnym burzujem, pijanym władzą - odciął się Bernie. - Wydaje ci się, że wciąż jesteś brygadzystą w fabryce. Jestem lojalny wobec partii, ale ty nie jesteś partią.

- Mogę wyrzucić cię z tej komórki.

Bernie zaśmiał się cicho.

- Też mi komórka. - Od razu zorientował się, że nie powinien był tego powiedzieć, bo przez to inni zwrócą się przeciwko niemu, ale kręciło mu się w głowie ze zmęczenia i gniewu. Wstał i wrócił do łóżka. Położył się i słuchał dochodzącego z drugiego końca sali szmeru rozmów. Ktoś krzyknął, żeby byli cicho, bo ludzie śpią. Chwilę potem zatrzeszczała pryzma Establa. Usłyszał, jak się drapie, poczuł na sobie jego spojrzenie.

- Mamy zamiar przedyskutować twój przypadek, compadre - powiedział cicho Establo. Bernie nie odpowiedział. Słuchał chrapliwego, bulgoczącego oddechu Vicente. Chciało mu się wyć z żalu i

wściekłości. Przypomnił sobie słowa Agustina, nad którymi tyle rozmyślał. Lepsze czasy. Nie, pomyślał, cokolwiek miałeś na myśli, myliłeś się.

W nocy nie mógł zasnąć. Leżał na pryczy, było mu zimno. Nie przewracał się z boku na bok, ale patrzył przed siebie, w ciemność. Przypomnił sobie, jak kiedyś teorie londyńskiej partii komunistycznej na temat praw rządzących walką klasową wydały mu się objawieniem, nareszcie ktoś wyjaśnił mu działanie świata. Po odejściu z Cambridge z początku pomagał rodzicom w sklepie, ale dusił się z powodu depresji ojca i ciągłych narzekań matki rozczarowanej tym, że porzucił studia. Odszedł z domu i wynajął pokój nieopodal.

Kontrast między bogactwem Cambridge a podłym ubóstwem wschodnich dzielnic Londynu, gdzie na ulicach siedzieli bezrobotni i gdzie tliło się zarzewie lokalnego faszyzmu, rozgniewał go jeszcze bardziej. Miliony ludzi były bezrobotne, a Partia Pracy nic nie robiła. Pozostał w kontakcie z rodziną Mera; Republika okazała się rozczarowaniem, rząd odmówił podniesienia podatków na sfinansowanie reform, bojąc się rozzłościć klasę średnią. Jego kolega zaprowadził go na spotkanie komunistów i od razu poczuł, że to była prawda, to właśnie pokazywało, jak działa świat.

Zapoznał się z dziełami Marksa i Lenina; surowy styl z początku sprawiał, że trudno się je czytało, a były zupełnie inne od wszystkiego, co dotąd poznał. Kiedy zrozumiał ich sposób analizowania, dojrzał całkowitą, żelazną - jak powiedział jego nauczyciel - realność walki klas. Tylko komuniści byli wystarczająco bezwzględni, by zniszczyć faszyzm, podjętą przez kapitalizm ostatnią próbę oddalenia własnego unicestwienia. Bernie harował dla partii, sprzedając w strugach deszczu przed bramami fabryk ich gazetę „Daily Worker”, obsługując na wpół puste sale, w których odbywały się spotkania. Wielu miejscowych członków partii pochodziło z klasy średniej, byli członkami bohemy artystycznej i intelektualnej. Wiedział, że dla wielu z nich komunizm był tylko przelotną modą, aktem buntu, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że lepiej czuł się z nimi niż z innymi robotnikami. Jego akcent chłopaka z prywatnej szkoły sprawiał, iż uznawali go za swojego. To jeden z nich, rzeźbiarz, znalazł Berniemu pracę modela. Ale wciąż była w nim jakaś cząstka, która czuła się pozbawiona korzeni, samotna, ani proletariacka, ani burżuazyjna, jakby był oderwanym od innych mieszkańcem.

W lipcu 1936 roku hiszpańskie wojsko zbuntowało się przeciwko rządowi Frontu Ludowego i rozpoczęła się wojna domowa. Jesienią komuniści zaapelowali o zgłaszanie się ochotników. Bernie poszedł do siedziby partii na King Street i wpisał się na listę.

Musiał czekać. Formowanie Brygad Międzynarodowych, ustalanie tras przerzutu oraz punktów zbornych zabierało czas. Zrobił się niecierpliwy. Po kolejnej bezowocnej wizycie w kwaterze głównej po raz pierwszy i ostatni odmówił posłuszeństwa partii. Spakował się i nie mówiąc nikomu ani słowa, poszedł na dworzec Victoria i złapał pociąg nad morze.

Do Madrytu przybył w listopadzie; Franco dotarł do Casa de Cam-po, ale tam jego wojska zostały zatrzymane, mieszkańcy Madrytu powstrzymali hiszpańską armię. Panowało przenikliwe zimno, ale obywatele, którzy pięć lat temu wydawali się ponurzy i apatyczni, byli pełni życia. Wszędzie widać było oznaki rewolucyjnego ferworu i gorący entuzjazm. Na front jeździły codziennie tramwaje i ciężarówki z napisem kredą ¡Abajo fascismo!, pełne robotników w niebieskich kombinezonach i czerwonych chustach.

Powinien był zgłosić się do kwatery głównej partii, ale kiedy jego pociąg przyjechał na dworzec, było już późno, więc udał się prosto do Carabanchel. W rogu placu, przy którym mieszkała rodzina Mera, grupa kobiet i dzieci wyrwała bruk i budowała barykadę. Na widok cudzoziemca unieśli w pozdrowieniu zaciśnięte pięści.

- ¡Salud, compadre!

- ¡Salud! ¡Unios hermanos proletarios! - Bernie pomyślał, że pewnego dnia tak samo będzie w Anglii.

Napisał do Pedra, więc wiedzieli, że przyjedzie, chociaż nie znali dokładnej daty. Drzwi do mieszkania otworzyła Ines. Była zmęczona i znużona, jej twarz okalały zmierzwiłone siwe włosy. Kiedy go zobaczyła, rozpromieniła się.

- Pedro! Antonio! - zawołała. - Przyjechał!

Na stole w salonie leżał rozłożony na części stary karabin z olbrzymią lufą. Pedro i Antonio stali przy nim i obracali w dłoniach części. Byli zakurzeni i nieogoleni, kombinezony mieli pobrudzone ziemią. Francisco, chory na suchoty syn, siedział na krześle i obserwował ich. Po pięciu latach nie wydawał się ani trochę starszy, jak zawsze, był blady i chudy. Na kolanach siedziała mu ośmioletnia Carmela.

Pedro wytarł ręce w kawałek gazety i podszedł, by go uściskać.

- Bernardo! O Boże, ale wybrałeś dzień, żeby do nas przyjechać. - Wziął głęboki wdech. - Antonio i ja jedziemy jutro na front.

- Próbuję wyczyścić ten stary karabin, który mi dali - powiedział z dumą Antonio.

Ines zmarszczyła brwi.

1 Precz z faszyzmem!; Witaj, towarzyszu! Witajcie! Zjednoczeni proletariacy bracia!

- Ale nie wie, jak go z powrotem złożyć!

- Może będę mógł pomóc. - Bernie w Rookwood uczęszczał na zajęcia z podstaw szkolenia oficerskiego. Pamiętał, jak inni uczniowie złościли się, kiedy mówił, że wiedza wojskowa może się przydać, gdy nadszynie rewolucja. Pomógł im złożyć z powrotem karabin. Sprzątnęli ze stołu i Ines przyniosła kolację.

- Przyjechałeś pomóc nam zabić faszystów? - zapytała Carmela. Miała oczy szeroko otwarte z podniecenia i ciekawości.

- Tak - odparł Bernie, kładąc jej rękę na głowie. Zwrócił się do Pedra. - Powinienem jutro zgłosić się do kwatery głównej partii.

- Do komunistów? - Pedro pokręcił głową. - Mamy teraz wobec nich dług wdzięczności. Gdyby tylko Brytyjczycy i Francuzi zgodzili się sprzedać nam broń.

- Stalin wie, jak prowadzić rewolucyjną wojnę.

- Razem z ojcem całe popołudnie kopaliśmy okopy - powiedział poważnie Antonio. - Potem dali mi ten karabin i kazali dobrze się wyspać, a jutro wyślą mnie do boju.

Bernie spojrzał na chudą, chłopięcą twarz Antonia. Wziął głęboki oddech.

- Myślisz, że znajdzie się karabin i dla mnie?

Antonio spojrzał na niego poważnie.

- Tak. Potrzebują każdego, kto potrafi trzymać broń w rękach.

- Kiedy macie się zgłosić?

- O świcie.

- Pójdę z wami. - Bernie poczuł, że serce zabiło mu mocniej z podniecenia i strachu. Chwycił Antonia za rękę, nagle zauważył, że się śmieje. Obaj śmiali się histerycznie.

Ale następnego ranka, kiedy wstał o świcie z Pedrem i Antoniem, bał się. Wyszli na zewnątrz. Bernie słyszał w pewnej odległości huk artylerii. Zadrzał z zimna w lodowatym powietrzu szarego poranka. Antonio dał mu czerwoną chustkę. Był ubrany w spodnie i kurtkę, w których przyjechał, chustkę obwiązał sobie wokół szyi. Na Puerta del Sol ubrani w wojskowe mundury oficerowie ustawiali ludzi w szeregi i prowadzili do stojących w kolumnie tramwajów. Kiedy wyjechali poza centrum, atmosfera zrobiła się napięta, żołnierze ściskali kolanami karabiny. Z początku jazda była normalna, ale im byli dalej na wschód, tym mijali więcej żołnierzy i wojskowych ciężarówek. Kiedy tramwaj zatrzymał się ze zgrzytem na skraju Casa de Campo, Bernie usłyszał urywane odgłosy strzałów. Serce waliło mu szaleńczo, kiedy sierżant rozkazał im wysiadać.

Wtedy Bernie zobaczył ciała, kilku mężczyzn leżących rzędem na chodniku. Nie pierwszy raz widział zwłoki - przed pogrzebem trumna z jego babką została wystawiona w pokoju na tyłach sklepu - ale ci ludzie o twarzach tak szarych i spokojnych, jak kiedyś jej twarz, byli młodzi. Jeden chłopak miał na środku czoła okrągłą czarną dziurę, pod którą, jak łaża, zastygła pojedyncza kropla krwi. Serce waliło Berniemu jak młotem, kiedy za Pedrem i Antoniem wszedł w tłum ochotników.

Pedro został przydzielony do drużyny kopaczy, podczas gdy Bernie, Antonio i dwudziestu innych, niektórzy uzbrojeni w karabiny, a niektórzy nie, dostali rozkaz pójścia za sierżantem do na wpół skończonego okopu. Kopacze wstrzymywali pracę, by ich przepuścić. Po stronie Casa de Campo ustawiono ścianę z worków z piaskiem, słychać było z tamtego kierunku strzały. Panował chaos: ludzie biegali w tę i z powrotem, ciężarówki ślizgały się i zakopywały w błocie. Mężczyźni niepewnie oparli się o worki.

- Jezu - powiedział Bernie do Antonia. - To nie jest armia.

- Tylko tyle mamy - odrzekł Antonio. - Masz, придержи, mam zamiar tylko rzucić okiem... - Obok nich stała drabina i nim Bernie zdążył go powstrzymać, zaczął się po niej wspinać.

- Przestań, ty kretynie, trafią cię. - Bernie przypomniał sobie opowieści ojca o tysiącach rekrutów, którzy zginęli na zachodnim froncie w czasie wielkiej wojny tylko dlatego, że postanowili wyjrzeć z okopów.

Antonio oparł ręce o szczyt worków z piaskiem.

- Nie bój się, nie widzą mnie. Chryste, mają tam artylerię polową i w ogóle. Nic się nie porusza...Bernie zaklął, odłożył karabin i wspiął się po drabinie. Chwycił Antonia w pasie.

- Złaź!

- Nie bój się.

Bernie zrobił kolejny krok i złapał Antonia za bark. W tym momencie snajper strzelił. Kula minęła głowę Antonia i trafiła Berniego w ramię. Krzyknął i obaj stoczyli się po drabinie do okopu. Bernie zobaczył, że kurtka nasiąka mu krwią, po czym stracił przytomność.

Hiszpański komisarz przyszedł go odwiedzić w szpitalu polowym.

- Jesteście głupi - powiedział. - Powinniście byli najpierw zgłosić się do kwatery głównej; zostalibyście przeszkoleni.

- Moi przyjaciele powiedzieli, że w Casa de Campo potrzebują każdego. Przepraszam.

Komisarz chrząknął z niezadowoleniem.

- Teraz będziecie wyłączeni z akcji przez wiele tygodni. Będziemy też musieli was gdzieś zakwaterować, kiedy stąd wyjdziecie.

- Moi przyjaciele z Carabanchel się mną zaopiekują.

Mężczyzna spojrział na niego pytająco.

- Czy są członkami partii?

- Są socjalistami.

Mężczyzna chrząknął.

- Jak idzie walka? - spytał Bernie.

- Powstrzymujemy ich. Formujemy komunistyczną brygadę, zaprowadzamy trochę dyscypliny.

Bernie przekręcił się na bryczy, próbując rozgrzać stopy. Obok Vicente oddychał chrapliwie przez sen. Przypomniawszy sobie tygodnie rekonwalescencji w Carabanchel. Próby przekonania rodziny Mera do komunizmu spełzły na niczym. Mówili, że Sowieci niszczą Republikę, mówią o współpracy z postępową burżuazją, a sprowadzają własną tajną policję i szpiegów. Bernie twierdził, że historie o brutalności Sowiec były przesadzone, na wojnie trzeba być bezwzględny. Ale niełatwo kłócić się z weteranem, który od ponad trzydziestu lat brał udział w walce klasowej. Czasami zaczynał wątpić, czy to, co mówili o Sowietach, było wyłącznie kłamstwem, ale odsuwał od siebie podobne myśli; rozpraszały go, a w samym środku walki klas musiał być skoncentrowany.

Ale w tę zimną noc wątpliwości wróciły. Wtedy potrzebowali twardych ludzi, ale gdyby wygrali, czy ludzie pokroju Establa byłiby u władzy? Ksiądz Eduardo powiedział, że marksizm był fałszywą wiarą. Nigdy naprawdę nie zrozumiał materializmu dialektycznego i wiedział, że wielu komunistów również

go nie pojmowało; trudno było go zrozumieć. Ale komunizm nie był wiarą, nie przypominał katolicyzmu - jego korzenie tkwiły w rzeczywistości, w świecie materialnym.

Przewracał się z boku na bok. Próbował przestać myśleć o Barbarze, wspomnienia o niej były zbyt bolesne, ale wciąż widział jej twarz. Zawsze, kiedy o niej myślał, miał wyrzuty sumienia. Porzucił ją. Wyobraził ją sobie w Anglii, a może w Szwajcarii, otoczonej przez faszystowskie państwa. Twierdził, że Barbara nie rozumie różnych rzeczy; tej nocy zaczął się zastanawiać, ile naprawdę sam rozumie. Siłą przywołał w wyobraźni obraz, którym pocieszał się, gdy nie mógł zasnąć, scenę ze starej partyjnej kroniki filmowej z Londynu. Traktory jadące przez niekończące się radzieckie pola pszenicy, za traktorami szli robotnicy, zbierający ze śpiewem na ustach obfite plony.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Sandy spotkał się z Harrym wcześniej rano przed jego mieszkaniem. Był bezchmurny, zimny poranek, słońce świeciło nisko na błękitnym niebie. Sandy wysiadł ze swojego packarda i uścisnął Harry'emu dłoń. Miał na sobie gruby płaszcz z wielbłądziej wełny, szyję owinął jedwabnym szalikiem. Jego wybrylantowane włosy błyszcząły w słońcu. Był szczęśliwy, wyjście na dwór wcześniej rano napawało go radością.

- Co za wspaniały poranek! - powiedział, patrząc w niebo. - Zimą rzadko się tu takie zdarzają.

Wyjechali z Madrytu na północny zachód i wjechali w góry Guadarrama.

- Miałbyś ochotę przyjść znowu na kolację? - zapytał Sandy. - Tylko my dwaj i Barbara. Wciąż jest nie w sosie. Może to by ją trochę rozweseliło.

- Z przyjemnością. - Harry odetchnął głęboko. - Naprawdę jestem ci wdzięczny, że zgodziłeś się mnie w to zaangażować.

- Nie ma za co - odparł cicho Sandy protekcyjnym tonem. Uśmiechnął się.

Dotarli na szczyt górskiej drogi. Wznoszące się nad nimi wierzchołki najwyższych gór były już pokryte śniegiem. Zjechali w dół ku pustej, brunatnej równinie, przejechali przez Segowię i skręcili na zachód, w stronę Santa Maria la Real. Ruch był niewielki, krajobraz pusty i nieruchomy. Harry przypomniał sobie dzień, kiedy przyleciał, jazdę do Madrytu z Tolhurstem.

Po godzinie Sandy skręcił w pylistą drogę gruntową, która biegła zygzakami wokół niskich wzgórz.

- Obawiam się, że trochę nami potrząsie. Do kopalni jedzie się jeszcze pół godziny.

Odciski kopyt osłów na drodze mieszały się z głębokimi koleinami, zrobionymi przez ciężkie pojazdy. Samochód podskakiwał i trząsał się, ale Sandy prowadził pewnie.

- Od naszego ostatniego spotkania myślę o Rookwood - powiedział zamyślonym głosem. - Po tym, jak mnie wyrzucili, Piper wrócił do twojego pokoju, prawda? Napisałeś tak w Uście.

- Tak.

- Założę się, że cieszył się ze zwycięstwa.

- Nie wydaje mi się. O ile pamiętam, praktycznie w ogóle o tobie nie wspominał.

- Nie dziwię się, że został komunistą, zawsze miał w sobie coś z fanatyka. Patrzył na mnie tak, jakby najbardziej w świecie pragnął postawić mnie pod murem i rozstrzelać. - Pokręcił głową. - Wiesz, komuniści wciąż stanowią realne zagrożenie dla świata. AngUa powinna walczyć ze Związkiem Radzieckim, a nie z Niemcami. Myślałem, że po Monachium sprawy przybiorą właśnie taki obrót.

- Faszizm i komunizm są siebie warte.

- Daj spokój. Przynajmniej prawicowe dyktatury chronią ludzi takich jak my, dopóki ci ludzie nie wystąpią przeciw poUtyce partii. Tu prawie nie ma podatku dochodowego. Chociaż przyznaję, że walka z biurokracją potrafi być naprawdę dokuczliwa. Ale z drugiej strony władza musi nauczyć ludzi, kto tu rządzi. Na tym opierają się ich działania, chcą, by wszyscy przestrzegaU tych procedur, chcą nauczyć Hiszpanów porządku i posłuszeństwa.

- Ale urzędy są na wskroś skorumpowane.

- Harry, to Hiszpania. - Spojrzał na niego z ironią i sympatią jednocześnie. - W głębi duszy wciąż wierzysz w ideały Rookwood, prawda? Ciągłe przestrzegasz kodeksów honorowych?

- Do niedawna tak było. Teraz już sam nie jestem niczego pewien. - Kiedyś cię za to podziwiałem, wiesz. Ale to dobre dla uczniów, Harry, nie sprawdza się w prawdziwym życiu. Akademicy pewnie też żyją pod kloszem.

- Tak, masz rację. Dopiero tutaj otworzyły mi się oczy na niektóre sprawy.

- Na prawdziwy świat, co?

- Można tak powiedzieć.

- Harry, wszyscy potrzebujemy bezpiecznej przyszłości. Jeżeli tylko mi pozwolisz, mogę ci to załatwić. - W głosie Sandy'ego brzmiało coś jak błaganie o aprobatę. - A nie ma nic pewniejszego niż złoto, zwłaszcza w naszych czasach. O, jesteśmy.

Przed nimi znajdował się rozległy teren, otoczony wysokim drutem kolczastym. W żółtawej ziemi wykopano okazałych rozmiarów otwory, część z nich była do połowy wypełniona wodą. Nieopodal stały dwie mechaniczne koparki. Droga kończyła się przy bramie, za którą była drewniana chata. Kawalek dalej stały dwie kolejne chaty, jedna z nich dosyć znacznych rozmiarów, oraz duży kamienny bunkier. Na tabliczce na bramie widniał napis „Nuevas Iniciativas S.A. Wstęp wzbroniony. Pod patronatem Ministerstwa Górnictwa”.

Sandy zatrąbił, na co z chatki wybiegł chudy, starszy mężczyzna i otworzył bramę. Kiedy przejeżdżali, zasalutował Sandy'emu. Zatrzymali się i wysiedli. Zimny wiatr szczypał Harry'ego w policzki. Przycisnął kapelusz do głowy. Sandy zwrócił się do odźwiernego.

- Wszystko w porządku, Arturo?

- Sí, señor Forsyth. Señor Otero przyjechał, jest w biurze. - Odźwierny mówił głosem pełnym szacunku, tak jak Harry sądził, że powinien odnosić się zwykły pracownik do przełożonego. Dziwnie się czuł, myśląc, że Sandy był szefem i miał pod sobą personel.

Sandy wskazał przed siebie. Pomiędzy dwoma wzgórzami widać było sporą, otoczoną topolami farmę. Na polach wokół niej pasło się czarne bydło.

- Chcemy kupić tamto miejsce. Alberto cichaczem przeszedł się po ich terenie, zebrał próbki. A przy okazji, przestał mieć obiekcje co do twojej wizyty. Przekonałem go. Martwił się, czy można zaufać komuś, kto pracuje dla ambasady, ale powiedziałem mu, że na twoim słowie można polegać i nic nikomu nie powiesz.

- Dzięki. - Harry znowu poczuł wyrzuty sumienia. Skupił się na tym, co mówił Sandy.

- Pod tamtą farmą biegnie żyła złota, jest też bogatsza niż tutaj. Właściciel hoduje byki na corridę. Nie jest zbyt bystry, nie połapał się jeszcze, co tu robimy. Chyba uda nam się go nakłonić do sprzedaży. - Nagle zaśmiał się, patrząc na pola przed sobą. - Czy to nie wspaniałe? Tyle złota po prostu leży sobie tutaj. Czasami sam w to nie wierzę. Nie martw się, zdobędziemy tę farmę. Powiedziałem gospodarzowi, że zapłacimy mu gotówką, będzie mógł wyjechać i zamieszkać z córką w Segowii. - Odwrócił się do Harry'ego. - Zwykle potrafię przekonać ludzi, by widzieli sprawę tak, jak ja na nie patrzę, umiem wyczuć, czego chcą, i pomachać im tym przed nosem. - Znowu się uśmiechnął.

Harry schylił się i wziął w garść odrobinę żółtej ziemi. Wyglądała tak samo jak ta w kanistrze w biurze Sandy'ego. Była krucha i zimna. Sandy klepnął go w ramię.

- Chodźmy, wypijemy kawę w biurze. Żeby się rozgrzać. - Poprowadził Harry'ego do najbliższej chaty. - Nikogo tu dzisiaj nie ma oprócz ochrony.

W biurze warunki były spartańskie, stało tam zaledwie jedno biurko i składane krzesła. Na ścianie wisiał obraz tancerki flamenco, a nad biurkiem portret Franco. Pod nim siedział Otero i czytał jakieś dokumenty. Kiedy Harry i Sandy weszli, wstał i uściśnął Harry'emu dłoń. Uśmiechnął się, był o wiele przyjaźniej nastawiony niż kilka dni temu.

- Señor Brett, witamy, dziękujemy, że przyjechał pan taki kawał. Napiją się panowie kawy?

- Dziękuję, Alberto - odparł Sandy. - Cojones można sobie odmrozić na tym zimnie. Siadaj, Harry.

Geolog postawił czajnik na stojącej w kącie kuchence gazowej. Sandy przysiadł na rogu biurka i zapalił papierosa. Wziął do ręki dokument, który czytał Otero. - Czy to raport z testów ostatnich próbek?

- Tak. Wyniki są dobre. Ta działka przy strumieniu jest jedną z lepszych. Obawiam się, señor Brett, że mamy tylko mleko w proszku.

- Nie szkodzi. To duży teren.

- Tak. Ale nasza ziemia została dokładnie przeanalizowana. - Odwrócił się i spojrzał na Harry'ego. - Nowe próbki pochodzą z sąsiedniej farmy.

Otero podał im kubki z kawą, po czym usiadł.

- To jest strasznie frustrujące. Nie możemy zacząć, póki nie dostaniemy zezwolenia ministerstwa. Według hiszpańskiego prawa minerały pod ziemią są własnością rządu, musimy tylko ustalić zasady wydobycia, naszą prowizję. Ministerstwo prosi o kolejne próbki, co wymaga

dodatkowych nakładów finansowych, a żeby kupić farmę, potrzebne są nam fundusze. W zasadzie mamy poparcie Generalísima, ale ministerstwo każe mu uważać, a po zeszłorocznym fiasku w Badajoz słuca ich rad.

- Jeżeli dostaniecie zgodę i uda się wam kupić farmę, ile moglibyście zarobić? Powiedzmy w rok?

Sandy się roześmiał.

- To ważne pytanie.

Otero skinął głową.

- Nie da się dokładnie określić, ale powiedziałbym, że ze dwadzieścia milionów peset. Kiedy uruchomimy wydobywanie na pełną skalę na farmie, kto wie? Trzydzieści? Czterdzieści?

- To ponad milion funtów w pierwszy rok - powiedział Sandy. - Jeżeli kupisz trzy procent akcji, dostaniesz piętnaście tysięcy funtów szterlingów za zainwestowanie pięciuset. Trzydzieści tysięcy, jeśli zainwestujesz tysiąc.

Harry wypił tyk kawy. Była gorzka, na powierzchni pływały kulki mleka w proszku. Sandy i Otero siedzieli i patrzyli na niego, z ich papierosów unosił się dym.

- To dużo pieniędzy - powiedział w końcu Harry. Otero wybuchnął śmiechem.

- Wy, Anglicy, zawsze wyrażacie się powściągliwie.- Zwłaszcza Harry. - Sandy też się zaśmiał. Wstał. - Chodź, pokazemy ci wykopaliska.

Oprowadzili go po terenie kopalni, pokazali mu, jak różne kolory gruntu wskazywały na różną zawartość złota. W ziemi było pełno małych okrągłych dziur; Otero wyjaśnił, że stamtąd pobierano próbki. Na niebie pojawiły się sunące szybko chmury.

- Rzućmy okiem na laboratoria - powiedział Sandy. - Jak tam twój słuch? Wyglądasz w porządku.

- Tak, w zasadzie wszystko wróciło już do normy.

- Harry miał uszkodzone ucho, był ranny pod Dunkierką, Alberto. W bitwie o Francję.

- Naprawdę? - Geolog skinął ze współczuciem. Weszli do chaty, w której mieściło się laboratorium. W powietrzu unosił się kwaśny zapach chemikaliów. Na długich ławach stały szklane filtry, duże metalowe szalki i tace pełne czystego płynu i żółtej ziemi.

- To kwas siarkowy - powiedział Sandy. - Pamiętasz smród na lekcjach chemii? Nie dotykaj tych słoików. - Oprowadzili go po wnętrzu, Otero wyjaśnił proces uzyskiwania złota z rudy. Harry niewiele zrozumiał. Kiedy wychodzili, spojrzął na bunkier i zobaczył, że w małych okienkach były kraty.

- Co tam jest?

- Tam trzymamy rudę gotową do drugiej fazy przetwarzania. Jest zbyt wartościowa, by ją zostawić luzem. Klucz został w biurze, ale jeśli chcesz, możesz zajrzeć przez okno.

We wnętrzu panował mrok, ale Harry zdołał dojrzeć sprzęt laboratoryjny. Stało tam również kilka dużych pojemników, w większości wypełnionych po brzegi żółtawą ziemią zmieloną na drobny pył.

Wrócili do biura. Otero, wciąż nastawiony przyjaźnie, zaparzył kawę.

- Mam doświadczenie z pracy ze złożami w RPA - powiedział Otero. - Kiedy byłem młody, tam właśnie najbardziej byli potrzebni geolodzy. Nauczyłem się mówić trochę po angielsku, ale zdążyłem już zapomnieć. - Uśmiechnął się przeproszająco.

- Jak wygląda to miejsce w porównaniu do tamtego?

Otero usiadł.- Oczywiście jest o wiele mniejsze. Złóża w Witwatersrand są największe na świecie. Ale jakość rudy jest kiepska, a żyły biegną głęboko pod ziemią. Tutaj ruda jest bardzo bogata i leży blisko powierzchni.

- Wystarczająco wiele, by Hiszpania zyskała rezerwę złota?

- Czy wystarczająco, żeby sprawiły krajowi różnicę? Tak.

Sandy spojrzał na Harry'ego znad filiżanki.

- W takim razie co ty na to?

- Jestem zainteresowany. Ale chciałbym porozumieć się z dyrektorem mojego banku w Londynie, muszę do niego napisać. Bardzo ogólnie chcę go zapytać o inwestowanie w kopalnie złota o znanych zasobach. Nie powiem gdzie, poproszę jedynie o porównanie z innymi inwestycjami i temu podobne rzeczy.

- Będziemy musieli zobaczyć ten list - powiedział Sandy. - Mówię poważnie, to ściśle tajny projekt.

Otero spojrzał na niego surowo, tak jak podczas poprzedniego spotkania.

- Tak jak mówiliśmy wcześniej, nikt z ambasady nie może o tym wiedzieć. List do Anglii może zostać otwarty przez cenzurę.

- Nie, jeśli wyślę go pocztą dyplomatyczną. Ale jeśli pan chce, nie mam nic przeciwko pokazaniu go panu.

- Dyrektor banku powie, że to ryzykowna inwestycja - ostrzegł go Sandy. Harry się uśmiechnął.

- Nie powiedziałem, że postucham jego rady. - Pokręcił głową. - Trzy procent z miliona.

- Przez pierwszy rok. - Sandy przerwał, żeby dotarł do niego sens tych słów. Harry pomyślał, że gdyby ich nie szpiegował, może naprawdę by tyle zarobił. Nagle zachciało mu się śmiać.

Sandy wstał i klepnął dłońmi w kolana.

- Dobra. Powinienem wracać. Mam dzisiaj wieczorem kolację z Sebastianem.

Otero uśmiechnął się, kiedy uścisnął Harry'emu dłoń.

- Mam nadzieję, że przystąpi pan do naszej spółki, señor. To odpowiedni moment na inwestycję. Tysiąc funtów byłoby nam bardzo na rękę, powstrzymałoby ministerstwo od zamknięcia nas. A dla pana

- machnął ręką - takie możliwości... - Spojrzał na niego znacząco. Kiedy Harry i Sandy szli do samochodu, otworzyły się drzwi domku

wartownika. Wyszedł z niego inny mężczyzna, niski i chudy. Ku swojemu zaskoczeniu Harry rozpoznał byłego ordynansa Maestre, przy-zwoitkę Milagros.

- Porucznik Gomez - powiedział bez zastanowienia. - Buenos días.

- Buen día... - wymamrotał Gomez. Jego żołnierska twarz pozostała obojętna, ale przejmujące, błagalne spojrzenie sprawiło, że Harry'emu na moment stanęło serce. Zrozumiał, że popełnił błąd, poważny błąd.

- Znacie się? - zapytał ostro Sandy.

- Tak, spotkaliśmy się jakiś czas temu na... na przyjęciu, prawda?

- Sí, señor, na przyjęciu, zgadza się. - Gomez odwrócił się i otworzył bramę. Kiedy samochód przejeżdżał, odwrócił głowę. Sandy obserwował w lusterku, kiedy Gomez wchodził z powrotem do chaty.

- To nasz nowy odźwierny - powiedział. - Dopiero co zaczął służbę.

- Mówił cicho, swobodnym tonem. - Jak go spotkałeś?

- Och, na przyjęciu.

- Poznałeś odźwiernego na przyjęciu?

- Był tylko służącym, tylko służącym. Od dawna mieszkał z rodziną. Może przyłapali go na kradzieży srebrnych łyżeczek. - Harry się zaśmiał. Sandy przez chwilę milczał. Zmarszczył brwi.

- Na przyjęciu u generała Maestre, o którym mi mówicie? Które wydał na cześć córki?

O cholera, pomyślał Harry, o cholera. Sandy był piekielnie szybki. Przyjęcie u Maestre było jedynym, o którym mu opowiedział. Oczywiście zapamiętał to, Maestre był jego wrogiem. Sandy wciąż patrzył na odźwiernego w lusterku.

- Tak, kiedy potem zabrałem córkę Maestre do Prado, to on ją odebrał. Tak jak mówię, pewnie go wywalili.

- Może. - Sandy przerwał. - Został nam polecony, powiedział, że był bezrobotnym weteranem wojennym.

- Jeżeliby go wywalili, musiałby się tłumaczyć z braku referencji. - Widziałeś się znowu z córką generała? - zapytał, znowu swobodnie.

- Nie. Mówiłem ci, nie jest w moim typie. Poznałem kogo innego - dodał, żeby odciągnąć uwagę Sandy'ego. Ale Sandy tylko skinął głową. Zmarszczył brwi i zasepił się. Harry pomyślał, że Maestre pewnie umieścił tam Gomeza jako szpiega, a on go zdemaskował. Cholera. Cholera.

Przejechali przez miasteczko. Sandy zatrzymał się przed barem. Przy wejściu stały uwiązane do poręczy dwa osły.

- Harry, poczekasz minutę? - zapytał Sandy. - Muszę szybko zadzwonić, zapomniałem o czymś.

Harry został w samochodzie. Osły przy barierce przywiodły mu na myśl Dzikie Zachód. Pojedynki o świcie. Co zrobią Gomezowi? Stawka była wysoka. Przełknął ślinę. Czy Maestre naprawdę wysłał go tam jako szpiega? Dwoje obdartych dzieci stało i patrzyło na duży amerykański samochód Sandy'ego. Zamachał do nich, na co odwróciły się i uciekły, rozbryzgując błoto bosymi stopami.

Sandy wyszedł z baru. Zacisnął usta, jego twarz miała lodowaty wyraz; Harry przypomniał sobie dzień, kiedy Sandy został zbity trzcina przed całą klasą, dzień, kiedy zaczął planować zemstę na panu Taylorze. Otworzył drzwi samochodu i od razu jego twarz się uspokoiła, uśmiechnął się. Wsiadł.

- Opowiedz mi o tej dziewczynie - powiedział, zapalając silnik.

Harry opowiedział mu o tym, jak uratował nieznanego przed

dzikimi psami i jak poznał jego siostrę. Najlepsze kłamstwa to te, które są bliskie prawdy. Sandy uśmiechał się i kiwał głową, ale Harry nie mógł zapomnieć tego mrozącego krew w żyłach wyrazu twarzy, który miał przed chwilą. Zadzwonił do Otera, na pewno to zrobił. Zorientował się, że mylił się co do Sandy'ego i jego niewiedzy o różnych okropnych rzeczach, jak Dunkierka, które się działy na świecie. Wiedział o nich i sam mógł je robić. Tak jak w szkole, nic go nie obchodziło.

Rozdział trzydziesty

Harry umówił się, że po powrocie z kopalni pojedzie prosto do ambasady złożyć raport. Poprosił Sandy'ego, żeby odwiózł go z powrotem do mieszkania, mówiąc, że ma do przetłumaczenia jakiś dokument. Kiedy tylko samochód zniknął za rogiem, Harry wyszedł na dwór i wsiadł w tramwaj na calle Fernando del Santo.

Tolhurst siedział w biurze i czytał wydanie „Timesa” sprzed czterech dni. Odciepli prąd, więc w środku było zimno, dlatego Tolly miał na sobie gruby, jaskrawy sweter. Wyglądał w nim młodziej, jak gruby uczeń. Gestem zaprosił Harry'ego, by wszedł.

- Jak poszło? - zapytał z przejściem.

- Kopalnia jak się patrzy. - Harry usiadł. Wziął głęboki oddech. - Ale coś poszło nie tak.

Tolhurst spochmurniał.

- Co? Postanowił cię nie włączać do interesu?

- Nie. Oprowadził mnie po kopalni. Znajduje się trochę za Segowią. Zajmuje duży teren, chociaż wygląda na to, że wydobywanie dopiero się zaczyna. Otero też tam był, tym razem przyjaźniej nastawiony.

- No i?
- Kiedy wychodziliśmy, pojawił się strażnik, żeby otworzyć drzwi, a ja go rozpoznałem. Nazywa się Gomez. Pracuje dla Maestre, spotkaliśmy go na przyjęciu, pamiętasz?
- Tak, jego były ordynans czy jakoś tak.
- W ogóle nie pomyślałem i przywitałem się z nim. Pozdrowił mnie, ale widziałem, że był przerażony.- O cholera. Jak zareagował Forsyth?
- Od razu się zainteresował, zapytał, gdzie spotkałem Gomeza.
- Powiedziałaś mu?
- Tak. Simon, przepraszam, znalazłem się w trudnej sytuacji i nie potrafiłem nic zmyślić. Powiedziałem, że pracował dla Maestre i być może go wyrzucili, nic innego nie przyszło mi do głowy.
- Niech to szlag. - Tolhurst wziął do ręki ołówek i zaczął nim kręcić. Harry był na siebie wściekły, przerażała go myśl, jakie konsekwencje dla Gomeza mogło mieć jego potknięcie.
- Widać było, że Sandy się tym zdenerwował. Zatrzymaliśmy się w miasteczku, powiedział, że musi zadzwonić. Kiedy wrócił, wyglądał ponuro. Wydaje mi się, że dzwonił do Otera. Simon, na ile Maestre jest w to zamieszany?

Tolhurst przygryzł wargi.

- Nie wiem, ale macza palce w większości starć między Falangą a monarchistami. Wiedzieliśmy, że był członkiem komitetu w sprawie kopalni, ale komandor nie potrafił nic z niego wydobyć. Kiedy chodzi o rzeczy, które jego zdaniem stanowią interes narodowy Hiszpanii, trzyma język za zębami.

Więc są granice tego, co Rycerze Świętego Jerzego mogą kupić, pomyślał Harry.

- Nie powinieneś być się witać z człowiekiem, który dla niego pracował - powiedział surowym tonem Tolhurst. - Mogłeś się domyślić, że był agentem.
- Nigdy wcześniej nie musiałem myśleć tak szybko i na poczekaniu. Przepraszam, byłem zbyt skupiony na samej kopalni, starałem się sprawiać wrażenie, jakbym rzeczywiście był inwestorem.

Tolhurst odłożył ołówek.

- Forsyth domyślił się, że Maestre nie wyrzuciłby tak po prostu byłego ordynansa, któremu pozwolił zostać przyzwoitką własnej córki. Chryste, Harry, spieprzyłeś kompletnie sprawę. - Położył obie dłonie na biurku i wstał z ociąganiem. - Muszę powiedzieć o tym komandorowi. Jest u sir Sama, dzisiaj wieczorem wysyłamy pocztę dyplomatyczną. Zaczekaj tu.>

Wyszedł, zostawiając Harry'ego, który przygnębiony gapił się przez okno. Na zewnątrz przejechał na ośle uliczny handlarz, prawie wlokąc nogami po ziemi. Do grzbietu zwierzęcia przytroczono ciężkie pakunki z drewnem. Harry patrzył, rozmyślając, ile to małe stworzenie było zmuszone udźwignąć. Wydawało się, że pęknie mu kręgosłup.

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Harry wstał, kiedy Tolhurst otworzył drzwi i przytrzymał je. Do środka wszedł Hillgarth, jego twarz nie była wesoła. Za nim pojawił się ambasador. Chuda twarz Hoare'a była czerwona z gniewu. Usiadł na krześle Tolhursta, był wściekły.

- Brett, ty pieprzony idioto - zaczął Hillgarth. - Co cię napadło?

- Przepraszam, panie komandorze, nie wiedziałem, że Maestre...

- Alan - powiedział Hoare do Hillgartha ostrym tonem - ostrzegałem cię, że to ryzykowna operacja. Zawsze powtarzałem, że nie przeprowadzamy akcji wywiadowczych, powinniśmy jedynie zbierać informacje, i nic poza tym. Nie jesteśmy SOE1, do cholery. Ale nie, ty i Winston musieliście mieć swoje przygody! A teraz dzięki temu kretynowi ryzykujemy zerwanie stosunków z całym stronnictwem monarchistów. - Machnął na Harry'ego tak, jakby odganiał irytującego owada.

- Sam, nie przesadzaj, Maestre powinien był nam powiedzieć, że organizuje własną imprezę.

- Czemu niby? Co? To jego pieprzony kraj. Czemu nie miałby umieścić szpiega w projekcie falangistów? - Hoare podniósł dłoń do czoła, aż trząśnięt się z furii. - Maestre jest jednym z naszych najlepszych źródeł. Harowałem na śmierć przez ostatnie pięć miesięcy, by przekonać monarchistów o wspólnocie naszych interesów, że Anglia nie jest dla nich zagrożeniem. Próbowałem przekonać Winstona, by zaczął się wypowiadać pozytywnie na temat Gibraltaru i wyrzucił z kraju bandę Negrina. Wiesz, co jeszcze robiłem. A teraz dowiedzą się, że przeprowadzamy tajną operację, taką samą, jak oni, pomimo moich obietnic wsparcia.

i Zarząd Operacji Specjalnych.

- Jeżeli temu Gomezowi coś się stanie - powiedział Hillgarth - nie można będzie tego powiązać z nami.

- Nie udawaj głupiego! Człowiek Maestre na pewno grzebał im w papierach, to pierwsze, za co by się zabrał. A jeżeli znalazł informację o potencjalnym inwestorze o nazwisku H. Brett, tłumaczu w służbie dyplomatycznej Jego Królewskiej Mości? - Hoare, wykończony, ściszył głos. - Chyba powinienem zadzwonić do Maestre i ostrzec go, spróbujemy zminimalizować straty.

- Przepraszam, panie ambasadorze. - Harry odważył się zabrać głos. - Gdybym tylko wiedział...

Hoare spojrział gniewnie na Harry'ego, wydymając pogardliwie wargi.

- Gdybyś tylko wiedział? To nie jest twój pieprzony interes, masz tylko mieć głowę na karku i robić, co do ciebie należy. - Zwrócił się do Hillgartha. - Lepiej odwołaj całą operację. Wyślij tego cholernego durnia do domu, może pojechać do Afryki Północnej, żeby bić się z Włochami. Mówiłem, że jeżeli mamy się w to bawić, powinniśmy wziąć się bezpośrednio za Forsytha i spróbować go kupić, a nie urządzać podchody.

Hillgarth odpowiedział cicho, chociaż w jego głosie słychać było tłumiony gniew.

- Ambasadorze, zgodziliśmy się, że takie podejście byłoby zbyt ryzykowne bez wiedzy o tym, jak wartościowy był dla Forsytha jego projekt. To już wiemy, wiemy także że to bardzo ważna rzecz. A Brett wcale nie został zdekonspirowany; to, że rozpoznał człowieka Maestre i powiedział o tym Forsythowi, tylko zwiększa jego wiarygodność.

- Muszę zadzwonić do Maestre. Porozmawiamy później. - Hoare wstał. Tolhurst podbiegł do drzwi, by je otworzyć. Ambasador posłał mu gniewne spojrzenie, kiedy go mijał. - Tolhurst, powinieneś być się zorientować. Hillgarth, chcę, żebyś był ze mną przy tej rozmowie.

Tolhurst wolno zamknął za nimi drzwi.

- Harry, lepiej wracaj do domu. Będą się kłócić cały wieczór.

- Umówiłem się dzisiaj wieczorem do teatru, grają Makbeta. Myślisz, że mogę?

- Chyba tak.jé

- Tolly, co Hoare miał na myśli, kiedy powiedział, że powinieneś być się zorientować?

Tolhurst uśmiechnął się cierpko.

- Obserwuję cię, Harry. Pilnuję, jak się sprawujesz, składam raporty komandorowi Hillgarthowi. Każdemu niedoświadczonemu szpiegowi przydziela się obserwatora, ja jestem twoim.

- Aha. - Harry trochę się domyślał, ale i tak zrobiło mu się przykro i poczuł rozczarowanie.

- Zawsze mówiłem, że dobrze ci idzie; Hillgarth trochę się niecierpliwił, ale mówiłem mu, że dobierasz się do Forsytha ostrożnie. Aż do teraz świetnie się sprawowałeś. Ale w tej robocie nie można sobie pozwolić na błędy.

- Aha.

- Nie sądziłem, że będziesz mógł coś aż tak spierdolić. Na tym polega problem: jeżeli kogoś polubisz, stajesz się stronniczy. - Tolhurst spojrzał na Harry'ego z niechęcią. - Idź już lepiej. Trzymaj się z dala od Hillgartha. Zadzwonię, kiedy będziemy cię potrzebować.

Harry wyszedł do teatru późno. Przez parę godzin chodził zły po mieszkaniu, rozważając swój błąd, wściekłość Hoare'a i Hillgartha, wyznanie Tolhursta, że w pewnym sensie go szpiegował. Nie nadając się do tej roboty, pomyślał Harry, nigdy też jej nie chciałem. Jeżeli odeślą go do domu, nie będzie mu przykro, nawet jeśli okrył się hańbą. Z przyjemnością zapomni o Sandym. Ale nie mógł przestać myśleć o Gomezie, o nagłym przerażeniu, które dostrzegł w oczach starego żołnierza.

Powiedział sobie, że nic dobrego przez to nie osiągnie. Spojrzał na zegarek i zdziwił się, jak późno się zrobiło. Wcześniej nieprzerwanie myślał o Sofii, ale tego dnia ledwie ją wspomniał. Przebrał się w pośpiechu, złapał płaszcz i kapelusz i wyszedł szybko na ulicę.

Kiedy dotarł do teatru, Sofia już na niego czekała - drobna postać w berecie i czarnym, wytartym płaszczu. Stała przy drzwiach, podczas gdy bogato ubrane pary wchodziły po schodach do teatru. Nie miała z sobą torebki; może nie mogła sobie na nią pozwolić. Kiedy ją zobaczył, drobną i bezbronną, coś ścisnęło go w żołądku. Podszedł bliżej i zobaczył, że jakiś żebrak, staruszek w wózku domowej roboty, próbuje wyciągnąć od niej pieniądze.

- Dałam już panu wszystko, co mogłam - powiedziała.

- Proszę, jeszcze odrobinę. Na jedzenie na jutro.

Harry podbiegł do niej.

- Sofio - powiedział, próbując złapać oddech - strasznie przepraszam za spóźnienie. - Spojrzała na niego z ulgą. Dał żebrakowi pięćdziesiąt centymów, więc ten odjechał.

- Miałem w pracy pewien... kryzys. Długo czekałaś?

- Nie. Ale ponieważ tu jestem, ten człowiek myślał, że mam pieniądze.

- Ojej, cóż mogę powiedzieć... - Uśmiechnął się. - Dobrze cię widzieć.

- Ciebie też.

- Jak się ma Enrique?

Uśmiechnęła się.

- Jest już prawie zdrowy.

- To dobrze. - Zakaszłał. - Wejdziemy? - Podał jej nieśmiało ramię. Wzięła je. Poczuł ciepły dotyk jej ciała.

Sofia bardzo się postarała: długie włosy miała zgodnie z modą poza-kręcane na końcach, upudrowała twarz i umalowała wargi. Była piękna. Resztę tłoczącej się w holu widowni stanowili elegancko ubrani mieszkańcy, kobiety nosiły perłowe kolczyki i naszyjniki. Sofia przyglądała im się z rozbawieniem i wzdrganiem.

Harry kupił bilety na miejsca pośrodku widowni. Teatr był pełen. Ktoś w ambasadzie powiedział, że życie kulturalne powoli odżywało; ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, najwyraźniej bardzo pragnęli spędzić ten wieczór w teatrze.

Sofia zdjęła płaszcz. Pod spodem miała długą, dobrze skrojoną, białą suknię, która podkreślała jej śniadą cerę. Dekolt był głębszy, niż powinien być w tych czasach. Harry pospiesznie odwrócił wzrok. Uśmiechnęła się do niego.

- Och, jak tu ciepło, jak oni to robią?

- Centralne ogrzewanie.

W przerwie poszli do baru na drinka. W ścisku Sofia czuła się nieswojo, zakrztusiła się pierwszym łykiem wina.

- Wszystko w porządku?

Zaśmiała się nerwowo, jej zwykła pewność siebie ulotniła się.

- Przepraszam, po prostu nie jestem przyzwyczajona do takiego tłumu. Poza domem przebywam tylko w mleczarni. - Uśmiechnęła się cierpko. - Spędzam więcej czasu w mleczarni niż z ludźmi. - Jakaś kobieta spojrzała na nią spod ściągniętych brwi.

- Jak tam jest? - Harry wiedział, że w bocznych uliczkach Madrytu było wiele małych mleczarni, ciasnych i niezbyt czystych.

- Muszę ciężko pracować, ale przynajmniej dostaję mleko dla rodziny.
- Pewnie masz już dosyć.
- Przynajmniej ta praca trzyma nas przy życiu. Codziennie przychodzą ludzie z rządowej agencji i zabierają swoje sto litrów, ale kiedy mleko jest wydawane jako przydział, jest już rozwodnione do dwustu.
- To okropne. - Harry pokręcił głową.
- Dziwny z ciebie człowiek - powiedziała.
- Dlaczego?
- Interesuje cię moje życie. Wydaje mi się, że cuchnąca mleczarnia odbiega od tego, do czego jesteś przyzwyczajony. Posłuchaj tych ludzi, jak rozmawiają o tym, co kupili na czarnym rynku i o problemach ze służącymi: czy nie to zwykle omawiają ludzie z twojej klasy społecznej? - Na jej twarz wrócił lekki drwiący uśmiešek.
- To prawda, ale mam już tego dość.

Rozległ się dzwonek, więc wrócili na widownię.

W drugim akcie Harry odwrócił się kilka razy w jej stronę, ale Sofia była całkowicie pochłonięta przedstawieniem; nie odwzajemniła uśmiechem jego spojrzenia, chociaż na to liczył. Dotarli do punktu, w którym Lady Makbet chodzi we śnie, prześladowana przez wyrzuty sumienia, że zmusiła męża do popełnienia morderstwa. „Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą?”. Harry poczuł nagły przypływ pa-niki na myśl, że on sam mógł mieć ręce splamione krwią, że ściągnął na Gomeza śmierć. Zrobił gwałtowny wdech i zacisnął dłonie na oparciach fotela; Sofia spojrzała na niego. Kiedy sztuka dobiegła końca, z głośników rozległ się hymn. Harry i Sofia wstali, ale w przeciwieństwie do wielu widzów nie wzniesli w górę dłoni w faszystowskim pozdrowieniu.

Na dworze było chłodno, Harry znowu poczuł się dziwnie, gorzej niż się czuł od wielu miesięcy. Wróciło dzwonięcie w uszach, serce waliło mu szybko, zdał sobie sprawę, że trzęsą się pod nim nogi. Uznał, że pewnie to była spóźniona reakcja na wszystko, co się tego dnia wydarzyło. Kiedy szli na przystanek tramwajowy, próbował nawiązać rozmowę. Czuł, że głos mu drżał. Nie wziął Sofii pod ramię; nie chciał, by poczuła, jak się trzęsie.

- Podobała ci się sztuka?
- Tak. - Sofia się uśmiechnęła. - Nie wiedziałam, że w sztukach Szekspira może być tyle pasji. Mordercy zostali sprawiedliwie ukarani, prawda?
- Tak.
- W rzeczywistości jednak jest inaczej.

Nie dosłyszał, co powiedziała, więc musiała powtórzyć.

- Tak, to prawda - zgodził się.

Doszli do przystanku. Harry był teraz cały rozdygotany, usilnie chciał uniknąć zimnego, wilgotnego powietrza. Na przystanku nie było tramwaju, nikt też nie czekał, co najprawdopodobniej oznaczało, że właśnie jeden odjechał. Musiał usiąść. Przeklinał swoją panikę; jeżeli już musiał dostać ataku, dlaczego nie mógł nadejść, kiedy był sam w mieszkaniu?

- Dobrze się czujesz? - usłyszał pytanie Sofii.

Nie było sensu udawać, był zlany zimnym potem.

- Nie najlepiej. Przepraszam, czasem miewam takie małe napady, od czasu, kiedy walczyłem we Francji. Nic mi nie będzie, przepraszam, to głupstwo.

- To wcale nie jest głupstwo. - Spojrzała na niego zatroskana. - To się zdarza na wojnie, żołnierze tutaj też tak mieli. Powinieneś wziąć taksówkę, zawiozę cię do domu. Nie możesz siedzieć na zimnie.

- Naprawdę, nic mi nie będzie. - Nienawidził okazywać w ten sposób swojej słabości, naprawdę nienawidził.

- Nie, zawołam taksówkę. - Sofia nagle przejęła kontrolę nad sytuacją, tak jak u siebie w domu. - Czy nic ci nie będzie, jeśli zostawię cię tu na chwilę i pójdę na skrzyżowanie? Widziałam tam kilka taksówek.

- Nie, ale...

- Za chwilę wrócę. - Dotknęła jego ramienia, uśmiechnęła się i odeszła. Harry oparł się o zimną wiatę przystanku, ciężko dysząc; wciągał powietrze nosem i wypuszczał ustami, tak jak go nauczyli w szpitalu. Po chwili podjechała taksówka.

Kiedy usiadł w ciepłe, od razu poczuł się lepiej. Uśmiechnął się smutno do Sofii.

- Co za koniec wieczoru, co? Wysadź mnie koło domu, zapłacę taksówkarzowi, żeby cię odwiózł.

- Nie, chcę mieć pewność, że nic ci nie jest. Jesteś strasznie blady. - Przyjrzała mu się chłodnym spojrzeniem lekarza.

Wysiedli z taksówki. Harry bał się, że będzie potrzebował jej pomocy, by wejść po schodach, ale czuł się o wiele lepiej i dotarł do mieszkania o własnych siłach. Otworzył drzwi i weszli do salonu.

- Usiądź tam, na kanapie - powiedziała. - Masz jakiś alkohol?

- W tamtej szafce jest trochę whisky.

Przyniosła z kuchni szklankę i nalała do niej alkoholu. Whisky rozbudziła go. Sofia się uśmiechnęła.

- No, wracają ci rumieńce. - Włączyła braserę i usiadła na drugim skraju kanapy, patrząc na niego.

- Proszę, ty też się napij.

- Nie, dziękuję, nie przepadam za whisky. - Spojrzała na zdjęcie jego rodziców.
- To moja matka i ojciec.
- Ładne zdjęcie.
- Tego dnia, kiedy przyprowadziłem Enrique, twoja matka pokazała mi swoje zdjęcie ze ślubu.- Tak, ona, tata i wujek Ernesto.
- Twój wujek był księdzem, prawda?
- Tak, w Cuenca. Od wybuchu wojny domowej nie mieliśmy od niego żadnych wieści. Możliwe, że nie żyje, Cuenca leżała w strefie republikańskiej. Harry, mogę zapalić?
- Oczywiście. - Wziął ze stoliczka popielniczkę i podał jej. Ręka wciąż mu się lekko drżała.
- Czy tam było ciężko? - zapytała. - We Francji, na wojnie?
- Tak. Obok mnie spadła bomba, zabiła człowieka, który szedł ze mną. Przez jakiś czas byłem głuchy, miałem też te przekłete napady paniki. Ostatnio czułem się o wiele lepiej. Walczyłem z nimi, myślałem, że wygrałem, ale dziś wieczorem znowu wróciły.
- Zastanawiam się, czy wystarczająco o siebie dbasz.
- Chyba nie jest ze mną najgorzej, nie mam się na co skarżyć: dostaję duże racje żywnościowe i mieszkam w dużym mieszkaniu.
- To prawda, ładnie tu. - Rozejrzała się po pokoju. - Chociaż też trochę ponuro.
- Właściwie to mieszkanie jest dla mnie za duże, jest zbyt puste. Przedtem mieszkał w nim jakiś komunistyczny urzędnik.
- Nieźle się potrafili urządzić - westchnęła.
- Czasami wydaje mi się, że czuję jego obecność. - Harry zaśmiał się z zakłopotaniem.
- W Madrycie jest teraz mnóstwo duchów.

Nagle wszystkie światła zgasły. Pokój pogrążył się w ciemności, tlił się tylko żar brasero. Oboje aż podskoczyli.

- Po prostu wyłączyli prąd - powiedziała Sofia.
- O Boże, ale wybrali moment.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- W kuchni są świece - powiedział Harry. - Daj mi zapałkę, żebym mógł sobie poświecić, pójdę po nie. Chyba, że wolisz już wrócić do domu?
- Nie - powiedziała. - Porozmawiajmy trochę.

Harry zapalił świece i ustawił je na spodkach. Pokój rozjaśnił się żółtym, migoczącym światłem. Harry zauważył, że włosy Sofii nie są - Tak, ona, tata i wujek Ernesto.

- Twój wujek był księdzem, prawda?
- Tak, w Cuenca. Od wybuchu wojny domowej nie mieliśmy od niego żadnych wieści. Możliwe, że nie żyje, Cuenca leżała w strefie republikańskiej. Harry, mogę zapalić?
- Oczywiście. - Wziął ze stoliczka popielniczkę i podał jej. Ręka wciąż mu się lekko drżała.
- Czy tam było ciężko? - zapytała. - We Francji, na wojnie?
- Tak. Obok mnie spadła bomba, zabiła człowieka, który szedł ze mną. Przez jakiś czas byłem głuchy, miałem też te przekłute napady paniki. Ostatnio czułem się o wiele lepiej. Walczyłem z nimi, myślałem, że wygrałem, ale dziś wieczorem znowu wróciły.
- Zastanawiam się, czy wystarczająco o siebie dbasz.
- Chyba nie jest ze mną najgorzej, nie mam się na co skarżyć: dostaję duże racje żywnościowe i mieszkam w dużym mieszkaniu.
- To prawda, ładnie tu. - Rozejrzała się po pokoju. - Chociaż też trochę ponuro.
- Właściwie to mieszkanie jest dla mnie za duże, jest zbyt puste. Przedtem mieszkał w nim jakiś komunistyczny urzędnik.
- Nieźle się potrafili urządzać - westchnęła.
- Czasami wydaje mi się, że czuję jego obecność. - Harry zaśmiał się z zakłopotaniem.
- W Madrycie jest teraz mnóstwo duchów.

Nagle wszystkie światła zgasły. Pokój pogrążył się w ciemności, tlił się tylko żar braserero. Oboje aż podskoczyli.

- Po prostu wyłączyli prąd - powiedziała Sofia.
- O Boże, ale wybrali moment.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- W kuchni są świece - powiedział Harry. - Daj mi zapałkę, żebym mógł sobie poświecić, pójdę po nie. Chyba, że wolisz już wrócić do domu?
- Nie - powiedziała. - Porozmawiajmy trochę.

Harry zapalił świece i ustawił je na spodkach. Pokój rozjaśnił się żółtym, migoczącym światłem. Harry zauważył, że włosy Sofii nie są zupełnie czarne, w niektórych miejscach widać było kasztanowe od-błyski. Jej twarz była smutna.

- Ciągłe wyłączają nam prąd - powiedziała. - Przyzwyczajamy się do tego.

Harry przez chwilę milczał.

- Ludzie są tu ciężej doświadczeni, niż wydaje się to możliwe - powiedział po chwili.
- Tak. - Sofia ponownie westchnęła. - Pamiętasz naszą beatę, señorę Avilę? Przyszła do nas wczoraj. Mówi, że zdaniem księdza nie mamy dość pieniędzy, by odpowiednio opiekować się Pakiem; chce, żebyśmy oddali go do sierocińca. Ksiądz nie może przyjść osobiście, bo nie chodzimy do kościoła. Oczywiście to jest prawdziwy powód, dla którego chce zabrać od nas Paca. Ale go nie oddamy. - Na moment ściągnęła gniewnie wargi. - Wkrótce Enrique znów będzie mógł pracować. Możliwe, że znajdzie się coś dla niego w mleczarni.
- Mam znajomą Angielkę, przez jakiś czas pracowała w jednym z sierocińców. Powiedziała, że to złe miejsce. Odeszła stamtąd.
- Słyszałam, że niektóre dzieci popełniają samobójstwa. Obawiam się, że Paco mógłby zrobić to samo. Żyje w bezustannym przerażeniu. Rzadko się odzywa, a jeśli już, to tylko do nas.
- Czy nie ma nikogo, kto mógłby mu... nie wiem, pomóc?

Zaśmiała się gorzko.

- Kto? Ma tylko nas.
- Przykro mi.

Pochyliła się, jej duże oczy błyszczały w blasku świateł.

- Nie ma powodu, żeby było ci przykro. Byłeś dla nas dobry, przejmujesz się nami. Obcokrajowcy i ci, którzy mają pieniądze, przymykają w tym kraju oczy na to, jak żyją zwykli ludzie. A ci, którzy nic nie mają, są przybici, apatyczni. Dobrze jest spotkać kogoś, kogo to obchodzi. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Nawet jeżeli jest ci z tego powodu przykro. Jesteś dobrym człowiekiem.

Harry pomyślał o Gomezie, o przerażeniu w jego oczach. Pokręcił głową. - Nie, nie jestem. Chciałbym być, ale nie jestem. - Ukrył twarz w dłoniach. Westchnął głęboko, po czym spojrzał na nią. Uśmiechnęła się. Wyciągnęła ostrożnie rękę i wzięła jej dłoń. - Za to ty jesteś dobra

- powiedział.

Nie cofnęła ręki. Jej spojrzenie złagodniało. Harry pochylił się naprzód i przycisnął wargi do jej ust. Jej sukienka zaszeleściła, kiedy Sofia również pochyliła się i odwzajemniła pocałunek, długo i namiętnie; poczuł ostry, podniecający smak dymu papierosów. Odsunął się.

- Przepraszam - powiedział. - Jesteś sama w moim mieszkaniu, nie chciałem...

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nie przepraszaj. Cieszę się. Nietrudno było zobaczyć, co do mnie czujesz. A ja czułam to samo od czasu, kiedy przyszedłeś do nas po raz pierwszy, kiedy siedziałeś w naszym salonie i chciałeś nam pomóc, mimo że byłeś taki zagubiony. - Spuściła głowę. - Nie chciałam tego, nasze życie jest i tak wystarczająco skomplikowane. Dlatego nie chciałam z początku zgodzić się na lekarza. - Uśmiechnęła się. - Biedny Enrique. No widzisz, tak naprawdę jestem samolubna.

Pochylił się w jej stronę i wziął jej dłoń. Była drobna, ciepła, pulsowała życiem.

- Jesteś najmniej samolubną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.
- Wciąż czuł w głębi duszy pewne wahanie, nie wierzył, że to się dzieje naprawdę.
- Harry - powiedziała.
- Wymawiasz moje imię zupełnie inaczej niż wszyscy - powiedział z cichym śmiechem.
- Łatwiej je wymówić niż to, jak Anglicy wymawiają imię David.
- Tak się nazywał ten chłopak z Leeds?
- Tak. Chodziliśmy ze sobą przez jakiś czas. W czasie wojny trzeba korzystać z okazji, póki można. Być może wydają ci się szokująca. Katolicy powiedzieliby, że jestem niemoralną kobietą.
- Nic podobnego. - Zawahał się, po czym pochylił się naprzód i znów ją pocałował.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Barbara usłyszała kiedyś, że jeżeli się kogoś przestało kochać, miłość czasem przemienia się w nienawiść. Nigdy w to nie wierzyła, ale teraz przekonała się, że to prawda. Sandy powiedział, że ma w sercu jedynie sentymentalną papkę, ale mylił się, jej serce było pełne wstrętu.

Musiła ukryć swoje uczucia. Była środa, spotkała się ponownie z Luisem; Agustín miał wrócić z przepustki za trzy tygodnie, czwartego grudnia. Zaraz po jego powrocie Luis miał pojechać do Cuenki i dopracować szczegóły. Dzień ucieczki będzie zależeć od rozkładu wacht strażników, ale powinno się ją udać zorganizować przed świętami. Do tego czasu musiała się upewnić, że Sandy nic nie podejrzewa.

Czuła się coraz gorzej w swoim domu, w dużych i drogich pokojach, wśród nieskazitelnie czystych mebli. Barbara miała czasami ochotę pozrywać ze ścian dokładnie wypolerowane lustra i roztrzaskać je o nawoskowane stoliki. Czasami, kiedy chodziła niespokojnie po domu albo wyglądała na zimowy ogród, zastanawiała się, czy czasem nie zwariowała.

Po kłótni w sprawie sierocińca Barbara po raz kolejny stała się tak miła i uległa, jak tylko miała. W niedzielę po kłótni Sandy pojechał gdzieś samochodem. Powiedział, że w interesach. Barbara poszła na spacer i kupiła w drogiej kwiaciarni andaluzyjskie róże. Dużo za nie zapłaciła, ale to były ulubione kwiaty Sandy'ego. Wniosła je podczas kolacji w wazonie. Wziął jedną do ręki i powąchał.

- Bardzo ładne - powiedział obojętnie. - A więc przestałaś się dąsać? - Wciąż był wściekły. - Nie ma sensu się kić - powiedziała cicho.

- Twój list do siostry Inmaculady wywołał sporą konsternację. Jedna czy dwie osoby zapytały mnie, czy nie ukrywam w swoim domu wywrotowca.

- Sandy, posłuchaj, nie chcę stawiać cię w trudnej sytuacji wobec twoich partnerów w interesach. Dlaczego nie mogłabym popracować jako wolontariuszka gdzie indziej, na przykład w szpitalu dla weteranów?

- Większość z nich jest w rękach Falangi - burknął. - Nie chcę, żebyś teraz pokłóciła się z nimi.
- Nic mi nie będzie przeszkadzało, o ile tylko nie będę musiała oglądać, jak ktoś znęca się nad dziećmi.

Spojrzał na nią, jego wzrok był zimny i pozbawiony emocji.

- Nad większością dzieci ktoś się znęca. Takie jest życie. Chyba że masz szczęście, jak mój brat. Znęcano się nad tobą, nade mną też.
- Nie w ten sposób.
- To wszystko jedno i to samo. - Wzruszył ramionami. - Porozmawiam z Sebastianem o weteranach.
- Dzięki. - Wysiła się, żeby w jej głosie było słychać wdzięczność. Sandy burknął coś i skupił się na jedzeniu.

Od czasu kłótni nie próbował się z nią kochać. Kiedy następnego popołudnia Barbara schodziła do kuchni, żeby porozmawiać z Pilar, na schodach usłyszała śmiech. Sandy stał oparty o stół. Palił papierosa i uśmiechał się lubieżnie. Pilar przy zlewie zmywała naczynia; ona też się śmiała. Kiedy zobaczyła Barbarę, zaczerwieniła się i spuściła głowę.

- Pilar, przyniosłam listę zakupów - powiedziała oziębłym tonem Barbara. - Zostawię ją na stole.

Później nie poruszyła tego tematu, ale on to zrobił. Byli w salonie, Sandy usiadł w fotelu, kręcąc szklanką z whisky. Uśmiechnął się.

- Sympatyczna dziewczyna z tej Pilar. Czasami potrafi być naprawdę zuchwałą.

Barbara próbowała nawlec igłę. Chce mnie ukarać, pomyślała, jakby mnie to cokolwiek obchodziło.-

Ech, wy, mężczyźni strasznie lubicie flirtować ze służącymi - powiedziała pogodnie. - To pewnie jedna z fantazji, które się ma w prywatnej szkole.

- Nie spodobałyby ci się moje fantazje, gdybyś je znała - powiedział. Coś w tonie jego głosu sprawiło, że zwróciła się do niego gwałtownie. Sandy spojrzał na nią oziębło i wypił łyk whisky.

- Pójdę po ten szablon, który przysłała mama - powiedziała. Wyszła z pokoju i stanęła w przedpokoju, oddychając głęboko. Czasami po prostu musiała od niego uciec. Posiedzę z nim przez godzinę, myślała, a potem wyjdę na kilka minut. W ten sposób będę o godzinę bliżej zostawienia go na dobre.

Poszła na górę do sypialni. Nie potrzebowała szablonu, ale uznała, że lepiej będzie, jeśli go weźmie. Przy okazji otworzyła zamkniętą na klucz szufladę biurka i pomacała palcami czarną książeczkę. Dobrze, że zamek był solidny; klucz zawsze trzymała w kieszeni.

Westchnęła ciężko. Będzie musiała pójść na dół załatwić sprawy. Zawsze może go zapytać o Harry'ego, czy przystępował do jego projektu, cokolwiek to było. Ale jeżeli będzie koniecznie chciał

sztydzić z niej i mówić o Pilar, niech mu będzie. Będzie udawać, że ją zranił, dzięki czemu będzie miała kolejną wymówkę, żeby uniknąć seksu, jeśli chciałby się z nią kochać.

Ku jej uldze Sandy nie wspomniał więcej Pilar tego wieczoru. Kiedy zapytała o Harry'ego, powiedział, że zaprosił go na kolację w następnym czwartek. Następnie wstał, mówiąc, że ma do skończenia trochę papierkowej roboty w swoim gabinecie. Westchnęła z ulgą, kiedy zamknęły się za nim drzwi.

Po chwili rozległ się dzwonek telefonu. Zadzwoił dwa razy, po czym nagle umilkł; Sandy musiał odebrać u siebie w gabinecie. Wzdrygnęła się na ten dźwięk; chwilę później znowu podskoczyła, kiedy rozległ się głośny dźwięk dzwonka do drzwi. Kto to może być, u licha? pomyślała. Było późno. Odłożyła szycie.»

Usłyszała, jak Pilar wychodzi z kuchni, jej obcasy stuknęły na kafelkach. Chwilę później zapukała i weszła do salonu. Wprawdzie Barbary naprawdę nie obchodziło już, co robił Sandy, ale mimo to poczuła przyływ gniewu.

- Kto to jest? - zapytała.

Pilar nie śmiała spojrzeć jej w oczy.

- Señora, proszę wybaczyć, jakiś pan chce spotkać się z señorem Forsythem. Wygląda jakoś... - zawahała się. - Obco. Wiem, że señor Forsyth nie lubi, kiedy mu się przeszkadza w gabinecie.

- Zobaczę, o co chodzi. - Wstała i przeszła obok dziewczyny. Z korytarza powiało zimnem. Pilar zostawiła otwarte drzwi wejściowe. Na progu stał drobny starszy mężczyzna w poplamionym płaszczu i wygniecionym kapeluszu. Nosił okulary, przyklejone taśmą do nosa. Zdjął kapelusz.

- ¡Perdón, señora, esta el señor Forsyth en casa?i - Mówił po hiszpańsku powoli i z wysiłkiem. Miał silny francuski akcent. Barbara odparła po francusku.

- Tak. W czym możemy panu pomóc?

Mężczyźnie wyraźnie ulżyło, jego twarz złagodniała.

- O, pani mówi po francusku. Moja hiszpańszczyzna jest słaba. Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Blanc, Henri Blanc. Mam coś, co muszę dać panu Forsythowi. - Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął niewielki płócienny woreczek. Sakiewka zabrzęczała. Barbara spojrzała na mężczyznę, zdziwiona.

- Przepraszam - powiedział. - Powinienem wytłumaczyć, o co chodzi. Jestem jednym z uchodźców, którym pomaga pan Forsyth.

- Aha, rozumiem. >- To wyjaśniało jego francuski akcent oraz znoszone ubranie. Był Żydem. Otworzyła szerzej drzwi. - Proszę, niech pan wejdzie.

Staruszek pokręcił głową.

- Nie, nie, dziękuję. Jest późno, nie chcę państwu przeszkadzać. Ale dowiedziałem się dzisiaj, że dostałem przepustkę na wyjazd do

i Przepraszam panią, czy pan Forsyth jest w domu?

Lizbony. - Uśmiechnął się, nie potrafiąc ukryć radości. - Wyjeżdżam z moją rodziną jutro wcześniej rano. Nie mógłbym wyjechać, nie przynosząc tego, co obiecałem. - Wyciągnął w jej stronę woreczek. - Proszę to wziąć. Niech mu pani powie, że to najwyższa jakość, tak jak mówiłem. Były w naszej rodzinie od dawna, ale warto je poświęcić, żeby pojechać do Lizbony.

- W porządku. - Barbara wzięła woreczek. - Musiał pan iść kawał drogi, na pewno nie chce pan wejść? - Spojrzała na jego buty - obcasy były wytarte do cna, pewnie szedł w tej samej parze obuwia z Francji.

- Nie, dziękuję, muszę wracać. - Uśmiechnął się. - Ale musiałem dotrzymać obietnicy. Proszę podziękować ode mnie panu Forsythowi. Bardzo się martwiliśmy, słyszeliśmy, że Niemcy wysyłają republikańskich uchodźców z powrotem z Francji i baliśmy się, że poproszą o nas w zamian. Ale teraz będziemy bezpieczni, dzięki pani mężowi. - Ucisnął jej rękę, po czym założył kapelusz, odwrócił się i kulejąc, ruszył powoli podjazdem.

Barbara zamknęła drzwi. U szczytu schodów zobaczyła cień i domyśliła się, że Pilar stała i podsłuchiwała. Czy już zawsze tak będzie?

- Pilar - zawołała ostrym tonem. - Zrób mi, proszę, filiżankę czekolady.

Cień podskoczył.

- Si, señora - powiedziała dziewczyna. Rozległ się dźwięk pospiesznych kroków na schodach kuchennych. Barbara stała w przedpokoju. Zważyła w dłoni paczkę. To nie mogły być monety, coś lżejszego. Wróciła do salonu i rozwiązała rzemyk, po czym wysypała na dłoń zawartość woreczka.

W środku były pierścionki i naszyjniki, dwie broszki i kilka przedmiotów o dziwnym kształcie, prawdopodobnie o znaczeniu religijnym. Wszystkie były ze złota, z jasnego, błyszczącego złota. Zmarszczyła brwi, zdziwiona.

Uznała, że lepiej będzie, jeśli zanieś woreczek Sandy'emu. W ciszy syczało i bulgotało centralne ogrzewanie. Spod drzwi gabinetu dobywała się smuga światła. Usłyszała głos, musiał wciąż rozmawiać przez telefon. Miała już zapukać, ale coś w jego tonie ją powstrzymało. Głos

Sandy'ego brzmiał tak samo, jak wcześniej, kiedy mówił o swoich fantazjach.

- Powinien w końcu zacząć gadać. Mieliście go cały dzień. Co mu robiliście? - Na chwilę zapadła cisza, po czym znowu rozległ się głos Sandy'ego. - Te stare wygi z Maroka to nieźli twardziele. Wciąż mówi, że naprawdę nazywa się Gomez? Cóż, może to ma sens, musieliby skądś skrócić fałszywe papiery, żeby zmienić nazwisko, a to działka gestapo. - Znowu zapadła cisza, przerwana jedynie kilkoma przytaknięciami Sandy'ego, potwierdzał to, co mówił człowiek po drugiej stronie Unii. Kiedy Sandy znowu się odezwał, jego głos był ostry, wściekły. - Zostawiam go w twoich zdolnych rękach. - Przerwał, po czym dodał: - Wokół Santa Marii jest dosyć miejsc. Słuchaj, muszę kończyć, mam przed sobą papiery Brett. Nie, on mi ufa. Tak. Adios. - Rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Usłyszane słowa utknęły Barbarze w głowie. Co mu robiliście? Działka gestapo. A Harry był w to jakoś wplątany. Stała przed drzwiami, serce waliło jej jak młotem. Usłyszała, jak Sandy otwiera szufladę

biurka i chrząka. Przełknęła ślinę i cicho odsunęła się od drzwi, przyciskając mocno do piersi płócienny woreczek. Później mu go da.

W salonie Pilar postawiła na stoliku z szyciem filiżankę czekolady. Barbara usiadła ciężko z woreczkiem na kolanach. W co też Sandy się, do cholery, wplątał? Pomyślała znowu o jego obeldze na temat fantazji. Pomyślała, że był zdolny do wszystkiego, nigdy tak naprawdę go nie znała. Znowu przełknęła głośno ślinę i położyła woreczek na stole. Spięta, wpatrywała się w niego, nasłuchując uważnie kroków.

Rozdział trzydziesty drugi

Sofia i Harry spacerowali wolno po dzielnicy Rastro. Była chłodna, pochmurna niedziela. Na głównym madryckim targu ulicznym kłębiły się tłumy ludzi. Krzywo zadaszone drewniane stoiska rozlewały się w boczne uliczki wokół Płaza de Cascorro. Można było znaleźć na nich wszelkiego rodzaju rupiecie: tanie porcelanowe bibeloty, części zepsutych maszyn, kanarki w drewnianych klatkach. Harry chętnie wziąłby Sofię za rękę, ale jeżeli para nie była małżeństwem, było to zakazane jako niemoralne. Tu i tam w bramach stały dwójki civiles, lustrując tłum surowym spojrzeniem.

Minął dokładnie tydzień, od kiedy kochali się w jego mieszkaniu. Od tamtego czasu udawało im się spotkać prawie każdego dnia. Harry miał dużo wolnego czasu, bo szpiedzy nie dali mu żadnych dalszych instrukcji. Sofia przychodziła do jego mieszkania wieczorami i wychodziła wcześniej, bo w mleczarni pracowała na porannej zmianie.

Był szczęśliwy, jakby zakochał się po raz pierwszy, szczęśliwy, że jego uporządkowany świat odwrócił się do góry nogami. W ostatnim liście od Willa Harry przeczytał o kłopotach, jakie mieli ze znalezieniem sprzętaczki do ich domu na wsi, o szkole dzieci, i wydało mu się, że był niewyobrażalnie daleko od świata swojego kuzyna, chociaż jednocześnie poczuł nagły przyptyw miłości do niego.

Mieli jednak swoje tajemnice. Harry nie pragnął niczego bardziej niż opowiedzieć Sofii o swojej pracy szpiega i o tym, jak nienawidził tego zajęcia, jak jego jedyny przyjaciel w ambasadzie okazał się być jego obserwatorem. Ale nie mógł i nie powinien być tego robić. Sofia za

to nie powiedziała rodzinie o ich związku. Mówiła, że jeszcze nie przyszła na to odpowiednia pora. Kiedy zostawiała wieczorami Enrique, żeby opiekował się matką i Pakiem, mówiła, że idzie odwiedzić jedną z dziewczyn z mleczarni. Wyglądało na to, że nie miała nic przeciwko okłamywaniu swojego brata; Harry zastanawiał się, czy czasem rodziny, które były tak bardzo ze sobą żyte jak oni, nie musiały mieć swoich tajemnic, żeby przetrwać.

Dziś Sofia miała jak co tydzień wolne. Umówiła się z Enrique, że zostanie w domu z matką i Pakiem. Najpierw kochali się w mieszkaniu Harry'ego, a potem Sofia zaproponowała spacer po Rastro.

- Nigdy nie pachniesz mlekiem - powiedział Harry, kiedy przepychali się przez tłum. - Dlaczego nigdy nie pachniesz mlekiem?

Roześmiała się.

- Czym więc pachnę?

- Tylko sobą. To bardzo czysty zapach.
- Kiedy zaczęłam tam pracować, przysięgam sobie, że nigdy nie będę pachnieć jak inni. Mamy tam prysznic: woda jest zimna jak lód i stoi się na betonowej posadzce, trzeba też uważać, żeby nie wpaść nogą w dziurawy metalowy odpływ, ale myję się codziennie.
- Umiesz sobie dać radę w każdej sytuacji, prawda?
- Tak. - Uśmiechnęła się. - Mam nadzieję.

Weszli głębiej w tłum, śmiejąc się z niektórych dziwacznych rzeczy wystawionych na sprzedaż, aż doszli do części, gdzie sprzedawano jedzenie. Większość stoisk była pusta, tu i tam trafiały się czasem wysuszone warzywa. Na straganie z mięsem sprzedawano podroby, które Harry czuł już z kilku metrów, ale i tak stała kolejka chętnych. Sofia dostrzegła w jego spojrzeniu odrazę.

- Ludzie kupują teraz, co popadnie - powiedziała. - Racje są za małe, żeby nakarmić nawet psa.
- Wiem.
- Wszyscy są zrozpaczeni. Dlatego Enrique podjął tę pracę, wiesz. To w głębi serca dobry człowiek, nie chciał być szpiegiem.
- Zastanawiałem się, czy bycie złym szpiegiem oznacza, że jest się lepszym człowiekiem.
- Może i tak. Ludzie, którzy potrafią oszukiwać innych, nie mogą być dobrzy, prawda? Enrique czuje się lepiej, sprzątając ulice.
- Jak jego noga?
- W porządku. Wieczorami wciąż jest zmęczony, ale poprawi mu się. Señora Avila jest rozczarowana. Zarabiamy teraz więcej, przez co straciła jeden z argumentów podsuwanych księdzu: że mamy za mało pieniędzy, by opiekować się Pakiem.

Spojrzał na nią.

- Jakim człowiekiem był twój wujek, ten, który był księdzem?

Sofia uśmiechnęła się smutno.

- Mama i tata przenieśli się w poszukiwaniu pracy z Tarancón do Madrytu, kiedy byłam mała, a wujek Ernesto objął parafię w Cu-ence. Choć moi rodzice byli republikanami, zostali w kontakcie z nim, w Hiszpanii rodzina jest wszystkim. Kiedy byłam mała, każdego lata jeździliśmy na kilka dni do wujka Ernesta. Pamiętam, że jego sutanna mnie fascynowała. - Roześmiała się. - Pamiętam, że pytałam mamę, dlaczego wujek chodzi w sukience. Ale był miłym człowiekiem. Pozwalał mi czyścić świeczniki w kościele.. Zostawiałam na nich mnóstwo odcisków palców, ale mówił, że to nie szkodzi. Pewnie jedna z jego beatas polerowała je potem drugi raz. - Spojrzała na Harry'ego. - Od końca wojny mama powtarza, że jedno z nas powinno pojechać do Cuenki dowiedzieć się, czy on wciąż żyje. Ale nawet gdyby było nas stać, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Słyszałam nieprzyjemne opowieści o tym, co spotkało tam księży i zakonnice.

- Przykro mi.

Na chwilę złapała go za rękę, zasłaniał ich tłum.

- Przynajmniej miałam rodzinę, która się mną opiekowała. Nie odesłano mnie do szkoły jak ciebie.

Ulica przed nimi rozszerzyła się. Panował tu jeszcze większy ścisk, Harry zobaczył niezwykłą liczbę dobrze ubranych klientów, którzy tłoczyli się wokół stoisk. Mieli napięte twarze i zmarszczone brwi. W bramie stało dwóch civiles i obserwowało całą scenę.

- Co się dzieje? - spytał Harry.

- Tutaj lądują wszystkie rzeczy zabrane z domów bogaczy w trzydziestym szóstym - powiedziała Sofia. - Ludzie, którzy je zabrali, potrzebują pieniędzy na jedzenie, więc sprzedają je właścicielom stoisk. Bogaci madrytcy przychodzą tu w poszukiwaniu rodzinnych pamiątek.

Przeszli obok stoisk. Stały na nich drogie wazony i zastawy stołowe, porcelanowe figurki, nawet stary gramofon ze srebrną tubą. Harry przeczytał widniejącą na nim inskrypcję: „Dla don Juana Ramireza Davila od kolegów z Banco de Santander, 12.7.19”. Starsza kobieta przebierała w stosie broszek i naszyjników z macicy perłowej.

- Nigdy go nie znajdziesz, Dolores - wymamrotał zmęczonym głosem jej mąż. - Zapomnij o nim.

Harry podniósł porcelanową figurkę kobiety w osiemnastowiecznej sukni. Miała obtłuczony nos.

- Niektóre z tych rzeczy pewnie dużo dla kogoś znaczyły.

- Kupiono je za pieniądze skradzione ludziom - odparła Sofia, głosem trochę surowszym niż zwykle.

Przeszli do stołu, na którym leżała olbrzymia sterta fotografii. Przebierał je stojący wokół stoiska tłum ludzi. Tutaj twarze przeszukujących stos były smutne, przybite, czasem rozgorączkowane.

- Skąd są te zdjęcia? - spytał Harry.

- Wyjęto je, kiedy sprzedawano ramki. Ludzie przychodzą szukać swoich rodzinnych zdjęć.

Niektóre fotografie były współczesne, inne sprzed pół wieku. Zdjęcia ślubne, portrety rodzinne, czarno-białe i w kolorze sepii. Młody mężczyzna w mundurze, uśmiechający się do aparatu; młoda para trzyma się za ręce, siedząc przed tawerną. Harry pomyślał, że wielu z tych ludzi już nie żyje. Nic dziwnego, że klienci szukali zdjęć tak gorączkowo: istniała szansa, że znajdą tu jedyne zdjęcie zaginionego syna bądź brata.

- Tylu odeszło - wyszeptał. - Tylu ludzi.

Sofia oparła się o niego.

- Harry, znasz tamtego mężczyznę? Patrzy na nas.

Harry odwrócił się i gwałtownie złapał oddech. Przy stoisku z porcelaną stał generał Maestre z żoną i Milagros. Miał na sobie cywilne

ubranie, grube palto i filcowy kapelusz. Kiedy nie był ubrany w mundur, rysy jego twarzy były surowsze, wyglądał starzej. Señora Maestre przyglądała się srebrnemu świecznikowi, ale generał patrzył na Harry'ego z marsową miną. Milagros również na niego spoglądała, w jej oczach i na jej pulchnej twarzy malował się smutek. Kiedy odwzajemnił jej spojrzenie, zarumieniła się i spuściła głowę. Harry skinął głową w stronę generała, na co ten unióś lekko brwi, po czym krótko skinął głową w odpowiedzi.

- To podsekretarz stanu, generał Maestre - wyszeptał Harry.
- Skąd go znasz? - zapytała Sofia zaskakująco ostrym tonem. Otworzyła szeroko oczy.
- Tłumaczyłem coś dla niego. To dość żenująca sytuacja, byłem raz na randce z jego córką, zostałem w to wrobiony. Chodź, idziemy stąd.

Ale tłum wokół stoiska z fotografiami był tak gęsty, że musieli skierować się w drugą stronę, w kierunku Maestre. Generał zastąpił Harry'emu drogę i przywitał się z nim bez uśmiechu.

- Dzień dobry, señor Brett. Milagros zastanawiała się, czy zapadł się pan pod ziemię.
- Przepraszam, panie generale, byłem zajęty i...

Spojrzał na Sofię. Posłała mu lodowate, gniewne spojrzenie.

- Milagros miała nadzieję, że pan do niej zadzwoni - kontynuował generał. - Chociaż ostatnio ją porzuciła. - Spojrzał z powrotem na swoją rodzinę. - Moja żona lubi tu przychodzić, szukać zagrabionych skarbów naszej rodziny. Zawsze jej powtarzam, że się czymś może zarazić od tych pochodzących ze slumsów zdzir, które się tu kręcą. - Spojrzał znacząco na Sofię, lustrując spojrzeniem jej stary czarny płaszcz, po czym odwrócił się i podszedł z powrotem do swojej żony i Milagros, która udawała, że interesuje ją pastereczka z dreźnieńskiej porcelany. Sofia podążyła za nim wzrokiem z zaciśniętymi pięściami, ciężko dysząc. Harry dotknął jej ramienia.

- Sofio, przepraszam...

Odepchnęła jego rękę i odwróciła się w stronę tłumu. Panował taki ścisk, że ledwo mogła iść do przodu, więc Harry szybko ją dogonił.

- Sofio, Sofio, przepraszam. - Delikatnie odwrócił ją, żeby patrzyła mu w twarz. - To łajdak, brutal, nie ma prawa cię obrażać.

Ku jego zaskoczeniu Sofia roześmiała się ostro i gorzko.

- Myślisz, że ludzie tacy jak ja nie są przyzwyczajeni do obelg od takich jak on? Myślisz, że obchodzi mnie, co myśli ten stary kutas?

- Więc o co ci chodzi?

Pokręciła głową.

- Och, nie rozumiesz tego, ciągle o tym rozmawiamy, a ty wciąż nie rozumiesz.

Poszukał jej dłoni, uściśnął ją mocno. Ludzie gapili się na nich, ale nic go to nie obchodziło.

- Ja chcę zrozumieć.

Wzięła głęboki oddech. Odsunęła się od niego.

- Chodźmy stąd, obrażamy moralność publiczną.

- W porządku. - Szedł obok. Spojrzała na niego.

- Słyszałam o tym człowieku. Generał Maestre. Baliśmy się tego nazwiska podczas oblężenia. Mówią, że w jednym miasteczku rozkazał wyprowadzić żony wszystkich socjalistycznych radnych na plac, po czym kazał Maurom związać je i obciąć im na oczach mężów piersi. Wiem, że było w tamtych czasach dużo propagandy, ale opiekowałam się mężczyzną z tamtego miasteczka, a on powiedział, że to prawda. A kiedy rok temu zajęli Madryt, Maestre miał duży udział w łapanekach wywrotowców. Nie chodziło tylko o komunistów, ale także ludzi, którzy pragnęli jedynie prowadzić bezpieczne, spokojne życie jako obywatele tego kraju. - Harry zobaczył, że po twarzy płyną jej łzy. - Nazywali to oczyszczaniem. Noc w noc ze wschodniego cmentarza dobiegały strzały. Ciągłe je słysząc. Wkroczyli do tego miasta jak okupanci i tak je nadal traktują. A Falanga paraduje i szaleje w naszym mieście...

Weszli w spokojniejszą okolicę. Sofia nagle się zatrzymała. Wzięła głęboki oddech i wytarła twarz chusteczką. Harry stał, patrząc na nią. Nie mógł nic powiedzieć. Dotknęła jego ramienia.

- Wiem, że starasz się zrozumieć - powiedziała. - Ale zobaczyłam, jak rozmawiasz z tą bestią. Przyjechałeś do tego... do tego piekła

z innego świata, Harry. Zostaniesz tu na trochę, a potem wyjedziesz. - Spuściła głowę. - Zabierz mnie do swojego mieszkania, Harry, chcę się z tobą kochać. Przynajmniej możemy się kochać. Nie chcę teraz więcej rozmawiać.

Szli dalej w milczeniu, z powrotem na Plaza de Cascorro, gdzie zaczynał się targ. Kiedy szli przez plac, Harry pomyślał, że może mógłby ją stąd zabrać, wywieźć do Anglii? Ale jak? Nigdy nie zostawiłaby matki ani Enrique, ani Paca, a jak można by ich stąd zabrać? Szła przodem, przepychając się przez tłum. Była silna i niezłomna, ale równocześnie taka mała, taka bezbronna w mieście, w którym rządzą generałowie, obsypywani przez Hoare'a i Hillgartha Rycerzami Świętego Jerzego.

Rozdział trzydziesty trzeci

Na Tierra Muerta pogoda się pogorszyła. Pewnego ranka, kiedy jeńcy się obudzili, zobaczyli, że wszystko, nawet strome dachy wież obserwacyjnych, pokrył śnieg. Na drodze do kamieniołomu leżała gruba warstwa puchu, przez co stare, popękane buty więźniów nasiąkły wodą. Bernie przypominał sobie matkę; kiedy był mały, zawsze powtarzała, że w zimie nigdy nie powinien mieć przemoczonych

nóg, to najlepszy sposób na złapanie kataru. Roześmiał się głośno, a Pablo odwrócił się w jego stronę i posłał mu zdziwione spojrzenie.

Mężczyźni zatrzymali się na krótki postój w zagłębieniu między wzgórzami, skąd przy odpowiednich warunkach atmosferycznych widać było Cuencę. Ale tego dnia nie było widoku, jedynie kawałek brązowej skały między białymi wzgórzami i mglistym niebem.

- Ruszać się, parszywe lenie! - zawołał strażnik. Mężczyźni zatupali kilka razy, żeby przywrócić krążenie w nogach, po czym ustawili się w szeregu.

Vicente umierał. Władze obozu widziały już dosyć śmierci, by wiedzieć, kiedy nie było sensu zmuszać kogoś do pracy, bo i tak zaraz opuści ten świat. Vicente od dwóch dni leżał w chacie na pryczy, na zmianę tracąc i odzyskując przytomność. Za każdym razem, kiedy się budził, błagał o wodę, mówił, że jego głowa i gardło płoną.

Tamtej nocy silny wiatr z zachodu przygnał ze sobą rzęsiłą, zamarzającą ulewę, która zmyła śnieg. Następnego ranka wciąż lało, wichura przesuwiała po placu ściany deszczu. Jeńcy dowiedzieli się, że następnego dnia nie będzie pracy. Bernie pomyślał, że pewnie strażnikom nie uśmiechało się stanie na dworze w taką pogodę. Nawałnica trwała. Mężczyźni siedzieli w chatkach i grali w karty, szyli albo czytali to, na co im pozwalano, czyli katolickie rozprawy lub „Arribę”.

Bernie wiedział, że kilka dni wcześniej grupka komunistów miała zebranie, na którym przedyskutowano jego sprawę. Od tego czasu wszyscy go unikali, nawet Pablo, i nie powiedzieli, jaką podjęli decyzję. Bernie zgadywał, że dali mu trochę czasu, bo czekali, aż Vicente umrze.

Prawnik przespał większość poranka, ale koło południa się ocknął. Zacharczał. Bernie leżał na swojej pryczy, ale kiedy go usłyszał, podniósł się i nachylił w jego stronę. Vicente, potwornie wychudzony, miał zapadłe strasznie podsinione oczy.

- Wody - wycharczał.

- Poczekaj chwilę, zaraz przyniosę. - Bernie włożył swój połatany wojskowy szynel i wyszedł; skrzywił się z bólu, gdy grudki zamarzającego deszczu uderzyły go w twarz. Chaty nie miały bieżącej wody, więc jakiś czas temu umył bardzo dokładnie swoje wiadro na urynię i teraz co noc wystawiał je na zewnątrz, żeby nałapać deszczówki. Kubek był prawie pełny. Wniósł go do środka, zaczerpnął wody blaszanym kubkiem i delikatnie uniósł głowę prawnika, żeby mógł się napić. Establo, który leżał na pryczy naprzeciwko, zaśmiał się gardłowo.

- Ay, Inglés, zmuszasz tego biedaka, żeby pił twoje szczyny?

Vicente opadł z powrotem na łóżko; nawet picie wody go wycieńczało.

- Dzięki.

- Jak się czujesz?

- Wszystko strasznie mnie boli. Chciałbym, żeby już było po wszystkim. Myślę sobie, że koniec z kamieniołomami, koniec z mszami. Jestem taki okropnie zmęczony. Czuję się gotowy na spotkanie z wieczną ciszą. - Bernie nie odpowiedział. Vicente posłał mu zmęczony uśmiech. - Właśnie śnił mi się nasz przyjazd tutaj. Pamiętasz tamtą ciężarówkę? Jak nią trzęsło?

- Tak.

Kiedy Bernie trafił do niewoli, spędził wiele miesięcy w więzieniu w San Pedro de Cardena - tam przeprowadzono pierwsze testy psychologiczne. Do tego czasu większość angielskich jeńców repatriowano przy użyciu kanałów dyplomatycznych, ale nie jego. Pod koniec trzydziestego siódmego roku został niespodziewanie przeniesiony do obozu w Tierra Muerta wraz z grupą hiszpańskich i zagranicznych jeńców, których uznano za politycznie niebezpiecznych. Bernie zastanawiał się, czy to przez członkostwo w partii ambasada nie upomniała się o zwolnienie; jego matka z pewnością starała się go wydostać, kiedy dowiedziała się, że trafił do niewoli.

Do Tierra Muerta zawieziono ich starymi wojskowymi ciężarówkami. Vicente był przykuty do ławki obok niego. Zapytał Berniego, skąd pochodzi, i prędko wdali się w dyskusję na temat komunizmu. Berniemu podobało się cyniczne poczucie humoru Vicente; to zawsze było jego słabością w stosunkach z burżuazyjnymi intelektualistami.

Kilka dni po przyjeździe do Tierra Muerta Vicente odnalazł Berniego. Wcześniej oddelegowano go do pomocy w administracji przy sterckie formularzy wypełnianych przy przyjmowaniu nowych więźniów. Bernie siedział na ławce na dziedzińcu. Vicente usiadł obok niego i zagadnął go cicho.

- Pamiętaj, jak powiedziałaś, że reszta angielskich jeńców wróciła do kraju, a tobie wydawało się, że ambasada cię zostawiła, bo byłeś komunistą?

- Pamiętam.

- To nie jest prawdziwa przyczyna. Obejrzałem dzisiaj twoją teczkę. Anglicy myślą, że nie żyjesz.

Bernie był zaskoczony.

- Co?

- Co dokładnie się stało, kiedy schwytano cię nad Jaramą?

Bernie zmarszczył brwi.

- Na jakiś czas straciłem przytomność. Potem zgarnął mnie faszystowski patrol.

- Zadali ci standardowe pytania? Nazwisko, narodowość, przynależność polityczna?

- Tak, sierżant, który mnie złapał, coś zapisywał. To był kawał drania. Chciał mnie zastrzelić, ale jego kapral przekonał go, że nie powinien, bo byłem cudzoziemcem, i mogą być z tego kłopoty.

Vicente pokiwał z wolną głową.

- Wygląda na to, że był z niego jeszcze gorszy drań, niż ci się wydaje. Jeżeli obcokrajowcy zostaną wzięci do niewoli, ich ambasady powinny być o tym poinformowane. Ale z twojej teczki wynika, że potraktowano cię jak Hiszpana. Pod hiszpańskim nazwiskiem sąd wojskowy skazał cię na dwadzieścia pięć lat więzienia, tak jak wielu innych. Dopiero później władze zdały sobie sprawę z pomyłki, ale postanowili nie ruszać tej sprawy.

Bernie spojrzął przed siebie.

- Więc moi rodzice myślą, że nie żyję?
- Pewnie zostałeś uznany za zaginionego i prawdopodobnie martwego. Możliwe, że sierżant, który cię schwytał, podał nieprawdziwe dane właśnie po to, żeby twoja ambasada się o tobie nie dowiedziała. Zrobił to z nienawiści.
- Dlaczego nikt tego nigdy nie sprostował?

Vicente rozłożył ręce.

- Prawdopodobnie przez biurokratyczną bezwładność. Im dłużej nie informowano ambasady o tobie, tym więcej szumu by było po ujawnieniu całej sprawy. Sądzę, że stałeś się dla nich problemem, jakąś anomalią. Więc postanowili cię pogrzebać. Tutaj.
- A co by się stało, gdybym coś powiedział?

Vicente pokręcił głową.

- Nic dobrego. - Spojrzał na niego poważnie. - Mogą cię zastrzelić, żeby pozbyć się problemu. Tutaj nie mamy żadnych praw, jesteśmy niczym.

Vicente przespał resztę dnia, od czasu do czasu tylko budził się na chwilę i prosił o wodę. Tego samego wieczoru przyszedł ojciec Eduardo. Bernie zobaczył, że zawinięty w czarny płaszcz ksiądz idzie przez smagany deszczem i wicherą plac. Kiedy wszedł do środka, cały ociekał wodą.

Ojciec Jaime na pewno zignorowałby innych i podszedł prosto do łóżka chorego, ale ojciec Eduardo zawsze próbował nawiązać kontakt z więźniami. Rozejrzał się po wnętrzu chaty z nerwowym uśmiechem.⁴

- Ay, co za burza - powiedział. Niektórzy spojrzeli na niego lodowato, reszta nie przerywała czytania albo szycia. Ksiądz podszedł w stronę pryczy Vicente. Bernie wstał i zastąpił mu drogę.
- On nie chce ojca widzieć - powiedział cicho.
- Muszę z nim porozmawiać, to mój obowiązek. - Ksiądz nachylił się bliżej. - Postuchaj no, Piper, ojciec Jaime chciał tu przyjść, ale powiedziałem, że to ja czuję się odpowiedzialny za duszę tego człowieka. Wolisz może, żebym po niego poszedł? Nie chcę tego robić, ale jeśli utrudnisz mi do niego dostęp, będę musiał to zgłosić; ojciec Jaime jest moim przełożonym.

Bernie bez słowa ustąpił. Zastanawiał się, czy może nie byłoby lepiej, gdyby to ojciec Jaime tu przyszedł. Vicente łatwiej byłoby oprzeć się jego brutalności.

Hałas obudził prawnika. Spojrzał w górę, kiedy ksiądz się nad nim pochylił. Z płaszcza księdza spadły na szorstkie prześcieradło krople wody.

- Czy to woda święcona, ojczu?
- Jak się pan czuje?
- Jeszcze żyję. Bernardo, amigo, dałbyś mi więcej wody?

Bernie zanurzył kubek w wiadrze i podał go Vicente, który wypił

łapczywie jego zawartość. Ksiądz spojrział z obrzydzeniem na kubek.

- Señor, jest pan bardzo chory - powiedział. - Powinien się pan wypowiadać.

W chacie zapadła całkowita cisza. Wszyscy więźniowie patrzyli i nasłuchiwali, w bladym świetle świec widać było jedynie ich blade twarze. Wiedzieli, że Vicente nienawidził księży i czekał na ten moment.

- Nie. - Vicente udało się lekko unieść. Na jego siwym zarostcie, w zmęczonych, pełnych złości oczach błyszczało światło. - Nie.

- Jeśli umrze pan bez spowiedzi, pana dusza trafi do piekła. - Ojciec Eduardo był niespokojny, bawił się guzikiem sutanny. W okularach odbijało się światło świec, zamieniając jego smutne oczy w dwa płomyki.

Vicente przesunął językiem po wyschniętych wargach.

- Nie ma piekła - wysapał. - Tylko... cisza. - Zakaszłał i zacharczał. Wycieńczony, opadł z powrotem na łóżko. Ojciec Eduardo westchnął i odwrócił się od niego. Nachylił się do Berniego. Pachniał lekko kadzidłem i olejkami.

- Moim zdaniem temu człowiekowi został dzień, najwyżej dwa dni życia - wyszeptał. - Wróć tu jutro. Ale posłuchaj, czy ten kubek na mocz to jedyne, co masz, żeby dawać mu pić?

- Wyczyściłem go.

- Wszystko jedno, to straszne, żeby używać go do tego celu. Skąd bierzesz wodę?

- To deszczówka.

- Deszcz nie będzie padał wiecznie. Posłuchaj, w kościele mam kran oraz wiadro. Przyjdź do mnie jutro, dam ci wody.

- Nie dobierze się ojciec do niego w ten sposób.

- Nie chcę, żeby ten człowiek cierpiał więcej niż to nieuniknione!

- powiedział ojciec Eduardo z nagłym gniewem. - Przydziesz albo nie, twoja wola, ale mam wodę, jeśli chcesz. - Odwrócił się na pięcie i pewnym krokiem wyszedł z chaty na dwór, wprost na deszcz. Bernie spojrział na Vicente.

- Poszedł sobie.

Prawnik uśmiechnął się cierpko.

- Byłem silny, prawda, Bernardo?

- Tak, byłeś silny. Przepraszam, że nie udało mi się go powstrzymać.

- Pomogłeś mi wyprowadzić go z równowagi. Wiem, że przede mną jest tylko nicność. Czekam na nią. - Vicente złapał gwałtownie oddech.

- Próbowałem zebrać dość flegmy, żeby na niego splunąć. Jeśli tu wróci, następnym razem mi się uda.

Tej nocy wiatr odwrócił się, zaczął wiać znowu ze wschodu i przyniósł śnieg. Następnego ranka było przejmująco zimno. Wiatr ucichł. Śnieg leżał grubą warstwą, tłumiąc odgłosy obozu; kiedy mężczyźni ustawiali się na zbiórkę, lód chrząścił im pod stopami. Aranda nie lubił zimna. Pojawił się w hełmie z kominiarką, który wyglądał dziwnie w połączeniu z jego nieskazitelnym mundurem.

Była niedziela, więc tego dnia nie pracowano. Po zbiórce niektórych więźniów przydzielono do odśnieżania dziedzińca. Odgarniali śnieg na przyrmy obok chat. Vicente obudził się palony pragnieniem. Przed snem Bernie wystawił na dwór kubek, który teraz był pełen śniegu. Spojrzał na niego. Roztopienie śniegu w zimnej chacie zajęłoby wieki, a nawet wtedy kubek byłby ledwie w jednej czwartej pełny. Stał przez chwilę, trzęsąc się z zimna, bolały go stare rany w ramieniu i udzie. Spojrzał w stronę chaty, w której mieścił się kościół, na jej ścianie namalowany był krzyż. Zawahał się, po czym poszedł w tamtą stronę.

Aranda stał w drzwiach swojej chaty, obserwując grupę sprzątającą śnieg. Wbił wzrok w Berniego, idącego przez plac. Bernie przeszedł przez kościół i zapukał do drzwi zakrystii. W środku było napalone w piecu, ciepłe powietrze działało na niego kojąco jak balsam. Przy piecu stał ojciec Jaime i grzał sobie ręce, a ojciec Eduardo siedział za biurkiem i pracował. Starszy ksiądz spojrzał nieufnie na Berniego.

- Czego chcesz?

- Dyskutuję z tym człowiekiem na różne tematy - powiedział ojciec Eduardo.

- Z nim? To komunista. Wypowiadał się?

- Jeszcze nie.

Ojciec Jaime zmarszczył nos, wyraźnie zdeglustowany.

- Zostawiłem mszał w swojej kwaterze. Pójdę po niego. Powietrze w tym pokoju się popsuło. - Wyszedł, szeleszcząc sutanną i trzaskając za sobą drzwiami. Bernie spojrzał znacząco na ojca Eduardo.

- Czy okłamywanie przełożonego nie jest czasem poważnym grzechem?

- Nie skłamałem. Przecież rozmawialiśmy, prawda? - Ojciec Eduardo westchnął. - Nie przekonam cię, prawda, Piper?

- Przyszedłem po wodę.

- Tam. - Ksiądz skinął głową w kąt pokoju, gdzie był kran. Stało pod nim czyste metalowe wiadro. Bernie napełnił kubek, po czym odwrócił się do ojca Eduardo.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby ojciec wlał dzisiaj rano do tego wiadra odrobinę wody święconej i je pobłogosławił.

Ojciec Eduardo pokręcił głową.

- Wiesz tak mało o tym, w co wierzymy. Umiesz rzucać kąśliwe uwagi, ale do tego nie potrzeba głębokiej wiedzy.

- Przynajmniej nie dręczę ludzi w ostatniej godzinie ich życia. Adios. - Bernie odwrócił się i wyszedł.

Plac został prawie całkowicie oczyszczony ze śniegu, jeńcy ustawiali łopaty pod ścianą chaty komendanta. W połowie drogi Bernie usłyszał okrzyk.

- Hej, ty! Ingles!

Aranda zszedł po schodach chaty i podszedł do niego. Bernie postawił kubek i stanął na baczność. Komendant stanął przed nim, marszcząc gniewnie brwi.

- Co jest w tym wiadrze?

- Woda, panie komendancie. W mojej chacie jest chory człowiek. Ojciec Eduardo powiedział, że mogę wziąć dla niego trochę wody z kranu w kościele.

- Cholerny lalusz. Im szybciej adwokat umrze, tym lepiej. Bernie wyczuł, że Aranda jest znudzony i stara się go sprowokować.

Spuścił wzrok.

- Nie wierzę w mięczaków. - Aranda przewrócił kopniakiem wiadro, woda rozlała się po ziemi. Uśmiechnął się. - ¡Viva la Muerte! Oddaj wiadro temu lalusiowi. Pogadam na ten temat z ojcem Jaime. Ruszaj się!

Bernie podniósł wiadro i wrócił powoli do chaty. Był wściekły, ale poczuł ulgę. Uszło mu płazem. Aranda najwyraźniej miał ochotę dać komuś popalić. Powtórzył księdzu to, co powiedział Aranda.

- Mówi, że doniesie o tym ojcu Jaime.

- To twardy człowiek. - Ojciec Eduardo wzruszył ramionami. Bernie odwrócił się, żeby odejść.

- Poczekaj - powiedział ksiądz. Wciąż wyglądał przez okno. - Komendant wchodzi do swojej chaty. - Odwrócił się do Berniego. - Posłuchaj, ja go znam, teraz pójdzie grzać się przy piecu, który jest na tyłach chaty. Napełnij z powrotem wiadro i idź szybko, nie zobaczy cię.

Bernie zmrużył oczy.

- Czemu to robisz?

- Widziałem, że twój przyjaciel bardzo potrzebuje wody, chcę mu pomóc. Nic poza tym.

- Jeśli chcesz mu pomóc, zostaw go w spokoju. Nie męcz go w ostatnich godzinach jego życia tylko dlatego, że istnieje jedna na milion szansa nawrócenia go.

Ksiądz nie odpowiedział. Bernie ponownie napełnił wiadro i wyszedł bez słowa. Kiedy przechodził przez plac, serce waliło mu jak młotem. Obaj, i on, i ksiądz, chyba oszaleli. Gdyby Aranda zauważył jego nieposłuszeństwo, wpadłby w szat.

Doszedł do chaty bezpiecznie, zamknął za sobą drzwi. Podszedł do pryczy Vicente.

- Woda, amigo - powiedział. - Na koszt Kościoła.

Ksiądz wrócił jeszcze tego samego popołudnia. Zdrowi jeńcy, zmęczeni ciągłym zamknięciem, wyszli na plac i grali bez entuzjazmu w piłkę. Vicente majaczył w gorączce, wydawało mu się, że jest z powrotem w swoim biurze w Madrycie, prosił kogoś, żeby przyniósł mu teczkę i otworzył okno, bo jest gorąco. Pocił się, chociaż w chacie było lodowato zimno. Bernie siedział przy nim i od czasu do czasu przecierał mu twarz brzegiem prześcieradła. Naprzeciwko siedział Establo i palił papierosa. Ostatnimi czasy rzadko wychodził na dwór.

Bernie usłyszał szelest i odwrócił się. Ojciec Eduardo stał obok niego; musiał wejść po cichu do chaty.

- Coś mu się śni, ojcie - wyszeptał Bernie. - Proszę go zostawić, on jest daleko stąd.

Ksiądz położył na łóżku pudełko, Bernie domyślił się, że z olejkami. Serce waliło mu jak młotem; nadeszła decydująca chwila. Ojciec Eduardo schylił się i dotknął czoła Vicente. Prawnik skrzywił się i odsunął, po czym powoli otworzył oczy.

- Mierda. Znowu ty.

Ojciec Eduardo wziął głęboki oddech.

- Sądzę, że nadeszła pana godzina. Traci pan co chwila przytomność, następnym razem może się pan nie obudzić. Señor Vicente, nawet teraz Bóg może dać pańskiej duszy wieczny żywot.

- Nie słuchaj go - powiedział Bernie.

Vicente uśmiechnął się trupio, odsłaniając zbieleńnięte dziąsła.

- Nie martw się, compadre. Daj mi wody.

Bernie pomógł Vicente się napić. Prawnik pił długimi, powolnymi łykami, nie spuszczać wzroku z księdza. Następnie opadł na łóżko, dysząc ciężko.

- Proszę. - W głosie ojca Eduardo rozbrzmiewała błagalna nuta. - Ma pan szansę na wieczne życie. Proszę jej nie odrzucać.

Vicente zaczął charczeć. Ksiądz kontynuował.

- Jeżeli odrzuci pan tę ostatnią szansę, trafi pan do piekła. Tak głosi Biblia.

W gardle Vicente charczało i bulgotało. Bernie wiedział, co prawnik miał zamiar zrobić. Ksiądz pochylił się naprzód, a Vicente wziął głęboki oddech, ale ślina, którą zbierał, spłynęła mu w głąb gardła. Zakaszał i zaczął się krztusić. Rozpaczliwie próbował złapać oddech. Usiadł i starał się wciągnąć

powietrze, jego twarz zrobiła się czerwona. Bernie wyciągnął ramię i uderzył go w plecy. Vicente wybałuszył oczy, dusił się, skręcało go. Nagle jego zmarnowane ciało przeszył dreszcz i prawnik padł na pryczę. Z jego gardła dobyło się długie, bulgoczące westchnienie, słychać w nim było skrajne zmęczenie. Bernie zobaczył, że jego oczy gasną. Vicente nie żył. Ksiądz opadł na kolana i zaczął się modlić.

Bernie usiadł na łóżku. Trzęsły się pod nim nogi. Po minucie ojciec Eduardo wstał i się przeżegnał. Bernie spojrzał na niego lodowato.

- Czy ojciec wie, że on próbował ojca opluć?

Ksiądz pokręcił głową.

- Ojciec straszył go piekłem, a on próbował księdza opluć i zakrzutusił się własną śliną. To ojciec sprowadził na niego śmierć.

Ksiądz spojrzał na ciało Vicente, po czym pokręcił głową, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.*

- Niech się ojciec nie martwi! - zawołał za nim Bernie. - Vicente nie trafił do piekła. Właśnie się z niego wydostał.

Vicente został pochowany następnego dnia. Ponieważ nie przyjął ostatniej posługi, nie mogło być ceremonii kościelnej. Vicente byłby z tego zadowolony. Bernie stąpał powoli przez śnieg za grupą niosącą ciało owinięte w stare prześcieradło. Szli na wzgórze, gdzie kopano groby. Patrzył, jak opuszczają zwłoki do płytkiej mogiły, którą przygotowali tego samego ranka.

- Adiós, compadre - wyszeptał. Poczuł się strasznie samotny.

Strażnik, który ich eskortował, przeżegnał się, po czym karabinem nakazał Berniemu wrócić do obozu. Więźniowie ze zmiany odpowiedzialnej za pogrzeb zaczęli z trudem zasypywać grób zmrożoną ziemią. Znowu grubymi, białymi płatami zaczął padać śnieg. Bernie pomyślał, że zdaniem ojca Eduardo Vicente smaży się w wiecznym ogniu, podczas gdy tak naprawdę jest otoczony lodem. Vicente rozbawiłby taki żart.

Tego samego popołudnia Bernie siedział oparty o ścianę chaty i palił papierosa, którego dał mu z uprzejmości jeden z więźniów ze zmiany odpowiedzialnej za pogrzeb. Podszedł do niego Pablo. Widać było, że jest zakłopotany.

- Zostałem wyznaczony, żeby z tobą porozmawiać w imieniu komórki partyjnej - powiedział.

Bo byłeś moim przyjacielem, pomyślał Bernie. Establo chce mi pokazać, że wszyscy się z nim zgadzają.

- Zostałeś uznany winnym niepoprawnego burżuazyjnego indywidualizmu i oporu wobec władzy - powiedział sztywno Pablo. - Zostałeś wydalony z partii, ostrzegamy cię również, że jeżeli spróbujesz w jakikolwiek sposób sabotować działalność naszej komórki, zostaną podjęte odpowiednie kroki. - Bernie wiedział, co to oznaczało: pchnięcie nożem w ciemności; takie rzeczy już się zdarzały wśród więźniów.

- Jestem wierny komunizmowi i to nigdy nie ulegnie zmianie - powiedział. - Nie akceptuję władzy Establa. Pewnego dnia przedstawię moją sprawę Komitetowi Centralnemu.

Pablo zniżył głos.

- Dlaczego sprawiasz kłopoty? Po co tak się upierać? Jesteś uparty, Bernardo. Ludzie mówią, że byłeś przyjacielem prawnika jedynie po to, by nas zdenerwować.

Bernie uśmiechnął się gorzko.

- Vicente był uczciwym człowiekiem. Podziwiałem go.

- Po co to całe zamieszanie z księdzem? Przez takie rzeczy pojawiają się kłopoty. Nie ma sensu kłócić się z księżmi. Establo ma rację, to tylko burżuazyjny indywidualizm.

- Więc co mamy robić? Jak mamy się im przeciwstawiać?

- Musimy być silni, zjednoczeni. Pewnego dnia faszyzm upadnie. - Pablo skrzywił się i zaczął drapać nadgarstek. Może też miał świerzb, bo jeśli spędzało się za dużo czasu z Establem, istniało ryzyko zakażenia. - Jeszcze jedno: Establo chce, żebyś wyprowadził się z chaty. Chce, żebyś poprosił o przeniesienie. Możesz powiedzieć, że trudno ci tu mieszkać po śmierci przyjaciela.

Bernie wzruszył ramionami.

- Mogą się nie zgodzić.

- Establo powiedział, że musisz się przeprowadzić.

- Spytam, towarzyszu. - Bernie wymówił ostatnie słowo gorzkim tonem, z naciskiem. Pablo się odwrócił, Bernie odprowadził go wzrokiem. A jeśli nie dostanę pozwolenia, co jest bardzo prawdopodobne, pomyślał Bernie, Establo powie, że znowu sprawiam problemy. Dobrze to wymyślił. Spojrzał przez druciane ogrodzenie na wzgórze, gdzie leżał pochowany Vicente. Na śniegu widniała brązowa kreska. Bernie nie miałby nic przeciwko przyłączeniu się do niego pod ziemią. Zacisnął usta. Będzie walczył, dopóki żyje. Tak postępuje prawdziwy komunista.

Rozdział trzydziesty czwarty

Atmosfera przy kolacji była napięta. Sandy i Barbara palili bez przerwy papierosy, także między podawanymi daniami. Sandy był wyjątkowo małomówny, co chwila milkł, a podejmowane przez Barbarę nerwowe próby nawiązania rozmowy były niezgrabne. Raz czy dwa Barbara spojrzała osobiście na Sandy'ego. Harry miał wrażenie, że byli od siebie oddaleni, dziwnie odosobnieni. Nastrój przy stole sprawiał, że Harry czuł się niespokojny i spięty. Nie mógł oderwać wzroku od zamyślonej, trochę odpychającej twarzy Sandy'ego i nie potrafił przestać myśleć o tym, co się stało z Gomezem. Co on mu zrobił?

Szpiedzy wiedzieli, że Sandy zaprosił go znowu na kolację i tego popołudnia miał rozmowę z Hillgarthem. Nie widział go od ponad tygodnia. Gabinet komandora mieścił się na tyłach ambasady, w części, której Harry nigdy wcześniej nie odwiedził. Bardzo oficjalna sekretarka zaprowadziła go do obszernego pokoju o wysokim, ozdobionym fasetą sklepieniu. Na ścianach wisały oprawione w ramki zdjęcia okrętów wojennych; na półce obok almanachu Whitakera i katalogu okrętów wojennych stały

egzemplarze powieści Hillgartha. Harry przypomniał sobie ze dwa tytuły, które Sandy czytał w szkole: Księżniczka i krzywoprzysięzca, Podżegacz.

Hillgarth siedział za dużym dębowym biurkiem. Twarz miał ponurą i nachmurzoną, a w dużych, wyrazistych oczach tlił się gniew, chociaż mówił, nie podnosząc głosu.

- Mamy kłopoty z Maestre - zaczął. - Jest wściekły jak cholera. On i kilku jego monarchistycznych kumpli naprawdę szpiegowali*

tę pieprzoną kopalnię, a Gomez pracował dla nich. Szkoda, że to właśnie ty musiałeś go zdemaskować. Maestre i tak nie był zbyt szczęśliwy, że zostawiłeś jego córkę na lodzie. To koniec ich operacji.

- Mogę zapytać, co się stało z Gomezem, panie komandorze? Czy on...

- Maestre nie wie, ale nie spodziewa się go znowu zobaczyć. Gomez pracował dla niego od lat.

- Rozumiem. - Harry poczuł, jak w gardle rośnie mu gula.

- Przynajmniej wydaje się, że Forsyth nic nie podejrzewa. - Hillgarth spojrzał na niego uważnie.

- Więc dalej wciskaj mu kit, zgadzaj się na inwestycje, opowiedz mi też o tych raportach, o których ci mówili, jak tylko je zobaczysz. Zależy mi na tym.

- Tak, panie komandorze.

- Sir Sam wywiera nacisk na rząd w Londynie. Mogą odciąć nam dofinansowanie. Jeśli tak się stanie, albo jeśli coś pójdzie nie tak, mam plan awaryjny. - Przerwał na chwilę. - Spróbujemy zwerbować Forsytha. Nie możemy zaproponować mu aż tyle, ile może zarobić na kopalni, ale może moglibyśmy wyrzucić na niego presję w jakiś inny sposób. Wciąż nie utrzymuje kontaktu z rodziną?

- Wcale.

Hillgarth chrząknął.

- Czyli tam nic nie wskóramy. A, trudno, zobaczymy. - Spojrzał na Harry'ego surowo. - Martwisz się. Nie podoba ci się pomysł wywierania presji na Forsytha? Miałem wrażenie, że nim gardzisz.

Harry nie odpowiedział. Hillgarth wciąż mu się przyglądał.

- Nie zostałeś stworzony do tego rodzaju roboty, co, Brett?

- Nie, panie komandorze - powiedział powoli Harry. - Robiłem tylko to, o co mnie proszono. Przykro mi z powodu tego, co spotkało porucznika Gomeza.

- I dobrze, że ci przykro. Ale ważne, żebyś na razie robił to, co robisz. Później odeślemy cię do domu. Pewnie już niedługo. - Uśmiechnął się lekko. - Pewnie ci ulży, co?_

Pilar przyniosła główne danie: paellę, małże, krewetki i anchois na ryżu. Postawiła talerz na stole i wyszła z pokoju, unikając spojrzeń obecnych. Barbara nałożyła jedzenie na talerze.

- Świeża ryba to prawdziwa rzadkość - powiedział Sandy, wyraźnie ożywiony na widok jedzenia. Uśmiechnął się do Harry'ego. - Ryb jest teraz mniej niż kiedykolwiek.

- Czemu?

- Rybacy dostają przydział benzyny do łodzi, ale z powodu astronomicznych cen paliwa na czarnym rynku po prostu sprzedają ją z ogromnym zyskiem i nie wypływają wcale na morze. To przez naszą blokadę.

- Czy rząd nie może ich zmusić, żeby używali benzyny do wypływania w morze i łowienia ryb?

Sandy się roześmiał.

- Nie. Nawet jeśli wydałby odpowiednie zarządzenie, nie udałoby się go wyegzekwować. Zresztą przy korycie siedzi połowa ministrów.

- Jak tam ten projekt, w który inwestujesz? - zapytała Barbara. Pośłała Harry'emu dziwne spojrzenie.

- No cóż...

- Powoli... - powiedział Sandy. - Chwilowo nic się nie dzieje.

Barbara przez moment spoglądała to na jednego, to na drugiego.

- Dostałem wczoraj list od Willa - powiedział Harry. - Cieszy się, że jest na wsi.

- Jego żona musi być zadowolona, że są z dala od bombardowań.

- Tak, to było dla niej za wiele. - Spojrzała na nią poważnie. - Słyszałaś o Coventry?

Zaciągnęła się papierosem. Jej oczy, przesłonięte okularami, były zmęczone i podkrążone; Harry wcześniej tego nie zauważył.

- Tak. Podobno pięciuset zabitych. Centrum miasta obrócone w ruinę.

- Raporty w „Arribie” są przesadzone - powiedział Sandy. - Skutki bombardowań zawsze brzmią gorzej, niż wygląda rzeczywistość: Niemcy mówią im, co pisać.

- To wiadomości z BBC.

- Wydaje się, że to prawda - zgodził się Harry.

- Coventry znajduje się ledwie dwadzieścia pięć kilometrów od Birmingham - powiedziała Barbara. - Za każdym razem, kiedy słucham BBC, boję się, że dowiem się czegoś o nalotach w tamtym rejonie. Z listów od mojej matki widać, że jest wykończona. - Westchnęła i uśmiechnęła się smutno do Harry'ego. - To dziwne uczucie, kiedy twoi rodzice nagle zachowują się jak para przerażonych staruszków.

- Powinnaś ich odwiedzić - powiedział Sandy.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czemu nie? Od lat nie byłeś w domu. Nadchodzą święta. To byłaby dla nich miła niespodzianka.

Barbara przygryzła wargi.

- Jakoś tak... Nie wydaje mi się, żeby chwila była odpowiednia - powiedziała.

- Ależ czemu nie? Mogę ci załatwić bilet lotniczy.

- Pomyślę o tym.

- Jak chcesz.

Harry spojrzał na Barbarę. Zastanawiał się, czemu nie miała ochoty polecieć do domu. Odwróciła się do niego.

- A ty, Harry, dostaniesz wolne na święta?

- Nie sędzę. Lubią mieć tłumaczy pod ręką, tak na wszelki wypadek.

- Ale pewnie chciałbyś zobaczyć się z ciotką i stryjkiem?

- Tak.

- Sandy mówi, że znalazłeś sobie dziewczynę - powiedziała Barbara, siłąc się na pogodny ton. - Czym się zajmuje?

Harry żałował, że powiedział o niej Sandy'emu tamtego dnia, kiedy pojechali do kopalni.

- Pracuje... pracuje w mleczarstwie.

- Od jak dawna się spotykacie?

- Od niedawna. - Harry pomyślał o poprzednim wieczorze, który spędzili w mieszkaniu w Carabanchel. Sofia niespodziewanie przyznała się, że powiedziała o nich swojej rodzinie. Harry był ciekaw ich reakcji. Matka Sofii i Enrique przywitali się z nim wylewnie, a Harry domyślał się, że byli zadowoleni, bo znalazła kogoś bogatego, nawet

jeśli to cudzoziemiec. Paco był spokojniejszy i po raz pierwszy z nim porozmawiał. Harry poczuł się uprzywilejowany.

- Będziesz musiał zaprosić ją na kolację - powiedziała pogodnie Barbara. - Będzie nas czworo.

- To dlatego nie lecisz do domu na święta. - Sandy wycelował w Harry'ego palec. - Szczwany z ciebie lis. - Wytarł usta serwetką.

- Gdzie jest pieprz? Pilar chyba zapomniała go przynieść.

- Przyniosę - powiedziała Barbara. - Zaraz wrócę. Wysza z pokoju. Sandy spojrzał poważnie na Harry'ego.

- Chciałem się jej na chwilę pozbyć - powiedział. - Obawiam się, że mamy problem z kopalnią.

Serce Harry'ego zabiło mocniej.

- O co chodzi?

- Sebastian przestraszył się i zmienił zdanie, nie podoba mu się, że obcokrajowiec będzie inwestował w kopalnię. Obawiam się, że z interesu nici. - Wydawał się przybity.

- Jaka szkoda. - Więc Hillgarth nie dostanie swoich raportów. - To dziwne, zdawało mi się, że to Otero był podejrzliwy.

Sandy bawił się swoim kryształowym kieliszkiem do wina.

- Obawia się, że komitetowi nadzorującemu kopalnię nie podoba się pomysł brania pieniędzy od angielskiego inwestora. Wywierają na nas... - przerwał - presję.

- To komitet generała Maestre?

- Tak. Pilnują nas bardziej, niż sądziliśmy. Podejrzewamy, że wiedzą także o tobie.

Harry chciał zapytać o Gomeza, ale się nie odważył.

- Czyli ciągle macie problemy z dofinansowaniem? Sandy skinął głową.

- Tak właściwie to komitet chce przejąć nasz projekt, a wtedy szlag trafi dochody. Oczywiście członkowie komitetu zgarną całą kasę.

- Przykro mi.

- E, pewnie coś tam zarobimy. Przepraszam, że cię zawiodłem.

- Spojrzał na Harry'ego smutno psim wzrokiem, oczy miał wilgotne. Jak szybko potrafił zmienić ich wyraz. A

- Nic nie szkodzi. Może i lepiej, jeśli się w to nie zaangażuję. Nie jestem pewien, czy takie interesy mi odpowiadają.

- To miło z twojej strony, że tak na to patrzysz. Chciałem po prostu coś dla ciebie zrobić, no wiesz... Ze względu na starą znajomość.

Na korytarzu zadzwonił telefon; Harry aż podskoczył. Usłyszał kroki i głos Barbary, mówiła po angielsku. Chwilę później weszła do pokoju, jej twarz była zaniepokojona.

- Harry, dzwonią do ciebie z ambasady. Mówią, że to pilne. - Spojrzała na niego zatroskana. - Mam nadzieję, że to nie są złe wieści z kraju.

- Dałeś im nasz numer telefonu? - Sandy spojrzał na Harry'ego surowo.

- Musiałem, mam dziś wieczorem dyżur. Muszę pojechać do ambasady, jeśli trzeba coś na gwałt przetłumaczyć. Przepraszam na chwilę.

Wyszedł na korytarz. Małe brasero, które stało pod stolikiem od telefonu rzucało na podłogę żółtawe światło i ogrzewało mu stopy. Podniósł słuchawkę.

- Halo? Harry Brett.

Odpowiedział mu spokojny kobiecy głos.

- A, pan Brett, cieszę się, że udało się nam z panem skontaktować. Mam na linii rozmówcę, panią Sofię Roque Casas. - Kobieta się zawahała. - Mówi, że to pilne.

- Sofię?

- Czeka przy telefonie. Czy chce pan z nią porozmawiać?

- Tak, proszę nas połączyć.

Rozległ się trzask i Harry przez chwilę myślał, że stracił połączenie, kiedy nagle usłyszał Sofię. Dziwnie było słyszeć jej głos w korytarzu mieszkania Sandy'ego.

- Harry? Harry, to ty? - Zwykle mówiła spokojnie, ale teraz w jej głosie była panika.

- Tak, Sofio, o co chodzi?

- O mamę. Chyba miała kolejny wylew. Enrique wyszedł, jestem sama. Paco jest w strasznym stanie, był przy tym. Harry, możesz przyjechać? - zapytała przez tży.- Wylew?

- Chyba tak, jest nieprzytomna.

- Już przyjeżdżam. Gdzie jesteś?

- Musiałam przejść kilka ulic dalej, żeby znaleźć telefon. Przepraszam, nic innego nie przyszło mi do głowy. Ojej, Harry, niedobrze z nią.

Zamyślił się na moment.

- W porządku. Wracaj do mieszkania, przyjadę tak szybko, jak tylko będę mógł. Wracaj do mamy i Paca.

- Pospiesz się, proszę, proszę. - Panika w jej głosie była przerażająca. - Wiedziałam, że przyjedziesz - dodała pospiesznie, po czym rozległ się trzask, kiedy odłożyła słuchawkę.

Drzwi salonu się otworzyły i stanęła w nich Barbara.

- O co chodzi? Czy powiedziałaś, że ktoś miał wylew? Twój stryjek?

- Nie, matka Sofii, mojej... mojej dziewczyny. - Podążył za Barbarą do jadalni. - Zadzwoiła do ambasady, a oni przekierowali rozmowę tutaj. Jest sama w domu z matką i chłopczykiem, którym się opiekują. Muszę do nich pojechać.

Sandy spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Nie może zadzwonić po lekarza?

- Nie stać ich na to. - Musiał to powiedzieć nieprzyjemnym tonem, bo Sandy uniósł ręce w górę.
- Dobrze, stary, w porządku.
- Czy złapię tu gdzieś taksówkę? - Harry przyjechał do nich tramwajem.
- O tej porze to może długo potrwać. Gdzie oni mieszkają?

Harry się zawahał.

- W Carabanchel.
- W Carabanchel? - Sandy uniósł brwi.
- Tak.
- Zawiozę cię. - Głos Barbary stał się stanowczy. - Jeżeli ta biedna kobieta miała wylew, może będę w stanie pomóc.
- Sofia studiowała kiedyś medycynę. Ale na pewno będziesz mogła pomóc. Nie masz nic przeciwko?
- Nie jest bezpiecznie jeździć w tamte okolice samochodem - powiedział Sandy. - Zadzwońmy po taksówkę.
- Nic mi nie będzie. - Barbara podeszła do drzwi. - Chodźmy po kluczyki.

Harry poszedł za nią. W drzwiach się odwrócił. Sandy wciąż siedział przy stole, był zły i podenerwowany. Nigdy nie lubił, gdy go ignorowano.

Noc była pogodna i zimna. Barbara prowadziła szybko i pewnie. Minęli centrum i wjechali w ciemne uliczki robotniczych dzielnic. Wydawało się, że Barbarze ulżyło, kiedy wyszła z domu. Spojrzała na Harry'ego z zaciekawieniem.

- Nie miałam pojęcia, że Sofia mieszka w Carabanchel.
- Spodziewałaś się kogoś z klasy średniej?
- Podświadomie chyba tak. - Barbara uśmiechnęła się smutno. - Sama wiem, że nie można przewidzieć, w kim się zakochamy.'- Spojrzała na niego pytająco. - Czy dużo dla ciebie znaczy?
- Tak. - Harry się zawahał. - Przez pewien czas zastanawiałem się, czy to nie... sam nie wiem, wyrzuty sumienia albo coś w tym rodzaju, chęć doświadczenia życia prawdziwych Hiszpanów. - Zaśmiał się z zakłopotaniem.
- Integracja?
- Coś w tym rodzaju. Ale... ale nie, to naprawdę miłość. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem. - Zawahała się. - Co na to ambasada?
- Nic im nie powiedziałem. Chcę zachować chociaż część swojego życia dla siebie. To tu, następna ulica.

Zaparkowali samochód przed kamienicą, w której mieszkała Sofia i weszli pospiesznie do środka. Wbiegli na górę po nieoświetlonych schodach. Sofia usłyszała ich, stała w drzwiach, słabe, żółtawe światło z mieszkania wychodziło na korytarz. Ze środka dochodził histeryczny płacz dziecka. Sofia była blada, włosy miała proste i nieuczesane. Spojrzała na Barbarę.

- Kto to?
- Barbara, żona mojego znajomego. Jedliśmy razem kolację. Jest pielęgniarką, może będzie mogła pomóc.

Sofia opuściła rękę.

- Za późno. Mama odeszła. Nie żyła, kiedy wróciłam do domu z budki telefonicznej.

Wprowadziła ich do środka. Stara kobieta leżała na łóżku. Miała zamknięte oczy, a jej pobladła twarz była nieruchoma i spokojna. Paco leżał mocno wtulony w jej ciało, szlochając i zawodząc dziko. Kiedy weszli do pokoju, zmierzył Barbarę przerażonym wzrokiem. Sofia podeszła do niego i pogłaskała go po głowie.

- Nie bój się, Paco, ta pani jest przyjaciółką Harry'ego. Przyszła nam pomóc. Nie jest z Kościoła. Proszę cię, zostaw ją na chwilę. - Oderwała chłopca delikatnie od ciała matki i przytuliła go. Usiedli oboje na łóżku, płacząc. Harry usiadł obok nich i objął Sofię ramieniem.

Paco wstał. Spojrzył na Barbarę, jego strach nie zniknął. Podeszła do niego i bardzo delikatnie ujęła jego małe, brudne rączki.

- Cześć, Paco - powiedziała po hiszpańsku. - Mogę nazywać cię Paco? - Pokiwał obojętnie głową. - Posłuchaj, Paco, Sofia jest bardzo zdenerwowana. Jeśli możesz, musisz zachowywać się jak duży chłopiec. Wiem, że to trudne. Chodź, usiądź koło mnie. - Paco pozwolił jej odciągnąć się od łóżka. Posadziła go na jednym z plecionych krzesel i przyciągnęła drugie. Usiadła na nim.

Sofia, wciąż wtulona w Harry'ego, spojrzała na ciało matki.

- Spodziewałam się, że to się stanie i pewnie tak jest dla niej lepiej, ale mimo to ciężko mi. Powinnam zadzwonić po karetkę, nie możemy jej tu zostawić.
- Czy Enrique nie będzie chciał jej zobaczyć? - spytał Harry.
- Chyba lepiej, żeby nie. - Wstała i poszła do drzwi, żeby wziąć płaszcz.
- Ja pójdę - powiedział Harry.

Barbara wstała.

- Nie, zostań z Sofią. Widziałam po drodze telefon, niedaleko stąd. Ja pójdę. W

- Nie powinna pani iść sama - powiedziała Sofia.
- Bywałam w gorszych miejscach. Pozwólcie mi to załatwić. - Mówiła energicznie, poważnie, chciała być pomocna. - Zaraz wrócę.
- Nim zdążyli zaprotestować, zniknęła, z klatki schodowej doszedł ich odgłos jej kroków. Sofia wzięła Paca za rękę i zaprowadziła go z powrotem na łóżko. Spojrzała na nieruchomą twarz Eleny.
- Ostatnio była bardzo zmęczona - powiedziała szeptem. - Dzisiaj wieczorem po kolacji nagle potwornie krzyknęła, zajęczała. Kiedy podeszłam do niej, była nieprzytomna, a kiedy wróciłam po rozmowie z wami, już odeszła. Biedny Paco został z nią sam. - Pocałowała chłopca w czoło. - Nie powinnam była pójść, powinnam była być przy niej.
- Zrobiłaś, co mogłaś.
- Tak jest lepiej - powtórzyła smutno. - Czasami moczyła się w nocy, wytrącało ją to z równowagi, płakała. - Pokręciła głową. - Szkoda, że nie znałeś mamy, nim zachorowała. Była silna, zajmowała się nami. Tata nie chciał, żebyśmy szła na studia, ale mama zawsze mnie wspierała.
- Spojrzała na zdjęcie matki w sukni ślubnej, między mężem i księdzem, jej bratem. Wszyscy troje uśmiechali się do aparatu.

Harry przytulił ją mocniej.

- Biedactwo. Nie wiem, jak potrafiłaś to wszystko znieść. - Przytuliła się do niego mocniej. Po chwili usłyszeli na korytarzu kroki. - Barbara idzie - powiedział Harry. - Na pewno coś załatwiła.

Sofia spojrzała na niego.

- Dobrze się znacie?
- Od dawna. Ale tylko jako przyjaciele.

Barbara weszła do pokoju. Miała rumieńce z zimna.

- Dodzwoniłam się do szpitala. Wyślą karetkę, ale to może trochę potrwać. - Wyjęła spod płaszcza papierową torbę. - Po drodze była bodega, więc zatrzymałam się i kupiłam butelkę brandy. Uznałam, że może się nam wszystkim przydać.
- Świetny pomysł - powiedział Harry.

Sofia przyniosła szklanki, Barbara nalała każdemu solidną porcję. Paco zaciekał się i spytał, czy może się napić, więc dali mu trochę brandy zmieszanej z wodą. Wykrzywił się okropnie.

- Faj! ¡Es horroroso! - Napięcie opadło i wszyscy wybuchnęli śmiechem, odrobinę histerycznie.
- Nie wypada się śmiać - powiedziała Sofia, w jej głosie słychać było poczucie winy.

- Czasami nie można nic na to poradzić - powiedziała Barbara. Rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na poplamione wilgotne ściany i zniszczone meble. Spuściła oczy, czując wyrzuty sumienia, kiedy zorientowała się, że Sofia na nią patrzy.
- Pani jest pielęgniarką, señora? - spytała Sofia. - Pracuje tu pani?
- Nie, chwilowo nie. Jestem... jestem żoną brytyjskiego biznesmena. Chodził z Harrym do szkoły.
- Barbara pracowała przez jakiś czas jako wolontariuszka w kościelnym sierocińcu - powiedział Harry. - Nie była w stanie tego znieść.
- Naprawdę, to było straszne miejsce. - Barbara uśmiechnęła się do Sofii. - Harry powiedział, że studiowała pani medycynę.
- Tak, nim zaczęła się wojna domowa. Czy w Anglii zdarza się, że kobiety zostają lekarkami?
- Rzadko. Jest ich niewiele.
- Na moim roku na uniwersytecie było nas trzy. Czasami wykładowcy nie wiedzieli, co z nami począć. Widać było, że wstydzą się tego, co muszą nam pokazywać.

Barbara się uśmiechnęła.

- Domyślam się, że to były rzeczy nie dla dam?
- Owszem. Ale w czasie wojny i tak wszyscy się takich rzeczy na-oglądali.
- Wiem. Byłam przez jakiś czas w Madrycie, pracowałam dla Czerwonego Krzyża. - Zwróciła się do Paca. - Ile masz lat, niño?
- Dziesięć.
- Chodzisz do szkoły?

Pokręcił głową.

Okropna.

- Nie dawał sobie rady - powiedziała Sofia. - A zresztą i tak nowe szkoły są bezużyteczne, pełno w nich nacjonalistycznych weteranów bez żadnego doświadczenia w nauczaniu. Próbuję uczyć go w domu.

Usłyszeli na schodach odgłos ciężkich męskich kroków. Sofia westchnęła ciężko.

- To na pewno Enrique. - Wstała. - Pozwólcie mi porozmawiać z nim na osobności. Weźcie Paca do kuchni.
- Chodź, młody człowieku. - Barbara wzięła chłopca za rękę i wyszli. W kuchni Harry rozpałił w piecu; Barbara wskazała palcem na leżącą na stole książkę, żeby zająć czymś Paca, który wsłuchiwał się w szmer głosów w pokoju. Książka miała zieloną okładkę, widniał na niej obrazek przedstawiający chłopca i dziewczynkę idących za rękę do szkoły.

- Co to za książka?

Paco przygryzł wargi i dalej nasłuchiwał głosów z pokoju. Harry usłyszał nagły, rozpaczliwy krzyk Enrique.

- Co to za książka? - Barbara ciągle starała się odwrócić uwagę chłopca.

- Mój stary podręcznik. Używałem go, kiedy chodziłem do szkoły, nim zabrali mamę i tatę. Lubiłem go.

Barbara otworzyła książkę i podsunęła Pacowi. Słyszeli z pokoju płacz, płacz mężczyzny. Paco znowu spojrzał na drzwi.

- Pokaż mi - powiedziała łagodnym tonem Barbara. - Tylko przez chwilę. Lepiej zostawić Sofię i Enrique na trochę samych. - Pamiętam tę książkę - dodała. - Rodzina Mera mi ją kiedyś pokazywała. Należała do Carmeli. - Do oczu napłynęły jej łzy. Harry zorientował się, że Barbara zmuszała się do dobrego humoru, ale naprawdę była na skraju załamania. Zwróciła się do Paca.

- Popatrz na spis treści. Historia, geografia, arytmetyka.

- Lubiłem geografię - powiedział Paco. - Popatrz na te obrazki, mają tu wszystkie kraje świata.

W pokoju obok zapadła cisza. Harry wstał.

- Zobaczę, jak tam. Zostań tu z Pakiem. - Uścisnął ramię Barbary i wszedł do salonu. Enrique siedział z Sofią na łóżku. Spojrzał na

Harry'ego; jego blada, mokra od łez twarz miała wyraz goryczy, którego Harry nigdy wcześniej u niego nie widział. Enrique wyglądał, jakby był zły.

- Widzisz wszystkie nasze rodzinne dramaty, Inglés.

- Przykro mi, Enrique.

- To nie wina Harry'ego - powiedziała Sofia.

- Gdyby tylko mógł zobaczyć choć trochę naszej godności. Mieliśmy kiedyś godność, wiesz?

Rozległo się pukanie do drzwi. Sofia westchnęła.

- To pewnie pogotowie. - Ale kiedy podeszła bliżej, drzwi się otworzyły i do środka zajrzała chuda twarz señory Avili. Głowę miała zawiniętą w czarny szal, jego końce trzymała mocno w zaciśniętych dłoniach.

- Bardzo przepraszam, ale usłyszałam płacz, czy coś jest nie tak... ojej. - Zobaczyła ciało na łóżku i przeżegnała się. - Och, biedna señora Roque. Biedna pani. Ale teraz spoczywa w pokoju, z Bogiem. - Spojrzała z zaciekawieniem na Harry'ego.

Sofia wstała.

- Señora Avila, przepraszam, ale wolelibyśmy zostać sami. Czekamy, aż przyjadą zabrać naszą matkę.

Kobieta rozejrzała się po pokoju.

- Gdzie jest Paco? Pobrecito¹.
- W kuchni, z naszą przyjaciółką.
- Powinien być z państwem ksiądz - powiedziała usłużnym tonem kobieta. - Pozwólcie, że pójdę po ojca Fernanda.

Sofii puściły nerwy, Harry dosłownie to poczuł, tak jak gdyby w pokoju coś pękło. Wstała i podeszła do señory Avili. Starucha była wyższa, ale się odsunęła.

- Posłuchaj, ty stara hieno, nie chcemy tu ojca Fernanda! - Głos Sofii przeszedł w krzyk. - Nieważne, jak bardzo będziesz się starała pomóc mu wślizgnąć się do naszego domu, nieważne, jak wytrwale będziesz próbowała dostać Paca w swoje szpony, nie uda ci się! Nie jesteś tu mile widziana, rozumiesz? Precz!

1 Biedactwo.

Señora Avila wyprostowała się, jej blada twarz poczerwieniała.

- Tak witacie sąsiadkę, która przyszła wam pomóc, tak odpowiadacie na chrześcijańską dobroć? Ojciec Fernando ma rację, jesteście wrogami Kościoła...

Enrique wstał z łóżka i ruszył w stronę señory Avili, dłonie zacisnął w pięści. Kobieta się cofnęła.

- Idź więc i donieś na nas swojemu księdzu, ty zasuszona stara jędzio! Masz dla siebie całe mieszkanie, bo ten twój ksiądz jest znajomym nadzorczy kamienicy!
- Mojego ojca zabili komuniści - odparła drżącym głosem kobieta. - Nie miałam dokąd pójść.
- Mam gdzieś twojego ojca! Wynocha! - Enrique uniósł pięść. Señora Avila krzyknęła i wybiegła z mieszkania, trzaskając drzwiami. Enrique przysiadł na podłodze obok łóżka, dysząc. Sofia usiadła ciężko obok niego. Barbara stanęła w drzwiach kuchennych.
- Przepraszam - powiedział Enrique. - Nie powinienem był na nią krzyczeć.
- Nieważne. Jeśli na nas doniesie, możemy powiedzieć, że byłeś zrozpaczony i nie panowałeś nad sobą.

Enrique spuścił głowę na piersi, objął kolana kościstymi dłońmi. Harry usłyszał dochodzące z zewnątrz niewyraźne wycie, które narastało, jakby dochodziło z kilkunastu miejsc naraz.

- Co to jest, na Boga? - zapytała Barbara roztrzęsionym głosem.

Sofia podniosła wzrok.

- Psy. Dzikie psy. O tej porze roku czasami wyją z zimna. To znak, że zima zaczęła się na dobre.

Część trzecia

Mróz

Rozdział trzydziesty piąty

Tierra Muerta od prawie miesiąca była przykryta grubą warstwą śniegu, który tego roku spadł wcześniej i nie stopniał. Strażnicy mówili, że ludzie z okolicznych wiosek uważają, że to najcięższa zima od lat. Pogodne mroźne dni przeplatały się ze śnieżycami, wiatr wiał niezmiennie z północnego wschodu. Czasami w nocy ze wzgórz schodziły karłowate jelenie i zapuszczały się pod obóz, czując pożywienie. Jeżeli podchodziły za blisko, strażnicy strzelali do nich, dzięki czemu w jadłospisie mieli dziczyznę.

Był wczesny grudzień, przez zasy na drodze między obozem a kamieniołomem biegła dobrze wydeptana ścieżka. Co rano grupa pracująca w kamieniołomie szła powoli w stronę wzgórz, gdzie monotonną biel krajobrazu przerywały jedynie cienkie, ogołoczone z liści gałęzie górskich dębów.

Bernie był samotny. Tęsknił za Vicente, żaden z komunistów nie odzywał się do niego. Wieczorami leżał w milczeniu na swojej pryczy. Nawet w Rookwood zawsze miał z kim pogadać. Pomyślał o Harrym Bretcie; Vicente czasami mu go przypominał, tak jak on był dobroduszny i miał niezłomne zasady, nawet jeśli tkwił beznadziejnie w tej klasie średniej.

Mroźna pogoda dawała się więźniom we znaki. Wszyscy kaszleli albo byli przeziębieni; ludzie zaczęli umierać, coraz więcej konduktów pogrzebowych szło w stronę nieoznakowanego cmentarza. Stara rana w ramieniu Berniego zaczęła dokuczać; po wielu godzinach pracy kilofem w kamieniołomie już wczesnym popołudniem konał z bólu.

Rana nogi znad Jaramy, która szybko się zagoiła i wcześniej nie sprawiała mu problemów, także zaczęła go boleć.

Nie udało mu się przenieść do innej chaty, tak jak rozkazał Establo. Przedstawił swoją prośbę, ale przez kilka tygodni nic się nie działo. Pewnego wieczoru, kiedy wrócił z kamieniołomu, powiedziano mu, że Aranda chce się z nim widzieć.

Bernie stanął przed komendantem w jego ciepłej chacie. Aranda siedział w skórzanym fotelu, o który stała oparta szpicruta. Ku zdziwieniu Berniego, komendant uśmiechnął się i poprosił go, żeby usiadł. Podniósł leżącą na biurku teczkę i przejrzał ją.

- Mam tu raport doktora Lorenzo - powiedział pogodnym tonem. - Mówi, że jesteś aspołecznym psychopatą. Jego zdaniem wszyscy wykształceni lewicowcy cierpią na wrodzone aspołeczne szaleństwo.

- Tak, panie komendancie?

- Osobiście sędzę, że to głównie prawda. W czasie wojny twoja strona walczyła o swoje interesy, a nasza o swoje. Teraz mamy w Hiszpanii władzę, bo działa prawo podboju. - Zmrużył oczy. - Co ty na to?

- Zgadzam się z panem, panie komendancie.

- To dobrze. Zgadza się ze sobą. - Aranda wyjął papierosa ze srebrnego pudełka i zapalił go. - Chcesz jednego? - Bernie zawahał się. Aranda zamachał pudełkiem. - No, weź. Rozkazuję ci.

Bernie wyjął papierosa, a Aranda podsunął mu złotą zapalniczkę. Komendant odchylił się do tyłu, od czego fotel zatrzeszczał.

- A więc, powiedz mi, o co chodzi z tym przeniesieniem do innej chaty?
- Trudno mi się tam mieszka od czasu, kiedy zmarł mój przyjaciel.
- Słyszałem też, że pokłóciłeś się ze swoimi komunistycznymi przyjaciółmi. Z Establem Cabo, jeśli chodzi o ścisłość. To silny człowiek, w pewnym sensie go podziwiam. - Uśmiechnął się. - Nie bądź zdziwiony, Piper. Mam swoje wtyczki wśród więźniów.

Bernie milczał. Wiedział, że w większości chat byli donosiciele. W swoim baraku podejrzewali pewnego Baska, katolika, który uczęszczał na msze. Zmarł dwa tygodnie wcześniej na zapalenie płuc.

- Nie jest łatwo być jeńcem i jednocześnie nie cieszyć się sympatią innych. Twoi komunistyczni przyjaciele cię opuścili, może chciałbyś się zemścić? - Uniósł znacząco brwi. - Mógłbyś mieć tyle papierosów, ile dusza zapagnie, inne przywileje także. Mógłbym przenieść cię z grupy pracującej w kamieniołomie. Tam musi być naprawdę zimno, ostatnio jestem przemarznięty do szpiku kości nawet, jeśli tylko wychodzę rano na plac. Jeżeli zostałbyś moim człowiekiem wśród więźniów, nie prosiłbym o wiele, chciałbym tylko od czasu do czasu dostać jakieś informacje, jeśli ktoś by łamał przepisy albo coś w tym rodzaju. O wiele łatwiej się żyje, kiedy masz przyjaciół w obozie wroga.

Bernie przygryzł wargi. Domyślał się, że jeśli odmówi, będą kłopoty. Odpowiedział cicho, starając się, by w jego głosie było słychać tyle respektu, na ile go było stać.

- Nie uda się, panie komendancie. Establo i tak już jest przekonany, że ich zdradzam. Obserwuje mnie.

Aranda się zamyślił.

- Tak, rzeczywiście na to wygląda, ale może twoje kłopoty z komunistami byłyby dobrą wymówką, żebyś znalazł sobie nowych przyjaciół. W ten sposób mógłbyś się czegoś dowiedzieć.

Bernie się zawahał.

- Panie komendancie, mówił pan wcześniej o walce dwóch stron...
- Chcesz powiedzieć, że nie możesz zmienić tego, wobec kogo jesteś lojalny - powiedział Aranda. Wciąż się uśmiechał, ale zmrużył lekko oczy.

Bernie nie odpowiedział.

- Spodziewałem się, że powiesz coś w tym rodzaju, Piper. Wy, ideowcy, zawsze sami sobie narobicie kłopotu. - Pokręcił głową. - W porządku, możesz iść, jestem zajęty.

Bernie wstał. Zdziwił się, że uszło mu to na sucho. Ale czasami Aranda się przyczajał i dobierał ci się do skóry później. Jego papieros już się wypalił, pochylił się więc nad biurkiem, żeby zgasić go w popielniczce. Częściowo spodziewał się, że komendant złapie szpicrutę i dzieli go w twarz, ale on nawet nie drgnął. Uśmiechnął się cynicznie, napawając się strachem Berniego, po czym uniósł ramię w faszystowskim pozdrowieniu.

- ¡Arriba España!
- ¡Grieve España! - Bernie wyszedł z chaty i zamknął za sobą drzwi. Nogi mu się trzęsły.

Establo był chory. Jego świerzb był w gorszym stanie niż kiedykolwiek, a do tego nabawił się jeszcze choroby żołądka; cały czas miał biegunkę. Marniał w oczach, została z niego sama skóra i kości i musiał chodzić o lasce, ale im słabsze stawało się jego ciało, tym bardziej był nieprzejednany i autorytarny.

Pablo zajął pryczę Vicente, ale miał rozkaz ignorować Berniego. Odwrócił głowę, kiedy Bernie wrócił z wizyty u Arandy, i opadł ciężko na łóżko. Establo rozmawiał z pozostałymi komunistami na drugim końcu chaty, ale podszedł do Berniego. Wyłonił się z ledwo rozświetlonej blaskiem świeczek ciemności, postukując laską o drewnianą podłogę. Stał u stóp łóżka.

- Czego chciał od ciebie Aranda? - Mówił świszczącym, gardłowym głosem. Bernie spojrzał na jego pożółkłą, pokrytą świerzbem twarz.

- Chodziło o moją prośbę, żeby przeniesiono mnie do innej chaty. Odmówił.

Establo zmierzył go podejrzliwie wzrokiem.

- Traktuje cię bardzo łagodnie. Tak jak wszystkich informatorów. - Mówił głośno, część mężczyźni odwróciła się w ich stronę i obserwowała ich bacznie.

Bernie uniósł głos.

- Poprosił mnie, żebym donosił, Establo. Powiedział, że przeniesie mnie, jeśli się zgodzę. Domyślałeś się, że może tak postąpić? I tak już odizolowałeś mnie od reszty. Powiedziałem mu, że komuniści nie donoszą.

- Nie jesteś komunistą - powiedział Establo ze świstem. - Uważaj, Piper, obserwujemy cię. - Pokuśtykał z powrotem w stronę swojego łóżka.

Następnego dnia Bernie pracował w grupie oczyszczającej teren, gdzie była kiedyś jaskinia. Wewnątrz zdetonowano potężny ładunek dynamitu, została z niej gigantyczna kupa gruzu. Kazano jeńcom posegregować kamienie różnych rozmiarów na różne stosy i porozbijać te, które były zbyt duże. Wieczorem miała zabrać je ciężarówka. Krążyła plotka, że na pomnik Franco.

Pablo pracował obok Berniego. Nagle odłożył kilof na bok i coś podniósł.

- Ay, popatrz! - zawołał.

Bernie odwrócił się, nie wiedząc, co mogło skłonić Pabla do złamania nakazu milczenia. Spojrzał na stojącego nieopodal strażnika, żeby upewnić się, czy nikt ich nie obserwuje, i podszedł do Pabla, który trzymał w splekanych dłoniach kamień. Jego powierzchnia była ciemnoczerwona, widniała na nim namalowana głowa czarnego mamuta, naprzeciwko niej dwóch ludzi wznosiło dzidy gotowe do ataku.

- Widzisz? - wyszeptał Pablo. - Coś jednak ocalało.

Bernie delikatnie przesunął palcami po powierzchni. W dotyku kamień był zupełnie zwyczajny, farba została dobrze wypalona tysiące lat przedtem.

- Piękny - wyszeptał.

Pablo skinął głową. Wsunął kamyk do kieszeni swojego starego impregnowanego płaszcza.

- Schowam go. Pewnego dnia pokażę ludziom, co zostało zniszczone.

- Uważaj - wyszeptał Bernie. - Jeśli ktoś odkryje, że go masz, wściekną się. - Bernie dobrze wiedział, że życie w niewoli łatwiej było znosić dzięki drobnym zwycięstwom nad ciemniejszymi, ale za te zwycięstwa trzeba było czasem drogo zapłacić.

Zimowe dni w kamieniołomie były przynajmniej krótkie. Strażnik zagwizdał o wpół do piątej, kiedy zaczął zapadać zmrok. Dzień był znowu przejrzysty i zimny. Duże czerwone słońce, które nie dawało ani trochę ciepła, powoli zmierzało ku linii horyzontu, oświetlając na różowo piętrzące się w oddali góry. Stos gruzu prawie całkowicie zniknął,

w zboczu wzgórza pozostał jedynie poszarpany otwór. Kiedy ciężarówka, która miała zabrać kamienie, odjechała górską drogą, podskakując na wertepach, jeńcy oddali narzędzia i zaczęli mozolny marsz z powrotem do obozu.

Tego dnia nie widać było Cuenki - powietrze było zbyt przymglone. Ostatnimi czasy widzieli miasto prawie każdego ranka. Bernie zastanawiał się, czy strażnicy celowo zarządzali postój w tym miejscu, by dręczyć jeńców prześlaskiem wolności. Czasami myślał o tamtych wiszących domach. Jak to jest mieszkać w jednym z nich i mieć za oknem przepaść? Czy dzięki temu nie cierpiało się na lęk wysokości? Jego umysł, z braku możliwości do rozmowy, ostatnio coraz częściej zwracał się ku fantazjom. Teraz już nie tylko komuniści go unikali; Bernie był pewien, że Establo rozgłasza, że jest donosicielem.

Na placu jeńcy ustawili się powoli w szeregach na zbiórkę. Słońce prawie dotykało horyzontu, rzucając czerwoną poświatę na chaty i wieże strażnicze. Aranda wszedł na podium i zaczął wyczytywać nazwiska.

Mniej więcej w połowie Bernie usłyszał cichy stuk w rzędzie przed nim; coś spadło na ziemię. Zobaczył, że Pablo łapie się" za kieszeń i patrzy pod nogi. Kamień przetarł postrzępiony materiał spodni i leżał na ziemi u jego stóp. Jeden ze strażników podszedł szybko do Pabla. Aranda gwałtownie podniósł wzrok.

- Co się tam dzieje?

Strażnik schylił się i podniósł kamień. Przyjrzał mu się, popatrzył na Pabla i podszedł do podium. Razem z Arandą pochylili głowy nad kamieniem. Pablo obserwował ich z pobladłą twarzą.

Aranda skinął głową i strażnik zeskoczył z podium. Razem z drugim wartownikiem wyciągnęli Pabla z szeregu i wykręcili mu ręce do tyłu. Aranda podniósł kamień.

- Mamy wśród nas zbieracza pamiątek! - zawołał. - Ten człowiek znalazł fragment jednego z tych bluźnierczych malowideł i wziął go ze sobą. Czy ktoś jeszcze ma jakieś malowidła w swojej

chacie? - Rozejrzał się po rzędach milczących jeńców. - Nie? W każdym razie wszyscy zostaniecie dzisiaj przeszukani, chaty również. - Pokręcił ze

smutkiem głową. - Czemu nie chcecie nauczyć się postępować tak, jak wam każemy? Ten więzień będzie musiał posłużyć wam za przykład. Dzisiaj zamknąć go w odosobnieniu! Jutro wszyscy zobaczycie go znowu. Strażnicy odciągnęli Pabla.

- To oznacza krzyż - wyszeptał ktoś.

Aranda wrócił do odczytywania nazwisk, wykrzykiwał je wyraźnym, surowym głosem.

Tego wieczoru, po przeszukaniu, Establo podszedł do łóżka Berniego. Towarzyszyło mu czterech innych. Usiadł na pustej pryczy Pabla, skrzyżował dłonie na swojej lasce. Pod wysuszoną skórą widać było pracujące ścięgna.

- Słyszałem, że rozmawiałeś dzisiaj z Pablem w kamieniołomie. Powiedziałeś strażnikom o tym kamieniu? ¿Eh, hombre?

Bernie usiadł i spojrzał Establowi w oczy.

- Establo, wiesz, że tego nie zrobiłem. Wszyscy widzieli, co zaszło

- kamień wypadł mu z kieszeni.

- Co mu powiedziałeś? Ma zakaz rozmowy z tobą.

- Pokazał mi to, co znalazł. Powiedziałem, żeby uważał. Sam go zapytaj.

- Myślę, że na niego doniosłeś.

- Wypadł mu z kieszeni - powiedział Miguel, stary tramwajarz.

- Daj spokój, compadre, wszyscy widzieliśmy.

Establo spojrzał na Miguela spode łba. Bernie się zaśmiał.

- Widzisz, ludzie zaczynają dostrzegać, kim jesteś, hijo de puta¹. Kimś zdolnym do wyciągnięcia korzyści nawet z tego, co zrobią Pablowi.

- Zostaw go, Establo - powiedział Miguel. Starszy mężczyzna odwrócił się i odszedł. Trzej pozostali z ociąganiem poszli w jego ślady. Bernie uśmiechnął się do Establa.

- Twoje ciało więdnie, Establo, a dusza wychodzi z ukrycia.

1 Skurwysyn.

Establo wstał z trudem, trzymając się kurczowo laski.

- Wykończę cię, cabrón - wyszeptał.

- Jeśli sam najpierw nie umrzesz - zawołał za nim Bernie, kiedy Establo zaczął kuśtykać do swojego łóżka.

Następnego dnia po apelu więźniom kazano pozostać w rzędach. Bernie zauważył, że wrócił Agustín. Wyglądało na to, że jest mu zimno - tutejsza pogoda była dla niego przykrą odmianą po Sewilli. Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały, ale strażnik odwrócił wzrok; wydawało się, że ocenia Berniego. Bernie znowu pomyślał, że chodziło o jego dupę; czy to właśnie dlatego pomógł mu tamtego ranka na wzgórzach. „Lepsze czasy”, powiedział Agustín. Bernie prawie roześmiał się na głos.

Dwóch strażników przyprowadziło Pabla z celi. Ustawili go obok krzyża przy stołówce, z ust leciała im para. Bernie spostrzegł, że Agustín wzdycha, jakby był zmęczony. Aranda podszedł do nich, klepiąc się szpicrutą po udzie. Ojciec Jaime i ojciec Eduardo "szli za nim, otuleni w grube czarne płaszcze. Stali na podium z Arandą podczas zbiórki; ojciec Jaime poważny i ponury, ojciec Eduardo ze spuszczoną głową. Zatrzymali się przed Pablem. Aranda odwrócił się i przemówił do jeńców.

- Wasz towarzysz Pablo Jimenez spędzi dzień na krzyżu. To będzie dla niego kara za przemyt. Ale najpierw popatrzcie. - Komendant wyjął kamień z kieszeni i położył na ziemi. Ojciec Jaime podszedł bliżej. Wyjął niewielki młotek, schylił się i walnął w kamień, który rozprysnął się na wszystkie strony. Ojciec Jaime skinął na ojca Eduardo, by schylił się i pozbierał leżące na ziemi kawałki. Ojciec Jaime schował młotek i spojrzał na jeńców z ponurą satysfakcją.

- Tak wojujący Kościół od samego początku dawał sobie radę z poganami - zawołał. - Uderzeniami młota! Zapamiętajcie to sobie, jeżeli cokolwiek jest w stanie trafić do waszych zakutych, niereligijnych łbów. - Odszedł żwawym krokiem, a ojciec Eduardo podążył za nim, z resztkami kamienia w dłoniach. Strażnicy złapali Pabla za ramiona i przywiązali linami do belki krzyża, tak, że ledwie czubki palców stóp dotykały ziemi, po czym odsunęli się. Pablo zawisł na moment bezwładnie, ale zaraz podciągnął się na palcach. Tortura krzyża opierała się na tym, że człowiek nie był w stanie oddychać, wisząc na ramionach, dopóki nie podciągnął się do góry. Po kilku godzinach spędzonych w tej pozycji każdy ruch powodował potworny ból, ale tylko tak można było oddychać: podciągając się mozolnie w górę, opadając w dół, w górę, w dół.

Aranda przyglądał się Pablowi i skinął głową usatysfakcjonowany. Uśmiechnął się ponuro do więźniów, dał komendę „spocznij” i wrócił do swojej chaty. Strażnicy podzielili mężczyzn na grupy. Agustín został przydzielony do zespołu Berniego. Kiedy wychodzili przez bramę, strażnik podszedł do niego.

- Chcę z tobą porozmawiać - wyszeptał. - To ważne. Dziś po kolacji wyjdź na dwór, jakbyś chciał się odlać. Będę czekał na tyłach chaty.

- Czego chcesz? - wyszeptał ostrym tonem Bernie. Z niepokoju na twarzy strażnika wywnioskował, że ten raczej nie chciał go przelecieć.

- Później. Mam ci coś do powiedzenia. - Agustín się oddalił.

Późnym popołudniem zaczęła się śnieżycą, strażnicy nakazali więźniom przerwać pracę wcześniej niż zwykle. W drodze powrotnej Agustín trzymał się drugiego końca pochodu i unikał wzroku Berniego. W obozie Pablo wciąż wisiał na krzyżu, w płatkach wirującego śniegu.

- Mierda - wyszeptał stojący koło Berniego mężczyzna. - Wciąż tu jest. - Pablo był blady i przez jakiś czas się nie ruszał. Bernie myślał przez chwilę, że umarł, ale wtedy podniósł się, palce jego nóg wbiły się w ziemię. Wziął głęboki wdech i wypuścił powietrze z długim, suchym jękiem. Strażnicy zamknęli bramę i rozeszli się, pozostawiając więźniów, by sami wrócili do swoich chat. Bernie wraz z kilkoma jeńcami podszedł do Pabla.

- Wody - wycharczał Pablo. - Błagam, wody.

Mężczyźni schylili się i zaczęli zbierać garściami śnieg i podawali mu go, żeby się napił. Proces był powolny. Nagle drzwi chaty Arandy otworzyły się, żółte światło przeszło ciemność, rozświetlając zmrok. Mężczyźni stężeli, spodziewając się, że komendant każe im się rozejść, ale to był ojciec Eduardo. Zobaczył stojący wokół krzyża tłumek, zawahał się na moment i podszedł bliżej. Więźniowie rozstąpili się.

- Myślałem, że tylko Rzymianie krzyżowali niewinnych - powiedział ktoś na głos. Ojciec Eduardo zamarł na chwilę, po czym podszedł do Pabla i zwrócił głowę w jego stronę.

- Rozmawiałem z komendantem - powiedział. - Wkrótce cię zdejmą. - Jediną odpowiedzią Pabla był świszczący wydech, kiedy po raz kolejny podciągnął się w męczarniach. Ksiądz przygryzł wargi i odwrócił się.

Bernie zastąpił mu drogę. Ojciec Eduardo spojrział na niego i zamrugał nerwowo. Okulary miał przykryte warstwą topniejącego śniegu.

- Czy to masz na myśli, ojczu, kiedy mówisz o chrześcijanach dzielących męki Chrystusa na krzyżu?

Ojciec Eduardo odwrócił się i odszedł powoli ze spuszczoną głową. Kiedy odchodził, brnąc przez zawieję, ktoś zawołał za nim ¡hijo de puta!

Ktoś klepnął Berniego w ramię, tak mocno, że aż podskoczył. Odwrócił się i zobaczył Miguela.

- Dobra robota, Bernardo - powiedział. - Chyba dzięki tobie ten sukinsyn najadł się wstydu.

Ale kiedy Bernie obserwował, jak ojciec Eduardo się wycofuje, jemu też zrobiło się wstyd. Nigdy nie odważyłby się obrazić w ten sposób ojca Jaime, żaden z nich by tego nie zrobił. Zaatakował starszego z nich, tego, którego mógł łatwiej zranić, a gdzie w tym odwaga?

Bernie wyszedł z chaty po kolacji, mówiąc, że musi się odlać, a jego kubek jest pełen. Wolno im było to robić do czasu, gdy gaszono światło. Agustín niepokoił go, ale musiał się dowiedzieć, czego chciał. Zostawił Pabla, który leżał na pryczy obok przykryty grubą warstwą

koców, które ofiarowali mu wszyscy mieszkańcy w chacie; był przemarznięty do szpiku kości i konał z powodu bólu w ramionach. Bernie dołożył swój koc do stosu. Twarz Pabla była kompletnie biała.

- Jest młody i silny - wyszeptał Miguel do Berniego. - Przy odrobinie szczęścia wyjdzie z tego. - Najwyraźniej postanowił zignorować rozkaz Establa i przestał go bojkotować. Może inni pójdą jego śladem.

Na zewnątrz śnieg przestał padać. Bernie poszedł na tyły chaty, gdzie cień baraku skrywał go przed światłem księżyca. W ciemności Bernie dostrzegł blady ogień. Podeszedł do Agustina. Strażnik zgasił papierosa butem.

- Czego chcesz, do cholery? - zapytał wprost Bernie. - Od dawna dziwnie na mnie patrzysz.

Agustín odwzajemnił mu spojrzenie.

- Mam brata w Madrycie, kiedyś był tu strażnikiem. Pamiętasz go? Wysoki, chudy, podobny do mnie, nazywał się Luis.

Bernie zmarszczył brwi.

- Odszedł wiele miesięcy temu, prawda? Co to ma ze mną wspólnego?

- Pojechał do Madrytu szukać pracy; w Sewilli nie miał co robić. Tam spotkał angielskiego dziennikarza, który zna kogoś, kto jest twoim przyjacielem. - Agustín zawahał się na moment, wciąż patrząc na Berniego. - Próbują zorganizować ci ucieczkę.

- Co? - Bernie spojrzał na niego. - Kto jest tym przyjacielem?

- Angielka, señora Forsyth.

Bernie pokręcił głową.

- Kto? Nie znam żadnej señory Forsyth. W szkole znałem chłopaka, który nosił takie nazwisko, ale nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Agustín podniósł dłoń.

- Ciszej, na miłość boską. Ta kobieta jest żoną tego mężczyzny z twojej szkoły. Poznaliście się w Madrycie podczas wojny. Wtedy nazywała się Barbara Clare.

Bernie otworzył usta ze zdumienia.

- Barbara wciąż jest w Hiszpanii? Wyszła za Sandy'ego Forsytha?

- Si. Jest biznesmenem w Madrycie. Nic nie wie, postanowiła go nie wtajemniczać. To ona nam płaci. Moja służba prawie dobiegła końca, nie chcę dalej tu służyć. Nienawidzę tego miejsca. Tego zimna i izolacji.

- Chryste. - Bernie nie przestawał wpatrywać się w Agustina. - Od jak dawna to planujecie?

- Od wielu tygodni. Nie było łatwo. Obserwowałem cię od momentu, kiedy wróciłem. Uważaj, narobiłeś sobie wrogów. Zima to zły czas w obozie, wszyscy są zmarznięci, muszą siedzieć w barakach, zaczynają mieć nikczemne myśli.

Bernie przesunął dłonią po swojej poszarpanej brodzie.

- Barbara. O Boże, Barbara. - Nagle zrobiło mu się słabo, oparł się o ścianę chaty. - Barbara. - Wymówił jej imię cicho. Do oczu napłynęły mu łzy. Wziął głęboki oddech i podszedł bliżej do Agustina, który lekko się wzdrygnął. - Czy to prawda? To prawda?

- Tak.

- Wyszła za Forsytha? - Zaśmiał się z niedowierzaniem. - Czy on o tym wie?

- Nie, tylko ona.

Wziął głęboki oddech.

- Jak macie zamiar to zrobić? Jaki jest plan?

Agustín nachylił się bliżej.

- Zaraz ci powiem.

Rozdział trzydziesty szósty

Od początku grudnia w Madrycie panowało przejmujące zimno. Kiedy Harry obudził się szóstego rano i wyrzwał przez okno, zobaczył, że miasto przykrył całun śniegu. Ukrył część brzydoty miasta i pozostałe po wojnie rany, ale w drodze do ambasady, widząc zaczerwienione i wynędzniałe twarze przechodniów, Harry zastanawiał się, jak ci na wpół zagłodzeni mieszkańcy dadzą sobie radę, jeśli pogoda się nie zmieni.

Spadło tyle śniegu, że tramwaje nie kursowały. Harry szedł przez dziwnie ciche miasto; wszystkie dźwięki były przytłumione, a nie-bieskoszare niebo zapowiadało kolejne opady. Kiedy przechodził przez Castellaną, zobaczył saturator, który utknął na środku drogi i wypuszczał z komina kłęby dymu, podczas gdy kierowca rozpaczliwie próbował go odpalić. Harry'ego minął powoli staruszek z ostem obwieszonym baniakami z oliwą. Popękane buty mężczyzny były przesiąknięte wodą.

- Hace mai tiempo - powiedział Harry.

- Si, muy mai¹.

Był umówiony z Hillgarthem o dziesiątej; nie miał ochoty na to spotkanie, a do tego jeszcze się spóźnił. Przez ostatnie dwa tygodnie, od czasu kolacji przerwanej telefonem od Sofii, Harry kontynuował „rutynową obserwację” Sandy'ego. Spotkał się z nim dwukrotnie w kawiarni, był też znowu w jego domu na kolacji, ale niczego nowego

¹ *Zła pogoda albo złe czasy; Tak, bardzo zła/złe.*

się nie dowiedział. Sandy nie wspominał więcej o kopalni, a kiedy Harry zapytał go, jak mu się układają sprawy, odpowiedział, że Jest ciężko" i zmienił temat. Był zmartwiony i musiał silić się na dobry humor. Podczas ostatniego spotkania w kawiarni wypytywał go o życie w Anglii, jak rozległy był czarny rynek i ile pieniędzy zarabiali kombinatory. Harry zapytał, czy miał zamiar wrócić do domu, ale Sandy tylko wzruszył ramionami. Harry chciał, żeby to się już skończyło, miał serdecznie dosyć kłamstw i oszustw. Nigdy nie opuściła go myśl, że Gomez prawdopodobnie został zamordowany.

Barbara też wydawała się zatroskana i trzymała wobec niego dystans. Ale kiedy odprowadzała go do drzwi po ostatniej wizycie, zapytała, jak się ma Sofia. Sofia zaś wspomniała, że chciałaby się znowu spotkać z Barbarą, więc Harry zaproponował, żeby poszli we troje na lunch. Barbara wahała się, ale w końcu przystała na jego propozycję.

Szpiedzy nie byli zadowoleni, kiedy dowiedzieli się o Sofii. Tolhurst wypytywał go o nią po tym, jak zadzwoniła do ambasady. Harry przypuszczał, że Tolhurst był informowany o wszystkich związanych z nim telefonach.

- Powinieneś być nam powiedzieć, że znalazłeś sobie hiszpańską cizię - powiedział. - Jak się spotkaliście?

Harry opowiedział mu o tym, jak uratował jej brata przed dziczącymi psami. Pominął tylko to, kim był Enrique.

- Ona może być szpiegiem - powiedział Tolhurst. - Nigdy nie dość ostrożności względem kobiet w tym kraju. Mówiłeś, że już cię nikt nie śledzi. Ale w sumie jeśli poznaliście się przypadkiem...

- Tak, to był zupełny przypadek. Poza tym Sofia nienawidzi reżimu.

- Tak, Carabanchel zawsze było czerwoną dzielnicą. Ale nas też tam nigdy nie lubili. Harry, uważaj, tylko to chcę powiedzieć.

- Powiedziałem, że jestem tłumaczem. Nie pyta mnie o pracę.

- Ładna jest? Udało ci się zaciągnąć ją do łóżka?

- Jasna cholera, Tolly, to nie jest jedna z twoich panienek - powiedział Harry z nagłą irytacją w głosie.

Tolhurst zrobił urażoną minę. Odgarnął kosmyk włosów, który zsunął mu się na czoło, poprawił swój krawat z Eton.

- Spokojnie, stary. - Uniósł znacząco brwi. - Nie angażuj się zanadto.

Sprzed ambasady odgarnięto śnieg. Nie było wiatru, flaga Wielkiej Brytanii zwiślała nieruchomo. Harry minął opatulonych w płaszcze, stojących przy wejściu dwóch civiles. Spotkanie znowu miało się odbyć w biurze Tolhursta. Hillgarth już przyszedł. Ubrany był w mundur marynarki wojennej, siedział za biurkiem i palił papierosa. Z portretu na ścianie spoglądało na niego chmurne oblicze króla.

- Dzień dobry, Harry - powiedział Tolhurst.

- Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie, jest tyle śniegu, że tramwaje nie kursują.

- W porządku - powiedział Hillgarth. - Mam zamiar zmienić nasze stanowisko wobec Forsytha. Czytałem raporty z waszych ostatnich spotkań. Nie mówi nic o złocie, ale twoim zdaniem wydaje się być zmartwiony.

- Tak, panie komandorze, tak jest w istocie.

Hillgarth zabębnił palcami o biurko.

- Nie jesteśmy w stanie dowiedzieć się od Maestre niczego na temat kopalni. Wiemy, że jest członkiem komitetu nadzorującego projekt, ale nie chce nam nic powiedzieć, niezależnie od tego, co oferujemy. - Hillgarth spojrział znacząco na Harry'ego. - Wciąż nie ma śladu po jego człowieku, Gomezie, za co obwinia nas. Zwłaszcza ciebie, Harry. - Hillgarth zapalił nowego papierosa i wypuścił z ust kłąb dymu. - Lepiej trzymaj się od niego z dala.

- Spotkałem go na targu w Rastro kilka tygodni temu. Nie był zbyt przyjaźnie nastawiony.

- Nie jestem zdziwiony. - Hillgarth zamyślił się na chwilę. - Powiedz mi, czy sądzisz, że Forsyth to ktoś, kto mógłby angażować się w jakieś pokątne układy?

- Myślę, że tak - powiedział powoli Harry. - Jeżeli bałby się o swoje własne interesy.

Hillgarth pokiwał głową.

- Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tej kopalni, na jakich rozmiarów złoży Uczy reżim. Pozostał nam teraz tylko Forsyth. - Hillgarth przyjrzał mu się badawczo. - Chcę ci dać szansę odpokutowania za twoje grzechy. Zastanawiamy się, czy by go nie zwerbować. Skoro Maestre nie można przekupić. Powiedz mu, Tolly.

Tolhurst zrobił poważną minę.

- Harry, to są tajne informacje. Pamiętasz, jak pytałeś o Rycerzy Świętego Jerzego?

Harry pokiwał głową.

- Nasz rząd odłożył sporą sumę pieniędzy na przekupywanie ludzi w Hiszpanii, wysoko postawionych monarchistów i innych, którzy mają wpływy i mogą próbować powstrzymać Hiszpanię od przystąpienia do wojny.

- Większość ambasad ma fundusze na łapówki - dodał Hillgarth. - Ale nie na tę skalę. Nie tylko niechęć wobec faszystów skłania Maestre do przekazywania nam informacji. Jego i całkiem sporą grupkę wysoko postawionych urzędników. Gdyby Forsyth zgodził się na współpracę, moglibyśmy udostępnić mu fundusze. Oraz ochronę dyplomatyczną, jeśli zajdzie taka potrzeba. Uznałem, że tylko w ten sposób możemy dowiedzieć się czegoś o złocie. Akcje spółki zajmującej się kopalnią lecą na łeb na szyję. Pewnie Maestre i jego komisja starają się przycisnąć go do muru. Chcą odebrać złoto Falandze.

- To by się zgadzało, panie komandorze.

- Londyn chce wiedzieć, czy to złoto istnieje i ile go jest. Wywierają nacisk na Sama, ale on na razie nawet nie może umówić się na spotkanie z Franco, który bardzo się stara, żeby okazać nam pogardę i zadowolić Niemców. A z tego, co się dowiedziałem o Forsycie, chętnie przejdzie do naszej drużyny, jeśli jego projekt będzie w niebezpieczeństwie. - Pochylił się do przodu. - Jak uważasz, Harry?

- Jeżeli ma kłopoty - odpowiedział Harry po chwili namysłu - domyślam się, że się zgodzi. - Gardził Sandym, ale ku swojemu zdziwieniu poczuł ulgę na myśl, że Hillgarth mu pomoże. - Jeśli zorganizujemy mu drogę ucieczki, mam nadzieję, że zgodzi się na mniejszą sumę - dodał Tolhurst. - Nie chcemy nadwerężyć naszego budżetu.

Harry spojrział poważnie na Hillgartha.

- Ale nie wiem, na ile można ufać Sandy'emu. Zawsze działał na własną rękę.

Hillgarth uśmiechnął się.

- Och, dobrze o tym wiem. Wydaje mi się, że z Forsytha byłby dobry szpieg. Lubi mieć tajemnice, może nawet cieszy go odrobina niebezpieczeństwa. Zgadza się?
- Powiedziałbym, że tylko o ile niebezpieczeństwo nie jest zbyt blisko. W tym momencie chyba jest przerażony - dodał Harry, patrząc Hillgarthowi prosto w oczy. - Możliwe, że będziecie zadawać się z osobą zamieszaną w morderstwo.

Komandor przechylił głowę.

- To nie pierwszy raz, nie możemy być wybredni.

Na moment zapadła cisza. Przerwał ją Tolhurst.

- Czy Forsyth ma jakieś poglądy polityczne?
- Wydaje mi się, że popiera każdy rząd, który daje mu wolną rękę w kwestii zarabiania pieniędzy. Dlatego lubi Franco. Oczywiście nienawidzi komunistów. - Harry przerwał. - Ale nie jest lojalny wobec Anglii, ani trochę.
- Jego ojciec był biskupem, prawda? - spytał Hillgarth. - Dzieci duchownych często schodzą na złą drogę.
- Sandy twierdzi, że Kościół i tradycje są po to, żeby stłumić ludzi jego pokroju. ✓
- Coś w tym jest. - Hillgarth pokiwał głową, po czym złożył dłonie. - Dobrze, oto co zrobimy. Spotkaj się znowu z Forsythem. Powiedz mu, że ktoś w ambasadzie ma dla niego propozycję. Nie mów zbyt wiele, po prostu zachęć go, żeby przyszedł. Możesz powiedzieć, że masz znajomych w wywiadzie, jeśli sądzisz, że to pomoże. Jeżeli ci się uda, zapomnimy o tym, co było wcześniej, i wrócisz do kraju z tarczą.

Harry pokiwał głową. - Zrobię, co będzie w mojej mocy. Spotykam się dzisiaj z Barbarą na lunch. Spróbuję się umówić. - Dzięki Bogu, że nic więcej nie chcą, pomyślał.

- Świetnie. Jak się ma żona Forsytha?
- Nie wydaje mi się, żeby byli ze sobą szczęśliwi.
- Ciągle nic nie wie o jego interesach?
- Nie. Jestem prawie zupełnie pewien, że Sandy o niczym jej nie mówi.
- Baliśmy się, że może coś się tam między wami dzieje, dopóki nie poderwałeś tej mleczareczki - powiedział Hillgarth. Niespodziewanie mrugnął do Harry'ego, któremu wcale się to nie spodobało.

Harry myślał o tej rozmowie, kiedy szedł do centrum na lunch. Zmroził go sposób, w jaki Hillgarth zbył sprawę Gomeza, i to, co być może zrobił Sandy. Czy zdawali sobie sprawę, jak się czuła w tej robocie

normalna osoba? Na ulicy grupki mężczyzn bez entuzjazmu odgarniały śnieg szuflami i miotłami. Harry patrzył, czy nie ma między nimi Enrique, ale go nie dostrzegł.

Barbara zaproponowała, żeby spotkali się z Sofią w Café Gijón. Harry'emu wybór wydał się dziwny; wiedział, że Barbara chodziła tam z Bernieem w czasie wojny domowej. Wciąż rzadko kiedy o nim wspominała. Biedny Bernie, przynajmniej nigdy nie zobaczył, co się stało z Hiszpanią.

Pomyślał, że Sandy i szpiedzy pasowali do siebie. Cóż, zostawi ich samych sobie i wróci do kraju, do Cambridge. Sam. Spojrzał na swoje odbicie w lustrach wiszących na ścianach. Od przyjazdu stracił na wadze i dobrze się z tym czuł. Zastanawiał się, czy mógłby wywieźć stąd Sofię. Czy był jakiś sposób? Musiałby także wziąć Paca, Sofia nigdy by go nie zostawiła. Zabrać ich oboje z dala od Hiszpanii, do Anglii... A co jeśli się między nimi nie ułoży? Jakąś część jego umysłu powtarzała mu, że chyba zwariował, znali się przecież ledwie półtora miesiąca.

Barman wydał resztę nową pięciopesetową monetą z głową Franco. Harry znowu pomyślał o Hillgarcie, który z zimną krwią mówił o wer-bowaniu kogoś, kto mógł być mordercą; o tym, jak przekupywali monarchistów. Hoare powiedział, że musiał się nieźle napocić, żeby przekonać monarchistów o wspólnocie ich dążeń. Wyglądało na to, że musiał im też sporo zapłacić. Ludzie tacy, jak Maestre, mówili o hiszpańskim honorze, o obronie tradycji, a mimo to cały czas brali łapówki od wroga. Hiszpania interesowała Wielką Brytanię tylko ze strategicznego punktu widzenia - nawet jeśli wygra wojnę, Hiszpania pewnie zostanie w rękach Franco, zapomniana po raz kolejny.

Pochylił się nad swoją filiżanką. Pomyślał, że może lepiej by było, gdyby Hitler podbił Hiszpanię. Nawet Sandy przyznał, że reżim był słaby; może wybuchłoby powstanie przeciwko Niemcom, jak przeciw Napoleonowi. Ale wtedy Gibraltar by przepadł, a Wielka Brytania byłaby jeszcze słabsza. Przypomniawszy sobie zdjęcie, które zobaczył pierwszego dnia: niemieckich i hiszpańskich żołnierzy witających się na granicy. Führer i caudillo, złączeni przyjaźnią, zwycięzcy w Europie. To była okropna myśl. Przyjrzał się w lustrze swojej spiętej twarzy. Zrobi to, o co go prosili; spróbuje zwerbować Sandy'ego.

Aż podskoczył, kiedy ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Stała za nim Sofia, ubrana w swój stary czarny płaszcz. Zarumieniła się; zrobiło mu się przyjemniej, kiedy zrozumiał, że to na jego widok. Z uśmiechem zapytała:

- O czym myślałeś?
- O niczym. Kłopoty w pracy. Usiądź.
- Barbara jeszcze nie przyszła?
- Nie. - Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że już prawie pierwsza. - Spóźnia się. Postawię ci kawę.
- Dobrze - powiedziała po sekundzie wahania.

Kłócili się już wcześniej o to, że Harry płacił za wszystko i do tego kupował jej prezenty.

- Mam pieniądze - mówił. - Może na nie nie zasługuję, ale je mam. Dlaczego nie miałbym wydać trochę na ciebie?

- Ludzie powiedzą, że mnie utrzymujesz - odpowiadała, rumieniąc się. Harry zorientował się, że Sofia nie potrafiła się całkowicie uwolnić od „burżuazyjnych systemów wartości” mimo tego, co mówiła.

- Wiesz, że to nieprawda, i tylko to się liczy.

Ale nie pozwalała, aby dawał jej pieniądze dla rodziny; mówiła, że jakoś sobie radzą. Harry chciał, żeby zgodziła się na jego wsparcie, ale równocześnie uwielbiał jej dumę. Przyniósł kawę.

- Jak się ma Paco?

- Jest bardzo cichy. Enrique został z nim dzisiaj; ma w pracy wolne. - Po śmierci Eleny chłopczyk musiał zostawać sam w mieszkaniu, bo Sofia i Enrique pracowali. Odmawiał wyjścia na dwór, jeżeli nie towarzyszył mu ktoś dorosły.

- Lubi kredki, które mu kupiłeś. Chce wiedzieć, kiedy wróci pani o rudych włosach. Wywarła na nim wrażenie. Nazywa ją „miłą panią”.

- Możemy spytać, czy nie chce przyjść z wizytą.

- Bardzo chętnie. - Sofia zmarszczyła brwi. - Obawiam się, że któregoś dnia Paco wpuści señoře Avilę do mieszkania. Wiem, że czasami puka do drzwi. Kazałam mu nie odpowiadać. Boi się pukania, przypomina mu to dzień, kiedy zabrali jego rodziców. Ale obawiam się, że pewnego dnia otworzy drzwi, a ona go zabierze, bo będzie sam.

- Nie otworzy drzwi, jeśli się jej boi.

- Nie powinniśmy zostawiać go samego w domu.

- Nie - zgodził się Harry.

- Nie stracę go. - Sofia westchnęła. - Myślisz, że to głupie, tak się obciążać? Wiem, że Enrique tak czasem sądzi, ale on też nauczył się kochać Paca.

Straciła matkę, pomyślał, a teraz boi się stracić chłopca. Jeśli mnie odeślą do kraju, straci też mnie. Zmarszczył brwi.

- O co chodzi, Harry?

- Nic takiego. - Podniósł wzrok i zobaczył Barbarę. Na szaliku i okularach miała płatki śniegu. Zamachał do niej.

- Przepraszam za spóźnienie. Znowu zaczęło padać.

- W życiu czegoś takiego nie widziałam - powiedziała Sofia. - W lecie susza, a teraz śnieg.

Harry wstał i wziął od Barbary płaszcz.

- Pójść po kartę dań?

Barbara uniosła dłoń.

- Nie, strasznie przepraszam, ale nie mogę zostać. O drugiej umówiłam się na spotkanie po przeciwnej stronie miasta, a tramwaje nie kursują, więc będę musiała pójść pieszo. Zamówisz mi kawę?
- W porządku. - Harry przyjrzał się Barbarze. W jej zachowaniu była determinacja i powaga. Zamówił kolejną kawę. Kiedy wrócił, Barbara i Sofia żywo rozmawiały.
- Barbara mówi, że Paco potrzebuje lekarza - powiedziała Sofia.
- No cóż, lekarz może wiedziałby, co z nim począć. Mógłbym zapłacić... - Ugryzł się w język. Nie powinien mówić przy Barbarze o tym, że daje Sofii pieniądze.
- Jeżeli to by pomogło temu biedactwu... - powiedziała Barbara. - Ale zdaję sobie sprawę, że może być ciężko.
- Zaczęłaś pracę w szpitalu dla weteranów? - zapytał Harry, zmieniając temat.
- Tak, przynajmniej lepsze to niż sierociniec. Ale mam do czynienia z ranami wojennymi i okropnym kalectwem. Ze wszystkim, do czego Czerwony Krzyż nie chciał dopuścić. - Westchnęła. - Cóż, za późno, żeby się tym martwić. - Spojrzała na Harry'ego. - Może jednak polecę do domu na święta.
- Do Anglii?
- Tak, pamiętasz, Sandy mi to zaproponował, więc pomyślałam sobie, czemu nie? Przynajmniej zobaczę, jak naprawdę wszystko wygląda.
- Wpuszczą cię z powrotem do Hiszpanii? - spytała Sofia. - Pewnie tak, skoro twój mąż tu pracuje.

Barbara się zawahała.

- Chyba tak.

Ale Sandy nie jest jej mężem, pomyślał Harry. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

- To działa w obie strony, prawda? To znaczy jeśli Anglik miałby, powiedzmy, hiszpańską narzeczoną, mógłby mieć problem z zabranieniem jej do Anglii. Ale jako małżeństwo oboje zostaliby wpuszczeni.rr
- Zgadza się - powiedziaia Barbara. - Przynajmniej tak było przed wojną. Pamiętam te przepisy z Czerwonego Krzyża, jak przenosić uchodźców z jednego kraju do innego. - Przez moment patrzyła przed siebie. - To było mniej niż pięć lat temu. Wydaje się, że minęły wieki.

Sofia zniżyła głos.

- Wciąż jest ryzyko, że Franco jednak wypowie wojnę. Barbara zdjęła zaparowane okulary i przetarła je chusteczką. Bez

nich wydawała się ładniejsza, ale także bardziej bezbronna. Zamieszała kawę i spojrzała na nich.

- Prawdopodobnie nie wrócę - powiedziała beznamiętnym tonem.
- Nie wydaje mi się, żebym mogła zostać z Sandym.
- Przykro mi - powiedział Harry. - Widać, że nie jesteście szczęśliwi.

Barbara zaciągnęła się papierosem.

- Wiele mu zawdzięczam. Pomógł mi się pozbierać po... po Berniem. Ale już chyba przestało mi się podobać to, kogo ze mnie zrobił.
- Zaśmiała się zakłopotana. - Przepraszam, ale musiałam to z siebie wyrzucić. Nie mam nikogo, z kim mogę porozmawiać. Czy mówię do rzeczy?
- Czasami nadchodzi czas, kiedy trzeba stanąć twarzą w twarz z prawdą - powiedział Harry. - Zdjąć klapki z oczu. - Pokręcił głową i popatrzył na Sofię. - To samo stało się ze mną po przyjeździe. Zobaczyłem, że świat jest bardziej skomplikowany, niż mi się wydawało.

Barbara popatrzyła na niego, zlustrowała go swoim dziwnie przyjaznym spojrzeniem.

- Nie da się ukryć. Przez chwilę milczeli.
- Powiedziałas mu, że nie wrócisz? - spytała Sofia.
- Nie. I tak już go to nic nie obchodzi. Muszę tylko zająć się pewnym... pewną sprawą i mam nadzieję, że na święta wyjadę.
- Sandy chyba ma kłopoty w interesach - postanowił zaryzykować Harry.
- Wiesz coś o tym? - zapytała Barbara.

Harry się zawahał.

- Chciał mnie zaangażować w... w jedną ze swoich firm. Ale się nie udało.
- Jaką firmę?
- Nie mam pojęcia. Wiem bardzo mało na ten temat.

Barbara pokiwała głową.

- Przykro mi, jeśli wydaję się wam nielojalna - powiedziała - ale obserwowałam was razem. Chyba już go nie lubisz, prawda? Trzymasz się go tylko dlatego, że chodziliście razem do szkoły, prawda?
- No... w pewnym sensie.
- To dziwne, ale on potrzebuje twojej aprobaty. - Zwróciła się do Sofii. - W Hiszpanii nie ma nic takiego jak więzi między mężczyznami, którzy chodzili do angielskich szkół prywatnych. - Zaśmiała się

odrobinę histerycznie. Sofia była zażenowana. Harry pomyślał, że Barbara jest u kresu sił. Przygryzła wargi.

- Oboje nic mu nie powiecie, prawda? Przepraszam.

- Oczywiście.

Sofia się uśmiechnęła.

- Paco wciąż się o ciebie dopytuje. Może mogłabyś przyjść zobaczyć się z nim przed powrotem do Anglii?

Barbara też się uśmiechnęła.

- Bardzo chętnie, dziękuję. Może moglibyśmy go gdzieś zabrać, żeby zrobić mu przyjemność.

Harry odetchnął głęboko.

- Muszę porozmawiać o czymś z Sandym w związku z tym naszym interesem. Wiesz może, czy jest dzisiaj w biurze?

- Powinien być. - Barbara spojrzała na zegarek. - O Boże, muszę lecieć. Przepraszam, przez to wyżalenie się nie dałam wam zjeść lunchu. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Słuchaj, zadzwoń do mnie, umówimy się jakoś, żeby odwiedzić Paca.

- Zadzwonię. Miło było was widzieć. - Pochyliła się nad stolikiem, po hiszpańsku pocałowała Sofię w policzek i ruszyła w stronę wyjścia,

zatrzymując się na chwilę, żeby zawiązać na głowie chustę. Harry patrzył na nią, ale myślał o małżeństwie. Czy się odważy? I czy Sofia go zechce? Mógłby dowiedzieć się czegoś więcej w ambasadzie, ale najpierw musi zwerbować Sandy'ego, by zadowolić Hillgartha.

Barbara otworzyła drzwi. Odwróciła się, zamachała do nich i zniknęła wśród wirujących płatków śniegu.

Rozdział trzydziesty siódmy

W drodze Barbara przeklinała w duchu samą siebie. Nie miała zamiaru się rozkleić. Ale kiedy oboje siedzieli razem, wyglądali tak rodzinnie, na tak szczęśliwych.

Kiedy posłuchała rozmowę telefoniczną Sandy'ego, podejrzewała przez jakiś czas, że Harry był zaangażowany w te same potworności co Sandy. Ale kiedy potem go obserwowała, zrozumiała, że to niemożliwe; używali Harry'ego tylko jako pionka w jakiejś grze. Dzięki Bogu interes nie doszedł do skutku, cokolwiek by to miało być. Za każdym razem, kiedy widziała Harry'ego, miała wyrzuty sumienia, bo przecież on wciąż był pewien, że Bernie nie żyje.

Spotykała się z Luisem; miała nadzieję, że przynajmniej uda im się przedyskutować plan ucieczki Berniego. Wiedziała, że Agustín wrócił z przepustki. Zaproponowała Harry'emu spotkanie w Café Gijón dlatego, że szansa zobaczenia Berniego była taka bliska. Barbara chciała znów odwiedzić wszystkie miejsca, w których byli razem, a których od tak dawna unikała. Jak będzie wyglądał? Jak

zareaguje na mój widok? Powtarzała sobie, że nie powinna na nic Uczyć, oboje zmienili się nie do poznania. Musiała tylko mieć nadzieję, że uda się go wydostać z obozu.

Wciąż padał gęsty śnieg, przykrywając samochody i płaszcze ludzi, którzy szU przez zadymkę niczym białe upiory. Chustka jej przemokła; powinna była wziąć kapelusz. Wiatr wiał prosto w twarz, musiała więc przecierać okulary rękawiczkami.

Minęła dwóch civiles stojących na straży przed jakimś rządowym budynkiem. W swoich grubych płaszczach i spiczastych kapeluszach

W drodze Barbara przeklinała w duchu samą siebie. Nie miała zamiaru się rozkleić. Ale kiedy oboje siedzieli razem, wyglądali tak rodzinnie, na tak szczęśliwych.

Kiedy posłuchała rozmowę telefoniczną Sandy'ego, podejrzewała przez jakiś czas, że Harry był zaangażowany w te same potworności co Sandy. Ale kiedy potem go obserwowała, zrozumiała, że to niemożliwe; używali Harry'ego tylko jako pionka w jakiejś grze. Dzięki Bogu interes nie doszedł do skutku, cokolwiek by to miało być. Za każdym razem, kiedy widziała Harry'ego, miała wyrzuty sumienia, bo przecież on wciąż był pewien, że Bernie nie żyje.

Spotykała się z Luisem; miała nadzieję, że przynajmniej uda im się przedyskutować plan ucieczki Berniego. Wiedziała, że Agustín wrócił z przepustki. Zaproponowała Harry'emu spotkanie w Café Gijón dlatego, że szansa zobaczenia Berniego była taka bliska. Barbara chciała znów odwiedzić wszystkie miejsca, w których byli razem, a których od tak dawna unikała. Jak będzie wyglądał? Jak zareaguje na mój widok? Powtarzała sobie, że nie powinna na nic Uczyć, oboje zmieniU się nie do poznania. Musiała tylko mieć nadzieję, że uda się go wydostać z obozu.

Wciąż padał gęsty śnieg, przykrywając samochody i płaszcze ludzi, którzy szU przez zadymkę niczym białe upiory. Chustka jej przemokła; powinna była wziąć kapelusz. Wiatr wiał prosto w twarz, musiała więc przecierać okulary rękawiczkami.

Minęła dwóch civiles stojących na straży przed jakimś rządowym budynkiem. W swoich grubych płaszczach i spiczastych kapeluszach

zasypanych śniegiem wyglądali jak bałwany w ponurych maskach. Po raz pierwszy na widok civiles zachciało jej się śmiać.

Zdawała sobie sprawę, że ostatnimi czasy była bliska hysterii; coraz trudniej było jej zamknąć się w sobie. Ale możliwe, że już niedługo będzie mogła wyjechać. Od chwili, kiedy dwa tygodnie wcześniej podsłuchiwała rozmowę telefoniczną Sandy'ego, analizowała usłyszane słowa. „Te stare wygi z Maroka to nieźli twardziele. Wciąż mówi, że naprawdę nazywa się Gomez?”. Próbowwała interpretować to na różne sposoby, ale zawsze dochodziła do tego samego wniosku: kogoś torturowano. Zaczęła też podejrzewać, że jeśli Sandy dowie się, co robi, sama może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Kiedy po tamtej podsłuchanej rozmowie wyszedł ze swojego gabinetu, dała mu na dole woreczek, który zostawił stary Żyd. Nie wydawał się zbyt zainteresowany zawartością. Położył go na ziemi obok fotela i siedział, patrząc w ogień; zupełnie zignorował Barbarę. Był zmartwiony, jak nigdy dotąd; jego czarne wąsy błyszczały od potu. Od tamtej nocy stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie.

Prawie jej nie zauważał, chociaż nie można powiedzieć, żeby jej to przeszkadzało. Chciała jedynie dotrzeć do ucieczki Berniego, a potem uciec do Anglii. Może Sandy nigdy się nie dowie, co zrobiła.

Dwa dni temu, wieczorem, wrócił do domu spóźniony. Chociaż pił dużo, rzadko się upijał, miał zadziwiająco mocną głowę. Ale tamtego wieczoru wszedł do salonu, lekko się zataczając. Rozglądał się dookoła niepewnie, jakby stał tam pierwszy raz.

- I na co się tak gapisz? - zapytał Barbarę zachrypniętym głosem. Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Na nic, kochanie. Wszystko w porządku? - Mimo wszystko próbowała instynktownie załagodzić sprawę. Odłożyła szycie. Większość wieczorów spędzała, szyjąc; monotonność tej czynności uspokajała ją.

- Jesteś jak stara baba, ciągle tylko to pieprzone szycie - powiedział. - Gdzie jest Pilar?

- Ma dzisiaj wolne, pamiętasz? - Pewnie chciał do niej pójść. Ale by się Pilar ucieszyła, gdyby się dobierał do niej w tym stanie.

- A rzeczywiście. - Uśmiechnął się lubieżnie, podszedł do barku i nalał sobie whisky. Usiadł naprzeciwko niej i wypił solidny łyk.

- Cholernie dzisiaj zimno, co?

- Dużo roślin w ogrodzie zamarzło.

- Rośliny - powtórzył szyderyczym tonem. - Rośliny. Miałem popieprzony dzień. Diabli wzięli pewien duży interes. Koniec. - Uśmiechnął się do niej tym swoim szerokim uśmiechem. - Masz ochotę zostać nędzarką, Barbaro?

- Chyba nie jest aż tak źle?

- Aż tak źle? Biedna Barbara. - Zaśmiał się sam do siebie. - Biedna Barbara, tak o tobie myślałem, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Jej uśmiechnięte usta zdrzały. Niech zaśnie. Niech wpadnie w ogień. Spojrzał na nią po raz kolejny, tym razem jego twarz miała poważny wyraz. - Nie pozwolę, żeby do tego doszło. Rozumiesz?

- W porządku, Sandy.

- Odbiję się od dna. Jak zawsze. Zostaniemy w tym domu. Ty, ja i Pilar. - W jego oczach pojawił się błysk. - Chodź do łóżka. Chodź, pokażę ci, na co wciąż mnie stać.

Wzięła głęboki oddech. Przypomniała sobie, że niedawno chciała przywołać jego związek z Pilar na swoją obronę, ale była zbyt przestraszona.

- Sandy, dużo wypieś.

- Mnie to nie przeszkadza. Chodź. - Wstał i podszedł do niej chwiejnie, po czym pocałował ją swoimi mokrymi, śmierdzącymi alkoholem ustami. Opanowała odruch, żeby się skulić i pozwoliła mu się podnieść, objąć ramionami i poprowadzić na górę po schodach. Kiedy weszli do sypialni, pomyślała z nadzieją, że może padnie na łóżko i zaśnie, ale wyglądało na to, że był bardziej

opanowany niż zwykle. Zaczął się rozbierać. Barbara zdjęła sukienkę, chociaż zbierało się jej na wymioty. Ściągnął koszulę, odsłaniając swoje muskularne ciało, które kiedyś ją podniecało, ale teraz przywodziło jej na myśl silne dzikie zwierzę. Jakimś cudem udało jej się powstrzymać odruch, żeby się skulić, kiedy w nią wchodził, wydając przy tym dziwne, ciche pomruki, jak gdyby był bardzo zdesperowany. Po wszystkim*

przewrócił się na bok i minutę później już chrapał. Barbara zastanawiała się, jak to przetrwała, jak jej się udało nie rozplakać i nie uderzyć go. Uznała, że pewnie ze strachu. Strach może zniszczyć, ale może też dać siłę i opanowanie. Stąpając cicho, poszła do łazienki, gdzie gwałtownie zwymiotowała.

Kawiarenka była pełna ludzi chroniących się przed śnieżycą; wszystkie miejsca zajęte, a przy barze stały dwa rzędy ludzi. W powietrzu unosił się wilgotny zapach stęchlizny. Stara kobieta biegła w tę i z powrotem z filiżankami między ladą i termosem z kawą. Okna były zaparowane, nawet portret Franco pokryła warstewka mgły. Okulary Barbary także natychmiast zaparowały. Wytarła je rękawem płaszcza i rozejrzała się w poszukiwaniu Luisa. Stolik, który zwykle zajmowali, był zajęty, ale zobaczyła Luisa w rogu. Udało mu się zająć stolik dla dwojga, na krześle obok wisiła jego marynarka. Siedział i patrzył w swoją filiżankę kawy, twarz miał zmęczoną i znużoną. Podniósł wzrok i uśmiechnął się, kiedy zobaczył przepychającą się w jego stronę Barbarę. Usiadła i zdjęła przesiąkniętą wodą chustkę. Przesunęła dłonią po mokrych włosach.

- Straszna śnieżycza - powiedziała.

Luis pochylił się nad stołem.

- Nie ma pani nic przeciwko temu, jeśli darujemy sobie kawę? Przy barze jest straszny ścisk.

- Może moglibyśmy pójść gdzie indziej? W jakieś cichsze miejsce?

- Dzisiaj wszędzie będzie tak samo. - Jego głos był niezwykle ostry.

- Co jest nie tak? - wyszeptała ze zdenerwowaniem.

- Nic. Ludzie mnie denerwują. - Ściszył głos. - Wszystko gotowe. Przyniosła pani pieniądze?

- Tak. Siedemset peset, kiedy powie mi pan kiedy i gdzie. Reszta po wszystkim.

Skinął głową, wyraźnie mu ulżyło. Wyjęła papierosy i podała mu jednego.

- Dziękuję. A więc proszę słuchać uważnie. - Nachylił się w jej stronę, szeptał zachrypniętym głosem. - Właśnie wróciłem z Cuenki. Zobaczyłem się wczoraj z Agustinem. Powiedział pani przyjacielowi o ucieczce. Powiedział mu, że to pani ją organizuje.

- Jak zareagował? - zapytała Barbara z zapałem. - Co powiedział?

Luis pokiwał głową z powagą.

- Był bardzo zadowolony, señora. Bardzo szczęśliwy.

Barbara się zawahała.

- Czy wie, że... że jestem z kimś innym?

- Agustín nic mi o tym nie wspomniał.

Przygryzła wargi.

- Więc jak wygląda plan?

- Ucieczka odbędzie się czternastego grudnia. W sobotę.

Osiem dni, pomyślała Barbara, jeszcze osiem dni. - Nie możemy zrobić tego wcześniej?

- To dobra data. Zaczną się już przygotowania do świąt Bożego Narodzenia, atmosfera w obozie i w mieście będzie spokojniejsza. Agustín nie chce, żeby ucieczka zdarzyła się zaraz po jego powrocie, zgadzam się z nim, że to by wyglądało podejrzanie. Przy odrobinie szczęścia śnieg zdąży stopnieć. Uciekający człowiek jest bardzo widoczny na śniegu.

- Na pewno się roztopi. Tyle śniegu rzadko się zdarza o tej porze roku.

- Musimy na to liczyć.

- Czy wszystko przebiegnie tak, jak pan mówi? Bernie ucieknie z grupy pracującej w kamieniołomie?

- Tak. Señor Piper będzie udawał, że ma biegunkę. Agustín pójdzie z nim w krzaki, tam Piper uderzy go w głowę, wystarczająco mocno, żeby zostawić siniaka, po czym zabierze Agustinowi klucze i się uwolni. Zbiegnie w dół, w stronę Cuenki. Pani przyjaciel schowa się w zaroślach w porastającym wzgórza lesie aż do zapadnięcia zmroku, po czym pobiegnie do miasta.

- Nie będą go szukali w Cuenca? Nie będą podejrzewać, że tam właśnie pójdzie?

- Owszem. Tak naprawdę to jedyne miejsce, gdzie może uciec; w innych kierunkach jest tylko dzicz i góry. A więc tak, będą go szukali w miasteczku. - Luis uśmiechnął się. - Ale mamy dla niego kryjówkę.

- Gdzie?

- W pewnym miejscu przy drodze nad przepaścią rosną drzewa i krzaki, niedaleko mostu, po drugiej stronie miasteczka. Schowa się tam, aż pani nadejdzie z ubraniem dla niego.

Barbara wzięła głęboki oddech.

- W porządku.

- Musi pojechać pani do Cuenki czternastego tak, żeby być tam o trzeciej po południu. Ważne, żeby przyjechała pani przed zmrokiem, bo samotna kobieta spacerująca zbyt późno po mieście może zostać zatrzymana. Za miastem jest pewne odosobnione miejsce, gdzie może pani zostawić samochód. - Spojrzał na nią poważnie. - Agustín spędził wszystkie swoje wolne dni, chodząc po mieście i okolicy, żeby upewnić się, czy wszystko gra.

- Czyli mam czekać w mieście, aż się ściemni?

Luis pokręcił głową.

- Nie. Znaleźliśmy miejsce, gdzie powinna pani poczekać. Jeżeli ktoś zacznie zadawać pytania, może pani powiedzieć, że właśnie przyjechała pani je zwiedzić. Chodzi mi o katedrę. Tam powinna pani zabrać po wszystkim swojego przyjaciela. Kiedy przebierze się w krzakach, przejdą państwo przez most i będą udawać parę angielskich turystów, którzy chcą obejrzeć katedrę. W środku pani przyjaciel może się ogolić - ma teraz brodę - i doprowadzić do porządku.

- A co, jeśli ktoś będzie w katedrze?

Luis pokręcił głową.

- W sobotę, w zimie, nikt nie będzie jej zwiedzał. Poza tym będzie tam ktoś, kto wam pomoże.

- Agustín? Czy to on tam będzie?

- Nie - Luis uśmiechnął się cierpko. - Ale mój brat czasami chodzi na niedzielną mszę w katedrze w Cuenca. To jego wymówka, żeby pójść do miasta. Wydaje im się, że stał się religijny. W katedrze jest

dozorca, zatrudniony przez Kościół, który ma mieć oko na katedrę. Zaproponował, że nam pomoże.

- Pracownik Kościoła? - zapytała Barbara surowym tonem. - Dlaczego miałby nam pomóc?

- Za pieniądze, señora. - Twarz Luisa zrobiła się na moment czerwona z gniewu i zniecierpliwienia. - Ma starą, chorą żonę, brakuje mu pieniędzy na lekarza. Więc pomaga nam z tego samego powodu, dla którego my pomagamy pani. Chce trzysta peset.

Barbara wzięła głęboki oddech.

- W porządku.

- A więc jedzie pani do Cuenki czternastego i przyjeżdża tam o trzeciej. Zostawia pani samochód tam, gdzie pani powiem, po czym idzie do katedry. Francisco, stary dozorca, będzie na panią czekał. Zostanie tam pani do zmroku, po czym pójdzie do wiszących domów. Wie pani, gdzie są?

- Tak. Przystudiowałam mapę i przewodnik. Pewnie potrafiłabym się poruszać po Cuenca z zawiązanymi oczami.

- Świetnie. Proszę przywieźć jakieś ubrania dla przyjaciela, najlepiej garnitur, jeśli pani może.

- W porządku. Kupię duży rozmiar, Bernie jest wysoki i raczej silnie zbudowany.

Luis pokręcił głową.

- Nie po trzech latach spędzonych w obozie. Garnitur na chudego mężczyznę wystarczy. Oraz przybory do golenia.

- A kapelusz? Z szerokim rondem, żeby ukryć jego twarz i jasne włosy?

- Tak. To dobry pomysł.

- Kupię ubrania - powiedziała Barbara. - Będę udawać, że robię zakupy świąteczne. Z samochodem może być problem, być może mój... mój mąż będzie go potrzebował.

Luis zmarszczył brwi.

- Musi się pani sama o to zatroszczyć, señora.

- Tak, wiem, jakoś to zorganizuję. Co robię, kiedy dotrę do wiszących domów?

- U stóp Tierra Muerta jest wąwóz, którego dnem płynie rzeka. Zbocza są bardzo strome, nie można się po nich wspiąć. Po drugiej stronie leży stare miasto, a za nim jest droga do Madrytu. Przez rzekę prowadzi duża żelazna kładka dla pieszych. Po stronie miasta są wiszące domy, a po drugiej stronie droga. Kawalek dalej wzdłuż drogi rośnie kępa drzew, gdzie będzie czekał pani przyjaciel.

- A co jeśli most będzie strzeżony? Jeśli dowiedzą się, że uciekł więzień? . y

- To możliwe. Zadzwoń do miasta z obozu. Jeżeli tak się stanie, proszę czekać w katedrze. Señor Piper przekroczy rzekę w innym miejscu i spróbuje dostać się do katedry. Stamtąd pójdziecie do samochodu, udając angielską parę, która wybrała się do Cuenki na jednodniową wycieczkę. Proszę pamiętać, że będą szukać zbiegłego więźnia, a nie ogolonego mężczyzny w garniturze. Przy odrobinie szczęścia nie będzie blokad na drogach, nie mogą się spodziewać, że ucieknie samochodem. - Luis spojrzał na Barbarę swoimi głębokimi, oliwkowozielonymi oczami. - Pani pieniądze będą najlepszym przebraniem.

- Może pan powtórzyć, jak daleko jest z Cuenki do obozu? Osiem kilometrów?

- Tak.

- Czy będzie miał dość sił, by przejść taki kawałek? - zapytała Barbara. Głos jej lekko drżał.

- Powinien. Przez ten mróz wielu jeńców choruje, ale jak na razie pani przyjaciel czuje się dobrze. Poza tym całą drogę ma w dół.

- A co, jeśli znajdą go, nim dotrze do Cuenki?

- Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie - powiedział beznamiętnie Luis. Wziął kolejnego papierosa z leżącej na stole paczki. - Musimy mieć nadzieję, że nie będzie śniegu ani księżyca. - Zapalił papierosa i zaciągnął się. - Będzie musiał iść ostrożnie i chować się w cieniu.

Barbarę nagle ogarnęły wątpliwości.

- A jeśli go złapią...

Luis spojrzał jej w oczy.

- On tego chce.- Tak. - Przygryzła wargi. - Tak, wiem, podejmę to ryzyko. Muszę to zrobić, dla niego.

Luis spojrzał na nią z ciekawością.

- Co pani zrobi potem?

Jej twarz stężała.

- Zbiorę go do ambasady brytyjskiej. Muszą go przyjąć, jest brytyjskim obywatelem. Wszystkich innych członków Brygad Międzynarodowych odesłali do domu.
- A pani?
- Zobaczę. - Nie miała zamiaru informować go o swoich planach.
- Ufam, że zapłaci mi pani resztę pieniędzy po powrocie.
- Spotkamy się szesnastego - powiedziała Barbara. - Tutaj, w południe. A co będzie, jeśli nastąpi jakaś zmiana w planach, jeśli zmienią rozkład wart Agustina, jeśli Bernie będzie chory albo coś takiego?
- Agustín przekaże mi wiadomość, a ja zadzwonię do pani do domu. Potrzebny mi pani numer.
- To ryzykowne. - Zastanowiła się przez chwilę. - Jeżeli nie będzie mnie w domu, proszę powiedzieć, że jest pan piekarzem, który dzwoni w sprawie ciasta na święta i że zadzwoni pan znowu. Przyjadę tu od razu. W porządku? - Napisała numer telefonu na paczce papierosów i podała mu. Uśmiechnął się, jak zawsze, kiedy dostawał papierosy, po czym nagle jego twarz przybrała bardzo zmęczony wyraz.
- Dobrze to zaplanowaliście - powiedziała. - Pan i pana brat.

Unikał jej spojrzenia.

- Proszę nam nie dziękować - powiedział. - Proszę nam nie dziękować.
- Dlaczego nie?
- Robimy to dla pieniędzy. Potrzebujemy pieniędzy dla mamy. - Na jego twarzy znowu pojawiło się zmęczenie. Przez chwilę milczeli.
- Niech mi pan powie - zapytała - rozmawiał pan potem z tamtym dziennikarzem? Z Markbym?

Luis pokręcił głową.

- Nie. Kontaktował się ze mną przez znajomego, miał zamiar napisać artykuł o obozach, ale się do mnie nie odezwał. Wydaje mi się, że wrócił do Anglii.
- Próbowałam do niego zadzwonić kilka razy, ale za każdym razem mówili, że gdzieś wyjechał.
- Dziennikarze. Ludzie bez korzeni. - Luis rozejrzał się po kawiarni i zakaszał. - Señora...
- Oczywiście. - Barbara otworzyła torebkę i podała mu pod stołem grubą kopertę. Wziął ją, przez chwilę siedział nieruchomo, po czym skinął głową. Barbara zauważyła, że ramiona jego przetartej marynarki były mokre. Zorientowała się, że nie miał płaszcz.
- Gracias - powiedział. - Proponuję, żebyśmy spotkali się tu w przyszłą środę, jedenastego, żeby przedyskutować ostateczne przygotowania. Tylko po to, żeby upewnić się, czy wszystko idzie gładko.

- W porządku. - Była w siódmym niebie. To się działo, to się naprawdę stanie.

Luis wcisnął kopertę do kieszeni, lustrując wzrokiem klientów, żeby upewnić się, czy nikt go nie obserwuje. Barbara nagle "poczuła się zagubiona i zduszona w tym tłoku. Chciała się wydostać. Wstała.

- Pójdziemy?

- Zostanę tu chwilę, aż śnieg przestanie padać. Do zobaczenia za tydzień, señora. - Spojrzał na nią, po czym dodał niespodziewanie: - Jest pani dobrą kobietą.

Barbara się zaśmiała.

- Ja? Nie sądzę. Tylko sprawiam kłopoty.

Luis pokręcił głową.

- Nie. To nieprawda. Adiós, señora.

- Hasta luego¹.

Przepychała się do drzwi. Ulżyło jej, kiedy stanęła na zewnątrz. Zapaliła papierosa i ruszyła z powrotem do centrum. Na dworze było pusto; kto tylko mógł, chował się w środku. Ludzie nie chcieli niszczyć butów; nawet jeśli byliby w stanie znaleźć nową parę, ceny były astronomiczne.

Przeszła przez Plaza Mayor. Rosnące tam palmy wyglądały dziwnie pod śniegiem. Obok jednej z fontann, tuż przy kiosku stał sprzedawca

1 Do zobaczenia.

gazet. Jej wzrok przykuł wypisany na tablicy nagłówek. „Weteran torturowany i zamordowany w Alcali: podejrzany gang komunistycznych terrorystów”.

Kupiła egzemplarz „Ya”, gazety katolickiej. Weszła w bramę zamkniętego sklepu i spojrzała na pierwszą stronę. Pod zdjęciem stojącego na baczność chudego mężczyzny w wojskowym mundurze przeczytała:

Ciało majora Alfreda Gomeza Romero, lat 59, znaleziono wczoraj w kanale odpływowym nieopodal wsi Paloblanco koło Santa Maña de Real. Major Gomez, weteran wojny w Maroku, który brał udział w wyzwoleniu Toledo w 1936, był okrutnie torturowany, ręce i stopy miał przypalane, a twarz zniekształconą. Uważa się, że odpowiedzialny za ten czyn jest jeden z gangów komunistów działających wśród okolicznych wzgórz. Pracodawca oraz były zwierzchnik majora Gomeza, podsekretarz stanu w Ministerstwie Handlu, pułkownik Santiago Maestre Miranda, powiedział, że major Gomez był jego przyjacielem i towarzyszem od trzydziestu lat i osobiście dopilnuje, by zbrojcy zostali schwytani. „Nie ma bezpiecznego schronienia dla wrogów Hiszpanii”, oświadczył.

Barbara poczuła, że uginają się pod nią kolana, myślała, że zemdleje. Zgniotła gazetę. Przechodzący przed bramą ksiądz spojrzał na nią z ciekawością. Teraz wiedziała na pewno. Sandy wymienił nazwisko Gomeza przez telefon, słyszała też, jak przyjaciele Sandy'ego z Falangi mówili o Maestre jako o wrogu. Sandy był zamieszany w tortury i morderstwo tego mężczyzny. Powiedział, że będą musieli to jakoś załatwić - miał na myśli morderstwo. I to tego człowieka oszukiwała, żeby uratować

jego wroga z czasów dzieciństwa. Złapała za klamkę zamkniętych drzwi, wciągając głęboko powietrze, żeby nie zemdleć.

Rozdział trzydziesty ósmy

Po spotkaniu z Barbarą Harry wrócił do ambasady. Zadzwoił do biura Sandy'ego z małego pokoju, w którym stał telefon dla szpiegów. Sekretarka połączyła go z Sandym.

- Sandy? Tu Harry. Słuchaj, możemy się spotkać? Chciałbym coś z tobą przedyskutować.

W głosie Sandy'ego słychać było zniecierpliwienie.

- Harry, jestem naprawdę zajęty. Może po weekendzie?

- To dosyć pilne.

- W porządku. Jutro jest sobota, ale i tak będę w biurze. Spotkajmy się w kawiarni. - Harry usłyszał krótkie stłumione westchnienie. - O trzeciej?

- Dzięki.

Następnie Harry poszedł do archiwum, żeby dowiedzieć się o wize wjazdowe do Wielkiej Brytanii. Kiedy wrócił do swojego pokoju, czekał na niego Tolhurst. Stał oparty o biurko i czytał egzemplarz „Ya”. Skinął głową.

- Cześć, Harry. - Miał zmartwiony głos.

- Zadzwoiłem do Forsytha - powiedział Harry. - Spotykam się z nim jutro w kawiarni.

- To dobrze. - Podał mu gazetę. - Powinieneś o tym wiedzieć.

Harry przeczytał artykuł o Gomezie.

- A więc zabili go - powiedział ponuro. Tolhurst skinął głową.

- Na to wygląda. Tego się zresztą spodziewaliśmy. To nie ma znaczenia w kwestii zwerbowania Forsytha. - Mówił cicho i spokojnie. Harry przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, na którym Tolhurst wydał mu się pulchnym, przyjacielskim typem. Teraz zaczął dostrzegać drugą stronę jego osobowości.

- Nawet, kiedy jesteście pewni, że był w to wszystko zamieszany?

- zapytał.

- Tylko podejrzewamy, Harry, tylko podejrzewamy. Po za tym nie jesteśmy policją.

- Nie. - Położył gazetę na biurku. - Nie martw się, Tolly, wciąż mam zamiar spróbować go dla was zwerbować.

- Dobry chłopak - powiedział Tolhurst. - Cóż, muszę lecieć. Powodzenia.

Po jego wyjściu Harry siedział i wpatrywał się w artykuł. Czytał, co zrobili Gomezowi. Biedny drań. Czy Sandy przy tym był? Nie, pomyślał gorzko Harry, zostawił to innym.

Kiedy Sofia przyszła tego wieczora do jego mieszkania, wydawała się zmęczona, miała cienie pod oczami.

- Wszystko w porządku? - zapytał Harry, biorąc od niej płaszcz.

Uśmiechnęła się, wyglądała jak dzielna dziewczynka. Czasami sprawiała wrażenie, jakby była bardzo młoda.

- Nie chcę wracać jutro do pracy. Mam dosyć krów - powiedziała.

- To takie nudne. Nienawidzę zapachu mleka.

- Usiądź, przyniosę kolację. Zrobiłem cocido.

Nastawił gramofon; Vera Lynn śpiewała rzewnym głosem piosenkę When the lights go on again all over the world. Sofia poszła za nim do kuchni i oparła się o ścianę, obserwując, jak Harry miesza w garnkach, w których gotowały się różne przysmaki.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, jakiego znam, który umie gotować.

- Człowiek uczy się, kiedy mieszka sam. Nie ma wyjścia.

Przekrzywiła głowę.

- Martwisz się czymś. Masz kłopoty w pracy?

Wziął głęboki oddech.

- Nie. Słuchaj, chcę ci coś powiedzieć.

- Co takiego? - W jej głosie był strach. Harry zdał sobie sprawę, że od dawna wszelkie wieści to dla niej były złe wieści.

- Poczekaj.

Kupił butelkę dobrego czerwonego wina. Nalał jej kieliszek, kiedy usiedli. Błade światło żarówki oświetlało jedynie stół, resztę pokoju skrywała ciemność.

- Sofio - powiedział - ambasada chce mnie odesłać do kraju.

Wydawało się, że Sofia skurczyła się w sobie, lekko zbladła.

- Ale dlaczego? Na pewno cię tu potrzebują, nic się nie zmieniło, chyba że... - Zrobiła gwałtowny wdech. - Chyba że Franco ma zamiar wypowiedzieć Anglii wojnę. O Boże, ewakuują was wszystkich...

Harry uniósł dłoń.

- Nie, nie, to nie o to chodzi, chodzi tylko o mnie. Sądzą, że... że lepiej będzie mi się pracować w kraju.

- Harry - zapytała łagodnie - masz kłopoty?

- Nie, słowo. Chodzi o to, że... w ambasadzie nie tylko tłumaczyłem, miałem też inną pracę, która prawie dobiegła końca.

Zmarszczyła brwi.

- Jaką pracę?

Zawahał się na moment, ale odpowiedział.

- Wywiad. - Przygryzł wargi. - Proszę cię, nie mogę nic więcej powiedzieć. W ogóle nie powinienem ci o tym mówić. Ale to już prawie koniec. Cieszę się, nienawidzę tej pracy.

- Wywiad przeciwko reżimowi?

- Tak.

- To dobrze. Cieszę się. - Wzięła głęboki wdech. - Kiedy jedziesz?

- Nie wiem. Być może przed końcem roku. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Sofio, pojedziesz ze mną? Nie musisz mi teraz odpowiadać, ale posłuchaj, myślałem o tym całe popołudnie. Pamiętasz, co powiedziała Barbara, że cudzoziemcom wolno wjechać do Anglii, jeśli mają angielskiego małżonka?

Patrzyła na niego, na jej twarzy malowało się napięcie. Była roztrzęsiona.

- Harry, nie prosz mnie o to. Nie mogłabym zostawić Paca. Enrique potrafi się zatroszczyć o siebie, ale nie o Paca. Nasza sąsiadka godorwie. - Wyciągnęła rękę i wzięła dłoń Harry'ego. - Nie prosz mnie, żebym musiała dokonać takiego wyboru...

- O tym też myślałem. Gdybyśmy mogli jakoś adoptować Paca...

Pokręciła ze zmęczeniem głową.

- Nie mogę. Tymi sprawami zajmuje się Kościół, a oni nigdy się nie zgodzą.

- Nie, nie w Hiszpanii, w Anglii. Jeśli powiemy, że opiekowałaś się nim od czasu śmierci jego rodziców i udałoby się nam zawieźć go do Anglii, moglibyśmy adoptować go razem. Chyba są na to sposoby. Widzisz, ta praca to moje ostatnie zobowiązanie, a jeśli mi się uda, wkupię się w ich łaski, to znaczy w łaski ludzi w ambasadzie. Może nam pomogą.

Spojrzała na niego uważnie.

- Czy to, co robisz, jest niebezpieczne?

- Nie nie. - Zaśmiał się. - To naprawdę nic takiego, przysięgam. Po prostu staram się wyciągnąć informacje od biznesmenów. Nie ma w tym żadnego zagrożenia. Nie martw się. Sofio, co ty na to?

- Jak Paco będzie się czuł w Anglii? Nieznany język, bombardowania. Muszę o nim myśleć.

Nie potrafił nic na to poradzić, ale poczuł się urażony, bo chłopczyk wydawał się być dla niej ważniejszy niż on sam.

- Moglibyśmy zamieszkać w Cambridge - powiedział. - Tam jest spokój. Moglibyśmy wieść porządne życie; w Anglii wciąż można dostać większość rzeczy, jeśli się ma pieniądze, aja mam ich dość. Paco będzie bezpieczny, bo nikt więcej nie zapuka do drzwi. Później spróbuję wydostać stąd Enrique, ale to może być trudniejsze.

- Tak, Paco będzie miał większe szanse w Anglii. Chyba że przyjdą Niemcy, ale tutaj też mogą przyjść. Mówią, że teraz czasy są najgorsze, ale Hiszpania będzie potrzebowała wielu lat, wielu dekad, żeby wygrzebać się z tego, co Franco jej zrobił. Jeśli to w ogóle możliwe. - Spojrzała na niego w zadumie. - Zaopiekowałbyś się Pakiem, wziąłbyś na siebie taką odpowiedzialność?

- Tak. Ja też go nie chcę zostawić. Jestem pewien, że gdyby zaopiekował się nim dobry lekarz, poczułby się lepiej.

Skinęła głową.

- W Cambridge na pewno jest wielu lekarzy.

- Mnóstwo. Sofio, jeśli uda nam się zabrać Paca, czy... czy wyjdiesz za mnie? Nie... nie powiedziałaś, co o tym sądzisz. Czy... czy chciałabyś...

Przyjrzała mu się uważnie.

- Zgodziłbyś się zamieszkać ze mną i z Pakiem? Wiedząc, w jakim stanie on jest?

- Tak, tak. Nie pragnę niczego innego. Sofio, wyjdiesz za mnie?

Wstała z krzesła i podeszła do niego. Uklękła i pocałowała go, po

czym oderwała usta od jego ust i uśmiechnęła się.

- Tak. Tak, wyjdę za ciebie. Chociaż zastanawiam się, czy nie zwariowałeś.

Śmiał się głośno z radością i z ulgą.

- Może i zwariowałem troszeczkę, ale to mi nie przeszkadza. Cały dzień myślałem, co począć, od kiedy tylko powiedzieli, że mnie odsyłają do kraju...

Pochyliła się i położyła mu palec na wargach.

- Coś wymyślisz. Wiem o tym. Tak, Harry, wyjdę za ciebie.

- Wiem, że znamy się ledwie od kilku tygodni. Ale w tych czasach trzeba chwycić wszystko, co dobre, kiedy tylko nadarza się okazja.

- To najlepsze tygodnie w moim życiu. - Uklękła obok niego na podłodze, schylił się i objął ją.

- Muszę myśleć o Pacu - powiedziała. - Nie mogłabym go zostawić, mam nadzieję, że to rozumiesz. - Ściszyła głos do szeptu. - Tylko jego udało mi się ocalić ze wszystkich nadziei, które kiedyś miałam.

- Rozumiem. Sofio, może w Anglii będziesz mogła wrócić na studia, zostaniesz lekarzem.
- Najpierw muszę nauczyć się angielskiego. To będzie trudne. Ale zgadzam się na wszystko, byle tylko być z tobą. Pomyśl... nie poznalibyśmy się, gdyby nie Enrique. - Pokręciła głową. - Taka niktą szansa. Kiedy Harry przyszedł do Café Rocinante, prostytutka, którą wziął kiedyś za szpiega, znowu tam była. Sandy'ego jeszcze nie było. Kobieta siedziała przy stoliku na tyłach lokalu z grubym biznesmenem w średnim wieku, który mówił po hiszpańsku z silnym niemieckim akcentem. Chwalił się, ile zarobił pieniędzy od przyjazdu i ile ubił interesów. Kobieta uśmiechała się i kiwała głową, ale jej twarz miała nieobecny wyraz. Siedziała przy stoliku, pokazując wyjątkowo zgrabne jak na jej wiek nogi. Harry zauważył, że na łydce miała namalowaną linię; udawała, że nosi najnowsze nylonowe pończochy, ale po tym, jak światło odbijało się od jej nóg widać było, że są gołe. Musiało jej być potwornie zimno, chodzić tak po śniegu.

Niemiec zauważył, że Harry się im przygląda, i spojrzał na niego nieprzychylnie. Harry usiadł tak daleko od nich, jak to tylko było możliwe. Powiało zimnem, kiedy drzwi kawiarni otworzyły się i do środka wszedł Sandy. Miał na sobie gruby czarny płaszcz i kapelusz przyprószony śniegiem, podobnie jak ramiona - znowu zaczęło sypać. Czekając, Harry zastanawiał się, czy na widok Sandy'ego się przestraszy, wiedząc, co zrobił, ale czuł tylko odrazę i gniew.

Sandy podszedł do stolika Harry'ego, zatrzymując się po drodze, żeby wymienić uwagi na temat pogody z jakimś znajomym. Harry podniósł rękę, żeby zwrócić uwagę podstarzałego kelnera, który stał w rogu i rozmawiał z pucybutem. Chłopak był nowy; może poprzedni wyjechał, a może umarł z zimna w jakiejś bramie.

- Cześć, Harry. - Sandy wyciągnął dłoń. Jego palce były lodowate w dotyku.
- Cześć. Kawy?
- W taką pogodę, czekoladę. - Sandy spojrzał na kelnera, który natychmiast podbiegi.
- Un cafe con leche y un chocolate, Alfredo¹.

Harry przyjrzał się twarzy Sandy'ego. Uśmiechał się szeroko, ale wydawał się bardzo zmęczony.

- Jak tam twoje interesy? - zapytał Harry.

1 Kawę z mlekiem i czekoladę, Alfredo.

- Bywało lepiej. O co chodzi z tą pilną sprawą? Zaintrygowałaś mnie.

Harry wziął głęboki wdech.

- Sandy, wspomniałem w ambasadzie, że znam Anglika, który ma kłopoty w interesach. Jest tam kilka osób, które chcą z tobą porozmawiać. Możliwe, że mógłbyś im się do czegoś przydać.

Sandy patrzył na niego uważnie przez długą chwilę. Prawie było słycać obracające się w jego głowie trybiki. Wyjął papierosnicę i zapalił papierosa.

- To mi pachnie wywiadem - powiedział krótko.

Rany, ale on jest szybki, pomyślał Harry. Nie odpowiedział. Sandy zmrużył oczy.

- Czy to szpiegzy? - Przerwał i wydał cichy okrzyk zdumienia. - Harry, czy jesteś szpiegiem? - zapytał łagodnym tonem. Zawahał się na moment. - O, Boże. Jesteś, prawda? Tłumaczenie to pewnie dobra przykrywka. Grzebałeś w koszu na śmieci Franco? - Zaśmiał się z niedowierzaniem, spojrzał na Harry'ego, po czym-znowu się zaśmiał.

- Przepraszam, Sandy, ale nie wolno mi nic więcej powiedzieć. Chodzi mi o to... zobaczyłem, że ci się nie układa, chciałbym ci pomóc. - Z jaką łatwością przychodziły mu kłamstwa. - Żadnych zobowiązań, tylko wstępne spotkanie z dwójką ludzi z ambasady.

- Pewnie chcą mnie zwerbować? - Sandy kontynuował cicho. Podszedł kelner, Sandy wziął od niego tacę. - A, Alfredo, muy bien. Słodzisz, Harry? - Celowo przedłużał przygotowanie napoju, chciał dać sobie czas do namysłu. Odchylił się do tyłu i wypuścił kłąb dymu, po czym kopnął lekko Harry'ego w łydkę. - Na pewno nie możesz powiedzieć mi nic więcej, stary?

- Przykro mi.

Nagle twarz Sandy'ego przeszył bolesny grymas. Spojrzał na Harry'ego szeroko otwartymi oczami.

- Jezu, nie chodzi czasem o złoto, co?

Po raz pierwszy Harry trochę się przestraszył.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej. Sandy odchylił się w krześle. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, ale w oczach wciąż widać było ból.

- Mówią, że ambasada brytyjska jest pełna szpiegów - powiedział.

- Mają więcej szpiegów niż ktokolwiek inny, oprócz Niemców. Nie to, żebym był w niemieckiej ambasadzie, ale znam ludzi, którzy tam bywają. Słyszałem, że Hoare się wścieka, bo Franco jest zbyt zajęty, by się z nim spotkać, podczas gdy von Stohrer bez przerwy wchodzi i wychodzi z El Pardo.

Harry nie odpowiedział. Sandy wziął głęboki oddech.

- Cóż, wygląda na to, że czasy się zmieniają. Mój brat zginął, wiesz? Harry podniósł wzrok.

- Naprawdę? Nie wiedziałem.

- Dostałem Ust tydzień temu. Był w Egipcie, włoski pocisk trafił w jego namiot. - Uśmiechnął się gorzko. - Pewnie celowali w Wavella1

- to podobne do makaroniarzy: niechcący zabić w zamian kapelana.

- Przykro mi, Sandy. To smutna wiadomość. Sandy wzruszył ramionami.

- Od lat go nie widziałem. Wiesz, że nigdy mi się z Peterem nie układało.

- Czy to ojciec do ciebie napisał?

- Nie, stary znajomy z Londynu przeczytał w gazecie i wysłał mi list. Kochany ojczulek nie odezwałby się, nawet gdyby wiedział, gdzie jestem. Spisał mnie na straty, czeka mnie ogień piekielny. Ale Peter jest bezpieczny, w niebie, w ramionach Jezusa. - Zaśmiał się szorstko.

- Wydajesz się niespokojny, Harry. Nie wierzysz w tę całą religię, co?
- Nie. A jeszcze mniej po tym, co tu zobaczyłem.

Sandy odchylił się w krześle i zaciągnął się papierosem w zadumie, po czym roześmiał się gorzko i szorstko.

- Czasami to wszystko wydaje się takie śmieszne.
- Co?
- Życie. Śmierć. Wszystko. Popatrz na tamtą zdziwę z namalowanymi pończochami. Tysiące lat ewolucji i oto skutek. Często wydaje

i Dowódca wojsk brytyjskich na Bliskim Wschodzie.é

mi się, że dinozaury były bardziej imponujące. Przetrwały sto sześćdziesiąt milionów lat. - Dopił do końca czekoladę. - Szpiegowałeś mnie przez cały czas, prawda, Harry?

- Tak jak mówiłem, nie mogę powiedzieć nic więcej. Sandy pokręcił głową.
- Wiesz, potrzebowałem twojej aprobaty. Tak jak w Rookwood. Nie wiem dlaczego. To było takie dziwne, kiedy nagle się pojawiłeś. Takie dziwne... - Sandy przez chwilę patrzył przed siebie, po czym zwrócił spojrzenie z powrotem na Harry'ego, jego wzrok był surowy.
- Wiesz, że chciałem pomóc ci zarobić trochę pieniędzy. Mój stary kumpel, Harry. Cóż, okazałem się jeszcze większym idiotą niż wcześniej, co?

Harry milczał; nie wiedział, co powiedzieć. Sandy skinął głową.

- Spotkam się z twoimi znajomymi z wywiadu. Masz ich numer?
- Podsunął mu paczkę papierosów, Harry napisał na niej bezpośredni numer do Tolhursta. Sandy schował papierosy do kieszeni, po czym posłał mu dziwny półuśmiech. - Może się okazać, że wiem coś, co ich zdziwi.
- Co?

Sandy przekrzywił głowę.

- Poczekaj, sam zobaczysz. Przy okazji, nie mówiłem Barbarze o moim bracie. Nie chcę, żeby się rozkleiła. Nie wspominaj o tym, jeśli ją spotkasz.
- Nic nie powiem.
- Wie, że jesteś szpiegiem?
- Nie. Sandy, ona nic nie wie. Skinął głową.
- Zastanawiałem się przez chwilę, czy to może o to jej chodzi.

- Znowu uśmiechnął się swoim dziwnym półuśmiechem. - Zabawne, kiedy byłem małym chłopcem, chciałem być dobry, ale jakoś nigdy mi nie wychodziło. A jeśli nie jesteś dobry, dobrzy ludzie rzucają cię na pożarcie wilkom. Więc równie dobrze można być złym. - Przez moment wpatrywał się w pustą filiżankę, po czym sięgnął po płaszcz.

- W porządku. Chodźmy. Poszli w stronę drzwi. Sandy ruchem ręki odpędził chłopca sprzedającego papierosy. Stanęli w drzwiach. Wciąż padał śnieg, zasy pod murami domów robiły się coraz wyższe. Po drugiej stronie ulicy opatuleni w płaszcze ludzie wychodzili z kościoła po mszy. Przy drzwiach ksiądz żegnał ich uściskiem dłoni. Sandy włożył kapelusz.

- Cóż, znowu trzeba stawić czoło światu.

- Tak.

- Nie daj się przyłapać na grzebaniu w śmieciach, Harry. - Sandy odwrócił się gwałtownie, kuląc się w swoim płaszczu. Harry odetchnął głęboko, po czym ruszył po śniegu, żeby powiedzieć Tolhurstowi, że wystawił mu zwierzynek.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Taksówka jechała powoli przez Carabanchel. Nie było prądu, więc ulice były zupełnie ciemne, jeśli nie liczyć bladej poświaty świeczek w wysokich blokach. Samochód podskakiwał na nierównych, przykrytych śniegiem ulicach. W świetle reflektorów pojawił się stojący przy krawężniku wóz. Kierowca wpadł w poślizg, kiedy skręcił, by go ominąć.

- jMierda! - wymamrotał. - To jak jazda przez piekło, senior.

Kiedy Harry zatrzymał go na Puerta del Sol, kierowca nie chciał z początku jechać do Carabanchel, bo nie było tam prądu. Z zapadnięciem ciemności śnieg przestał padać, wyszedł też księżyc. Bez prądu i latarni, gdy jedynym światłem był blade blask świeczek z okien, miało się wrażenie, że samochód jedzie przez wałące się miasto duchów, pozostawione na pastwę żywiołów.

Tego samego ranka Harry został wezwany do biura Tolhursta. Z powodu braku prądu nie działało centralne ogrzewanie, więc pulchna postać Tolhursta była opatulona w grube swetry.

- Forsyth zadzwonił - powiedział. - Musi mu zależeć na spotkaniu.

- To dobrze. - Koniec, pomyślał Harry, to wszystko.

- Chcielibyśmy, żebyś był obecny podczas rozmowy.

- Co? - Harry zmarszczył brwi. - Czy to konieczne?

- Uznaliśmy, że to może pomóc. Co więcej, sądzimy, że najlepiej odbyć spotkanie w twoim mieszkaniu.

- Myślałem, że jeśli o mnie chodzi, to już koniec.

- Tak będzie. To ostatnia rzecz. Wiem, że zależy ci na tym, żeby stąd wyjechać. - W głosie Tolhursta była dezaprobata, prawie wyrzut. - Komandor mówi, że potem możesz wracać do domu; powinno się znaleźć dla ciebie miejsce w samolocie, który zawiezie ludzi na święta do kraju. Ale

uważa, że Forsyth może być bardziej podatny na argumentację na twoim terenie. Takie szczegóły mogą sprawić różnicę, wiesz? Poza tym jeśli zaprzeczy, że coś ci powiedział, będziesz mógł mu to wytknąć.

Harry poczuł gniew, ścisnęło go w żołądku.

- To będzie upokarzające. Dla niego i dla mnie. Zróbmy to chociaż w biurze, nie pogarszajmy sprawy.

Tolhurst pokręcił głową.

- Obawiam się, że to rozkaz komandora. - Harry milczał. Tolhurst spojrzał na niego ze smutkiem. - Przykro mi, że to się skończyło inaczej, niż planowaliśmy. W tym kłopot z taką robotą, wymyslnie ci się jedno nieopatrne słowo i po tobie.

- Wiem. - Harry przyjrzał mu się uważnie. - Postuchaj, Tolly, wiesz, że się spotykam z jedną dziewczyną.

- Tak. .

- Chcę się z nią ożenić. Zabrać ją do Anglii.

Tolhurst spojrzał na niego znacząco.

- Twoją mleczareczkę?

W Harrym wzbudził gniew, ale musiał spróbować mieć Tolhursta po swojej stronie. Zmusił się, żeby mówić spokojnym głosem.

- Zgodziła się za mnie wyjść.

Tolhurst zmarszczył brwi.

- Słuchaj, pewny jesteś? Jeśli zabierzesz ją ze sobą do Anglii, utkniesz z nią na dobre. - Podrapał się w podbródek. - Nie wpadłeś czasem, co?

- Nie. Ale ona i jej brat opiekują się chłopcem, osieroconym w czasie wojny. Jego też chcielibyśmy zabrać.

Tolhurst przyjrzał się poważnie Harry'emu.

- Słuchaj, wiem, że ci nie było łatwo, czy to na pewno odpowiednia chwila, żeby podejmować taką decyzję? Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy wyraził swoją opinię?

- Tolly, tego właśnie chcę. Możesz mi pomóc w dziale imigracyjnym?

- Nie wiem. Muszę porozmawiać z komandorem.

- Byłbyś tak dobry? Proszę cię, Simon, wiem, że to wielka odpowiedzialność, ale tego właśnie chcę.

Tolhurst podrapał się po podbródku.

- Czy dziewczyna albo jej brat mają jakieś powiązania polityczne?
- Nie. Są przeciwko reżimowi, ale to nic nadzwyczajnego.
- Nie, rzeczywiście, w tej klasie to nic nadzwyczajnego. - Tolhurst zabębnił palcami o biurko.
- Jeśli zrobisz, co w twojej mocy, będę twoim dłużnikiem, Tolly.

Wydawał się zadowolony.

- W porządku. Spróbuję.

Harry i Sofia ustalili, że spotkają się w Carabanchel na kolacji i powiedzą Enrique i Pacowi o swoich planach. Taksówka wreszcie dotarła do bloku Sofii. Harry wysiadł i otworzył drzwi kluczem, który od niej dostał. Ostrożnie wszedł po schodach. Nie widział nic nawet na wyciągnięcie ręki, musiał zapalić zapałkę. To była jedna z porad Tol-ly'ego: zawsze miej pudełko zapałek na wypadek przerwy w dostawie prądu.

Zapukał do drzwi. Otworzyła Sofia, na korytarz padło blade światło. Miała na sobie tę samą sukienkę, którą włożyła do teatru. Pokój za jej plecami był oświetlony mnóstwem świec; ich łagodne światło skrywało plamy wilgoci na ścianach i rysy na poobijanych meblach. Łóżko matki wciąż stało pod ścianą. Harry pochylił się i pocałował Sofię. Wydawała się zmęczona.

- Hola1 - powiedziała cicho.
- Gdzie są Enrique i Paco?
- Poszli kupić kawę. Powinni niedługo wrócić.
- Wiedzą, że coś się szykuje?
- Paco się czegoś domyśla. Wejdz, zdejmij płaszcz.

1 Cześć.

Na łóżku leżała czysta kapa pozszywana przez matkę z różnych kawałków materiału, stół był przykryty białym obrusem. Brasero paliło się od jakiegoś czasu, w pokoju było ciepło. Usiedli obok siebie na łóżku. Powiedział jej, że rozmawiał z kolegą o wizach.

- Myślę, że zrobi, co w jego mocy. Może nawet uda mu się załatwić wszystko przed świętami.
- Tak prędko?

Harry skinął potakująco. Sofia pokręciła głową.

- Enrique nie będzie łatwo.
- Możemy przysłać mu pieniądze. Wtedy przynajmniej zatrzyma mieszkanie. - Wziął ją za rękę.
- Wciąż jesteś pewna, że tego chcesz?
- Tak. - Spojrzała na niego. - Co z tą twoją pracą? Czy jest prawie skończona?

- Tak. Posłuchaj, jesteś pewna, że nim im powiemy, nie powinniśmy poczekać, aż będziemy całkiem pewni?

Sofia pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie. Nie zostawiamy tego do samego wyjazdu. Już teraz powinni wiedzieć, co zamierzamy.
- Tak się cieszę.

Na schodach rozległy się kroki. Enrique wszedł razem z Pakiem. Wydawał się zmęczony, ale policzki Paca nabrały kolorów. Enrique podał rękę Harry'emu.

- Buenos tardes. Mądre de dios, nie pamiętam takiego zimna. - Odwrócił się do Sofii. - Popatrz, znaleźliśmy kawę. W każdym razie coś takiego. - Paco wyjął spod płaszcza butelkę esencji z cykorii i podniósł ją w górę niczym trofeum, uśmiechając się, co było u niego rzadkie.

Sofia przygotowała kolację, ciecierzycę z małymi kawałkami kiełbasy chorizo. Zjedli razem przy stole. Enrique opowiadał o swojej pracy przy zamiataniu ulic, o bogatych kobietach, które wciąż chodziły w butach na obcasach i bez przerwy się przewracały. Kiedy zjedli, Sofia odsunęła swój talerz i wzięła Harry'ego za rękę.

- Chcemy wam coś powiedzieć.

Enrique spojrzał na nich, nie rozumiejąc, o co chodzi. Paco, któremu głowa ledwo wystawała nad blat stołu, zmarszczył brwi, zmartwiony.

- Poprosiłem Sofię o rękę - powiedział Harry. - Niedługo wracam do Anglii, a Sofia powiedziała, że wróci ze mną, jeśli uda nam się wziąć Paca.

Twarz Enrique nagle posmutniała. Spojrzał na Sofię.

- Zostawicie mnie tu samego? - Nagle wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu. - A zresztą, co ja bym robił w Anglii? Ledwo umiem czytać i pisać. To ty zawsze byłaś mądra.

Paco patrzył na nich po kolei. Na słowa Enrique jego twarzyczka stężała.

- Nie! Nie! Nie zostawię Enrique, nie! - Objął go ramionami i wtulił twarz w jego bark, kwiląc rozpaczliwie. Enrique podniósł go.

- Zabiorę go do kuchni - powiedział. Wziął Paca na ręce. Kiedy drzwi kuchenne się zamknęły, Sofia westchnęła.

- Enrique stara się być dzielny. Teraz to, zaraz po mamie.

Harry wziął jej rękę.

- Kiedy tylko załatwimy nasze sprawy, możemy spróbować go ściągnąć...

Przerwał, bo rozległo się głośne pukanie do drzwi. Sofia wstała, na jej twarzy malowało się zmęczenie.

- Jeżeli to znowu señora Avila...

Podeszła zdecydowanym krokiem do drzwi i otworzyła je szeroko. Stała w nich Barbara. Jej twarz była blada, widać było, że płakała.

- Co się stało? - spytał Harry surowym tonem. - O co chodzi?

- Mogę wejść? Proszę? Poszłam do twojego mieszkania, a potem pomyślałam, że możesz być tutaj. Przepraszam, nie miałam gdzie pójść. - Była zdesperowana, przerażona.

Sofia patrzyła na nią przez chwilę, po czym wzięła ją za ramię. - Wejdz. - Poprowadziła ją do krzesła. Barbara usiadła ciężko.

- Napij się wina - powiedział Harry. - Jesteś przemarznięta.

- Dzięki. Przepraszam, jedliście?

- Skończyliśmy - powiedziała Sofia. - Paco się zdenerwował, Enrique zabrał go na chwilę do kuchni.

Barbara przygryzła wargi.

- Lepiej, żeby nie słyszał, co ja mam do powiedzenia. - Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, podała jednego Sofii i zapaliła. Odetchnęła z ulgą. - Dobrze być z przyjaciółmi. Nie macie pojęcia...

- O co chodzi? - spytał Harry. - Co cię doprowadziło do takiego stanu?

Złożyła ręce na stole i ścisnęła je razem mocno. Wzięła głęboki oddech.

- Wiecie, że między mną a Sandym się nie układało. Wiecie, że myślałam o powrocie do domu.

- Wiemy.

Przełknęła ślinę.

- Jakiś czas temu usłyszałam, jak rozmawiał przez telefon w swoim gabinecie. To był przypadek, nie podsłuchiwałam, ale jego słowa były takie dziwne. Rozmawiał z kimś o waszym projekcie, następnie zapytał, co człowiek po drugiej stronie linii komuś zrobił... - Zadrzała. - Powiedział, że był twardy. To mi wciąż chodziło po głowie. Wymienił nazwisko. Gomez. - Harry otworzył szeroko oczy, kiedy Barbara wyjęła z torebki egzemplarz „Ya”. - No i przedwczoraj wieczorem zobaczyłam to.

Sofia pochyliła się naprzód, żeby przeczytać artykuł. Harry odchylił się w krześle i patrzył na Barbarę. W głowie miał zamęt.

Sofia podniosła wzrok.

- Mówisz, że to ma jakiś związek? - zapytała nagłym tonem Sofia.

Otworzyły się drzwi od kuchni, wyrzwał z niej Enrique. Spojrzył na nich pytająco. Sofia wstała i poszła z nim do kuchni. Barbara siedziała bez ruchu na krześle. Harry patrzył na nią. Sofia wróciła.

- Poprosiłam ich, żeby zostaU w kuchni. - Usiadła. - Barbaro, jesteś pewna? Jesteś, wybac mi, wyczerpana nerwowo.

Barbara pokręciła energicznie głową.

- Wszystko do siebie pasuje. - Podniosła głos. - Sandy był zaangażowany w torturowanie i morderstwo człowieka. Po tym, jak przeczytałam ten artykuł, nie chciałam wracać do domu. Ale się zmusiłam. Powiedziałam mu, że boli mnie głowa i że muszę iść do łóżka. Teraz ledwie mogę z nim rozmawiać. - Przez moment Barbara cała się trzęsła. - Słyszałam, jak śmiał się na korytarzu z naszą służącą, ma z nią romans. Leżałam w łóżku i trzęsłam się ze strachu, nigdy tak się nie bałam. Dzisiaj poszłam wcześniej rano do szpitala dla weteranów. Później... później po prostu nie mogłam wrócić do domu. Powinam, muszę, ale nie potrafię...

- Barbaro - powiedział cicho Harry, przez moment słowa stanęły mu w gardle. - Wiem o tym.

- Co? - Spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Sofia wbiła w niego spojrzenie.

Położył ręce na stole.

- Pracuję w wywiadzie. Jestem szpiegiem. Ten człowiek zginął przeze mnie.

Barbara była przerażona i wstrząśnięta.

- Mówiłeś, że nie robisz nic niebezpiecznego - powiedziała Sofia głosem ostrym jak brzytwa.

- Ani przez chwilę nie chciałem tej pracy. Ani przez chwilę.

Opowiedział im obu wszystko: o tym, jak go zwerbowali w Londynie, o spotkaniach z Sandym, o wyprawie do kopalni, o tym, jak jedno jego nieopatrzne słowo kosztowało Gomeza życie. Słuchały przerażone w milczeniu. Z kuchni dochodziły do nich od czasu do czasu szloch Paca i uspokajające słowa Enrique.

- Kopalnia złota? - powiedziała Barbara, kiedy Harry skończył. Spojrzała mu w oczy. - Harry, ty skurwysynu. - Nie krzyknęła, mówiła cichym, rozżalonym głosem. - Przez ostatnie dwa miesiące przychodziłeś do nas na kolację, spotykałeś się ze mną na lunch, a przez cały czas naprawdę szpiegowałeś Sandy'ego. Mnie pewnie też!

- Nie! Nie, kiedy przyleciałem do Hiszpanii, nie miałem pojęcia, że jesteście razem. Nienawidziłem tego, że cię oszukiwałem, jeśli chcecie wiedzieć, nienawidziłem tej całej afery. Nienawidziłem! - powiedział tak głośno i z takim rozgoryczeniem, że Sofia spojrzała na niego zdziwiona.

- A co z niebezpieczeństwem, w którym ja się znalazłam? - kontynuowała Barbara. - Wiedziateś o Gomezie i mnie nie ostrzegłeś! - Nie wiedziałem na pewno aż do piątku. Ale powiedziałem, że powinnaś wrócić do domu.

- Och, dzięki ci, Harry, cholerne dzięki! - Barbara zdjęła okulary i przesunęła dłonią po twarzy. - Mówili o tobie w rozmowie, którą podsłuchałam. Nie wierzyłam, że mogłeś być uwikłany w morderstwo, a jednak przez cały czas byłeś pieprzonym szpiegiem.

Harry spojrział na Sofię. Odwróciła twarz.

- To koniec, uwierzcie mi. Posłuchajcie, wywalają mnie z powodu Gomeza. Cieszę się. - Wziął głęboki oddech. - Próbują zwerbować Sandy'ego. - O Boże, co ja im zrobiłem, pomyślał, patrząc na wstrząśnięte twarze obu kobiet.

Sofia odwróciła się do niego.

- Ten człowiek, Gomez, był w Toledo, gdzie ulice spłynęły krwią republikanów, a Maurowie odcinali im głowy jako trofea. Nie ma powodu płakać po kimś takim jak on.

Barbara spojrzała na nią wstrząśnięta. Sofia nie spuściła wzroku.

- Powinnaś wrócić do Anglii, uciec daleko stąd. Możesz zatrzymać się w hotelu, póki nie uda ci się dostać biletu na statek albo na samolot.

- Spojrzała na Harry'ego stanowczo. - Pomożemy jej, prawda, Harry?

- Tak, tak. - Pokiwał obojętnie głową, wdzięczny za to „my”. - Barbaro, Sofia ma rację, powinnaś wrócić do kraju tak szybko, jak to możliwe.

- Myślicie, że o tym nie wiem? - Ku jego zaskoczeniu roześmiała się nieprzyjemnie, z goryczą. - Nie mogę jeszcze wrócić. Na Boga, jak wy mało wiecie.

Coś w jej głosie sprawiło, że Harry'ego przeszył zimny dreszcz.

- Jak to?

Wzięła głęboki oddech i wyprostowała ramiona.

- Nie wiesz o Bernie. Bernie żyje. Trzymają go w obozie pracy obok Cuenki; wraz z byłym strażnikiem planują go stamtąd wydostać. Uratować go. W sobotę, za sześć dni. - Przerwała i spojrzała na niego.

- Teraz twoja kolej na zdziwienie, co?

Harry otworzył usta. Barbara znowu zaśmiała się przenikliwie; słychać było w jej śmiechu odrobinę hysterii. Harry'emu stanął przed oczami roześmiany Bernie, idący z nim ulicami Madrytu, rozglądający się z podnieceniem, z szelmowską miną.

Sofia nie rozumiała.

- Kto to jest Bernie? Wasz przyjaciel, który przyjechał tu walczyć?

- Tak. - Harry spojrział Barbarze w oczy. - O Boże, mówisz prawdę.

- O tak.

Sofia patrzyła na niego, jej duże ciemne oczy błyszczały z emocji. Do diabła, pomyślał Harry, wszystko zepsułem. Nie wybaczy mi tego, jak potraktowałem Barbarę.

- A więc to tyle - skończyła Barbara. - Muszę tu zostać do soboty.

- Wciąż mogłabyś go zostawić - powiedziała Sofia.
- Nie. Szukałby mnie, nie pozwoliłby mi tak po prostu odejść. Narobiłby rabanu. Nie może o niczym wiedzieć. - Zacisnęła mocno usta.
- Gdyby się dowiedział, mógłby skłonić swoich przyjaciół żeby skrzywdzili Berniego.
- Możesz wysłać kogoś innego do Cuenki. - Sofia spojrzała pytająco na Harry'ego. - Na przykład nas.

Barbara spojrzała na nią zdumiona.

- Dlaczego miałabyś się narażać na niebezpieczeństwo?
- Bo w ten sposób pomogłabym komuś, kto za nas walczył. I zrobiłabym coś wbrew tym sukinsynom, którzy nami rządzą. - Spojrzała na Harry'ego. - Zawsze pozostaję wierna swoim ideałom. To ważne.
- To się nie uda - powiedziała Barbara. - Jeżeli ktoś obcy pojawi się na spotkaniu z Luisem, tym byłym strażnikiem, on ucieknie, już i tak jest wystarczająco zdenerwowany. - Opowiedziała im o wszystkim, od pierwszego spotkania z dziennikarzem w październiku. Słuchali w milczeniu. - Nie, muszę wrócić do Sandy'ego - powiedziała w końcu Barbara. - Będę udawać, że jestem chora, że złapałam gripę, poproszę go o osobny pokój. Nie będzie miał nic przeciwko, pewnie do naszego łóżka zaciągnie tę dziewczynę.
- To będzie dla ciebie cholernie ciężki tydzień - powiedział Harry.
- Będziesz musiała przez cały czas udawać przed Sandym. - No co ty powiesz! - odparła z gniewem. - Jest mi go prawie żal przez to, co mu zrobięś. - Westchnęła i skryła twarz w dłoniach. - Nie, to nie tak - powiedziała ciszej. - Sam się o to prosił. - Podniosła wzrok. - Wydaje mi się, że wytrzymam, jeżeli dzięki temu uda nam się uwolnić Berniego. - Spojrzała znowu na gazetę. - To wstrząs po tym, kiedy się dowiedziałam o tym człowieku. Nie mogłam przestać o nim myśleć.

Sofia patrzyła na fotografie na ścianie, na jej matkę, ojca i wujka księdza.

- Nie powinnaś jechać sama do Cuenki - powiedziała. - Jako cudzoziemka będziesz się rzucać w oczy, to miasteczko z dala od cywilizacji.
- Znasz je?
- Często tam jeździliśmy, kiedy byłam mała. Przyjeżdżaliśmy do niego z Tarancón, po drugiej stronie prowincji, ale mój wujek tam mieszkał. Nie powinnaś jechać sama - powtórzyła.

Barbara westchnęła.

- Nawet nie mam samochodu, chyba że uda mi się zabrać auto Sandy'ego. To drugi problem.
- Mógłbym pomóc - powiedział Harry. - Mogę pożyczyć samochód z ambasady i ci go dać.
- Czy to by nie było wbrew przepisom?

Harry wzruszył ramionami. Nic go to nie obchodziło. Jeśli Bernie żył...

Sofia pochyliła się naprzód.

- Moglibyśmy cię zawieźć, ja i Harry. Tak, to się uda. Harry będzie dyplomatą, który zabiera dwie przyjaciółki na całodzienną wycieczkę. Samochodem na dyplomatycznych numerach.

Sofia spojrzała na niego. Serce waliło Harry'emu jak młotem. Pomyślał, że to szaleństwo; jeżeli ich złapią, Sofia straci wszelkie szanse na opuszczenie Hiszpanii. On i Barbara pewnie zostaną deportowani, ale Sofia... Spojrzał na nią. Czuł, że chciała, by powiedział tak, by się odkupił. A jeżeli Bernie żył, jeśli mogli go wydostać... Zwrócił się do Barbary.

- Jesteś pewna, że ten Luis wie, co robi?

- Oczywiście, że tak - odparta zniecierpliwiona. - Wydaje ci się, że nie sprawdziłam wszystkiego przez ostatnie tygodnie? Luis nie jest głupi, on i jego brat dobrze to przemyśleli.

- W porządku - powiedział. - Pojadę z tobą. Ale nie ty, Sofio. Masz zbyt wiele do stracenia.

Barbara się zdziwiła.

- A co jeśli ambasada się dowie? Mógłbyś wpaść w tarapaty, prawda? Zwłaszcza biorąc pod uwagę twoją... pracę.

Harry wziął głęboki oddech.

- Do diabła z nimi. Masz rację, Sofio, co do wierności ideałom. Wiesz, że ty pomogłaś mi porzucić wiele ideałów?

Jej oczy rozbłyły gniewem.

- Powinieneś był je porzucić.

- Przyjaźń z Bernieem to chyba najstarszy z nich. - Pokręcił głową. - Słyszałem plotki o tajnych obozach.

Barbara zmarszczyła brwi w skupieniu.

- Moglibyśmy przywieźć Berniego samochodem i zostawić go w budce telefonicznej koło ambasady. Wysłaliby kogoś po niego, prawda?

Harry pomyślał przez chwilę.

- Tak.

- Mógłby powiedzieć, że złapał okazję z Cuenki, nikt nigdy nie musi się dowiedzieć, że byłeś zaangażowany w jego ucieczkę.

- Tak, to się może udać. - Westchnął. Stał przed perspektywą utraty wszystkiego, co miał, ale musiał to zrobić. Dla Sofii. I dla Berniego. Bernie żył...

- Ja też pojadę - powiedziała Sofia zdecydowanym tonem. - Poprowadzę was.

- Nie - powiedział Harry. Położył jej dłoń na ramieniu. - Nie, nie pozwolę ci z nami jechać.
- Harry, posłuchaj, dla nas trojga to będzie o wiele mniej ryzykowne. Mówię ci, że znam Cuencę. Będziemy mogli pójść tam, gdzie chcemy, bez patrzenia na mapę i zwracania na siebie uwagi.
- Sofio, pomyśl...

Wyprostowała się na krześle. Mówiła cicho, ale jej oczy nabrały blasku.

- Miałam wyrzuty sumienia na myśl, że mogę uciec z mojego kraju. Nie mówiłam ci o tym, ale miałam. Ale teraz mam szansę coś zrobić. Coś przeciw nim.

Rozdział czterdziesty

Od czasu do czasu jeńców zbierano w kościele, gdzie spędzali wieczór na oglądaniu propagandowych filmów. Obejrzeni defiladę zwycięskich wojsk Franco: sto tysięcy żołnierzy maszerujących przed Caudillem, niemiecki Legion Condor¹ krążący nad ich głowami. Oglądali filmy o odrodzeniu Hiszpanii, o batalionach młodzieżówki Falangi pomagających w pracy na polach, o biskupie błogosławiącym nowo otwarte fabryki w Barcelonie. Nie tak dawno temu obejrzeni film ze spotkania w Hendaye, na którym Franco z rozpromienioną twarzą przechodził z Hitlerem przed wartą honorową.

Mroźna pogoda nie ustępowała. Szukające rozpaczliwie jedzenia jelenie wciąż podchodziły do obozu, zwabiane zapachem z kuchni. Strażnicy mieli teraz więcej dziczyzny, niż potrzebowali; strzelali więc tylko po to, żeby rozwiać nudę.

Więźniowie weszli do kościoła, powłócząc nogami, cieszyli się, że w środku przynajmniej było napalone w piecu. Usiedli na twardych drewnianych krzesłach, pokasływali i kręcili się niespokojnie, podczas gdy dwóch strażników rozstawiało bardzo stary projektor. Pod ścianą umieszczono ekran, stał pod nim Aranda i kręcił swoją laseczką, patrząc niecierpliwie na operatora aparatu.

Bernie siedział zawinięty w płaszcz i masował ramię. Był dziewiąty grudnia; pięć dni do ucieczki. Uważał, żeby nie spoglądać na Agustina, który trzymał wartę przy drzwiach.

i Niemiecki korpus lotniczy, który wspierał armię Franco w wojnie domowej.

Na znak dany przez operatora Aranda wystąpił naprzód. Uśmiechał się.

- Wielu z was, zagranicznych więźniów, z chęcią dowie się, co się dzieje na świecie. Noticiario Español z dumą przedstawia film o ostatnich wydarzeniach w Europie. - Machnął laseczką w stronę ekranu. - Przedstawiam wam... Zwycięskie Niemcy. - To aktor, pomyślał Bernie, wszystko, od tego poczynając a na torturowaniu jeńców kończąc, robi po to, żeby być w centrum uwagi. Uważał, żeby nie skrzyżować z Arandą spojrzeń. Był ostrożny od czasu, kiedy odmówił zostania informatorem.

Film zaczął się od kroniki filmowej, przedstawiającej niemieckich żołnierzy wkraczających do Warszawy, czołgi pędzące przez francuską wieś oraz Hitlera oglądającego Paryż. Bernie wcześniej nie wiedział nic na ten temat; skala wydarzeń była przerażająca. Następnie na ekranie wyświetlił się dymiący, zbombardowany Londyn. „Tylko Wielka Brytania jeszcze się nie poddała. Uciekła z pól bitewnych Francji a Churchill teraz siedzi w Londynie i się dąsa. Odmawia stoczenia bitwy i odrzuca honorowe poddanie się, wierząc, że Wielka Brytania jest bezpieczna dlatego, że to wyspa. Ale zemsta

spada z nieba i niszczy brytyjskie miasta. Gdyby tylko Churchill podążył tropem Stalina i zawarł pokój, i on, i Niemcy zyskaliby na tym".

Obrazy przeniosły się z płonącego Londynu do pokoju, w którym radziecki minister spraw zagranicznych Mołotow siedzi przy biurku i podpisuje dokument. Obok stoi i śmieje się Ribbentrop, a Stalin klepie go po plecach. Ta scena była dla Berniego wstrząsem. Wiele razy zastanawiał się, dlaczego Stalin zawarł pakt z Hitlerem, zamiast przyłączyć się do aliantów - to było szaleństwo. Komuniści mówili, że tylko Stalin znał konkrety, trzeba było ufać jego ocenie sytuacji, ale kiedy Bernie zobaczył, jak Stalin świętuje z Ribbentropem, przeszył go dreszcz.

„Dzięki zawarciu paktu z Niemcami Związek Radziecki okupuje teraz pół Polski, a handel z Rzeszą kwitnie i kraj otrzymuje dewizy w zamian za surowce”.

Kamera pokazała kontrolę graniczną długiego pociągu towarowego. Niemieccy żołnierze w hełmach w kształcie misek przeglądali razem

z okutymi w szynale Rosjanami listy przewozowe. Dalej film słał niemieckie osiągnięcia w okupowanych krajach; Bernie odpłynął myślami w momencie, kiedy Vidkun Quisling¹ witał odwiedzający Oslo niemiecki zespół operowy.

Tego popołudnia w kamieniołomie poskarżył się głośno Agustiniowi, że ma biegunkę. Zrobili to po to, by, pokazać, że Bernie ma kłopoty.

- Lepiej idź w krzaki - powiedział głośno Agustín. Skuł Berniemu stopy i poprowadził go na drugą stronę wzgórza, gdzie zbocze opadało w dół, odsłaniając widok na falujące białe pagórki. Dzień był pochmurny, zaczynało się ściemniać.

Bernie popatrzył na Agustina. Jego chuda twarz była jak zwykle ponura i zmartwiona, ale inteligentne oczy obserwowały uważnie okolicę.

- Najpierw pójdz w stronę tamtego jaru - powiedział cicho Agustín, wskazując palcem przed siebie. - Znajdziesz tam ścieżkę, ledwie można ją zauważyć przez śnieg. Chodziłem tamtędy w wolne dni. Rośnie tam trochę drzew, ukryj się wśród nich do zapadnięcia zmroku. Następnie po prostu idź w dół ścieżką pasterską, aż dojdiesz do biegnącej wąwozem drogi.

Bernie popatrzył na rozciągające się przed nim śnieżne pustkowie.

- Zobaczą moje ślady.

- Może śnieg stopnieje. Ale nawet jeśli nie, o ile tylko uciekniesz późnym popołudniem nie będą w stanie zorganizować poszukiwań przed zapadnięciem zmroku. Wtedy będzie trudniej iść po twoich śladach. Strażnicy wyślą kogoś do obozu, żeby podnieść alarm, ale nim Aranda zorganizuje poszukiwania, powinieneś być już prawie w Cuenca.

Bernie przygryzł wargi. Przed oczami stanął mu obraz siebie biegnącego w dół wzgórza, odgłos wystrzału, upadek na ziemię. Koniec wszystkiego.

- Zobaczmy, jaka będzie pogoda w sobotę.

Agustín wzruszył ramionami.

i 1942-1945 premier norweskiego rządu marionetkowego współpracującego z Niemcami.

fe

- To może być twoja jedyna szansa. - Spojrzał na zegarek i rozejrzał się nerwowo. - Powinniśmy wracać. Przyjrzyj się okolicy, Piper. Jeżeli wrócimy tu po raz drugi przed sobotą, komuś może się to wydać dziwne. - Zarzucił karabin na ramię i posłał Berniemu niespokojne, nieszczęśliwe spojrzenie. Bernie uśmiechnął się szelmowsko.

- Może pomyślą, że chcemy się pobrać, Agustín.

Agustín zmarszczył brwi i gwałtownym ruchem karabinu nakazał Berniemu powrót do kamieniołomu.

Film strasznie się dłużył. Niemieccy inżynierowie modernizowali polskie fabryki. Od więźniów bił wilgotny zapach brudu. Niektórzy przysnęli, nieprzyzwyczajeni do ciepła, inni siedzieli, patrząc posępnie przed siebie. Atmosfera podczas mszy i filmów była zawsze taka sama: wszyscy byli nieszczęśliwi, ponurzy, rozdrażnieni. Chyba nawet ojciec Eduardo nie wierzył, że te msze mają jakkolwiek sens. Były po prostu kolejną formą zemsty, kary. Bernie spojrzął kątem oka na Pabla, który siedział dalej w tym samym rzędzie. Od czasów ukrzyżowania był zamknięty w sobie, miał zapadłe oczy, bolały go ramiona. Czasami widać było, że się poddał - tak pod koniec życia wyglądał Vicente. Estabło traktował Pabla z zaskakującą uprzejmością. Ponieważ siły go zawodziły, poprosił, żeby mu pomagał przy różnych rzeczach; Bernie podejrzewał, że tylko po to, by Pablo miał coś do roboty, by mógł uniknąć depresji.

Ukrzyżowanie zmieniło też ojca Eduardo. Bernie widział, jak ksiądz patrzy na Pabla, kiedy przechodził niespokojnie przez plac. Zakonnik był zamknięty w sobie, zatroskany; kiedy śledził Pabla wzrokiem, na jego twarzy malował się ból. Bernie unikał teraz ojca Eduardo, wciąż wstydził się tego, że mu dokuczał. Ale poprzedniego dnia ksiądz podszedł do niego na placu po zbiórce.

- Jak się czuje Pablo Jimenez? - zapytał. - Mieszka w twojej chacie.

- Niedobrze.

Ksiądz spojrział Berniemu w twarz.

- Jest mi przykro z tego powodu.

- Niech ojciec jemu to powie.

- Powiedziałem. A w każdym razie próbowałem powiedzieć. Chciałem, żebyś ty też wiedział. - Ojciec Eduardo odszedł, powłócząc nogami, ze spuszczoną głową. Wyglądał jak starzec.

Rozległ się terkot, po nim pstryknięcie i ekran stał się czarny. Strażnik zapalił lampy naftowe. Aranda stanął przed nimi. Złożył ręce za plecami, uśmiechał się. Bernie pomyślał, że napawał się ich upokorzeniem.

- No cóż, panowie, czy film wywarł na was wrażenie? - zapytał. - Pokazał, jakimi śmierdzącymi tchórzami są komuniści. Woleli podpisać traktat z Niemcami niż walczyć. To nie są prawdziwi

żołnierze, tak jak nie są nimi skuleni ze strachu Brytyjczycy. - Zamachał swoją laseczką. - No, chętnie usłyszę, co o tym myślicie, kto ma coś do powiedzenia?

Odpowiadanie na te słowne zaczepki było groźną grą. Aranda mógł nazwać bezczelnością odpowiedź, która nie przypadłaby mu do gustu, i ukarać jej autora. Ale siedzący obok Pabla Establo z bólem podniósł się z pomocą laski. Jego twarz była pożółkła, jakby miał żółtaczkę, co stanowiło przerażający kontrast z czerwonymi strupami świerzbu. Ale Establo nigdy się nie poddawał.

- Panie komendancie, towarzysz Stalin jest sprytniejszy, niż się panu wydaje. - Jego głos brzmiał jak świst. Przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć oddechu. - Czekaj, aż imperialistyczne mocarstwa wykończą się nawzajem swoją wojną. A wtedy, kiedy Imperium Brytyjskie i Niemcy wdepczą się nawzajem w ziemię, robotnicy w obu krajach powstaną, a Związek Radziecki im pomoże.

Aranda był uradowany. Uśmiechnął się do zniszczonego chorobą Establa.

- Ale Wielka Brytania stoi na skraju klęski, podczas gdy Niemcy są potężniejsze niż kiedykolwiek. Nie będzie pata, tylko niemieckie zwycięstwo. - Machnął laseczką w stronę Berniego. - Co myślisz o tym nasz angielski komunista?

Wszystko zależało od tego, żeby tylko trzymać się z dala od kłopotów. Bernie wstał. - Nie wiem, panie komendancie.

- Widziałeś na filmie, że Wielka Brytania nie chce wyjść z ukrycia i stanąć do uczciwej walki z Niemcami. Nie chcesz, żeby doszło do starcia, tak jak twój towarzysz, żeby rządzące klasy obu krajów zniszczyły się nawzajem?

Establo spojrział na niego wyzywająco. Bernie nic nie powiedział. Aranda uśmiechnął się, po czym, ku wielkiej uldze Berniego, dał mu znak, żeby usiadł.

- Brytyjczycy wiedzą, że przegrają, dlatego siedzą w domu. Ale przyszłej wiosny kanclerz Hitler podbije ich i na tym będzie koniec. - Uśmiechnął się do więźniów. - A wtedy, kto wie, może zwróci swoją uwagę ku Związkowi Radzieckiemu.

Później tego wieczoru Bernie leżał na swojej pryczy i rozmyślał. Gruba warstwa śniegu zalegała od wielu tygodni, powinna zacząć topnieć. Ale zostało tylko pięć dni. Usłyszał stukanie laski. Podniósł wzrok. Establo nie mógł już chodzić sam, Pablo trzymał go pod ramię. Stał u stóp pryczy Berniego i patrzył; jego oczy w świetle świec spoglądały żywo i przenikliwie, jak zawsze. To była jedyna część jego ciała, która nie straciła swej mocy, nie zjadła jej choroba.

- Nie miałeś wiele do powiedzenia komendantowi, Piper.

- Nie ma sensu kłócić się z szaleńcami.

- Wielka Brytania wciąż walczy na morzu. To godny przeciwnik dla Niemiec.

- Mam nadzieję.

- Bo wtedy Brytania i Niemcy mogą się tak nawzajem zmęczyć, że robotnicy będą mogli bezpiecznie powstać, co? Widziałeś, jak towarzysz Stalin oszukał Niemców i przekonał ich, że jest ich przyjacielem.

- Gdyby rok temu przyłączył się do Wielkiej Brytanii i Francji, może Niemcy zostałyby pokonane.
- A więc zgadzasz się z Arandą, że towarzysz Stalin jest tchórzem?
- Nie wiem, po co zawarł ten pakt. Ty też tego nie wiesz.
- On ma rację. To wojna imperialistów.
- To wojna przeciwko faszyzmowi. O to walczyłem w trzydziestym szóstym. Idź sobie, Establo, nie chcę się kłócić z chorym człowiekiem.
- Bernie spojrzał na Pabla. Jego twarz była ściągnięta z bólu. Chociaż wspierał Establa, sam musiał opierać się drugą ręką o ramę łóżka.
- Pewnego dnia - powiedział cicho Establo - kiedy Sowieci wygrają, pożałujesz, że nie dochowałeś wiary. Nie będzie mnie tam, żeby zade-nuncjować cię jako wroga klasy robotniczej, ale inni to zrobią. - Skinął głową na Pabla. - Ci ludzie posłużą mi za pamięć.
- Tak, towarzyszu. - Bernie wstał z łóżka. Musiał z tym skończyć.
- Wybacz mi, muszę się odlać. - Podeszedł do drzwi, po czym obszedł chatę i się załatwił. Spojrzał przez drut kolczasty na widniejący za nim biały krajobraz. Oby tylko nie było księżycy, pomyślał. Nagle podskoczył, prawie krzyknął, bo ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Obrócił się gwałtownie. Stał za nim Agustín.
- Co ty, kurwa, wyprawiasz? - wyszeptał z wściekłością,
- Czekałem ponad godzinę, żeby zobaczyć, czy wyjdiesz. - Agustín wziął głęboki oddech. - Zmienił się rozkład wart. W sobotę mam wziąć sobie wolne. Nie możesz uciec.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Hillgarth i Tolhurst mieli przyjść do mieszkania Harry'ego o siódmej, Sandy pół godziny później. Tolhurst aż się rumienił z dumy, kiedy mówił Harry'emu, że będzie towarzyszył Hillgarthowi.

- Komandor poprosił mnie, żebym tym razem poszedł z nim i mu pomógł, ponieważ wiem wszystko o tej sprawie - powiedział zarozumiale, jakby to Harry'ego cokolwiek obchodziło.

Kiedy późnym popołudniem Harry wrócił z ambasady, w mieszkaniu było przeraźliwie zimno. Śnieg nie padał, ale panował mróz, okna pokryły się szronem. Zapalił braseró i poszedł do kuchni. Klucze zostawił w małym spodku, w którym zawsze je trzymał. Miał je w płaszczu, metal był zimny w dotyku. Przypomniał sobie wyrażenie z Ryszarda III Szekspira - brał udział w szkolnym przedstawieniu - kiedy Gloucester stara się upewnić, że księżę Clarence nie żyje, i dowiaduje się, że jest „zimny jak klucz”.

Wszedł do salonu i wyprostował wiszącą na ścianie akwarelkę. Najgorsze było oczekiwanie, ale do soboty, kiedy wreszcie pojedą do Cuenki, będzie musiał się dużo naczekać.

W pokoju unosił się ledwie wyczuwalny zapach perfum Sofii. Dziwne, ich zapach był lekko piżmowy w ciepłym powietrzu, a cierpki w zimnym. Siedzieli we dwoje razem poprzedniego wieczora, rozmawiając o ratowaniu Berniego. To, co robili, było poważnym wykroczeniem. Jeżeli ich złapią,

Harry'ego ochroni immunitet dyplomatyczny, Barbarę będzie chronić ambasada, ale Sofia była Hiszpanką, więc jedyne, co ją mogło czekać, to długi wyrok. Harry spędził pół wieczoru,

próbując odwieść ją od pojechania z nimi, ale Sofia pozostała niewzruszona.

- Podczas oblężenia Madrytu widziałam dość niebezpieczeństw
- powiedziała. - Jeśli mam opuścić mój kraj, mogę przynajmniej zrobić jeden dobry uczynek, uratować choć jednego człowieka.
- Bernie jest dla mnie bardzo ważny, inaczej bym tego nie robił. Ale ty mu nic nie jesteś winna.
- Mam dług wdzięczności wobec wszystkich, którzy przyjechali tu, by pomóc Republice. Chcę coś zrobić, nim wyjadę. - Uśmiechnęła się smutno. - Czy to brzmi romantycznie, hiszpańsko i głupio?
- Nie, nie. To bardzo szlachetne. - Zastanawiał się, czy Sofia nie chciała czasem zobaczyć, czy Harry był w stanie dokonać czegoś szlachetnego, po tych wszystkich oszustwach i ciemnych sprawkach, w które był zamieszany. Powiedział Barbarze, że jej pomoże; ucieszyła go wiadomość dotycząca Berniego, ale także chciał pokazać Sofii, że stać go na dobry uczynek. Coś między nimi się zmieniło; Sofia była trochę zamknięta w sobie, było w niej jakieś wahanie, które tylko kochanek mógł zauważyć.

Ale kiedy Harry powiedział, że zorganizował ślub w ambasadzie, nie wahała się. Ceremonia miała być cywilna, bo Harry nie był katolikiem, ale ambasada była w stanie załatwić małżeństwo zgodne z angielskim prawem. Tolhurst porozmawiał, z kim było trzeba, i bardzo ułatwił sprawę.

- Jedyne, co mnie naprawdę martwi - powiedział Harry - to czy Barbara wytrzyma.
- Sądzę, że tak. Tyle już wytrzymała sama. Bernie musi być szczególną osobą; większość hiszpańskich komunistów to źli ludzie.
- Był moim najlepszym przyjacielem. Nigdy nikogo nie zawiódł, można było na nim polegać.
- W przeciwieństwie do mnie, pomyślał.
- A jak trzymał się socjalizmu... - Zaśmiał się cicho. - Mówię ci, to się w Rookwood nie podobało. - Uśmiechnął się cierpko. - Nie możemy pozwolić, żeby Paco trafił do prywatnej szkoły. Albo się buntujesz, albo idziesz przez życie jak lunatyk. Rozległ się nieprzyjemny i ostry dźwięk dzwonka, który wyrwał Harry'ego z zadumy. Wziął głęboki oddech i poszedł otworzyć drzwi. Stali w nich Hillgarth i Tolhurst, obaj ubrani w grube palta i filcowe kapelusze. Zaprosił ich do środka i wziął od nich ubrania. Mieli na sobie eleganckie garnitury. Hillgarth zatarł dłonie.
- O Boże, ale tu zimno, Brett.
- Chwilę trwa, zanim się nagrzej. Drinka?

Nalał Hillgarthowi whisky, a sobie i Tolhurstowi brandy. Spojrzał na zegarek: była za kwadrans siódma. Tolhurst usiadł na kanapie. Wydawał się niespokojny. Hillgarth obszedł pokój, przyglądając się obrazkom.

- Z ambasady?
- Tak, ściany były gołe, kiedy się tu wprowadziłem.
- Znalazłeś pamiątki po tym komuniście, który tu wcześniej mieszkał? - Uśmiechnął się. - Jakies instrukcje z Moskwy w obiciach krzesel?
- Nie, nic.
- Ludzie Franco na pewno dokładnie wszystko oczyścili. Wciąż cię nikt nie śledzi?
- Nie, nikt.
- Musieli uznać, że jesteś zbyt mało ważny.

O Boże, pomyślał Harry, co ja przed nimi ukrywam. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co miał zamiar zrobić w sobotę. Nie mógł sobie pozwolić na myślenie, musiał zachować spokój, stoicki spokój.

- A przy okazji - powiedział Tolhurst - twoja narzeczona musi przyjść jutro na rozmowę w ambasadzie. Polityczne prześwietlenie; musimy się upewnić, że nie jest agentem Franco. Mogę ci streścić, co powinna powiedzieć.
- W porządku. Dzięki.
- Z chłopczykiem nie powinno być problemów - kontynuował Tolhurst - ale będzie musiała udowodnić, że się nim opiekowała. - Spojrzał na Harry'ego swoim poważnym jak u sowy wzrokiem.
- Od półtora roku odbiera jego racje żywnościowe.

Tolhurst pokiwał głową.*

- To powinno wystarczyć.

Hillgarth trzymał w ręku szklankę i patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Powinieneś być wdzięczny Tolly'emu, Brett. Spędził pół wczorajszego popołudnia w dziale imigracyjnym.

Ponownie zabrzmiał ostry dźwięk dzwonka. Wszyscy trzej zamarli na moment, jak gdyby zbierali siły.

- Wpuść go, Brett - powiedział Hillgarth.

Sandy stał w drzwiach i uśmiechał się nonszalancko.

- Cześć, Harry. - Spojrzał Harry'emu przez ramię. - Są już?
- Tak. Chodź, wejdź.

Zaprowadził go do salonu. Sandy skłonił się lekko Hillgarthowi i Tolhurstowi i rozejrzał się po pokoju.

- Fajne mieszkanie. Widzę, że masz obrazki z Anglii. .

Hillgarth podszedł do niego i wyciągnął dłoń.

- Komandor Alan Hillgarth. To jest Simon Tolhurst.

- Miło mi panów poznać.

- Napijesz się, Sandy? - spytał Harry.

- Nalej mi whisky. - Spojrzał na stojącą na kredensie butelkę. - O, glenfiddich. Ciekawe, czy zaopatrujesz się u tego samego gościa co ja. Niewielka melina na tyłach Rastro?

- Nie, zapasy z ambasady - powiedział Hillgarth. - Prosto z Anglii. Jedna z zalet tej roboty.

- Domowe wygody, co? - Sandy uśmiechnął się do Harry'ego szeroko, kiedy brał drinka. Harry skrzywił się w duchu.

- Usiądziemy? - zapytał Hillgarth.

- Oczywiście. - Sandy usiadł, po czym podał Hillgarthowi swoją srebrną papierośnicę. - Zapali pan?

- Dziękuję.

Sandy podał papierosa Tolhurstowi.

- Wiem, że Harry nie pali - powiedział, zamykając papierośnicę. Odchylił się do tyłu w fotelu. - A więc co mogę dla panów zrobić?

- Mielśmy na pana oko, panie Forsyth - powiedział spokojnym tonem Hillgarth. - Wiemy, że jest pan zaangażowany w sprawę kopalni za Segovią, wiemy, że to poważny projekt, i wiemy, że ma pan kłopoty z komitetem generała Maestre. Sądzymy, że jego monarchis-tyczna frakcja chce przejąć kontrolę nad ważnymi zasobami podlegającymi falangistom z Ministerstwa Górnictwa.

Twarz Sandy'ego pozostała obojętna, zupełnie bez wyrazu. Wpatrywał się w Hillgartha. Harry pomyślał, że Sandy wie, iż Hillgarth mógł zdobyć te informacje tylko od niego. Komandor powinien go być uprzedzić, że podejną do sprawy tak bezpośrednio.

- Ceny akcji pańskiej firmy Nuevas Iniciativas spadają - kontynuował Hillgarth, patrząc Sandy'emu prosto w oczy.

Sandy pochylił się naprzód i ostrożnie strzepnął popiół z papierosa do popielniczki.

- Tak to bywa na giełdzie.

- Życie musi być o wiele trudniejsze po tym, jak odkryto ciało porucznika Gomeza, prawda?

Twarz Sandy'ego pozostała obojętna. Nic nie powiedział. Milczenie trwało ledwie kilka sekund, ale zdawało się ciągnąć w nieskończoność. W końcu Sandy spojrział na Tolhursta, po czym jego wzrok wrócił na twarz Hillgartha.

- Widzę, że jesteście dobrze poinformowani - powiedział cicho. - A więc Harry mnie szpiegował? Mój stary kumpel? - Odwrócił się powoli i popatrzył na Harry'ego. W jego dużych, brązowych oczach był smutek. - Byłeś w to zaangażowany, prawda?

- Nasze informacje są dokładne, prawda? - ponaglił go Hillgarth.

Sandy odwrócił się w jego stronę.

- Niektóre może.

Hillgarth pochylił się naprzód.

- Forsyth, nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Niedługo będziesz potrzebować jakiejś dziury, w której będziesz mógł się bezpiecznie zaszyć. Jeżeli rząd przejmie kopalnię, będziesz miał poważne problemy z pieniędzmi. Ktoś mógłby nawet oskarżyć cię o zamordowanie Gomeza. Sandy przekrzywił głowę.

- To nie moja wina, że poniosło niektórych ludzi, z którymi pracuję.

- Z naszych informacji wynika, że to ty go im wystawiłeś.

Sandy nie odpowiedział. Wypił solidny tyk whisky. Hillgarth odchylił się do tyłu. Tolhurst przez cały czas gapił się swoim sowim wzrokiem na Sandy'ego. Jeśli to miało go zaniepokoić, nic z tego nie wyszło - Sandy nie zwracał na niego uwagi.

- To nie leży w naszej jurysdykcji - powiedział Hillgarth i machnął ręką. - Tak naprawdę nic nas to nie obchodzi. Chodzi o to, że jeśli masz kłopoty, może chciałbyś zmienić zawód i pracować dla nas.

- Co by to była za praca?

- Wywiad. Zawieziemy cię z powrotem do Anglii. Ale najpierw musisz opowiedzieć nam o kopalni. Tego właśnie miał się dowiedzieć Brett. Jakich jest rozmiarów, jak daleko jeszcze do rozpoczęcia wydobywania? Czy będzie z niej dość złota, żeby Hiszpania mogła kupować żywność z zagranicy? Chwilowo są zależni od kredytów anas i Amerykanów, co daje nam środki nacisku.

Sandy pokiwał wolno głową.

- Czyli jeśli powiem wam wszystko o kopalni, wydadzą mi się stąd?

- Tak. Wyślemy cię do Anglii, a potem, jeśli chcesz, przeszkolimy cię i wyślemy gdzieś, gdzie twoje umiejętności mogą się przydać. Może do Ameryki Łacińskiej. Wydaje nam się, że ci przypadnie do gustu. Płaca jest niezła. - Hillgarth znowu pochylił się naprzód. - Jeżeli wolisz zajmować się tym, czym dotychczas, w porządku. Ale jeśli chcesz się stąd wydostać, musimy dowiedzieć się wszystkiego o kopalni. Wszystkiego.

- To obietnica?

- Tak.

Sandy przekrzywił głowę i kręcił szklanką w rękach. Hillgarth kontynuował cichym, spokojnym głosem.

- Jak wolisz. Możesz się do nas przyłączyć albo wrócić do swojej kopalni. Ale to niebezpieczna gra, nawet jeśli z początku wydawało się, że przyniesie wielkie dochody.

Ku zaskoczeniu Harry'ego Sandy odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Szpiegowaliście mnie i nie zorientowaliście się, o co chodzi. O Jezu, nie załapaliście.

- Czego? - spytał Harry, nie rozumiejąc.

- Czego? - powtórzył Sandy, przedrzeźniając go. - Wciąż jesteś głuchy czy to była tylko przykrywka?

- Nie, to nie była przykrywka - powiedział Harry. - Ale o co ci chodzi? Czego nie załapaliśmy?

- Nie ma żadnej kopalni - odparł na to Sandy cicho, z miażdżącą pogardą. - i nigdy nie było.

Harry aż podskoczył.

- Ale przecież ją widziałem.

- Zobaczył spory teren, trochę sprzętu i kilka baraków - powiedział Sandy, patrząc na Hillgartha, a nie na Harry'ego. - O, w tej ziemi z pewnością mogłoby być złoto, ale go nie ma. - Zaśmiał się i pokręcił głową. - Czy którykolwiek z was słyszał o podsypywaniu?

- Owszem - powiedział Hillgarth. - Bierze się próbkę odpowiedniego rodzaju gruntu i umieszcza się w nim drobinki złota, żeby wyglądało jak ruda. - Otworzył ze zdziwienia usta. - Jezu Chryste, czy to właśnie robiliście?

Sandy pokiwał głową.

- Zgadza się. - Wyjął kolejnego papierosa. - Chryste, prawie warto było zostać zdradzonym przez Bretta, żeby zobaczyć wasze miny.

- Pracowałem w górnictwie - powiedział Hillgarth. - Podsypywanie jest trudne, trzeba być wykwalifikowanym geologiem.

- Tak jest. Jak mój przyjaciel Alberto Otero. Pracował w RPA, opowiedział mi o różnych numerach, które tam wykręcali. Podsunąłem mu pomysł, że może to samo udałoby się w Hiszpanii; rząd rozpaczliwie potrzebuje złota, a Ministerstwo Górnictwa jest pełne falangi-stów, którzy chcą zwiększyć swoje wpływy. Zlokalizował odpowiednie miejsce i kupiliśmy teren. Już wtedy miałem użyteczne kontakty w ministerstwie.

- Tego de Salasa? - spytał Tolhurst.

- Tak, de Salasa. Miał sporo kłopotów z powstrzymaniem Maestre. Jemu też się wydaje, że kopalnia jest prawdziwa. Uważa, że pomaga Hiszpanii stać się wielkim faszystowskim państwem. - Odwrócił się z uśmiechem do Hillgartha. - W naszych laboratoriach umieszczamy drobinki złota w rudzie, w brekcji, po czym wysyłamy je do rządowych laboratoriów. Robimy to od sześciu miesięcy. Wciąż domagają się nowych próbek, a my je im dostarczamy.

Hillgarth zmrużył oczy.

- Do tego potrzeba całkiem sporo złota. Cena na czarnym rynku jest astronomiczna. O każdym większym zakupie chodziłyby słuchy.

- Ale złoto nie stanowi problemu, jeśli jest się członkiem komitetu, który pomaga biednym Żydom uciekającym z Francji. Mogą wziąć ze sobą tylko tyle, ile są w stanie unieść, więc większość z nich bierze złoto. Ujmujemy im ciężaru w zamian za wizy do Lizbony. Alberto przetapia złoto i zamienia je w drobne ziarenka. Mamy tyle złota, ile nam trzeba, a nikt niczego się nie domyśla. Ten pomysł z Żydami był mój. - Wypuścił kłęb dymu. - Kiedy usłyszałem, że Żydzi uciekający z Francji przed nazistami docierali do Madrytu, pomyślałem, że być może będę w stanie im pomóc. Harry pewnie mi nie uwierzy, ale naprawdę było mi ich żal - to ludzie, którzy nigdy nie potrafili nic zrobić tak jak trzeba, zawsze wysyłano ich na tułaczkę. Ale żeby zdobyć dla nich wizy, potrzebne były pieniądze, a oni mieli tylko złoto. Rozmowa z Oterem zeszła na to, jak cenne zawsze jest złoto; na jego widok ludzie mają błysk w oku. Stąd wziął się pomysł. - Uśmiechnął się do Hillgartha; wciąż wydawało się, że nie miał ochoty patrzeć na Harry'ego.

A więc to była tylko sztuczka, pomyślał Harry, wszystko: praca, zdrada, śmierć Gomeza, wszystko na nic. Labirynt luster.

Hillgarth przyglądał się przez dłuższą chwilę Sandy'emu, po czym zarechotał głośno.

- Chryste, Forsyth, jesteś cholernie sprytny. Wszystkich oszukałeś.

Sandy przekrzywił głowę.

- Co chciałeś zrobić, poczekać, aż akcje firmy pójdą w górę, po czym sprzedać je i zniknąć?

- Takie było założenie. Ale ktoś w Ministerstwie Górnictwa zaczął rozpuszczać plotki, że nasza spółka zostanie przejęta. To ich najnowsza taktyka przejmowania władzy. Banda cwaniaków. - Zaśmiał się znowu. - Jeszcze nie wiedzą, że to władza nad niczym, dostaną ledwie kilka bezużytecznych gospodarstw. Niestety, Maestre umieścił u nas swojego szpiega. Miał klucze do biur - jeśli nadawał się do czegokolwiek, dowiedziałby się prawdy.

- Więc możesz skończyć bez grosza przy duszy. - Wzrok Hillgartha był lodowaty. - Może nawet z ceną wyznaczoną za twoją głowę.

- W każdej chwili. Albo zadżgają mnie w ciemnej uliczce. Nie lubię bez przerwy oglądać się za siebie.

- To była bardzo ryzykowna gra.

- Tak. Sądziłem, że Harry mógł mi się przydać. - Wciąż nie chciał na niego spojrzeć. - Wiedziałem, że ma pieniądze, więc gdybyśmy zainwestowali i kupili więcej ziemi, wydawalibyśmy się mocniejsi i trudniejsi do wykupienia. Harry też by na tym dobrze zarobił. Już ja bym się tym zajął, powiedziałbym mu, kiedy sprzedawać. A kiedy dowiedzieliśmy się o Gomezie, wpadliśmy w panikę, że mógł odkryć nasze oszustwo, ale chyba tak nie było, bo nic się nie stało. Gomez nie był zbyt bystry. Ale Maestre wciąż kombinuje, jak dobrać się do złota. Czas się zwijać.

Sandy wreszcie odwrócił się do Harry'ego. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, ale w oczach widać było gniew i ból.

- Ufałem ci, Harry, byłeś ostatnią osobą na świecie, której ufałem. - Uśmiechnął się słabo. - Mówi się trudno, co? W sumie na dobre mi to wyszło. - Zamyślił się na chwilę. Harry zauważył lekkie drżenie jego brwi. Było mu wstyd, zbyt wstyd, by odpowiedzieć, pomimo tego, co Sandy zrobił. Sandy zwrócił się z powrotem do Hillgartha.

- Pan jest tym Alanem Hillgarthem, który pisał powieści przygodowe, prawda?

- Zgadza się.

- A teraz robi pan to na serio, co? Czytywałem pana książki w szkole. Harry ich nie lubił, ale ja owszem. Przygody... Pan jest podobny do mnie, lubi pan przygody. Hillgarth nie odpowiedział.

- Chociaż idealizował pan. Pamięta pan tę o Maroku pod rządami Hiszpanii? Nie pokazał pan, jakie naprawdę były wojny kolonialne. Jakie to było barbarzyństwo.

Hillgarth się uśmiechnął.

- Rzeczywistość nie przeszłaby przez cenzurę.

Sandy skinął głową.

- Śmiem się zgodzić. Cenzorzy są wszędzie, każą nam wierzyć, że świat jest lepszy niż w rzeczywistości.

- Wróćmy do interesów, Forsyth. Wciąż sądzę, że mógłbyś nam się przydać. Jezu, odstawić taki numer. Ale jeśli wyciągniemy cię z tego bigosu, to na naszych warunkach. Po pierwsze będziesz musiał opowiedzieć o wszystkim ludziom w Londynie. Poślemy cię tam samolotem pod eskortą. Jasne?

Sandy zawahał się na moment, po czym skinął głową.

- Jak słońce.

- Świetnie. Przyjdź jutro o dziesiątej do ambasady. Mieszkasz z Angielką, prawda?

- Tak.

- Ile wie o kopalni?

Uśmiechnął się cynicznie.

- Nic. Zupełnie nic. - Spojrzał znowu na Harry'ego. - Barbara nie jest niczego świadoma, prawda, Harry?

Hillgarth chrząknął.

- Będziesz musiał wymyślić, dlaczego jedziecie do Anglii.

- E, wydaje mi się, że po prostu ucieszy się z powrotu do domu. Poza tym wątpię, czy zostaniemy ze sobą dłużej. Ona się nie uczy.

- To dobrze. - Hillgarth wstał i spojrzał na Sandy'ego. - Na razie to tyle. Masz zadatki na dobrego agenta, Forsyth. - Uśmiechnął się do niego. - Ale nie próbuj żadnych sztuczek.

Sandy skinął głową i wstał. Podał dłoń Hillgarthowi, a ten ją uściskał.

- A co z pana domem? - zapytał Tolhurst.

- Wynajmuję go od jednego z ministerstw. Za darmo. - Sandy podał dłoń Tolhurstowi, który zawahał się, po czym wstał i ją uściskał.

Harry też wstał. Sandy popatrzył na niego przez sekundę, po czym odwrócił się i podszedł do drzwi. Tolhurst podążył za nim.

Hillgarth patrzył na Harry'ego.

- Chryste, ale z niego twardziel. Ta kopalnia... Jezu, ile on w to włożył pracy. Chyba nie kłamał, co?

- Wydaje mi się, że mówił prawdę - powiedział cicho Harry.

- Tak. Gdyby kopalnia była prawdziwa, miałby fantastyczną kartę przetargową i na pewno by jej użył. Pewnie dlatego od razu się przyznał, że to było oszustwo. Domyślał się, że prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. - Hillgarth zamyślił się na chwilę.

Tolhurst wrócił i usiadł.

- Sir Sam wpadnie w szaf, panie komandorze. Tyle środków, Maestre się do nas zraził, wszystko przez kopalnię, której nigdy nie było. O Boże.

- Tak, będę musiał znaleźć odpowiedni moment, żeby mu o tym powiedzieć. - Hillgarth pokręcił głową i się zaśmiał. - Oszwabić samego Franco... Cóż, Forsyth ma ikrę, trzeba mu to przyznać. - Po raz pierwszy spojrzał na Harry'ego współczująco. - Przykro mi, że twoja rola wyszła na jaw, ale nie było innej możliwości, jeśli mieliśmy rozmawiać o kopalni.

Harry się zawahał.

- Nie szkodzi, panie komandorze - powiedział po chwili. - Już nic mnie nie dziwi. Nie dziwią mnie już nawet Rycerze Świętego Jerzego, to, że rząd zgadza się na przekupywanie monarchistów na dużą skalę.

- Harry... - powiedział z zażenowaniem Tolhurst. Hillgarth uniósł znacząco brwi. Harry kontynuował, było po wszystkim i nic go już nie obchodziło.

- Tylko zastanawiam się, po co ich w ogóle przekupywać - dodał zgorzkniałym tonem. - Nie chcę z nami wojny, wiedzą, że nie mamy nic przeciwko temu, co robią tu z ludźmi.

Harry spodziewał się, że Hillgarth straci panowanie nad sobą, częściowo tego pragnął, ale komandor tylko uśmiechnął się lekko i z lekceważeniem.

- Jedź już sobie, Brett. Chajtnij się ze swoją panią i wracaj do domu. Hiszpanię zostaw ludziom, którzy wiedzą, co trzeba zrobić.

Rozdział czterdziesty drugi

Tego wieczoru Barbara siedziała w domu, próbując wyleczyć przeziębienie. Naprawdę była chora - zaczęło się dzień wcześniej. Miała zatkaany nos i zaczerwienione oczy, więc nietrudno jej było wyolbrzymić objawy i udawać, że to grypa. Zaproponowała, że będzie spać w jednej z sypialni dla gości, by zmniejszyć ryzyko zarażenia Sandy'ego. Zgodził się. Był jeszcze bardziej zatroskany niż wcześniej, wydawało się, że prawie nie zwracał uwagi na to, co mówiła.

Powiedział, że wróci późno. Spędziła popołudnie w swojej sypialni, udając także przed Pilar, że ma grypę. Słuchała radia i próbowała złapać BBC, ale sygnał był kiepski. Później siedziała przy oknie i wyglądała na pokrytą śniegiem ulicę. Po pewnym czasie zorientowała się, że słyszy skądś kapanie. Otworzyła okno. Powietrze było wyraźnie cieplejsze, śnieg topniał i kapało z drzew. Pod więzłem w ogrodzie pojawiła się plama zieleni. Poczwała ulgę. Topniejący śnieg oznaczał łatwiejszą ucieczkę dla Berniego.

Następnego dnia miała zabrać Harry'ego i Sofię na ostatnie spotkanie z Luisem. Ustalili, że najpierw spotka się z nim sam na sam; Barbara obawiała się, że jeśli przyjdzie z dwojgiem obcych ludzi, Luis przestraszy się i ucieknie. Kiedy wszystko mu wyjaśni, przyjdą oni. Nie widziała powodu, żeby mógł się sprzeciwić. Sofia miała rację: z nią i z Harrym mieli znacznie większą szansę powodzenia. Była im wdzięczna, ale wciąż miała wrażenie, że Harry ją zdradził; co za zawiła sytuacja ukryta pod pozorem normalności.

Jej rozmyślania przerwało pukanie do drzwi sypialni. Wstała gwałtownie i zamknęła okno. Idąc w stronę drzwi, wydmuchała głośno nos i przybrała zmęczony wyraz twarzy osoby chorej. Przed drzwiami stała Pilar z nadętą miną, spod małego beretu wystawały jej kędzierzawe włosy.

- Mogę z panią porozmawiać, señora?

- Dobrze. Wejdz. - Głos Barbary był szorstki. Dziewczyna nie powinna była spodziewać się niczego innego; ona i Sandy prawie nie próbowali ukryć tego, co robili. Barbara stanęła na środku pokoju i spojrzała Pilar w oczy.

- O co chodzi?

Pilar złożyła ręce na swoim białym fartuchu. W jej posępnym spojrzeniu tlił się gniew. Ludzie zawsze nienawidzą tych, których zranili, pomyślała Barbara. Uznała, że to pewnie powstrzymało wyrzuty sumienia.

- Chciałam złożyć wymówienie, señora.

To ją zaskoczyło.

- Ach tak?

- Jeżeli to możliwe, chciałabym skończyć pracę w przyszły piątek.

Nie zostawiała jej wiele czasu na znalezienie kogoś nowego, ale

Barbara chciała się jej pozbyć. Służąca, która przychodzi w ciągu dnia, da sobie sama radę. Zastanawiała się, co się stało. Czy Pilar i Sandy się pokłócili?

- To dosyć nagła decyzja, Pilar.
- Tak, señora. Moja matka w Saragossie jest chora, muszę do niej pojechać.

To było oczywiście kłamstwo; Barbara wiedziała, że jej rodzice byli z Madrytu. Nie mogła się oprzeć pokusie, by trochę podrażnić temat.

- Mam nadzieję, że praca dla mnie i mojego męża nie unieszczęśliwiła cię.
- Nie, señora - odparta Pilar, wciąż patrząc z gniewem na Barbarę spod na wpół przymkniętych powiek. - Moja matka w Saragossie jest chora.
- Więc musisz ją odwiedzić. Możesz pojechać dziś wieczorem, jeśli chcesz, zapłacę ci za pracę do końca tygodnia.*

Jej rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi sypialni. Wstała gwałtownie i zamknęła okno. Idąc w stronę drzwi, wydmuchała głośno nos i przybrała zmęczony wyraz twarzy osoby chorej. Przed drzwiami stała Pilar z nadętą miną, spod małego beretu wystawały jej kędzierzawe włosy.

- Mogę z panią porozmawiać, señora?
- Dobrze. Wejdz. - Głos Barbary był szorstki. Dziewczyna nie powinna była spodziewać się niczego innego; ona i Sandy prawie nie próbowali ukryć tego, co robili. Barbara stanęła na środku pokoju i spojrzała Pilar w oczy.
- O co chodzi?

Pilar złożyła ręce na swoim białym fartuchu. W jej posępnym spojrzeniu tlił się gniew. Ludzie zawsze nienawidzą tych, których zranili, pomyślała Barbara. Uznała, że to pewnie powstrzymało wyrzuty sumienia..

- Chciałam złożyć wymówienie, señora.

To ją zaskoczyło.

- Ach tak?
- Jeżeli to możliwe, chciałabym skończyć pracę w przyszły piątek.

Nie zostawiała jej wiele czasu na znalezienie kogoś nowego, ale

Barbara chciała się jej pozbyć. Służąca, która przychodzi w ciągu dnia, da sobie sama radę. Zastanawiała się, co się stało. Czy Pilar i Sandy się pokłócili?

- To dosyć nagła decyzja, Pilar.
- Tak, señora. Moja matka w Saragossie jest chora, muszę do niej pojechać.

To było oczywiste kłamstwo; Barbara wiedziała, że jej rodzice byli z Madrytu. Nie mogła się oprzeć pokusie, by trochę podrażnić temat.

- Mam nadzieję, że praca dla mnie i mojego męża nie unieszczęśliwiła cię.
- Nie, señora - odparta Pilar, wciąż patrząc z gniewem na Barbarę spod na wpół przymkniętych powiek. - Moja matka w Saragossie jest chora.
- Więc musisz ją odwiedzić. Możesz pojechać dziś wieczorem, jeśli chcesz, zapłacę ci za pracę do końca tygodnia.

Pilar wyraźnie ulżyło.

- Dziękuję, señora, to bardzo uprzejme z pani strony.
- Lepiej idź się spakować, ja zajmę się pieniędzmi.
- Dziękuję. - Pilar dygnęła i wyszła szybko z pokoju. Barbara wzięła klucz do biurka, w którym trzymała pieniądze. Krzyżyk na drogę, pomyślała.

Pilar spakowała się i wyjechała w ciągu godziny. Barbara obserwowała ją z okna, jak idzie ścieżką, niosąc ciężką, znoszoną walizkę. Jej buty zostawiały głębokie ślady w szybko topniejącym śniegu. Barbara zastanawiała się, dokąd Pilar pójdzie. Zeszła do kuchni. Panował tam bałagan, w zlewku leżała sterta naczyń, podłoga była nieposprządana. Barbara wiedziała, że powinna coś z tym zrobić, ale jej się nie chciało. Siedziała i paliła papierosa, obserwując zapadający zmierzch. Następnie, by zabić czas, przygotowała na kolację cocido.

Było po dziewiątej, gdy usłyszała kroki Sandy'ego. Poszedł do salonu. Barbara weszła cicho po schodach z nadzieją, że dojdzie do swojego pokoju, a on jej nie usłyszy, ale zawołał do niej przez uchylone drzwi salonu.

- Barbaro, to ty?

Zatrzymała się na schodach.

- Tak.
- Chodź na chwilę.

Stał przy niezapalonym kominku, ćmiąc papierosa, miał wciąż na sobie płaszcz i kapelusz.

- Jak się czujesz? - zapytał. Wydawał się trochę pijany. Jego spojrzenie było nijakie i smutne, jak nigdy przedtem.
- Wciąż jestem mocno zakatarzona.
- Zimno tu. Dlaczego Pilar nie rozpałała ognia?

Barbara wzięła głęboki oddech.

- Pilar odeszła, Sandy. Dziś po południu złożyła wymówienie. Podobno jej matka w Saragossie jest chora.

Sandy wzruszył ramionami.

- Trudno. - Spojrzał na nią. - Miałem spotkanie z kilkoma ludźmi z ambasady. A potem poszedłem się napić.

- O co chodziło? - Oczywiście wiedziała. Harry powiedział, że chcieli go zwerbować.

- Usiądź - powiedział Sandy. Przysiadła na krawędzi kanapy. Zapalił kolejnego papierosa. - Powiedz mi, kiedy ty i Brett się spotykaliście, zadawał ci jakieś pytania na mój temat? Pytał się o moją pracę?

O Boże, pomyślała, wie o Harrym. Dlatego mówi na niego Brett.

- Zadał kilka pytań przy pierwszym spotkaniu. Nie byłem w stanie mu wiele powiedzieć.

Sandy pokiwał w zamyśleniu głową.

- Harry wcale nie jest tłumaczem - powiedział. - Tylko szpiegiem. Szpiegował moje przedsiębiorstwo dla pierdolonych służb specjalnych.

Udała zaskoczenie.

- Ze co? Jesteś pewien, że dobrze rozumiałaś? Dlaczego mieliby cię szpiegować?

- Byłem zaangażowany w duży projekt. - Pokręcił ze złością głową.

- Koniec z tym, nie mam tu już nic do roboty.

- Co? Dlaczego?

- Projekt miał zbyt wielu wrogów. Ludzie Bretta proponują mi ratunek, ale... Harry mnie oszukiwał. Powinienem być się zorientować

- powiedział, bardziej do siebie niż do niej. - Powinienem być mieć się na baczności. Ale ja mu ufałem. Pewnie domyślili się tego.

- Kto? Kto się domyślił?

- Hm? Jego szefowie, cholerne szpicle. - Pokręcił znowu głową.

- Powinienem być to dostrzec. Powinienem być to dostrzec. Mieć się stale na baczności - mamrotał - nigdy nikomu nie ufać. - Jego spojrzenie było mętne; Barbarze wydawało się, że widzi napływające mu do oczu łzy.

- Jesteś pewien, że to prawda? - spytała Barbara. - Czemu... czemu miałby cię szpiegować?

- Sam mi to powiedział. - Sandy mówił obojętnym, pozbawionym emocji głosem. - A raczej jego szefowie, on tylko siedział z nami. Widać było, że nie chciał, by to wyszło na jaw. Ciekawiły ich moje interesy. Chcieli, żebym dla nich pracował. W Anglii. - Pokręcił znowu głową. - Anglia. Mżawka, przepisy, zadęcie, hipokryzja. No i bomby. Pod warunkiem, że nie wsadzą mnie do więzienia albo nie stukną, kiedy wrócę. Pod eskortą. - Spojrzał na nią bacznie. - Chcesz wrócić, prawda?

- Tak. - Zawahała się. - A co z twoimi interesami?
- Powiedziałem ci, że z tym koniec. - Przez moment poruszał bezdźwięcznie ustami. - Koniec. Największa rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Poczuła nagłą ochotę, żeby wyrzucić z siebie wszystko, powiedzieć mu o Bernie i o planie uratowania go. To przez to napięcie; nie mogła już wytrzymać tego napięcia. Ale Sandy nagle przemówił:

- Idę na górę, muszę załatwić kilka rzeczy. A potem wychodzę.
- O tej porze?
- Tak. - Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Podeszła do barku i nałała sobie mocnej whisky, usiadła i zapaliła papierosa. A więc Harry został zdemaskowany. Na pewno czuł się okropnie. Ale może na to zasłużył.

Na korytarzu rozległ się ostry dźwięk dzwonka telefonu.

- Cholera - wymamrotała pod nosem. - Co znowu? - Czekala, aż Pilar odbierze, ale przypomniała sobie, że dziewczyna odeszła. Dźwięk nie ustawał. Czemu Sandy nie odbierał u siebie? Wysłała na korytarz i podniosła słuchawkę.

- Señora Brett? - Od razu rozpoznała zachrypnięty i zdyszany głos Luisa. Rozejrzała się gorączkowo po korytarzu, przerażona, że Sandy może pojawić się na schodach i zapytać, kto to.

- Tak - wyszeptała. - O co chodzi? Dlaczego pan tu dzwoni?

- Proszę wybaczyć, señora, ale musiałem. - Przerwał. - Możemy bezpiecznie rozmawiać?

- Tak. Ale jeśli usłyszysz pan pstryknięcie, to będzie on na drugiej linii. Wtedy proszę zamilknąć. - Mówiła gorączkowym szeptem. - O co chodzi? Proszę się spieszyć.

- Właśnie dostałem wiadomość od Agustina. Umówiliśmy się, że może dzwonić do baru, gdzie chodzę wieczorem...

- Tak, tak, proszę się spieszyć.

- Zmienił się rozkład wart. Agustín nie będzie w sobotę w kamieniołomie z Piperem.

- Co, o Boże...

- Musimy to zrobić w piątek, może pani przyjechać do Cuenki dzień wcześniej? Wszystko tak, jak było, spotkanie z Piperem o siódmej przy zaroślach. Agustín pojechał do Cuenki spotkać się ze starym woźnym w katedrze.

- Tak, tak, w porządku, tak. - Zmarszczyła brwi. Czy Harry będzie mógł wziąć w piątek wolne?

- Wiem, że mamy jutro spotkanie, ale chciałem pani dać znać tak szybko, jak to tylko możliwe, señora, na wypadek, gdyby musiała pani zmienić jakieś plany.

- W porządku, dobrze, w porządku. Zobaczymy się jutro.

- Dobranoc. - Połączenie urwało się, w słuchawce brzmiał sygnał ciągły. Odłożyła słuchawkę. Wróciła do salonu, ale nie mogła usiedzieć spokojnie. Poszła na górę. Korytarz był ciemny, przypomniała sobie, jak bardzo jako dziecko bała się ciemności, stojąc u szczytu schodów. Nagle pomyślała o Carmeli i wełnianym osiołku, którego zostawiła w kościele.

Spod drzwi sypialni sączyło się światło. Sandy był w środku, otwierał i zamykał szuflady. Czego szukał?

Wróciła do salonu i siedziała, paląc i pijąc. Po pewnym czasie usłyszała na schodach jego kroki. Stężała, oczekując, że wejdzie do salonu, ale usłyszała trzask zamykanych drzwi frontowych, a potem odgłos uruchamianego silnika. Samochód odjechał. Barbara pobiegła na górę do sypialni. Wziął trochę ubrań, garnitur i koszulę. Wyjrzała przez okno. Na miasto opadła mgła, słabe latarnie uliczne przeświecały przez żółtawą zastonę. Gdzie pojechał? Co zamierzał? Jazda samochodem w taką pogodę była niebezpieczna.

Barbara została w domu sama. Przez wiele godzin siedziała przy oknie, paląc papierosa za papierosem.

Rozdział czterdziesty trzeci

W restauracji nieopodal pałacu królewskiego było cicho. Barbara zamówiła kawę u niskiego pucołowatego właściciela; widać było, że pamiętał ją od ostatniego razu, kiedy była tu z Harrym. Ledwie kilka tygodni temu, a wydawało się jej, że upłynęły wieki.

Było chwilę po drugiej. Harry i Sofia mieli przyjść dopiero za godzinę, ale Barbara chciała uciec z pustego domu. Sandy wciąż nie wracał. Służąca przyszła o dziewiątej, Barbara kazała jej posprzątać kuchnię. Następnie spacerowała po pustych pokojach, w ciszy rozlegał się jedynie odgłos jej własnych kroków i nieustanne kapanie z zewnątrz. Śnieg prawie zupełnie zniknął. Poszła do gabinetu Sandy'ego. Wszystko wydawało się normalne, zdjęcia i ozdoby stały na swoich miejscach. Otworzyła szufladę biurka, w której trzymał książeczki oszczędnościowe. Była pusta. Wyjechał na dobre, pomyślała, zostawił mnie. Poczula się dziwnie odrzucona i przybita. Otrząsnęła się, mówiąc sobie, by nie była głupia, przecież tego właśnie chciała. Z nadzwyczajną obojętnością skonstatowała, że jeszcze niedawno romans Sandy'ego ze służącą, żeby nie wspomnieć o porzuceniu, zdruzgotałby ją, potwierdzając najgorsze przypuszczenia o sobie samej.

Kiedy Sofia i Harry przyszli, restauracja wypełniała się klientami, była pora lunchu. Oboje mieli poważne miny.

- Wszystko w porządku? - zapytała Barbara.

- Tak. - Harry usiadł. - Poza tym, że Sandy miał pojawić się dziś rano na spotkaniu w ambasadzie, ale nie przyszedł.

Barbara westchnęła.*

- Wydaje mi się, że wyjechał. Zmył się. - Powiedziała im, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. - Niektóre dziwne rzeczy, które wcześniej mówił, nabierają teraz sensu. Wydaje mi się, że uciekł z Pilar.

- Ale dokąd? - zapytała Sofia.

- Może do Lizbony - odparł Harry. - Powiedział nam wczoraj wieczorem o jakimś Komitecie pomagającym żydowskim emigrantom z Francji. Brali od nich złoto w zamian za wizy do Portugalii.

- A więc to o to chodziło - powiedziała Barbara. - Dlatego im pomagał.

- Przerabiali ich pamiątki rodzinne na złoto, którego używali do podrasowywania próbek gruntu. - Harry opowiedział jej, czego dowiedział się poprzedniej nocy; że kopalnia złota była oszustwem.

Barbara siedziała, patrząc na niego w milczeniu. Westchnęła ciężko.

- Czyli wszystko okazało się oszustwem - powiedziała. - Wszystko.

- Podejrzewam, że Sandy uciekł na fałszywym paszporcie.

- O Boże.

- Hillgarth twierdzi, że częściowo się tego spodziewał, domyślił się, że Sandy nie jest kimś, kto się ugnie i będzie słuchać rozkazów.

- To prawda - westchnęła. - A więc to by było wszystko. Zastanawiam się, co on teraz ze sobą pocznie.

Harry wzruszył ramionami.

- Pewnie rozkręci gdzieś jakiś interes. Może w Ameryce. Ciekaw jestem, dlaczego nie wykorzystał szansy, by wrócić do Anglii.

- Twierdził, że tam zduszą jego osobowość. Poza tym bał się, że go zamkną.

- Nie sądzę, by to zrobili. Chcieli wykorzystać jego... umiejętności. - Harry się skrzywił. - A mimo to... to wszystko zaczęło się, bo naprawdę chciał pomóc Żydom. Co najdziwniejsze, wierzę mu.

Barbara milczała.

- Co się stanie z waszym domem? - spytała Sofia.

- Sandy wynajmował go za darmo od jednego z ministerstw. Pewnie będą chcieli go z powrotem. Na razie w nim zostaną. To nie potrwa długo. - Pojawił się kelner, Harry i Sofia zamówili kawę. Mieli wciąż

prawie godzinę do spotkania z Luisem; kawiarnia była piętnaście minut drogi stąd. Sofia przyjrzała się uważnie Barbarze.

- Jak się czujesz po tym, gdy cię zostawił?

Barbara zapaliła papierosa.

- I tak ja bym go zostawiła za parę dni. Ciekawa jestem, ile wytrzyma Pilar. Musieli to planować od jakiegoś czasu. - Wypuściła kłęb dymu.

- To ułatwia nam sprawy - powiedziała Sofia z wahaniem.

- Tak. - Barbara wzięła głęboki oddech. - Posłuchajcie, ale jest jeszcze jeden problem. Wczoraj wieczorem zadzwonił Luis. Zmienili rozkład wart, musimy zrobić to dzień wcześniej. Koniecznie w piątek.

Sofia zmarszczyła brwi.

- Dlaczego zmienili jego wartę w ostatniej chwili?

- Zmienili rozkład wszystkich wart w obozie. Nie wnikałam w szczegóły. Stałam na korytarzu, bałam się, że Sandy może zejść w każdej chwili na dół - dodała z irytacją w głosie. - Możemy spytać Luisa, kiedy się spotkamy.

Harry podrapał się po podbródku.

- Będę musiał zmienić moją rezerwację na samochód. Zamówiłem go na sobotę - to jeden z fordów dostępnych niższym rangą urzędnikom. Powiedziałem, że chcę wyjechać w weekend na wieś. Ale to nie powinno stanowić problemu, powiem, że zmieniły mi się plany. Jutro jestem na służbie - w Hiszpańskiej Akademii Królewskiej mają świąteczną imprezę dla tłumaczy, ale nie chce mi się tam iść, więc zapisałem się do pracy w biurze. W piątek na szczęście mam wolne.

- A ja wezmę zwolnienie w mleczarni w piątek, a nie w sobotę - powiedziała Sofia.

Barbara spojrzała na nią.

- Przepraszam, że warknęłam przed chwilą. Chyba wszyscy robimy się nerwowi.

Sofia skinęła głową i odpowiedziała uśmiechem.

- Nic nie szkodzi.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Harry uśmiechnął się i wziął Sofię za rękę.

- Dostaliśmy nasze pozwolenie. Bierzemy ślub dziewiętnastego. Za tydzień i jeden dzień. A dwudziestego trzeciego lecimy do Anglii. Mamy wizę dla Paca.

- To wspaniale. - Barbara się uśmiechnęła. - Bardzo się cieszę.

- Na formularzu Paco dostał nasze rodowe nazwisko - powiedziała Sofia. - Dziwnie jest je zobaczyć. Francisco Roque Casas.

- Dzięki Bogu, że chociaż jedno dziecko może się stąd wydostać. Jak on się czuje?

- Tak naprawdę nie zdaje sobie sprawy z tego, co rzeczywiście oznacza wyjazd. - Jej twarz na chwilę spochmurniała. - Wciąż jest smutny, że Enrique nie jedzie.

- Nie udało się go zabrać?

- Nie. - Harry pokręcił głową. - Spróbujemy jeszcze raz z Anglii. Ale myślę, że póki trwa wojna, to nie będzie możliwe. Mieliśmy szczęście, że dostaliśmy miejsca w samolocie.

- Cieszę się, że się wam ułożyło.

- Masz już zarezerwowany lot?

- Nie. Postanowiłam zawierzyć szczęściu, nie będę układać żadnych planów, póki Bernie nie będzie bezpieczny w brytyjskiej ambasadzie i nie będzie wiadomo, że wraca do kraju. Martwię się, że może mieć kłopoty, bo jest komunistą. Z tego, co mówiłeś na temat Hoare'a, nie zdziwiłabym się, gdyby wydał Berniego Hiszpanom.

Harry pokręcił stanowczo głową.

- Nie, Barbaro, ambasada musi go przyjąć. Niezależnie od tego, czego chce Hoare, Bernie był jeńcem wojennym i zgodnie z prawem międzynarodowym był przetrzymywany nielegalnie. Zgaduję też, że władze hiszpańskie nie będą robić wokół niego zamieszania. Źle by to wyglądało. Ale musisz się trzymać od wszystkiego z daleka. - Pomyślał przez chwilę. - Tylko nie bierz go do ambasady od frontu. Będzie uciekinierem, civiles przy wejściu mogą mieć rozkaz szukania go i mogą go złapać; dopiero po wejściu do środka będzie na terenie Wielkiej Brytanii.

- Zabiorę go do budki telefonicznej w centrum Madrytu. Może stamtąd zadzwonić do ambasady i poprosić, żeby go zgarnęli. Takw

jak ustaliliśmy, może powiedzieć, że ukradł ubrania i złapał okazję do Madrytu. Nie będą w stanie udowodnić mu, że było inaczej.

Harry się roześmiał. Barbara pomyślała, że to był pierwszy szczerzy, radosny śmiech jaki słyszała od czasu, kiedy się ponownie spotkali.

- Na pewno będzie głównym tematem plotek w ambasadzie następnego dnia; mogę powiedzieć, że chodziłem z nim do szkoły. Potem pomogę mu wrócić do Anglii. - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Może nawet poleci tym samym samolotem co my.

- Na razie wszystko wydaje się działać jak w zegarku - powiedziała Sofia. - Ale pamiętajcie, że coś może pójść nie tak, być może będziemy musieli improwizować. - Spojrzała znowu bystro na Barbarę. - Dobrze się czujesz? Jesteś przeziębiona?

- To nic, dziś już mi lepiej - powiedziała Barbara. Zdziwiło ją, że Sofia powoli przejmowała dowodzenie.

- Mam pistolet - powiedziała Sofia. - Tak na wszelki wypadek.

Harry pochylił się naprzód.

- Pistolet? Skąd go wzięłaś?

- W czasach wojny domowej należał do mojego ojca. Był schowany w mieszkaniu. - Wzruszyła ramionami. - W Madrycie jest dużo broni, Harry.

Barbara była przerażona.

- Ale po co chcesz brać pistolet?
- Gdybyśmy musieli uciekać. Może trzeba będzie improwizować.

Barbara pokręciła stanowczo głową.

- Broń tylko pogarsza sprawę, zwiększa niebezpieczeństwo...
- Tylko na wszelki wypadek. Nie chcę go używać.
- Masz naboje? - zapytał z wahaniem Harry.
- Tak, umiem też strzelać. Podczas wojny kobiety były szkolone w strzelaniu.
- Pozwolisz mi go wziąć? - spytał Harry. - Ja też umiem strzelać.

Sofia zawahała się na moment.

- W porządku - powiedziała. Zwróciła się do Barbary. - Wiesz, że to nie jest pokojowe przedsięwzięcie.
- Dobrze, dobrze, wiem. - Barbara przesunęła ręką po czole. Noszenie broni było wbrew jej wszelkim instyktom, ale Sofia miała rację, to ona znała tutejsze realia.
- Wciąż wydaje mi się, że nie powinnaś z nami jechać - powiedział Harry do Sofii. - To jest o wiele bardziej niebezpieczne dla ciebie niż dla nas.
- W ten sposób będzie łatwiej - stanowczym tonem powiedziała po raz kolejny. - Cuenca to stare średniowieczne miasto, trudno się w nim zorientować. - Zwróciła się do Barbary. - Nie powinniśmy już iść na spotkanie ze strażnikiem?
- Tak. Dajcie mi kwadrans, a potem przyjdźcie. - Kiedy wstała, trzęsły się pod nią nogi.

Popołudnie było zimne i wilgotne, a na ulicach leżała mokra breja. W powietrzu wciąż wisiały resztki mgły, w niektórych sklepach mimo wczesnej pory zapalono już światła. Na wystawach pojawiły się pierwsze świąteczne dekoracje, Trzej Królowie stojący wokół żłóbka ze swoimi darami. Barbara zastanawiała się, jakie święta Sandy wyprawi Pilar w Lizbonie.

Klub piłkarski Real Madryt grał tego dnia, w kawiarni wokół lady stał mały tłumek i słuchał radia. Luis siedział przy tym stoliku co zawsze. Jego nerwowe zachowanie poirytowało ją.

- Przestraszył mnie pan wczorajszej nocy - powiedziała szorstko, kiedy usiadła.
- Musiałem pani powiedzieć.
- Dlaczego warty się zmieniły?

Wzruszył ramionami.

- To się zdarza. Jeden ze strażników zachorował i trzeba było wszystko przestawić. Plan pozostaje taki sam, poza tym, że to piątek, a nie sobota.
- Piątek trzynastego - powiedziała, śmiejąc się nerwowo. Luis spojrzął na nią, nic nie rozumiejąc. - W Anglii to pechowy dzień.
- Nigdy o tym nie słyszałem. - Ośmielił się uśmiechnąć. - W Hiszpanii to wtorek trzynastego jest pechowy, señora, więc proszę się nie martwić.
- Nieważne. Proszę mi powiedzieć, czy śnieg w Cuenca też topnieje?
- Tak mi się wydaje. W radiu powiedzieli, że taka pogoda jest w całym kraju. - Luis rozejrzał się dookoła i nachylił się do niej. - Ucieczka będzie miała miejsce o czwartej, tak jak mówiliśmy. Pani przyjaciel powinien dotrzeć do mostu przed siódmą. Jeżeli będzie dużo śniegu, a on nie dotrze przed dziewiątą tam lub do katedry, jeśli most będzie pod strażą, będzie pani wiedziała, że musieliśmy odwołać operację z powodu pogody.
- Albo że go złapali.
- Tak czy siak nic pani nie będzie mogła zrobić. Jeśli nie przyjdzie, musi pani wrócić do Madrytu. Proszę nie zostawać w Cuenca - dane osób, które zatrzymują się w hotelu trafiają do civiles, a samotna Angielka nie pozostanie niezauważona. Rozumie pani.
- Tak, oczywiście, że rozumiem. - Podała mu papierosa i zostawiła na stoliku paczkę golden flake'ów.
- Mam nadzieję, że dopisze pani szczęście. Pomimo że to piątek trzynastego. Śnieg zostanie jeszcze wysoko w górach, ale w dolnych partiach Tierra Muerta powinien spłynąć.
- Już miałam szczęście - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Tu, w Madrycie, jest stary angielski przyjaciel Berniego, załatwi mi samochód. Zawiezie mnie tam ze swoją hiszpańską narzeczoną, która zna Cuenca.
- Co? - Luis był przerażony. - Señora, to miała być tajemnica. Ilu osobom pani powiedziała?
- Tylko im. Możemy im ufać, Harry'ego znam od lat.
- Señora, miała pani jechać sama, tak się umawialiśmy. To komplikuje sprawy.
- Wręcz przeciwnie - odparła spokojnie Barbara. - To je upraszcza. Nas troje nie będzie się rzucać w oczy tak jak samotna kobieta. Poza tym bez Harry'ego nie miałabym samochodu. Czego się pan tak boi? Luis był bardzo zaniepokojony. Barbara zobaczyła przez okno, jak Harry i Sofia przechodzą przez ulicę.
- Nie ma sensu się kłócić, za chwilę tu będą.
- jMierda! - Luis spojrzął na nią ze złością, jakby był osaczony.
- Powinna była mi pani o tym powiedzieć.

- Powiedziałam im o tym ledwie przedwczoraj.
- Powinna była pani najpierw ze mną porozmawiać! To wszystko będzie na wasze ryzyko, señora. - Patrzył spode łba na Harry'ego i Sofię wchodzących właśnie do kawiarni. Tłumek wydał okrzyk, gdy ktoś strzelił gola. Sofia i Harry podeszli do stolika. Luis, nie uśmiechając się, uścisnął im dłonie.
- Luis nie jest zbyt zadowolony - wyjaśniła Barbara. - Ale powiedziałam mu, że to już ustalone.

Luis pochylił się naprzód.

- To niebezpieczne przedsięwzięcie - powiedział ze złością.
- Wiemy - odparł kategorycznym, rzeczowym tonem Harry. - Może prześledźmy razem plan i zobaczymy, czy w którymś punkcie obecność nas trojga utrudnia w jakikolwiek sposób przebieg operacji. A więc, jedziemy do Cuenki, dojeżdżamy tam koło czwartej i zostawiamy gdzieś samochód, zgadza się?

Luis pokiwał głową.

- Agustín spędził całe popołudnie, chodząc po okolicy w poszukiwaniu najlepszego miejsca. Zaraz za miastem stoi opuszczone państwowe gospodarstwo rolne, a zaraz za znakiem informującym, że wjeżdża się do Cuenki, jest pole, osłonięte od drogi drzewami. Powinniście zostawić samochód na polu, nie będzie go tam widać. - Pochylił się.
- Ważne, żebyście zostawili go właśnie tam, to najbliższa kryjówka w okolicach miasteczka. W Cuenca niewiele osób ma samochody, więc mógłby zwrócić uwagę civiles, gdyby stał zaparkowany na ulicy.

Harry pokiwał głową.

- To ma sens.

Luis spojrzał na Barbarę spod zmrużonych powiek.

- Agustín włożył w ten plan dużo pracy. Jeśli się nie powiedzie, mogą Augustina rozstrzelać.
- Wiemy o tym - powiedziała łagodnym tonem Barbara.
- Następnie idziemy na stare miasto, do katedry? - kontynuował Harry.
- Tak. Kiedy tam dotrzecie, będzie już ciemno. Czekacie w katedrze do siódmej, a potem idziecie przez most nad przepaścią, do kępy drzew. O tej porze, w zimową noc, mało kto, jeśli w ogóle, będzie na ulicy. Ale stary dozorca Francisco spodziewa się tylko señory Forsyth.
- Możemy mu wszystko wytłumaczyć - powiedział Harry. - Wydaje mi się, że to ja powinienem pójść po Berniego. Wy możecie poczekać w katedrze.
- Nie - odparła szybko Barbara. - To powinnam być ja, będzie spodziewał się mnie.

Luis uniósł ręce w górę.

- O to mi właśnie chodzi. Nie możecie się dogadać nawet w tak prostej kwestii.
- Możemy to ustalić później - powiedział Harry. - Barbaro, masz ubranie?
- Spakowane. Przebiera się w krzakach, przechodzimy przez most z powrotem do katedry i wracamy razem do samochodu.

Harry pokiwał głową.

- Jak dwie pary na jednodniowej wycieczce. Brzmi bardzo wiarygodnie.
- Czy można zaufać temu człowiekowi w katedrze?
- Rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Ma chorą żonę.
- Ta katedra... - Sofia się zawahała. - Pewnie jak większość katedr w strefie republikańskiej jest w niej lista zabitych za czasów Republiki księży?

Luis spojrzał na nią zdziwiony.

- Tak sędzę. Dlaczego?
- Miałam tam wujka, który był księdzem.
- Przykro mi, señoita. - Luis spojrzał na Harry'ego. - Dlaczego jest pan w Hiszpanii, señor? Czy jest pan biznesmenem jak mąż señory Forsyth?- Tak, tak jest w istocie - bez mrugnięcia okiem skłamał Harry. Łatwo ci to przychodzi, pomyślała Barbara.
- Pani mąż ciągle o niczym nie wie?
- O niczym.

Luis spojrzał po kolei na każde z nich, po czym wzruszył ramionami.

- Na wasze ryzyko, tak jak mówiłem. Spotkamy się dzień po wszystkim, zgadza się, seriom"!
- Tak, tak jak się umówiliśmy.
- A co z pana bratem? - spytał Harry. - Da się uderzyć w głowę i będzie się trzymał swojej wersji wydarzeń?
- Oczywiście, że tak! Powiedziałem, że inaczej mogą go rozstrzelać za pomoc w ucieczce!
- W porządku. - Harry pokiwał głową. - To by chyba było wszystko, jesteśmy umówieni. Nie widzę żadnych problemów.
- A potem pan i pański brat wróćcie do Sewilli - powiedziała Sofia.

Luis wypuścił kłąb dymu.

- Tak. Zapomnimy o armii, o wojnie i o niebezpieczeństwie.
- Został pan zwerbowany na początku wojny, kiedy faszyci zajęli Sewillę? - zapytała.

- Tak. - Odwzajemnił jej spojrzenie. - Nie mieliśmy wyboru. Odmowa oznaczała rozstrzelanie.
- Więc był pan w armii Franco, kiedy maszerowała w trzydziestym szóstym na Madryt. Z Maurami.

Głos Luisa stwardniał.

- Powiedziałem, señońta, że nie mieliśmy wyboru. Brałem udział w oblężeniu tamtej zimy, nie wątpię, że po przeciwnej stronie linii frontu niż pani. Ale w Hiszpanii niewiele jest ulic, na których nie mieszkaliby ludzie, walczący wtedy po przeciwnych stronach.
- Sofio, to prawda - powiedział Harry. - Popatrz tylko na siebie i twojego wujka.

Tłumek wydał okrzyk rozczarowania; Real Madryt przegrał. Stojący wokół baru mężczyźni powoli zaczęli wracać do stolików.

- Jeśli nie macie więcej pytań, powinienem już iść.&
- Chyba wszystko omówiliśmy. Harry spojrzał pytająco na kobiety. Obie przytaknęły.

Luis wstał.

- A więc życzę szczęścia.
- Nie podoba mi się ten człowiek - powiedziała Sofia, kiedy Luis poszedł. Harry wziął ją za rękę.
- To, co powiedział o wojnie, to prawda. Ludzie często nie mieli wyboru, po której stronie walczyć.
- Nigdy nie udawał, że ma jakiś inny powód niż pieniądze - powiedziała Barbara. - Gdyby mnie oszukiwał, mógł zabrać pieniądze, które już mu dałam - było ich całkiem sporo - i zniknąć.
- W porządku.

Siedzący przy sąsiednim stoliku dwaj mężczyźni zaczęli głośno rozmawiać.

- Real znowu przegrał.
- Ay, co za pech - odparł jego przyjaciel. - Słyszałeś, że znowu idzie mróz? Znowu będzie zimno. Może nawet zacnie padać śnieg.

Barbara przygryzła wargi. Piątek trzynastego, pomyślała. Do realizacji nawet najlepszych planów potrzebne jest szczęście.

Rozdział czterdziesty czwarty

Następnego dnia rano Harry i Sofia szli Castellaną w stronę ambasady. Harry miał ochotę wziąć Sofię za rękę, ale nieopodal stało dwóch civiles.

W nocy znowu się ochłodziło; na chodnikach widać było czarne połacie lodu, w rynsztokach leżała zmarznięta breja. Idący do pracy ludzie byli otuleni w palta. Ale śnieg zniknął, a poranne niebo było jaskrawo-niebieskie.

- Dasz sobie radę? - zapytał Harry.
- Tak. - Sofia uśmiechnęła się do niego. - To tylko kwestia wypełnienia wielu formularzy, a my, Hiszpanie, jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Wczoraj dałam sobie radę z politycznymi pytaniami. - Trzeba było przygotować dokumenty do ceremonii ślubnej; tego ranka Sofia miała rozmowę z prawnikiem z ambasady. Mężczyzna chciał się z nią zobaczyć sam na sam, ale miała potem przyjść do Harry'ego do biura.
- Jutro o tej porze będziemy w drodze do Cuenki - powiedział.
- Jesteś całkowicie pewien, że ambasador odeśle Berniego z powrotem do Anglii?
- Musi. Nie może postępować wbrew prawu.
- Tutaj by się tym nie przejmowali. Bez przerwy je łamią.
- W Anglii jest inaczej - powiedział Harry. - Może to nie jest doskonały kraj, ale pod tym względem różni się od Hiszpanii.
- Mam nadzieję.
- Poproś w recepcji, żeby do mnie zadzwonili, kiedy skończysz. Pokażę ci moje biuro. Dzisiaj godziny będą się dłużyć. O której masz być w mleczarni?
- O dwunastej. Mam popołudniową zmianę.
- Dostałem list od Willa. Wynajął dla nas dom na przedmieściach. Z czterema sypialniami.

Sofia zaśmiała się, z niedowierzaniem kręcąc głową na myśl o takim luksusie.

- Możemy się wprowadzić, kiedy tylko chcemy. Potem spróbuję znaleźć pracę jako nauczyciel i poszukamy lekarza dla Paca.
- A ja zapiszę się na lekcje angielskiego.

Uśmiechnął się do niej.

- Tylko dobrze się zachowuj. I nie stawiaj się nauczycielowi.
- Spróbuję. - Rozejrzała się dookoła, patrząc na wysokie budynki na Castellanie i niebieskie niebo nad Madrytem. - To takie niezwykle, za dwa tygodnie będziemy daleko stąd.
- Z początku Anglia wyda ci się dziwna. Będziesz musiała się przyzwyczaić do tego, jacy jesteśmy oficjalni, jak nie mówimy tego, co myślimy.
- Ale ty mówisz, co myślisz.
- Tylko tobie. No, oto i ambasada. Widzisz flagę?

Wpisał ją i zaczekał, aż przyjdzie prawnik - bezpośredni, przyjazny mężczyzna. Przedstawił się, podali sobie dłonie i zabrał ze sobą Sofię. Harry obserwował ich, jak odchodzą, kiedy otworzyły się inne drzwi i pojawił się w nich Weaver.

- Cześć, Brett, jedziesz na imprezę w akademii? Pospiesz się, bo się spóźnimy.
- Mam dyżur.
- Ach tak, zapomniałem. O tej porze roku jest dużo imprez. Jutro masz wolne, prawda?
- Tak, wypożyczyłem samochód, jadę na przejażdżkę na wieś.
- Trochę chłodno, co? Cóż, baw się dobrze. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Tolhurst siedział przy biurku; na nim leżał stos teczek oraz kartek pokrytych obliczeniami prowadzonymi jego eleganckim, zaokrąglonym pismem.- Koszty agentów?

- Tak, muszę to załatwić przed świętami. Jedziesz jutro na przyjęcie do ambasady amerykańskiej? Powinien być niezły bankiet.
- Nie, mam wolne. Zabieram Sofię na przejażdżkę na wieś. - Harry poczuł przyptyw dawnej sympatii. - Tolly, słuchaj, w sprawie ślubu, jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc.
- A, nie ma sprawy.
- Przykro mi, że się nie udało z Forsythem.

Tolhurst złożył ręce na swoim zaokrąglonym brzuchu. Robił się coraz grubszy.

- Cóż, przynajmniej wiemy, że nie było żadnego złota.
- Coś więcej wiadomo na ten temat? - spytał nieśmiało Harry.
- Komandor mówi, że Sam rozważał, czy nie powiedzieć o wszystkim Maestre. Dowie się, jak bardzo byliśmy w to zaangażowani, ale przynajmniej dostanie informacje, które mogą mu się przydać. Może sprawić, że falangiści wyjdą na durniów.
- Rozumiem. - Harry'ego nic już to nie obchodziło.

Tolly uśmiechnął się do Harry'ego.

- Słyszałem, że niedługo się stąd zbierasz.
- Tak, po ślubie.

Tolhurst patrzył na niego przez chwilę.

- Masz drużbę? - zapytał.
- Poprosiliśmy brata Sofii. - Harry zorientował się, że Tolhurst miał nadzieję sam zostać drużbą. Tolhurst, jego obserwator. Harry był wdzięczny za jego pomoc przy załatwieniu ślubu, ale nawet mu to przez myśl nie przeszło.
- Wracasz do Anglii na Boże Narodzenie?

- Nie - odparł Tolhurst z obrazą w głosie. - Zostaję na służbie. Będę pod ręką na wypadek kłopotów z agentami. - Zadzwoił telefon. Tolhurst podniósł słuchawkę i skinął głową. - To z recepcji. Skończyli z twoją panienką. Mówi, że wszystko w porządku, czeka na ciebie na dole.

- W takim razie już sobie pójdę.

Tolhurst spojrział na Harry'ego.*

- Tak przy okazji, widziałeś się ostatnio z panną Clare? Dziewczyną Forsytha?

- Spotkałem się z nią wczoraj na kawie - powiedział Harry ostrożnie. - Wygląda na to, że Forsyth zmył się na dobre. Ona pewnie wróci do Anglii.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł starszy mężczyzna w surducie, sekretarz. Był zaniepokojony. Spojrział na Harry'ego przez złote binokle.

- Czy pan Brett?

- Tak.

- Pan ambasador chciałby się z panem spotkać u siebie w biurze.

- Dlaczego? O co chodzi?

- Czy mógłby pan pójść ze mną. To pilne.

Harry spojrział na Tolhursta, ale on tylko, zdziwiony, wzruszył ramionami. Harry odwrócił się i podążył za sekretarzem w głąb korytarza. Był na skraju paniki. Czy dowiedzieli się czegoś o 'Cuence?

Sekretarz wpuścił Harry'ego do biura Hoare'a. Harry był w tym luksusowym gabinecie tylko w dniu, kiedy przyjechał. Ambasador stał za swoim biurkiem. Miał na sobie żakiet, a jego chuda twarz była czerwona z gniewu. Spojrział na Harry'ego z marsową miną.

- Czy tylko on tu jest? - warknął na sekretarza.

- Tak, panie ambasadorze.

- Nie rozumiem, jakim cudem mogliśmy pozwolić wszystkim tłumaczom pojechać na przyjęcie.

- Pan Weaver właśnie wyszedł, panie ambasadorze, on był ostatni. Próbowałem zadzwonić do Akademii Hiszpańskiej, ale ich telefony nie działają.

Hoare posłał Harry'emu lodowate spojrzenie.

- No cóż, Brett, będziemy musieli zadowolić się tobą. Czemu nie jesteś na przyjęciu?

- Moja narzeczona jest tutaj, załatwia dokumenty potrzebne do ślubu.

Hoare chrząknął. Z irytacją odesłał sekretarza machnięciem.

- Gdzie twoja marynarka? - warknął na Harry'ego.

- W domu, sir.

- W takim razie będziesz musiał pożyczyć od nas. A teraz słuchaj. Od tygodni starałem się umówić na rozmowę z Generalisimem. Kazał mi czekać, odmawiał spotkania, podczas gdy von Stohrer i Włosi wchodzą i wychodzą z jego biura co pięć minut. - Głos Hoare'a był rozdrażniony, przepełniony gniewem. - A tu nagle ni stąd, ni z zowąd dostaję wiadomość, że spotka się ze mną dziś rano. Muszę iść, mamy ważne sprawy do omówienia, poza tym muszę dać mu poczuć swoją obecność. - Przerwał. - Oczywiście uczyłem się hiszpańskiego, ale nie mówię wystarczająco płynnie.

Harry odetchnął z ulgą. Chciało mu się śmiać także z tego, że Hoare udawał; wszyscy wiedzieli, że znał po hiszpańsku ledwie kilka słów.

- Tak, sir.

- A więc potrzebuję tłumacza. Proszę, żebyś był gotowy za pół godziny. Jedziemy do El Pardo. Tłumaczyłeś już podsekretarzy stanu, prawda?

- Tak, sir. Oraz kilka przemówień Franco.

Hoare pokręcił głową z irytacją.

- Nie mów tak o nim. Chciałeś powiedzieć Generalisima Franco. To mąż stanu. - Pokręcił głową. - Dlatego potrzeba mi kogoś z doświadczeniem. Idź się przygotować. - Odpędził Harry'ego niczym denerwującego owada.

Do leżącego na północy miasta pałacu, który Franco wybrał na swoją rezydencję, było daleko. Samochód wyjechał na wieś, droga wiodła z biegiem szarej, zimnej rzeki Manzanares, płynącej między wysokimi brzegami, na których rosły bezlistne drzewa. Harry siedział na tylnym siedzeniu razem z Hoare'em i patrzył w niebo. Było wciąż bezchmurne, bładoniebieskie. Rozpaczliwie pragnął, żeby do następnego dnia nie spadł śnieg.

Harry pożyczył z ambasady jedną z zapasowych marynarek i wrócił do biura Hoare'a. Zeszli z ambasadorem do recepcji. Sofia siedziała tam i czekała; kiedy się pojawili, spojrzała na nich ze zdumieniem. Podszedł do niej i wytłumaczył pospiesznie, dokąd jadą. Hoare spoglądał na niego niecierpliwie spode łba. Kiedy wymienił nazwisko Franco, Sofia zacisnęła usta. Gdy wychodzili z ambasady, czuł na sobie jej wzrok.

Ambasador przeglądał teczkę i robił notatki czarnym wiecznym piórem. Po pewnym czasie zwrócił się do Harry'ego.

- Kiedy tłumaczysz, musisz przekazywać dokładny sens moich słów. I nie patrz Generalisimowi prosto w oczy, uważa to za impertynencję.

- Tak, sir.

Hoare chrząknął.

- Na jego biurku stoją zdjęcia Hitlera i Mussoliniego. Nie gap się, po prostu nie zwracaj na nie uwagi. - Hoare przeciągnął dłonią przez swoje rzadkie włosy. - Będę musiał mówić ostrym tonem na temat pronazistowskiej propagandy w prasie. Ale ty masz pilnować, żeby twój głos był urzędowy, obojętny, jak głos lokaja. Rozumiesz?

- Tak, panie ambasadorze.
- Gdyby Generalísimo był rozsądnym człowiekiem, dziękowałby mi za dodatkową pszenicę, którą wynegocjowałem dla nich u Win-stona. Ale, niestety, rozsądny nie jest. To takie nagłe, takie nagłe. - Hoare wyjął grzebień i wyrównał fryzurę.

Przed oczami Harry'ego stanęły obrazy: kobieta grzebiąca w śmieciach, aresztowana, gdy wiatr zarzucił jej spódnicę na głowę; dzikie psy, które napadły Enrique; Paco wtulony w zwłoki starej kobiety. Teraz jechał na spotkanie z człowiekiem, który zbudował tę nową Hiszpanię.

Samochód dotarł do niewielkiej wioski, która została zamieniona na koszary. Wojsko było wszędzie, żołnierze zaglądali do samochodu, gdy jechali wzdłuż wysokiego muru. Kierowca zatrzymał się przed podwójnymi żelaznymi wrotami, których strzegli żołnierze z karabinami maszynowymi. Podał im papiery do sprawdzenia, wrota otwały się i powoli wjechali do środka. Strażnik pozdrowił ich faszystowskim gestem.

Pałac El Pardo był trzypiętrowym budynkiem z żółtego kamienia, otoczonym zielonymi trawnikami, pobielonymi szronem. Na scho-dach prowadzących do wejścia stali marokańscy strażnicy z lancami. Jeden z nich zszedł na dół i otworzył im drzwi samochodu. Harry usłyszał z oddali smutny krzyk pawia. Zadrżał. Wydawało się, że było tu jeszcze zimniej niż w Madrycie.

Ubrany po cywilnemu sekretarz spotkał się z nimi na schodach i prowadził ich przez kolejne pokoje pełne bogatych, lecz zakurzonych osiemnastowiecznych mebli. Serce Harry'ego zaczęło bić szybciej. Podeszli do wielkich drzwi, strzeżonych przez mauretańskich wartowników o beznamiętnym spojrzeniu. Jeden z nich zapukał i weszli do środka.

Gabinet Franco był duży, pełen ciemnych, ciężkich mebli, przez co robił przygnębiające wrażenie, mimo wpadających przez wysokie okna promieni słonecznych. Na ścianach wisiały grube zabytkowe gobeliny, przedstawiające średniowieczne sceny bitewne. Generalísimo stał przed dużym biurkiem, na którym rzucały się w oczy fotografie Hitlera i Mussoliniego oraz, ku zaskoczeniu Harry'ego, papieża. Franco był w mundurze generała, okrągły brzuch miał przepasany czerwoną szarfą. Jego twarz o ziemistej cerze była wyniosła. Harry spodziewał się wielkiej indywidualności, ale Franco się nią nie odznaczał. Jego łysiejąca głowa, podwójny podbródek i nieduży siwiejący wąsik przywodziły Harry'emu na myśl bankiera, tak jak powiedział Sandy przy ich pierwszym spotkaniu w Café Rocinante. Do tego Franco był niski i drobny. Kiedy Harry zgodnie z nakazem spuścił wzrok, zobaczył, że Generalísimo nosi buty na podwyższonych obcasach.

- Generalísimo, buenos días - powiedział Hoare. Przynajmniej tyle umiał po hiszpańsku.
- Excelencia. - Głos Franco był cienki i skrzekliwy. Ucisnął dłoń Hoare'a, Harry'ego całkowicie zignorował. Sekretarz stanął u boku Franco.
- Miał pan życzenie się ze mną spotkać, excelencia - powiedział cicho Franco.
- Cieszę się, że znalazł pan w końcu czas na spotkanie - odparł z dezaprobatą w głosie Hoare. Trzeba mu było przyznać, że nie dał się onieśmielić. - Rząd Jego Królewskiej Mości jest bardzo zaniepokojony

poparciem, jakim cieszą się naziści w hiszpańskiej prasie, która praktycznie namawia Hiszpanów do pójścia na wojnę.

Harry przetłumaczył, koncentrując się na tym, by jego głos był spokojny i pozbawiony emocji. Franco odwrócił się i wbił w niego spojrzenie. Jego brązowe oczy były duże i jasne, ale wzrok miał pozbawiony wyrazu. Generalísimo wzruszył ramionami i odwrócił się do Hoare'a.

- Ekscelencjo, nie mogę odpowiadać za prasę. Jestem pewien, że nie chciałby pan, bym miał na nią wpływ, prawda? - Uśmiechnął się chłodno. - Czy to nie właśnie za takie rzeczy krytykują nas liberalne mocarstwa?

- Generalísimo, prasa jest kontrolowana przez państwową cenzurę, dobrze pan o tym wie. A wiele tekstów pochodzi z niemieckiej ambasady.

- Nie zajmuję się prasą. Powinien pan porozmawiać z ministrem spraw wewnętrznych.

- Nie omieszka. - Ton Hoare'a był ostry jak brzytwa. i Mój rząd traktuje tę sprawę z największą powagą.

Generalísimo pokręcił głową, znów uśmiechnął się chłodno.

- Och, ekscelencjo, smucą mnie te przeszkody na drodze ku przyjaźni między naszymi narodami. Gdybyście tylko mogli zawrzeć pokój z Niemcami... Kanclerz Hitler nie chce zniszczyć Imperium Brytyjskiego.

- Nigdy nie pozwolimy Niemcom zagarnąć Europy - odparł gwałtownie Hoare.

- Ależ oni już ją mają, panie ambasadorze, już ją mają. - Obok Franco stał duży zabytkowy globus. Generalísimo wyciągnął swoją drobną, zaskakująco delikatną dłoń i lekko go obrócił. - Wiem, że Anglicy są dumnym narodem, tak jak Hiszpanie. Ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. - Pokręcił głową. - Ledwie dwa lata temu, kiedy podpisaliśmy traktat w Monachium, sądziłem, że pański przyjaciel Chamberlain przyłączy się do Niemców i zwróci ku prawdziwemu wrogowi, ku bolszewikom. - Westchnął. - Ale teraz jest już za późno.

W miarę jak Harry tłumaczył, twarz Hoare'a tężała z gniewu.

- Nie ma sensu dalej dyskutować na ten temat - warknął. - Wielka Brytania nigdy się nie podda.

Franco się wyprostował, jego zimne spojrzenie przypominało Harry'emu profil na monetach.

- W takim razie obawiam się, że zostaniecie pokonani - powiedział.

- Chciałbym porozmawiać o imporcie pszenicy - powiedział Hoare.

- Pana rząd będzie musiał zdobyć certyfikaty, by okręty mogły przewieźć zboże przez blokadę. Wciąż mamy władzę na morzu - dodał z satysfakcją w głosie. - Musimy mieć gwarancję, że to zboże nie zostanie sprzedane do Niemiec i że to rząd Hiszpanii w całości za nie zapłaci.

Franco znowu się uśmiechnął, tym razem wyraźnie rozbawiony.

- Tak się stanie. Argentyńczycy zgodzili się udzielić nam kredytu. W końcu nie mamy własnych złóż złota i nie możemy go wyprodukować. - Odwrócił się powoli do Harry'ego i spojrzał na niego, a chociaż się uśmiechał, w jego oczach było coś, co Harry'ego przestraszyło.

- Omawiałem to wczoraj z generałem Maestre - kontynuował gładko Generalísimo.

O Boże, pomyślał Harry, on o wszystkim wie. Hoare powiedział Maestre, a Maestre jemu. Hoare spojrzał zdumiony na Generalísima.

- Mam nadzieję, że wszystko przebiegnie bez przeszkód - kontynuował Franco. - W przeciwnym razie... - znowu wzruszył ramionami.

- Nie chcemy traktować Anglii jako naszego wroga, ale to także kwestia tego, jak mocarstwo postępuje. Zarówno w jawnych, jak i tajnych kwestiach. - Spojrzał znacząco na Hoare'a. Ambasador poczerwieniał. Harry zastanawiał się, co by powiedział Franco, gdyby dowiedział się o Rycerzach Świętego Jerzego. Musiał się chwycić stojącego za nim stolika, żeby nie upaść.

Kiedy jechali z powrotem do Madrytu, Hoare wpadł w furię. Spotkanie trwało jeszcze pół godziny. Hoare dyskutował o umowach handlowych oraz o plotkach, że wysyłano do Francji ciężarówki pełne żywności dla niemieckiej armii, ale stracił inicjatywę. Franco zachowywał się jak strona poszkodowana, która musiała rozmawiać z natarczywym negocjatorem.

- Poczekaj no, aż zobaczę Hillgartha - warknął, patrząc wilkiem na Harry'ego. - Zostałem upokorzony, upokorzony! Dlatego mnie wezwał, żeby rzucić mi w twarz tę pieprzoną kopalnię. To moje cholerne szczęście, akurat ty byłeś jedynym dostępnym tłumaczem. Te przygody muszą się skończyć! Wyszedłem na durnia! - Hoare prawie syczał, na jego chudej twarzy malowała się wściekłość. Harry poczuł na policzkach kropelki jego śliny.

- Bardzo mi przykro, panie ambasadorze.

- Maestre musiał powiedzieć Franco o wszystkim, po tym, jak Hillgarth poinformował go, że to przekręt. Maestre zrobił idiotów z Falangi, ale my wyszliśmy na tym jeszcze gorzej. - Hoare wziął głęboki oddech. - Dobrze, że wkrótce wyjeżdżasz. Musimy się postarać, żeby Generalísimo dowiedział się o twoim wyjeździe. Po co się żenisz z jakąś Hiszpanką z klasy robotniczej? Jakoś nie widzę, żeby ci to pomogło w przyszłej karierze, Brett. Zresztą sądzę, że ta i tak dobiegła już końca - dodał złośliwie ambasador. Odwrócił się i otworzył gwałtownie walizkę, po czym wyjął z niej teczkę. Harry patrzył przez okno na mknące za oknem pierwsze zabudowania przedmieść Madrytu. Jutro o tej porze prawie będą w Cuence, a kilka dni potem wyjadą stąd. Do diabła z wami, pomyślał Harry, do diabła z wami wszystkimi.

Rozdział czterdziesty piąty

Wysoko na Tierra Muerta wciąż zalegał śnieg, ale poniżej kamieniołomu prawie stopniał podczas krótkiego ocieplenia, które zamieniło plac obozowy w błotne jezioro.

Kiedy poprzedniego dnia zatrzymali się na odpoczynek w drodze do pracy, Agustín podszedł chyłkiem do Berniego, który właśnie patrzył w dół zbiegającego do Cuenki zbocza.

- Jesteś gotów na jutro? - wyszeptał.

Bernie pokiwał głową.

- Jutro rano znajdź ostry kamień i wsadź go do kieszeni.

Bernie' spojrzął na niego zdziwiony.

- Po co?

Agustín wziął głęboki oddech. Bał się.

- Żeby mnie uderzyć. Powinieneś rozciąć mi skroń, sprawić, żeby poleciała krew. Tak będzie bardziej realistycznie. - Bernie pokiwał głową i zacisnął wargi.

Tego wieczoru Bernie leżał w łóżku i masował ramię, które płonęło z bólu po całym dniu pracy. Jego noga też była sztywna; miał nadzieję, że nie straci nad nią panowania jutro na drodze w dół zbocza. W dół zbocza. To brzmiało niewiarygodnie, ale było prawdziwe. Spojrzął na łóżko naprzeciwko. Establo zmarł dwie noce wcześniej w męczarniach, pozostali więźniowie podzielili się jego kocami. Komuniści w chacie byli smutni i przygnębieni.

Kiedy nadszedł ranek, Bernie czuł się przymulony. Wstał i wyjrzał przez okno. Było jeszcze zimniej niż wcześniej, ale wciąż nie było śniegu. Serce zaczęło mu bić szybciej. Zrobił to. Ostrożnie rozruszał zeszywniałą nogę.

Przy śniadaniu unikał spojrzeń komunistów. Znowu poczuł wyrzuty sumienia, że opuszcza pozostałych więźniów. Ale nic nie mógł dla nich zrobić. Zastanawiał się, czy będą się cieszyć, jeśli mu się uda uciec, czy też go potępia. Jeżeli wróci do Anglii, powie wszystkim, w jakich warunkach tu żyją, rozgłosi to na cały świat.

Ustawił się z innymi w szeregu na placu. Błoto zamarzło i pokryło się szronem, przez co wyglądało jak zamrożone morze. Aranda poprowadził zbiórkę. Od czasu, kiedy Bernie odmówił zostania informatorem, wzrok Arandy spoczywał na nim na moment podczas każdej zbiórki; przerywał na chwilę i się uśmiechał, jak gdyby miał coś nieprzyjemnego w zanadrzu. Któregoś dnia miał na pewno zamiar się do niego dobrać, ale to jeszcze nie był ten dzień; Aranda przeszedł do następnego nazwiska. Bernie odetchnął z ulgą. Przegapiłeś swoją szansę, sukinsynu, pomyślał.

Z kościoła wyszedł ojciec Eduardo. Ostatnimi czasy wydawał się zmęczony i wymizerowany. Bernie dopiero teraz zauważył, że jego ciemnorude włosy były prawie tego samego koloru co włosy Barbary. Nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale od czasu, kiedy dowiedział się, że to ona stoi za planem uwolnienia go, myślał o niej bardzo często. Ksiądz podszedł do bramy, unosząc ramię w odpowiedzi na faszystowskie pozdrowienie przepuszczającego go strażnika. Musiał iść do Cuenki. Żaden z księży nie przyszedł do Establa. Może się nie odważyli; w przeciwieństwie do Vicente, Establo budził lęk.

Po zbiórce grupa pracująca w kamieniołomie zebrała się przed bramą. Agustín nie patrzył na Berniego. Brama się otworzyła i kolumna ruszyła w stronę wzgórz. Z początku ścieżka biegła przez zbrązowiałą trawę, ale wkrótce w jarach pojawiły się poacie śniegu, aż w końcu wyszli ponad Unię śniegu i świat znowu stał się biały. Agustín był kawałek przed Berniem; nie chciał, żeby ktokolwiek pamiętał, że wcześniej razem szli.

Bernie został przydzielony do grupy rozbijającej duże głazy na mniejsze. Miał nadzieję, że będzie mógł zrobić sobie ulgowy dzień, żeby zachować siły, ale kiedy tylko przestawał pracować, zaczynał się trząść, tak mu było zimno. Późnym rankiem znalazł kamień od-powiedni do uderzenia Agustina; płaski, okrągły, z poszarpanym brzegiem, którym mógł zranić go do krwi i sprawić, że uderzenie będzie wyglądać gorzej niż w rzeczywistości. Wsunął go do kieszeni, wyrzucając z myśli obraz Pabla na krzyżu.

Podczas krótkiej przerwy na posiłek wziął z garnka tyle ciecierzycy z ryżem, ile mógł. Po południu podczas pracy obserwował niebo. Pozostało bezchmurne. Słońce zaczęło zachodzić, rzucając na gołe zbocza wzgórz i białe góry na wschodzie różową poświatę. Berniemu szybciej zabiło serce w oczekiwaniu. Tak czy siak, widział ten widok po raz ostatni.

W końcu dostrzegł, że Agustín, który postarał się, żeby pilnować właśnie jego sekcji, zbliża się. To był sygnał, że nadszedł czas. Bernie wziął głęboki oddech i szykując się, policzył do trzech. Upuścił kilof, złapał się za brzuch i krzyknął, udając, że strasznie go boli. Zgiął się wpół i krzyknął głośnie. Mężczyźni, z którymi pracował zaczęli się na niego gapić. W pobliżu nie było innych strażników. Mieli szczęście.

- Co jest, Bernardo? - spytał Miguel.

Agustín zdjął z ramienia karabin i podszedł do niego.

- ¿Que pasa aquí? - zapytał surowym tonem.

- Mam biegunkę. Uch, nie mogę już wytrzymać.

- Nie załatwiasz się tutaj. Zabiorę cię w krzaki. - Agustín uniósł głos. - Dios mío¹, ile z wami jest kłopotów. Nie ruszaj się, muszę cię skuć.

Potrafi grać swoją rolę, pomyślał Bernie. Agustín odstawił karabin i wyjął z sakwy przy pasie kajdany: długi, cienki łańcuch z klamrami na końcach. Spiął Berniemu nogi.

- Szybko, błagam. - Bernie krzywił się z bólu.

- No już, idziemy. - Agustín podniósł karabin i machnął ręką, żeby szedł naprzód. Szybko wspięli się ścieżką biegnącą wokół wzgórze. Za chwilę będą w krzakach poza zasięgiem wzroku. Bernie odetchnął z ulgą.

- Udało się - wyszeptał. Agustín szybko się schylił i rozpiął trzęsącymi się palcami kajdany. Rzucił klucz na ziemię, po czym odstawił

¹ Mój Boże.

karabin i przykleknął w śniegu. Spojrzał na Berniego, w jego oczach było przerażenie i błaganie; był zdany na jego łaskę.

- Nie zabijesz mnie, prawda? - Przełknął ślinę. - Nie wyspowiadałem się. Mam grzechy na sumieniu...

- Nie, uderzę cię tylko w głowę. - Bernie wyjął z kieszeni kamień i zważył go w dłoni.

- Zrób to od razu - powiedział szybko Agustín. - Teraz! Tylko nie za mocno. - Zaciął zęby i zamknął oczy. Bernie na sekundę się zawahał, trudno było ocenić, jak mocno powinien uderzyć, po czym zdzielił Agustina w skroń. Strażnik bezgłośnie przewrócił się na plecy i leżał bez ruchu. Bernie spojrzał na niego, zaskoczony; nie miał zamiaru zupełnie pozbawić go przytomności. Z rozcięcia w miejscu, gdzie go uderzył, ciekła strużka krwi. Pochylił się nad nim. Agustín wciąż oddychał.

Wstał i spojrzał za siebie na ścieżkę, a potem w dół, wzdłuż zbocza. Rozważał, czy nie wziąć karabinu Agustina, ale tylko by go to spowolniło. Wziął głęboki oddech i zaczął zbiegać w dół przez topniejące zasy, świadom, jak strasznie widoczny na śniegu był jego brązowy płaszcz i zielony kombinezon. Plecy przeszył mu dreszcz, spodziewał się uderzenia kuli. Czuł się jak nad Jaramą, był przerażony i bezradny.

Minął linię śniegu i zatrzymał się, patrząc na ślady, które za sobą zostawił. Zbaczał na prawo, więc teraz podążył w lewo, mając nadzieję, że zmiana kierunku zmyli strażników. Po obu stronach miał jary. Samotność w tej dzicy była przerażająca; ku swojemu zaskoczeniu gorączkowo zapragnął znaleźć się znowu w chacie. Nagle nadepnął na plamę pokrytej szronem trawy i potoczył się w dół, sapiąc i jęcząc. Uderzył się w ramię, musiał stłumić wywołany bólem okrzyk.

Zatrzymał się na dole pierwszego jaru i usiadł, próbując złapać oddech. Spojrzał w górę. Nic. Nikogo. Uśmiechnął się. Dotarł tam, gdzie chciał, o wiele szybciej, niż zamierzał. Wstał i obiegił wystającą ze wzgórza skałę. Tak jak powiedział Agustín, w osłoniętym miejscu rosła kępa karłowatych, wiecznie zielonych dębów. Wbiegł między nie i położył się, opierając się o pień drzewa. Dobra robota, pomyślał. Jak na razie szło mu dobrze.

Siedział, nasłuchując, ale nie doszły go żadne dźwięki, nic, tylko cisza, która aż dzwoniła mu w uszach, wytrącając z równowagi - od trzech lat nie doświadczył całkowitej ciszy. Kusiło go, żeby biec dalej, ale Agustín miał rację, powinien poczekać do zmroku z dalszą ucieczką. Molina wkrótce zauważy, że brakuje jego i Agustina. Oparł się wygodniej o pień i zaczął poruszać zmarzniętymi palcami u nóg. Chwilę później zdawało mu się, że usłyszał w oddali cichy krzyk, ale tylko jeden raz.

Wkrótce na niebie pojawił się księżyc w pierwszej kwadrze, rozbłyły gwiazdy. Bernie zdziwił się, że rzeczywiście pojawiały się jedna za drugą, tak jak mu opowiadano. Kiedy niebo zrobiło się zupełnie czarne, wstał. Czas iść. Nagle zamarł bez ruchu. Kilka metrów od siebie, przy wejściu do kępy drzew, usłyszał szelest. O Boże, pomyślał, o Boże. Znowu usłyszał szelest, dochodzący z tego samego miejsca. Ostrożnie, z zaciśniętymi zębami, rozchylił gałązki krzaka i spojrzał przed siebie. O parę metrów od niego stał karłowaty jeleni i skubał ostrą trawę. Był bardzo młody; może jego matkę zastrzelili strażnicy. Teraz, kiedy śnieg zniknął, jelenie znowu wrócą w góry po jedzenie. Bernie nagle poczuł wzruszenie; łzy napłynęły mu do oczu, otarł je dłonią. Jeleni usłyszał go; podniósł gwałtownie łeb, odwrócił się i uciekł w dół wzgórza, z trzaskiem łamiąc gałęzie. Bernie wstrzymał oddech i nasłuchiwał. Jeżeli go szukali, ten dźwięk zwróciłby ich uwagę. Ale nic nie mąciło ciszy. Znowu wyczołgał się z krzaków. Wiał lodowaty wiatr. Skulił się, czuł się za bardzo odsłonięty. Ale zmusił się, żeby wstać, zaczął zbiegać zakosami w dół zbocza. Siedem kilometrów. Cztery mile.

Zdziwił się, że tak dobrze widzi przy świetle księżycy, kiedy się już do niego przyzwyczaił. Trzymał się cienia, podążał ścieżkami wydeptanymi przez pasterzy, zbiegając stopniowo coraz niżej. Domyślał się, że minęły mniej więcej dwie godziny od czasu, kiedy zostawił Agustina, ale mógł tylko zgadywać. W dół, w dół... Zatrzymywał się co jakiś czas, żeby złapać oddech i nasłuchiwał zza karłowatych

dębów, które rosły teraz gęściej. Czuł ból w ramieniu, zaczynały też boleć go stopy. Miał wrażenie, że biegł w dół zbocza całą wieczność, ale na szczęście jego chora noga wytrzymała.

Kiedy w końcu zaczął się odrobinę wspinać, zobaczył na wprost przed sobą światła Cuenki, żółte plamki okien, zaskakująco blisko. Jedno ze zbiorowisk światełek było niżej niż inne: wiszące domy, wbudowane w urwisko. Odetchnął głęboko. Miał szczęście, że wyszedł naprzeciwko miasteczka.

Poruszał się teraz wolniej, wykorzystując każdy kawałek cienia. Pojawiły się chmury zasłaniające od czasu do czasu tarczę księżyca. Był wdzięczny za dodatkową ciemność, którą mu zapewniały. Teraz widział już wąwóz i czarne podpory przerzuconego nad nim żelaznego mostu. Wyglądał zaskakująco delikatnie, drewniany chodnik był szeroki ledwie na trzy osoby. Zobaczył, że po drugiej stronie na urwisku zbudowano ledwie kilka domów. Były o wiele mniejsze, niż sobie wyobrażał.

Wzdłuż wąwozu biegła droga, widział ją jakieś sto metrów pod sobą. Bernie schował się za krzakiem. Ani śladu nikogo. Z obozu, na pewno zadzwonili już po civiles', może wysyłają kogoś, by strzegł mostu. Ale przypomniał sobie, co powiedział Agustín, że to nie jedyny most, były inne, można się było inaczej dostać do miasteczka. Jeżeli główny most będzie strzeżony, Barbara zaczeka na niego w katedrze.

Usłyszał głosy. Zamarł. Głosy były żeńskie. Pojawiły się cztery ubrane na czarno kobiety oraz idące z nimi dwa obładowane drewnem osły. Nie widział ich twarzy, ale chrapliwe głosy były stare. Nie widział kobiety od trzech lat. Przypomniał sobie Barbarę, jak leżała w łóżku i czekała na niego, i serce zabiło mu szybciej, a w ustach zebrała mu się ciepła ślina. Przełknął ją i wziął głęboki oddech.

Kobiety z osłami minęły go, przeszły przez most i zniknęły. Bernie opuścił schronienie i spojrzał na drogę. Tuż za mostem zobaczył rosnącą obok drogi sporą kępę drzew. To na pewno miała być jego kryjówka. Mógł dostać się do niej po odsłoniętym zboczcu, zwróconym w stronę stojącego po drugiej stronie przepaści miasteczka, nie było gdzie się schować. Ruszył przed siebie, zatrzymując się przy każdym dębie.

Kiedy wyszedł zza kolejnego drzewa, usłyszał gdzieś nad sobą dźwięk, coś jak brzęknięcie metalu. Rzucił się na ziemię, czekając nastrzał. Nic się nie stało. Otworzył oczy; widział przed sobą jedynie gołe zbocze. Kawałek wyżej zobaczył drugi samotny dąb, większy od tego, za którym stał. Zdawało mu się, że dźwięk dobiegł stamtąd, ale gdyby to był civil albo strażnik, z pewnością już zdążyłby wystrzelić. Szedł dalej, bez przerwy spoglądając w stronę drzewa, ale nie usłyszał już nic więcej. Może to był znowu jeleni albo koza.

Dotarł do kępy drzew i wszedł między nie. Rosły tu gęste krzaki, potykał się o sztywne gałęzie. Nie widział drogi, ale musiał pozostać w ukryciu. Usłyszy Barbarę, kiedy przyjdzie. Będzie wiedzieć, że on tu jest. Zadrżał; teraz, kiedy się zatrzymał, naprawdę było mu zimno. Poza tym czuł się okropnie zmęczony, drżały mu ręce i nogi. Chuchnął w dłonie. Musiał wytrzymać. Nie pozostało mu nic innego jak czekać; czekać, aż Barbara przyjdzie i go uratuje.

Rozdział czterdziesty szósty

Tego ranka Harry obudził się wcześniej. Po raz pierwszy od kilku tygodni wrócił mu szum w uszach, ale zniknął, nim wstał z łóżka. Kiedy rozsunął zasłony, zobaczył, że ulice znowu są białe i na moment poczuł rozpacz. Cholera, pomyślał, znowu śnieg. Nagle zorientował się, że to tylko gruba biała warstwa szronu pokryła chodniki i ulice. Odetchnął z ulgą.

Sofia przyszła o dziewiątej, tak, jak się umówili. Zrobił jej śniadanie. Kiedy wreszcie nadszedł dzień akcji, oboje byli przygaszeni.

- Dobrze spałeś?

- Nie najlepiej. Wziąłem samochód, to jeden ze starych fordów. Stoi przed domem. A ty jak spałaś?

- Dobrze.

- Udało ci się wyjść bez problemu?

- Enrique jest zły, że musi zostać w domu z Pakiem. Powiedziałam im, że jedziemy na wycieczkę, chciał, żebyśmy wzięli małego. - Pokręciła głową. - Nie cierpię ich okłamywać.

Wziął ją za rękę.

- Po dzisiejszym dniu koniec z kłamstwami. Chodź, powinniśmy coś zjeść. - Zabrał do salonu talerze z jajecznicą.

- Jak się ma Barbara? - spytała Sofia, kiedy jedli.

- W porządku. - Poprzedniego wieczoru Harry odebrał samochód z ambasady i pojechał do Barbary do domu. Powiedział jej, że informacja, iż kopalnia złota jest oszustwem, dotarła do samego Franco i było wielce prawdopodobne, że władze będą teraz ścigać Sandy'ego.

Na schodach rozległy się kroki; oboje stężeli.

- To chyba ona - powiedział Harry.

Barbara przyniosła duży plecak, twarz miała zmęczoną i bladą. - Przepraszam, że się spóźniłam - powiedziała, z trudem łapiąc oddech. - O szóstej przyszli jacyś ludzie, byłam jeszcze w łóżku. Dwóch civiles i ktoś z rządu. Przeraziłam się, że odkryli nasz plan. Chcieli się dowiedzieć wszystkiego o Sandym. Udawałam potulną żoneczkę, powiedziałam, że nic nie wiem. - Usiadła i zapaliła papierosa. - Powiedziałam, że zostawił mnie dwa dni temu. Łatwo im było uwierzyć. Uważają, że kobiety nie są zdolne do czegokolwiek. Zabrali wszystko z jego gabinetu, nawet kolekcję skamielin. Prawie mi się go żal zrobiło.

Harry wziął głęboki oddech.

- Sam się tak urządził, Barbaro. - Zorientował się, że Sandy już nic go nie obchodził. Był mu całkowicie obojętny.

- Tak - powiedziała Barbara. - To prawda.

- Powinniśmy już jechać, jeśli mamy wszystko - powiedziała Sofia. Podeszła do swojego płaszcza i wyjęła ciężki niemiecki pistolet Mau-ser. Podała go Harry'emu.
- Ty go weź.
- W porządku. - Sprawdził broń. Była wyczyszczona i nasmarowana, komory były załadowane. Wsunął pistolet do kieszeni. Barbara zadrżała lekko i spojrzała na Sofię, która odwzajemniła jej spojrzenie. Harry wstał.
- Dobrze - powiedział. - Sprawdźmy wszystko jeszcze raz, a potem jedziemy.

Na zewnątrz było tak zimno, że z początku oddech sprawiał ból. Musieli zeszkrobać szron z przedniej szyby ford. Harry bał się, że silnik nie zaskoczy, ale zapalił od razu; ambasada utrzymywała swoje samochody w bardzo dobrym stanie. Barbara i Sofia usiadły z tyłu i ruszyli drogą w stronę Walencji. Milczeli; sprawa broni wciąż ich męczyła. Pierwsza odezwała się Sofia.

- Myślałam o tym, co powinniśmy odpowiedzieć, jeśli ktoś zapyta, po co przyjechaliśmy do tak odległego miasteczka. Możemy powiedzieć, że przywieźliście mnie, bo szukam śladów swojego wujka. Tobędzie też dobry powód, żeby odwiedzić katedrę, będziemy chcieli zobaczyć listę poległych w czasie wojny.

- Myślisz, że może tam być jego nazwisko?

- Tak, jeśli go zabili. - Sofia odwróciła głowę. Harry zobaczył w lusterku, że mruga, żeby powstrzymać łzy. Ale mimo to chciała wykorzystać rodzinną tragedię, żeby im pomóc. Serce mu się ścisnęło z podziwu i miłości.

Jechali cały ranek. Droga w wielu miejscach była w złym stanie i musieli jechać bardzo wolno. Na szosie nie było ruchu, mijali niewiele miast; to było samo wyschnięte serce Kastylii. Wczesnym popołudniem teren zaczął się wznosić, strome wzgórza przecinały brunatny krajobraz. Po zboczach spływały zamrznęte strumienie, pasma bieli na brązowym tle. Lodowa pustynia, pomyślał Harry.

Koło trzeciej na horyzoncie pojawił się łańcuch niskich gór o zaokrąglonych szczytach. Krajobraz zaczął się zmieniać; było tu więcej upraw, w miejscach nawadnianych widać było plamy jasnej zieleni. Wkrótce pokazało się spore miasteczko, skupisko szarobiałych budynków wspinających się po zboczu. Wzgórze było tak strome, że domy wyglądały, jakby stały jeden na drugim, aż do nieba. Minęli znak, że właśnie wjeżdżają do Cuenki. Barbara pochyliła się i dotknęła ramienia Harry'ego. Wskazała na drogę gruntową. Prowadziła na nieuprawiane pole, zakręcając wokół kępy drzew, która mogła osłonić samochód tak, że byłby niewidoczny z drogi.

- To musi być tam.

Harry pokiwał głową i skręcił. Samochód zaczął podskakiwać na zamrznętych wybojach. Zatrzymali się za kępą drzew. Po drugiej stronie łąka wznosiła się łagodnie w górę.

- Jak sądzicie? - zapytał.
- Będziemy mieli długi spacer z powrotem.

- Powinniśmy posłuchać rady Luisa. Powiedział, że to najlepsze miejsce, gdzie można schować samochód.

- W porządku.

Otworzyli drzwi. Na zewnątrz Harry poczuł się nagle bezbronny, odsłonięty. Przejmująco zimny wiatr targał im włosy, kiedy szliw stronę drogi. Harry założył plecak, w którym mieli ubrania i jedzenie. Sofia stanęła na skraju drogi i spojrzała w stronę Cuenki.

- Nie widzę katedry - powiedział Harry.

- Stoi na samym szczycie wzgórza. Wąwóz leży po drugiej stronie.

- A Tierra Muerta jest po drugiej stronie wąwozu? - spytała Barbara.

- Tak. - Sofia wzięła głęboki oddech, po czym ruszyła w stronę miasta. Podążyli za nią długą pustą drogą.

Nim dotarli do mostu przerzuconego nad bystrą szarozieloną rzeką minęły ich zaledwie dwa wozy i jeden samochód. Zimowe słońce zdążyło zejść nisko nad horyzont. Przeszli przez dzielnicę nędznych wyniszczonych domów nowego miasta, minęli stację kolejową. Na ulicach było niewielu ludzi i mało kto zwracał na nich uwagę. Rozglądali się za civiles patrolującymi ulice, ale na ich drodze stanęło jedynie kilka parszywych psów, które szczekały zawzięcie, ale uciekły z podkulonymi ogonami, kiedy podeszli bliżej. Ich ujadanie przypomniało Harry'emu dzikie stado, więc by dodać sobie otuchy, położył dłoń na rękojeści spoczywającego w kieszeni mauzera.

Zaczął zapadać zmrok. Wspinali się coraz wyżej i wyżej po wybrukowanych uliczkach w głąb kamiennej dżungli. Wąskie uliczki pięły się w górę i w górę; otaczały ich niekończące się cztero- i pięciopiętrowe wiekowe kamienice, niemalowane, z odpadającym tynkiem. Kolejny rząd domów najpierw wisiał nad nimi, po czym wspinali się wyżej i chwilę później patrzyli w dół na jego dachy. Między popękkanymi dachówkami rosły chwasty, jedyna zieleń wśród kamieni. Z kominów unosiły się cienkie pasemka dymu; powietrze pachniało palonym drewnem i gnojem, mocniej niż w Madrycie. Większość okien była zakryta okiennicami, ale od czasu do czasu widzieli twarze, które obserwowały ich, po czym szybko zniknęły.

- Jak stare są te budynki? - spytał Harry.

- Nie wiem. Pięćset, sześćset lat. Nikt nie wie, kto zbudował wiszące domy.

Na małym placu w połowie drogi pod górę zatrzymali się, żeby przepuścić starego mężczyznę z osłem, uginającym się pod ciężarem drewna.

- Gracias. - Spojrzał na nich z zainteresowaniem. Przystanął na chwilę, żeby złapać oddech.

- Pamiętam wszystko - powiedziała Sofia. - Martwiłam się, że mogłam zapomnieć drogę.

- Strasznie tu ponuro - powiedziała Barbara. Zachodzące słońce rzucało zimną poświatę na ulice, zmieniając kolor leżących w rynsztokach kopczyków śniegu na różowy.

- Nie dla dziecka. - Sofia uśmiechnęła się smutno. - Te strome uliczki były podniecające. -
Wzięła Harry'ego za rękę i szli dalej.

Stary Plaza Mayor zwieńczał szczyt wzgórza. Po dwóch stronach placu stały miejskie budynki, trzecia strona była ogrodzona balustradą, za którą była skarpa zbiegająca do ulicy położonej niżej. Ta strona celowo nie była zabudowana, żeby zostawić widok na tę część placu, gdzie dominowała katedra o prostokątnej fasadzie, onieśmielająca w swoim majestacie. Szerokie schody prowadziły do wielkich wrót, pod którymi siedziała kilku żebraków. Obok katedry mieścił się bar, teraz zamknięty; poza żebrakami na placu nie było nikogo.

Stanęli w drzwiach baru, patrząc na pozamykane okiennice. Przez plac przeszła stara kobieta z olbrzymią stertą ubrań na głowie. Zamierający odgłos jej kroków rozbrzmiewał echem w zapadającym zmroku.

- Czemu tu jest tak cicho? - spytał Harry.

- To zawsze było ciche miasteczko. W taki dzień ludzie siedzą w domach i próbują się rozgrzać.
- Sofia spojrzała na niebo. Z północy nadciągały chmury, które zasnuwały niebo.

- Chyba powinniśmy wejść do katedry. - Barbara spojrzała na brązowe nabijane ćwiekami drzwi. Siedzący przed wrotami żebracy obserwowali ich w milczeniu. - Lepiej zniknąć z pola widzenia.

Sofia przytaknęła.

- Masz rację. Powinniśmy znaleźć dozorcę. - Ruszyła przodem po schodach. Była skulona, dłonie włożyła głęboko w kieszenie starego płaszcza. Minęła żebraków, którzy wyciągali ręce. Otworzyła powoli olbrzymie wrota.

Katedra była ogromna i pusta, wewnątrz oświetlało jedynie sączące się przez witraże zimne żółtawe światło. Para leciała z ust. Barbara stanęła u boku Harry'ego.

- Chyba nikogo tu nie ma - wyszeptała.

Sofia przeszła powoli między strzelistymi kolumnami w stronę prezbiterium, ku ozdobionej złotem zasłonie ołtarza. Zatrzymała się i patrzyła chmurnie na ołtarz; miała postać w starym czarnym płaszczu. Harry podszedł i objął ją ramieniem.

- Tyle złota - wyszeptała. - Kościołowi nigdy nie brakowało pieniędzy.

- Gdzie jest dozorca? - zapytała Barbara, podchodząc do nich.

- Znajdźmy go. - Sofia odsunęła się od Harry'ego i ruszyła wzdłuż nawy. Poszli za nią. Ciężki plecak wbijał się Harry'emu w ramiona.

Po prawej stronie duży witraż wpuszczał do wnętrza resztki gasnącego światła. Pod nim stał konfesjonał, wysoka, wąska budka z ciemnego drewna. Kiedy szli wzdłuż katedry, zrobiło się ciemniej. Harry aż podskoczył na widok postaci w bocznej kaplicy. Barbara złapała go- za ramię.

- Co to?

Kiedy Harry wyteżył wzrok, zobaczył naturalnej wielkości scenę przedstawiającą Ostatnią Wieczerzę. To Judasz sprawił, że Harry tak się przestraszył - zaskakująco rzeczywisty Judasz wyrzeźbiony w momencie, kiedy wstaje od stołu. Jego twarz, zwrócona lekko w stronę mistrza, którego miał właśnie zdradzić, była brutalna, zimna i wyrachowana, na jego wprost otwartych ustach malował się ponury uśmiešek. Obok niego Chrystus w białej szacie siedział tyłem do nawy.

- Okropne, prawda? - wyszeptowała Barbara.

- Tak. - Harry spojrzał na Sofię, która była trochę z przodu. Ręce wcisnęła w kieszenie tak mocno, że szwy na ramionach płaszcza trzeszczały. Zatrzymała się i odwróciła, kiedy podeszli.

- Widzisz, tam jest, w ławce - powiedziała do Harry'ego.

Obok kaplicy maryjnej siedział mężczyzna. Trudno było go zobaczyć w ciemności. Podeszli bliżej. Nagle Harry usłyszał, jak Sofia wciąga gwałtownie powietrze. Patrzyła na dużą, nowo wbudowaną w ścianę tablicę. Obok w niszach paliły się świece, a pod nią leżał bukiet zimowych róż. Nad listą nazwisk widniał napis „Polegli za Kościół”.

- Jest tutaj - powiedziała Sofia. - Mój wujek. - Skuliła ramiona. Harry ją objął. Wydawała się taka mała i krucha. Znowu odsunęła się od niego.

- Musimy poszukać dozorczy - powiedziała cicho.

Kiedy podeszli, mężczyzna wstał z ławki. Był stary, niski i przysadzisty. Miał na sobie bardzo stary garnitur i wytartą koszulę. Przyjrzał im się bystrymi niebieskimi oczami, jego porwana zmarszczkami twarz była wroga i nieufna.

- Państwo od Luisa, brata Agustina? - zapytał Barbarę.

- Tak. Pan Francisco?

- Powiedziano mi, że będzie tylko jedna Angielka. Dlaczego jest państwa troje?

- Plan się zmienił. Luis o tym wie.

- Agustín powiedział, że jedna osoba. - Przyglądał się im na zmianę z niepokojem.

- Mam pieniądze - powiedział Harry. - A więc czy możemy tu bezpiecznie poczekać, aż przyprowadzimy naszego przyjaciela?

- Tak sądzę. Dziś wieczorem nie ma mszy. Jest zimno, nikogo poza siostrą ojca Belmonte dzisiaj nie było. - Skinął krótko w stronę tablicy pamiątkowej. - Przyniosła kwiaty. Był jednym z męczenników za Hiszpanię - dodał z naciskiem - kiedy dla uciechy komuchów mordowano księży i gwałcono zakonnice.

A więc to nacjonalista, pomyślał Harry.

- Mamy trzysta peset - powiedział.

Staruszek wyciągnął dłoń.

- W takim razie poproszę.
- Kiedy mężczyzna, po którego przyjechaliśmy, będzie z nami.
- Harry postarał się, żeby mówić krótko i kategorycznie, jak oficer.
- Tak się umawialiśmy. - Sięgnął do kieszeni płaszcza i pokazał mężczyźnie zwitek banknotów. Ustawił się tak, żeby stary zobaczył też pistolet. Oczy dozorczy otworzyły się szeroko, pokiwał głową.
- Si. Si.

Harry spojrzął na zegarek.

- Jesteśmy trochę wcześniej. Będziemy musieli chwilę poczekać.
- Niech sobie państwo czekają. - Dozorca wrócił, szurając, na swoją ławkę. Siedział i patrzył na nich.
- Możemy mu zaufać? - spytała Barbara. - Jest bardzo wrogo nastawiony.
- Oczywiście, że tak - odparła surowo Sofia. - Popiera i c h. Myślisz, że Kościół zatrudnia republikanów?
- Brat Luisa musi mu ufać - powiedział Harry. - A jeśli się nie uda, jemu też grozi rozstrzelanie.

Podeszli do ławki, z której widać było i dozorcę, i drzwi. Usiedli.

- Jest szósta dziesiąta - powiedział Harry. - Sofio, ile czasu idzie się stąd do mostu?
- Niedługo. Piętnaście minut. Powinniśmy jeszcze zaczekać kwadrans. Zaprowadzę was, obejdziemy katedrę, za nią jest wąż i most.

Barbara wzięła głęboki oddech.

- Zostawcie mnie tam i wracajcie, Sofio. Będzie się spodziewał, że przyjdę sama.
- Wiem. - Sofia ucisnęła rękę Barbary. - Wszystko będzie w porządku, wszystko się uda.

Barbara wzruszyła się tym nieoczekiwanym gestem.

- Dzięki. Przykro mi z powodu twojego wujka, Sofio.

Pokiwała smutno głową.

Harry pomyślał o starym księdzu, którego postawiono pod ścianą i zastrzelono. Zastanawiał się, czy podobne obrazy chodziły po głowie Sofii. Znowu ją przytulił.

- Sofio - powiedziała cicho Barbara. - Chciałam powiedzieć... Jestem bardzo wdzięczna, że tu przyjechaliście. Żadne z was nie musiało tego robić.
- Ja musiałem - powiedział Harry. - Dla Berniego.

- Chciałabym móc zrobić więcej - powiedziała Sofia z nagłą gwałtownością w głosie. - Chciałabym, żeby znowu były barykady, tym razem złapałabym za broń. Nie powinni byli wygrać. Mój wujek żył, gdyby oni nie zaczęli wojny. - Zwróciła się do Barbary. - Czy wydaję ci się niesprawiedliwa?

Barbara westchnęła.

- Nie. Komuś takiemu jak ja czasami trudno sobie wyobrazić, przez co przeszłaś.

Harry uścisnął rękę Sofii.

- Próbujesz ze wszystkich sił być surowa, ale tak naprawdę tego nie chcesz.

- Nie mam wyboru.

- W Anglii będzie inaczej.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. W pewnym momencie Sofia podciągnęła rękaw Harry'ego, chcąc sprawdzić godzinę.

- Szósta trzydzieści - powiedziała. - Powinniśmy iść. - Spojrzała na dozorcę. - Harry, ty tu zostań, miej na niego oko. Daj Barbarze plecak.

Nie chciał jej zostawić.

- Powinniśmy iść razem.

- Nie. Jedno z nas musi zostać.

Harry puścił jej rękę, obie kobiety wstały. Odwrócił się plecami do dozorczy i wyjął pistolet.

- Chyba powinnyście wziąć broń. Na wypadek, gdyby były kłopoty. Nie żeby strzelać, ale by nim grozić. - Złapał broń za lufę i podał im, ale Sofia zawahała się, jakby teraz nie miała ochoty go wziąć. Barbara wyciągnęła rękę i ostrożnie złapała rękojeść.

- Ja wezmę. - Ostrożnie włożyła broń do kieszeni. Harry podał jej plecak. Uśmiechnęła się cierpko. - To śmieszne, ale człowiek czuje się z nim pewniej. - Wzięła głęboki oddech. - Chodź, Sofio.

Kobiety wyszły na zewnątrz. Drzwi zaskrzypiały i zamknęły się za nimi. Rozstając się z Sofią, Harry czuł prawie fizyczny ból. Spojrzył na starego mężczyznę. Miał wrażenie, że widzi jego wrogie spojrzenie.

Rozdział czterdziesty siódmy

Na zewnątrz było już prawie zupełnie ciemno. Barbara przesunęła ciężar plecaka z ubraniami i jedzeniem na środek. Był ciężki. Żebracy już sobie poszli. Księżyc skrył się za chmurami, ale zapaliły się słabe uliczne latarnie. Sofia poprowadziła ją biegnącą wzdłuż katedry wąską alejką. Wyszły na szeroką ulicę, po jednej stronie majaczył tył katedry, a po drugiej za kamienną balustradą leżał szeroki, głęboki wąwóz. Barbara spojrzała na drugą stronę przepaści. Ledwo dostrzegła zarys wzgórz na tle nieba oraz biegnącą u ich stóp białą drogę. Kawałek dalej widać było rozpiętą nad wąwozem kładkę na żelaznych podporach.

- A więc to tu - powiedziała Barbara.

- Tak. To most San Pablo. Nikt go nie pilnuje - zauważyła z radością Sofia. - Władze na pewno jeszcze nie wiedzą, że uciekł.

- Jeżeli mu się udało.

Sofia wskazała na wzgórze.

- Popatrz, to jest Tierra Muerta. On przyjdzie stamtąd.

Po prawej Barbara zobaczyła światła domów zbudowanych na samej krawędzi wąwozu, okna z balkonami wystawały nad zionącą w dole przepaść.

- Wiszące domy - powiedziała Sofia.

- Niesamowite. - Barbara w napięciu nasłuchiwała odgłosu zbliżających się z bocznej uliczki kroków. Pojawił się mężczyzna, ubrany całkowicie w czerń, oprócz białego pasma przy szyi. Ksiądz. Był młody, miał około trzydziestu lat, nosił okulary, jego twarz była okrągła i łagodna, zwieńczona rudą czupryną, prawie tego samego koloru

co włosy Barbary. Był wyraźnie zmartwiony, ale na ich widok się uśmiechnął.

- Buenas tardes, señoras. Późna godzina na spacer. - Jasna cholera, pomyślała Barbara. Wiedziała, że księża mieli prawo przepytować kobiety na ulicy; miał prawo kazać im wrócić do domu. Sofia spuściła wzrok, udając skromność.

- Właśnie wracaliśmy, señor.

Ksiądz spojrzał na Barbarę z zaciekawieniem.

- Proszę wybaczyć, señora, ale czy pani jest zza granicy?

Barbara postarała się, żeby jej głos brzmiał wesoło.

- Jestem Angielką, ojczy. Mój mąż pracuje w Madrycie. - Czują wyraźnie ciężar pistoletu w kieszeni.

- ¿Inglesa? - Spojrzał na nią uważnie.

- Tak, señor. Był ojciec w Anglii?

- Nie. - Wydawało się, że miał zamiar powiedzieć coś więcej, ale powstrzymał się. - Ciemność zapadła - powiedział łagodnym tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem. - Myślę, że może powinny panie wracać do domu.

- Właśnie miałyśmy zamiar wracać.

Zwrócił się do Sofii.

- Pani jest z Cuenki?

- Nie. - Wzięła głęboki oddech. - Przyjechałam obejrzeć tablicę pamiątkową w katedrze. Moja przyjaciółka przywiozła mnie z Madrytu. Mój wujek tu pracował, był księdzem.

- Aha. Czy został męczennikiem w trzydziestym szóstym?

- Tak.

Ksiądz pokiwał ze smutkiem głową.

- Tylu poległych. Córnko moja, widzę po twojej twarzy, że jesteś rozgoryczona, ale sądzę, że powinniśmy zacząć przebaczać, jeśli Hiszpania ma zostać odbudowana. Było już zbyt wiele okrucieństwa.

- Ostatnio to zdanie nie jest popularne - powiedziała Sofia.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

- To prawda - przytaknął. Na moment zapadła cisza. - Gdzie panie mieszkają? - zapytał, żeby podtrzymać rozmowę.

Sofia się zawahała.

- W klasztorze San Miguel.

- A, ja też. Tylko dzisiejszej nocy. Może zobaczymy się później, przy kolacji. Jestem ojciec Eduardo Alierta. - Skłonił się im lekko i skręcił w uliczkę prowadzącą do katedry. Jego kroki powoli ucichły. Kobiety spojrzały na siebie.

- Miałyśmy szczęście - powiedziała Sofia. - Mógłby nalegać, żeby odprowadzić nas do klasztoru.

- Jeśli tam idzie, dowie się, że nigdy o nas nie słyszeli.

Sofia wzruszyła ramionami.

- W porze kolacji już nas nie będzie.

- Wydał mi się smutny. Większość księży wydaje mi się surowa, ale ten był smutny.

- Cała Hiszpania jest smutna - odparła Sofia. - Chodźmy.

Kiedy zbliżały się do mostu, serce Barbary zaczęło mocniej bić.

Zaschło jej w ustach. W myślach widziała Berniego takiego, jakiego znała. Jaki będzie teraz? Złapała metalową podporę na krawędzi mostu i spojrzała na kładkę z drewnianych desek w metalowej framudze. W ciemności ledwo było widać zarys drugiego końca.

- Wracaj do Harry'ego - powiedziała do Sofii. - Mam nadzieję, że będę za godzinę.

- W porządku. - Sofia szybko ją uściskała. - Zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze. Powiedz twojemu brygadziście, że czeka na niego przyjaźnie nastawiona Hiszpanka.

- Powiem.

Sofia ucałowała ją prędko w policzek, po czym odwróciła się i wróciła ścieżką. Obejrzała się za siebie jeden raz, po czym zniknęła w tej samej alejce co ksiądz.

Barbara została na pustej ulicy sama. Z podniecenia czuła pulsowanie w krtani. Zrobiła krok do przodu i złapała barierkę. Metal był zimny. Drugą ręką złapała rękojeść pistoletu w kieszeni. Uważaj, powiedziała sobie, nie naciśnij spustu i nie postrzel się w nogę. Nie w takiej chwili. Weszła na most, poruszając się powoli na wypadek, gdyby deski były oblodzone. Wciąż nie widziała drugiego brzegu, jedynie zarys masywu wzgórz przed sobą, odrobinę ciemniejszy niż niebo. Zaczęła iść. Wzdłuż doliny wiał lekki, ale przejmująco zimny wiatr. Panowała zupełna cisza, nie było słychać płynącej dołem rzeki; kiedy Barbara spojrzała w dół, zobaczyła tylko ciemność, ciemność w dole i dookoła wąskiego żelaznego mostu. Na moment dostała zawrotu głowy.

Pozbieraj się, do cholery! Wzięła kilka głębokich wdechów i ruszyła przed siebie. Poczowała coś zimnego na policzku i zorientowała się, że trochę zaczęło przószyć.

Wtedy usłyszała kroki z drugiej strony mostu, zmierzały w jej stronę. Wstrzymała oddech. Czy to mógł być Bernie? Czy mógł zobaczyć ją i Sofię z drugiej strony i postanowił wyjść im na spotkanie? Nie, na pewno siedzi w ukryciu, musi się przebrać w zwykłe ubranie; to na pewno ktoś z miasteczka.

Kroki zbliżyły się; czuła lekkie drżenie desek. Szła przed siebie, trzymając mocno poręcz, próbując zmusić się, żeby jej -twarz była spokojna.

Zamajaczyła postać wysokiego mężczyzny w szynelu. Szedł środkiem mostu, nie dotykając poręczy. Stopniowo zaczęła dostrzegać jego twarz, zobaczyła wpatrzone w nią oczy. Jej serce na moment stanęło, nim zaczęło znowu bić.

Sandy zatrzymał się trzy metry od niej, na samym środku kładki. Jedną rękę miał w kieszeni, drugą trzymał u boku, zaciśniętą w pięść. Zgolił wąsy, jego twarz była opuchnięta i pożółkła. Uśmiechnął się swoim starym, szerokim uśmiechem.

- Cześć, słodziutka - powiedział. - Zdziwiona na mój widok? Spodziewałaś się kogoś innego?

Wewnątrz katedry stary dozorca wstał i podszedł do przycisku na ścianie. Głośne przytknięcie sprawiło, że Harry aż podskoczył. Zapaliło się światło nad ołtarzem, biała poświata sprawiła, że złote kolory wyblakły. Obserwował, jak staruszek wraca na swoje miejsce. Żałował, że nie ma broni, lubił poczucie bezpieczeństwa, które zapewniała. Jak* *

w czasie wojny. W głowie pojawił mu się obraz plaży w Dunkierce, krótki, ale bardzo wyrazisty.

Wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem, żeby trochę się rozgrzać. Gdyby tylko Sofia się pospieszyła, powinna już być z powrotem. Jak musiała się czuć, kiedy zobaczyła nazwisko wujka na tablicy pamiątkowej.

Obrócił się na pięcie na odgłos trzeszczących wrót. To nie była Sofia, w drzwiach stał wysoki rudowłosy ksiądz. Harry usiadł gwałtownie na najbliższej ławce, złożył dłonie razem i spuścił głowę, jakby się modlił. Przez palce obserwował, jak ksiądz podchodzi do ołtarza i klęka. Przeżegnał się, po czym podszedł do Francisca. Staruszek wstał z ławki, był widocznie podenerwowany. Harry ścisnął mocniej dłonie. Co będzie, jeśli dozorca spanikuje i ich wyda?

- Buenas tardes, señor - powiedział cicho ksiądz. - Przyjechałem w odwiedziny do miasteczka, zatrzymałem się na dwie noce w klasztorze. Chciałbym się chwilę pomodlić.
- Oczywiście, señor.
- Spokojnie tu dzisiaj.
- Ay, zimno jest. Ale nie za zimno na modlitwę.

Ksiądz podszedł do ławek i usiadł o kilka rzędów przed Harrym. Wydawało się, że coś go martwi, i wyglądało na to, że nie zauważył w mroku drugiego pokutnika. Francisco usiadł z powrotem. Patrzył to na Harry'ego, to na księdza, który klęczał z twarzą ukrytą w dłoniach.

Drzwi znowu się otworzyły. Harry spojrzał prędko na księdza, ale ten nie przestał się modlić, kiedy Sofia weszła do środka. Harry wychylił się z ławy i wskazał na księdza. Ku jego zaskoczeniu Sofia podbiegła szybko do paskudnego konfesjonału pod witrażem i przycisnęła się do jego ściany, chcąc się ukryć. Harry wstał zdziwiony. Uderzył kolaniem o kant ławki, zacisnął zęby z powodu hałasu, a także z bólu. Podszedł do konfesjonału, starając się iść tak, żeby echo jego kroków brzmiało spokojnie; ksiądz z pewnością podniósłby wzrok, gdyby usłyszał, że ktoś biegnie. Ale on ciągle klęczał i się modlił.

- O co chodzi? - wyszeptał z niepokojem. - Czy Barbara jest bezpieczna?*
- Tak. Zostawiłam ją przy moście. Ale spotkałyśmy tego rudego księdza. Powiedziałam mu, że zatrzymałyśmy się w klasztorze i że zaraz tam wracamy. Nie może mnie tu z tobą zobaczyć. A kiedy Barbara wróci z Berniem...
- Muszę kazać staremu, żeby go stąd wyprosił.

Sofia pokręciła gwałtownie głową, przerażona.

- Nie może wyprosić księdza z katedry.
- Musi. - Harry uściśnął jej ramię i spokojnym krokiem podszedł do nawy, w której stał Francisco.

Barbara stanęła bez ruchu, trzymając się poręczy.

- Mowę ci odjęto? - zapytał Sandy z przekąsem. Znowu się uśmiechnął, wyraźnie cieszyło go jej zaskoczenie. - Pamiętasz, jak zadzwonił do ciebie tamten strażnik? Podśluchiwałem; podnieśliśmy słuchawki równocześnie. - Mówił spokojnym, swobodnym tonem. - Potem otworzyłem twoje biurko, zobaczyłem wszystko, co tam miałaś. Mapę, na której zaznaczyłaś krzaki przy moście.
- Ale jak je otworzyłeś?
- Kiedy kupowałem to biurko, zostawiłem sobie do niego klucz. - Uśmiechnął się. - Zawsze mam zapasowy klucz do wszystkich rzeczy z zamkami, które kupuję. Zwłaszcza dla kogoś innego. Stare przyzwyczajenie.

Barbara nic nie powiedziała, tylko stała i patrzyła na niego, oddychając szybko.

- Od jak dawna wiedziałaś, że Piper żyje? - zapytał. - Od kiedy to planowałaś?
- Ze dwa miesiące - odparła cicho. Przyjrzała się jego twarzy. Co miał zamiar zrobić? W jego oczach płonęła wściekłość. Pomimo mrozu na czole miał kropelki potu.

Drgnął mu policzek.

- Czy Brett też w tym macza palce?
- Nie. - Sandy nie wiedział, że Harry tu był. Spojrzała na spoczywającą w kieszeni dłoń Sandy'ego. Czy on też miał broń?
- Przyszli po ciebie do domu - powiedziała. Serce waliło jej jak młotem; z trudem zachowywała spokój. Musiała. - Policja. Zabrali wszystko z twojego biura.
- Tak, spodziewałem się, że to zrobią. Mam paszport, dzięki któremu mogę wsiąść na statek w Walencji. Należał do jednego z francuskich Żydów, ale teraz jest w nim moje zdjęcie. Pomyślałem tylko, że zatrzymam się tu po drodze.

Złapała dłonią pistolet tak, żeby umieścić palec na spuście.

- Gdzie jest Pilar? - zapytała. Jej głos się uspokoił.
- Odeszła. Zapłaciłem jej. Była tylko małą zmyłką. Nic poważnego, w przeciwieństwie do tego, jak ty mnie zdradziłaś. - Ostatnie słowo wysyczał wściekle, wziął głęboki oddech i kontynuował tym swoim kpiącym tonem. - Cóż, widać, że wyhodowałem żmiję na własnym łonie. I pomyśleć tylko, że to ja cię stworzyłem. Powinienem być zostawić cię w Burgos, żebyś skisła.

Nie odpowiedziała, stała tylko i patrzyła na niego. Sandy spojrzał za siebie, na most.

- On tam jest - powiedział. - Czeka wśród drzew przy drodze. Widziałem go. Siedziałem za drzewem i czekałem. Miałem zamiar go zabić. Ale usłyszał, jak zapalam papierosa, i to go zaalarmowało, więc zamiast tego przyszedłem tutaj. W końcu nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż przyparty do muru człowiek. Nie sądzę, żeby widział nas po tej stronie mostu. - Sandy skinął głową w stronę swojej kieszeni. - Tak przy okazji, mam pistolet.

Barbara ledwie widziała kępę drzew kilkaset metrów dalej wzdłuż drogi. Czy Bernie naprawdę tam był?

- Sandy, dlaczego? - spytała. - To znaczy, jaki... jaki to ma sens? To już koniec.

Sandy wciąż mówił cicho, ale ton jego głosu był lodowaty.

- W szkole traktował mnie jak śmiecia, zupełnie jak mój cholerny ojciec. Próbował odciągnąć ode mnie Harry'ego. A teraz skłonił ciebie, żebyś mnie zdradziła i wy dostała go z więzienia. No, ja się zemszczę. - Uśmiechnął się znowu dziwnie, prawie jak chłopiec. - Lubię zemstę. Jest namacalna.

589Mimowolnie zrobiła krok do tyłu. W jego głosie była teraz dzikość, szaleństwo.

- Nie patrz tak, do cholery - powiedział. - Czy zrobiłem coś gorszego niż zrobili Hiszpanii Piper i jego idealisci? Co? Zrobiłem coś gorszego?

- Sandy, Bernie mnie do tego nie namówił, to mój pomysł. Dowiedział się o wszystkim dopiero niedawno.

- Tak czy siak zostałem zdradzony - powiedział. - Ale nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. Nie dam się wyrzucić, odepchnąć. Jeśli takie jest moje przeznaczenie, będę z nim walczył do samego końca. Będę walczył. - Oczy błyszczały mu dziko. Barbara nie odpowiedziała. Stali przez chwilę twarzą w twarz, co jakiś czas spadał między nimi płatek śniegu. Sandy wziął głęboki oddech, zamknął na moment oczy, a kiedy znowu przemówił, jego głos był spokojny.

- Jak tu przyjechałaś? Pociągiem?

- Tak. - Nie wiedział, że Harry i Sofia tu byli, sądził, że przyjechała sama. Ale oni nie mogli jej pomóc, czekali w katedrze.

- W plecaku pewnie masz ubranie na zmianę?

- Tak.

- Wiesz, powiem ci, co możesz zrobić. Możesz się odwrócić i pójść, skąd przyszedłeś. Wracaj do Anglii. Ja się nim zajmę. - Skinął głową na swoją kieszeń. - Ciebie też chciałbym zabić, ale strzał byłoby słychać. - Pochylił się, twarz mu stężała. - Ale nigdy, przenigdy, do końca życia, które ci daruję, nie zapomnij, że wygrałem. - Wysyczał te słowa; brzmiały idiotycznie, mówił jak dzieciak. Pomachał przedmiotem, który miał w kieszeni. - A teraz odwróć się i idź.

Puściła barierkę i wzięła głęboki oddech.

- No, dalej. - Podniósł głos. - Już. Albo cię zastrzelę, do cholery. Przez trzy lata inwestowałem w ciebie, zacząłem od zera, tylko po to, żebyś mnie zdradziła. Ty suko. Odwróć się i idź.

Barbara włożyła rękę do kieszeni i wyciągnęła mauzera. Złapała rękę oburącz i wyciągnęła rękę przed siebie, odsuwając bezpiecznik.

- Rzuć broń do rzeki, Sandy. - Była zdziwiona, jak wyraźnie zabrzmiał jej głos. Rozstawiła nogi, skupiając się na zachowaniu rów-nowagi. - Już. Rzuć broń, albo cię zastrzelę. - Wiedziała, że jeśli będzie musiała, zrobi to.

Sandy cofnął się o krok do tyłu. Zaskoczyła go.

- Masz broń?

- Wymij pistolet z kieszeni, Sandy. Powoli.

Zacisnął pięści.

- Ty suko.

- Rzuć broń do rzeki!

Sandy spojrzał jej prosto w oczy, po czym powoli wyciągnął rękę z kieszeni. Pomyślała, co będzie jeśli wyciągnie broń i strzeli. Ale ona strzeli pierwsza. Nie dostanie Berniego, nie dostanie.

Sandy wyciągnął duży kamień. Spojrzał na niego, po czym uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie miałem czasu zdobyć pistoletu. Miałem zamiar rozwalić Pipe-rowi łeb przy użyciu tego. - Upuścił kamień na most. Odbił się i spadł, zniknął w pustce. Nie usłyszeli uderzenia o wodę, rzeka była zbyt głęboko.

Barbara szybko zlustrowała wzrokiem jego kieszenie.

- Ręce na głowę.

Twarz Sandy'ego nachmurzyła się.

- Co chcesz zrobić? - zapytał. W jego głosie był strach, coś, czego nigdy wcześniej nie słyszała. Ucieszyła się; zrozumiał, że mówiła serio. Myślała szybko.

- Idziemy na drugą stronę mostu. Do Bernieego.

- Nie. - Wykrzywił się. - Nie w ten sposób.

Podniosła pistolet do jego twarzy.

- W tył zwrot.

Wzdrygnął się.

- Dobra. - Zrobił, co mu kazała, i ruszył powoli tą samą drogą, którą przyszedł. Barbara szła za nim w pewnej odległości, na wypadek, gdyby nagle próbował ją złapać. Doszli do końca mostu i stanęli na trawiastym poboczu. Śnieg przestał prosić, zza chmur wyszedł księżyc.

- Stój - powiedziała. Sandy stanął. Wyglądał głupio z rękami na głowie. Musiała pomyśleć, co teraz zrobić. Odwróciła się i popatrzyła na kępę drzew. Czy Bernie nas widzi? - pomyślała. Co zrobimy z San-dym? Wiedziała, że nie będzie w stanie zastrzelić go z zimną krwią, ale może Bernie będzie mógł.

Nagle usłyszała tupot. Odwróciła się i zobaczyła, że Sandy biegnie na drugą stronę drogi. Kiedy tylko się odwróciła, zaczął biec z szybkością błyskawicy.

- Stój!

Biegł zygzakiem. Próbowwała wycelować, ale to było niemożliwe. Przypomniała sobie, co powiedział wcześniej - że strzał będzie słychać. Opuściła broń, kiedy dotarł na drugą stronę drogi i zaczął biec zakosami w górę zbocza. Zniknął wśród drzew. Usłyszała trzask gałęzi i szelest liści.

Niech sobie ucieka, pomyślała, lepiej nie ryzykować strzału. Nie miał broni i nie mógł pójść do miasta i powiedzieć o nich władzom - jego też szukały.

Ruszyła szybko drogą, obserwując nieustannie zbocze. Czuła się samotna i odsłonięta. Spojrzała na drugą stronę wąwozu, na światła miasteczka. Widziała zarys katedry, w której czekali Sofia i Harry.

Znalazła kępę drzew. Było ciemno i cicho. Czy Sandy kłamał, czy Bernie rzeczywiście tu był? Stała przez chwilę, patrząc na zbocze, po czym zaczęła się wspinać. Zorientowała się, że wciąż trzyma w

rękach pistolet, wsunęła go do kieszeni. Jej stopy ślizgały się na zmrożonej trawie. Obejrzała się na drogę i most; wciąż nikogo nie było. Zastanawiała się, skąd znała te wyrażenia, ręce do góry, ręce na głowę? Pewnie z filmów dźwiękowych, wszyscy znali teraz takie zdania.

- Bernie - zawołała głośnym szeptem w stronę drzew. Nie było odpowiedzi. - Bernie - zawołała znowu, tym razem głośniejsze.

Z głębi zarośli rozległ się trzask łamanych gałęzi. Nerwowo, pomyślała znowu o pistolecie, kiedy pojawił się mężczyzna. Barbara zobaczyła wychudłą postać w starym poszarpanym płaszczu, brodaty, kulejący stary człowiek. Pomyślała, że to jakiś włóczęga, i znowu sięgnęła po broń. - Barbara. - Usłyszała jego krzyk, jego głos, po raz pierwszy od ponad trzech lat. Zrobił krok do przodu. Rozpostarła ramiona. Bernie w nich utonął.

Stary Francisco wyjął różaniec i obracał go nerwowo w rękę. Harry schylił się i zbliżył usta do owłosionego ucha staruszka.

- Musi pan skłonić księdza, żeby wyszedł. Spotkał moje przyjaciółki na zewnątrz. Powiedziały mu, że idą do klasztoru. Jeśli wrócą, a on je zobaczy, zacznie zadawać pytania.

- Nie mogę poprosić księdza, który modli się do naszego Pana, żeby opuścił katedrę - wyszeptał wściekle Francisco.

- Musi pan. - Harry spojrzał mu w oczy. - Albo wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie. I nie dostanie pan pieniędzy.

Francisco przesunął zgrubiałą dłoń po zaroście na policzkach.

- Mierda - wyszeptał. - Czemu ja się na to zgodziłem?

Ksiądz przestał mamrotać. Podniósł twarz i patrzył na nich, wciąż klęczał. Nie mógł usłyszeć słów, które szepotali, ale możliwe, że dotarło do niego naglenie w głosie Harry'ego. Cholera, pomyślał Harry, jasna cholera.

- Akurat teraz się nie modli - wyszeptał. - Niech pan powie, że coś się zdarzyło w pańskiej rodzinie i musi pan na chwilę zamknąć katedrę.

Ksiądz wstał i podszedł do nich, czarna sutanna szeleściła wokół jego nóg. Francisco także wstał. Ksiądz uśmiechnął się łagodnie.

- Wszystko w porządku, uiejo1?

- Obawiam się, że jego żona zachorowała - powiedział Harry. Postarał się, żeby jego akcent brzmiał hiszpańsko. - Jestem lekarzem. Bardzo by nam pan pomógł, gdybyśmy mogli zamknąć katedrę i pójść do niej do domu. Mogę wezwać drugiego dozorcę.

Ksiądz przyjrzał mu się uważnie. Harry zastanawiał się, jak łatwo byłoby go obezwładnić. Był młody, ale wyglądał anemicznie.

- Skąd pan jest? Nie rozpoznaję pańskiego akcentu.

- Z Katalonii, señor. Zacząłem tu pracować po wojnie.

Francisco wskazał na Harry'ego.

- Ojcie, on... on... - Ale nie mógł powiedzieć nic więcej. Spuścił głowę.

- Jeśli pan chce, mogę tu zostać, aż przyprowadzą panowie drugiego dozorcę - powiedział ksiądz.

Francisco przełknął ślinę.

- Przepraszam, señor, ale przepisy mówią, że katedra musi być zamknięta, jeśli nie ma w środku dozorcę.

- Lepiej będzie, jeśli zamkniemy katedrę - powiedział Harry. - Zaprowadzę Francisca do domu; dom dziekana jest po drodze, stamtąd możemy wezwać drugiego dozorcę.

Ksiądz skinął głową.

- W porządku. I tak powinienem wracać do klasztoru. Jak ma na imię pańska żona?

- Maria, señor.

- W porządku. - Odwrócił się. - Będę się modlił do Marii Panny o jej wyzdrowienie.

- Dziękuję. Niech ojciec modli się za nas. - Staruszek się załamał. Rozplakał się i ukrył twarz w dłoniach. Harry skinął na księdza.

- Zajmę się nim, señor.

- Vaya con Dios¹, viejo.

- Vaya con Dios, señor - wymamrotał dozorca zawstydzonym głosem. Ksiądz dotknął jego ramienia. W końcu przeszedł nawą i wyszedł z kościoła.

Francisco otarł łzy, ale nie spojrzał na Harry'ego.

- Zhańbiliście mnie. Cabrón rojo. Zhańbiliście mnie w tym świętym miejscu.

Bernie i Barbara stali mocno wtuleni w siebie. Czuła dotyk szorstkiego materiału jego płaszcza, był jak zrobiony z juty. Poczowała jego odrażający zapach, ale ciepłe ciało było jego, jego.

i Idź z Bogiem.- Bernie, Bernie - powiedziała.

Odsunął się i spojrzał na nią. Jego twarz była wychudzona, brudna, brodę miał poszarpaną.

- Mój Boże - powiedział. - Jak tyś to zrobiła?

- Musiałam, musiałam cię odnaleźć. - Wzięła głęboki oddech. - Ale trzeba iść. - Spojrzała w górę zbocza. - Sandy był tu wcześniej.

- Forsyth? On o tym wie?

- Tak. - Szybko wyjaśniła, co się stało. Otworzył oczy szeroko ze zdumienia, kiedy powiedziała, że Harry i jego hiszpańska narzeczona czekają na nich w katedrze.
- Harry i Sandy. - Zaśmiał się z niedowierzaniem, pokręcił głową.
- A Sandy jest gdzieś tam. - Spojrzał na zbocze. - Wydaje się, że oszalał.
- Poszedł sobie. Nie wróci, póki mam broń.
- Ty z pistoletem. - Znowu pokręcił głową. - Och, Barbaro, coś ty dla mnie zrobiła. - Jego głos załamał się pod naporem emocji. Barbara wzięła głęboki oddech. Musiała myśleć praktycznie, praktycznie. Sandy sobie poszedł, ale było tyle innych problemów.
- Mam tu trochę ubrań. Powinieneś się przebrać i zgolić brodę. Nie, tu jest na to za mało światła, będziesz musiał ogolić się w katedrze. Ale przebierz się tutaj.
- Dobrze. - Ujął jej dłonie. - O Boże, o wszystkim pomyślałaś.
- Przyjrzał się jej w ciemności. - Ale się zmieniłaś.
- Ty też.
- Twoje ubranie... I używasz perfum. Nigdy tego nie robiłaś. To dziwny zapach.

Schyliła się i zaczęła rozpakowywać plecak. Wśród drzew niewiele było widać, powinna była wziąć latarkę.

- Mam dla ciebie ciepły płaszcz.
- Przyszedłeś przez miasteczko?
- Tak. Było bardzo cicho.
- Obóz na pewno poinformował civiles przez radio.
- Nikogo nie spotkaliśmy.
- Masz samochód?]
- Tak, od Harry'ego, na dyplomatycznych numerach. Ukryliśmy go za miastem, odwieziemy cię z powrotem do ambasady. Będą musieli cię przyjąć.
- Harry nie wpadnie przeze mnie w tarapaty?
- Nie muszą wiedzieć, że był w to zamieszany. Zostawimy cię przed wejściem, możesz powiedzieć, że ukradłeś ubranie, włamałeś się do czyjegoś domu albo co, a potem złapałeś jakąś okazję.

Bernie spojrział na nią i nagle wybuchnął płaczem.

- Barbaro, myślałem, nie raz i nie dwa, że już po mnie, ale nagle dowiedziałem się, że mnie ocalisz. Aja cię opuściłem, żeby pójść na wojnę. Barbaro, tak mi przykro...

- Nie, nie. Kochanie, musisz się pospieszyć, ktoś może przyjść. Musisz się przebrać.
- Dobrze.

Bernie zaczął się rozbierać, stękając z bólu, kiedy zdejmował koszulę, którą nosił od wielu dni, była tak brudna, że przykleiła się do niego. W ciemności Barbara widziała blizny na jego ciele, na tym ciele, które tak kochała, z którego zostały tylko skóra i kości.

Kilka minut później Bernie stał przed nią ubrany w garnitur Sandy'ego, płaszcz i kapelusz filcowy, które przywiozła z domu. Ubranie pogmiotło się w plecaku, ale poza brudną twarzą i brodą włóczęgi wyglądał całkiem normalnie. Wygładziła kilka Md na ubraniu.

- No - powiedziała cicho. Nagle ogarnęła ją ochota, żeby się roześmiać. - Może być.

Po wyjściu księdza to było najdłuższe pół godziny w życiu Harry'ego. Oboje z Sofią chodzili niespokojnie w tę i z powrotem, patrząc to na drzwi, to na starego dozorcę. Ledwie im się udało z księdzem. Byli tak blisko szczęścia, on, Sofia i może także Paco. Oby nic więcej nie poszło źle, modlił się do Boga, w którego nie wierzył, nic więcej.

W końcu drzwi otworzyły się ponownie. Harry i Sofia stężeli. Staruszek też spojrzął ze strachem w stronę drzwi. Do środka weszli ostrożnie Bernie i Barbara. Barbara podpierała go, bo ze zmęczenia ledwo trzymał się na nogach. Harry nie rozpoznał od razu wychudłej brodatej postaci, podbiegł do nich, za nim Sofia.

- Bernie - powiedział cicho. - Chryste, wyglądasz, jakbyś przeszedł piekło.

Bernie zaśmiał się z niedowierzaniem.

- Harry. To naprawdę ty. - Mrugał bardzo szybko, wydawało się, że ten nowy świat, w którym właśnie się znalazł, to było dla niego zbyt wiele. - Jezu, nie umiałem w to uwierzyć.

Harrym targały sprzeczne emocje, kiedy patrzył na wyniszczoną twarz Berniego.

- Coś ty wyczyniał, do cholery? Popatrz na siebie. W Rookwood mieliby ci wiele do zarzucenia.

Bernie przygryzł wargi. Harry widział, że był bliski łez.

- Walczyłem na wojnie, Harry. - Pochylił się i objął go po hiszpańsku. Trwali tak w uścisku, dopóki Harry, zażenowany, nie odsunął się. Bernie lekko się zachwiał.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z niepokojem Sofia.

- Lepiej usiądę. - Bernie uśmiechnął się do niej. - Ty pewnie jesteś Sofia.

- Tak.

- Viva la República - powiedział cicho.

- Viva la República.

- Jesteś komunistką?

- Nie. - Spojrzała na niego poważnie. - Nie podobało mi się to, co robili komuniści.
- Myśleliśmy, że to konieczne. - Westchnął.

Barbara wzięła go za rękę.

- Chodź, musisz się ogolić. Idź do chrzcielnicy. Pospiesz się. - Podała Berniemu kosmetyczkę z zestawem do golenia. Pokuśtykał do chrzcielnicy. Harry podszedł do staruszka. Francisco spojrzął na niego spode łba, na jego twarzy były ślady łez. Harry podał mu zwitek banknotów.

- Pańskie pieniądze, señor.

Francisco zgniótł je wściekle w dłoni. Harry myślał, że ciśnie pieniądze na podłogę, ale dozorca wsunął zwitek do kieszeni i oparł się o ścianę. Bernie wrócił, wciąż jeszcze miał lekki zarost, jego twarz wydawała się starsza, o wiele bardziej wychudzona i pobrużdżona, ale teraz przynajmniej był do siebie podobny.

- Muszę usiąść - powiedział. - Jestem cholernie zmęczony.
- Odpocznij. - Barbara zwróciła się do pozostałych. - Jest bardzo zmęczony, ale musimy wydostać się stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.
- Czy coś się stało? - zapytała Sofia, surowość w jej głosie sprawiła, że Harry podniósł wzrok. Barbara opowiedziała im o Sandym.
- Jezu Chryste - powiedział Harry. - Zupełnie mu odbiło. Oszalał.
- Prawie z wściekłości.
- Powinniśmy stąd zniknąć jak najszybciej. Martwię się, że ksiądz może coś powiedzieć w klasztorze i wysłać kogoś do domu dozorczy.
- Tak. - Harry odwrócił się w stronę Francisca, który patrzył na nich lodowatym wzrokiem. Położył rękę na ramieniu Berniego. - Samochód jest o kilka kilometrów stąd, za miastem. Myślisz, że dasz radę? Całą drogę mamy z górki.

Bernie pokiwał głową.

- Spróbuję. Dam radę, jeśli będziemy szli wolno.
- Znowu wyglądasz jak człowiek.
- Dzięki. - Podniósł wzrok. - To prawda, że Anglia wciąż się broni?
- Tak. Bombardowania są ciężkie, ale wciąż się trzymamy. Bernie, powinniśmy iść - powiedziała Barbara.
- W porządku. - Bernie wstał, krzywiąc się z bólu. Jest zupełnie wykończony, wypalony, pomyślał Harry.
- O co chodzi z tym księdzem? - spytał Bernie.

- Sofia i Barbara spotkały go na moście, a potem przyszedł do kościoła się modlić, ale udało mi się nakłonić dozorcę, żeby się go pozbył. To był nieprzyjemny moment; chyba do końca życia będę widział, jak ten rudowłosy ksiądz klęczy tu w swojej czarnej sutannie i się modli.

- Rudowłosy? - Bernie zamyślił się na chwilę. - Jak wyglądał?

- Młody, wysoki. Przy kości.

Bernie wziął głęboki oddech.

- O Boże, to chyba ojciec Eduardo, jeden z obozowych księży.

- Tak, tak miał na imię - powiedziała Barbara. - Dobry Boże. Nie wyglądał na takiego.

- Bo nie jest taki, to raczej święte niewiniątko. - Bernie zacisnął usta. - Chodźmy już.

Harry założył pusty plecak i opuścili katedrę. Poczuli ulgę, kiedy wyszli. Obejrzał się na starego dozorcę, który siedział wciąż na ławce z twarzą ukrytą w dłoniach, malutka postać pośród pomników wiary.

Rozdział czterdziesty ósmy

Szli powoli w dół stromych, źle oświetlonych uliczek. Bernie był wykończony. Nieliczni przechodnie, których mijali, oglądali się za nimi; Bernie zastanawiał się, czy z powodu nierównego kroku wezmą go za pijaka. Czuł się pijany, odurzony szczęściem i zdumieniem.

Zastanawiał się, co będzie czuł na widok Barbary po tak długim czasie. Na zboczu wzgórze pojawiła się harda, elegancka kobieta, inna niż ta, którą kiedyś znał. Ale to wciąż była Barbara, zobaczył wszystko, co w niej kochał. Miał wrażenie, że rozstał się z nią ledwie wczoraj, a Jarama i ostatnie trzy lata były tylko złym snem. Ale ból w ramieniu był aż nadto rzeczywisty, a stopy opuchnięte tak, że wydawały się wypełniać każde pęknięcie jego butów. Ból przyprawiał go niemal o agonię.

W połowie drogi znaleźli się na niewielkim placu z kamienną ławeczką stojącą pod pomnikiem jakiegoś generała.

- Mogę usiąść? - wyszeptał Bernie do Barbary. - Tylko na moment.

Sofia odwróciła się i spojrzała na niego poważnie.

- Nie dasz rady iść dalej? - Spojrzała niespokojnie na bar po drugiej stronie placu. W środku paliły się światła, dochodził do nich szmer głosów.

- Pięć minut? - zapytała Barbara błagalnym głosem.

Bernie opadł na ławkę. Barbara usiadła przy nim, Sofia i Harry stali kilka kroków od nich. Niczym anioły stróżę, pomyślał Bernie.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Kręci mi się w głowie. Za chwilę poczuję się lepiej. Barbara położyła mu dłoń na czole.

- Masz trochę gorączki - powiedziała. Wyjęła papierosy i podała mu jednego. Bernie się zaśmiał.

- Prawdziwy papieros. Golden Flake.

- Sandy je kupował.

Wziął Barbarę za rękę i spojrzał jej w twarz.

- Próbowałem o tobie zapomnieć - powiedział. - W obozie.

- Udało ci się? - zapytała, siłąc się na lekki ton.

- Nie. W obozie trzeba spróbować zapomnieć o wszystkim, co dobre, bo inaczej wraca to do ciebie i tylko cię dręczy. Jak widok wiszących domów. Czasami widzieliśmy je w drodze do kamieniołomu. Wisiały nad mgłą, trochę jak miraż. Kiedy teraz je mijaliśmy, wydawały się takie małe.

- Przepraszam cię za Sandy'ego - powiedziała. - Ale... kiedy myślałam, że zginąłeś, zupełnie nie mogłam się pozbierać. A on z początku był miły, wydawał się miły...

- Nie powinienem był cię zostawiać. - Chwyił mocno jej dłoń. - Kiedy Agustín powiedział, że to ty organizujesz ucieczkę, kiedy wypowiedział twoje imię, to był najpiękniejszy moment, najpiękniejszy. - Czuł, że ją kocha. - Nigdy więcej cię nie opuszczę.

Drzwi baru otworzyły się, czuć było zapach kwaśnego wina i dymu papierosów. Z budynku wyszło dwóch robotników, skierowali się w górę wzgórza, zerkając ze zdziwieniem na siedzącą przy fontannie czwórkę. Harry i Sofia podeszli bliżej.

- Nie możemy tu zostać - powiedział Harry. - Dasz radę iść?

Bernie skinął głową. Kiedy wstał, miał wrażenie, że włożył stopy

do ognia, ale zmusił się, żeby nie zwracać na to uwagi. Byli już blisko celu.

Szli dalej, prawie się nie odzywając. Bernie pomimo bólu zmysły miał bardzo wyostrzone: szczekanie psa, widok sylwetki wysokiego drzewa w ciemności, zapach perfum Barbary; tysiące rzeczy, które mu odebrano w trzydziestym siódmym. Wyszli z miasteczka, przeszli przez rzekę i ruszyli długą pustą drogą w stronę pola, gdzie stał ukryty samochód. Znowu, ale niezbyt mocno, zaczął sypać śnieg, niewielkie płatki, wydawały cichutki odgłos, spadając na trawę. Berniemu było ciepło w nowym ubraniu, jego miękkość była także nowym doznaniem.

- Już prawie jesteśmy - wyszeptała Barbara po jakimś czasie. - Samochód stoi za tamtymi drzewami.

Skręcili przez bramę na wyboistą polną drogę. Bernie zacisnął zęby z bólu, stopy ślizgały mu się na nierównej nawierzchni. Harry i Sofia szli trochę z przodu, Barbara wciąż była u boku Berniego. Zobaczył niewyraźny zarys samochodu.

- Ja poprowadzę - powiedziała Barbara do Harry'ego.

- Jesteś pewna?

- Tak. Ty nas przywiozłeś. Bernie, usiądź z tyłu, będziesz mógł rozprostować nogi.
- W porządku. - Oparł się o zimną karoserię forda. Barbara otworzyła drzwi od strony kierowcy. Wrzuciła do środka plecak, wsunęła się na siedzenie pasażera i pociągnęła za zapadki na pozostałych drzwiach. Harry otworzył drzwi z tyłu uśmiechnął się pewnie, uspokajająco, tak jak kiedyś.
- Pański samochód - powiedział. Bernie uściśnął mu ramię.

Nagle Sofia uniosła rękę.

- Coś usłyszałam - wyszeptała. - Wśród drzew.
- To na pewno jeleń - powiedział Bernie, przypominając sobie tego, który zaniepokoił go w kryjówce.
- Poczekajcie. - Sofia oddaliła się od samochodu i podeszła do rzędu karłowatych dębów, które rzucały na trawę długie, czarne cienie. Pozostali podążyli za nią wzrokiem. Zatrzymała się i próbowała coś dostrzec między gałęziami.
- Ja nic nie słyszę - wyszeptał Bernie. Spojrzał na samochód. Barbara pytająco patrzyła na nich przez ramię.
- Chodź - zawołał Harry.
- Dobrze, w porządku. - Sofia odwróciła się. Spomiędzy drzew wystrzelił snop światła. Z zarośli rozległ się terkot karabinu maszynowego, Bernie zobaczył wylatujące w powietrze kawałki gałązek, kiedy schwytna w wiązkę reflektora Sofia podskoczyła i zadrżała od uderzeń kul. Z jej drobnego ciała popłynął strumień krwi. Upadła na ziemię.

Harry zaczął biec w jej stronę, ale Bernie złapał go za ramię i z siłą, której nie spodziewał się w sobie znaleźć, rzucił nim o samochód. Harry przez sekundę szamotał się, ale zastygł bez ruchu, kiedy spośród drzew wyłoniło się dwóch civiles. Ich czarne kapelusze błyszczały w świetle reflektora. Jeden z nich, starszy mężczyzna z cynicznym wyrazem twarzy, mierzył do nich z ciężkiego pistoletu. Miał zimne, pozbawione emocji oczy. Drugi, młodszy i trochę przestraszony, uniosł rewolwer.

Bernie czuł, że nie może oddychać. Próbował złapać powietrze, wciąż trzymając Harry'ego za ramiona. Starszy civil podszedł do Sofii i kopnął nogą jej głowę. Chrząknął z zadowoleniem, kiedy potoczyła się bezwładnie, bez życia. Harry znowu próbował się poruszyć, ale Bernie wciąż go trzymał, chociaż bolało go ramię.

- Za późno - powiedział.

Odwrócił się i zajął do wnętrza samochodu. Barbara wciąż opierała się o siedzenie z wyrazem przerażenia na twarzy. Civiles stali w pewnej odległości i trzymali ich na muszce. Zza drzew wyszło dwóch mężczyzn w wojskowych mundurach. Jednym z nich był Aranda, uśmiechał się. Drugi był chudszy, starszy, na łysy czubek głowy miał zaczesane cienkie pasma czarnych włosów, a pobrużdżona twarz wyrażała ponurą satysfakcję.

- Maestre - powiedział Harry. - Dobry Boże, generał Maestre. O Boże, Sofia... - Głos mu się załamał i zaczął szlochać bezradnie.

Oficerowie podeszli do nich zdecydowanym krokiem. Maestre spojrzeli z pogardą na Harry'ego.

- Zostać na miejscach. - Podniósł głos. - Señońta Clare, proszę wysiąść z samochodu.

Barbara wysiadła. Wydawało się, że zaraz upadnie. Oparła się o otwarte drzwi, a kiedy spojrzała na ciało Sofii, to jej twarz przeszył grymas bólu. Aranda uśmiechnął się radośnie do Berniego. - No i proszę, złapaliśmy znowu naszego ptaszka.

Harry patrzył na Maestre.

- Skąd wiedzieliście? Od Forsytha?

- Nie. - Generał spoglądał na niego lodowato. - Ta akcja została ustawiona przez nas, seńor Brett. Pułkownik Aranda jest moim starym przyjacielem, służyliśmy razem w Maroku. Pewnego wieczoru na spotkaniu weteranów opowiedział mi o Angliku przetrzymywanym w obozie w Tierra Muerta i jego angielskiej narzeczonej, która mieszkała w Madrycie. Nazwisko wydało mi się znajome. - Włożył ręce do kieszeni. - Mamy akta każdego, kto miał powiązania z Republiką, więc kiedy dowiedziałem się, że panna Clare podaje się za żonę Sandy'ego Forsytha, postanowiliśmy z przyjacielem postawić go w trudnej sytuacji. Dzisiaj byłby świetny dzień, żeby to zakończyć - jutro ma miejsce ważne spotkanie w sprawie kopalni.

- O nie - jęknęła Barbara.

Maestre wyjął papierosa i zapalił go. Wypuścił w górę kłąb dymu, po czym spojrzeli na Harry'ego surowo, ze skupieniem. Ják gdyby go nienawidził, pomyślał Bernie. Ale mówił wciąż cichym, wytwornym tonem.

- Chociaż w końcu okazało się, że nie było żadnej kopalni, prawda? Teraz już to wiemy.

Harry nie odpowiedział. Wydawało się, że praktycznie wcale go nie słucha. Próbował wyrwać się z uścisku Berniego, ale on trzymał go mocno, chociaż krzywił się z wysiłku. Gdyby Harry zaczął biec, mogliby go zastrzelić. Maestre mówił dalej.

- Przekupiliśmy Markby'ego, angielskiego dziennikarza, żeby zaczął całą sprawę - och, seńorita Clare, proszę się nie dziwić, Anglików też można przekupić - a potem pułkownik Aranda zorganizował jednego ze strażników, który akurat nie miał pracy i mieszkał w Madrycie, żeby rozwinął temat. Wiedział, że on i jego brat potrzebowali pieniędzy dla matki.

- Luis? - spytała Barbara. - Luis pracował dla was? Chryste.

- On i Agustín dostaną pieniądze na pomoc dla matki, ale od nas. Chociaż pozwoliliśmy im zatrzymać pieniądze, które dostali od pani. - Pokręcił głową. - Luis próbował kilka razy się wywinąć. Chyba oszukiwanie was martwiło zarówno jego, jak i jego brata. Ale jeżeli mamy odbudować Hiszpanię, musimy być twardzi.

Maestre zaczął chodzić w tę i z powrotem, jego wysoka sylwetka przecinała promień reflektora, w którym wirowało coraz więcej płatków śniegu. Wyglądał jak żołnierz rozprawiający o zakończonej sukcesem kampanii. Światło migało na jego wypolerowanych guzikach. Aranda patrzył z uśmiechem. Kawalek dalej śnieg osiadał na czarnym płaszczu Sofii, w jej włosach. Harry przestał szlochać, wisiał bezwładnie w ramionach Berniego.

- Od początku chcieliśmy was tu aresztować. Forsyth teraz już się nie Uczy i myśleliśmy, czy po prostu nie powstrzymać ucieczki. Ale wiedzieliśmy, że pani narobiłaby szumu w ambasadzie w sprawie obozu, panno Clare, może też zaangażowałaby pani swoich przyjaciół z Czerwonego Krzyża. A señor Brett też jest w to zamieszany. To by postawiło ambasadora Hoare'a w trudnej sytuacji, a już i tak rozżłościł Generalísima swoim szpiegowaniem oraz tym, że Anglik Forsyth próbował go oszukać na złocie. Skoro o tym mowa, złapiemy Forsytha, wszystkie porty i przejścia graniczne są obserwowane. Potrzebujemy Hoare'a, potrzebujemy jego pomocy, żeby Hiszpania nie przystąpiła do wojny, po to, by ludzie, którzy od zawsze nią rządzą, mogli przejąć władzę od tej hołoty z Falangi.

- Co z nami zrobicie? - Bernie usłyszał drżenie w głosie Barbary.

Maestre wzruszył ramionami.

- Na razie będziemy was trzymać gdzieś pod kluczem. Chyba najwygodniej dla wszystkich będzie, jeśli Piper zostanie zastrzelony podczas ucieczki, a pani i señor Brett podobno zginą, na przykład w wypadku samochodowym.

Aranda podszedł do Maestre.

- Powinniśmy zabić ich od razu - powiedział.

- Nie. Na razie musimy trzymać ich w zamknięciu. Muszę się zastanowić. Jutro mamy ważne spotkanie. Ale dziękuję ci, Manuelu, że przesunąłeś ucieczkę o jeden dzień wcześniej. Chciałem ich zobaczyć na własne oczy. - Maestre znowu się uśmiechnął. Wszyscy się odwrócili, kiedy Barbara z jękiem osunęła się na ziemię. Aranda się zaśmiał.

- Zemdląta, głupia dziwka. - Skinął w stronę młodego gwardzistę. - Obudź ją.

Mężczyzna ukląkł przy niej. Potrząsnął jej ramieniem, jęknęła.

- Co...

- Zemdląta pani - powiedział zaskakująco łagodnym tonem.

- Aha. O Boże... - Barbara usiadła. Bernie chciał do niej podejść, ale civil ruchem pistoletu kazał mu się cofnąć. Harry, wolny od uścisku Berniego, ruszył chwiejnym krokiem w kierunku ciała Sofii, nie zwracając uwagi na światło reflektora. Schylił się niczym stary człowiek. Civil z pistoletem maszynowym obrócił się ku niemu, ale Maestre powstrzymał go gestem. Harry głąskał jej przyprószone śniegiem włosy. Zwrócił się do generała.

- Czemu ją zabilicie? Czemu?

- Złamała prawo. - Maestre machnął groźnie palcem. - Tego nie można tolerować w dzisiejszych czasach. Ten awanturniczy naród musi być trzymany w ryzach, a my wiemy, jak to zrobić. A teraz wracaj do samochodu.

- Mordercy - powiedział Harry, głaszcząc włosy Sofii. - Mordercy.

- I pomyśleć, że moja córka chciała się z tobą zadawać - rzekł Maestre. - Ty mały fiucie. To przez ciebie zginął Alfonso.

Barbara wstała. Oparła się o otwarte drzwi samochodu, była blada.

- Proszę - powiedziała słabym głosem. - Czy mogę usiąść w samochodzie? Ciągle mi słabo.

- Nie wygląda najlepiej, panie generale - powiedział młody civil.

Maestre skinął głową, patrząc z lekceważeniem na wsiadającą do samochodu Barbarę. Młody civil zamknął drzwi. Aranda uśmiechnął się do Berniego.

- Angielskie kobiety. Nie mają ikry, co?

Maestre chrząknął.

- To zniewieściaty i zgnili naród. Gdyby byli w stanie wygrać wojnę, moglibyśmy się pozbyć Falangi, ale wątpię, czy potrafią tego dokonać. Bernie rozejrzał się dookoła. Widział trzęsącą się Barbarę. Harry klęczał nad Sofią, szlochając, śnieg przyprószył też jego włosy.

- Czas jechać - powiedział Maestre. - Ty! - zawołał do Harry'ego.

- Wracaj do samochodu.

Harry wstał i powoli wrócił do Berniego, który wziął go za ramię. Spojrzał na niego. Wyglądał okropnie, strasznie zbladł pod wpływem szoku.

Maestre machnął na gwardzistę z pistoletem.

- Wracaj do naszego samochodu. Poinformuj przez radio swoją komendę, że do nich jedziemy.

Mężczyzna zasalutował.

- Wrócę za piętnaście minut, panie generale. - Pobiegł w stronę drogi. Jego kolega stał bez ruchu, wciąż trzymając na muszce Harry'ego i Berniego.

Aranda przywołał Berniego, wrócił mu dobry humor.

- Generał Maestre przyjechał tu specjalnie z Madrytu, żeby się do mnie przyłączyć. Oczywiście wiedzieliśmy, że byłeś w katedrze; dozorca i władze kościelne też brały w tym udział. Obserwowałem cię przez ostatnie tygodnie, Piper, czekałem, aż cię ukarzę za to, że nie chciałeś dla mnie szpiegować. Na tym polegała moja gra. No, oto i twoja kara.

- Zaśmiał się. - Wiesz, ojciec Eduardo zawiadomił civiles, że zaginęły dwie kobiety; nie dotarły do klasztoru, w którym miały się zatrzymać. Ale z niego prostak.

Barbara naprawdę nie zemdląca, chociaż kiedy generał mówił, że ich pozabija, niewiele jej brakowało. To podsunęło jej, żeby udąca omdlenia i wsiąść z powrotem do samochodu. Obaj oficerowie stali dokładnie za nim. Na pewno uważali, że nie potrafi prowadzić jak większość hiszpańskich kobiet. Obserwowała rozgrywającą się scenę we wstecznym lusterku i gorączkowo myślała, co robić. Starła się nie patrzeć na ciało Sofii. Kiedy spostrzegła, że młody civil wrócił między drzewa, uznała, że albo

teraz, albo nigdy. To było ryzykowne, ale musiała spróbować. Prawdopodobnie i tak wszyscy zginą, ale nieb

po to zaszła tak daleko, by teraz nie móc wrócić z Bernieem do normalnego życia. Nie odda im go po raz kolejny.

Ostrożnie, sprawdzając w lusterku, czy nadal nikt nie zwraca na nią uwagi, złapała za kluczyk w stacyjce. Wszystko zależało od tego, czy silnik od razu zapali. To był dobry samochód; tego ranka zapalił po całej nocy spędzonej na dworze. Jeżeli ruszy szybko do tyłu, Harry i Bernie, którzy opierali się o karoserię, przewrócą się na boki; uderzy obu oficerów, a jeśli civil z pistoletem maszynowym da jej dość czasu, zdąży skrócić i uderzyć także jego. Spojrzała na niego. Wzrok miał utkwiony w Harrym i Bernieem, jego twarz była surowa i obojętna.

Wzięła głęboki oddech i ostrożnie przekręciła kluczyk. Silnik zawarczał, Barbara wrzuciła wsteczny. Poczwała, jak Harry i Bernie upadają na bok. Bernie krzyknął „Nie!”. Starszy oficer, ten, który sztychł z Harry'ego, zdążył uskoczyć, ale przewrócił się na plecy. Przez ułamek sekundy we wstecznym lusterku zobaczyła wyraz wściekłości i zaskoczenia na twarzy pułkownika z obozu. Potem wpadł pod samochód; usłyszała krzyk i chrupnięcie łamanych kości, kiedy samochód po nim przejechał.

Civil zaskoczony odwrócił się i uniósł ciężki pistolet maszynowy, mierząc w samochód. Ale te kilka sekund dało Barbarze czas, by zawrócić. Tylnym bokiem uderzyła mężczyznę, pistolet poszybował w górę i odbił się od dachu z głośnym brzękiem, w momencie, kiedy mężczyzna upadł. Barbara zaciągnęła ręczny hamulec i wyskoczyła, wyciągając z kieszeni swój pistolet. Silnik wciąż pracował.

Harry i Bernie podnosili się. Harry był oszołomiony, ale Bernie widział, co się działo.

- Uwważaj! - zawołał.

Civil wstawał ociężale i sięgał po pistolet. Barbara bez wahania podniosła mauzera w górę i nacisnęła spust. Rozległ się huk, błysnęło, z klatki piersiowej mężczyzny trysnęła krew. Przewrócił się na plecy i legł bez ruchu. Wstała, wstrząśnięta tym, co zrobiła. Odwróciła się w stronę leżącego pod samochodem Arandy. On też był martwy; jego oczy patrzyły z niedowierzaniem w górę, usta miał otwarte, szczyrzył zęby w ostatnim wybuchu wściekłości. Po policzku płynęła mu strużka krwi.

- O Boże - powiedziała.

Maestre usiadł ciężko; wydawał się ogłuszony, jego czarne włosy zaczesane zwykle na czubku głowy zwisały absurdalnie z jednej strony.

- Nie zabijaj mnie - zawołał głosem zachrypniętym i przerażonym. Uniósł rękę, jakby mógł nią powstrzymać kule. - Błagam, błagam.

Barbara poczuła, że Bernie łapie ją za ramię i wyjmuje jej broń z ręki. Wycelował w Maestre.

- Wsiadaj do samochodu - powiedział przez ramię nagłym tonem do Barbary. - Wsadź Harry'ego do środka. Możesz prowadzić?

- Tak.

- Nie mamy zbyt dużo czasu - powiedział. - Ten drugi niedługo wróci.

Maestre leżał na trawie na plecach, podparł się łokciami. Barbara patrzyła, jak Bernie powoli podchodzi do niego, celując w głowę. Generał zamrugał, bo śnieg dostał mu się do oczu. Płatki padały coraz szybciej, osiadały na jego mundurze. Leżące obok ciała Sofii było już białym kurhanem.

Barbara nie chciała kolejnego strzału, nie chciała śmierci kolejnego człowieka.

- Bernie - powiedziała. - Bernie, nie zabijaj go.

Bernie odwrócił się. Zobaczyła, że ręka Maestre z szybkością atakującego węża sięga do kieszeni.

- Uważaj! - krzyknęła, kiedy generał wyciągnął broń. Bernie odwrócił się i wypalił w tym samym momencie, co Maestre. Obu rzuciło do tyłu. Barbara zobaczyła, że część głowy Maestre odpadła, a mózg wypłynął na wierzch. Bernie chwiejnym krokiem wracał do samochodu. Usłyszała dziki zwierzęcy krzyk. Zorientowała się, że to był jej głos.

- Bernie!

- Cholera! - krzyknął. - Barbaro, pomóż mi wsiąść. - Zacisnął zęby z bólu. Złapał się za udo. Przez palce pociekła mu krew.

Harry stał i patrzył na rozgrywającą się scenę. Był zdezorientowany, ale przynajmniej zdawało się, że wrócił do życia. Spojrzał na Berniego.

- Chryste, tylko nie to.

- Pomóż mi wsadzić go do samochodu - powiedziała Barbara. Harry podszedł i we dwójkę udało im się wsunąć Berniego na tylne siedzenie.

- Harry, prowadź, proszę cię - powiedziała Barbara. - Muszę mu pomóc. Musimy uciekać, zanim wróci drugi. Harry, dasz radę?

Harry spojrzał na ciało Sofii.

- Ona nie żyje, prawda? Nie możemy nic dla niej zrobić.

- Tak. Harry, dasz radę? - Złapała go rękami za głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Bała się, że silnik zgaśnie.

Wziął głęboki oddech, skupił na niej wzrok.

- Tak. Tak, zrobię to.

Bernie czuł silny, pulsujący ból w udzie. Nie mógł poruszyć nogą, między palcami spływała mu krew, dużo krwi. Barbara zdjęła płaszcz, wrywała z niego podszewkę. Przed sobą widział tył głowy Harry'ego i jego ręce, spoczywające pewnie na kierownicy. W świetle reflektorów nieprzerwanie wirował śnieg.

- Dokąd jedziemy?

- Wracamy do Madrytu, jedyna nasza nadzieja w ambasadzie.

- Nie podniosą alarmu, kiedy ten drugi civil wróci, nie spróbują nas zatrzymać?

- Musimy spróbować dotrzeć do Madrytu. Nic nie mów, kochanie. - Barbara mówiła na niego kochanie jak za dawnych czasów. Bernie uśmiechnął się, ale jego twarz przeszył grymas bólu, kiedy nożyczkami do paznokci rozcinała nogawkę jego spodni.

- Roztrzaskało ci nogę, Bernie. Kula chyba utkwiała w kości. Zabandażuję cię teraz. W Madrycie spróbujemy znaleźć lekarza. Postaraj się usiąść. - Spokojnie i z wprawą owijała mu nogę bandażami.

Kiedy skończyła, Bernie opadł na siedzenie. Oczy same mu się zamykały. Poszukał jej dłoni i uściśnął ją. Na moment stracił przytomność; kiedy ją odzyskał, Barbara wciąż trzymała go za rękę. Śnieg wirował w świetle reflektorów. Nie miał czucia w nodze. Barbara się uśmiechnęła.

- Barbaro, zapamiętaj coś dla mnie - powiedział. - Zapamiętasz coś dla mnie?

- Nic ci nie będzie, obiecuję.

- Ale jeśli nie. Zapamiętaj coś.

- Co tylko chcesz.

- Wydaje się że teraz ludzie, zwykli ludzie, przegrali, ale pewnego dnia, pewnego dnia nikt nie będzie nimi manipulował ani nie będzie ich prześladował. Ani przywódcy, ani księża, ani żołnierze; pewnego dnia uwolnią się, będą żyli wolni i z godnością, tak jak ludzie powinni żyć.

- Nic ci nie będzie.

- Proszę.

- Zapamiętam. Tak, zapamiętam.

Zamknął oczy i znowu zasnął.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Harry prowadził szybko i równo, jak automat. Próbował skupić się jedynie na plamie światła z reflektorów samochodu. Wszystko poza ich białą poświatą było zupełnie czarne. Po jakimś czasie śnieg przestał sypać, ale w ciemności wciąż trudno było jechać po nierównej drodze. Przez cały czas czuł się tak, jakby miał w brzuchu czarną pustkę, jakby też został postrzelony. Widok kul przyszywających ciało Sofii wbijał mu się jak sztylet w umysł i doprowadzał do płaczu, ale zmusił się, by odsunąć go od siebie i skupić się na drodze, na drodze, na drodze. W lusterku widział zmartwioną twarz pochylonej nad Ber-niem Barbary. Spał albo stracił przytomność, ale przynajmniej ciężki odgłos jego oddechu oznaczał, że wciąż żył.

W każdej wiosce i miasteczku obawiał się, że pojawią się civiles i zatrzymają samochód, ale przez całą drogę prawie nie zobaczyli żywej duszy. Chwilę po jedenastej dotarli na przedmieścia Madrytu. Harry zwolnił, jadąc po cichych białych ulicach w stronę ambasady.

- Jak on się ma? - spytał Barbarę.

- Wciąż jest nieprzytomny - odparła cicho. - Martwię się. I tak był bardzo osłabiony, a teraz stracił dużo krwi. - Podniosła umazaną krwią rękę i spojrzała na zegarek. - Dobrze się spisałeś.

- Czemu nas nie zatrzymano? - zapytał z niepokojem.
- Nie wiem. Może powrót zajął gwardziście dużo czasu.
- Miał radio. A policja to jedna z niewielu rzeczy w tym kraju, które działają sprawnie. - Myśl, która przez całą drogę tkwiła na dnie jego umysłu, wyszła na wierzch. - Może czekają, żeby złapać nas tu, w Madrycie. - Spojrzał na jej bladą i wykończoną twarz w lusterku.

- Gdzie jest pistolet?

- U Berniego w kieszeni. Nie chcę go dotykać, ruch mógłby spowodować kolejne krwawienie.

Harry patrzył na migające za oknem wysokie budynki; zbliżali się do centrum.

- Być może będziemy musieli się przebić, strzelając - powiedział.

- Podaj mi go. - Zawahała się na moment, ale pomacała kieszeń Berniego. Podała Harry'emu czarny od zakrzepłej krwi pistolet. Położył go na kolanach. Nagle przypomniał sobie, jak siedział z Sofią w katedrze; podskoczył i gwałtownie skręcił, żeby uniknąć zderzenia z saturatorem wlokącym się z charkotem po ośnieżonej drodze. Kierowca zatrąbił wściekle.

Wreszcie zobaczyli ambasadę. Harry minął wjazd, przyciągając spojrzenie stojącego na służbie samotnego gwardzisty, i skręcił za róg na parking. Był prawie zupełnie pusty. Harry zatrzymał się przy tylnym wejściu. Byli na terenie Wielkiej Brytanii. Zobaczył, że na pierwszym piętrze w pokoju dyżurującego oficera paliło się za zasłoną światło. Zatrąbił. Zasłona odsunęła się i ktoś wyrzwał przez okno.

Harry odwrócił się do Barbary. Na jej pobladłej twarzy widniała smuga krwi.

- Ktoś za moment zejdzie. Wyciągnijmy Berniego z samochodu. O Boże, źle wygląda. - Bernie miał zamknięte oczy. Oddychał płytko, a jego policzki wydawały się jeszcze bardziej zapadłe. Szerokie pasy podszewki płaszcza Barbary owijały mocno jego spodnie.

- Możesz go obudzić? - zapytał.

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy go ruszać.

- Musimy zanieść go do środka. Spróbuj.

Barbara uściśnęła ramię Berniego, najpierw lekko, potem mocniej. Jęknął, ale się nie poruszył.

- Musisz mi pomóc - powiedziała.

Harry wysiadł z samochodu. Otworzył tylne drzwi i wziął Berniego pod pachy. Zdziwił się, jaki jest lekki. Barbara pomogła mu go posadzić. Spod prowizorycznego bandaża sączyła się krew. Całe tylne siedzenie było nią umazane, Barbara również.

Dał się słyszeć odgłos odryglowywanej zasuw. Otworzyły się drzwi, czyjeś kroki zachręściły na śniegu. Odwrócili się i zobaczyli Chal-mersa, wysokiego i chudego mężczyznę po trzydziestce. Nawet

o tej porze miał na sobie elegancki garnitur. Poświecił latarką po ich twarzach. Na widok ich zakrwawionych pochłapanych krwią ubrań otworzył szeroko oczy.

- Dobry Boże, co się stało? Kim jesteście?

- Nazywam się Brett, jestem jednym z tłumaczy z ambasady. Mamy tu rannego, potrzebuje pomocy lekarza.

Chalmers skierował światło latarki na Berniego.

- Jezu Chryste! - Poświecił do środka samochodu i z przerażeniem zobaczył krew na tylnym siedzeniu. - Chryste, co się stało? To nasz samochód!

Harry pomógł Barbarze zaciągnąć Berniego w stronę otwartych drzwi. Dzięki Bogu wciąż oddychał. Jęknął. Chalmers pobiegł za nimi.

- Co się stało? Kto to jest? Czy zdarzył się wypadek?

- Został postrzelony - powiedział Harry. - To Anglik. Na Boga, człowieku, przestań biegać w kółko i zadzwoń wreszcie po lekarza! - Harry popchnął drzwi i weszli chwiejnie do środka. Znaleźli się w długim korytarzu; Harry otworzył drzwi do najbliższego biura. Razem z Barbarą ostrożnie położyli Berniego na podłodze, a Chalmers podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Potrzebny jest doktor Pagall - powiedział. - Wezwijcie doktora Pagalla.

- Jak szybko przyjedzie? - zapytał Harry, kiedy Chalmers odłożył słuchawkę.

- Wkrótce. Brett, co się stało, na Boga?

Przed oczami znowu stanął Harry'emu widok ciała Sofii. Skrzywił się i wziął głęboki oddech. Chalmers patrzył na niego zdenerwowany.

- Słuchaj, zadzwoń do Simona Tolhursta z działu operacji specjalnych, jego numer jest w książce. Daj mi z nim pomówić.

- Specjalne operacje? Jezu. - Chalmers zmarszczył brwi; zwykli pracownicy ambasady nie lubili szpiegów. Wykręcił kolejny numer i podał słuchawkę Harry'emu. W słuchawce odezwał się zaspany głos.

- Halo? Tak?

- Tu Harry. To nagły przypadek. Jestem w ambasadzie z Barbarą Clare i Anglikiem z raną postrzałową. Nie, to nie Forsyth. Jeniec wojenny. Tak, z wojny domowej. Jest ciężko ranny. Miał miejsce... wypadek. Generał Maestre został zastrzelony.

Tolhurst był zadziwiająco szybki i zdecydowany. Powiedział Harry'emu, że zaraz będzie, tylko zadzwoni do Hillgartha i ambasadora.

- Zostań, gdzie jesteś - zakończył.

Jakbym mógł gdzieś pójść, pomyślał Harry, odkładając słuchawkę. Przypomniał sobie o Enrique i Pacu, którzy czekali w domu. Na pewno zastanawiają się, gdzie on i Sofia się podziewają. To koniec dla Paca.

- Mówiłem jej, żeby została - wyszeptał.

Lekarz i Tolhurst przyjechali równocześnie. Lekarz był Hiszpanem w średnim wieku. Oczy miał wciąż zaspane. Barbara wyjaśniła mu, co się stało. Tolhurst przyjął widok zakrwawionych ubrań i Berniego na podłodze z zadziwiającym spokojem.

- Czy to panna Clare? - zapytał cicho Harry'ego.

- Tak.

- Kim jest ten człowiek?

Harry wziął głęboki oddech.

- To żołnierz Brygad Międzynarodowych, przez trzy lata był nielegalnie przetrzymywany w obozie pracy. To nasz stary przyjaciel. Postanowiliśmy go uratować. Ale nie wszystko się udało.

- O Chryste, a niech mnie. - Tolhurst spojrzał na Barbarę. - Lepiej oboje chodźcie ze mną do biura.

Barbara podniosła wzrok.

- Nie, jestem pielęgniarką, mogę pomóc.

Lekarz spojrzał na nią. Mówił cicho, jego wzrok był uprzejmy. - Nie, señońta, lepiej dam sobie radę sam. - Zaczął odwijać bandaż. Harry spojrzał na czerwoną miazgę i bielejącą pod spodem kość. Barbara popatrzyła na ranę i przełknęła ślinę.

- Czy da mu pan radę pomóc?

Doktor uniósł dłonie.

- Lepiej mi pójdzie, jeśli mnie państwo zostawią samego. Proszę.

- Barbaro, chodź. - Harry wziął Barbarę pod łokieć i pomógł jej wstać. Wyszli z pokoju za Tolhurstem i udali się na górę po ciemnych schodach. W budynku zapalały się światła, było słychać szmer rozmów; to nocna zmiana przygotowywała się, by zmierzyć się z kryzysem.

Tolhurst zapalił światło w biurze i wskazał im krzesła. Byłem tu ledwie wczoraj, pomyślał Harry. W innym czasie, w innym świecie. Sofia jeszcze żyła. Tolhurst usiadł za biurkiem, jego pulchna postać zastygła w oczekiwaniu.

- Dobra, Harry, opowiedz mi dokładnie, co zaszło. Jak to Maestre został zastrzelony, do cholery?

Harry opowiedział mu wszystko, od momentu, kiedy Barbara przyszła do mieszkania Sofii i tego popołudnia opowiedziała im o swoim planie akcji ratunkowej. Tolhurst co chwila spoglądał na Barbarę. Siedziała na krześle i patrzyła przed siebie nieobecny, szklisty spojrzeniem.

- Zrobiła pani to wszystko, nie informując Forsytha? - w pewnym momencie spytał Tolhurst ostro.

- Tak - odparła obojętnym tonem.

Harry opowiedział mu o zasadzce w zaroślach.

- Zastrzelili Sofię - powiedział i po raz pierwszy załamał mu się głos. - Zapytałem Maestre dlaczego, odpowiedział mi, że Hiszpanów trzeba trzymać w ryzach.

Tolhurst westchnął. Tolly, pomóż nam, pomyśl Harry, pomóż nam. W miarę jak opisywał ich ucieczkę, Tolhurst otwierał coraz szerzej oczy ze zdumienia. Spojrzał znowu na Barbarę.

- Przejechała pani jednego człowieka i zastrzeliła drugiego?

- Tak. - Spojrzała mu w oczy. - Nie zostawili mi wyboru.

- Ma pani pistolet przy sobie? - Nie. Harry go ma.

Tolhurst wyciągnął rękę.

- Stary, daj mi, proszę, broń.

Harry sięgnął do kieszeni i podał mu pistolet. Tolhurst włożył go do szuflady biurka, krzywiąc się z niesmakiem z powodu oblepiającej rękojeść krwi. Wytrzeł ostrożnie ręce chusteczką.

- To wygląda bardzo źle - powiedział. - Zabity sekretarz stanu, pracownik ambasady zamieszany. I to po tym, co Franco wczoraj powiedział Hoare'owi. Cholera. - Pokręcił głową.

- To nie było morderstwo - powiedziała Barbara - tylko samoobrona. Tylko Sofia została zamordowana.

Tolhurst spojrział na nią z marsową miną, jakby była zbyt głupia, żeby zrozumieć, co się naprawdę Uczy. Harry poczuł oprócz czarnej rozpacz rozczarowanie. Sądził, że Tolly postarać się im jakoś pomóc, wstawi się za nimi. Ale co on mógł zrobić?

Tolhurst aż podskoczył, kiedy na biurku zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

- Dobrze - powiedział. Wziął głęboki oddech. - Komandor i ambasador tu są. Muszę złożyć im raport. - Wstał i wyszedł.

Barbara spojrzała na Harry'ego.

- Chcę zobaczyć Berniego - powiedziała beznamiętnym tonem. Harry zauważył, że na okularach miała smugę krwi.

- Wydawało mi się, że ten lekarz wiedział, co robi.

- Chcę go zobaczyć.

Harry poczuł gwałtowny przypływ gniewu. Czemu to ona ocalała, a Sofia nie żyła? To było dziwne, powinni się nawzajem pocieszać, ale on czuł tylko potworny gniew. Kiedy przyklęknął obok Sofii, jej niewidzące oczy były tak jak usta na w pół otwarte w chwili, gdy wyrwano z niej życie. Zamrugnął, próbując wyrzucić ten obraz spod powiek. Siedzieli w milczeniu. Wydawało się, że czekali bardzo długo. Co jakiś czas słyszeli czyjeś surowe głosy i kroki na zewnątrz. W uchu Harry'ego znowu odezwał się pisk.

Z korytarza dobiegła ich rozmowa. Usłyszał głęboki głos Hillgartha i cienkie trajkotanie ambasadora. Harry stęzał, kiedy drzwi się otworzyły. Hillgarth miał na sobie garnitur i był świeży jak zawsze, brązowe oczy patrzyły żywo. Hoare był rozchełstany, garnitur włożył krzywo, oczy miał czerwone, jego rzadkie siwe włosy sterczały na wszystkie strony. Spojrzał z wściekłością na Harry'ego, wzdrygnął się na widok ubrudzonej krwią Barbary. Usiadł za biurkiem Tolhursta, Tolly i Hillgarth stanęli po jego bokach. Wydawało się, że w małym pokoju zrobiło się tłoczno.

Hillgarth spojrzał na Barbarę.

- Czy jest pani ranna? - zapytał z zaskakującą łagodnością.
- Nie, nic mi nie jest. Proszę mi powiedzieć, jak się czuje Bernie.

Hillgarth nie odpowiedział. Odwrócił się wolno do Harry'ego.

- Brett, Simon mówi, że twoja narzeczona nie żyje.
- Tak, panie komandorze. Civiles zastrzelili ją z karabinu.
- Bardzo mi przykro. Ale zdradziłeś nas. Dlaczego to zrobiłeś?
- Zastrzelili ją z karabinu - powtórzył Harry. - Złamała prawo. Trzeba trzymać ludzi w ryzach.

Hoare pochylił się. Na jego twarzy malowała się furia.

- Ciebie też chcą, Brett, za morderstwo. - Obrócił się i wskazał na Barbarę. - i ciebie! - Spojrzała na niego ze zdumieniem i zamrugnęła oczami. - Zadzwoiłem do jednego z naszych przyjaciół w rządzie. Wiedzą o wszystkim, drugi civil wrócił na łąkę i zastał tam rzeźnię. Jego zwierzchnicy pojechali do El Pardo. Musieli obudzić Generalísima. Cholera! - wrzasnął. - Powinienem was im wydać, pozwolić postawić pod murem i rozstrzelać. - Głos mu się trząsał. - Zastrzelony sekretarz stanu.
- Piper to zrobił - powiedział cicho Hillgarth. - Sam, oni tak naprawdę nie chcą Bretta ani panny Clare, Franco nie chce mieć teraz na głowie poważnego incydentu dyplomatycznego. Pomyśl o tym, mogli ich zgnać po drodze, ale pozwolili im tu przyjechać.

Hoare zwrócił się z powrotem do Harry'ego, drganie policzka sprawiało, że mrugał spazmatycznie jednym okiem.

- Mogę cię oskarżyć o zdradę, młody człowieku, mogę cię wysłać do więzienia w kraju. - Przeciągnął dłonią po włosach. - Powinienem być zostać namiestnikiem Indii, Winston praktycznie mi to obiecał!

Powinienem być namiestnikiem, a nie zajmować się tym szaleństwem, tymi śmieciami, tymi durniami! Ten nowy w Londynie, odpowiedzialny za Madryt... Jak on się nazywa...

- Philby - powiedział Hillgarth. - Kim Philby.
- Philby dopiero będzie miał uciechę! A Winston całą winę zwali na mnie!
- Sam, już dobrze - powiedział uspokajającym tonem Hillgarth.
- Wcale nie dobrze!
- Czy mogą mi panowie powiedzieć, jak się czuje Bernie? - spytała Barbara cichym głosem. - Proszę. To jego krew, przywieźliśmy go z Cuenki, proszę mi powiedzieć.

Hoare machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Lekarz zabiera go do szpitala, potrzebna jest transfuzja krwi. Miejmy nadzieję, że mają odpowiedni sprzęt. Niech mnie szlag trafi, jeśli wyślę go do prywatnej kliniki. Jeżeli z tego wyjdzie, może nigdy nie odzyskać władzy w lewej nodze, ma uszkodzony nerw czy coś takiego. - Ambasador spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. - Ale jeśli z tego nie wyjdzie, to moim zdaniem dobrze mu tak! Poważny incydent dyplomatyczny przez pieprzonego komunistycznego terrorystę! Przynajmniej nie musimy się martwić o tę drugą, o tę zabitą Hiszpankę.

Barbara wzdrygnęła się, jakby ktoś ją uderzył. Przez twarz ambasadora przemknął wyraz satysfakcji, i to sprawiło, że w Harrym coś pękło, cały ból, rozpacz, gniew zebrały się w nim. Krzyknął i rzucił się na Hoare'a. Zaciśnął dłoń na chudej szyi ambasadora. Ściśnięcie tej suchej skóry, uczucie, jak ścięgnięta ustępują pod jego uciskiem, dało mu niebywałe poczucie swobody. Twarz Hoare'a poczerwieniała, otworzył usta. Harry mógł zajrzeć prosto do gardła Ambasadora Nad-zwyczajnego i Pełnomocnego Jego Królewskiej Mości Króla Brytyjskiego przy Kwaterze Generalísima Francisco Franco. Hoare zamachał słabo rękami, próbując złapać Harry'ego za ramiona.

Nagle Harry usłyszał, jak Barbara woła „uważaj!” i poczuł potężny cios w kark, który ogłuszył go i sprawił, że zwolnił uścisk. Obejrzał się i zobaczył, że to Tolhurst go uderzył. Przerażony Tolhurst odciągnął go od ambasadora z zadziwiającą siłą. Hoare opadł z powrotem na krzesło, krztusząc się i charcząc, na szyi widać było dwie wyorane gniewne blizny.

Harry'emu zakręciło się w głowie. Kolana się pod nim ugięły. Kiedy upadał na podłogę, zobaczył dziwny wyraz twarzy Hillgartha, prawie że podziw. Może wydaje mu się, że to jedna wielka przygoda, pomyślał Harry, po czym stracił przytomność.

Epilog

Croydon, maj 1947 roku

Szkoła mieściła się na zielonych przedmieściach wśród stylowych domów. Barbara w wiosennym słońcu szła ze stacji ulicami obrosniętymi szpalerem drzew. Na ramię zarzuciła teczkę z dokumentami potrzebnymi na spotkanie. Bogata dzielnica, pomyślała. Nawet tu widać było wojenne blizny: porośniętą trawą i chwastami leje po bombach.

Usłyszała szkołę, zanim ją zobaczyła, kakofonia chłopięcych głosów narastała w miarę, jak się zbliżała. Szła wzdłuż ceglanego muru, aż doszła do bramy z dużym szyldem „Szkoła Haverstock”, namalowanym na czarno pod godłem szkoły. Na asfaltowym dziedzińcu przed imponującym wiktoriańskim budynkiem tuziny chłopców rozmawiały, biegały i krzyczały. Nosili blezery w czarne i białe pasy oraz czapki z godłem szkoły. Przypomniała sobie, co powiedział jej kiedyś Bernie, że szkolne herby są fałszywe, prawdziwe ma tylko arystokracja.

Przeszła przez chmurę dzieci do głównego wejścia. Chłopcy nie interesowali się nią; musiała trochę skręcić, żeby uniknąć meczu piłki, który odbywał się w pobliżu szkoły.

- Chivers, podaj piłkę - zawołał ktoś. Wszyscy mieli akcent wyższej klasy, przeciągali samogłoski. Barbara zastanawiała się, jak to jest ich uczyć. W odległym rogu toczyła się bójka, dwóch chłopców tarzało się po ziemi i tłukło pięściami, sekundował im spory tłumek. Odwróciła wzrok.#

Weszła do szerokiego holu, sklepionego dębowymi belkami. W środku było pusto; wydawało się, że wszyscy są na dworze i cieszą się słońcem. Okazałe wnętrze bardzo różniło się od wąskich tynkowanych korytarzy jej szkoły, chociaż lekki wszechobecny zapach środka dezynfekującego był ten sam. Po jednej stronie podium umieszczono nową tablicę pamiątkową z lśniącego mosiądzu, nad listą nazwisk widniały daty 1939-1945. Lista była krótsza niż pod tablicą z inskrypcją 1914-1918 po drugiej stronie, ale i tak wystarczająco długa.

Harry napisał jej, gdzie mieści się jego pokój. Znalazła odpowiedni korytarz i ruszyła wzdłuż ponumerowanych drzwi, aż doszła do numeru 14A. Zobaczyła go przez okno. Siedział i sprawdzał prace domowe. Zapukała i weszła do środka.

Wstał i uśmiechnął się.

- Barbaro, miło cię widzieć. - Był ubrany w tweedowy garnitur z łatami na łokciach, wyglądał jak dyrektor szkoły z jakiejś karykatury. Przybrał znacznie na wadze, miał podwójny podbródek. W jego ciemnych włosach pojawiły się siwe pasemka; tak jak ona miał prawie czterdzieści lat.

Uścisnęła mu dłoń.

- Cześć, Harry. Ojej, już jakiś czas się nie widzieliśmy, prawda?

- Prawie rok - powiedział. - Zbyt długo.

Rozejrzała się po klasie: plakaty z wieżą Eiffla, tablice nieregularnych francuskich czasowników, rzędy porysowanych ławek.

- A więc to tutaj uczysz.

- Tak, to tu mieszka nauczyciel francuskiego. Wiesz, że nauczyciele francuskiego słyną z tego, że stanowią łatwy cel?

- Naprawdę?

- Tak. - Harry wskazał na leżącą na biurku trzciniową różgę. - Niestety, muszę czasem im przypomnieć, kto tu rządzi. Chodź, pójdziemy coś zjeść. Niedaleko stąd jest całkiem miły pub.

Wyszli z budynku i udali się w stronę centrum. Drzewa kwitły. Kiedy mijali wiśnię, podmuch wiatru strzepnął chmurę białych płatków, które zawirowały wokół nich. Barbara pomyślała o śniegu.

- Uczysz hiszpańskiego? - zapytała.

- Nie ma na to zapotrzebowania. Tylko na francuski. Uczą się ledwie tyle, że potrafią sklecić zdanie. - Wskazał z uśmiechem na jej teczkę. - Ty za to jesteś ostatnio ekspertem od hiszpańskiego. Kogo to spotykasz dzisiaj na lotnisku w Croydon?

- Och, kilku biznesmenów z Argentyny. Przylecieli z Evą Perón w podróż po Europie, lecą stąd do Paryża, żeby przeanalizować możliwości inwestycji. Obawiam się, że to nic ekscytującego, wołowina konserwowa i produkty mięsne.

Kiedy wrócili do Anglii w 1940, Barbara podjęła pracę jako tłumaczka hiszpańskiego. Pieniądze, które zarabiała, pomagały im w długim okresie, kiedy Bernie wracał do zdrowia. Mówili, że nigdy nie będzie w stanie chodzić normalnie, ale swoją niewyczerpaną determinacją zaprzeczył temu. Kiedy wzięli ślub pod koniec 1941 roku, udało mu się dojść do ołtarza bez niczyjej pomocy, nie utykał nawet, pomimo tkwiącej w jego kości udowej kuli. To sprawiło, że jej wyrzuty sumienia trochę ustąpiły. Wiedziała, że gdyby go wtedy nie zawołała, Maestre na pewno nie zdążyłby wyciągnąć broni.

- Wciąż pracujesz z uchodźcami? - zapytał Harry.

- Tak. Teraz to głównie akademicy, ruch oporu został w zasadzie stłumiony. Uczę angielskiego pewnego pisarza z Madrytu. - Spojrzała na niego. - Masz jakieś wieści od Enrique i Paco?

Twarz Harry'ego rozpromieniła się w uśmiechu.

- Miesiąc temu dostałem od nich list, nie piszą teraz tak często jak kiedyś. Paco zaczął pracę u miejscowego gospodarza.

- Ile on ma teraz lat?

- Szesnaście. Nigdy nie sądziłem, że mu się uda, a jednak. Enrique pisze, że nie mówi zbyt wiele, ale podoba mu się praca.

- Enrique go uratował.

- Tak.

Po masakrze Barbara, Bernie i Harry zostali wsadzeni do pierwszego samolotu do Anglii. Kiedy tylko wrócili do kraju, Harry napisał do Enrique; nawet nie wiedział, czy powiedzieli mu, co się stało z jego siostrą. Kilka tygodni później dostał odpowiedź z prowincji Asturia, na północy Hiszpanii; civiles powiedzieli Enrique, że Sofia nie żyje, więc jeszcze tej samej nocy spakował rzeczy do dwóch walizek, poszedł z Pakiem na dworzec i złapał pociąg jadący na północ. Zdał się na łaskę dalekich krewnych, którzy mieli małe gospodarstwo nieopodal Palencii. Wzięli ich do siebie i od tego czasu Paco i Enrique mieszkali u nich. Harry wysyłał im co jakiś czas pieniądze. Ledwo mogli się utrzymać, ale Enrique mówił, że na wsi było spokojnie i tego właśnie potrzebował Paco. Miał się lepiej, chociaż Enrique sądził, że nigdy nie opuści miasteczka. Uniknął sierocińca, w przeciwieństwie do Carmeli Mery. Barbara pomyślała, że Carmela była teraz nastolatką. Jeśli przeżyła. Starła się o tym nie myśleć. Potrząsnęła głową, żeby oczyścić umysł.

- Szkoła by było, gdybyś zapomniał języka - powiedziała do Harry'ego. - Powinieneś trochę poćwiczyć.
 - Och, nie przeszkadza mi sam francuski. - Uśmiechnął się smutno. - Musiałem zapomnieć o wielu rzeczach, kiedy nie chcieli mnie wziąć z powrotem do Cambridge.
 - To było bardzo nieuczciwe.
 - Zemsta Hoare'a - powiedział obojętnym głosem Harry: - Bardzo potrzebowali wtedy wykładowców.
 - Tak. Nie podobało im się też, że Bernie chciał, by gazety opublikowały prawdę na temat hiszpańskich obozów.
 - Był naiwny. Powinien był wiedzieć, że zakażą mu publikacji ze względów bezpieczeństwa narodowego.
 - Myślałeś może, żeby znowu spróbować? W końcu upłynęło już siedem lat. - Barbara się zawahała. - Mnie już chyba nie obserwują. - Po powrocie przez kilka lat widziała, że ktoś otwierał jej pocztę, koperty były niechlujnie zaklejone, czasami też słyszała w telefonie dziwne dźwięki. Harry miał takie same doświadczenia.
 - Will mówi, że kiedy raz trafi się na czarną listę, już się na niej zostaje. - Przerwał. - Poza tym dobrze mi w Haverstock.
 - Czasami się zastanawiam... - powiedziała i przerwała.
 - Nad czym?
 - Ta nowa tablica pamiątkowa przypominała mi o tym. Zastanawiam się, czy nazwisko Berniego widnieje na tablicy w Rookwood. Bernie został powołany w 1943, kiedy został uznany za zdolnego do służby. Ze swoimi ranami pewnie mógłby jej uniknąć, ale nie próbował, znowu chciał walczyć z faszyzmem. Zginął podczas lądowania w Normandii, szóstego czerwca 1944 roku, zastrzelony, kiedy próbował wydostać się na plażę o kryptonimie Juno. W samochodzie w drodze do Madrytu powiedział Barbarze, że nigdy więcej jej nie opuści, ale jednak ją zostawił. Wiedziała teraz, że ktoś taki jak on w czasach, w których żyli, zawsze szedłby walczyć. Ale wciąż tęskniła za nim i za dzieckiem, którego nigdy nie mieli.
 - Wiesz, że Hoare opublikował swoje pamiętniki? - spytał Harry.
 - Naprawdę?
 - Oczywiście jako wicehrabia Templewood. - Harry zaśmiał się gorzko. - Ambasador w misji specjalnej. Mówi, że Franco nie przystąpił do wojny tylko dzięki jego twardej dyplomacji. Rzecz jasna nie wspomina o Hillgarcie. Pamiętniki różowego szczurka.
- Doszli do pubu, gdzie przy barze serwowano lunch. Był pełen handlarzy. Harry skinął kilku osobom, kiedy prowadził Barbarę do stolika.
- Jedzenie nie jest najgorsze. Kiedy masz być na lotnisku?

- O czwartej. Mamy mnóstwo czasu.

Zamówili stek i cynaderki. Stek był przypieczony i żyłasty, ale Harry'emu najwyraźniej to nie przeszkadzało.

- Więc z powodu pracy jesteś ciągle zajęta?

- Tak, z powodu pracy i uchodźców.

Przyjrzała mu się. Na podbródku miał nieprzyjemne skaleczenie od golenia.

- Co ostatnimi czasy porabiasz, oprócz nauczania? Co się stało z tamtą nauczycielką, z którą się zaprzyjaźniłeś?

Wzruszył ramionami.

- Jakoś zgasło. Poza uczeniem nie robię zbyt wiele.

- Dla mnie praca chyba też stanowi całe życie. No i uchodźcy. Chociaż myślałam, że może zacznę studiować wieczorowo hiszpański.

Harry pokiwał głową.

- To dobry pomysł. Pewnie nie będziesz miała z tym żadnych problemów.

- Muszę chyba pracować trochę mniej z uchodźcami. - Zaśmiała się. - Skończyłam jako stara panna, która uszczęśliwia innych na siłę. Zawsze wiedziałam, że tak będzie.

- Przynajmniej mamy wspomnienia - powiedział Harry, ale w jego spojrzeniu był smutek. Znowu uśmiechnął się cierpko. - Rozważam opuszczenie swojej kwatery i przeprowadzkę do Haverstock. Wiesz, że syn Willa chodzi teraz do tej szkoły? Ronnie. Bystry chłopak. Zdał do szóstej klasy. Wygląda jak ojciec. W końcu nie było ich stać na chesne w Rookwood.

- Czy Will i Muriel wciąż są we Włoszech?

- Tak. Tęsknię za Willem, zwłaszcza od czasu, kiedy zmarł stryjek James. - Znowu uśmiechnął się w ten sam sposób. - Muriel nienawidzi tego miejsca. Rzym jest dla niej za gorący i zbyt zakurzony, chce, żeby wysłali go do Paryża.

Barbara popychała obrzydliwe jedzenie po talerzu.

- Czy jeśli przeprowadzisz się do szkoły, nie... No, nie stracisz trochę kontaktu ze światem?

- A co jest takiego wspaniałego w świecie? W każdym razie i tak teraz tylko uczę. Równie dobrze mogę iść na całość. Czasami jest nudno, ale już się przyzwyczailem. A czasem można pomóc jakiemuś chłopakowi, to sprawia, że warto uczyć.

- Bernie mówił, że szkoły prywatne to zamknięty uprzywilejowany świat.

Harry podniósł gwałtownie wzrok.

- Wiem. Sofii też by się to nie podobało.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie, nie spodobałoby się to im, ale nie o to mi chodziło. Kiedy wróciłeś z Hiszpanii, byłeś wściekły, chciałeś coś zrobić. Wygląda na to, że teraz zamknąłeś się w sobie.
- Co można zrobić? - Kolejny cierpki uśmiech. - Co którekolwiek z nas osiągnęło?
- Ja przynajmniej pomagam uchodźcom. Po powrocie myślałam, że może zaangażuję się w politykę, była jedna rzecz, którą... którą Bernie powiedział w samochodzie. - Znowu usłyszała w głowie jego słowa i westchnęła. - Pozwolił, żeby wygasło jego członkostwo w partii komunistycznej. Rozczarował się, ale mimo to pozostał wierny swoim zasadom. Ale... tak naprawdę nie możemy zmienić nic w Hiszpanii. Chociaż przynajmniej chyba tutaj sprawy mają się lepiej, po zwycięstwie Partii Pracy.

Harry się skrzywił.

- Tak sądzisz? Kto miał wszystko przed wojną? Ludzie, którzy chodzili do szkół takich jak Haverstock. A kto teraz ma wszystko? Nic się nie zmieniło.
- Więc czemu tu siedzisz? - zapytała. Była na niego zła, że tak ze stoickim spokojem siedział i jadł to obrzydliwe żarcie. Wyglądał jak stary zakurzony kawaler.
- Bo tak naprawdę niczego nie można zmienić - powiedział zmęczonym głosem. - Oni są zbyt silni, w końcu cię pobiją.
- Nie wierzę. Trzeba walczyć.
- Ja przegrałem - odparł po prostu.

Przez resztę posiłku prawie nie rozmawiali. Harry przeprosił, że nie odprowadzi jej do autobusu, ale miał zajęcia. Uścisnęli sobie dłonie i obiecali, że znowu się spotkają, ale Barbara miała przeczucie, że to nieprawda i że widzą się po raz ostatni. Prawdopodobnie o Sofii i Bernie rozmawiali tylko wtedy, kiedy byli razem. Z upływem lat ten temat wywoływał tylko coraz większy, a nie coraz mniejszy ból. W autobusie poczuła, że do oczu napływają jej łzy, zamrugła, żeby je odpędzić. Otworzyła teczkę i zmusiła się, żeby przeczytać informacje o ludziach, których miała zaraz spotkać, poznać ich nazwiska oraz firmy, które reprezentowali. Señor Gómez, señor Barrancas, señor Grazziani. Wielu Argentyńczyków miało włoskie nazwiska. Pewnie byli uchodźcami.

Na lotnisku spotkała się z przedstawicielem Londyńskiej Izby Handlowej, wysokim, wytwornym mężczyzną w wojskowym krawacie, który przedstawił się jako Gore-Brown. Towarzyszyło mu sześciu biznesmenów.

- Ojej - powiedziała. - Nie zdawałam sobie sprawy, że będzie panów aż tylu. Argentyńczyków jest tylko czterech. Chyba będziecie musieli panowie rozmawiać na zmianę.
- Słyszałem, że jeden czy dwóch z nich mówi po angielsku. Z tego, co wiem, wielu Argentyńczyków zna nasz język.

- No cóż, zobaczymy, jak nam pójdzie - powiedziała Barbara wesołym, pewnym siebie głosem starej panny, który przybierała w rozmowach z mężczyznami takimi jak on. Miała nadzieję, że da sobie radę z trudnym, sepleniącym argentyńskim akcentem.
- Z tego, co wiem, samolot zaraz wylądje - powiedział Gore--Brown. - Możemy pójść do hali odlotów i popatrzeć.
- O, to by było ciekawe - powiedział jeden z biznesmenów. - Nigdy wcześniej nie widziałem, jak lądje samolot.
- Widać, że nie służył pan w RAF-ie - powiedział mężczyzna o czerwonej twarzy i podkreconych do góry wąsach.
- Spędziłem pięć lat na pancernikach, szanowny panie. Owszem, kilka zestrzeliłem, ale nigdy nie widziałem, jak jakiś lądje.

Grupka wybuchnęła śmiechem i weszła na schody tarasu widokowego. Duże okno wychodziło na płytę lotniska. Stały tam dwa samoloty, wysiadali z nich właśnie pasażerowie.

- O, leci - powiedział mężczyzna z marynarki. Barbara zobaczyła, jak zaskakująco mały dwusilnikowy samolot siadł na pasie startowym i wolno podjechał w ich stronę. Wyjęła dokumenty z teczki. Gore--Brown nachylił się do niej.
- Który z nich jest z Fray Bentos? - zapytał.
- Barrancas.
- Świetnie. Proszę się postarać, żeby był koło mnie. Mogę mieć w tym niezły interes. Zajmuję się dystrybucją. Na racjach mięsnych można wiele zarobić. - Mrugnął znacząco.

Samolot się zatrzymał. Dwóch mężczyzn w kombinezonach podsunęło schody do drzwi samolotu. Otworzyły się i zeszła po nich grupka mężczyzn. Wszyscy byli opaleni, na głowach mieli czapki, nosili grube płaszcze; Barbara pomyślała, że Anglia musi wydawać im się bardzo zimna. Zmrużyła oczy i poprawiła okulary. Ostatni mężczyzna z tej grupy wydał się jej znajomy. Trzymał się trochę z tyłu, jak gdyby fascynowało go otoczenie. Podeszła do szyby i wyjrzała.

Gore-Brown przyłączył się do niej.

- Ten ostatni to Barrancas. Wysłali mi jego zdjęcie. Wydaje mi się, że on właśnie mówi po angielsku.

Ale Barbara wiedziała, że Barrancas to nie było jego prawdziwe nazwisko. Znała tę przysadzistą sylwetkę, teraz trochę potężniejszą i bardziej przygarbioną, tę surową twarz o wyraźnych rysach, te wąsy a la Clark Gable. Patrzyła, jak Sandy Forsyth idzie w ich stronę po płycie lotniska i uśmiecha się niczym ciekawy świata uczeń, podnosząc twarz ku słońcu ciepłego angielskiego popołudnia.

Nota historyczna

Hiszpańska wojna domowa wciąż budzi kontrowersje, mimo prawie siedemdziesięciu lat, które upłynęły od jej zakończenia.

Na początku dwudziestego wieku hiszpański reżim monarchistów musiał zmierzyć się z narastającym oporem ze strony republikańskich reformatorów z klas średnich, katalońskich i baskijskich separatystów, a przede wszystkim ubogich klas pracujących, zarówno na wsi, jak i w miastach. Ucisk i sprzeciw wobec niego napędzały walkę klas, która nie występowała z taką siłą nigdzie indziej w Europie poza Rosją.

W 1931 roku król Alfons XIII abdykował i ogłoszono Drugą Republikę. Do roku 1936 następowały po sobie kolejne nieudane rządy, najpierw liberalno-socjalistyczne, później konserwatywne. W 1936 do władzy doszła radykalna koalicja lewicowa. Klasa robotnicza zaczęła brać sprawy w swoje ręce, jej przedstawiciele przejmowali majątki ziemskie oraz władzę w lokalnych urzędach.

Nie wiadomo, czy rządy Frontu Ludowego byłyby skuteczne, bo w 1936 roku wybuchł bunt wojskowy, którego od dawna się obawiano. Wsparły je siły konserwatywne, a Juan March udzielił mu znacznego poparcia finansowego. Z początku przewrót nie powiódł się: wielu oficerów pozostało wiernych pochodzącemu z wyborów rządowi i w większych miastach bunt stłumiono. Rebelianci przejęli władzę nad mniej niż trzecią częścią kontynentalnej Hiszpanii i nie udało im się zająć żadnego regionu przemysłowego.

Możliwe, że bez międzynarodowej interwencji bunt zostałby stłumiony całkowicie, ale Hitler i Mussolini natychmiast wysłali samoloty

generałowi Franco, umożliwiając mu przerzucenie elitarnych oddziałów z hiszpańskiej enklawy w Maroku do Europy i rozpoczęcie marszu na Madryt. W tym samym czasie zdominowany przez konserwatystów rząd brytyjski wywierał naciski na Francję, żeby nie udzielała pomocy Republice i zamknęła granicę. Wskutek tego Republika musiała zwrócić się do jedyne go mocarstwa, które chciało jej pomóc, czyli do Związku Radzieckiego. Strefa republikańska stała się zależna od Stalina i jego "doradców", którzy wraz z bronią przywieźli ze sobą aparat terroru. W Hiszpanii wciąż panuje mit, podtrzymywany przez Franco, że wojsko się zbuntowało, by zatrzymać przewrót komunistyczny, ale Komunistyczna Partia Hiszpanii przed 1936 rokiem była niewielka, a nastroje wśród republikańców, socjalistów i anarchistów były mocno antyautorytarne. Wyniesienie komunistów do władzy było bezpośrednim skutkiem nacisku wywieranego przez Wielką Brytanię na Francję, by trzymała się z dala od konfliktu.

Krwawa wojna domowa trwała trzy lata i zniszczyła Hiszpanię. Przypuszcza się, że 250 000 ludzi poległo w walce, a kolejne 200 000 zginęło na skutek polityki terroru stosowanej przez obie strony. Ofiarami byli często ludzie bez powiązań politycznych, oskarżani o wyznawanie "podejrzanych wartości", którzy znaleźli się po złej stronie frontu.

Kiedy w kwietniu 1939 roku wojna skończyła się zwycięstwem Franco, nie doszło do pojednania; miały miejsce kolejne egzekucje, znikwały kolejne osoby, gdy Franco starał się "oczyścić" Hiszpanię. Dla większości Hiszpanów lata czterdzieste były niewiele mniejszym koszmarem niż wojna domowa. Suszę spotęgowało zniszczenie podczas wojny większości infrastruktury, polityka gospodarcza Franco zakładała samowystarczalność oraz chaotyczny i skorumpowany system dystrybucji. Caudillo snuł fantazje o olbrzymich złożach złota albo wytwarzaniu ropy naftowej z trawy.

Reżim Franco od samego początku nie był jednolity. Z jednej strony byli faszyci Falangi, której bojówki Franco utworzył podczas wojny domowej, a ona sama stała się jedyną partią polityczną w

Hiszpanii, z drugiej monarchiści, reprezentujący tradycyjny hiszpański konserwatyzm. Skłaniali się oni często ku Angli i byli antyniemieccy; ponieważ to Anglia, którą podziwiali, była krajem arystokratycznych wiejskich posiadłości; gardzili falangistami jako "motłochem" i jeszcze mniej niż oni współczuli zwykłym Hiszpanom pogrążonym w cierpieniu. W wojnie domowej nie ustępowali falangistom w okrucieństwie. Sam Franco stał gdzieś pośrodku; był wybitnym politykiem, jego umiejętność utrzymywania obu frakcji w stanie równowagi pomogła mu utrzymać władzę przez prawie czterdzieści lat. Jednakże od porażki Hitlera Falanga zawsze była mniej znaczącą siłą jego koalicji.

W latach 1935-1936 głównym problemem, jaki musiał rozwiązać Franco, była sprawa przystąpienia do wojny po stronie Hitlera, jak tego chciała Falanga. Sam Franco marzył o powiększeniu swego afrykańskiego imperium o kolonie pokonanej Francji, ale monarchiści woleli pozostać neutralni, gdyż uznawali przyłączenie się do wojny za ryzykowne, wiedzieli też, że umocniłoby to władzę Falangi. W końcu, jak zawsze, Franco wybrał rozwiązanie pragmatyczne. Był synem oficera marynarki wojennej i znał potęgę brytyjskiej floty, która blokowała Hiszpanię i mogła bez problemu odciąć dostawy, dlatego postanowił przystąpić do wojny, tylko jeśli Wielka Brytania byłaby już prawie pokonana. Wydawało się, że to nastąpiło w czerwcu 1940 roku, więc rozpoczął rozmowy z Hitlerem, ale odpowiedź była ostrożna. Jesienią 1940 roku, kiedy Hitler chciał udziału Franco głównie po to, żeby zająć Gibraltar, bitwa o Anglię zakończyła się klęską Niemiec i Franco zdał sobie sprawę, że Wielka Brytania jest daleka od porażki.

Spotkanie między Hitlerem a Franco na francusko-hiszpańskiej granicy w październiku 1940 roku pozostaje punktem spornym. Apologeci Franco utrzymują, że dzięki jego umiejętnościom dyplomatycznym Hiszpania pozostała neutralna; jego przeciwnicy twierdzą, że na odpowiednich warunkach przystąpiłby do wojny. Osobiście sędzę, że ten drugi pogląd jest właściwy. Ale jesienią 1940 roku Hitler nie był w stanie zapewnić Franco zaopatrzenia, które wystarczyłoby, by brytyjska blokada nie spowodowała klęski głodu i być może wybuchu kolejnej rewolucji. Ciągłe żądania Franco sprawiły, że Führer opuścił

spotkanie w Hendaye zawiedziony. Od tamtej pory negocjacje między Franco i nazistami trwały dalej, ale szanse przystąpienia Hiszpanii do wojny zmalały dzięki panowaniu Królewskiej Marynarki Wojennej na morzu.

W maju 1940 roku Churchill, premier gabinetu wojennego Wielkiej Brytanii, usunął sir Samuela Hoare'a z rządu i wysłał go jako ambasadora z misją specjalną do Hiszpanii, z zadaniem powstrzymania Franco od przystąpienia do wojny. Hoare był od 1931 roku ministrem w rządzie konserwatystów i jednym z głównych zwolenników łagodzenia stosunków. Był próżny, niemrawy i arogancki, ale był również zręcznym politykiem i dobrym zarządcą. Jego talent, pozycja i lista ugłaskanych przez niego dyktatorów sprawiły, że to była trafna decyzja, chociaż czuł się rozczarowany, że nie został mianowany namiestnikiem Indii. Churchill nie lubił Hoare'a ani mu nie ufał i być może dlatego wybrał swojego przyjaciela Alana Hillgartha na oficera odpowiedzialnego za tajne operacje w Hiszpanii (wliczając w to przekupywanie potencjalnie sympatyzujących z Anglikami monarchistów), częściowo również po to, żeby miał oko na Hoare'a. Hillgarth z pewnością odpowiadał bezpośrednio przed Churchillem.

Jesienią i zimą 1940 roku Hoare jako ambasador podążał łatwym do przewidzenia kursem. Franco i jego główny doradca, profalangis-towski Serrano Suner, traktowali go z pogardą, ale mimo tego

Hoare-owi udało się zbudować relacje z monarchistami i uzyskiwać od nich ważne informacje. Nalegał, by tajne operacje (poza łapówkami) w Hiszpanii ograniczały się do zbierania informacji; miało nie być agentów "stawiających Europę w ogniu"; próby uzyskania od niego wsparcia przez lewicowe podziemie spotykały się z odmową pod pretekstem, że rząd Franco gwarantował stabilność i należało skupić na nim wszystkie wysiłki dyplomatyczne. To wydaje mi się słabym argumentem; z pewnością zagrożenie ze strony opozycji wzmocniłoby tylko pozycję Wielkiej Brytanii. Ale w swoich poglądach Hoare, podobnie jak wielu brytyjskich konserwatystów, sympatyzował z przeciwnym rewolucji monarchistami. Hoare z powodzeniem przekonywał, że Wielka Brytania nie powinna mieć nic wspólnego z hiszpańską lewicą, budując w ten sposób podstawy powojennej polityki aliantów, zmierzającej do pozostawienia reżimu Franco u władzy.

Jednakże poglądy Hoare'a wraz z upływem wojny zaczęły się zmieniać i kiedy jego kadencja jako ambasadora dobiegła końca w 1944 r., był już zagorzałym przeciwnikiem reżimu Franco u władzy po wojnie i domagał się rozpoczęcia propagandy antyrządowej oraz wprowadzenia sankcji ekonomicznych. Ale rozumowanie Churchilla zmierzało w przeciwnym kierunku. Zaczął wierzyć, że Franco był szarżem obronnym przed komunizmem i powinien zostać u władzy. Hoare nie był w stanie zmienić poglądów Churchilla, i to one w końcu okazały się decydujące.

Sposób, w jaki przedstawiłem postaci Hoare'a i Hillgartha, to moja własna interpretacja; może wydawać się surowa, ale moim zdaniem jest zgodna z faktami. Wszystkie inne brytyjskie i hiszpańskie postaci są fikcyjne, oprócz kilku ważnych osobistości z historii Hiszpanii, o których wzmianki pojawiają się w powieści: Azaña, dziwaczny Milian Astray oraz oczywiście sam Franco.

Stworzony przeze mnie obraz Hiszpanii w 1940 roku jest ponury, ale opiera się w większości na opisach współczesnych obserwatorów. Obóz pod Cuencą jest fikcją, ale było wiele innych, prawdziwych. Nie sądzę, by przedstawienie hiszpańskiego Kościoła z tej epoki było nieuczciwe; władze kościelne całkowicie zaangażowały się w brutalną politykę rządu w jej najokrutniejszym okresie, a ludzie pokroju ojca Eduardo zdarzali się bardzo rzadko.

Archaiczna wizja Franco Hiszpanii autorytarnej i katolickiej umarła wraz z nim w 1975 roku. Hiszpanie odwrócili się od jego dziedzictwa i przyjęli demokrację. Przeszłość pogrążyła się w niepamięć na podstawie „pacto de olvido” - paktu o zapomnieniu. Może taka była cena pokojowego przejścia do demokracji. Dopiero teraz, kiedy pokolenie lat czterdziestych odchodzi, sytuacja ulega zmianie i hiszpańscy historycy patrzą znowu na wczesne lata reżimu, odkrywając wiele przerażających historii, które nie poprawią pozycji apologetów Franco, ale przypomną nam, przez co musieli przejść zwykli Hiszpanie nie tylko w czasie wojny domowej, ale także po jej zakończeniu.

Próbowałem być skrupulatny, kiedy układałem wydarzenia w powieści w zgodzie z chronologią. Jednakże w dwóch przypadkach dokonałem zmian, by dopasować je do fabuły: przyspieszyłem wizytę Himmlera w Madrycie o dwa dni do przodu oraz cofnąłem założenie teatru La Barraca o rok, do 1931. Obecność Franco na pierwszym wykonaniu Concierto de Aranjuez Rodriga też została zmyślona; premiera odbyła się w Barcelonie.

Wybrana bibliografia

Jest wiele książek angielskojęzycznych na temat hiszpańskiej wojny domowej i jej przyczyn. Po ponad sześćdziesięciu latach *The Spanish Labyrinth* (Cambridge 1943) Geralda Brenana wciąż najlepiej opisuje przyczyny jej wybuchu. *The Spanish Civil War* (Cassell 1982) Antony Beevera jest najlepiej napisanym wstępem do samej wojny.

Diplomacy and the Strategy of Survival: British policy and Franco's Spain 1940-41 (Cambridge UP 1986) jest głównym akademickim podręcznikiem przedstawiającym tamtą epokę, chociaż moim zdaniem nie docenia kulturalnych powiązań między hiszpańskimi monarchistami i brytyjską klasą rządzącą. Monumentalna biografia Franco (HarperCollins 1993) Paula Prestona jest bardzo użyteczna w kwestii polityki zagranicznej reżimu w czasie wojny, ale zaskakuje brakiem opisów warunków panujących w kraju. *Ambassador on Special Mission* (London 1947), autobiografia Hoare'a opisująca jego pracę jako ambasadora, powstaje, gdy był już wicehrabią Templewood, jest wyrachowana i nie można na niej polegać w kwestii wydarzeń z lat 1940-41 (choć wiele aspektów, takich jak przekupywanie ministrów, nie mogło być ujawnionych w okresie, kiedy powstała), ale pokazuje ewolucję jego poglądów, aż do silnego sprzeciwu wobec reżimu Franco pod koniec wojny. *Churchill and Spain* (Routledge 2005) Richarda Wigga rzuca nowe światło na zmianę poglądów zarówno Hoare'a, jak i Churchilla w czasie wojny. Książka Philby, superszpieg KGB (London 1978) Phillipa Knightleya otworzyła mi widok na szpiegostwo w czasie wojny. Miss Maxse była prawdziwa; przesiadywała Philby'ego w hotelu

Świętego Ermina w kwestii jego przystąpienia do wywiadu. *Dunant's Dream* (HarperCollins 1998) Caroline Moorhead to zarówno żywa, jak i uczciwa historia Czerwonego Krzyża. Artykuł *Psychology in Franco's Concentration Camps* ("Psychology in Spain", 1997, vol. I, no. I, str. 3-9, autorzy: J. Bandrés i R. Llavona) to wstrząsający opis nadużywania psychiatrii. Szczegóły z kopalnią złota wziętem z jeszcze większego oszustwa, opisanego w *Bre-X: Gold Today, Gone Tomorrow* (Cañada 1997) przez V. Danielsona i J. White'a.

Współczesne opisy bitwy nad Jaramą można znaleźć w książce *English Captain* (London 1937) Toma Wintringhama, opowiedziane z punktu widzenia stalinisty z klasy wyższej; *Crusade in Spain* (London 1974) Jasona Guerneya to opowieść oddanego całą duszą, ale później rozczarowanego ochotnika Brygad Międzynarodowych.

W kwestiach szczegółów życia w Madrycie we wczesnych latach reżimu Franco polegałem głównie na pracach brytyjskich i amerykańskich dziennikarzy oraz dyplomatów, którzy wówczas tam mieszkali. Nawet jeśli weźmie się pod uwagę ich głównie antyfrankistowskie nastawienie, obraz, jaki przedstawiają, jest przerażający. Najbardziej przydatne okazały się: T. Hamilton, *Appeasement's Child* (London 1943); E.J. Hughes, *Report from Spain* (New York 1948); C. Foltz, *Masquerade in Spain* (London 1948). Listy Davida Ecclesa, attache handlowego przy ambasadzie Wielkiej Brytanii w 1940 roku, *By Safe Hand, Letters of Sybil and David Eccles* (London, Bodley Head, 1983) zawierają żywy i pasjonujący opis dyplomacji i codziennego życia człowieka, który był wyraźnie poruszony warunkami, w jakich żyli zwykli Hiszpanie, nawet jeśli jego poglądy polityczne mogą wydawać się dzisiaj dziwne. Historia kobiety aresztowanej za to, że wiatr zarzucił jej sukienkę na głowę, jest oparta na jego opisie, tak jak i anegdota o Hoarze chowającym się przed nietoperzem pod biurkiem. *Café Rocinante* została zapożyczona z kawiarni Donii Rosy w książce *The Hive* (USA 1953) Camila José Celi.

Podziękowania

Jestem bardzo wdzięczny grupie przyjaciół, którzy przeczytali manuskrypt Zimy w Madrycie i przedyskutowali ze mną drażliwe tematy, poruszone w książce, oferując mi całą gamę odmiennych punktów widzenia. Pragnę, by moje podziękowania przyjęły następujące osoby: Roz Brody, Emily Furman, Mike Holmes, Caroline Hume, Jan King, Tony Macaulay, Charles Penny, Mari Roberts za adiustowanie oraz William Shaw; także mój agent Antony Topping i moja redaktorka Maria Rejt z wydawnictwa Macmillan, oraz Will Stone za jego pomoc przy badaniach na temat ważnych powiązań w książce. Jak zawsze jestem wdzięczny Frankie Lawrence za przepisywanie tekstu i skorygowanie zdarzających się od czasu do czasu byków.